

Stephen King

**Czarna
bezgwiezdna
noc**

2011

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Full Dark, No Stars

Data wydania:

2010

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Ilustracja na okładce:

Jeff Bark

Projekt graficzny okładki:

Andrzej Kuryłowicz

Przełożył:

Krzysztof Obłucki

Wydawca:

Wydawnictwo Albatros

Andrzej Kuryłowicz

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24

02-954 Warszawa

ISBN 978-83-7659-358-6

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Dla Tabby,
ciagle*

*Dlatego mówię: hej, człowieku, ładny strzał,
Co za ładny strzał, człowieku.*

Filter

1922

Hotel Magnolia
Omaha, Nebraska

11 kwietnia 1930 roku

DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH

Nazywam się Wilfred Leland James, a to jest moja spowiedź. W czerwcu 1922 roku zamordowałem żonę, Arlette Christine Winters James, i żeby ukryć ciało, wrzuciłem je do starej studni. W tej zbrodni pomagał mi syn, Henry Freeman James, choć jako czternastolatek nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Wciągnąłem go w to, przez ponad dwa miesiące manipulując jego strachem i rozwiewając zwykle w takich okolicznościach wątpliwości. Tego właśnie gorzko żałuję, bardziej niż popełnionej zbrodni, z powodów, które przedstawię w niniejszym piśmie.

Motywy, który doprowadził mnie do morderstwa i skazał na potępienie, było sto akrów dobrej ziemi w Hemingford Home w Nebrasce. Teść, John Henry Winters, zapisał ją mojej żonie. Chciałem dodać tę działkę do naszej farmy, która w 1922 roku liczyła osiemdziesiąt akrów. Żona, która nigdy nie przyzwyczała się do życia na wsi (nie wspominając o roli żony farmera), zamierzała sprzedać ją za gotówkę Przedsiębiorstwu Przetwórstwa Mięsnego Farringtona. Kiedy zapytałem, czy naprawdę chciałyby żyć z pieniędzy tej firmy, prowadzącej ubój wieprzy, odpowiedziała, że równie dobrze jak jej ojcowiznę moglibyśmy też sprzedać farmę – ziemię, którą odziedziczyłem po ojcu, a on po swoim ojcu! A gdy spytałem, co niby mielibyśmy zrobić z pieniędzmi, za to bez ziemi, powiedziała, że moglibyśmy przeprowadzić się do Omaha albo nawet do Saint Louis i otworzyć sklep.

– Nigdy nie zamieszkać w Omaha – odpowiedziałem. – Miasta są dla głupców.

Biorąc pod uwagę, gdzie teraz mieszkam, zakrawa to na ironię, ale nie będę tu zbyt długo. Wiem o tym i znam również przyczynę dźwięków, które słyszę w ścianach. I wiem też, gdzie trafię, gdy mój ziemski żywot dobiegnie końca. Zastanawiam się, czy w piekle może być gorzej niż w mieście Omaha. A może piekło to właśnie jest Omaha, tyle że bez otoczenia ładnych wsi, za to pośród zadymionej, cuchnącej siarką pustki pełnej dusz takich jak moja.

O te sto akrów klóciliśmy się zawzięcie przez zimę i wiosnę 1922 roku. Henry znalazł się między młotem a kowadłem, choć skłaniał się raczej w moją stronę. Po matce miał ładną buzię, ale miłość do ziemi przejął ode mnie. Był posłusznym chłopcem, bez śladu arogancji typowej dla jego matki. Raz po raz powtarzał jej, że nie ma ochoty na życie w Omaha ani żadnym innym mieście i przeprowadzi się tam jedynie wtedy, gdy ona i ja dojdziemy do porozumienia, co nigdy nie nastąpiło.

Brałem pod uwagę wymiar sprawiedliwości, bo byłem pewny, że w tym przypadku każdy sąd w naszym kraju podtrzyma moje prawo, jako męża, do decydowania o użytkowaniu i

przeznaczeniu ziemi. Coś mnie jednak przed tym powstrzymywało. Nie bałem się, że sąsiedzi zaczną gadać, wsiove plotki nie są mi straszne. Chodziło o coś innego. Zacząłem jej nienawidzić, ot co. Życzyłem jej śmierci i to mnie powstrzymywało.

Wierzę, że w każdym siedzi jakby inny człowiek, obcy, taki Przechera. I wierzę, że kiedy zaczął się marzec 1922 roku, gdy niebo nad hrabstwem Hemingford stało się białe, a każde pole było zaśnieżonym błockiem, Przechera w farmerze Wilfredzie Jamesie wydał wyrok na moją żonę i przesądził o jej losie. I słusznie się jej to należało. Biblia mówi, że niewdzięczne dziecko jest jak wąż wyhodowany na własnej piersi, ale kłótniwa i niewdzięczna żona to coś jeszcze gorszego.

Nie jestem potworem, chciałem ocalić ją przed Przecherą. Powiedziałem jej, że jeśli się nie pogodzimy, powinna wyjechać do matki, do Lincoln, leżącego około stu kilometrów na zachód – wystarczająco daleko jak na separację, która nie jest jeszcze rozwodem, choć wskazuje na rozpad małżeństwa.

– I jak się domyślam, miałabym zostawić ci ojcowiznę? – zapytała i odrzuciła do tyłu głowę. Jakże nienawidziłem tego bezczelnego odrzucania głowy, przywodzącego na myśl źle wytresowanego kuca, oraz cichego prychnięcia, które zawsze temu gestowi towarzyszyło. – Możesz o tym zapomnieć, Wilf.

Zaproponowałem, że jeśli się uprze, odkupię od niej tę ziemię. Spłata potrwałaby zapewne jakieś osiem, może dziesięć lat, ale dostałaby całą sumę, co do centa.

– Mały dochód jest gorszy od braku dochodu – odrzekła (po raz kolejny prychając i odrzucając do tyłu głowę). – Każda kobieta o tym wie. Przedsiębiorstwo Farringtona zapłaci wszystko od razu, poza tym ich oferta jest znacznie hojniejsza od twojej. Zresztą nie mam zamiaru mieszkać w Lincoln. To nie miasto, jedynie wieś, gdzie jest więcej kościołów niż domów.

Rozumiecie moją sytuację? Widzicie, w jakim położeniu się przez nią znalazłem? Czy nie należy mi się choć trochę współczucia z waszej strony? Nie? No to posłuchajcie tego.

Na początku kwietnia owego roku – z tego, co wiem, minęło od tamtej pory osiem lat – przysłała do mnie cała wyfiokowana. Większą część dnia spędziła w „salonie piękności” w McCook. Włosy wisały jej wokół policzków w grubych lokach, które skojarzyły mi się z rolkami papieru toaletowego na sznurku, widywanymi w hotelach i zajazdach. Powiedziała, że wpadła na pewien pomysł. Jej zdaniem powinniśmy sprzedać te sto akrów i farmę przedsiębiorstwu Farringtona. Uważała, że kupią i moją ziemię, żeby tylko dostać akry jej ojca znajdujące się w pobliżu linii kolejowej (i prawdopodobnie miała rację).

– Potem – dodała ta bezwstydna jędba – podzielimy pieniądze, rozwiędziemy się i każde z nas zacznie nowe życie, ale osobno. Oboje wiemy, że tego chcesz. – Tak jakby ona tego nie chciała.

– Och – odpowiedziałem (udając, że naprawdę zastanawiam się nad jej pomysłem). – A kto weźmie chłopca?

– Oczywiście, że ja – odpowiedziała, szeroko otwierając oczy. – Czternastoletni chłopiec potrzebuje matki.

Właśnie tamtego dnia zacząłem pracować nad Henrym, mówiąc mu o planach jego matki. Siedzieliśmy na świeżo skoszonym sianie. Przybrałem najsmutniejszy wyraz twarzy i bardzo przygnębionym głosem roztoczyłem przed nim obraz życia, jakie go czeka, jeśli matka zrealizuje swój zamiar. Mówiłem, że nie będzie miał ojca ani farmy, o tym, jak będzie się czuł w znacznie większej szkole, o jego przyjaciółach (w większości znanych mu od najwcześniejszego dzieciństwa), których zostawi, o tym, jak w nowej szkole będzie musiał wywalczyć sobie pozycję wśród obcych, wyśmiewających się z niego i przezywających go wsiowym kmiotkiem. Gdyby natomiast, powiedziałem, udało się nam nie tylko zachować gospodarstwo, ale też jeszcze je powiększyć, na pewno dalibyśmy radę spłacić kredyt w banku do 1925 roku, a potem żylibyśmy szczęśliwie bez długów i wdychalibyśmy świeże powietrze, zamiast patrzeć na flaki świń spływające od świtu do nocy strumieniem, który teraz był jeszcze czysty.

– Co wolisz w takim razie? – zapytałem, opowiedziawszy mu to wszystko z największymi szczegółami.

– Chcę zostać tu z tobą, tato – odparł. Łzy płynęły mu po policzkach. – Dlaczego ona musi być taką... taką...

– No, dalej – zachęciłem go. – Słowa prawdy nigdy nie są przekleństwem, synu.

– Taką zdziwą!

– Bo taka jest większość kobiet – odrzekłem. – To część ich natury, której nie da się wykorzenić. Pytanie brzmi jednak, co mamy zamiar z tym zrobić.

Ale tymczasem Przechera we mnie dawno już pomyślał o starej studni za oborą, skąd czerpaliśmy wodę dla inwentarza, płytkiej i zamulonej – głębokiej jedynie na trochę ponad pół metra i tylko niewiele pojemniejszej od beczki na deszczówkę. Pozostawał jednak problem, jak przybliżyć mu to rozwiązanie. Bo musiałem to zrobić, tego się na pewno domyślacie – mogłem zabić żonę, ale chodziło mi o uratowanie kochanego syna. Po co komu sto osiemdziesiąt akrów – czy nawet tysiąc – jeśli nie ma się ich z kim dzielić i komu ich zostawić?

Udawałem, że rozważam szalony pomysł Arlette zamiany pola kukurydzy w ubojnię świń. Poprosiłem, żeby dała mi więcej czasu na przyzwyczajenie się do tej myśli. Zgodziła się. Dzięki temu mogłem przez następne dwa miesiące pracować nad Henrym, osuwając go z zupełnie innym planem. Nie było tak trudno, jak mogłoby się wydawać, bo choć odziedziczył po matce ładną buźkę (jak dobrze wiecie, ładna buzia u kobiety to miód, który przywabia mężczyzn do ula pełnego żądeł), nie miał w sobie nic z jej oślego uporu. Wystarczyło odmalować mu obraz życia, jakie czekałoby go w Omaha albo Saint Louis. Wysunąłem też przypuszczenie, że nawet te dwa mrowiska mogą ostatecznie nie usatysfakcjonować jego matki, bo równie dobrze mogłaby dojść do wniosku, że tylko Chicago jej odpowiada.

– A wtedy – powiedziałem – może się okazać, że będziesz chodził do gimnazjum z czarnuchami.

Zaczął być chłodny wobec matki, a ona po kilku nieudolnych i zignorowanych przez niego próbach odzyskania uczuć syna odwzajemniła mu się tym samym. Ucieszyło mnie to (a raczej Przecherę). Na początku czerwca oznajmiłem jej, że po głębokim namyśle nigdy nie pozwolę jej bez walki sprzedać tych stu akrów. Nawet gdyby to nas zrujnowało i musielibyśmy przez to żebrać.

Przyjęła to ze spokojem. Zdecydowała się poszukać rady u prawnika (jak wiemy, prawo staje się przyjacielem każdego, kto płaci). Przewidziałem ten ruch. I jedynie się uśmiechnąłem! Bo nie stać jej było na taką poradę. Twardo trzymałem rękę na tej odrobinie gotówki, jaką mieliśmy. Nawet Henry, gdy go o to poprosiłem, oddał mi swoją świnkę skarbonkę, żeby nie mogła ukraść pieniędzy dziecku, mimo że było ich tam śmiesznie mało. Skierowała się, rzecz jasna, do biura przedsiębiorstwa Farringtona w Deland, mając pewność (podobnie jak ja), że skoro mogliby na tym bardzo wiele zyskać, chętnie zgodzą się zapłacić jej prawnikowi.

– Jeśli tak zrobią, ona wygra – powiedziałem Henry’emu na sianie w stodole, która stała się miejscem naszych rozmów. Nie do końca byłem tego pewny, ale podjąłem już decyzję, której jeszcze nie nazwałbym planem.

– Ale, tato, to nie w porządku! – zawołał. Siedząc na sianie, wyglądał bardzo młodo, bardziej jak dziesięciolatek niż czternastolatek.

– Życie już takie jest – odparłem. – Czasami pozostaje jedynie wydrzeć mu to, co się chce. Nawet jeśli kogoś się przy tym skrzywdzi. – Przerwałem, wpatrując się w jego twarz. – Nawet jeśli ktoś przez to umrze.

Pobladł.

– Tato!

– Gdyby ona zniknęła – ciągnąłem – byłoby tak jak dawniej. Ustałyby ciągłe kłótnie. Żylibyśmy sobie spokojnie. Zaoferowałem jej wszystko, co mogłem, żeby odeszła, ale ona nie chce. Pozostaje tylko jedno rozwiązanie. I my& możemy to zrobić.

– Ale ja ją kocham!

– Ja też ją kocham – powiedziałem.

Co było zgodne z prawdą niezależnie od tego, jak bardzo wyda się wam to niewiarygodne. Żaden mężczyzna nie potrafiłby tak nienawidzić kobiety, jak ja nienawidziłem żony od 1922 roku, jeśli nie byłoby między nimi miłości. Bo choć Arlette to kobieta uparta i zrzędliva, serce miała dobre. Nasze „stosunki małżeńskie” nigdy nie zanikły, chociaż odkąd zaczęły się awantury o te sto akrów, nasza szamotanina w ciemności coraz bardziej przypominała parzenie się zwierząt w rui.

– To nie musi być bolesne – dodałem. – A kiedy będzie po wszystkim... cóż...

Zaprowadziłem go na tyły obory i pokazałem studnię. Chłopak zalał się łzami.

– Nie, tato. Nie w ten sposób. Za żadne skarby.

Ale kiedy wróciła z Deland (Harlan Cotterie, nasz najbliższy sąsiad, wioził ją swoim fordem przez większą część drogi, zostawiając jej do przejścia ostatnie trzy kilometry) i Henry błagał ją by ustąpiła, „żebyśmy znowu mogli być rodziną”, straciła nad sobą panowanie, uderzyła go w twarz i powiedziała, żeby przestał zebrać jak pies.

– Ojciec zaraził cię pokorą. Co gorsza, zaraził cię też swoją pazernością.

Jakby jej ten grzech nie dotyczył!

– Adwokat zapewnił mnie, że ta ziemia jest moja i mogę nią dysponować według własnej woli, a ja mam zamiar ją sprzedać. Wy dwaj możecie tu siedzieć i wachać zarzynane świnię, gotować sobie posiłki i słać łóżka. Ty, mój synu, możesz orać całymi dniami i czytać po nocach jego staroświeckie książki. Nie na wiele mu się zdały, ale może tobie pójdzie z nimi lepiej. Kto wie?

– To nie w porządku, mammo!

Popatrzyła na syna, jak kobieta mogłaby popatrzeć na obcego mężczyznę, który zamierzał dotknąć jej ramienia. A mnie serce urosło, gdy zobaczyłem, że odpowiedział jej równie lodowatym spojrzeniem.

– Możecie sobie iść do wszystkich diabłów, obaj. Przeprowadzam się do Omaha i otwieram sklep z odzieżą. Tak ja rozumiem grę fair.

Ta rozmowa odbyła się na podwórzu między domem a oborą, a słowa o rozumieniu gry fair były jej ostatnimi. Przemaszerowała przez podwórze, wzbijając kurz eleganckimi bucikami z miasta, weszła do domu i trzasnęła drzwiami. Henry obrócił się i spojrzał na mnie. W kącikach ust miał krew, napuchła mu dolna warga. Złość w jego oczach była dzika i czysta, z rodzaju, jaki mogą odczuwać jedynie dojrzewające nastolatki. To złość, która nie liczy się z kosztami. Pokiwał głową. Odpowiedziałem mu tym samym, z równie śmiertelną powagą, ale wewnątrz mnie Przechera wykrzywił się w uśmiechu.

Policzek, który mu wymierzyła, stał się wyrokiem śmierci.

* * *

Dwa dni później, kiedy Henry przyszedł do mnie na pole młodej kukurydzy, spostrzegłem, że jego wola znowu osłabła. Nie byłem tym rozczarowany ani zaskoczony. Puste lata między dzieciństwem a dorosłością są pełne rozchwiania, przeżywająca je młodzież wiruje niczym kurki na dachach, montowane przez niektórych rolników ze Środkowego Zachodu na silosach z ziarnem.

– Nie możemy – powiedział. – Ona tkwi w błędzie. A Shannon mówi, że ci, którzy umierają, będąc w błędzie, idą do piekła.

Szlag by trafił Kościół metodystów i Bractwo Młodych Metodystów, pomyślałem... ale Przechera tylko się uśmiechnął. Przez następne dziesięć minut, otoczeni zielonymi łodygami i

liśćmi, rozmawialiśmy o teologii, podczas gdy chmury wczesnego lata – najlepsze chmury, te, które przepływają po niebie niczym szkunery – przemieszczały się nad nami powoli, ciągnąc za sobą cienie niczym kilwatery. Wyjaśniłem mu, że będzie wręcz przeciwnie – zamiast skazywać Arlette na piekło, wyślemy ją do nieba.

– Bo – mówiłem – ktoś zamordowany, mężczyzna czy kobieta, umiera w czasie wyznaczonym nie przez Boga, ale przez człowieka. On... albo ona... odchodzi nagle, zanim... może odpokutować za grzechy. Dlatego wszystkie błędy muszą mu być wybaczone. Kiedy pomyślisz o tym w ten sposób, zrozumiesz, że każde morderstwo jest otwieraniem bramy do nieba.

– A co z nami, tato? Czy my nie pójdziemy do piekła?

Wskazałem ręką pola pyszniące się gąszczem nowych roślin.

– Jak możesz tak mówić, gdy widzisz raj wokół nas? A ona chce go nam odebrać niczym anioł z płonącym mieczem, który wyrzucał Adama i Ewę z rajskiego ogrodu.

Wpatrywał się we mnie, zakłopotany. Ponury. Byłem zły na siebie, że to za moją sprawą tak sposepniał, ale jakaś część mnie wierzyła, i nadal wierzy, w winę jego matki za taki stan rzeczy.

– Tylko pomyśl – powiedziałem. – Jeżeli ona wyjedzie do Omaha, pogrzy się jeszcze głębiej w piekielnych czeluściach. Jeśli zabierze cię ze sobą, staniesz się mieszcuchem...

– Nigdy! – krzyknął tak głośno, że kruki poderwały się z płotu i poleciały wysoko w niebo niczym kawałki zwęglonego papieru.

– Jesteś młody i pojedziesz – mówiłem dalej. – Zapomnisz o tym wszystkim... nauczysz się miejskiego życia... i sam zaczniesz się pogrążyć.

Gdyby odpowiedział, że mordercy tracą wszelką nadzieję na połączenie się ze swoimi ofiarami w niebie, znalazłbym się w kropce. Ale jego wiedza teologiczna nie sięgała tak daleko albo po prostu nie chciał zastanawiać się nad tym problemem. Zresztą czy piekło istnieje, czy sami je sobie robimy na ziemi? Przemyślawszy dobrze ostatnie osiem lat życia, opowiadałem się za tym drugim.

– Jak? – zapytał. – Kiedy?

Powiedziałem mu.

– I będziemy dalej mogli tu mieszkać?

Odpowiedziałem, że tak.

– I nie będzie cierpiała?

– Nie – odparłem. – To stanie się szybko.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Na razie jednak mogło jeszcze wcale do tego nie dojść, bo wszystko nadal zależało od Arlette.

* * *

Wybraliśmy jeden z sobotnich wieczorów mniej więcej w połowie czerwca jako równie dobry jak każdy inny. Arlette czasami piła latem wino o zachodzie słońca, choć ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej. Nie bez kozery o tym pomyślałem. Należała do ludzi, którzy nie potrafili poprzestać na jednym kieliszku, piją drugi, czwarty, szósty, aż opróżniają całą butelkę. A później następną, jeśli jest w zasięgu.

– Muszę bardzo uważać, Wilf. Za bardzo mi to smakuje. Szczęściem mam silną wolę.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy na werandzie, sączyliśmy wino, patrzyliśmy na zmierzch zapadający nad polami i wsłuchiwalismy się w senne cykanie świerszczy. Henry był w swoim pokoju. Prawie nie tknął kolacji, a gdy siedzieliśmy z Arlette w fotelach z poduszkami „Mama” i „Tata”, wydawało mi się, że usłyszałem słaby odgłos jakby wymiotowania. Pamiętam, że pomyślałem jedno: gdy ten moment nadejdzie, on prawdopodobnie nie będzie umiał stawić mu czoła. A jego matka obudziłaby się wtedy nazajutrz rozdrażniona, z kacem, nieświadoma, jak niewiele brakowało, by nigdy już nie oglądała świtu nad Nebraską. Mimo to jednak nie odstępiałem od planu. Bo byłem jak jedna z tych rosyjskich matrioszek? Może. Może taki jest każdy mężczyzna. Tkwił we mnie Przechera, ale wewnątrz niego siedział Optymista. Ten gość umarł tak mniej więcej między 1922 a 1930 rokiem. Przechera zaś po dokonaniu zniszczeń odchodził. Bez jego pomysłów i ambicji życie stało się puste.

Przyniosłem butelkę na werandę, ale kiedy próbowałem dolać Arlette do kieliszka, zakryła go dłonią.

– Nie musisz mnie upijać, żeby dostać, czego chcesz. Ja też tego chcę. Swędzi mnie.

Rozsunęła nogi i położyła rękę na kroczu, żeby pokazać, gdzie ją swędzi. W niej siedziała Wulgarna Kobieta – może nawet Ladacznica – a wino zawsze pozbawiało ją zahamowań.

– Wypij jeszcze jeden kieliszek – powiedziałem. – Mamy powód do świętowania.

Popatrzyła na mnie nieufnie. Nawet po jednym kieliszku wina jej oczy stawały się wilgotne (jakby część jej płakała po winie, które chciałyby wypić, lecz nie mogła), a w świetle zachodu nabrały pomarańczowego koloru, przypominając dziury w wydrążonej dyni z wstawioną do środka świeczką.

– Nie będzie żadnej rozprawy w sądzie – mówiłem. – I nie będzie żadnego rozwodu. Jeżeli przedsiębiorstwo Farringtona stać na zapłacenie za moje osiemdziesiąt akrów i twoje sto akrów po ojcu, nasz spór dobiegnie końca.

Po raz pierwszy i zresztą jedyny w czasie naszego niełatwego małżeństwa Arlette rozdziawiła usta.

– Co powiedziałeś? Naprawdę myślisz to, co powiedziałeś? Nie żartuj sobie ze mnie, Wilf!

– Nie żartuję – odparł Przechera. Mówił z prawdziwą szczerością. – Rozmawiałem o tym z Henrym wiele razy...

– Dobrze się ze sobą dogadujecie, to prawda – stwierdziła. Zabrała dłoń znad kieliszka, a ja skorzystałem z okazji, żeby go napełnić. – Ciągłe siedzicie w stodole albo na sągu drewna,

nieraz szepczecie coś między sobą za domem. Myślałam, że chodzi o dziewczynę Cotteriech. – Prychnięcie i odrzucenie głowy do tyłu. Ale miałem wrażenie, że jednocześnie trochę posmutniała. Sączyła drugi kieliszek. Dwa łyki wina i nadal mogła odstawić szkło i iść do łóżka. Po czwartym równie dobrze mógłbym jej wręczyć butelkę. Nie wspominając o dwóch następnych, które miałem pod ręką.

– Nie – powiedziałem. – Nie rozmawialiśmy o Shannon. – Chociaż widziałem, jak Henry trzymał za rękę dziewczynę Cotteriech, kiedy szli trzy kilometry do szkolnego autobusu z Hemingford Home. – Gadaliśmy o Omaha. Wydaje mi się, że chce tam pojechać. – Staralem się nie przesadzić, bo wypła dopiero jeden kieliszek wina i dwa łyki z drugiego. Ta moja Arlette była bowiem z natury podejrzliwa, zawsze doszukiwała się drugiego dna. Rzecz jasna, w tym przypadku ono naprawdę istniało. – A przynajmniej chce się przekonać, jak tam jest. No i Omaha nie jest daleko od Hemingford...

– Nie, nie jest daleko. Powtarzałam to wam obu tysiąc razy. – Napła się wina, lecz tym razem nie odstawiła kieliszka jak poprzednio. Pomarańczowe światło nad horyzontem na zachodzie pociemniało, przybierając barwę zielonkawego szkarłatu, który wydawał się płonąć w jej kieliszku.

– Gdyby chodziło o Saint Louis, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Zrezygnowałam z tego miasta – odpowiedziała. Co oznaczało, że sprawdziła możliwości i zorientowała się, że miałyby tam jakieś problemy. Za moimi plecami oczywiście. Wszystko robiła za moimi plecami oprócz wystąpienia o prawnika z przedsiębiorstwa Farringtona. Zresztą to też zrobiłaby w tajemnicy przede mną gdyby nie chciała użyć tego jako kija, żeby mi dołożyć.

– Myślisz, że kupię całą działkę? – zapytałem. – Sto osiemdziesiąt akrów?

– Skąd mam wiedzieć? – Napła się. Drugi kieliszek był pusty. Gdybym usiłował go jej teraz zabrać, mówiąc, że już dość wypła, na pewno nie chciałaby go oddać.

– Jestem pewny, że wiesz – powiedziałem. – Te sto osiemdziesiąt akrów jest jak Saint Louis. Wywiedziałaś się bardzo dokładnie.

Spojrzała na mnie koso... a potem wybuchnęła śmiechem.

– Może i wiem.

– Chyba moglibyśmy rozejrzeć się za domem na przedmieściach – dodałem. – Gdzie jest przynajmniej kawałek pola, na które można popatrzeć.

– I gdzie będziesz całymi dniami siedział na tyłku w bujanym fotelu na werandzie, a twoja żona dla odmiany zacznie pracować? No dobra, nalej mi. Skoro mamy świętować, to świętujemy.

Napełniłem oba kieliszki. Do swojego dolałem odrobinę, bo upiłem z niego tylko jeden łyk.

– Myślę, że mógłbym rozejrzeć się za pracą mechanika. Przy samochodach, ciężarówkach, ale najchętniej przy maszynach rolniczych. Skoro potrafię utrzymać na chodzie

tego farmalla – wskazałem ręką z kieliszkiem na ciemny kształt traktora stojącego za oborą – to pewnie będę umiał naprawić wszystko.

– I Henry cię do tego namówił.

– Przekonał mnie, że lepiej spróbować szczęścia w mieście niż zostać tutaj samemu, co z pewnością kiepsko by się dla mnie skończyło.

– Chłopak wykazuje się zdrowym rozsądkiem, a dorosły mężczyzna go słucha! No, nareszcie! Alleluja! – Osuszyła kieliszek i wyciągnęła go przed siebie, chcąc więcej. Chwyciła mnie za ramię i przysunęła się na tyle blisko, że poczułem w jej oddechu zapach sfermentowanych winogron. – Możesz dziś dostać tę rzecz, Wilf, tę, którą lubisz. – Zabarwionym na purpurowo językiem dotknęła środka górnej wargi. – Wiesz, tę paskudną rzecz.

– Nie mogę się doczekać – odpowiedziałem. Jeśli wszystko poszłoby po mojej myśli, jeszcze paskudniejsze rzeczy wydarzyłyby się w łóżku, które dzieliłem z nią od piętnastu lat.

– Zawołajmy na dół Henry’ego – zaproponowała. Zaczynała niewyraźnie wymawiać słowa. – Chcę mu pogratulować, że w końcu przejrzał na oczy. – (Czy wspomniałem wcześniej, że czasownik „dziękować” nie istniał w słowniku mojej żony? Pewnie nie. Teraz zaś nie ma takiej potrzeby). Oczy jej pojaśniały, bo o czymś pomyślała. – Damy mu kieliszek wina! Jest już wystarczająco duży! – Szturchnęła mnie łokciem, jak to zwykle robią starcy przesiadujący na ławkach przy schodach w sądzie, opowiadając sobie świńskie dowcipy. – Jeśli nam się uda rozwiązać mu trochę język, może nawet się dowiemy, czy spotykał się z Shannon Cotterie... Niezła z niej bałamutka, ale ma ładne włosy, to muszę jej przyznać.

– Może najpierw napijesz się jeszcze wina – powiedział Przechera.

Wypiła dwa następne kieliszki, potem dokończyła butelkę. (Pierwszą). Zaczęła śpiewać *Avalon*, imitując, najlepiej jak umiała, głos Ala Jolsona i podobnie jak on przewracając oczami. Przykro było na to patrzeć, a jeszcze smutniej było tego słuchać.

Poszedłem do kuchni po następną butelkę wina. Uznałem, że już najwyższa pora zawołać Henry’ego. Choć, jak wspominałem, nie wiązałem z nim zbyt wielkich nadziei, mogłem tego dokonać, jedynie mając chętnego pomocnika. W głębi serca wierzyłem, że wycofa się z tego przedsięwzięcia w ostatniej chwili, kiedy skończą się tematy do rozmowy i nadejdzie odpowiednia pora. Gdyby tak się stało, położylibyśmy ją po prostu do łóżka. A rankiem bym jej powiedział, że zmieniłem zdanie i nie mam zamiaru sprzedawać ziemi odziedziczonej po ojcu.

Przyszedł Henry i w jego bladej, żałośnie wyglądającej twarzy nic nie zapowiadało powodzenia naszego planu.

– Tato, chyba nie dam rady – wyszeptał. – To przecież mama.

– Jeśli nie dasz rady, to nie dasz rady – odpowiedziałem i nie było w tych słowach nic z Przechery. Pogodziłem się z tym. Co ma być, to będzie. – W każdym razie ona jest szczęśliwa pierwszy raz od miesięcy. Pijana, ale szczęśliwa.

– Nie na lekkim rauszu? Tylko pijana?

– Zdziwiony? Przecież ona potrafi się cieszyć tylko wtedy, gdy sprawy układają się po jej myśli. Czternaście lat razem z nią to wystarczająco długo, żeby o tym wiedzieć.

Marszcząc czoło, nastawił ucha w kierunku werandy, gdzie kobieta, która go urodziła, zaczęła śpiewać niewyraźnie, ale słowo w słowo, piosenkę *Dirty McGee*. Widać było, że nie podoba mu się ta koszarowa ballada, może z powodu refrenu („Chciała mu pomóc go wsadzić/Bo to znowu był Dirty McGee”), ale najprawdopodobniej dlatego, że matka bełkotała. Rok wcześniej, na biwaku Bractwa Młodych Metodystów w dniu Święta Pracy, Henry ślubował abstynencję. Właściwie ucieszył mnie jego szok. Młodzi ludzie, kiedy nie wirują niczym kurki na dachu, są zasadniczy jak purytanie.

– Matka chce, żebyś z nami posiedział i napił się wina.

– Tato, wiesz przecież, że ślubowałem Bogu nigdy nie pić.

– Sam będziesz musiał jej o tym przypomnieć. Ona chce świętować. Sprzedajemy ziemię i przeprowadzamy się do Omaha.

– Nie!

– Cóż... zobaczymy. Wszystko naprawdę zależy od ciebie. Chodźmy na werandę.

Matka wstała niepewnie na jego widok, objęła go ramionami, trochę zbyt mocno przytuliła się do niego i zbyt afektownie obcałowała mu twarz. Sądząc po jego grymasie, nie pachniała najładniej. Tymczasem Przechera napełnił jej kieliszek, który ponownie stał się pusty.

– Wreszcie jesteśmy wszyscy razem! Moi mężczyźni, którzy odzyskali zdrowy rozsądek!

– Uniosła kieliszek w toaście, wylewając sobie sporo wina na tors. Roześmiała się i puściła do mnie oko. – Jeśli będziesz grzeczny, Wilf, pozwolę ci potem wyssać je z bluzki.

Henry patrzył z niechęcią, zdezorientowany, jak opada z powrotem na bujany fotel, unosi spódnicę i upycha ją między nogami. Spostrzegła wyraz jego oczu i roześmiała się.

– Nie musisz udawać świętego. Widziałam cię z Shannon Cotterie. To niezła kokietka, ale ma ładne włosy i jest zgrabniutka. – Dopiła resztę wina i czknęła. – Jeśli z tego nie skorzystasz, to będziesz głupi. Ale bądź ostrożny. Czternaście lat to nie za wcześnie na żeniączkę. Tu, na Środkowym Zachodzie, czternaście lat to nie za wcześnie, żeby ożenić się z kuzynką. – Ponownie się roześmiała i wyciągnęła przed siebie rękę z kieliszkiem.

Dolałem jej z drugiej butelki.

– Ona ma już dość, tato – powiedział Henry z dezaprobatą godną pastora.

Nad nami pośród bezbrzeżnej płaskiej pustki rozbłysły pierwsze gwiazdy, a ja kochałem ten widok przez całe życie.

– Och, sam nie wiem – odpowiedziałem. – *In vino veritas*, jak napisał Pliniusz Starszy... w jednej z książek, z których twoja matka tak szydzi.

– Za pługiem przez cały dzień, a nocami z nosem w książce – odezwała się Arlette. – Z wyjątkiem chwil, gdy chce czegoś ode mnie.

– Mamo!

– Mamo! – zadrwiła, a potem uniosła kieliszek w kierunku farmy Harlana Cotteriego, która znajdowała się zbyt daleko, żeby dostrzec jej światła. Nie widzielibyśmy ich, nawet gdyby była o kilometr bliżej, bo kukurydza urosła już wysoko. Kiedy w Nebrasce nastaje lato, każdy dom zmienia się w statek żeglujący po rozległym zielonym oceanie. – Piję za Shannon Cotterie i jej młodziutkie cyczuszki, a jeśli mój syn nie wie, jakiego koloru ma sutki, to jest ofermą.

Henry nic nie odpowiedział, ale to, co zobaczyłem w jego twarzy, bardzo ucieszyło Przecherę.

Obróciła się do Henry’ego i złapała go za ramię, oblewając mu dłoń winem. Zignorowawszy jego ciche prychnięcie, z niespodziewaną surowością spojrzała mu w twarz i powiedziała:

– Musisz pamiętać, że kiedy będziesz się z nią miętosił na polu kukurydzy czy za oborą, nie wolno ci jej zerznąć. – Ułożyła wolną rękę w pięść, wystawiła środkowy palec i narysowała nim koło wokół swego krocza: lewe udo, prawe udo, prawa strona brzucha, pępek, lewa strona brzucha i znowu lewe udo. – Macaj wszystko, co chcesz, ocieraj się o te miejsca siurkiem, aż będzie ci dobrze i wystrzelisz, ale trzymaj się z dala od bazy, bo wpadniesz jak śliwka w kompot na resztę życia, tak jak twój tatuś i mamusia.

Chłopak wstał i odszedł bez słowa, za co wcale go nie winię. Nawet jak na Arlette był to wyjątkowo wulgarny popis. W jego oczach zapewne zmieniła się z matki – kobiety trudnej, ale czasami kochającej – w cuchnącą burdelmame, która poucza niedoświadczonego młodego klienta. Jakby tego było mało, on naprawdę kochał dziewczynę Cotteriech, a to pogarszało jeszcze sprawę. Bardzo młodzi mężczyźni nieodmiennie stawiają na piedestale swoją pierwszą miłość i kiedy ktoś, nawet własna matka, ośmieli się napluć na ich ideał...

Usłyszałem ciche trzaśnięcie drzwiami. I stłumiony płacz.

– Zraniłaś jego uczucia – powiedziałem.

Wyraziła pogląd, że uczucia, podobnie jak sprawiedliwość, to typowa wymówka słabeuszy. Potem wyciągnęła przed siebie rękę z kieliszkiem. Dołałem jej wina, wiedząc, że rano nie będzie pamiętała nic z tego, co mówiła (zakładając, że nadal będzie na świecie, by powitać ranek), i wyprze się wszystkiego – żywiołowo – gdy jej o tym opowiem. Widywałem ją już w stanie takiego zamroczenia, choć nie przez ostatnie lata.

Wypiliśmy drugą butelkę (ona ją opróżniła) i połowę trzeciej, kiedy broda opadła jej na poplamiony winem tors i rozległo się chrapanie. Dźwięki dobywające się z gardła Arlette przypominały warczenie złego psa.

Objąłem ją ramieniem, wsunąłem dłoń pod jej pachę i dźwignąłem na nogi. Mamrotała coś w proteście i śmierzącą ręką usiłowała mnie bić.

– Zostw mie. Chse spaś.

– Będziesz spać – odpowiedziałem. – Ale w łóżku, a nie tu, na werandzie.

Zaprowadziłem ją – potykającą się i chrapiącą, z jednym okiem zamkniętym, drugim otwartym i o szklistym spojrzeniu – do salonu. Drzwi pokoju Henry’ego otworzyły się. Stał w nich z twarzą pozbawioną wyrazu. Wydawał się znacznie starszy, niż był w rzeczywistości. Skinął do mnie głową. Tylko raz, ale to powiedziało mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Położyłem ją na łóżku, zdjąłem jej buty i zostawiłem, żeby spała, z nogami szeroko rozrzuconymi i jedną ręką zwisającą z materaca. Wróciłem do salonu i zastałem tam Henry’ego. Stał przy radiu, które kupiłem rok wcześniej, zmuszony do tego przez Arlette.

– Nie powinna mówić takich rzeczy o Shannon – wyszeptał.

– Ale będzie mówiła – odpowiedziałem. – Taka właśnie jest, taką ją Pan Bóg stworzył.

– I nie może rozłączyć mnie z Shannon.

– To też zrobi – wyjaśniłem. – Jeśli jej na to pozwolimy.

– Nie mógłbyś, tato... nie mógłbyś wziąć własnego prawnika?

– Myślisz, że jakikolwiek adwokat, którego usługi mógłbym kupić za te marne grosze, jakie mam w banku, poradziłby sobie z prawnikami Farringtona? Oni trzęsą całym hrabstwem Hemingford, a ja mogę co najwyżej potrząsać sierpem przy koszeniu siana. Oni chcą tych stu akrów, a ona jest środkiem, by ten cel osiągnąć. To jedyny sposób, ale musisz mi pomóc. Pomożesz?

Długo się nie odzywał. Pochylił głowę, a ja widziałem łzy spadające z jego oczu na wytarty dywan. Później jednak wyszeptał:

– Tak. Ale jeśli będę musiał na to patrzeć... Nie jestem pewny, czy dam radę...

– Można będzie tak to zrobić, żebyś niczego nie widział. Idź do szopy i przynieś worek z juty.

Posłuchał mnie. Poszedłem do kuchni i wziąłem najostrzejszy nóż rzeźniczy. Kiedy Henry wrócił z workiem i zobaczył nóż, pobladł na twarzy.

– Musisz tym? Nie możesz... poduszką...?

– Trwałoby to zbyt długo i bardzo by bolało – odpowiedziałem. – Walczyłaby.

Przyjął to spokojnie, jakbym przed zabiciem żony zamordował już co najmniej tuzin kobiet i znał się na rzeczy. A wcale tak nie było. Wiedziałem jedynie, że we wszystkich moich planach dotyczących tego momentu – innymi słowy, w marzeniach o chwili, gdy się jej pozbywam – zawsze widziałem nóż, który teraz trzymałem w ręku. Zatem nóż tego dokona. Nóż – albo nici z całego zamiaru.

Staliśmy w poświęcie lamp naftowych – do 1928 roku poza generatorami nie było w Hemingford prądu elektrycznego – i patrzyliśmy na siebie. Wspaniałą nocną ciszę, jaka zdarza się tylko na odludziu, zakłócały jedynie nieprzyjemne odgłosy chrapania. Mimo to nie byliśmy sami – towarzyszyła nam jej wola, oddzielona od tej kobiety (wtedy wydawało mi się, że ją wyczuwam, teraz, po ośmiu latach, jestem tego pewny). To opowieść o duchu, tyle że duch już tam był, zanim kobieta, do której należał, umarła.

– No dobrze, tato... pošlemy ją do nieba. – Twarz Henry’ego pojaśniała na tę myśl. Dziś

robi to na mnie wrażenie czegoś obrzydliwego, zwłaszcza że wiem, jak to się skończyło.

– Migiem się uwinę – powiedziałem. Jako chłopak i potem mężczyzna podrzynałem gardła tłustym wieprzkom, więc pomyślałem, że tym razem to nie będzie nic innego. Ale myliłem się.

* * *

Opowiem to szybko. Nocami, gdy nie mogę spać – a jest ich wiele – odtwarzam tamtą scenę w pamięci raz po raz, przejmująco powoli, z najdrobniejszymi szczegółami, z każdym odgłosem krztuszenia i każdą kroplą krwi. Dlatego chcę opowiedzieć to szybko.

Poszliśmy do sypialni, ja na przedzie z rzeźniczym nożem w dłoni, syn za mną z jutowym workiem. Poruszaliśmy się na palcach, ale równie dobrze mogliśmy walić w bębny, i tak byśmy jej nie obudzili. Gestem kazałem Henry’emu stanąć po mojej prawej stronie, przy jej głowie. Słyszeliśmy tykanie Big Bena – budzika na szafce nocnej – i chrapanie. I wtedy dziwna myśl przyszła mi do głowy, przypominaliśmy bowiem lekarzy stojących przy łożu śmierci ważnego pacjenta. Wydaje mi się jednak, że lekarze przy łożu śmierci nie trzęsą się ze strachu i poczucia winy.

Błagam, niech nie będzie dużo krwi, pomyślałem. Niech cała spłynie do worka. Albo niechże on wrzasnie w ostatniej chwili.

Ale Henry milczał. Może bał się, że go znienawidzę, jeśli to zrobi. Może już widział ją w niebie. Może przypomniał sobie wulgarnie wystawiony palec, obrysowujący miejsca wokół jej krocza. Nie wiem. Wiem tylko, że wyszeptał: „Żegnaj, mamó”. I zarzucił jej worek na głowę.

Prychnęła i usiłowała się uwolnić. Miałem sięgnąć pod worek i zrobić, co do mnie należało, ale Henry nasunął go za nisko i chcąc ją unieruchomić, trzymał zbyt ciasno, więc nie mogłem. Spostrzegłem kształt jej nosa wypychającego worek niczym płetwa rekina. Zobaczyłem też wyraz paniki na twarzy syna i zorientowałem się, że długo jej nie utrzyma.

Uklęknąłem na łóżku na jednym kolanie i położyłem jej rękę na ramieniu. A potem chlasnąłem nożem worek i znajdujące się pod spodem gardło. Wrzasnęła i zaczęła się rzucać. Strumyczek krwi wypływał przez dziurę w worku. Machała rękami. Henry odsunął się od łóżka na sztywnych nogach i głośno zapiszczał. Próbowałem ją utrzymać. Sięgnęła do worka dłonią, a ja ciąłem po niej nożem, kalecząc jej palce do kości. Ponownie krzyknęła – dźwięk był ostry niczym odłamek lodu – i ręką chwyciła narzutę. Ciąłem ponownie i na worku pojawiła się kolejna zakrwawiona dziura, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Zadałem jej pięć ciosów nożem, zanim odepchnęła mnie niepokaleczoną dłonią i zerwała sobie worek z głowy. Nie do końca jej się to udało – bo zaplątał się we włosy – i wyglądała, jakby nosiła opaskę.

Podciąłem jej gardło dwoma pierwszymi chłaiściami, za pierwszym razem wystarczająco głęboko, żeby odsłonić chrząstkę tchawicy. Ostatnie dwa pchnięcia

pokaleczyły jej policzki i usta, które przywodziły teraz na myśl grymas klauna. Rozciągały się od ucha do ucha, odsłaniając zęby. Wydała z siebie zdławiony, gardłowy ryk, niczym lew w porze karmienia. Krew ściekała na narzutę. Pomyślałem wtedy, że przypomina wino, które rozlała, wznosząc toast o zmierzchu.

Usiłowała wstać z łóżka. Najpierw mnie to ogłupiło, ale zaraz potem wpadłem we wściekłość. Od dnia ślubu miałem z nią kłopoty i nawet teraz, w czasie tego krwawego rozvodu, stanowiła problem. Ale czego innego mogłem się spodziewać?

– Tato, zrób coś, żeby przestała! – wrzasnął Henry. – Na miłość boską, zmusz ją, żeby przestała!

Skoczyłem na nią jak napalony kochanek i przycisnąłem do nasiąkniętej krwią poduszki. Z głębi jej okaleczonego gardła rozległy się chrapliwe jęki. Przewróciła oczami, łzy płynęły jej strugą. Zegar odliczał tykaniem niekończące się sekundy. Chwyciłem ją ręką za włosy, odchyliłem do tyłu głowę i znowu podciąłem gardło. Potem szarpnąłem narzutę z mojej strony i zarzuciłem na nią, wyczuwając jednocześnie puls w szyi. Krew trysnęła mi na twarz i ściekała z brwi, policzków, nosa.

Krzyki Henry’ego ucichły. Obróciłem się i zobaczyłem, że Bóg się nad nim ulitował (zakładając, że nie odwrócił się od nas, widząc nasze poczynania): chłopak zemdłał. Zorientowałem się, że Arlette zaczęła słabnąć. W końcu przestała się szamotać i zastygła w bezruchu... ale ja z niej nie schodziłem, dociskałem narzutę, przesiąkniętą teraz jej krwią. Powtarzałem sobie, że Arlette nigdy łatwo się nie poddawała. I miałem rację. Po trzydziestu sekundach (odliczył je blaszany zegar ze sklepu wysyłkowego) ponownie się uniosła, tym razem tak silnie wyginając kręgosłup, że niemal mnie zrzuciła. Jak na rodeo, kowboju, pomyślałem. A może powiedziałem to na głos. Tego nie pamiętam, niech mnie Bóg ma w opiece. Wszystko pamiętam, ale tego nie.

Uspokoila się. Odliczyłem kolejne trzydzieści sekund z dobrym okładem. Henry, leżący na podłożu, poruszył się i jęknął. Zaczął siadać, ale szybko zrezygnował. Odczołgał się w najdalszy kraniec pokoju i zwinął tam w kłębek.

– Henry? – zwróciłem się do niego.

Kształt w kącie pokoju nie zareagował.

– Henry, ona nie żyje. Ona nie żyje, a ja potrzebuję pomocy.

Nadal nic.

– Nie cofniemy już tego, co się stało, Henry. Dzieło się dokonało. Jeśli nie chcesz iść do więzienia i widzieć ojca na krześle elektrycznym, to wstawaj i pomóż mi.

Podszedł do łóżka na miękkich nogach. Włosy opadały mu na brwi i wciskały się do oczu, pobłyskujących przez zlepione potem kosmyki niczym ślepia przyczajonego w krzakach zwierzęcia. Raz po raz oblizywał usta.

– Nie wejdź w krew. I tak mamy większy bałagan do sprzątnięcia, niż myślałem, ale tym możemy się zająć. Chodzi o to, żeby nie poroznosić jej po całym domu.

– Czy muszę ją oglądać? Tato, czy muszę na nią patrzeć?

– Nie. Żaden z nas nie musi.

Zawinęliśmy ją, zmieniając narzutę w całun. Kiedy to się stało, zdałem sobie sprawę, że nie damy rady nieść jej w ten sposób przez cały dom. W moich pseudoplanach i marzeniach na jawie widziałem jedynie niewielką plamę krwi, barwiącą narzutę nad jej podciętym gardłem (jej wprawnie i czysto podciętym gardłem). Nie przewidziałem ani nawet nie wziąłem pod uwagę tego, jak może to wyglądać w rzeczywistości: w słabo oświetlonym pokoju biała narzuta wydawała się purpurowoczarna i chłonęła krew niczym gąbka wodę.

W szafie była kołdra. Przez moment nie potrafiłem stłumić myśli o tym, co powiedziałyby moja matka, widząc, do czego używam prezentu ślubnego, ofiarowanego nam z serca. Rozłożyłem kołdrę na podłodze. Przenieśliśmy na nią Arlette i razem ją zawinęliśmy.

– Szybko – powiedziałem. – Zanim i ona zacznie przeciekać. Nie... zaczekaj... idź po lampę.

W pewnej chwili zacząłem się bać, że może uciekł, bo tak długo go nie było. Ale wtedy zobaczyłem rozedrgane światło w krótkim korytarzu obok jego pokoju i sypialni, którą dzieliłem z Arlette. Dzieliłem. Wszedł do środka, trzymając lampę w górze. Spostrzegłem łzy płynące po jego bladej jak wosk twarzy.

– Postaw na toaletce.

Ustawił lampę obok książki, którą kiedyś czytałem: *Ulica Główna* Sinclaira Lewisa. Nigdy jednak jej nie dokończyłem. Nie byłem w stanie dokończyć. W blasku lampy dostrzegłem krew rozbryzganą na podłodze i całą kałużę tuż obok łóżka.

– Jeszcze więcej ścieka z kołdry – odezwał się. – Gdybym wiedział, ile ona ma krwi...

Zdjąłem poszewkę z mojej poduszki i naciągnąłem na górny koniec kołdry niczym skarpetkę na krwawiący piszczel.

– Weź ją za nogi – poleciłem. – Musimy to zrobić od razu. I tylko znowu nie zemdlej, Henry, bo sam nie dam rady.

– Wolałbym, żeby mi się to śniło – odpowiedział, ale pochylił się i objął ramionami dolną część kołdry. – Myślisz, że to może być zły sen, tato?

– Za rok od tej chwili tak właśnie będziemy myśleli. – Część mnie rzeczywiście w to wierzyła. – Teraz szybko. Zanim poszewka zacznie przeciekać. Albo reszta kołdry.

Ponieśliśmy ją korytarzem, przez salon i przez frontowe drzwi niczym tragarze wynoszący jakiś mebel owinięty w ochronną płachtę. Kiedy schodziliśmy po schodach z werandy, trochę lepiej mi się oddychało. Krew na podwórzu da się łatwo zasypać.

Henry dzielnie się trzymał aż do momentu, gdy doszliśmy do rogu obory i zobaczyliśmy starą studnię. Otaczał ją płot z drewnianych palików, żeby nikt nie stanął przypadkowo na pokrywie z desek. W świetle gwiazd płotek wyglądał ponuro i strasznie. Na jego widok Henry wydał z siebie stłumiony krzyk.

– To nie jest grób dla mamy... mam... – Zdołał powiedzieć jedynie tyle, zanim ponownie

zemdlał, osuwając się na kępę chwastów rosnących za oborą.

Nagle sam musiałem utrzymać ciężar zamordowanej żony. Pomyślałem, czy nie odłożyć groteskowego tobołu – kołdra się rozchyliła i wystawała z niej pokaleczona ręka – dopóki nie ocucę Henry'ego. Zdecydowałem jednak, że miłosierniej będzie zostawić go w spokoju. Dociągnąłem ją do studni, ułożyłem na ziemi i podniosłem drewnianą pokrywę. Kiedy oparłem ją o słupki płotu, w twarz buchnął mi odór studni: zapach zastałej wody i gnijących roślin. Usiłowałem powstrzymać wymioty, ale bez powodzenia. Podpierając się na dwóch słupkach, żeby nie stracić równowagi, zgiałem się wpool i zwymiotowałem kolację razem z odrobiną wina, którą wypilem. Odgłos plusku rozniósł się echem nad ciemną taflą. Ten plusk – podobnie jak myśl: Jak na rodeo, kowboju – wrył mi się w pamięć na ostatnie osiem lat. Budzę się w środku nocy, mając w uszach to echo i czując, jak wbijają mi się w dłoń drzazgi z palików, których trzymałem się kurczowo, by zachować życie.

Odszedłem od studni i wróciłem do tobołu z ciałem w środku. Upadłem. Pokaleczona dłoń znalazła się tuż przy moich oczach. Wepchnąłem rękę Arlette pod kołdrę, a potem poklepałem, jakbym chciał ją pocieszyć. Henry nadal leżał wśród chwastów, z głową ułożoną na jednym ramieniu. Wyglądał jak dziecko śpiące po męczącym dniu w trakcie żniw. Nad nami świeciły gwiazdy, tysiącami, dziesiątkami tysięcy. Widziałem konstelacje – Oriona, Kasjopeję, Wielki i Mały Wóz – które pokazywał mi ojciec. W oddali pies Cotteriech, Rex, zaszczeakał raz i ucichł. Pamiętam, że jedna myśl przyszła mi wtedy do głowy: Ta noc nigdy się nie skończy. I miałem rację. Pod wszystkimi istotnymi względami nigdy się nie skończyła.

Podniosłem toból, objawszy go ramionami, ale coś się w nim ruszyło.

Zastygłem z zapartym tchem, mimo że serce waliło mi jak młotem. Na pewno mi się zdawało, pomyślałem, lecz rzeczywiście to czułem. Czekałem, żeby się powtórzyło. A może spodziewałem się, że jej ręka wysunie się spod kołdry i pokaleczonymi palcami spróbuje chwycić mnie za nadgarstek.

Nic się jednak nie działo. Pewnie to moja wyobraźnia. Tak, na pewno. A potem wrzuciłem ją do studni. Zobaczyłem, jak kołdra rozwija się na końcu, tam gdzie nie podtrzymywała jej powłoczka, i chwilą później rozległ się plusk. Znacznie głośniejszy od tego, który towarzyszył moim wymiotom, ale usłyszałem też głuche uderzenie. Wiedziałem, że woda w studni nie jest zbyt głęboka, ale miałem nadzieję, że ciało nie będzie wystawać ponad jej poziom. Odgłos uderzenia uświadomił mi, że jest inaczej.

Z tyłu za mną wybuchł piskliwy śmiech, tak bliski obłędu, że na całym grzbiecie dostałem gęsiej skórki. Henry doszedł do siebie i zdążył wstać. Nie, znacznie więcej. Podskakiwał za oborą machał ramionami ku gwiazdom i śmiał się.

– Mama już w studni, mnie to nie przeszkadza! – wyśpiewywał. – Mama już w studni, mnie to nie przeszkadza. Już nie dosięgnie mnie jej właaaadza!

Dopałem go w trzech krokach i z całej siły uderzyłem w twarz, zostawiając ślady krwi na jego policzku, którego nigdy jeszcze nie tknęła brzytwa.

– Zamknij się! Twój głos będzie się niósł po nocy! Ty... głupi smarkaczu, obudziłeś tego cholernego psa.

Rex szczeknął raz, dwa, trzy razy. Potem zapadła cisza. Staliśmy. Trzymałem chłopaka za ramiona i nasłuchiwałem. Pot spływał mi po karku. Rex zaszczeakał jeszcze raz i umilkł. Jeśli obudził kogoś z Cotteriech, pomyśleli na pewno, że ujadał na szopa. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

– Wracaj do domu – powiedziałem. – Najgorsze już za nami.

– Naprawdę, tato? – Spojrzał na mnie z powagą. – Naprawdę?

– Tak. Dobrze się czujesz? Czy znowu zemdlejesz?

– A zemdlałem?

– Tak.

– Nic mi nie jest. Tylko... Nie wiem, dlaczego tak się śmiałem. Byłem zdezorientowany. Teraz jednak chyba mi ulżyło. Już po wszystkim! – Stłumiony śmiech wysnął mu się z ust, ale natychmiast zakrył je dłońmi, niczym mały chłopiec, który niechcący powiedział przy babci brzydkie słowo.

– Tak – odparłem. – Jest już po wszystkim. Zostaniemy tutaj. Twoja matka uciekła do Saint Louis... a może do Chicago... ale my zostajemy tutaj.

– Ona...? – Podążył wzrokiem do studni i pokrywy opartej o płotek, który w świetle gwiazd wyglądał bardzo posępnie.

– Tak, Hank, wyjechała. – Jego matka nie znosiła, gdy nazywałem go Hankiem, mówiła, że to prostackie, ale teraz nic nie mogła na to poradzić. – Zdecydowała się i zostawiła nas, tak po prostu. Oczywiście, że bardzo za nią tęsknimy, ale przecież czekają nas zwykłe obowiązki. I szkoła.

– I nadal będę mógł... przyjaźnić się z Shannon.

– No jasne – powiedziałem i oczami wyobraźni zobaczyłem Arlette przesuwającą lubieżnie palec wokół krocza. – Oczywiście, że będziesz mógł. Ale jeśli kiedykolwiek poczujesz potrzebę, by zwierzyć się Shannon...

Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

– Przenigdy!

– Teraz tak ci się wydaje i bardzo się z tego cieszę. Niemniej jeśli któregoś dnia najdzie cię ochota na wyznania, pamiętaj o jednym: ona cię porzuci.

– Tego jestem pewien – wymamrotał.

– Idź do domu i wynieś oba wiadra ze spiżarni. Dobrze by też było, gdybyś przyniósł z obory ze dwa wiadra na mleko. Nalej do nich wody z pompy w kuchni i nasyp proszku, który matka trzyma pod zlewem.

– Podgrzać wodę?

Usłyszałem głos własnej matki: „Krew zmywaj zimną wodą, Wilf. Pamiętaj o tym”.

– Nie ma potrzeby – odpowiedziałem. – Zaraz do ciebie przyjdę, tylko zakryję studnię.

Zaczął się odwracać, ale za moment znowu stał do mnie przodem i chwycił mnie za ramię. Ręce miał lodowato zimne.

– Nikt nie może się dowiedzieć! – wyszeptał mi chrapliwie prosto w twarz. – Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co zrobiliśmy!

– I nikt się nie dowie – odparłem, bardziej stanowczo, niż naprawdę byłem o tym przekonany. Wszystko poszło nie tak, jak powinno, a ja zaczynałem sobie uświadamiać, że czyn i jego wyobrażenie to dwie różne sprawy.

– Ona nie wróci, prawda?

– Co takiego?

– I nie będzie nas potem nawiedzać, prawda, że nie?

Wypowiedział to „nawydzać”, wiejską gwarą, na której dźwięk Arlette zawsze kiwała głową i przewracała oczami. Dopiero teraz, po ośmiu latach, zdałem sobie sprawę, że to „nawydzać” brzmiało bardzo podobnie jak „nienawidzić”.

– Nie – odpowiedziałem.

Myliłem się jednak.

* * *

Zajrzałem do studni i choć była głęboka zaledwie na sześć metrów, to w bezksiężycową noc dostrzegłem jedynie błyśnięcie białego zarysu kołdry. A może to była poszewka na poduszkę. Odłożyłem pokrywę na miejsce, poprawiłem ją, bo nierówno leżała, a potem wróciłem do domu. Starłem się iść tą samą drogą, którą taszczyliśmy makabryczny tobół, i celowo powłóczyłem nogami, żeby zatrzeć wszelkie możliwe ślady krwi. Porządniej chciałem się tym zająć rano.

Tamtej nocy odkryłem coś, czego większość ludzi nigdy nie będzie musiała się dowiedzieć: morderstwo jest grzechem, morderstwo to potępienie (bez wątplenia ciąży na umyśle i duszy sprawcy, nawet jeśli ateści mają rację i nie ma żadnego życia po śmierci), ale morderstwo to także praca. Szorowaliśmy sypialnię, aż rozbolały nas plecy, potem przenieśliśmy się do korytarza, salonu i wreszcie na werandę. Za każdym razem, gdy już się wydawało, że skończyliśmy, jeden z nas znajdował kolejną plamę. Gdy niebo zaczęło się rozjaśniać na wschodzie, Henry, klęcząc, mył zawzięcie szpary między deskami w podłodze sypialni, ja zaś, też na klęczkach, sprawdzałem centymetr po centymetrze dywan Arlette w salonie, szukając śladów krwi, które mogłyby nas zdradzić. Żadnego nie znalazłem – pod tym względem dopisało nam szczęście – ale obok dywanu natrafiłem na plamę wielkości dziesięciocentówki. Przywodziła na myśl zacięcie przy goleniu. Wyczyściłem ją, a potem wróciłem do sypialni, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Henry. Lepiej wyglądał i ja sam lepiej się czułem. Myślę, że to z powodu brzasku, który zawsze wydawał się rozpędzać najgorsze horrory. Kiedy jednak George, nasz kogut, zapiał po raz pierwszy tego dnia, Henry aż

podskoczył. A później się roześmiał. Był to krótki śmiech i pobrzmiwało w nim coś niewłaściwego, ale nie przejąłem się tym jak wtedy, gdy się śmiał po odzyskaniu przytomności, podskakując między oborą a starą studnią do pojenia bydła.

– Nie mogę iść dzisiaj do szkoły, tato. Jestem zbyt zmęczony. I... myślę, że ludzie od razu zobaczyliby to w mojej twarzy. Zwłaszcza Shannon.

Nie wziąłem pod uwagę nawet jego szkoły – kolejne potwierdzenie braku dobrego planu. Do dupy z takim planowaniem! Powinienem był odłożyć całą sprawę, aż w szkole chłopaka zaczną się wakacje. Oznaczałoby to jedynie tydzień czekania.

– Możesz zostać w domu do poniedziałku, powiesz potem nauczycielce, że miałeś gripę i nie chciałeś zarazić całej klasy

– Nie mam grypy, ale jestem chory.

Podobnie jak ja.

Rozłożyliśmy czyste prześcieradło z jej bielizniarki (tak wiele rzeczy w tym domu było jej... ale z tym już koniec) i rzuciliśmy na nie zakrwawioną pościel. Materac też był zakrwawiony, to jasne, więc trzeba było się go pozbyć. Mieliśmy jeszcze jeden, w gorszym stanie, trzymany w szopie na tyłach domu. Związałem pościel w tobolek, a Henry poniósł materac. Wróciliśmy do studni tuż przed pojawieniem się słońca nad horyzontem. Nieba nad nami nie znaczyła nawet jedna chmura. Zapowiadał się wspaniały dzień dla kukurydzy.

– Nie jestem w stanie tam spojrzeć, tato.

– Nie musisz – powiedziałem i ponownie uniosłem drewnianą pokrywę.

Pomyślałem, że powinienem zostawić studnię odkrytą i że od tego trzeba było zacząć – „przewiduj, oszczędzaj sobie wysiłku przy głupotach”, mawiał mój ojciec – a chociaż pamiętałem o tej radzie, wcale się do niej nie zastosowałem. Nie po tym, gdy poczułem (albo mi się wydawało, że poczułem) jej ostatnie drgnięcie.

Teraz widziałem już dno, a to, co zobaczyłem, było okropne. Spadła w pozycji siedzącej, z nogami podkurczonymi pod ciałem. Poszewka na poduszkę osunęła się jej z głowy i leżała na udach. Kołdra i narzuta poluzowały się i pokrywały ramiona niczym misternie udrapowany szal jakiejś elegantki. Jutowy worek trzymał się włosów jak opaska i dopełniał obrazu: wyglądała, jakby wystroiła się na wieczór w mieście.

Tak! Wieczór w mieście! To dlatego jestem taka szczęśliwa! To dlatego uśmiecham się od ucha do ucha! Zauważyłeś, Wilf, że pomalowałam usta bardzo czerwoną szminką? Nie nałożyłabym takiego koloru do kościoła, prawda? Nie, to rodzaj szminki, jakiego kobieta używa, kiedy chce robić nieprzyzwoite rzeczy ze swoim mężczyzną. Zejdź na dół, Wilf, co ty na to? Nie zwracaj sobie głowy drabiną, po prostu zeskocz! Pokaż, jak bardzo mnie pragniesz! Robileś mi nieprzyzwoite rzeczy, to teraz ja będę je robiła tobie!

– Tato? – Henry stał twarzą do obory, ramiona miał zgarbione jak chłopiec spodziewający się lania. – Wszystko w porządku?

– Tak.

Wrzuciłem tobolek z pościelą, mając nadzieję, że wyląduje na niej i zakryje skrzywione usta, ale podmuch powietrza sprawił, że spadł na jej kolana. Można było pomyśleć, że Arlette siedzi teraz na dziwnej, zakrwawionej chmurze.

– Zakryłeś ją? Zakryłeś, tato?

Chwyciłem materac i wepchnąłem do studni. Spadł jednym końcem do wody, drugim zaś oparł się o obmurowanie z okrągłych kamieni, tworząc nad nią rodzaj zadaszenia i zakrywając wreszcie jej odchyloną do tyłu głowę i zakrwawione usta.

– Teraz już tak. – Opuściłem pokrywę na jej zwykłe miejsce, wiedząc, że czeka nas jeszcze więcej pracy: studnię trzeba będzie zasypać. Ach, ale to i tak należało zrobić już dawno temu. Studnia była niebezpieczna i dlatego właśnie otoczyłem ją płotem z palików. – Chodźmy do domu, czas na śniadanie.

– Nie przełknąłbym nawet kęsa!

Niemniej przełknął. I ja również. Usmażyłem jajka, bekon i ziemniaki, które zjedliśmy do ostatniej okruszyny. Po ciężkiej pracy ma się apetyt. Każdy o tym wie.

* * *

Henry spał do późnego popołudnia. Ja się nie kładłem. Kilka godzin spędziłem przy stole w kuchni, pijąc czarną kawę, kubek za kubkiem. Długo chodziłem po polu kukurydzy, wzdłuż rzędów, jednego po drugim, i wsłuchiwałem się w szelest liści przypominających miecze, trącanych lekką bryzą. W czerwcu, gdy kukurydza dojrzeje, wydaje się niemal mówić. Niepokoi to niektórych ludzi (zdarzają się też głupcy, którzy twierdzą, że to tak naprawdę odgłos rośnięcia kukurydzy), mnie jednak zawsze ten cichy szelest uspokajał. Oczyszczał mi umysł. Teraz, gdy siedzę w pokoju hotelowym, bardzo mi go brakuje. Życie w mieście nie jest dla człowieka ze wsi – dla niego to raczej rodzaj potępienia.

Spowiedź, jak się przekonuję, to również trudne zadanie.

Chodziłem, wsłuchiwałem się w kukurydzę, usiłowałem planować i rzeczywiście udało mi się stworzyć plan. Musiałem go mieć, i to nie tylko ze względu na siebie.

Dawniej, niecałe dwadzieścia lat wcześniej, mężczyzna o mojej pozycji nie musiałby się o nic martwić. W tamtych czasach nikt nie wtrącał się w sprawy innego człowieka, zwłaszcza gdy ten był szanowanym farmerem: facetem, który płaci podatki, chodzi w niedziele do kościoła, kibicuje drużynie baseballowej Hemingford Stars i głosuje na republikanów. Myślę, że wtedy na farmach Środkowego Zachodu działy się najróżniejsze rzeczy. Wydarzenia, które przechodziły niezauważone, że nie wspomnę o ich zgłaszaniu. Naonczas relacje z żoną były prywatną sprawą męża i jeśli ona zniknęła, nikogo to nie obchodziło.

Ale te czasy minęły, a nawet gdyby tak nie było... została ziemia. Sto akrów. Firma Farringtona chciała tę działkę na przeklętą rzeźnię wieprzy i miała nadzieję ją kupić. Arlette dała jej taką nadzieję. To oznaczało zagrożenie, a niebezpieczeństwo z kolei wskazywało, że

marzenie na jawie i niedorobiony plan nie wystarczą.

Kiedy po południu wróciłem do domu, byłem zmęczony, ale umysł miałem jasny i wreszcie się uspokoiłem. Nasze krowy ryczały, bo rankiem nie zostały wydojone. Zrobiłem to, a potem wypuściłem je na pastwisko, gdzie zostały do zachodu słońca, bo nie zagoniłem ich z powrotem na drugie dojenie tuż po kolacji. Im było wszystko jedno; krowy godzą się na to, co jest. Gdyby Arlette bardziej przypominała jedną z naszych krasul, nadal by żyła i zamęczała mnie, żebym kupił nową zmywarkę z katalogu Monkey Ward. I pewnie bym ją dla niej kupił. Zawsze udawało się jej do czegoś mnie namówić. Tylko nie wtedy, gdy chodziło o ziemię. O tym powinna była lepiej wiedzieć. Ziemia to domena mężczyzny.

Henry nadal spał. W następnych tygodniach przesypiał wiele godzin, a ja mu na to pozwalałem, choć w zwykłych okolicznościach już od pierwszych chwil wakacji zapelniałbym mu dni obowiązkami. A on spędzałby wieczory u Cotteriech albo spacerowałby tam i z powrotem po wiejskiej drodze z Shannon, trzymaliby się oboje za ręce i patrzyli na wschodzący księżyc. Kiedy, rzecz jasna, by się nie całowali. Łudziłem się, że to, co zrobiliśmy, nie zniszczyło w nim normalności, choć wiedziałem, że tak się jednak stało. Że ja tego dokonałem. I oczywiście nie myliłem się.

Wyparłem z umysłu podobne myśli, powtarzając sobie, że teraz niech się chłopak wyśpi. Musiałem iść do studni po raz kolejny i uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zrobię to sam. Ogołoczone łóżko w naszej sypialni zdawało się krzyczeć: zabójstwo! Poszedłem do szafy i przyglądałem się rzeczom Arlette. Kobiety tyle ich mają, prawda? Spódnice i sukienki, bluzki i sweterki, i bielizna – niektóre sztuki tak skomplikowane i dziwne, że mężczyzna nie potrafi nawet powiedzieć, gdzie jest ich przód. Wyrzucenie tego wszystkiego byłoby błędem, bo ciężarówka nadal stała w stodole, a pod wiązem widać było zaparkowany model T. Odeszła piechotą i zabrała tylko to, co mogła unieść. To było dość przekonujące. Zatem... jedna walizka.

Zapakowałem do niej rzeczy, moim zdaniem, potrzebne kobiecie, bez których nie mogłaby się obyć. Dorzuciłem trochę cennej biżuterii i oprawione w złotą ramkę zdjęcie jej mamusi i tatusia. Zastanawiałem się nad przyborami toaletowymi z łazienki i postanowiłem ich nie ruszać, z wyjątkiem butelki perfum Florient z rozpylaczem i szczotki w rogowej oprawie. Na jej nocnej szafce leżał Stary Testament, który dostała od pastora Hawkinsa, ale ponieważ nigdy nie widziałem, żeby go czytała, nie ruszyłem go z miejsca. Zabrałem jednak stamtąd buteleczkę tabletek z żelazem, które brała w trakcie miesiączki.

Henry nadal spał, ale rzucał się na łóżku, jakby dręczyły go koszmary. Pobiegłem, by jak najszybciej zrobić wszystko, co trzeba, i żeby wrócić do domu na czas, kiedy się obudzi. Obszedłem oborę, postawiłem walizkę obok studni i po raz trzeci uniosłem pokrywę. Dzięki Bogu Henry'ego ze mną nie było. Dzięki Bogu nie zobaczył tego, co ja widziałem. Myślę, że zwariowałby na ten widok. Bo ja sam niemal straciłem rozum.

Materac był odrzucony na bok. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ona go odsunęła,

zanim spróbowała się wydostać. Bo nadal żyła. Albo tak mi się wydało w pierwszej chwili. Potem, po początkowym szoku, kiedy zdrowy rozsądek zaczął dochodzić we mnie do głosu – i pytałem sam siebie, jaki rodzaj oddechu sprawia, że sukienka kobiety unosi się nie na piersiach, ale od dekoltu po kraj spódnicy – jej szczęka zaczęła się poruszać, jakby Arlette usiłowała coś powiedzieć albo wołać o pomoc. Ale to nie słowa wydobyły się ze znacznie poszerzonych ust, tylko szczur, który zajadał się delikatnym mięsem jej języka. Najpierw pojawił się jego ogon. Potem dolna szczęka otworzyła się szerzej, kiedy się cofał i znajdował na jej brodzie oparcie dla tylnych nóg.

Szczur zeskoczył na jej uda, a kiedy to zrobił, ogromna liczba jego braci i siostr wylała się spod ubrania. Jednemu z nich coś białego przyczepiło się do włosów – kawałek halki, a może majtek. Cisnąłem w nie walizką. Nie zastanawiałem się nad tym – byłem przerażony i bliski zwymiotowania – po prostu to zrobiłem. Wylądowała na jej nogach. Większość gryzoni – nie wykluczam, że wszystkie – zręcznie jej uniknęła. A potem wlały się strumieniem do okrągłej czarnej dziury zakrytej przez materac (który musiały przemieścić własnym ciężarem, tyle ich przecież było) i zniknęły tam w okamgnieniu. Dobrze wiedziałem, czym była ta dziura: to wylot rury, która dostarczała wodę do koryt w oborze, zanim jej poziom w studni się obniżył i rura stała się bezużyteczna.

Sukienka opadła na Arlette. Ustało jej złudne oddychanie. Mimo to wpatrywała się we mnie, a to, co jeszcze niedawno kojarzyło mi się z wyrazem twarzy klauna, teraz przypominało gniewne spojrzenie gorgony. Na policzkach dostrzegłem ślady po szczurzych zębach, brakowało jej jednego ucha.

– Dobry Boże – wyszeptalem. – Przepraszam cię, Arlette.

Twoje „przepraszam” nie zostało przyjęte – zdawało się mówić jej spojrzenie. – A kiedy znajdą mnie w takim stanie, martwą, z twarzą pokąsaną przez szczury, z zeżartą bielizną pod sukienką, na pewno poczęstują cię błyskawicą w Lincoln. I to moją twarz ujrzysz jako ostatnią. Będziesz na mnie patrzył, kiedy prąd będzie ci smażył wątrobę i palił serce, a ja będę się uśmiechała.

Odłożyłem pokrywę na miejsce i powlokłem się do obory. Tam nogi odmówiły mi posłuszeństwa i gdybym znajdował się w słońcu, na pewno zemdlałbym jak Henry poprzedniej nocy. Ale byłem w cieniu. Posiedziałem pięć minut z głową pochyloną niemal do kolan i zacząłem wracać do siebie. Szczury się do niej dobrały – i co z tego? Czy w końcu nie dobiorą się do nas wszystkich? Szczury i robaki? Wcześniej czy później nawet najsolidniejsza trumna musi spróchnieć i wpuścić życie, by karmiło się śmiercią. Tak działa świat i jakie to ma znaczenie? Kiedy serce przestaje bić, a mózg się dusi, nasze dusze gdzieś wędrują albo po prostu przestajemy istnieć. Tak czy inaczej nie poczujemy bólu zadawanego przez zęby, gdy ciało będzie obgryzane do kości.

Ruszyłem w stronę domu i doszedłem do werandy, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl: Co z tamtym drgnięciem? A jeśli żyła, kiedy wrzucałem ją do studni? A jeśli nadal

żyła, sparaliżowana, niezdolna do poruszenia niczym więcej prócz okaleczonych palców, gdy szczury wylazły z odpływu i przystąpiły do wyżerki? A jeśli czuła, jak jeden z nich wlał jej w dogodnie poszerzone usta i zaczął...!

– Nie – wyszeptalem. – Nic nie poczuła, bo wcale się nie poruszyła. Ani trochę. Była martwa, kiedy ją wrzucałem.

– Tato?! – zawołał Henry rozespanym głosem. – To ty, tato?

– Tak.

– Z kim rozmawiasz?

– Z nikim. Ze sobą.

Wszedłem do środka. Siedział przy stole w kuchni, w podkoszulku i majtkach, wyglądał na otępiałego i nieszczęśliwego. Jego włosy, sterczące na wszystkie strony, przypominały mi małego chłopca, którym kiedyś był, śmiejącego się i ganiającego kurczaki po podwórzu, z psem Boo (już dawno temu zdechłym) przy nodze.

– Żałuję, że to zrobiliśmy – powiedział, gdy siadałem naprzeciwko niego.

– Co się stało, to się nie odstanie – odparłem. – Ile razy ci to powtarzałem, synu?

– Z milion. – Przez chwilę siedział z pochyloną głową, a potem podniósł na mnie wzrok. Oczy miał zaczerwienione i podsiniałe. – Złapią nas? Pójdziemy do więzienia? Albo...

– Nie. Mam pewien plan.

– Miałeś też plan, że nie będzie jej bolało! I popatrz, co z niego wynikło!

Ręka mnie zaświerzbiała, żeby dać mu w twarz za te słowa, dlatego przytrzymałem ją drugą dłonią. To nie była pora na wzajemne oskarżenia. Poza tym miał rację. To, co poszło nie tak, jak powinno, stało się z mojej winy. Poza szczurami, pomyślałem, one nie obciążają mojego sumienia. Ale pod pewnym względem i za nie byłem odpowiedzialny. Gdyby nie ja, stałaby teraz przy kuchni i gotowała kolację. Prawdopodobnie gadałaby w kółko o tych stu akrach, tak, ale żyłaby i miała się dobrze, zamiast leżeć w studni.

Szczury pewnie już wróciły, szepnął cichy głos w mojej głowie. Dobierają się do niej. Najpierw zjedzą dobre kawałki, smaczne kawałki, przysmaki, a potem...

Henry sięgnął ponad stołem i dotknął moich splecionych dłoni.

– Przepraszam – powiedział. – Tkwimy w tym obaj.

Za to go kochałem.

– Wszystko będzie dobrze, Hank. Jeśli nie stracimy głowy, nic nam się nie stanie. A teraz posłuchaj mnie.

Słuchał. W którymś momencie zaczął kiwać głową. Gdy skończyłem, zadał mi tylko jedno pytanie: kiedy zasypimy studnię?

– Jeszcze nie teraz – powiedziałem.

– Czy to ryzykowne?

– Tak – przyznałem.

* * *

Dwa dni później, kiedy niecałe pół kilometra od farmy naprawiałem płot, spostrzegłem tumany pyłu unoszące się nad drogą z Omaha do Lincoln. Czekala nas wizyta ze świata, którego częścią Arlette tak bardzo chciała zostać. Wróciłem do domu, z młotkiem zatkniętym za szlufkę paska, nadal przewiązany stolarskim fartuchem, w którego głębokiej kieszeni pobrzękiwały gwoździe. Henry'ego nigdzie nie było widać. Może poszedł nad strumień się wykapać, może został w pokoju i spał.

Kiedy dotarłem na podwórze i usiadłem na pieńku do rąbania drewna, rozpoznałem pojazd, który zostawiał za sobą kurzawę: to była ciężarówka dostawcza Red Baby Larsa Olsena. Lars pracował jako kowal i wioskowy mleczarz w Hemingford Home. Za kilka centów chętnie robił za szofera i właśnie tym się zajmował w to czerwcowe popołudnie. Ciężarówka wtoczyła się na podwórze, zmuszając do ucieczki George'a i jego mały kurzy harem. Zanim silnik skończył się krztusić i zgasł, od strony pasażera wysiadł tęgi mężczyzna ubrany w luźny szary prochowiec. Zdjął gogle, odsłaniając wielkie (i komiczne) białe kręgi wokół oczu.

– Wilfred James?

– Do usług – odpowiedziałem, wstając. Byłem wystarczająco spokojny. Pewnie gorzej bym się czuł, gdyby wysiadł z forda z gwiazdą na drzwiczkach. – Pan jest...?

– Andrew Lester – odrzekł. – Adwokat.

Wyciągnął do mnie rękę. Popatrzyłem na nią uważnie.

– Zanim ją uścisknę, chciałbym wiedzieć, czym jest pan adwokatem, panie Lester.

– Reprezentuję Przedsiębiorstwo Przetwórstwa Mięsnego Farringtona z Chicago, Omaha i Des Moines.

Tak, pomyślałem, w to nie wątpię. Ale założę się, że tabliczki z twoim nazwiskiem nie ma tam na żadnych drzwiach. Wazniacy z Omaha nie muszą wdychać wiejskiego kurzu, żeby zarobić na chleb, prawda? Oni trzymają nogi na biurkach, popijają kawkę i podziwiają piękne nogi sekretarek.

– W takim razie – powiedziałem – może jednak schowa pan rękę. Bez urazy.

Uśmiechnął się jak adwokat i zrobił, o co prosiłem. Pot spływał mu równymi strużkami po puciołowatych policzkach, włosy miał zmierzwione. Minąłem go i podszedłem do Larsa, który uniósł jedną stronę maski samochodu i grzebał przy silniku. Pogwizdywał, wesoły jak szczygiełek. Tego mu zazdrościłem. Pomyślałem, że Henry i ja moglibyśmy mieć kolejny miły dzień – w świecie tak zwariowanym jak nasz wszystko jest możliwe – ale latem 1922 roku nie będzie nam to dane. Ani jesienią.

Uściskałem Larsowi rękę i zapytałem o samopoczucie.

– W sumie całkiem nieźle – odpowiedział. – Ale jestem wysuszony. Coś do picia dobrze by mi zrobiło.

Kiwnąłem głową ku wschodniej ścianie domu.

– Wiesz, gdzie iść.

– Wiem – powiedział i z głośnym łoskotem opuścił maskę samochodu, ponownie wypłaszając kury, które powoli wracały na podwórze. – Pyszna i zimna jak zawsze, co nie?

– Też tak bym ją określił – zgodziłem się i pomyślałem: Gdybyś napompował sobie wody z innej studni, Lars, to nie na jej smak zwróciłbyś uwagę. – Spróbuj i sam się przekonaj.

Ruszył w kierunku ocienionej strony domu, gdzie w niewielkiej szopie znajdowała się pompa. Pan Lester patrzył, jak odchodzi, a potem obrócił się do mnie. Rozpiął płaszcz. Garnitur, który miał pod spodem, będzie musiał oddać do pralni chemicznej po powrocie do Lincoln, Omaha, Deland czy gdziekolwiek mieszkał, kiedy nie zajmował się sprawami przedsiębiorstwa Farringtona.

– Sam chętnie bym się napił, panie James.

– I ja też. Zbijanie płotu to wyczerpujące zajęcie. – Zmierzyłem go spojrzeniem od stóp do głów. – Założę się jednak, że nie tak wyczerpujące jak jazda przez trzydzieści kilometrów ciężarówką Larsa.

Podrapał się po tyłku i uśmiechnął jak rasowy adwokat. Tym razem w jego uśmiechu był cień cwaniactwa. Widziałem, jak oczka biegają mu tu i tam, wszędzie. Niedocenianie tego człowieka tylko dlatego, że kazano mu jechać trzydzieści kilometrów na wieś w upalny dzień, byłoby błędem.

– Moje cztery litery pewnie już nigdy nie będą takie same.

Na jednej ze ścian szopy wisiała chochła na łańcuchu. Lars napompował do niej wody i wypił do ostatniej kropli. Jabłko Adama poruszało mu się na wymizierowanej, opalanej szyi w górę i w dół. Nappełnił ją ponownie i podał Lesterowi, który popatrzył na nią z wahaniem, podobnie jak ja spojrzałem na jego wyciągniętą rękę. Potem zwrócił się do mnie.

– Nie moglibyśmy napić się w środku? Tam będzie chłodniej.

– Z pewnością – odpowiedziałem. – Ale jak nie uściśnąłem panu ręki, tak też nie mam zamiaru zapraszać pana do domu.

Lars Olsen spostrzegł, na co się zanosz, dlatego nie marnował czasu i wrócił do ciężarówki. Najpierw wręczył Lesterowi chochlę. Gość z miasta nie pił wielkimi haustami jak Lars, ale małutkimi łykami. Innymi słowy, jak adwokat – nie przestał jednak, dopóki nie opróżnił łyżki, a to także było typowe dla prawnika. Trzasnęły drzwi z siatką przeciw owadom i Henry wyszedł z domu, w farmerkach i z bosymi stopami. Obrzucił nas zupełnie obojętnym spojrzeniem – grzeczny syn! – i poszedł tam, gdzie skierowałby się każdy prawdziwy wiejski chłopak: popatrzeć na Larsa uwijającego się przy ciężarówce, a jeśli dopisałoby mu szczęście, czegoś by się nauczył.

Podszedłem do sterty drewna, którą trzymaliśmy przykrytą brezentem z tej strony domu, i na niej usiadłem.

– Przypuszczam, że przyjechał pan tu w interesach. Dotyczących mojej żony.

– Tak jest.

– Zatem skoro się pan napił, przejdźmy do rzeczy. Mam jeszcze mnóstwo pracy na dzisiaj, a jest już trzecia po południu.

– Od wschodu do zachodu słońca. Rolnik ma ciężkie życie. – Westchnął, jakby miał o tym pojęcie.

– W rzeczy samej, a żona o paskudnym charakterze może je jeszcze utrudnić. Domyślam się, że to ona pana na mnie nasłała, ale nie wiem, z jakiego powodu. Jeśli chodzi o jakieś prawne papiery, to dam głowę, że wystarczyłby zastępca szeryfa i z nim wszystko bym załatwił.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

– Pańska żona mnie nie przysłała, panie James. Prawdę mówiąc, przyjechałem, bo jej szukam.

Przypominało to sztukę teatralną i teraz nadeszła moja kolej, by udąć zaskoczenie. A potem odchrząknąć, bo chrząkanie było następne w didaskaliach.

– No to mam potwierdzenie.

– Potwierdzenie czego?

– Kiedy byłem dzieciakiem i mieszkalem w Fordyce, mieliśmy tam sąsiada, złośliwego starego dziada o nazwisku Bradlee. Wszyscy wołali na niego Tatko Bradlee.

– Panie James, nie bardzo widzę zwią...

– Ojciec od czasu do czasu musiał robić z nim interesy i zdarzało się, że zabierał mnie ze sobą. Działo się to w dawnych czasach, gdy jeździło się odkrytymi powozami. Najczęściej handlowali ziarnem kukurydzy, przynajmniej na wiosnę, ale też wymieniali się narzędziami. Wtedy nie było sprzedaży wysyłkowej, a dobre narzędzie mogło służyć całemu hrabstwu, zanim wróciło do właściciela.

– Panie James, ja...

– Za każdym razem, gdy szliśmy do starego, mama kazała mi zatykać uszy, bo co drugie słowo wychodzące z ust Tatki Bradleego było albo przekleństwem, albo jakimś świntuszeniem. – W przewrotny sposób zaczynało mi się to podobać. – Naturalnie tym pilniej się wsłuchiwałem. Pamiętam, że jednym z ulubionych powiedzonek Tatki było: „Nie dosiadaj kobyły bez uzdy, bo nigdy nie wiadomo, w którą stronę ta dziwka pobiegnie”.

– Coś z tego ma dla mnie wynikać, panie James?

– A jak pan myśli, w którą stronę pobiegła moja kobyła, panie Lester?

– Chce pan przez to powiedzieć, że pańska żona...?

– Uciekła, panie Lester. Oddaliła się. Wyszła po angielsku. Wymknęła się chyłkiem. Jako zapalony czytelnik i znawca amerykańskiego slangu w naturalny sposób posługuję się takimi terminami. Tymczasem Lars, i większość mieszczuchów, powie po prostu, gdy wieść o tym się rozejdzie, że „uciekła i zostawiła go”. Albo „zostawiła jego i chłopaka” w tym przypadku. Pomyślałem, rzecz jasna, że mogła pojechać do swoich przyjaciół świniarzy z firmy

Farringtona, a potem dostanę od niej jedynie wiadomość, że sprzedała ziemię po ojcu.

– Taki miała zamiar.

– Podpisała papiery? Bo wtedy, jak przypuszczam, będę musiał iść do sądu, tak samo jak ona.

– Prawdę mówiąc, nie. Ale kiedy to się stanie, odradzałbym panu stratę pieniędzy na adwokata w sprawie, którą na pewno pan przegra.

Wstałem. Jedna z szelek podtrzymujących farmerki zsunęła mi się z ramienia. Podciągnąłem ją kciukiem na miejsce.

– Cóż, ponieważ jej tu nie ma, „sprawa pozostaje otwarta”, jak nazywacie to w języku prawniczym, dobrze mówię? Na pańskim miejscu szukałbym jej w Omaha. – Uśmiechnąłem się. – Albo w Saint Louis. Ciągle opowiada o tym mieście. Coś mi się wydaje, że zaczęła mieć was dość, tak samo jak mnie i syna, którego urodziła. I krzyżyk jej na drogę, jak mawiają. *Zaraza na oba wasze domy**! Tak przy okazji, to z Szekspira. *Z Romea i Julii*, sztuki o miłości.

– Pan wybaczy, panie James, ale wszystko to wydaje mi się bardzo dziwne. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jedwabną chustkę do nosa (założę się, że podobni do niego prawnicy w rozjazdach mają mnóstwo kieszeni) i zaczął wycierać nią twarz. Policzki miał teraz nie zarumienione, ale wręcz jaskrawoczerwone. Tyle że to nie upał tak zabarwił mu twarz. – Naprawdę bardzo dziwne, biorąc pod uwagę sumę, jaką mój klient chce zapłacić za tę działkę, przylegającą do strumienia Hemingford i usytuowaną blisko linii kolejowej Great Western.

– Zdaje się, że sam będę musiał wziąć w tym udział, ale ja mam nad panem przewagę.

– Tak?

– Znam ją. Jestem pewny, że panu i pańskim klientom wydawało się, że interes został dobity, ale w przypadku Arlette James... powiedzmy, że zmuszenie jej do zrobienia czegoś przypomina próbę przybicia galarety do podłogi. Musimy pamiętać o tym, co powiedział Tatko Bradlee, panie Lester. Był w końcu wiejskim geniuszem.

– Czy mógłbym rozejrzeć się po domu?

Ponownie się roześmiałem, ale tym razem szczerze. Facet miał tupet, muszę mu to przyznać. Nie chciał wracać z niczym. *Co* wydaje się zrozumiałe. Przejechał trzydzieści kilometrów zakurzoną ciężarówką bez drzwi i czekało go następne trzydzieści w drodze powrotnej do Hemingford City (a potem zapewne jeszcze jazda pociągiem), tyłek go bolał, a ludzie, którzy go wysłali, nie byliby zachwyceni tym, co miałby im do powiedzenia po odbyciu tak męczącej podróży. Biedaczysko!

– Odpowiem pytaniem: czy mógłby pan spuścić spodnie, żebym obejrzał sobie pańskie jaja?

* William Szekspir, *Romeo i Julia*, akt III, scena I, przeł. Maciej Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 2004.

– Pan mnie obraża.

– Nie mam do pana pretensji. Niech pan to uzna za... nie, nie za kpinę, ale rodzaj przypowieści.

– Nie rozumiem.

– Cóż, ma pan godzinę na zastanowienie się nad tym w drodze do miasta. Albo dwie, jeśli red baby Larsa złapie gumę. Mogę pana zapewnić, Lester, że gdybym pozwolił panu węszyć w moim domu... moim prywatnym miejscu, moim zamku, moich jajach... nie znalazłby pan trupa mojej żony w szafie ani... – Nastąpiła straszna chwila, w której niemal powiedziałem „ani w studni”. Czułem, jak pot zbiera mi się na czole. – Ani pod łóżkiem.

– Nigdy nie mówiłem...

– Henry! – zawołałem. – Podejdź tu na minutę.

Henry przyszedł z opuszczoną głową wlokąc stopy po ziemi. Wyglądał na zaniepokojonego, może nawet winnego, ale to niczego nie zmieniało.

– Tak?

– Powiedz temu panu, gdzie jest mama.

– Nie wiem. Kiedy zawołałeś mnie na śniadanie w piątek, już jej nie było. Spakowała się i odeszła.

Lester nie spuszczał z niego wzroku.

– To prawda, synu?

– Tak, proszę pana.

– Prawda i tylko prawda, tak ci dopomóż Bóg?

– Mogę wrócić do domu, tato? Muszę odrobić zaległości po chorobie.

– No to idź – powiedziałem. – Ale się nie ociągaj. Pamiętaj, dzisiaj twoja kolej dojenia.

– Pamiętam.

Powlókł się po schodach i wszedł do środka. Lester patrzył, jak znika za drzwiami, a potem odwrócił się do mnie.

– Coś się za tym wszystkim kryje.

– Widzę, że nie ma pan obrączki, panie Lester. Gdy nadejdzie czas, że będzie pan miał obrączkę równie znoszoną jak moja, będzie pan wiedział, że w rodzinie zawsze tak jest. I przekona się pan o czymś jeszcze: nigdy nie będzie pan wiedział, w którą stronę kobyła pobiegnie.

Wstał.

– To nie koniec.

– Koniec – odpowiedziałem, choć byłem świadomy, że miał rację. Jeśli jednak sprawy potoczyłyby się pomyślnie, byłibyśmy bliżej końca niż kiedyś. Jeśli.

Zaczął iść przez podwórze, ale zawrócił. Ponownie wytarł twarz chusteczką, a potem powiedział:

– Jeśli wydaje się panu, że te sto akrów jest pańskie, tylko dlatego, że nastraszył pan

żonę, a ona uciekła... do rodziców albo siostry w Minnesocie...

– Niech pan sprawdzi w Omaha – odpowiedziałem z uśmiechem. – Albo w Saint Louis. Z krewnych nie miała żadnego pożytku, ale szalała na punkcie Saint Louis. Jeden Pan Bóg wie dlaczego.

– Jeżeli pan myśli, że obsieje pan tę ziemię i zbierze plony, to radzę ponownie się nad tym zastanowić. Ta działka nie należy do pana. Jeśli posieje pan choć jedno ziarno, spotkamy się w sądzie.

– Jestem pewny, że żona skontaktuje się z panem, gdy tylko skończą jej się pieniądze – odrzekłem, ale tak naprawdę miałem ochotę powiedzieć: „Nie, nie jest moja... ale twoja też nie. Będzie po prostu istniała. I bardzo dobrze, bo stanie się moja za siedem lat, kiedy pójdę do sądu i uzyskam uznanie Arlette za oficjalnie zmarłą. Mogę czekać. Siedem lat bez wachania świńskiego gówna, kiedy wiatr wieje z zachodu? Siedem lat bez słuchania kwiku zabijanych wieprzy (bardzo przypominającego wrzask umierającej kobiety) albo oglądania ich flaków płynących strumieniem czerwonym od krwi? Dla mnie to brzmiało jak »siedem wspaniałych lat«”.

– Życzę miłego dnia, panie Lester, i radzę uważać na słońce w drodze powrotnej. Późnym popołudniem jest bardzo ostre i będzie świeciło panu prosto w twarz.

Bez słowa wszedł do ciężarówki. Lars mi pomachał, a Lester coś do niego warknął. Tamten popatrzył na adwokata, jakby chciał powiedzieć: „Warcz i szczekaj do woli, ale do Hemingford City nadal będzie trzydzieści kilometrów”.

Kiedy odjechali, zostawiając za sobą tumany kurzu – jedyna różnica, że skierowali się w przeciwną stronę – Henry wyszedł na werandę. Wyglądał na starszego, na młodzieńca, nie na chłopca.

– Dobrze wypadłem, tato?

Wziąłem go za nadgarstek, uściśnąłem i udawałem, że nie czuję, jak jego ciało napięło się w jednej chwili pod moją ręką, jakby musiał zwalczyć impuls, by odsunąć się ode mnie.

– Idealnie. Tak jak trzeba.

– Zasypiemy jutro studnię?

Bardzo starannie to przemyślałem, bo od mojej decyzji mogło zależeć nasze życie. Szeryf Jones postarzał się i utył. Nie był leniwy, ale nie dawał się nakłonić do ruchu, jeśli nie miał po temu istotnego powodu. Lester pewnie zmusi go w końcu, żeby się tu zjawił, ale prawdopodobnie nie wcześniej, niż uda mu się skłonić jednego z popapranych ważniaków Farringtona, żeby wykonał telefon i przypomniał szeryfowi, kto płaci najwyższe podatki w hrabstwie Hemingford (nie wspominając o sąsiednich hrabstwach Clay, Fillmore, York i Seward). Co moim zdaniem dawało nam przynajmniej dwa dni.

– Jutro nie – odpowiedziałem. – Pojutrze.

– Dlaczego, tato?

– Bo zjawi się tutaj szeryf, a szeryf Jones jest stary, ale nie głupi. Zasypana studnia może

wzbudzić jego podejrzenia. Będzie się zastanawiał, dlaczego ją zasypano tak niedawno, i tak dalej. Ale taka, która nadal jest zasypanywana... i to z konkretnego powodu...

– Jakiego powodu? Powiedz mi!

– Niedługo ci powiem – obiecałem. – Niedługo.

* * *

Przez cały następny dzień wypatrywaliśmy zbliżających się do nas drogą tumanów kurzu, lecz tym razem wzbudzanych nie przez ciężarówkę Larsa Olsena, ale przez samochód szeryfa. Nie przyjechał. Zjawiała się natomiast Shannon Cotterie, pięknie się prezentując w bawełnianej bluzce i kraciastej spódnicy. Chciała się dowiedzieć o zdrowie Henry'ego, a jeśli dobrze się czuł, to zapraszała go na kolację z jej mamą i tatą.

Henry odpowiedział, że ma się świetnie, a ja patrzyłem potem za nimi, jak szli drogą, trzymając się za ręce. Ogarnęły mnie złe przecucia. Chłopak miał straszliwą tajemnicę, a straszliwe tajemnice to ogromne obciążenie. Chęć podzielenia się nimi jest czymś najbardziej naturalnym na świecie. I kochał tę dziewczynę (albo tak mu się wydawało, co na jedno wychodzi, gdy ma się niecałe piętnaście lat). Co gorsza, musiał ją okłamywać, a ona mogła się domyślić, że łże. Mówią, że miłość jest ślepa, ale to powiedzenie głupców. Czasami widzi zbyt dużo. Wziąłem się do pielenia ogrodu (wirywałem więcej groszku niż chwastów), potem usiadłem na werandzie, zapaliłem papierosa i czekałem na jego powrót. Przyszedł tuż przed wschodem księżyca. Głowę trzymał opuszczoną, ramiona miał zgarbione i włókł się raczej noga za nogą, niż szedł. Mimo że ten widok sprawił mi ogromną przykrość, ulżyło mi. Gdyby zdradził swoją tajemnicę, mógłby w ogóle nie wrócić.

– Powiedziałeś tak, jak postanowiliśmy? – zapytałem, gdy usiadł.

– Jak ty postanowiłeś. Tak.

– A ona obiecała, że nic nie powie rodzicom?

– Tak.

– Ale powie?

Westchnął.

– Prawdopodobnie tak. Ona ich kocha, a oni ją kochają. Myślę, że zobaczą coś w jej twarzy i będą chcieli się dowiedzieć. A nawet jeśli się nie dowiedzą, to jak znam życie, ona powie szeryfowi. Jeśli, rzecz jasna, on zada sobie trud porozmawiania z Cotteriami, i tyle.

– Lester dopilnuje, żeby on się dowiedział. Będzie czekał na szeryfa Jonesa, bo jego szefowie z Omaha naszczekają na niego. Gdzie kończy się taki łańcuszek, nikt nie wie.

– Nie powinniśmy byli tego robić. – Pomyślał chwilę i powtórzył ponownie szeptem pełnym zdecydowania: – Nie powinniśmy byli tego robić.

Nic nie odpowiedziałem. Przez jakiś czas on też się nie odzywał. Patrzyliśmy na księżyc wschodzący nad polem kukurydzy, czerwony i nabrzmiały.

– Tato? Mogę dostać szklankę piwa?

Spojrzałem na niego, zaskoczony i niezaskoczony. Potem wstałem, poszedłem do środka i nalałem nam po szklance. Podałem mu jedną i powiedziałem:

– Ani słowa o tym jutro i pojutrze, umowa stoi?

– Stoi. – Upił łyk, skrzywił się i znowu się napił. – Nienawidzę okłamywania Shan, tato. Wszystko, co się z tym łączy, jest brudne.

– Brud można zmyć.

– Ale nie taki – odpowiedział i wypił następny łyk. Tym razem się nie skrzywił.

Trochę później, gdy księżyc zmienił barwę na srebrną, poszedłem do wygodki i wsłuchiwałem się w kukurydzę, a nocny wiatr powierzał każdej kolbie tajemnice ziemi. Kiedy wróciłem, Henry’ego już nie było. Jego szklanka stała na poręczy balustrady, opróżniona do połowy. Wtedy usłyszałem jego głos dochodzący z obory:

– Dobra krówka. Dobra.

Poszedłem to sprawdzić. Obejmował ramieniem i głaskał szyję Elpis. Jestem niemal pewny, że płakał. Patrzyłem na niego przez chwilę, ale ostatecznie nic nie powiedziałem. Wróciłem do domu, rozebrałem się, położyłem do łóżka, w którym podciąłem gardło żonie. Minęło dużo czasu, zanim zasnąłem. A jeśli nie rozumiecie dlaczego – wszystkich powodów – to nie ma sensu, byście to czytali.

* * *

Wszystkim naszym krowom nadałem imiona pomniejszych greckich bogiń, ale Elpis okazało się albo złym wyborem, albo ironicznym żartem. Na wypadek gdybyście nie pamiętali opowieści o tym, w jaki sposób nieszczęścia zagościły na naszym smutnym starym świecie, przypomnę wam: całe zło pojawiło się, gdy powodowana ciekawością Pandora otworzyła puszkę, nad którą powierzono jej pieczę. Kiedy odzyskała zdrowy rozsądek i ją zamknęła, na dnie została jedynie Elpis, bogini nadziei. Jednak tamtego lata w 1922 roku dla Elpis już żadnej nadziei nie było. Stara i zbzikowana, miała niewiele mleka, a i z tego, co dałoby się wydoić, zrezygnowaliśmy. W chwili gdy siadało się przy niej na stołku, usiłowała człowieka kopnąć. Już rok wcześniej powinniśmy przeznaczyć ją na mięso, ale przerażały mnie koszty, jakie musiałbym ponieść, powierzając zarżnięcie jej Harlanowi Cotteriemu, a sam nie byłem dobry w tego typu przedsięwzięciach... z tą moją oceną samego siebie na pewno się zgodzisz, czytelniku.

– Mięso będzie twarde – powiedziała Arlette (która okazywała Elpis rodzaj sympatii, może dlatego, że sama nigdy nie musiała jej doić). – Lepiej zostawmy ją w spokoju.

Teraz jednak musieliśmy wykorzystać Elpis – tak się złożyło, że miała skończyć w studni – a jej śmierć mogła przynieść więcej korzyści niż tylko kilka łykowatych kawałków mięsa.

Na drugi dzień po wizycie Lestera założyliśmy z Henrym krowie na nos kółko z

przywiązany postronkiem i zaprowadziliśmy ją za oborę. W połowie drogi do studni Henry przystanął. Oczy błyszczały mu z niepokoju.

– Tato! Ja ją czuję!

– W takim razie wracaj do domu i wsadź sobie do nosa kulki z waty. Są na jej toalecie.

Choć głowę trzymał opuszczoną, spostrzegłem, że zerka na mnie koso. „To wszystko twoja wina – mówiło jego spojrzenie. – Wszystko twoja wina, bo nie chciałeś ustąpić”.

Mimo to nie wątpiłem, że pomoże mi przy zadaniu, które nas czekało. Cokolwiek myślał teraz o mnie, nie miało znaczenia, ważna była jego dziewczyna, a nie chciał, żeby się dowiedziała, co zrobiliśmy. Zmusiłem go, to prawda, ale tego ona nigdy by nie zrozumiała.

Doprowadziliśmy Elpis na miejsce, ale tam zapała się czterema nogami, co było zrozumiałe. Przeszliśmy na drugą stronę studni, trzymając postronek niczym wstążkę ze słupa na święto wiosny, i po prostu wciągnęliśmy krowę na przegniłą pokrywę studni. Pokrywa zatrzeszczała pod jej ciężarem... ugięła się... ale wytrzymała. Stare krówsko stało na niej z opuszczonym łbem, wyglądając na głupie i uparte jak zawsze. Pokazywało przy tym resztki zielonkawożółtych zębów.

– Co teraz? – zapytał Henry.

Zacząłem mówić, że nie wiem, ale w tej samej chwili pokrywa studni pękła na dwoje z głośnym trzaskiem. Trzymaliśmy postronek, choć przez moment miałem wrażenie, że z wywichniętymi ramionami zostaniemy wciągnięci do tej przeklętej studni. Wtedy jednak kółko wyrwało się i wyleciało w górę. W dole Elpis zaczęła muczeć żałośnie w agonii i kopać w kamienne obmurowanie studni.

– Tato! – wrzasnął Henry. Dłonie zaciśnięte w pięści trzymał przy ustach, kostki wbijały mu się w górną wargę. – Ucisz ją!

Elpis wydała z siebie długi, niosący się echem jęk. Nie przestawała uderzać kopytami w ściany.

Wziąłem Henry’ego za ramię i na sztywnych nogach odprowadziłem do domu. Popchnąłem go na sofę, kupioną przez Arlette w sklepie wysyłkowym, i kazałem tam zostać, dopóki po niego nie wrócę.

– I pamiętaj, to już prawie koniec.

– To się nigdy nie skończy – odpowiedział i obrócił się twarzą w dół. Zakrył dłońmi uszy, choć Elpis była za daleko, żeby ją usłyszeć. Tyle że Henry nadal ją słyszał i ja także.

Wziąłem broń, w sumie nic niewartą, z górnej półki w spiżarni. Była to jedynie dwudziestkadwójka, ale powinna wystarczyć. A jeśli Harlan usłyszy odgłosy strzałów przetaczające się po ziemi między jego farmą a moją? To również będzie potwierdzało naszą historię. Jeśli oczywiście Henry nadal będzie na tyle rozsądny, żeby ją opowiedzieć.

* * *

Oto czego nauczyłem się w 1922 roku: zawsze czeka nas coś gorszego. Wydaje się wam, że widzieliście najstraszniejszą rzecz, taką, w której kumulują się najgorsze koszmary z waszych snów i przeistaczają w wynaturzony horror, dziejący się naprawdę, i jedyną pociechą jest to, że nie może być już nic bardziej makabrycznego. A nawet jeśli, to mózg odetnie was od tego i nie zobaczycie nic więcej. Ale istnieje coś gorszego i mózg wcale tego nie blokuje, a wy w jakiś sposób żyjecie dalej. Możecie myśleć, że nie ma już dla was żadnej radości na świecie, że to, co zrobiliście, pozbawiło was szans na jakąkolwiek nadzieję, i żałować, że to nie wy zeszlście z tego padołu – ale nadal pchacie swój wózek. Dociera do was, że znaleźliście się w piekle, które jest waszym tworem, niemniej żyjecie dalej. Bo nic innego nie można zrobić.

Elpis wylądowała na ciele mojej żony, ale wykrzywiona twarz Arlette nadal była doskonale widoczna, ciągle skierowana w górę, ku światu, i nadal wydawała się patrzeć na mnie. No i szczury wróciły. Krowa wpadająca do ich świata bez wątpienia kazała im na chwilę schować się w rurze, którą ostatecznie nazwałem Szczurzym Bulwarem, ale zaraz potem poczuły świeże mięso i zaczęły wychodzić z niej na zwiady. Nie ociągały się i już podgryzały starą Elpis, bo krowa muczała i kopła (coraz słabiej). Jeden z nich usiadł na czubku głowy Arlette i przypominał upiorną koronę, bo przez dziurę w jutowym worku wysunął zręczne łapki razem z kosmykiem jej włosów. Policzki Arlette, kiedyś okrągłe i śliczne, zwisały w strzępach.

Nic nie może być gorsze od tego, pomyślałem. Teraz z pewnością osiągnąłem granice tego horroru.

Ale zawsze czeka nas jeszcze coś gorszego. Kiedy patrzyłem w dół, zastygły w bezruchu z powodu szoku i mdłości, Elpis kopnęła ponownie i jedno z jej kopyt trafiło na pozostałości twarzy Arlette. Rozległ się trzask, gdy pękła szczęka żony, i wszystko, co znajdowało się poniżej jej nosa, przesunęło się w lewą stronę jak na zawiasach. Ale uśmiech od ucha do ucha pozostał. To, że nie miał już nic wspólnego z jej oczami, jeszcze pogarszało ten widok. Można było pomyśleć, że zamiast jednej ma teraz dwie twarze, którymi będzie mnie nękać. Jej ciało naparło na materac, ten zaś się obsunął. Szczur siedzący dotąd na jej głowie uciekł i schował się za niego. Elpis znowu zaryczała. Pomyślałem, że gdyby Henry tu wrócił i zajrzał do studni, zabiłby mnie za to, że go w coś takiego wciągnąłem. I prawdopodobnie zasługiwałem na śmierć. Ale wtedy zostałby sam, a w pojedynkę byłby bezbronny.

Część pokrywy wpadła do studni, druga nadal wisiała na obrzeżu. Załadowałem strzelbę, oparłem lufę o kamienną cembrowinę i wycelowałem w Elpis, która leżała ze złamanym karkiem i głową przyciśniętą do ściany. Odczekałem chwilę, żeby ręce przestały mi się trząść, i pociągnąłem za spust.

Jeden strzał wystarczył.

* * *

Po powrocie do domu przekonałem się, że Henry zasnął na kanapie. Sam byłem zbyt zszokowany, żeby uznać to za dziwne. W tamtym momencie syn wydawał mi się jedynym prawdziwym źródłem nadziei na tym świecie: powalany, ale nie tak brudny, żeby z czasem nie mógł znowu stać się czysty. Pochyliłem się i pocałowałem go w policzek. Jęknął i odwrócił głowę. Zostawiłem go tam i poszedłem do obory po narzędzia. Kiedy dołączył do mnie trzy godziny później, wyciągnąłem już zwisający kawałek pokrywy znad studni i zacząłem ją zasypywać.

– Pomogę ci – odezwał się głosem bez wyrazu.

– Dobrze. Weź ciężarówkę i jedź do sterty ziemi przy zachodnim płocie...

– Sam? – Niedowierzanie w jego głosie ledwie dało się słyszeć, ale ja byłem wyczulony na wszystkie emocje.

– Wiesz, gdzie są biegi do przodu, a wsteczny chyba znajdziesz, jak myślisz?

– Tak...

– No to sobie poradzisz. To, co tu jest, tymczasem mi wystarczy, a jak wrócisz, najgorsze będzie za nami.

Spodziewałem się, że znowu mi powie, iż najgorsze nigdy się nie skończy, ale darował to sobie. Wróciłem do łopaty. Nadal widziałem czubek głowy Arlette i worek z upiornie sterczącym kosmykiem włosów. Gdzieś w rurze mogło istnieć gniazdo, w którym małe szcurki karmiły się udami mojej nieżyjącej żony.

Usłyszałem, jak ciężarówka zakrztusiła się raz, a potem drugi. Miałem nadzieję, że korba nie odbije i nie złamie Henry'emu ręki.

Za trzecim obrotem korby stara ciężarówka ożyła. Chłopak wrzucił bieg, dodał gazu raz czy dwa i odjechał. Nie było go prawie godzinę, ale kiedy wrócił, ciężarówka była pełna ziemi i kamieni. Podjechał do brzegu studni, zgasił silnik i wysiadł. Zdjął koszulę. Jego lśniący od potu tors wydawał się bardzo szczupły, mogłem mu policzyć zebra. Usiłowałem przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziałem, żeby jadł solidny posiłek, i początkowo nic nie przychodziło mi do głowy. Wtedy dotarło do mnie, że musiało to być śniadanie, które zjedliśmy rankiem po załatwieniu Arlette.

Dopilnuję, żeby zjadł dzisiaj porządny obiad, pomyślałem. Dopilnuję, żebyśmy obaj go zjedli. Żadnej wołowiny, ale w lodowni jest wieprzowina...

– Popatrz tam – odezwał się płaskim głosem i pokazał na coś palcem.

Zobaczyłem tuman kurzu zbliżający się w naszą stronę. Zajrzałem do studni. Nie było dobrze, jeszcze nie. Połowa Elpis wystawała nad ziemię. To, rzecz jasna, nie budziło mojego niepokoju, ale widać było także róg poplamionego krwią materaca.

– Pomóż mi – powiedziałem.

– Zdążymy, tato? – Jego głos zdradzał, że nie bardzo się tym przejmował.

– Nie wiem. Może. Nie stój tak, pomóż mi.

Za resztkami połamanej pokrywy studni, oparta o ścianę obory, stała dodatkowa łopata. Henry złapał ją i zaczęliśmy pośpiesznie zrzucać z ciężarówki ziemię i kamienie.

* * *

Kiedy samochód szeryfa, ze złotą gwiazdą na drzwiach i kogutem na dachu, podjechał do pieńka do rąbania drewna (po raz kolejny zmuszając do panicznej ucieczki George'a i jego kury), siedzieliśmy już z Henrym bez koszul na werandzie i dzieliliśmy się ostatnim specjałem przyrządzonym przez Arlette: dzbankiem lemoniady. Szeryf Jones wysiadł z auta, poprawił pas, zdjął kapelusz i przyglądziwszy do tyłu posiwiałe włosy, z powrotem nasadził go na głowę, dokładnie wzdłuż linii, gdzie kończyła się biała skóra nad brwiami, a zaczynała opalenizna. Przyjechał sam. Wziąłem to za dobry znak.

– Dzień dobry, panowie. – Popatrzył na nasze gołe piersi, brudne ręce i spocone twarze. – Ciężko tyracie w takie popołudnie, co?

Splunąłem.

– Sam jestem sobie winien.

– Niby jak?

– Jedna z krów wpadła do starej studni do pojenia bydła – odezwał się Henry.

– Niby jak? – zapytał ponownie Jones.

– A tak – odparłem. – Napijesz się lemoniady, szeryfie? Arlette ją zrobiła.

– Naprawdę, Arlette? Postanowiła wrócić?

– Nie – powiedziałem. – Zabrała ulubione rzeczy, ale lemoniadę zostawiła. Napij się.

– Chętnie. Ale najpierw muszę skorzystać z waszej wygodki. Odkąd skończyłem pięćdziesiąt pięć lat, mam wrażenie, że muszę sikać przy każdym krzaku. To cholernie utrudnia życie.

– Jest z tyłu domu. Musisz pójść ścieżką, szeryfie, i szukać sierpa księżycy na drzwiach.

Roześmiał się, jakby usłyszał najlepszy dowcip w tym roku, i ruszył za dom. Czy będzie przystawał, żeby zajrzeć w okna? Pewnie tak, jeśli był dobrym gliniarzem, a słyszałem, że taką miał opinię. Przynajmniej w dniach młodości.

– Tato – odezwał się Henry szeptem.

Spojrzałem na niego.

– Jeśli coś odkryje, nie pogarszajmy sytuacji. Mogę kłamać, ale nie chcę już zabijania.

– W porządku – odpowiedziałem.

To była krótka rozmowa, ale często się nad nią zastanawiałem przez ostatnie osiem lat.

Szeryf wrócił, zapinając rozporek.

– Przynies szeryfowi szklankę – zwróciłem się do Henry'ego.

Henry wszedł do domu. Jones skończył zapinanie rozporka, zdjął kapelusz, jeszcze raz przeczesał włosy palcami i znowu go założył. Jego odznaka pobłyskiwała w popołudniowym

słońcu. Pistolet zawieszony na biodrze wyglądał na duży, a choć Jones był za stary, żeby brać udział w pierwszej wojnie światowej, kabura wyglądała jak własność Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Może należała do jego syna, który zginął na tej wojnie.

– Ładnie pachnie w sraczyku – powiedział. – A to miłe w taki upalny dzień.

– Arlette bardzo często sypie tam niegaszone wapno – wyjaśniłem. – Jeśli nie będzie jej dłużej, sam będę musiał to robić. Zapraszam na werandę, posiedzimy w cieniu.

– „Cień” brzmi dobrze, ale jednak postoję. Muszę rozciągać kręgosłup.

Usiadłem na swoim bujanym fotelu z poduszką z napisem „Tata”. On stanął obok i patrzył na mnie z góry. Nie lubię takich sytuacji, ale starałem się znosić to spokojnie. Henry zjawił się ze szklanką. Szeryf Jones nalał sobie lemoniady, spróbował, a potem wypił niemal wszystko jednym łykiem i oblizął usta.

– Dobra, prawda? Nie za kwaśna, nie za słodka, w sam raz. – Roześmiał się. – Jestem jak francuski piesek, prawda? – Dopił resztę, ale pokręcił głową, gdy Henry chciał ponownie napełnić mu szklankę. – Chcecie, żebym sikał przy każdym płocie na trasie do Hemingford Home? A potem przez całą drogę do Hemingford City?

– Przeniosłeś posterunek, szeryfie? – zapytałem. – Wydawało mi się, że jesteście w samym Home?

– Bo jesteśmy, prawda? W dniu, w którym każą mi przenieść posterunek do siedziby władz hrabstwa, podam się do dymisji i pozwolę Hapowi Birdwellowi przejąć moją posiadłość, bo i tak ma na to ochotę. Nie, nie, chodzi jedynie o zeznanie w sądzie w City. Co oznacza właściwie papierkową robotę, ale tak bywa. Wiecie, jaki jest sędzia Cripps... albo pewnie nie wiecie, jako praworządni obywatele. Jest strasznie wybuchowy, prawda? I kiedy ktoś się spóźnia, humor jeszcze bardziej mu się psuje. Więc nawet jeśli chodzi jedynie o wypowiedzenie formułki „tak mi dopomóż Bóg” i podpisanie stosu dokumentów sądowych, muszę się tu szybko uwinąć, prawda? I mam tylko nadzieję, że ten przekłety gruchot nie zepsuje mi się gdzieś po drodze.

Nic na to nie odpowiedziałem. Nie mówił jak człowiek, który się śpieszy, ale może po prostu taki był.

Ponownie zdjął kapelusz i przeczesał włosy, ale tym razem nie nałożył go z powrotem. Popatrzył na mnie z powagą, potem na Henry’ego i znowu na mnie.

– Pewnie się domyślacie, że nie przyjechałem tu z własnej woli. Uważam, że sprawy między mężem a żoną to ich własny interes. Zawsze tak było, prawda? W Biblii powiedziano, że kobieta należy do mężczyzny i jeśli ma się czegoś nauczyć, to tylko w domu, od męża. List do Koryntian. Gdybym musiał się słuchać wyłącznie Biblii, postępowałbym zgodnie z jej zaleceniami, a życie byłoby prostsze.

– Dziwię się, że pan Lester z tobą nie przyjechał – powiedziałem.

– Och, chciał przyjechać, ale mu nie pozwoliłem. Chciał też, żebym załatwił nakaz rewizji, ale powiedziałem, że nie będzie mi potrzebny. Powiedziałem też, że albo pozwolisz

mi się tu rozejrzeć, albo nie. – Wzruszył ramionami. Jego twarz wyrażała spokój. Ale z tej spokojnej twarzy oczy patrzyły uważnie i były w ciągłym ruchu: wścibskie i czujne, czujne i wścibskie.

Kiedy Henry zapytał mnie o studnię, powiedziałem: „Przyjrzymy się mu i ocenimy, jak bardzo jest bystry. Jeśli okaże się bystry, nie będziemy niczego przed nim chować. Nie możemy wyglądać na ludzi, którzy mają coś do ukrycia. Kiedy zobaczysz, że unoszę kciuk, będzie to oznaczało, że moim zdaniem możemy zaryzykować. Ale obaj musimy się na to zgodzić, Hank. Jeżeli nie zobaczę, że też unosisz kciuk, będę trzymał głowę na kłódkę”.

Przytknąłem szklankę do ust i dopiłem lemoniadę. Kiedy zauważyłem, że Henry na mnie patrzy, uniosłem kciuk. Tylko trochę. Można to było wziąć za skurcz mięśnia.

– Co myśli ten Lester? – zapytał Henry. W jego głosie pobrzmiewała ciekawość. – Że trzymamy ją związaną w piwnicy? – Ręce trzymał po bokach, nieruchome.

Szeryf Jones roześmiał się serdecznie, wielki brzuch trząśł mu się za paskiem.

– Nie wiem, co on myśli, prawda? Z drugiej strony guzik mnie to obchodzi. Adwokaci to pchły na ludzkiej skórze. Mogę tak mówić, bo pracuję dla nich... i przeciwko nim także... przez całe dorosłe życie. Ale... – Jego przenikliwy wzrok spoczął na mnie. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się rozejrzeć, dlatego że jemu na to nie pozwoliliście. Strasznie się tym zdenerwował.

Henry podrapał się po ramieniu. Jego kciuk drgnął dwa razy, gdy to robił.

– Nie wpuściłem go do domu, bo mi się nie spodobał – odpowiedziałem. – Choć, prawdę powiedziawszy, nie wpuściłbym nawet świętego Jana, gdyby przyszedł węszyć dla ludzi Cole’a Farringtona.

Słyszając te słowa, szeryf Jones znowu się roześmiał: „Ha! Ha! Ha!”, ale jego oczy wcale się nie śmiały.

Wstałem. Poczulem ulgę, kiedy się podniosłem. Stojąc, przewyższałem go o osiem, dziesięć centymetrów.

– Możesz się rozglądać do woli.

– Dzięki. Bardzo mi to ułatwi życie, prawda? Kiedy wrócę, będę miał do czynienia z sędzią Crippsem, a to wystarczy. Nie potrzebuję wysłuchiwać ujadania jednego z prawniczych fagasów Farringtona, zwłaszcza gdy mogę sobie tego oszczędzić.

Weszliśmy do domu. Ja prowadziłem, a Henry zamykał tyły. Po wygłoszeniu kilku komplementów, chwalaćcych schludność salonu i porządek w kuchni, szeryf Jones podążył za nami korytarzem. Pobieźnie zajrzał do pokoju Henry’ego, a potem dotarliśmy do głównej atrakcji. Otworzyłem na oścież drzwi sypialni, ogarnięty dziwną pewnością: krew znowu się pojawi. Rozbryzgana na ścianach, całe kałuże na podłodze, materac będzie nią przesiąknięty. Szeryf Jones popatrzy. Potem odwróci się do mnie, wyjmie kajdanki, które ma przymocowane do paska na tłustym biodrze, i powie: „Aresztuję cię za zamordowanie Arlette James, prawda?”.

Żadnej krwi jednak nie było, ani nawet jej zapachu, bo przez kilka dni pokój solidnie wietrzyliśmy. Łóżko było posłane, ale nie tak, jak robiła to Arlette, bo ja wolałem bardziej wojskową modłę, choć ze względu na stan nóg nie wziąłem udziału w wojnie, na której zginął syn szeryfa. Jeśli ma się płaskostopie, nie można iść zabijać szkopów. Mężczyźni z płaskostopiem mogą jedynie zabijać żony.

– Ładny pokój – zauważył szeryf Jones. – Tylko rano świeci tu słońce, prawda?

– Tak – odpowiedziałem. – I przez większość popołudnia panuje chłód, nawet latem, bo słońce jest po drugiej stronie. – Podeszedłem do szafy. Kiedy ją otworzyłem, głupia pewność wróciła, tym razem jeszcze silniej. „A gdzie kołdra? – zapyta szeryf. – Ta, która leżała zawsze pośrodku górnej półki?”

Nie zapytał, rzecz jasna, ale energicznie zbliżył się do szafy, kiedy go o to poprosiłem. Jego bystre oczy – jasnozielone, niemal kocie – patrzyły tu i tam, wszędzie.

– Mnóstwo ciuchów – powiedział.

– Tak – zgodziłem się z nim. – Arlette uwielbia fatalaszki, a jeszcze bardziej katalogi sklepów wysyłkowych. Ale ponieważ zabrała tylko jedną walizkę... mamy dwie i ta druga nadal tu stoi, o, widzisz, tam z tyłu, w rogu... powiedziałbym, że wzięła rzeczy, które najbardziej lubiła. I to, jak przypuszczam, najbardziej praktyczne. Choć nigdy nie lubiła spodni, dwie pary zniknęły. I jedne dzinsy.

– Spodnie są idealne na podróż, prawda? Dla mężczyzny czy kobiety spodnie są odpowiednie do podróży. I kobieta chętnie by się na nie zdecydowała. Gdyby się śpieszyła. Otóż to.

– Tak myślę.

– Wzięła też biżuterię i zdjęcie babci i dziadka – wtrącił Henry. Stał za nami. Trochę mnie wystraszył, bo niemal zapomniałem o jego obecności.

– Naprawdę? Cóż, to całkiem naturalne.

Szeryf jeszcze raz przyjrzał się ubraniom, a potem zamknął drzwi szafy.

– Ładny pokój – powiedział, wycofując się drobnymi kroczkami na korytarz. Kapelusz trzymał w rękach. – Ładny dom. Tylko kobieta, która straciła rozum, zostawiłaby tak ładny pokój jak ten i taki ładny dom.

– Mama ciągle mówiła o mieście – powiedział Henry i westchnął. – Chciała tam otworzyć jakiś sklep.

– Naprawdę? – Szeryf Jones spojrzał na niego uważnie kocimi, zielonymi oczami. – Świetnie! Ale na to trzeba mieć pieniądze, prawda?

– Ma ziemię po ojcu – powiedziałem.

– Tak, tak. – Uśmiechnął się zawstydzony, jakby zapomniał o tych stu akrach. – Może to najlepsze rozwiązanie. „Lepiej żyć na ugorze niż z kobietą, która jest zrzędliwą jędzą”. Księga Przysłów. Cieszysz się, że odeszła, synu?

– Nie – odpowiedział Henry i łzy popłynęły mu z oczu. Błogosławiłem każdą z nich.

– Dobrze, już dobrze. – Po tym zdawkowym pocieszeniu szeryf Jones oparł dłonie na pękatych kolanach i pochyliwszy się, zająrzył pod łóżko. – Widać tam parę kobiecych butów. Nieźle znoszonych. Idealnie nadających się do chodzenia. Chyba nie uciekła boso, prawda?

– Miała na nogach płócienne buty – odpowiedziałem. – Właśnie one zniknęły.

Bo zniknęły. Wyblakłe zielone buty, które nazywała ogrodniczkami. Przypomniałem sobie o nich tuż przed zasypaniem studni.

– Ach! – powiedział. – Kolejna tajemnica wyjaśniona. – Z kieszonki w kamizelce wyciągnął zegarek w srebrnej kopercie i sprawdził czas. – Cóż, lepiej będzie, jeśli się pośpieszę. Tempus fugituje niezależnie od nas.

Wróciliśmy przez dom. Henry znowu szedł na końcu, może dlatego, żeby po kryjomu wytrzeć oczy. Odprowadziliśmy szeryfa do jego maxwella z gwiazdą na drzwiach. Miałem właśnie zamiar go zapytać, czy chce obejrzeć studnię – wiedziałem już nawet, jak ją nazwać – kiedy zatrzymał się i spojrzał na mojego syna z przerażającą łagodnością.

– Wpadłem też do Cotteriech – powiedział.

– Och? Naprawdę? – odrzekł na to Henry.

– Mówiłem wam, że ostatnio muszę podlewać niemal każdy krzak, ale wolę skorzystać z wygodki, jeśli jakaś jest w pobliżu, bo zawsze jestem pewny, że ludziska utrzymują w nich czystość, i nie muszę bać się os, kiedy czekam, aż z wacka skapnie trochę wody. A ci Cotterie to czysti ludzie. Mają ładną córkę. Jest chyba w twoim wieku, prawda?

– Tak, proszę pana – odpowiedział Henry, minimalnie unosząc głos, gdy mówił „proszę pana”.

– Pewnie się w niej durzysz, co? A ona w tobie, jak twierdzi jej matka.

– Tak powiedziała? – zapytał Henry. Wyglądał na zaskoczonego i jednocześnie zadowolonego.

– Tak. Pani Cotterie wspomniała, że martwisz się o mamę i że Shannon powiedziała jej coś, co usłyszała na ten temat od ciebie. Zapytałem, co to było, ale odrzekła, że to nie ona powinna mi o tym opowiadać. Poradziła mi spytać Shannon, co też zrobiłem.

Henry wpatrywał się w swoje stopy.

– Prosiłem ją, żeby nikomu o tym nie mówiła.

– Nie będziesz przecież miał o to do niej pretensji, prawda? – zapytał szeryf. – Bo przecież kiedy wielki facet jak ja, z gwiazdą na piersi, wypytuje takie maleństwo jak ona, to trudno takiemu maleństwu milczeć jak grób, prawda? Ona po prostu musiała mi powiedzieć, prawda?

– No, nie wiem – odparł Henry, nadal wpatrzony we własne stopy. – Pewnie tak. – Nie udawał nieszczęśliwego, on był nieszczęśliwy. Mimo że wszystko szło zgodnie z naszym planem.

– Shannon mówi, że twoi rodzice strasznie się pokłócili o sprzedaż tych stu akrów, a kiedy wzięłaś stronę ojca, pani James uderzyła cię w tę ładniutką buzię.

– Tak – przyznał Henry bezbarwnym głosem. – Była za bardzo pijana.

Szeryf Jones zwrócił się do mnie:

– Była pijana czy po prostu podpita?

– Mniej więcej pośrodku – odpowiedziałem. – Gdyby rzeczywiście mocno się upiła, przespałaby całą noc w łóżku, zamiast pakować ciuchy i wymykać się jak złodziej.

– Ale po wytrzeźwieniu powinna wrócić, jak sądzisz?

– Powinna. Do szosy jest ponad sześć kilometrów. Byłem pewny, że wróci. Ktoś musiał nadjechać i ją zabrać, zanim wytrzeźwiała. Stawiałbym na ciężarówkę z trasy Lincoln – Omaha.

– Tak, tak, też tak uważam. Jestem pewny, że odezwie się do ciebie, kiedy tylko skontaktuje się z panem Lesterem. Jeśli chce zacząć samodzielne życie, jeśli to chodzi jej po głowie, będzie potrzebowała pieniędzy.

Więc on też o tym wiedział.

Spojrzał na mnie poważnie.

– Czy ona w ogóle miała jakieś pieniądze, James?

– Cóż...

– Mów śmiało. Spowiedź dobrze robi duszy. Katolicy mają taką możliwość, prawda? A jakże!

– Trzymam w komodzie pudełko. Miałem w nim odłożone dwieście dolarów, żeby mieć czym zapłacić żniwiarzom, kiedy zaczną w przyszłym miesiącu.

– I panu Cotteriemu – przypomniał Henry. – Pan Cotterie ma kombajn do zbioru kukurydzy. Harris giant. Prawie nowy. Wynajmuje go.

– Tak, tak, widziałem go na ich podwórzu. Wielki sukinsyn, prawda? Przepraszam za język. Wszystkie pieniądze z pudełka zniknęły, jak sądzę?

Uśmiechnąłem się kwaśno – ale tak naprawdę to nie ja się uśmiechałem. Przechera objął dowodzenie w chwili, gdy szeryf Jones podjechał do pieńka do rąbania drewna.

– Zostawiła dwadzieścia. Jak na nią to bardzo wspaniałomyślnie. Ale dwadzieścia dolarów to suma, jaką Harlan Cotterie zawsze bierze za wypożyczenie kombajnu, zatem wszystko się zgadza. A jeśli chodzi o żniwiarzy, to myślę, że Stoppenhauser z banku da mi krótkoterminowy kredyt. Chyba że siedzi w kieszeni Cole’a Farringtona, wtedy będzie bieda. Cokolwiek jednak się stanie, najlepszego pomocnika mam tutaj.

Spróbowałem zmierzić włosy Henry’emu, ale odsunął się, zażenowany.

– Cóż, mam zatem sporo wiadomości dla pana Lestera, prawda? Żadna z nich mu się nie spodoba, ale jeśli jest taki mądry, jak mu się wydaje, zorientuje się, że pani James zawita do jego biura, i to raczej wcześniej niż później. Ludzie zwykle pojawiają się dość niespodziewanie, kiedy zaczyna im brakować floty, prawda?

– Znam to z życia – odparłem. – Ale jeśli już skończyliśmy, szeryfie, to chciałbym wracać z chłopakiem do pracy. Bezużyteczna studnia za oborą powinna być zasypana trzy

lata temu. Jedna z moich krów, stara...

– Elpis – wtrącił Henry głosem, jakby mówił przez sen. – Nazywa się Elpis.

– Elpis – potwierdziłem. – Wydostała się jakoś z obory i wlaźła na pokrywę, a ta pękła. Na dodatek Elpis nie zdechła. Musiałem ją zastrzelić. Chodźmy za oborę, to pokażę ci skutki lenistwa, bo jedna noga jeszcze jej wystaje. Pogrzebiemy ją tam, gdzie zdechła, i od tej pory będę nazywał starą studnię Głupotą Wilfreda.

– Bardzo chętnie, prawda? To coś wartego zobaczenia, ale czeka na mnie sędzia o paskudnym charakterze. Innym razem. – Mościł się w samochodzie i mówił jednocześnie: – Dziękuję za lemoniadę i za ogromną uprzejmość. Mogliście być znacznie mniej mili, biorąc pod uwagę, kto mnie przysłał.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Każdy z nas ma swoją pracę.

– I własne krzyże do dźwigania. – Przenikliwe spojrzenie jego oczu ponownie spoczęło na Henrym. – Pan Lester powiedział mi, że coś ukrywasz, synu. Był tego pewny. I tak było, prawda?

– Tak, proszę pana – przyznał Henry obojętnym, ale w pewien sposób nieprzyjemnym głosem. Jakby uszły z niego wszystkie emocje, niczym cała zawartość z puszki Pandory. I to razem z Elpis, nadzieją, dla niego i dla mnie. Nasza Elpis leżała martwa w studni.

– Kiedy mnie zapyta, powiem mu, że się mylił – powiedział szeryf Jones. – Prawnik z jakiejś firmy nie musi wiedzieć, że matka uderzyła syna, kiedy była pijana. – Sięgnął pod siedzenie, wyciągnął narzędzie w kształcie litery „S”, które dobrze znałem, i podał je Henry’emu. – Pomożesz staremu człowiekowi, synu?

– Tak, chętnie, proszę pana. – Henry wziął korbę i przeszedł na przód samochodu.

– Uważaj na nadgarstek! – zawołał Jones. – Kopie jak byk! – A potem obrócił się do mnie. Błysk wścibstwa zniknął z jego oczu. Podobnie jak ich zieleń. Teraz wyglądały na posępne i szare, przypominały wody jeziora w pochmurny dzień. Patrzyłem na twarz człowieka, który potrafił pobić do nieprzytomności włóczęgę i nigdy nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. – James – odezwał się. – Muszę cię o coś zapytać. Jak mężczyzna mężczyzną.

– W porządku – odpowiedziałem. Próbowałem wziąć się jakoś w karby, bo przeczuwałem, jak zabrmi jego pytanie: „Czy we wspomnianej studni jest jeszcze jedna krowa? Taka o imieniu Arlette?”. Ale myliłem się.

– Jeśli chcesz, mogę rozesłać za nią telegrafem list gończy z nazwiskiem i rysopisem. Nie dotarła dalej niż do Omaha, prawda? Nie ze stu osiemdziesięcioma dolcami. I jako kobieta, która większość życia przesiedziała w kuchni, nie będzie umiała się ukryć. Na pewno wynajęła pokój w pensjonacie po wschodniej stronie, gdzie nie liczą drogo. Mógłbym ci ją przywieźć z powrotem. Albo przywlec za włosy, jeśli zechcesz.

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja, ale...

Posępne oczy wpatrywały się we mnie.

– Zastanów się, zanim powiesz „tak” albo „nie”. Czasami trzeba przemówić babie do rozsądku ręką, jeśli wiesz, o czym mówię, potem chodzi jak w zegarku. Parę kijów potrafi złagodzić babski charakter. Przemyśl to.

– Przemyślę.

Silnik maxwella ożył z rykiem. Wyciągnąłem rękę – tę samą, którą podciąłem jej gardło – ale szeryf Jones tego nie zauważył. Był zbyt zajęty sprzęgłem, a potem pedałem gazu.

Dwie minuty później stał się jedynie tumanem kurzu na polnej drodze, który tym razem się od nas oddalał.

– Nawet nie chciał popatrzeć – dziwił się Henry.

– Nie.

A to okazało się dla nas bardzo pomyślne.

* * *

Kiedy ujrzelśmy zbliżającą się do nas kurzawę na drodze, zaczęliśmy szybciej machać łopatami, dzięki czemu ze studni nie wystawało już nic oprócz zadniej nogi Elpis. Kopyto znajdowało się około metra dwudziestu poniżej otworu studni. Muchy okrążały je chmurami. Szeryf pewnie podziwiałby naszą robotę, to jasne, ale zdziwiłby się bardzo, gdy ziemia wokół sterczącego kopyta zaczęłaby się unosić i opadać.

Henry upuścił łopatę i chwycił mnie za ramię. Popołudnie było upalne, ale on miał ręce zimne jak lód.

– To ona! – wyszeptał. Jego oczy powiększyły się do niewiarygodnych rozmiarów. – Próbuje się wydostać!

– Przestań, do cholery, zachowywać się jak matoł – powiedziałem, ale sam nie mogłem oderwać wzroku od kręgu powstającego na powierzchni ziemi. Można było pomyśleć, że studnia ożyła i patrzymy na bicie jej ukrytego serca.

Ziemia i kamienie rozprysły się na boki i z dziury wylazł szczur. Jego ślepia, czarne jak krople ropy naftowej, zamrugały w słonecznym świetle. Był niemal tak duży jak dorosły kot. Do wąsów przyczepił mu się zakrwawiony kawałek jutowego worka.

– Ożeż ty fiucie! – wrzasnął Henry.

Coś zaświszczało o kilka centymetrów od mojego ucha i kiedy szczur podnosił wzrok w oszołomieniu, ostrze łopaty rozłupało jego łeb na dwoje.

– Ona go wysłała – powiedział Henry, wykrzywiając usta. – Teraz szczury są jej.

– Mówisz głupstwa. Jesteś po prostu wytrącony z równowagi.

Upuścił łopatę i poszedł do sterty kamieni, które odłożyliśmy do wykończenia studni, gdy napelnimy ją już ziemią. Usiadł i zaczął patrzeć na mnie z natężoną uwagą.

– Jesteś pewny? Jesteś przekonany, że nie będzie nas straszyla? Ludzie mówią, że ci, których zamordowano, wracają, żeby straszyc tych, którzy...

– Ludzie mówią wiele rzeczy. Piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, zbite lustro oznacza siedem lat nieszczęścia, pokrzykiwanie lelka o północy zapowiada śmierć w rodzinie. – Mój głos brzmiał spokojnie, gdy wpatrywałem się w szczura rozciętego na pół jego łopata. I w kawałek pokrwawionego worka. Z jej głowy. Nadal miała go przecież na sobie tam, w ciemności, tyle że teraz była w nim dziura, przez którą wystawały włosy. Wszystkie martwe kobiety będą chciały tak wyglądać tego lata, pomyślałem.

– Kiedy byłem mały, naprawdę wierzyłem, że jeśli nadepnę na szparę w podłodze, to skręcę mamie kark – odezwał się Henry z lekkim rozbawieniem.

– A widzisz?

Wstał, otrząsał tyłek z kurzu i stanął przy mnie.

– Ale dorwałem go... dorwałem tego fiuta, prawda?

– Jak cholera! – Ponieważ jednak nie spodobało mi się to, co powiedziałem... nie, w ogóle mi się nie spodobało... poklepałem go po plecach.

Henry nadal się uśmiechał.

– Gdyby szeryf przyszedł tutaj popatrzeć, tak jak go prosiłeś, i zobaczył tego szczura wyłazącego na powierzchnię, miałyby pewnie kilka dodatkowych pytań, nie uważasz?

Coś w tym wyobrażeniu sprawiło, że Henry zaczął się histerycznie śmiać. Potrzebował czterech, pięciu minut, żeby się wyśmiać, i zanim wreszcie się uspokoił, wystraszył całe stado ptaków siedzących na płocie, który odgradza kukurydzę od krów. Kiedy skończyliśmy robotę, słońce już zaszło i ze strychu obory dochodziły nas pohukiwania sów wyruszających przed wschodem księżyca na łowy. Kamienie na powierzchni zasypanej studni były ściśle ułożone i moim zdaniem żadnemu szczurowi nie udało się stamtąd wydostać. Nie zawracaliśmy sobie głowy kładzeniem nowej pokrywy, nie było takiej potrzeby Henry robił wrażenie, jakby znowu był sobą. Pomyślałem, że tej nocy będziemy mocno spali.

– Co powiesz na kielbasę, fasolę i chleb kukurydziany? – zapytałem.

– Mogę uruchomić generator i włączyć w radiu *Hayride Party*?

– Jasne, że możesz.

Uśmiechnął się na te słowa dawnym wesołym uśmiechem.

– Dzięki, tato.

Przygotowałem tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla czterech ludzi, ale sami zjedliśmy wszystko.

* * *

Dwie godziny później, kiedy siedziałem wygodnie w fotelu w salonie i czytałem *Silasa Marnera*, Henry wyszedł ze swojego pokoju ubrany jedynie w majtki. Popatrzył na mnie trzeźwo.

– Mama zawsze nalegała, żebym mówił pacierz, wiedziałeś o tym?

Zamrugałem powiekami, zaskoczony.

– Zawsze? Nie, nie wiedziałem.

– Tak, nawet wtedy, gdy nie patrzyła już na mnie, jeśli nie miałem na sobie majtek, bo mówiła, że jestem za duży i to byłoby niewłaściwe. Ale czy mogę się jeszcze modlić, czy kiedykolwiek będę mógł się modlić? Jestem pewny, że kiedy uklęknę, Bóg porazi mnie śmiercią.

– Jeśli jakiś istnieje – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że nie. Bylibyśmy wtedy sami, ale mam nadzieję, że go nie ma. Wyobrażam sobie, że wszyscy mordercy się łudzą, że on nie istnieje. Bo jeżeli nie ma raju, to nie ma też piekła.

– Synu... to ja ją zabiłem.

– Nie – odpowiedział. – Zrobiliśmy to razem.

To nie była prawda – on był jeszcze dzieckiem, a ja go w to wciągnąłem – ale dla niego sprawa właśnie tak się przedstawiała i pewnie nic już tego nie zmieni.

– Ale nie musisz się o mnie martwić, tato. Wiem... pewnie myślisz, że się wygadam... prawdopodobnie przed Shannon. Albo że z powodu wyrzutów sumienia pojedę do Hemingford i wyznam to szeryfowi.

Podobne myśli, rzecz jasna, przyszły mi do głowy.

Henry pokręcił głową, wolno i demonstracyjnie.

– Ten szeryf... widziałeś, jak na wszystko patrzył. Widziałeś jego oczy?

– Tak.

– On będzie próbował posadzić nas obu na krześle elektrycznym, tak właśnie uważam, i nieważne, że skończę piętnaście lat dopiero w sierpniu. On wtedy przyjdzie i też będzie patrzył tymi swoimi zimnymi oczami, kiedy przywiążą nas i...

– Przestań, Hank. Wystarczy.

Ale dla niego to było za mało.

– ...i nacisną kontakt. Jeśli tylko mogę coś zrobić, nigdy do tego nie dopuszczę. Te oczy nie będą ostatnią rzeczą, na jaką będę patrzył. – Zamyślił się na chwilę i dodał: – Nigdy, naprawdę. Przenigdy.

– Idź do łóżka, Henry.

– Hank.

– Hank. Idź do łóżka. Kocham cię.

Uśmiechnął się.

– Wiem, ale na to nie zasługuję. – Poczłapał do siebie, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

* * *

*I tak tedy spać**, jak powiedziała Pepys. Spaliśmy, podczas gdy sowy polowały, a Arlette siedziała w zupełnej ciemności, z dolną częścią twarzy przesuniętą krowim kopytem. Następnego dnia słońce wzeszło, dzień był łaskawy dla kukurydzy, a my zajęliśmy się własnymi obowiązkami.

Kiedy zgrzany i zmęczony przyszedłem do domu, żeby przygotować coś na południowy posiłek, zastałem na werandzie zakryty talerz z casserole. Spod niego wystawał brzeg kartki. Napisano na niej: *Wilf – bardzo Ci współczujemy z powodu kłopotów, jakie masz, i możesz liczyć na naszą wszelką pomoc. Harlan mówi, żebyś się nie martwił płaceniem za kombajn w to lato. Daj nam znać, gdybyś miał jakieś wiadomości od żony. Uściski, Sallie Cotterie. PS. Kiedy Henry przyjdzie do Shan, dam mu dla Was ciasto z jagodami.*

Schowałem list w kieszeni na piersiach farmerek i uśmiechnąłem się. Zaczęło się nasze życie bez Arlette.

* * *

Jeśli Bóg nagradza nas na ziemi za dobre uczynki – tak sugeruje Stary Testament, a purytanie są o tym święcie przekonani – to może szatan odwdzięcza się nam za złe. Nie potrafię tego stwierdzić z całą pewnością, ale mogę powiedzieć, że było to dobre lato, z mnóstwem słońca dla kukurydzy i wystarczającą ilością deszczu dla roślin w zajmującym akr ogrodzie warzywnym. W niektóre popołudnia grzmiało i były pioruny, ale nie było porywistych wiatrów niszczących plony i stanowiących postrach farmerów na Środkowym Zachodzie. Harlan Cotterie przyjechał kombajnem, który nie zepsuł się ani razu. Bałem się, że przedsiębiorstwo Farringtona zacznie się mieszać do moich spraw, ale tak się nie stało. Bez problemów dostałem pożyczkę w banku, którą w pełni spłaciłem do października, bo tego roku ceny kukurydzy były fantastycznie wysokie, a opłaty za przewóz ziarna koleją spadły do bardzo niskiego poziomu. Jeśli znacie historię własnego kraju, to wiecie, że te dwie wielkości – cena producenta i opłaty za transport – zamieniły się miejscami w 1923 roku i od tamtego czasu już takie pozostały. Dla tutejszych farmerów wielki kryzys gospodarczy zaczął się następnego lata, gdy nastąpił krach na giełdzie rolniczej w Chicago. Ale w 1922 roku sytuacja była wymarzona dla każdego rolnika. Tylko jeden incydent zakłócił sielankę, a wiązał się z kolejną krowią boginką, ale o tym opowiem niebawem.

Pan Lester pojawił się dwukrotnie. Wiercił nam dziurę w brzuchu, ale nie miał na nas żadnych konkretnych zarzutów i musiał o tym wiedzieć, bo tamtego lipca wyglądał na zgębnionego. Wyobrażam sobie, że jego szefowie z kolei wiercili dziurę w brzuchu jemu, a on był jedynie jakby pośrednikiem. Albo próbował być. Za pierwszym razem zasypał nas pytaniami, które tak naprawdę w ogóle nie były pytaniami, tylko insynuacjami. Czy moim zdaniem żona miała wypadek? Na pewno miała wypadek, bo w przeciwnym razie by się z

* *Dziennik Samuela Pepysa*, przeł. Maria Dąbrowska, PIW, Warszawa 1978.

nim skontaktowała, żeby zamienić na gotówkę sto akrów po ojcu, albo z podwiniętym (metaforycznie) ogonem wróciłaby na farmę. Może straciła rozum dla jakiegoś aktorzyzny spotkanego po drodze – i co ja na to? Takie rzeczy się zdarzają od czasu do czasu. I byłoby mi to nadzwyczaj na rękę, no nie?

Za drugim razem kiedy się zjawił, wyglądał na zdesperowanego i w równym stopniu przygnębionego. Natychmiast przeszedł do rzeczy. Czy żona miała wypadek tu, na farmie? Czy to się właśnie stało? Czy dlatego nie widziano jej nigdzie żywej lub martwej?

– Panie Lester – powiedziałem. – Jeżeli pyta pan, czy zamordowałem żonę, odpowiedź brzmi „nie”.

– To jasne, że tak odpowiedziałby pan na to pytanie, prawda?

– To ostatnie pytanie, jakie mi pan zadał. Proszę wsiąść do ciężarówki, odjechać i nigdy tu nie wracać. A jeśli pan wróci, potraktuję pana trzonkiem od siekiery.

– Poszedłby pan do więzienia za napaść!

Tego dnia miał na sobie celuloidowy kołnierzyk, który całkiem się przekrzywił. Niemal można było biedakowi współczuć, gdy tak stał z kołnierzykiem wrzynającym się w brodę, a pot spływał mu strużkami po nalanej twarzy pokrytej kurzem. Usta go świerzbiły, oczy wychodziły z orbit.

– Nic takiego się nie stanie – odpowiedziałem. – Ostrzegłem pana, by nie zbliżał się pan do mojej ziemi, bo mam do tego prawo, i zamierzam wysłać listem poleconym oświadczenie takiej treści do pańskiej firmy. Jeśli pan znowu tu przyjedzie, uznam to za bezprawne wtargnięcie na teren prywatny i pana sflukę. Proszę uważać to za ostrzeżenie.

Lars Olsen, który i tym razem przywiózł Lestera swoją red baby, przyłożył dłonie do uszu, żeby lepiej słyszeć.

Kiedy Lester doszedł do ciężarówki bez drzwi, wyciągnął ramię z wysuniętym palcem wskazującym, jak adwokat na sali rozpraw, któremu chodzi o lepszy efekt teatralny.

– Moim zdaniem pan ją zabił! I wcześniej czy później to morderstwo wyjdzie na jaw!

Henry – albo Hank, jak wolał teraz być nazywany – wyszedł z obory. Przetrzasał siano i trzymał widły przy piersi niczym wartownik na posterunku karabin.

– A ja myślę, że powinien pan stąd odjechać, zanim przytrafi się panu coś złego! – krzyknął.

Greczny i raczej wstydlivy chłopak, którego znałem do lata 1922 roku, nigdy by czegoś takiego nie powiedział, ale teraz mój syn to właśnie zrobił i Lester wiedział, że nie rzuca słów na wiatr. Nie mając drzwi, które mógłby zatrzasnąć, zajął miejsce w ciężarówce i skrzyżował ramiona na piersi.

– Wpadaj, kiedy zechcesz, Lars – odezwałem się przyjaźnie. – Ale jego nie przywoź, niezależnie od tego, ile ci zaoferuje za transport swego tłustego dupska.

– Nie, nie przywiozę, panie James – odpowiedział Lars i odjechali.

Obróciłem się do Henry’ego.

– Pchnąłbyś go widłami?

– Pewnie. Piszcząłby jak baba – powiedział bez uśmiechu i wrócił do obory.

* * *

Ale tego lata czasem się uśmiechał, a powodem była Shannon Cotterie. Bardzo często się z nią spotykał (częściej, niż byłoby to dobre dla nich obojga, ale o tym przekonałem się dopiero jesienią). Zaczęła do nas przychodzić we wtorkowe i czwartkowe popołudnia, w długich spódnicach i damskim czepku, taszcząc ze sobą kosz ze smakołykami. Powiedziała, że wie, „jak mężczyźni gotują” – jakby miała trzydzieści lat, a nie piętnaście – i dodała, że dopilnuje, byśmy przynajmniej dwa razy w tygodniu jedli przyzwoite posiłki. Choć dla porównania miałem tylko jedno casserole ugotowane przez jej matkę, muszę przyznać, że choć nastolatka, Shannon była zawołaną kucharką. Razem z Henrym rzucaliśmy po prostu steki na patelnię. Ona zaś samymi przyprawami sprawiała, że zwykłe łykowane mięso stawało się pyszne. Przynosiła świeże warzywa – ale nie jakąś tam marchewkę i groszek, tylko rzeczy egzotyczne (dla nas), jak szparagi i bób, które gotowała z perłową cebulą i bekonem. Zdarzały się nawet desery. Mogę zamknąć oczy i poczuć w tym zapyziałym pokoju hotelowym zapach pieczonego ciasta. Widzę ją stojącą przy blacie kuchennym, jak kołysze okazałymi biodrami, ubijając jajka albo śmietanę.

„Pokaźne” to dobre słowo dla opisanja Shannon: takie były jej biodra, piersi i serce. Nie dorównywała Henry’emu intelektualnie, daleko jej było do tego, ale cechowała ją łagodność i zależało jej na nim. A przez to mnie zależało na niej... tylko że to zbyt delikatna sprawa, czytelniku. Kochałem ją i oboje kochaliśmy Henry’ego. Po tych wtorkowych i czwartkowych obiadach upierałem się, że pozmywam, a młodych wysyłałem na werandę. Czasem słyszałem, jak rozmawiają szeptem, i do nich zaglądałem. Siedzieli obok siebie na wiklinowych fotelach, patrzyli na pole na zachodzie, trzymając się za ręce niczym stare małżeństwo. Zdarzało się, że podglądałem, jak się całowali, i w tym nie było nic, co przypominałoby stare małżeństwo. W ich pocałunkach widać było wzruszający pośpiech, który jest typowy tylko dla bardzo młodych ludzi. Odchodziłem wtedy ukradkiem z bólem w sercu.

W któreś gorące wtorkowe popołudnie Shannon przyszła wcześniej. Jej ojciec był na naszym północnym polu i zbierał kukurydzę kombajnem, Henry mu pomagał. Za nimi szła grupa Indian z rezerwatu Szoszonów z Lyme Biska, za nimi z kolei Stara Sroka jechał ciężarówką, na którą ładowali zbiory. Shannon poprosiła o chochlę zimnej wody, którą jej chętnie przyniosłem. Stała przy zacienionej stronie domu, jakby nic nie robiła sobie z upału, choć była ubrana w obszerną sukienkę, która okrywała ją od szyi po połowę łydek i od ramion po nadgarstki – niemal kwakiarski strój. Zachowywała się bardzo poważnie, może nawet się bała, a przez chwilę ja sam przestraszyłem się siebie. Powiedział jej, pomyślałem. Okazało się jednak, że nie była to prawda. Choć pod pewnym względem to była prawda.

– Czy Henry jest chory, panie James?

– Chory? Dlaczego? Jest zdrow jak koń. I je jak koń. Sama to wiesz. Inna rzecz, Shannon, że nawet człowiek chory nie odmówiłby posiłku, który ty przygotowałaś.

Dzięki temu zyskałem jej uśmiech, ale był on raczej odruchowy.

– Tego lata jest jakiś inny. Zawsze wiedziałam, co mu chodzi po głowie, ale teraz już nie. Ciągłe jest zamyślony.

– Naprawdę? – zapytałem (zbyt serdecznie).

– Nie zauważył pan?

– Nie, panienko. (Zauważyłem). Wydaje mi się taki sam jak zawsze. Ale bardzo przejmuję się tobą, Shan. Może to, co wydaje ci się zamyśleniem, dla niego jest usychaniem z miłości.

Pomyślałem, że teraz zyskam szczerą uśmiech, ale nie. Wzięła mnie za nadgarstek. Dłoń miała zimną od chochli.

– Brałam to pod uwagę, ale... – Resztę wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Jeśli podkochiwałby się w kimś innym, panie James, w jednej z dziewczyn ze szkoły, powiedziała mi pan o tym, prawda? Nie chciałby pan oszczędzić mi rozczarowania?

Roześmiałem się na te słowa. Widziałem, jak jej pospolita, ale miła dla oka twarz rozpromienia się ulgą.

– Posłuchaj mnie, Shan. Bo jestem twoim przyjacielem. Lato to zawsze czas ciężkiej pracy, a teraz, gdy Arlette odeszła, Hank i ja musimy się uwijać bardziej niż jednoręki tapeciarz. Kiedy wracamy wieczorem, jemy coś, coś pysznego, jeśli akurat tu jesteś, i potem czytamy przez godzinę. To znaczy jeśli oczy same się nam nie zamykają. Czasami opowiada, jak bardzo tęskni za mamą. Później idziemy do łóżek, a następnego dnia wstajemy i wszystko powtarza się od początku. On ma ledwie trochę czasu, żeby zalecać się do ciebie, a co dopiero mówić o innej dziewczynie.

– Zaleca się do mnie, to prawda – powiedziała i popatrzyła w kierunku ojcowego kombajnu przesuwającego się na linii horyzontu.

– Cóż... to chyba dobrze?

– Myślałam po prostu... jest teraz taki wyciszony... markotny... czasami patrzy gdzieś w dal i muszę dwa, trzy razy powtarzać jego imię, zanim mnie usłyszy i odpowie. – Zarumieniła się mocno. – Nawet jego pocałunki wydają się inne. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale tak jest. Tylko jeśli pan mu o tym powie, to chyba umrę. Po prostu umrę.

– Nigdy mu nie powiem – zapewniłem ją. – Przyjaciele nie śpią przyjaciół.

– Pewnie zachowuję się jak idiotka. To jasne, że tęskni za mamą, wiem o tym. Ale w szkole jest tyle dziewczyn ładniejszych ode mnie... właściwie wszystkie...

Uniosłem jej podbródek, żeby na mnie popatrzyła.

– Shannon Cotterie, kiedy mój chłopak patrzy na ciebie, widzi najpiękniejszą dziewczynę na świecie. I nie myli się. Boże, gdybym miał teraz jego lata, sam bym się do ciebie zalecał!

– Dziękuję – odpowiedziała. Łzy niczym maleńkie brylanty zalśniły w kąciakach jej oczu.

– Wszystko, co musisz zrobić, to przypominać mu, gdzie jest jego miejsce, kiedy o tym zapomni. Chłopcy bardzo łatwo się denerwują, rozumiesz. Jeśli twoim zdaniem się myślę, powiedz mi o tym. To kolejna rzecz, która jest na porządku dziennym między przyjaciółmi.

Objęła mnie, a ja ją. To był mocny uścisk, ale pewnie lepszy w skutkach dla Shannon niż dla mnie. Bo między nami stała Arlette. Tamtego lata 1922 roku stała między mną i wszystkimi ludźmi. I tak samo działo się z Henrym. Shannon właśnie mi o tym powiedziała.

* * *

Którejś nocy w sierpniu, gdy żniwa zostały zakończone, a opłacona ekipa Starej Sroki wróciła do rezerwatu, obudziło mnie niskie muczenie krów. Zasnęłam na dojenie, pomyślałam, ale kiedy spojrzałam na cebulę ojca, którą namacałam na szafce nocnej, okazało się, że jest piętnaście po trzeciej nad ranem. Przystawiłem zegarek do ucha, żeby sprawdzić, czy chodzi, ale jeden rzut oka na okno, za którym panowały egipskie ciemności, wystarczył. Poza tym nie było to umiarkowanie przykre porykiwanie krowy, której wymię jest pełne mleka. To był dźwięk wydawany przez cierpiące zwierzę. Krowy ryczą czasami w taki sposób, gdy się cielą, ale nasze boginie ten etap życia miały już dawno za sobą.

Wstałem, ruszyłem w kierunku wyjścia, ale zaraz wróciłem do szafy po dwudziestkędwójkę. Słyszałem chrapanie Henry’ego za zamkniętymi drzwiami jego pokoju, gdy pośpiesznie mijałem je ze strzelbą w jednej ręce i butami w drugiej. Miałem nadzieję, że go nie obudzę i że nie będzie chciał się do mnie przyłączyć w tej być może niebezpiecznej eskapadzie. Do tamtych czasów na równinach została jedynie garstka wilków, ale Stara Sroka powiedział mi, że wśród lisów na Platte i przy strumieniu Medicine szerzą się letnie torsje. W ten sposób Szoszoni nazywali wściekliznę. Było bardzo prawdopodobne, że takie chore na wściekliznę stworzenie pokąsało krowę.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, rozdzierający ryk stał się bardzo głośny i w pewien sposób jakby głuchy. To echo. Jak krowa w studni, pomyślałem. To skojarzenie sprawiło, że skóra ścierpła mi na ramionach i mocniej ścisnąłem strzelbę.

Kiedy doszedłem do drzwi obory i ramieniem otworzyłem prawe skrzydło, usłyszałem, jak pozostałe krowy zaczynają muczeć w odruchu współczucia, ale ich głosy były spokojne w porównaniu z tymi przejmującymi rykami, które mnie obudziły... i pewnie obudzą Henry’ego, jeśli nie ustalę ich przyczyny. Po prawej stronie drzwi wisiała lampa łukowa – staraliśmy się nie używać otwartego ognia w oborze, zwłaszcza latem, gdy cały strych wypełniało siano i kolby kukurydzy, upchane pod sam dach.

Namacałem i nacisnąłem włącznik. Rozbłysnął krąg białoniebieskiego światła. W pierwszej chwili zbyt mnie oślepił, żebym mógł cokolwiek dojrzeć. Słyszałem jedynie pełne bólu porykiwania i dudnienie kopyt jednej z naszych boginek, próbującej uciec od swego

prześladowcy. To była Achelois. Kiedy wzrok trochę mi się dostosował, zobaczyłem, że potrząsała łbem na boki, cofała się, aż dotarła zadem do drzwi boksu – trzeciego od prawej, kiedy szło się od wejścia – a potem znowu nacierała do przodu. Pozostałe krowy zaczęły powoli wpadać w panikę.

Podciągnąłem spodnie, a potem podbiegłem na palcach do boksu, z dwudziestkądwójką pod lewym ramieniem. Otworzyłem drzwi i cofnąłem się. Imię Achelois oznacza „tę, która oddała ból”, ale ta Achelois cierpiała potwornie. Kiedy wybiegła z boksu, zobaczyłem, że jej tylne nogi pochłapane są krwią. Zarżała jak koń (czego nigdy nie słyszałem u krowy), a po chwili spostrzegłem ogromnego szczura wędrownego przyczepionego do jej wymienia. Jego ciężar rozciągał różowy sutek na całej długości. Zamarłem zaskoczony (i przerażony), przypomniało mi się, jak Henry w dzieciństwie wyciągał z buzi różową gumę balonową. „Nie rób tego – ofukiwała go Arlette. – Nikt nie chce oglądać tego, co żujesz”.

Uniosłem strzelbę, ale zaraz ją opuściłem. Jak mógłbym strzelać, skoro szczur kołysał się przy sutku niczym wahadło zegara?

Już w przejściu Achelois ryczała i potrząsała głową na boki, jakby to mogło jej w jakiś sposób pomóc. A ponieważ stała teraz na wszystkich czterech nogach, szczur mógł znaleźć oparcie na zasypanej sianem podłodze obory. Przypominał jakiegoś dziwnego szczeniaka z kropelkami mleka zabarwionego krwią na wąsach. Wzrokiem poszukałem czegoś, czym mógłbym go uderzyć, ale zanim chwyciłem miotłę, którą Henry zostawił opartą o boks Femonoe, Achelois zaryczała ponownie, a szczur upadł na ziemię. W pierwszej chwili pomyślałem, że po prostu się odczepił, ale zaraz potem zobaczyłem różowy pomarszczony kikut sterczący mu z pyska, jak cygaro zrobione z ciała. Ten przekłety gryzoń urwał po prostu sutek Achelois. Krowa oparła łeb o jedną z belek i muczała zmęczonym głosem, jakby chciała powiedzieć: „Przez te wszystkie lata dawałam ci mleko i nie sprawiałam kłopotów, nie tak jak niektóre krowy, dlaczego zatem pozwalasz, by przydarzyło mi się coś takiego?”. Krew płynęła jej z podbrzusza. Mimo szoku i nudności zdałem sobie sprawę, że nie zdechnie od ran, ale jej widok – i szczura z jej sutkiem w pysku – sprawił, że jednocześnie wpadłem we wściekłość.

Nadal do niego nie strzelałem, bo bałem się trochę, że zaproszę ogień, ale przede wszystkim dlatego, że trzymając w jednej ręce lampę łukową, miałem niewielką szansę go trafić. Zamiast tego opuściłem kolbę w nadziei, że zabiję nią intruza, podobnie jak Henry zabił łopata szczura ocalałego w studni. Ale Henry był młody, miał dobry refleks, a ja dobiegałem już średniego wieku i zostałem przed chwilą wyrwany z głębokiego snu. Szczur łatwo mi się wymknął i pobiegł na środek przejścia. Odgryziony sutek sterczał mu z pyska i dopiero wtedy dotarło do mnie, że w trakcie ucieczki pożerał ciepłe mięso, bez wątplenia wypełnione mlekiem. Zacząłem go gonić i jeszcze dwukrotnie próbowałem uderzyć, chybając za każdym razem. Wtedy zorientowałem się, dokąd uciekał: do rury prowadzącej do starej studni do pojenia bydła. Oczywiście! Szczurzy Bulwar! Ponieważ studnia została

zasypana, istniało tylko to wyjście. Bez niego będą pochowane żywcem. Pochowane z nią.

Ale na pewno, pomyślałem, to stworzenie jest za duże na tę rurę. Musiało przyjść z zewnątrz – może z gniazda w stercie nawozu.

Szczur skoczył w otwór, a kiedy to robił, jego ciało rozciągnęło się w niesamowity sposób. Po raz ostatni walnąłem kolbą lichej strzelby, tym razem w otwór rury. W szczura, rzecz jasna, nie trafiłem. Gdy przysunąłem lampę do wlotu, widziałem przez chwilę jego bezwłosy ogon podążający w ciemność i słyszałem drapanie pazurków o galwanizowany metal. A potem zniknął. Serce waliło mi jak młotem, przed oczami zawirowały białe plamki. Wciągnąłem głęboko powietrze, ale razem z nim również smród rozkładu, tak silny, że przewróciłem się do tyłu, zatykając nos ręką. Odruch wymiotny stłumił we mnie chęć krzyku. Mając nozdrza pełne smrodu, oczami wyobraźni zobaczyłem Arlette z drugiej strony rury. W jej ciele, teraz w stanie zupełnego rozkładu, roily się robaki i czerwie. Widziałem jej twarz odpadającą od czaszki, skrzywienie ust w uśmiechu, ustępujące trwalszemu wyszczerzeniu kości znajdujących się pod spodem.

Na czworakach odczołgałem się od wlotu rury, rozchlapując wymiociny najpierw po prawej, potem po lewej stronie, a kiedy zwróciłem kolację, wypluwałem jeszcze długie nici żółci. Załzawionymi oczami widziałem Achelois człapiącą do swojego boksu. To dobrze. Nie musiałem przynajmniej uganiać się za nią po polu, zakładać jej kółka na nos i sprowadzać do obory.

Najpierw chciałem bowiem zatkać rurę – i chciałem to zrobić przede wszystkim – ale kiedy mdłości ustały, zacząłem trzeźwiej myśleć. Achelois była najważniejsza. Dawała dużo mleka. Ponadto była pod moją opieką. W niewielkiej pakamerze, gdzie czasami podczytywałem książki, trzymałem też apteczkę, w której teraz znalazłem wielką puszkę z balsamem antyseptycznym. W rogu leżała duża sarta czystych szmat. Wziąłem połowę z nich i poszedłem do boksu Achelois. Zamknąłem drzwi, żeby zminimalizować (choć nie wyeliminować zupełnie) ryzyko, że mnie kopnie, i usiadłem na stołku do dojenia. Jakaś część mnie uważała, że zasłużyłem na kopniaka. Ale pocziwa stara Achelois stała nieruchomo, kiedy pogłodziłem ją po boku i wyszeptalem: „Cicho, mućka, już dobrze”. I choć drżała, gdy smarowałem jej poranione wymię, nie poruszyła się.

Gdy zrobiłem już, co mogłem, żeby zapobiec infekcji, wytarłem szmatami wymiociny. Należało to zrobić bardzo starannie, bo każdy farmer powie wam, że ludzkie rzygi przyciągają drapieźniki tak samo silnie jak dół z odpadkami, który nie został właściwie zakryty. Szopy, świstaki, ale przede wszystkim szczury. Szczury uwielbiają resztki zostawiane przez ludzi.

Zostało mi kilka szmat, ale ponieważ były to stare ścierki kuchenne Arlette, okazały się za cienkie do mojego kolejnego zadania. Z haka zdjąłem sierp, oświetliłem sobie drogę do sterty drewna i wyciąłem kwadrat z grubego brezentu, który ją okrywał. Kiedy wróciłem do obory, pochyliłem się i trzymając lampę blisko wlotu rury, postarałem się upewnić, czy

szczur (ten albo inny, bo jeśli pokazuje się jeden, zawsze ma liczne towarzystwo) nie czai się tuż za nim, gotów bronić swojego terytorium, ale jak głęboko sięgałem wzrokiem, czyli mniej więcej na metr dwadzieścia, rura okazała się pusta. Nie zobaczyłem tam też szcurzych bobków, co mnie wcale nie zdziwiło. Była to ruchliwa trasa – teraz ich jedyna ścieżka – więc nie przesiadywały w środku, skoro mogły załatwić to na zewnątrz.

Wepchnąłem brezent w rurę. Był sztywny i nieporęczny, musiałem posłużyć się kijem od szczotki, żeby włożyć do środka.

– Mam was – powiedziałem. – Zobaczmy, jak się wam to spodoba. Udławcie się tym.

Poszedłem jeszcze raz do Achelois. Stała spokojnie i gdy ją pogłaskałem, posłała mi ponad barkiem łagodne spojrzenie. I wtedy wiedziałem, i teraz wiem, że była jedynie krową – farmerzy mają specyficznym romantyczny stosunek do matki natury – ale jej spojrzenie wywołało łzy w moich oczach. Stłumiłem jednak płacz. „Wiem, że próbowałaś sobie poradzić najlepiej, jak umiesz – mówiły jej oczy. – Wiem, że to nie twoja wina”.

Ale to była moja wina.

Pomyślałem, że pewnie długo nie zasnę, a jeśli nawet, to będzie mi się śnił szczur biegnący po zasłanych sianem deskach w kierunku wylotu rury, z sutkiem w pysku. Tymczasem jednak zapadłem w sen, zaledwie przyłożyłem głowę do poduszki, i nic mi się nie przyśniło, dobrze odpocząłem. Obudziło mnie światło ranka wlewające się do pokoju i odór gnijącego ciała żony, mocno zalatujący od moich rąk, prześcieradła i poduszki. W jednej chwili usiadłem prosto, ciężko dysząc, ale już świadomy, że smród był jedynie iluzją. Ten smród stał się moim sennym koszmarem. Nie czułem go nocą, lecz o brzasku, gdy było już widno i miałem oczy szeroko otwarte.

* * *

Spodziewałem się, że mimo zastosowanego balsamu pogryzione wymię będzie zainfekowane, ale nic takiego się nie stało. Achelois pożegnałem na zawsze jeszcze tego samego roku, jednak z zupełnie innego powodu. Nigdy potem nie dała już mleka, nawet jednej kropli. Powinienem był ją zarznąć, ale nie miałem do tego serca. Zbyt wiele wycierpiała przeze mnie.

* * *

Nazajutrz wręczyłem Henry’emu listę zakupów i powiedziałem, żeby pojechał po nie ciężarówką do Home. Szeroki uśmiech i oszołomienie pojawiły się na jego twarzy.

– Ciężarówką? Ja? Sam?

– Pamiętasz, jak się wrzuca biegi? I umiesz znaleźć wsteczny?

– Jezu, pewnie!

– No to myślę, że jesteś gotowy. Może jeszcze nie na wyprawę do Omaha, a nawet Lincoln, ale jeśli będziesz jechał wolno, świetnie poradysz sobie w Hemingford Home.

– Dzięki! – Zarzucił mi ramiona na szyję i pocałował w policzek. Przez chwilę wydawało mi się, że znowu jesteśmy przyjaciółmi. Pozwoliłem sobie nawet nieśmiało w to uwierzyć, choć serce podpowiadało mi co innego. Teraz bowiem coś nas dzieliło. Dowód na to spoczywał pod ziemią ale prawda istniała między nami i zawsze już tak miało być.

Dałem mu skórzany portfel z pieniędzmi.

– Należał do twojego dziadka. Równie dobrze ty możesz go mieć. I tak miałem ci go dać na urodziny. W środku są pieniądze. Jeśli zostanie jakaś reszta, należy do ciebie. – Niemal dodałem: „I nie przywoź do domu żadnych psich przybłędów”, ale w porę się powstrzymałem. To była typowa dowcipna uwaga jego matki.

Próbował jeszcze raz mi podziękować, ale nie potrafił. To wszystko go przerastało.

– W drodze powrotnej zatrzymaj się przy kuźni Larsa Olsena i weź paliwa do pełna. I pamiętaj o tym, bo inaczej będziesz dyrdał do domu na piechotę, zamiast siedzieć za kierownicą.

– Nie zapomnę. I... tato?

– Tak?

Przesuwał stopę po ziemi i spojrzał na mnie z wahaniem.

– Czy mogę się zatrzymać u Cotteriech i poprosić Shan, żeby ze mną pojechała?

– Nie – odpowiedziałem, a jemu zrzędała mina, jeszcze zanim zdążyłem dodać: – Zapytasz Sallie lub Harlana, czy Shan może się z tobą zabrać. I musisz się im przyznać, że nigdy wcześniej nie jechałeś samodzielnie do miasta. Masz mi dać na to słowo honoru, synu.

Jakby któremuś z nas został jakiś honor.

* * *

Stałem przy bramie, dopóki nasza stara ciężarówka nie zniknęła za wzniecaną przez siebie kurzawą. W gardle czułem grudę, której nie potrafiłem przełknąć. Miałem głupie, ale bardzo silne przeczucie, że nigdy więcej już go nie zobaczę. Przypuszczam, że to właśnie czują niemal wszyscy rodzice, gdy ich dziecko po raz pierwszy wyrusza gdzieś samodzielnie, bo uświadamiają sobie wtedy, że skoro jest ono wystarczająco duże, by posłać je bez nadzoru z jakimś zadaniem, to znaczy, iż przestało być dzieckiem. Nie mogłem jednak spędzić zbyt dużo czasu na analizowaniu własnych uczuć, czekała mnie ważna praca, a Henry'ego odprawiłem, bo chciałem zająć się nią sam. I tak zobaczy, co przydarzyło się krowie, i na pewno się domyśli, czyja to sprawka, ale przynajmniej tymczasem mogłem mu oszczędzić tej wiedzy.

Najpierw sprawdziłem stan Achelois, która wydawała się apatyczna, lecz poza tym nic jej nie było. Potem zajrzałem do rury. Nadal była zatkana, nie miałem jednak złudzeń – pewnie

długo nie potrwa, zanim szczury w końcu przegryzą się przez brezent. Trzeba było czegoś solidniejszego. Wziąłem worek portlandzkiego cementu, wsypałem go do starego wiadra i przy domowej studni rozrobiłem z wodą. Z powrotem w oborze, czekając, aż stężeje, wepchnąłem brezent jeszcze głębiej w rurę. Udało mi się go wcisnąć na co najmniej pół metra i właśnie te pół metra wypełniłem cementem. Kiedy Henry wrócił (i to w doskonałym nastroju, bo pozwolono mu zabrać Shannon i byli nawet na lodach, kupionych za resztę pieniędzy, które zostały po załatwieniu sprawunków), cement zastygł. Przypuszczam, że kilka szczurów myszkowało na zewnątrz, ale bez wątpienia większość замуrowałem – również tego, który okaleczył biedną Achelois – w ciemnościach rury. I tam, w tych ciemnościach, pozdychają. Jeśli się nie poduszają, to padną z głodu, gdy wyczerpią się zapasy ich niewyobrażalnej spizarni.

Tak wtedy myślałem.

* * *

W latach 1916-1922 nawet głupi farmerzy z Nebraski świetnie prosperowali. Harlanowi Cotteriemu, któremu daleko było do głupoty (i mającemu tylko trzy gęby do wykarmienia), powodziło się jeszcze lepiej niż większości. Jego farma była tego dowodem. W 1919 roku postawił oborę i silos, w 1920 wykopał głęboką studnię, z której można było wypompowywać niewiarygodne dwadzieścia pięć litrów na minutę. Rok później skanalizował dom (choć bardzo rozsądnie zostawił wygodkę). Dzięki temu trzy razy w tygodniu on i jego kobiety mogli rozkoszować się niesłychanym luksusem w tak zapadłej wsi: gorącą kąpielą i prysznicem, a wody nie podgrzewało się w kuchni i nie nosiło wiadrami, tylko leciała z kranu i ściekała potem do studzienki odpływowej. To właśnie za sprawą kąpeli pod prysznicem zdradzony został sekret Shannon Cotterie, choć, jak przypuszczam, ja się go domyślałem, nabrałem zaś pewności od dnia, kiedy powiedziała: „Zaleca się do mnie, to prawda” – a jej głos brzmiał płasko, matowo, zupełnie inaczej niż normalnie, i nie patrzyła na mnie, tylko na sylwetkę kombajnu i na idących za nim zbieraczy.

Wydarzyło się to pod koniec września, gdy z kukurydzą był już spokój na kolejny rok, ale zostało jeszcze mnóstwo do zebrania w ogrodzie. Któregoś sobotniego popołudnia, kiedy Shannon korzystała z dobrodziejstwa prysznica, matka pojawiła się w korytarzu z naręczem prania, które zdjęła ze sznurów, bo zanosilo się na deszcz. Shannon pewnie wydawało się, że dobrze zamknęła drzwi od łazienki – większość kobiet dba o swoją prywatność w podobnej sytuacji, a w końcu lata 1922 roku Shannon miała specjalne powody, żeby tak postępować – ale być może nie dociągnęła zasuwki i drzwi częściowo się uchyliły. Matka przypadkiem tam zerknęła i choć stare prześcieradło służące za zasłonę było rozciągnięte na rurce w kształcie litery „U”, drobiny wody sprawiły, że prześwitywało. Sallie wcale nie musiała widzieć córki, wystarczyło, że zobaczyła jej sylwetkę bez obszernej kwakierskiej sukienki, która doskonale

wszystko maskowała. To wystarczyło. Dziewczyna była w piątym miesiącu lub coś koło tego. Zresztą i tak pewnie nie udałoby się jej dłużej zachować tego w tajemnicy.

Dwa dni później Henry wrócił ze szkoły (teraz jeździł tam ciężarówką) wystraszony i z poczuciem winy wypisanym na twarzy.

– Shan nie było od dwóch dni – powiedział – więc zajrzałem do Cotteriech, żeby zapytać, czy wszystko z nią w porządku. Pomyślałem, że może złapała grype hiszpankę. Nie wpuścili mnie. Pani Cotterie kazała mi jechać i powiedziała, że jej mąż przyjdzie wieczorem porozmawiać z tobą, jak skończy robotę. Kiedy spytałem, czy mógłbym coś zrobić, odpowiedziała: „Zrobiłeś wystarczająco dużo, Henry”.

Wtedy przypomniałem sobie, co powiedziała Shan.

Henry zakrył twarz dłońmi i wyznał mi:

– Ona jest w ciąży, tato. I oni się dowiedzieli. Wiem, że o to chodzi. Chcemy się pobrać, ale boję się, że nam na to nie pozwolą.

– Nie przejmuj się nimi – odpowiedziałem. – Ja ci nie pozwolę.

Spojrzał na mnie załzawionymi oczami zbitego psa.

– Dlaczego?

Pomyślałem: Widziałeś, do czego doszło między twoją matką i mną, i jeszcze pytasz? – ale powiedziałem:

– Ona ma piętnaście lat, a tobie do tego wieku brakuje jeszcze dwóch tygodni.

– Ale my się kochamy!

Och, to głupkowate jęczenie. To mazanie się fajtlapy. Dłonie miałem zaciśnięte w pięści. Musiałem się zmusić, żeby je otworzyć i położyć płasko na udach. Wpadanie w złość nie miało sensu. Do takich rozmów chłopak potrzebował matki, ale jego rodzicielka siedziała na dnie zasypanej studni ze świętą martwych szczurów.

– Wiem o tym, Henry...

– Hank! Inni żenią się w tym wieku!

Kiedyś tak było, ale na przełomie stuleci i po zamknięciu granic zaszły zmiany. Nie powiedziałem mu tego jednak. Usłyszał za to ode mnie, że nie mam pieniędzy, które mógłbym im dać na początek nowego życia. Może w 1925 roku, jeśli zbiory i ceny utrzymają się na dobrym poziomie, ale teraz portfel świecił pustkami. I jeszcze to dziecko w drodze...

– A mogliśmy mieć dość pieniędzy! – odpowiedział. – Gdybyś nie był taki zawzięty w sprawie tych stu akrów, mielibyśmy mnóstwo pieniędzy! Na pewno coś by mi z tego dała! I ona tak by do mnie nie mówiła!

W pierwszej chwili byłem zbyt zaszokowany, żeby coś odpowiedzieć. Minęło około sześciu tygodni, odkąd imię Arlette – czy nawet niejednoznaczny zaimek ona – padło w naszej rozmowie ostatni raz.

Patrzył na mnie wyzywająco. I wtedy na dalekim końcu drogi zobaczyłem tumany kurzu. Nadjeżdżał Harlan Cotterie. Zawsze uważałem go za przyjaciela, ale córka, która zaszła w

ciężę, mogła zmienić ten stan rzeczy.

– Nie, ona by tak z tobą nie rozmawiała – przyznałem, zmuszając się jednocześnie, by spojrzeć mu prosto w oczy. – Potraktowałyby cię znacznie gorzej. I pewnie by wyśmiała. Jeśli wszystko sobie, synu, przypomnisz, sam będziesz to wiedział.

– Nie!

– Twoja matka nazywała Shannon kokietką i kazała ci trzymać siurka w spodniach. Tak brzmiała jej ostatnia rada i choć była wulgarna i bolesna jak większość rzeczy, które mówiła, powinienesz być jej posłuchać.

Gniew Henry'ego rozwiął się.

– To stało się zaraz po... po tamtej nocy... kiedy my... Shan nie chciała, ale ja ją do tego namówiłem. A kiedy raz zaczęliśmy, spodobało się jej to tak samo jak mnie. Kiedy raz to zrobiliśmy, to potem sama o to prosiła – powiedział z dziwną, na wpół chorobliwą dumą w głosie, a potem smutno pokręcił głową. – Teraz na tych stu akrach rosną chwasty, a ja mam przechlapane. Gdyby mama tu była, pomogłaby to jakoś naprawić. Pieniądze wszystko załatwiają przynajmniej on tak twierdzi. – Wskazał na zbliżającą się kurzawę na drodze.

– Jeśli nie pamiętasz, jak matka skąpiła choćby dolara, to za szybko zapominasz, zresztą dla własnego dobra – powiedziałem. – I jeśli zapomniawsz, jak uderzyła cię wtedy w twarz...

– Nie zapominałem – odrzekł ponuro. A potem jeszcze posępniej dodał: – Myślałem, że mi pomożesz.

– Na pewno spróbuję, ale teraz chcę, żebyś się ulotnił. Kiedy zjawi się ojciec Shannon, twoja obecność tutaj podziłała na niego jak czerwona płachta na byka. Najpierw sprawdzę, na czym stoimy i co on myśli, a potem może cię zawołam na werandę. – Wziąłem go za nadgarstek. – Dla ciebie, synu, zrobię, co będzie w mojej mocy.

Wyrwał rękę z mojej dłoni.

– Postaraj się.

Poszedł do domu. W chwili gdy Harlan podjechał nowym samochodem (nashem, równie zielonym i błyszczącym pod warstwą kurzu jak odwłok motyla), usłyszałem trzaśnięcie drzwi z siatką przeciwko owadom.

Nash zakrztusił się, strzelił gaźnikiem i zdechł. Harlan wysiadł, zdjął płaszcz, złożył go i rzucił na fotel. Miał płaszcz, bo ubrał się stosownie do okazji: biała koszula, aksamitka, porządne, odświeżone spodnie podtrzymywane paskiem ze srebrną klamrą. Chwycił ją i poprawił spodnie tak, by ułożyły się tuż pod jego niedużym brzuchem. Zawsze był wobec mnie w porządku, a ja też zawsze uważałem nas nie tylko za przyjaciół, ale wręcz za dobrych przyjaciół, mimo to w tym momencie go nienawidziłem. Nie dlatego, że przyjechał, by rozliczyć mnie za syna. Pan Bóg wie, że zrobiłbym to samo, gdybyśmy znajdowali się na przeciwnych pozycjach. Nie, chodziło o zupełnie nowego zielonego nasha. Chodziło o srebrną klamrę w kształcie delfina przy pasku. Chodziło o nowy silos, pomalowany na jaskrawoczerwony kolor, i skanalizowanie domu. Przede wszystkim jednak chodziło o

posłuszną, pospolicie wyglądającą żonę, którą zostawił na farmie, zajęta teraz na pewno, mimo zdenerwowania, przygotowaniem kolacji. Żonę, która w razie jakiegokolwiek kłopotu mówiła słodko: „Cokolwiek postanowisz, Harlan, i tak będzie najlepiej”. Kobiety, zapamiętajcie: taka żona nigdy nie musi się obawiać, że życie wycieknie z niej przez podcięte gardło.

Podszedł energicznie do schodów werandy. Wstałem i wyciągnąłem do niego rękę, żeby sprawdzić, czy ją uściśnie, czy nie. Nastąpiła chwila wahania, w czasie której rozważał za i przeciw, ale ostatecznie zdecydował się na krótki uścisk.

– Mamy poważny problem, Wilf – powiedział.

– Wiem. Dowiedziałem się właśnie od Henry’ego. Lepiej później niż wcale.

– Chyba lepiej nigdy – odrzekł ponuro.

– Usiądziesz?

Nad tym też się zastanowił, nim zajął fotel od zawsze należący do Arlette. Wiedziałem, że nie chce siadać – mężczyzna, który jest zdenerwowany, źle się czuje, siedząc – niemniej usiadł.

– Napijesz się mrożonej herbaty? Nie mam lemoniady, Arlette była mistrzynią w jej przygotowywaniu, ale...

Machnięciem pulchnej ręki nakazał mi milczenie. Pulchnej, ale twardej. Harlan był jednym z najbogatszych farmerów w hrabstwie Hemingford, ale na pewno nie był papierowym rolnikiem. Kiedy zaczynały się sianokosy albo żniwa, pracował razem z najętymi parobkami.

– Chcę to załatwić przed zachodem słońca. Przednie światła w tym wozie są gównie warte. Moja dziewczynka ma w piecu chleb, a jak się domyślam, wiesz, kto był cholernym piekarzem.

– Jeśli cię przeproszę, to coś pomoże?

– Nie. – Usta miał zaciśnięte, po obu stronach szyi pulsowały mu żyły. – Jestem bardziej wściekły od szerszenia, ale najgorsze jest to, że nie mam się na kogo wściekać. Nie mogę się wściekać na dzieciaki, bo to tylko dzieciaki, choć gdyby Shan nie miała brzucha, przełożyłbym ją przez kolano i stłukł na kwaśnie jabłko za to, że nie postępowała mądrzej, choć była mądrzejsza. Lepiej ją wychowaliśmy i wpoiliśmy jej zasady religii.

Miałem ochotę go zapytać, czy sugerował tym, że Henry został źle wychowany. Zamiast tego trzymałem jednak język za zębami i pozwalałem mu wypowiedzieć wszystko, co narosło w nim podczas jazdy. Na pewno obmyślił przemowę, a kiedy ją skończy, może łatwiej będzie się z nim dogadać.

– Chciałbym winić Sallie za to, że wcześniej nie zorientowała się w stanie dziewczyny, ale pierwsza ciąża jest zwykle mało widoczna, wszyscy to wiedzą... i, mój Boże, wiesz, w jakich sukienkach Shan chodziła. To nie było nic nowego. Nosila takie babcine sukienki, odkąd skończyła dwanaście lat i zaczął się jej...

Położył sobie pulchną dłoń na piersi. Pokiwałem głową.

– Chciałbym też winić ciebie, bo chyba darowałeś sobie rozmowę, jaką zwykle ojcowie odbywają z synami.

Jakbyś wiedział cokolwiek o wychowywaniu syna, pomyślałem.

– O tym, że chłopak ma pistolet w spodniach i powinien na niego uważać. – Szloch zacisnął mu gardło. Podniósł głos: – Moja... mała dziewczynka jest za młoda, żeby być matką!

Oczywiście ciążyła na mnie wina, o której Harlan nie wiedział. Gdybym nie postawił Henry'ego w sytuacji, przez którą rozpaczliwie potrzebował miłości kobiety, Shannon prawdopodobnie nie byłaby w stanie, w jakim była. Mógłbym zapytać Harlana, czy siebie także trochę wini, podczas gdy zrzuca wszystko na innych, ale zmilczałem. Milczenie nigdy nie przychodziło mi w sposób naturalny, tyle że żyjąc z Arlette, miałem mnóstwo okazji do ćwiczeń.

– Ale ciebie też nie mogę winić, bo żona od ciebie uciekła tej wiosny, więc nic dziwnego, że na wiele rzeczy nie zwracałeś należytej uwagi. No to poszedłem za dom i chcąc jakoś rozładować złość, porąbałem pół sąga drewna, zanim tu przyjechałem, i to chyba podziało. Podałem ci rękę, prawda?

Samozadowolenie w jego głosie podsuwało mi słowa: „Jeśli nie liczyć gwałtu, nadal uważam, że do tego tanga trzeba dwojga”. Ale powiedziałem jedynie: „Tak, podałeś” – i nie dorzuciłem nic więcej.

– Cóż, w ten sposób dochodzimy do tego, co zamierzasz zrobić w tej sprawie. Ty i chłopak, który siedział przy moim stole i jadł jedzenie ugotowane przez moją żonę.

Jakiś diabeł – kreatura wchodząca w faceta, kiedy, jak myślę, Przechera się wycofuje – podkusił mnie, żebym powiedział:

– Henry chce się z nią ożenić i dać dziecku nazwisko.

– To jest tak żalotne, że, jak mi Bóg miły, nie chcę tego słyszeć. Nie mówię, że Henry nie ma nawet słoika, w który mógłby się odlać, ani okna, przez które mógłby go opróżnić... Wiem, że postępujesz słusznie, Wilf, a przynajmniej w takim stopniu, w jakim jest ci to dane, ale to wszystko, co mogę powiedzieć. To były tłuste lata, ale ty mimo to jesteś jedynie o krok od pożyczek. Jak to będzie wyglądało, kiedy nastaną lata chude? A zawsze nastają. Gdybyś miał gotówkę za te sto akrów, wtedy sytuacja byłaby inna... gotówka ułatwia przeżycie trudnego okresu, wszyscy to wiedzą... kiedy jednak nie ma Arlette, one są niczym stara służąca z zaparciem siedząca na nocniku.

Przez chwilę jakaś częśćka mnie rozważała, jak by to było, gdybym ustąpił Arlette w sprawie tej pieprzonej ziemi, jak ustępowałem przy wielu innych okazjach.

Żyłbym w smrodzie, tak właśnie by było. Musiałbym wykopać studnię dla krów, bo nie piłyby wody ze strumienia, w którym płynie krew i flaki świń.

To prawda. Lecz żyłbym wtedy, a nie egzystował, i Arlette byłaby ze mną, Henry nie

stałby się tak posępny, taki trudny jak teraz. Chłopak, który wpakował w paskudne kłopoty przyjaciółkę jeszcze z czasów dzieciństwa.

– Co w takim razie chcesz zrobić? – zapytałem. – Wątpię, żebyś jechał taki kawał drogi, nie mając czegoś w zanadrzu.

Wyglądał tak, jakby mnie nie słuchał. Wpatrywał się przez pola w miejsce, gdzie stał jego nowy silos. Twarz miał zmęczoną i smutną ale za daleko zaszedłem i za dużo napisałem, żeby kłamać – wyraz jego twarzy niewiele mnie obchodził. Rok 1922 był najgorszym rokiem w moim życiu. Zmieniłem się wówczas w człowieka, którego kompletnie nie znałem, a Harlan Cotterie stał się jedynie dziurą na kamienistej i lichej drodze.

– Ona jest bystra – powiedział Harlan. – Pani McReady ze szkoły mówi, że Shan jest najinteligentniejszą uczennicą jaką miała w swojej karierze, a uczy od prawie czterdziestu lat. Jest dobra w angielskim, a jeszcze lepsza w matematyce, co zdaniem pani McReady rzadko się zdarza u dziewcząt. Radzi sobie nawet z trynometrią, Wilf. Wiedziałaś o tym? Pani McReady sama nie rozumie trynometrii.

Nie, nie wiedziałem, ale wiedziałem, jak to słowo brzmi poprawnie. Pomyślałem jednak, że chwila nie jest odpowiednia, bym poprawiał sąsiada.

– Sallie chciała posłać ją do szkoły w Omaha. Od tysiąc dziewięćset osiemnastego przyjmują tam dziewczynki, nie tylko chłopców, choć do tej pory żadna dziewczyna jej nie skończyła. – Posłał mi spojrzenie, które trudno było znieść: pełne wrogości wymieszanej z odrazą. – Kobiety chcą przede wszystkim wyjść za mąż, rozumiesz. I mieć dzieci. Dołączyć do grona dumnych rodziców i zamiatać cholerną podłogę.

Westchnął.

– Shan mogłaby być pierwsza. Ma uzdolnienia i tęgą głowę. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Nie, rzeczywiście nie wiedziałem. Przyjąłem po prostu – myląc się jak w wielu innych sprawach – że jest jedynie materiałem na farmerską żonę i nikim więcej.

– Mogłaby nawet zostać nauczycielką w college’u. Planowaliśmy, że wyślemy ją do tej szkoły, jak tylko skończy siedemnaście lat.

Sallie planowała, to chciałeś powiedzieć, pomyślałem. Gdyby to zależało tylko od ciebie, taki szalony pomysł nigdy nie przyszedłby ci do tego farmerskiego łba.

– Shan tego chciała, odłożyliśmy już pieniądze. Wszystko było ustalone. – Obrócił się, żeby spojrzeć na mnie, a ja usłyszałem, jak trzeszczą mu ścięgna w szyi. – Wszystko nadal jest ustalone. Ale najpierw, prawie od razu, pojedzie do Katolickiego Domu dla Dziewcząt pod wezwaniem Świętej Euzebii w Omaha. Jeszcze o tym nie wie, ale tak się stanie. Sallie mówiła o wysłaniu jej do Deland... mieszka tam jej siostra... albo do mojej ciotki w Lyme Biska, ale ja nie wierzę, żeby ci ludzie podporządkowali się naszej decyzji. No i dziewczyna z tego rodzaju problemem nie zasługuje, żeby jechać do ludzi, których zna i kocha.

– Co postanowiłeś, Harl? Poza wysłaniem córki do swego rodzaju... nie wiem...

sierocińca.

Zjeżył się.

– To nie jest sierociniec. To czyste, przyzwoite i znane miejsce. Tak mi mówiono. Rozpytywałem tu i tam, wszystkie opinie były pozytywne. Będzie miała obowiązki, będzie się uczyła, a po czterech miesiącach urodzi dziecko. Kiedy to się stanie, dziecko zostanie oddane do adopcji. Siostry ze Świętej Euzebiei się tym zajmą. Wtedy będzie mogła wrócić do domu i za półtora roku pójdzie do college’u dla nauczycieli, tak jak chce Sallie. I ja, oczywiście. Sallie i ja.

– Jaki jest w tym mój udział? Zakładam, że jest jakiś, bo inaczej by cię tu nie było.

– Kpisz sobie ze mnie, Wilf? Wiem, że miałeś trudny rok, ale to jeszcze nie powód, żeby robić sobie ze mnie kpiny.

– Nie kpię, ale musisz wiedzieć, że nie tylko ty jesteś wściekły i zawstydzony. Powiedz po prostu, czego chcesz, i może nadal będziemy przyjaciółmi.

Osobliwy zimny uśmiezek, z jakim przyjął te słowa – krótkie drgnięcie warg i pojawiające się na chwilę dołeczki w kącikach ust – dał mi do zrozumienia, jak niewielką miał na to nadzieję.

– Wiem, że nie jesteś bogaty, ale mimo to musisz w tym uczestniczyć i wziąć na siebie częściową odpowiedzialność. Jej pobyt w tym domu... czas pre-na-tal-nej opieki, jak nazwała go siostra... będzie kosztował trzysta dolarów. Siostra Camilla, z którą rozmawiałem przez telefon, nazwała to donacją, ale wiem, co to opłata, kiedy o niej słyszę.

– Jeśli masz zamiar poprosić mnie o równy udział...

– Wiem, że nie jesteś w stanie wyłożyć od razu stu pięćdziesięciu dolarów, ale będzie dla ciebie lepiej, jeśli znajdziesz siedemdziesiąt pięć, bo tyle ma kosztować nauczycielka. Ta, która jej pomoże w przerabianiu materiału.

– Nie mam takich pieniędzy. Arlette zabrała wszystko, kiedy uciekła. – Po raz pierwszy zastanowiłem się, czy jednak czegoś by nie zostawiła. Sprawa dwustu dolarów, które ze sobą zabrała, była oczywiście wierutnym kłamstwem, ale w tej sytuacji przydałyby się nawet nędzne grosze. Zapamiętałem, żeby sprawdzić kredens i puszkę w kuchni.

– Weź następną krótkoterminową pożyczkę z banku – powiedział. – Słyszałem, że ostatnią już spłaciłeś.

Oczywiście, że słyszał. Takie rzeczy tylko z pozoru traktuje się jako poufne, a ludzie tacy jak Harlan Cotterie mają dobry słuch. Ogarnęła mnie fala niechęci do niego. Wypożyczył mi kombajn do zbierania kukurydzy i policzył za to tylko dwadzieścia dolarów? I co z tego? Sam mnie o to prosił. Można było pomyśleć, że jego córka nigdy nie rozłożyła nóg i nie powiedziała: „Śmiało, bierz się do roboty”.

– Miałem pieniądze za kukurydzę i nimi spłaciłem pożyczkę – odparłem. – I teraz ich nie mam. Mam ziemię i dom, a to też całkiem sporo kosztuje.

– Znajdziesz sposób – powiedział. – Weź kredyt hipoteczny, jeśli będzie trzeba.

Siedemdziesiąt pięć dolarów to twój udział i jeśli przyjąć, że dzięki temu twój chłopak w wieku piętnastu lat nie będzie musiał zmieniać pieluch, nie jest to wygórowana cena.

Wstał, ja również.

– A jeśli nie znajdę sposobu? Co wtedy, Harl? Przyślesz szeryfa?

Wykrzywił w pogardzie usta, co moją niechęć do niego zmieniło w nienawiść. Stało się to w jednym momencie i jeszcze dziś ją czuję, choć tak wiele innych uczuć przepełniało mi serce.

– W takich sprawach jak ta prawo mi niepotrzebne. Ale jeśli nie weźmiesz na siebie częściowej odpowiedzialności, z nami koniec. – Spojrzał na zapadający zmierzch. – Jadę. Muszę, jeśli chcę wrócić przed zmrokiem. Te siedemdziesiąt pięć dolarów nie będzie mi potrzebne jeszcze przez parę tygodni, więc masz trochę czasu. I nie przyjadę cię o nie prosić. Nie będziesz miał, to nie będziesz miał. Tylko mi nie mów, że nie możesz ich załatwić, bo swoje wiem. Powinieneś jej pozwolić na sprzedanie tych akrów Farringtonowi, Wilf. Gdybyś to zrobił, ona nadal by tu była, a ty miałbyś trochę gotówki. A moja córka może nie byłaby przy nadziei.

W wyobraźni zepchnąłem go z werandy i gdy próbował się podnieść, skoczyłem na jego twarde, okrągły brzuch obiema nogami. Potem przyniosłem sierp z obory i wbilem mu w oko. W rzeczywistości stałem z jedną ręką na balustradzie i patrzyłem, jak zbiega po schodach.

– Chcesz porozmawiać z Henrym? – zapytałem. – Mogę go zawołać. Podobnie jak ja, fatalnie się z tym czuje.

Harlan nie zatrzymał się.

– Była czysta, a twój chłopak upaprał ją brudem. Jeśli go zawołasz, mógłbym go skopać. Bo nie dam głowy, że umiałbym się powstrzymać.

Zastanowiłem się nad tym. Henry był już całkiem wysoki, silny i co najważniejsze, wiedział o morderstwie. Harl Cotterie tego nie wiedział.

Nie musiał używać korby do nasha, wystarczyło, że nacisnął guzik. Zamożność była przyjemna pod każdym względem.

– Siedemdziesiąt pięć dolarów zamknie całą sprawę! – zawołał, przekrzykując warkot silnika. Potem objechał pień do rąbania drewna, zmuszając do ucieczki George'a i jego harem, i pomknął ku swojej farmie z jej wielkim generatorem i kanalizacją.

Kiedy się obróciłem, Henry stał obok mnie. Był blady i bliski furii.

– Nie mogą jej tak odesłać.

A więc wszystko słyszał. Nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło.

– Mogą i odesłać – odparłem. – Nie próbuj robić czegoś głupiego i nie bądź uparty, bo jeszcze pogorszysz sytuację.

– Moglibyśmy uciec. Nie złapaliby nas. Jeśli udało się nam zrobić... zrobić to, cośmy zrobili... to myślę, że dałbym radę uciec z moją kobietą do Kolorado.

– Nie dałbyś rady – powiedziałem – bo nie masz pieniędzy. Pieniądze wszystko

załatwiają, jak on mawia. A oto co ja mówię: brak pieniędzy wszystko psuje. Wiem o tym i Shannon też to wie. Teraz musi martwić się o dziecko...

– Nie, jeśli ją zmuszą, żeby je oddała!

– To nie zmienia tego, co kobieta czuje, kiedy nosi dziecko w łonie. Płód sprawia, że staje się mądra na sposób, którego mężczyźni nie rozumieją. Nie straciłem szacunku do ciebie ani do niej przez to tylko, że zaszła w ciążę. Nie wy pierwsi znaleźliście się w takiej sytuacji ani nie będziecie ostatni, nawet jeśli Pan Wszechmocny uważał, że to, co jego córka ma między nogami, służy wyłącznie do siusiania. Ale jeśli poprosisz dziewczynę w piątym miesiącu ciąży, żeby z tobą uciekła, a ona się zgodzi... stracę szacunek dla was obojga.

– Co ty możesz wiedzieć? – zapytał z nieskończoną pogardą. – Nawet gardła nie umiesz poderżnąć, żeby nie narobić bałaganu.

Zamurowało mnie. Spostrzegł to i tak mnie zostawił.

* * *

Następnego dnia poszedł jednak do szkoły, i to bez żadnej awantury, mimo że jego ukochanej już tam nie było. Najpewniej przeważyło to, że pozwoliłem mu wziąć ciężarówkę. Każdy chłopak skorzysta z byle okazji, żeby kierować ciężarówką, zwłaszcza kiedy od niedawna prowadzi. Tyle że każda nowość z czasem powszednieje. Dotyczy to wszystkiego i zazwyczaj nie trwa długo. Najczęściej też się okazuje, że w rzeczywistości pod pozłotą jest szarzyzna i brud. Jak w szczurzej norze.

Kiedy odjechał, poszedłem do kuchni. Wysypałem z pojemników cukier, mąkę, sól i je przesiałem. Nic w nich nie było. Znalazłem się w sypialni i przeszukałem jej ubrania. Nic w nich nie było. Zajrzałem do jej butów, ale też niczego nie znalazłem. Za każdym razem, gdy niczego nie znajdowałem, nabierałem coraz większego przekonania, że gdzieś coś jest.

Miałem parę rzeczy do zrobienia w ogrodzie, ale zamiast tego poszedłem na tyły obory, tam gdzie kiedyś była studnia. Teraz rosły już na niej chwasty: postrzępiona nawłoc i proso różgowate. Tam w dole była Elpis i była też Arlette. Arlette z twarzą wykrzywioną w jedną stronę. Arlette z uśmiechem klauna. Arlette z opaską na włosach.

– Gdzie to jest, wsiowa dziwko? – zapytałem ją. – Gdzie to schowałaś?

Próbowałem oczyścić umysł, co zawsze doradzał mi ojciec, gdy odłożyłem jakieś narzędzie w złe miejsce lub zapodziałem gdzieś jedną z moich kilku cennych książek. Po krótkim czasie wróciłem do domu, do sypialni, i podszedłem do szafy. Na górnej półce stały dwa pudła na kapelusze. W pierwszym był jedynie kapelusz – biały, który nosiła do kościoła (kiedy zadała sobie trud, żeby tam w ogóle pójść, co zdarzało się mniej więcej raz na miesiąc). Kapelusz w drugim pudle był czerwony i nigdy nie widziałem, żeby go nosiła. Moim zdaniem nadawał się dla kurwy. Za wewnętrzną atlasową taśmą znalazłem dwa

banknoty dwudziestodolarowe złożone w maleńkie kwadraciki nie większe od pigułki. Powiem wam teraz, kiedy siedzę w tym tanim pokoju hotelowym i wsłuchuję się w skrobanie i trucht szczurów w ścianach (tak, moi starzy przyjaciele są tutaj), że tamte dwudziestodolarowe banknoty stały się moim przekleństwem.

* * *

Bo nie wystarczały. Rozumiecie, prawda? Jasne, że tak. Nie trzeba znać się doskonale na „trynogometrii”, by wiedzieć, że należy dołożyć trzydzieści pięć dolarów do czterdziestu, żeby mieć siedemdziesiąt pięć. Nie wygląda na oszałamiającą sumę, prawda? Ale w tamtych czasach za trzydzieści pięć dolarów można było kupić zapas żywności na dwa miesiące albo dobrą używaną uprzęż u kowala Larsa Olsena. Wystarczyłoby na bilet kolejowy na całą drogę do Sacramento... nieraz żałuję, że go nie kupiłem.

Trzydzieści pięć.

I czasem, kiedy nocą leżę w łóżku, tak naprawdę widzę tę liczbę. Błyska na czerwono jak światło ostrzegawcze: nie jedź dalej, bo zbliża się pociąg. Ja spróbowałem jechać i się z nim zderzyłem. Jeśli w każdym z nas siedzi Przechera, to każdy z nas ma też w sobie Szaleńca. W tamte noce, kiedy nie mogłem spać, bo ta błyskająca liczba mi na to nie pozwalała, Szaleniec we mnie podpowiadał, że to spisek: że Cotterie, Stoppenhauser i krętacz Farrington współdziałali. Miałem jednak swój rozum (przynajmniej za dnia). Cotterie i adwokat Farringtona mogli dogadać się potem ze Stoppenhauserem – po tym, co zrobiłem – ale trzeba najpierw powiedzieć, że w ich postępowaniu nie było nic złego. Stoppenhauser właściwie próbował mi pomóc... i oczywiście załatwić niewielki interes dla Bank & Trust z Home. Ale kiedy Harlan albo Lester – albo obaj razem – spostrzegli okazję, to z niej skorzystali. Przechera podszeptował: no i jak ci się to podoba? Ale wtedy mało mnie to obchodziło, bo straciłem syna, a wiecie, kogo naprawdę za to winię?

Arlette.

Tak.

Ponieważ to ona zostawiła tamte dwa banknoty w kurewskim kapeluszu, żebym je znalazł. Widzicie, jak diabelnie była sprytna? Bo nie załatwiało mnie te czterdzieści dolarów, tylko suma, jaka dzieliła mnie od tego, czego oczekiwał Cotterie na zapłatę dla nauczycielki, która miała uczyć jego ciężarną córkę. A chciał tych pieniędzy, żeby mogła studiować łacinę i nie mieć zaległości w „trynogometrii”.

Trzydzieści pięć, trzydzieści pięć, trzydzieści pięć.

* * *

O pieniądzech, których żądał, myślałem przez resztę tygodnia i nawet przez weekend.

Czasami wyjmowałem te dwa banknoty – rozłożyłem je, ale załamania pozostały – i się w nie wpatrywałem. W niedzielę w nocy podjąłem decyzję. Powiedziałem Henry’emu, żeby w poniedziałek wziął do szkoły model T. Sam musiałem jechać do Hemingford Home, żeby zobaczyć się w banku z panem Stoppenhauserem i załatwić krótkoterminową pożyczkę. Niewielką. Trzydzieści pięć dolarów.

– Na co? – zapytał Henry, który siedział przy oknie i wpatrywał się w zamyśleniu na pograżające się w mroku zachodnie pole.

Wyjaśniłem mu. Pomyślałem, że pewnie zaraz zaczniemy się kłócić o Shannon, i do pewnego stopnia tego chciałem. Przez cały tydzień nie wspomniał o niej słowem, choć wiedziałem, że Shan wyjechała. Mert Donovan wspomniał o tym, kiedy przyszedł po kukurydzę. „Pojechała do jakiejś specjalnej szkoły w Omaha – powiedział. – Cóż, tylko na tym zyska, jak myślę. Skoro mają głosować, lepiej niech się uczą. Chociaż... – zastanawiał się przez chwilę, zanim dokończył – moja robi to, co jej każę. Jeśli wie, co dla niej dobre, powinna się mnie słuchać”.

Skoro ja się dowiedziałem, że wyjechała, to Henry też się dowiedział, i to pewnie przede mną – dzieciaki w szkole to urodzeni plotkarze. Ale nie puścił pary z ust. Przypuszczam, że starałem się dać mu powód do wyrzucenia z siebie pretensji i poczucia krzywdy. Nie byłoby to przyjemne, ale na dłuższą metę mogło się okazać korzystne. Nie powinno się dopuszczać, żeby ból na czole albo w mózgu pod czaszką się zaogniał. Bo kiedy się na to pozwoli, zapalenie może się rozprzestrzenić. On chrząknął jedynie, słysząc tę wiadomość, dlatego zdecydowałem się nacisnąć trochę mocniej.

– Obaj, po równo, będziemy spłacać tę pożyczkę – powiedziałem. – Jeżeli uda się nam oddać dług przed Bożym Narodzeniem, nie powinno być tego więcej niż trzydzieści osiem dolarów. Wychodzi po dziewiętnaście na głowę. Będę ci je potrącał z pieniędzy za pracę na gospodarstwie.

Pomyślałem, że to naprawdę go rozzłości... ale skończyło się na kolejnym cichym chrząknięciu. Nie kłócił się nawet o to, że musi jechać do szkoły modelem T, choć auto nie przekraczało czterdziestu kilometrów na godzinę i, jak sam mówił, inne dzieciaki się z niego śmiały, nazywając samochód „tyłkołamaczem Hanka”.

– Synu?

– Co?

– Nic ci nie jest?

Obrócił się do mnie i uśmiechnął – przynajmniej jego usta się poruszyły.

– Nic. Powodzenia jutro w banku, tato. Idę do łóżka.

Kiedy wstał, powiedziałem:

– Nie dasz mi buziaka?

Pocałował mnie w policzek. To był ostatni raz.

* * *

Pojechał „tyłkołamaczem” do szkoły, a ja ruszyłem ciężarówką do Hemingford Home. Poczekalem pięć minut i pan Stoppenhauser wprowadził mnie do swojego gabinetu. Wyjaśniłem mu, czego potrzebuję, ale nie zdradziłem, na jaki cel, ograniczając się do ogólnikowych osobistych powodów. Wydawało mi się, że przy tak śmiesznej sumie nie muszę być bardziej konkretny, i nie myliłem się. Kiedy jednak skończyłem, położył dłonie na suszce i popatrzył na mnie z niemal ojcowską surowością. Stojący w rogu zegar tykał, odliczając cicho mijający czas. Na ulicy – znacznie głośniejszy – zaryczał silnik samochodu. Zamknął, nastąpiła cisza, a potem zawarczał kolejny silnik. Czy to mój syn przyjechał najpierw modelem T, a potem ukradł ciężarówkę? Nie ma sposobu, bym to ustalił z całą pewnością, ale myślę, że tak właśnie było.

– Wilf – odezwał się pan Stoppenhauser. – Minęło niewiele czasu, odkąd opuściła cię żona... przepraszam, że poruszam ten bolesny temat, ale wydaje się związany ze sprawą, poza tym gabinet bankiera przypomina trochę konfesjonał księdza... i uważam, że zasługujesz na kazanie. To jedyna odpowiednia forma, ponieważ właśnie jej używa się tam, skąd pochodzą moi rodzice.

Już wcześniej to słyszałem – myślę, że podobnie jak większość gości w tym pokoju – dlatego uśmiechnąłem się do niego posłusznie, co miało oznaczać moją zgodę.

– Czy Bank and Trust z Home pożyczyci ci trzydzieści pięć dolarów? No pewnie. Kusi mnie, żeby załatwić tę sprawę między nami i samemu wyjąć te pieniądze z portfela, tyle że nie noszę w nim więcej, niż potrzeba na zapłacenie za lunch w Splendid Diner i wyczyszczenie butów u balwierza. Zbyt wiele pieniędzy stwarza ciągłą pokusę, nawet u takiego starego i cwane go lisa jak ja, no i nie mogę zapominać, że interes to interes. Ale! – Uniósł palec. – Nie potrzebujesz tych trzydziestu pięciu dolarów.

– Ze smutkiem stwierdzam, że jednak potrzebuję. – Zastanawiałem się, czy wiedział na co. Mógł wiedzieć. Był naprawdę starym cwany m lisem. Taki sam był zresztą Harl Cotterie, ale tej jesieni Harl stał się również niegodziwy.

– Nie, nie potrzebujesz. Potrzeba ci siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, tego właśnie potrzebujesz, i możesz je mieć jeszcze dzisiaj. Odłożysz je na koncie albo zabierzesz ze sobą, dla mnie to bez różnicy. Spłaciłeś hipotekę gospodarstwa trzy lata temu. Jest teraz czyste i możesz nim dysponować. Więc absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wziął pożyczkę pod zastaw hipoteczny. Nie potrzebuję sekundy do namysłu, bo pierwszą pożyczkę spłaciłeś co do centa, prawda? Cały czas ktoś tak robi, chłopcze, i nawet najlepsi pożyczają na hipotekę. Byłbyś zdziwiony, kto podpisuje z nami umowy. Najlepsi ludzie. Tak, tak.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, ale to nie dla mnie. Przez cały czas ten dług na hipotece wisiał nade mną jak chmura gradowa i...

– I o to chodzi, Wilf! – Ponownie uniósł palec. Tym razem jednak kiwał nim na boki,

przywodząc na myśl wahadło zegara. – Żadne tam lekkoduchostwo! Faceci, którzy obciążają hipotekę i myślą, że zawsze będzie świeciło dla nich słońce, kończą tak, że nie mają na spłatę i tracą swoje cenne nieruchomości! A ludzie tacy jak ty, którzy obchodzą się z papierami z banku, jakby to były taczki pełne kamieni w pochmurny dzień, zawsze spłacają długi! I chcesz mi powiedzieć, że nie musisz niczego usprawnić, naprawić? Dach ci nie przecieka? Może trochę więcej bydła? – Posłał mi chytre spojrzenie. – A nie myślałeś o kanalizacji w domu, takiej jak u twojego sąsiada? Te rzeczy się zwracają, wiesz o tym. Mógłbyś dokonać modernizacji, które znacznie przewyższą koszty pożyczki. Towar wart swojej ceny, Wilf! Wart ceny!

Zastanowiłem się. W końcu odpowiedziałem:

– Bardzo kusząca propozycja, panie Stoppenhauser. Nie będę kłamał, że...

– Nie musisz. Gabinet bankiera nie różni się prawie wcale od konfesjonału księdza. Najlepsi ludzie tego hrabstwa siedzieli na tym krześle, Wilf. Najlepsi.

– Ale ja przyszedłem tylko po krótkoterminową pożyczkę, którą mi pan łaskawie przyznał, a ta nowa propozycja wymaga głębszego przemyślenia. – Wpadł mi do głowy pewien pomysł, skądinąd zaskakująco przyjemny. – Muszę omówić to z moim chłopakiem, Henrym... Hankiem, jak chce, żeby go teraz nazywać. Wchodzi w wiek, kiedy należałoby z nim uzgadniać niektóre rzeczy, bo przecież to, co mam, kiedyś będzie należało do niego.

– Zrozumiałe, całkiem zrozumiałe. Ale możesz mi wierzyć, zrobiłbyś dobry interes. – Wstał i wyciągnął przed siebie rękę. Wymieniliśmy uścisk dłoni. – Przyszedłeś tu kupić rybę, a ja proponuję ci staw, Wilf. Znacznie lepszy interes.

– Dziękuję.

Wychodząc z banku, zastanowiłem się: Porozmawiam o tym z synem. To była dobra myśl. Rozgrzała mi serce, złodowaciałe od miesięcy.

* * *

Umysł bywa zabawny, prawda? Zaabsorbowany niespodziewaną ofertą pana Stoppenhausera, nawet nie zauważyłem, że pojazd, którym przyjechałem, został zastąpiony autem, które Henry wziął do szkoły. Nie jestem pewny, czy zwróciłbym na to uwagę, nawet gdyby zaprzętały mi myśli sprawy mniejszej wagi. W końcu oba samochody dobrze znałem, oba należały do mnie. Zorientowałem się dopiero wtedy, gdy pochyliłem się po korbę i zauważyłem złożoną kartkę, przyciśniętą kamieniem do fotela kierowcy.

Stałem przez chwilę, na wpół zagłębiany w T, z jedną ręką na boku auta, drugą sięgającą pod siedzenie, gdzie trzymaliśmy korbę. Przypuszczam, że jeszcze zanim wyciągnąłem tę kartkę spod prowizorycznego ciężarka, domyśliłem się, z jakiego powodu Henry wyszedł ze szkoły i dokonał zamiany samochodów. Ciężarówka była solidniejszym wozem na długą trasę. Na jazdę do Omaha na przykład.

Tato!

Zabrałem ciężarówkę. Myślę, że wiesz, dokąd jadę. Zostaw mnie w spokoju. Wiem, że możesz wysłać za mną szeryfa Jonesa, żeby przywiózł mnie z powrotem, ale jeśli to zrobisz, wszystko powiem. Możesz sobie myśleć, że zmienię zdanie, bo jestem „jeszcze dzieckiem”. ALE JA ZDANIA NIE ZMIENIĘ. Bez Shan nic dla mnie nie ma znaczenia. Kocham Cię, Tato, nawet jeśli nie wiem dlaczego, bo wszystko, co zrobiliśmy, źle się dla mnie skończyło.

*Twój kochający syn
Henry „Hank” James*

Drogę do farmy pokonałem zupełnie otępiąły. Wydaje mi się, że jacyś ludzie do mnie machali – może nawet Sallie Cotterie, która sprzedawała warzywa ze straganu przy szosie obok ich farmy, i pewnie jej odmachalem, ale zupełnie tego nie pamiętam. Po raz pierwszy od chwili, gdy na farmę przyjechał szeryf Jones, zadawał uprzejmie pytania niewymagające odpowiedzi i rozglądał się zimnymi, wścibskimi oczkami, krzesło elektryczne jawiło mi się jako realna możliwość, tak prawdopodobna, że niemal czułem klamry na skórze, jakby na nadgarstkach i powyżej łokci zaciskano mi skórzane pasy.

Zostanie złapany, czy o tym komuś powiem, czy nie. To wydawało mi się nieuniknione. Nie miał pieniędzy, nawet sześciu dziesięciocentówek na paliwo, więc będzie musiał iść piechotą, jeszcze zanim dotrze do Elkhorn. Jeśli uda mu się ukraść trochę benzyny, złapią go w miejscu, gdzie przebywa teraz Shannon (zdaniem Henry’ego wbrew własnej woli, jak więźniarka, bo jego niedojrzały umysł nie brał pod uwagę, że sama mogła tego chcieć). Harlan na pewno przekazał rysopis Henry’ego osobie, która kieruje tym przybytkiem – siostrze Camilli. A nawet jeśli nie pomyślał, że rozwścieczony kochaś pojawi się w twierdzy, gdzie przetrzymują jego lubą, siostra Camilla na pewno przewidziała taką sytuację. Zajmując się tym, czym się zajmowała, na pewno miała już do czynienia z wyprowadzonymi z równowagi kochasiami.

Miałem jedynie nadzieję, że zatrzymany przez władze Henry będzie milczał do chwili, gdy zda sobie sprawę, że stało się to nie na skutek mojej interwencji, ale z powodu jego głupiego romantycznego wybryku. Tak czy owak nadzieja na to, że nastoletni chłopak będzie się kierował zdrowym rozsądkiem, przypomina raczej ryzykowany zakład na wyścigach konnych, ale co innego mi pozostawało?

Kiedy wjeżdżałem na podwórze, przysłała mi do głowy szalona myśl: zostawić T na biegu, spakować worek i wyruszyć do Kolorado. Pomysł jednak umarł po dwóch sekundach. Miałem pieniądze – siedemdziesiąt pięć dolarów – ale T padłby na długo przedtem, zanim przekroczyłbym granicę stanu w Julesburgu. Jednak to nie było aż tak ważne, bo zawsze mogłem przecież pojechać do Lincoln i wymienić T, dołożywszy sześćdziesiąt dolarów, na

przywoity samochód. Nie, chodziło o miejsce. Dom rodzinny. Mój dom rodzinny. Zamordowałem żonę, żeby go zatrzymać, i nie miałem zamiaru go zostawić tylko dlatego, że mój głupi i niedojrzały wspólnik nabił sobie głowę bzdurną romantyczną wyprawą. Jeśli opuszczę farmę, to nie dla Kolorado, ale dla stanowego więzienia. I zabiorą mnie tam skutego łańcuchami.

* * *

To było w poniedziałek. We wtorek ani w środę nie miałem żadnych wiadomości. Szeryf Jones nie pojawił się, by mnie poinformować, że Henry'ego zatrzymano przy szosie Lincoln – Omaha, gdy usiłował podróżować autostopem, a Harl Cotterie nie przyszedł, by mi powiedzieć (z typową dla purytanina satysfakcją, w to nie wątpię), że policja w Omaha aresztowała Henry'ego na prośbę siostry Camilli i chłopak siedzi teraz w ciupie, opowiadając przedziwne historie o nożach, studniach i workach jutowych. Na farmie panował spokój. Pracowałem w ogrodzie, naprawiłem płot, załadowałem trzydziestopięciolitrowe kosze z warzywami na wózek doczepiony do zderzaka modelu T, wydoiłem krowy, nakarmiłem kury – a wszystko to robiłem zupełnie otepiały. Część mnie, nie taka znowu mała, wierzyła, że był to jedynie bardzo długi, straszliwie skomplikowany sen i że obudzę się z Arlette u boku, słysząc odgłosy rąbania drewna, które Henry szykował, żeby rozpaścić pod kuchnią.

A potem, w czwartek, własnym modelem T przyjechała pani McReady – miła biedna wdowa, która uczyła w szkole w Hemingford – żeby spytać, czy z Henrym wszystko w porządku.

– W okolicy ludzie chorują na zaburzenia jelitowe – powiedziała. – Jestem ciekawa, czy się nie zaraził. Opuścił szkołę dość nagle.

– Jest podenerwowany, to prawda – odparłem. – Ale to raczej sprawa serca niż żołądka. Uciekł, pani McReady. – Niespodziewane łzy, piekące i szczerze, pojawiły się w moich oczach. Wyjąłem chustkę z kieszeni na przedzie farmerek, ale niektóre pociekły mi już po policzkach, zanim zdążyłem je wytrzeć.

Kiedy znowu widziałem wyraźnie, zobaczyłem, że pani McReady, która chciała dobrze dla każdego dziecka, nawet sprawiającego kłopoty, sama jest bliska płaczu. Cały czas musiała wiedzieć, jaka choroba toczy serce Henry'ego.

– On wróci, panie James. Niech się pan nie boi. Widywałam to już wcześniej i spodziewam się, że zanim przejdę na emeryturę, spotkam się z tym jeszcze raz czy dwa, choć bliżej mi do tej chwili niż kiedyś. – Zniżyła głos, jakby się obawiała, że George albo jedna z jego pierzastych konkubin mogą być szpiegami. – To na jej ojca powinien pan uważać. To twardy i nieugięty mężczyzna. Nie jest zły, ale to twardy człowiek.

– Wiem – powiedziałem. – I jak przypuszczam, orientuje się pani, gdzie jest teraz jego córka.

Spuściła wzrok. To była wystarczająca odpowiedź.

– Dziękuję, że pani przyjechała. Czy mogę prosić, by zachowała to pani dla siebie?

– Tak, oczywiście... ale dzieci już szepczą. Niech pan uważa.

Jasne, że gadały.

– Ma pan podłączony telefon, panie James? – Rozejrzała się w poszukiwaniu kabla. – Widzę, że nie. Nieważne. Gdybym się czegoś dowiedziała, przyjadę i przekażę panu.

– To znaczy kiedy dowie się pani czegoś przed Harlanem Cotteriem albo szeryfem Jonesem.

– Bóg będzie miał pańskiego syna w opiece. Shannon też. Wie pan, tworzyli naprawdę ładną parę, wszyscy tak mówili. Czasami owoc dojrzewa zbyt wcześnie i mróz go warzy. Jaka szkoda. Jaka straszna szkoda.

Uścisnęła mi rękę – całkiem mocno, po męsku – a potem odjechała swoim gruchotem. Wątpię, czy zdawała sobie sprawę, że pod koniec mówiła o moim synu i Shannon w czasie przeszłym.

* * *

W piątek przyjechał szeryf Jones, jak zawsze samochodem ze złotą gwiazdą na drzwiach. I nie był sam. Za nim jechała moja ciężarówka. Serce ścisnęło mi się na ten widok, ale radość szybko minęła, kiedy spostrzegłem, kto siedział za kierownicą: Lars Olsen.

Starłem się stać spokojnie, gdy szeryf Jones odprawiał swoje rytuały przybycia: poprawianie pasa, ocieranie czoła (choć dzień był zimny i pochmurny), przyglądanie włosów. Długo jednak nie wytrzymałem.

– Nic mu nie jest? Znaleźliście go?

– Nie, niestety, nie udało się nam. – Wszedł na schody przed werandą. – Ciężarówkę znalazł jeden z kowbojów pędzących bydło, stała na wschód od Lyme Biska, ale po dzieciaku nie było śladu. Lepiej byśmy się orientowali w jego stanie zdrowia, gdybyś zgłosił to wtedy, kiedy się wydarzyło, prawda?

– Miałem nadzieję, że sam wróci – odpowiedziałem smutno. – Pojechał do Omaha. Nie wiem, ile razy mam ci powtarzać, szeryfie...

Lars Olsen podjechał najbliżej, jak mógł, i nadstawił uszu.

– Wracaj do mojego samochodu, Olsen – powiedział szeryf. – To poufna rozmowa.

Lars, poczciwa dusza, wycofał się bez sprzeciwu. Jones ponownie zwrócił się do mnie. Był znacznie mniej pogodny niż za pierwszą wizytą i miał do czynienia z mrukliwym gospodarzem.

– Wiem zatem wystarczająco dużo, prawda? Twój chłopak zrobił dziecko córce Harla Cotteriego i prawdopodobnie wyruszył za nią do Omaha. Zjechał ciężarówką na pole porośnięte wysoką trawą kiedy bak miał prawie pusty. To było sprytne. Ma to po tobie? Czy

po Arlette?

Nic nie odpowiedziałem, ale podsunął mi pewien pomysł, który, choć błahy, mógł się okazać przydany.

– Powiem ci o czymś, co zrobił, a za co możemy mu być wdzięczni – odezwał się Jones.
– Może to również uchroni go przed więzieniem. Zanim poszedł własną drogą wyrwał całą trawę spod ciężarówki. Dzięki temu nie było zagrożenia pożarem. Podpalenie wielkiego obszaru prerii, kilku tysięcy akrów... to mogłoby źle wpłynąć na sędziego, nie uważasz? Nawet jeśli sprawca nie miał piętnastu lat.

– Cóż, ale nic takiego się nie stało, szeryfie, postąpił właściwie, więc po co mi o tym mówisz?

Oczywiście znałem odpowiedź na to pytanie. Szeryf Jones mógł nie mieć zbyt wysokiego mniemania o ludziach pokroju Andrew Lestera, adwokata, ale był dobrym przyjacielem Harlana. Obaj należeli do nowo powstałej Łoży Łosi i to Harl napuścił go na mojego syna.

– Trochę jesteś drażliwy, a jakże, prawda? – Ponownie otarł czoło, a potem nałożył kapelusz. – Gdyby chodziło o mojego syna, też pewnie stałbym się drażliwy. Ale wiesz co? Gdyby to był mój syn, a Harl Cotterie byłby moim sąsiadem, moim dobrym sąsiadem, pobiegłbym do niego i powiedział: „Harl? Posłuchaj! Myślę, że mój syn będzie próbował zobaczyć się z twoją córką. Chcesz zawiadomić o tym kogoś, kto by go poszukał?”. Ale tyś tego nie zrobił, prawda?

Pomysł, który mi podsunął, wyglądał coraz lepiej i nadeszła niemal pora, by wcielić go w życie.

– Nie pokazał się tam, gdzie ona jest, prawda?

– Jeszcze nie, nadal może szukać tego miejsca.

– Moim zdaniem on wcale nie uciekł, żeby zobaczyć się z Shannon – powiedziałem.

– Jak to? Czy w Omaha mają lepsze lody? Bo kierował się właśnie tam, to pewne jak dwa razy dwa cztery.

– Moim zdaniem pojechał, żeby odnaleźć matkę. Podejrzewam, że mogła się z nim jakoś skontaktować.

To zatrzymało go w miejscu na dobrych kilka sekund, wystarczająco długo, żeby otarł czoło i przeczesał włosy.

– Jak miałyby to zrobić?

– Stawiałbym na list. – Sklep spożywczy w Hemingford Home był jednocześnie urzędem pocztowym, dokąd przychodziły wszystkie listy. – Mogli mu go dać, kiedy przyszedł kupić cukierki albo paczkę orzeszków, jako że często tak robi w drodze powrotnej ze szkoły. Nie wiem tego na pewno, szeryfie, tak samo jak nie wiem, po coś się tu zjawiał i traktujesz mnie tak, jakbym popełnił jakieś przestępstwo. To nie ja zmaistrowałem dziecko Shannon.

– Nie powinieneś używać takich słów, mówiąc o tak miłej dziewczynie!

– Może tak, może nie, ale to było takim samym zaskoczeniem dla mnie jak dla

Cotteriech, a teraz jeszcze przepadł mój chłopak. Oni przynajmniej wiedzą, gdzie jest ich córka.

Ponownie go zamurowało. Za chwilę jednak wyjął z kieszeni niewielki notes i coś w nim nabazgrał. Schował go i powiedział:

– Ale nie masz pewności, że żona skontaktowała się z synem, to właśnie mi sugerujesz? To tylko domysł?

– Wiem jedynie, że bardzo dużo mówił o matce jeszcze długo po jej odejściu, a potem nagle przestał. I wiem, że nie pokazał się w domu, gdzie Harlan i jego żona umieścili Shannon. – Kiedy o tym wspomniałem, byłem równie zaskoczony jak szeryf Jones... ale strasznie zadowolony. – Jeśli połączy się te fakty, co otrzymamy?

– Nie wiem – odpowiedział Jones, marszcząc czoło. – Naprawdę nie wiem. Wydawało mi się, że wszystko to sobie poukładałem, ale myliłem się już na starcie, prawda? Tak, i znowu się kiedyś pomylę. „Wszyscy jesteśmy skazani na popełnianie błędów”, tak mówi Księża. Ale, dobry Boże, dzieci nie ułatwiają mi życia. Gdyby syn się do ciebie odezwał, Wilfredzie, to na twoim miejscu kazałbym mu wracać natychmiast do domu i trzymać się z dala od Shannon Cotterie, nawet jeśli wie, gdzie ona jest. Gwarantuję ci, że ona nie chce go widzieć. Brak pożaru na prerii to dobra wiadomość i nie możemy go aresztować za kradzież ciężarówki ojca.

– Nie – powiedziałem ponuro. – Nigdy nie zmusiłbyś mnie do wniesienia podobnego oskarżenia.

– Ale... – Uniósł palec, co skojarzyło mi się z panem Stoppenhauserem z banku. – Trzy dni temu w Lyme Biska, niedaleko miejsca, gdzie pastuch znalazł twoją ciężarówkę, ktoś obrobił sklep spożywczy i stację benzynową na skraju miasta. Wiesz, tam gdzie na dachu mają Dziewczynę w Niebieskiej Czapeczce. Zginęły dwadzieścia trzy dolary. Mam raport na biurku w tej sprawie. Zrobił to młody człowiek, ubrany w stare kowbojskie ciuchy, z chustką związaną na ustach i w kapeluszu, jakie noszą na równinach, nasuniętym na oczy. Matka właściciela stała za ladą, zagroził jej jakimś narzędziem. Według niej mógł to być łom albo lewarek, kto to wie? Jest po osiemdziesiątce i ledwo widzi.

Tym razem to mnie zamurowało. Zaniemówiłem. W końcu wykrztusiłem:

– Henry uciekł prosto ze szkoły, szeryfie, i o ile dobrze pamiętam, tamtego dnia miał na sobie flanelową koszulę i sztruksowe spodnie. Nie zabrał żadnych rzeczy, a poza tym nie ma kowbojskich ubrań, jeśli chodzi o wysokie buty i tak dalej. Nie ma też kapelusza.

– Te rzeczy również mógł ukraść, prawda?

– Jeśli nie wiesz nic więcej poza tym, co mi powiedziałeś, to nie mów nic więcej. Wiem, że przyjaźnicie się z Harlanem...

– Zaraz, zaraz, to nie ma z tym nic wspólnego.

Jednak miało i obaj byliśmy tego świadomi, ale nie było powodu, żeby to dalej roztrząsać. Może i moje osiemdziesiąt akrów wyglądało mizernie przy czterystu akrach

Harlana Cotteriego, ale mimo to byłem właścicielem ziemi, płaciłem podatki i nikt nie miał prawa mnie zastraszać. To właśnie chciałem mu przekazać, a szeryf mnie zrozumiał.

– Mój syn nie jest rabusiem i nie grozi kobietom. On tak by się nie zachował, bo nie tak został wychowany.

W każdym razie jeszcze do niedawna, szepnął głos w mojej głowie.

– Pewnie jakiś włóczęga szukał łatwych i szybkich pieniędzy – odezwał się Jones. – Miałem jednak wewnętrzną potrzebę, żeby ci o tym powiedzieć, i powiedziałem. I nie wiemy przecież, co ludzie mogą gadać, prawda? Plotki się rozchodzą. Wszyscy plotkują, prawda? Gadanie nic nie kosztuje. Jeśli o mnie chodzi, ta sprawa jest zamknięta. Tym, co się dzieje w Lyme Biska, niech się martwi szeryf hrabstwa Lyme, to moje motto. Ale powinieneś wiedzieć, że policja w Omaha ma na oku przybytek, gdzie jest Shannon Cotterie. Na wypadek gdyby twój syn próbował się z nią skontaktować, rozumiesz.

Przeczesał włosy i po raz ostatni nasadził kapelusz na głowę.

– Może sam wróci, nic nikomu się nie stanie i zapomnimy o całej sprawie jak o kiepskiej pożyczce.

– Świetnie. Ale nie nazywaj go złym synem, chyba że Shannon Cotterie zaczniesz nazywać złą córką.

Ruch jego nozdrzy wskazywał, że nie spodobały mu się moje słowa, ale nie zareagował w żaden sposób. Zamiast tego usłyszałem:

– Daj mi znać, gdyby wrócił i powiedział, że widział się z matką, dobrze? Mamy ją w rejestrze jako osobę zaginioną. To głupie, wiem, ale prawo to prawo.

– Oczywiście, że dam ci znać.

Skinął mi głową i poszedł do samochodu. Lars rozsiadł się za kierownicą. Jones przepędził go z tego miejsca – szeryf należał do ludzi, którzy sami prowadzą własny samochód. Stałem i patrzyłem za nimi, gdy ruszyli w kierunku miasta. Pomyślałem o młodym człowieku, który obrabował sklep, i usiłowałem sobie wmówić, że mój Henry nigdy czegoś takiego by nie zrobił, a nawet jeśli by musiał, nie byłby na tyle przebiegły, żeby wkładać ubranie ukradzione z czyjejś obory lub jakiegoś baraku. Ale Henry się zmienił, a mordercy uczą się przebiegłości, prawda? To umiejętność pomagająca przetrwać. Pomyślałem, że może...

Jednak nie. Nie powiem tego w taki sposób. Zbyt zalatywałoby słabością. To jest moja spowiedź, moje ostatnie słowo o wszystkim, więc jeśli nie stać by mnie było na powiedzenie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, co by to było warte? Zresztą co wszystko jest warte?

To był on. To był Henry. Domyśliłem się, że szeryf Jones wspomniął o napadzie przy drodze, bo nie biłem przed nim pokłonów tak, jak się tego spodziewał, ale ja mu uwierzyłem. Bo wiedziałem więcej od szeryfa Jonesa. Czymże była kradzież kilku sztuk ubrania i wymachiwanie łomem przed twarzą starej kobiety, gdy pomagało się ojcu zamordować własną matkę? Niczym szczególnym. A skoro spróbował tego raz, na pewno spróbuje znowu,

kiedy skończą mu się tamte dwadzieścia trzy dolary. Prawdopodobnie w Omaha. I chyba tam go złapią. Wtedy wszystko może wyjść na jaw. Niemal na pewno wyjdzie na jaw.

Wszedłem po schodach na werandę, usiadłem i ukryłem twarz w dłoniach.

* * *

Dni mijały. Nie mam pojęcia, ile ich upłynęło, wiem jedynie, że były deszczowe. Kiedy deszcz zaczyna padać na jesieni, prace na dworze muszą poczekać, a nie miałem tyle żywego inwentarza ani budynków gospodarczych, żeby wypełnić godziny zajęciami pod dachem. Usiłowałem czytać, ale słowa zdawały się nie łączyć ze sobą, a niektóre jakby wyskakiwały ze stron i krzyczały. Morderca! Winny! Zdrada! Słowa podobne do tych.

Przez całe dni siedziałem na werandzie z książką na kolanach, opatulony kożuchem przed wilgocią i zimnem, i patrzyłem na krople wody spadające z okapu. Nocami leżałem, nie śpiąc aż do świtu, i wsłuchiwałem się w bębnienie o dach. Można było pomyśleć, że to małe paluszki pukają, chcąc dostać się do środka. Zbyt dużo czasu poświęcałem na myślenie o Arlette, zakopanej w studni, z przekrzywioną twarzą. Zacząłem bawić się wyobrażeniem, że nadal była... nie tyle żywa (przytłaczał mnie ogromny stres, ale nie zwariowałem), ile w jakiś sposób świadoma. W jakiś sposób obserwowała rozwój wydarzeń z prowizorycznego grobu, który dzieliła z Elpis, i czerpała z tego przyjemność.

„Podoba ci się obrót spraw, Wilf? – zapytałaby mnie, gdyby mogła (a w mojej wyobraźni mogła). – Warto było? Co na to powiesz?”.

* * *

Którejś nocy, mniej więcej po tygodniu od wizyty szeryfa Jonesa, gdy próbowałem czytać w salonie *Dom o siedmiu szczytach*, Arlette zakradła się od tyłu, sięgnęła do mojej twarzy i postukała mnie zimnym, wilgotnym palcem w grzbiet nosa.

Upuściłem książkę na chodnik, wrzasnąłem i zerwałem się na równe nogi. Kiedy to się stało, ten zimny palec rozpuścił się i spłynął do kącika moich ust. A potem dotknął mnie ponownie, w czubek głowy, tam gdzie włosy mi się przerzedzały. Tym razem się roześmiałem – drżącym śmiechem złości – i pochyliłem, żeby podnieść książkę. Kiedy to robiłem, dotknął mnie trzeci raz, tym razem w kark, jakby moja martwa żona chciała powiedzieć: „Zwróciłam na siebie twoją uwagę, Wilf?”. Odsunąłem się – żeby czwarty raz nie był w oko – i spojrzałem do góry. Sufit nade mną przebarwił się i przeciekał. Tynk jeszcze nie puchł, ale jeśli nadal będzie tak lało, zacznie puchnąć, a może nawet odpadać kawałkami. Przecieki znajdował się dokładnie nad moim miejscem do czytania. No jasne, że tam. Reszta dachu wydawała się w porządku, przynajmniej na razie.

Pomyślałem o Stoppenhauserze, mówiącym: „I chcesz mi powiedzieć, że nie musisz

niczego usprawnić, naprawić? Dach ci nie przecieka?”. I to jego chytre spojrzenie. Jakby wiedział. Jakby był w zмовie z Arlette.

Nie dopuszczaj do siebie takich myśli, powiedziałem sobie. Samo myślenie o Arlette pod ziemią jest wystarczająco złe.

Zastanawiałem się, czy czerwie dobrały się już do jej oczu? Czy robaki zjadły jej cięty język albo przynajmniej go stępiły?

Poszedłem do stołu w dalekim kącie pokoju, wziąłem stojącą na nim butelkę i nalałem sobie solidną porcję whisky. Ręce mi się trzęsły, choć niezbyt mocno. Pochłonałem ją dwoma łykami. Wiedziałem, że nabranie nawyku picia nie byłoby dobrym rozwiązaniem, ale w końcu nie każdej nocy człowiek ma wrażenie, że zmarła żona dotyka jego nosa. Poza tym rzeczywiście poczułem się lepiej. Bardziej nad sobą panowałem. Nie potrzebowałem siedmuset pięćdziesięciu dolarów pożyczki na naprawę dachu, mogłem go załatać deskami, kiedy deszcz przestanie padać. Ale paskudnie by to wyglądało i gdyby moja matka to zobaczyła, określiłaby dom jako dziadowski. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Załatanie dziury zajęłoby mi dzień lub dwa. Ja zaś potrzebowałem pracy, która absorbowałaby mnie przez całą zimę. Ciężka robota pomogłaby mi wyprzeć z głowy myśli o Arlette zakopanej w studni, Arlette w opasce z jutowego worka na włosach. Potrzebowałem planów ulepszenia domu, dzięki którym będę kładł się do łóżka tak zmęczony, że prześpię całą noc i nie będę leżał, wsłuchując się w deszcz i zastanawiając, czy Henry nie moknie i czy nie złapie przez to kataru. Czasami praca jest jedynym ratunkiem, jedyną odpowiedzią.

Następnego dnia pojechałem do miasta ciężarówką i zrobiłem coś, na co nigdy bym się nie zdecydował, gdyby nie konieczność pożyczania trzydziestu pięciu dolarów: zaciągnąłem kredyt hipoteczny. Siedemset pięćdziesiąt dolarów. Ostatecznie sam wpadłem we własne sidła. Wierzę w to. W końcu wszyscy dajemy się złapać.

* * *

Jeszcze w tym samym tygodniu w Omaha młody człowiek w kapeluszu wszedł do lombardu przy Dodge Street i kupił niklowany pistolet kalibru 32. Zapłacił banknotem pięciodolarowym, który bez wątpienia wymusił od na wpół ślepej staruszki, prowadzącej interes pod szyldem Dziewczyny w Niebieskiej Czapeczce. Następnego dnia młody mężczyzna w wełnianej czapce z daszkiem na głowie, z ustami i nosem pod czerwoną chustką, wszedł do oddziału Pierwszego Banku Rolnego w Omaha, wycelował w śliczną, młodą kasjerkę, Rhodę Penmark, i zażądał wszystkich pieniędzy, które miała w kasie. Oddała mu około dwustu dolarów, w większości w jedno i pięciodolarowych banknotach – brudni chłopci noszą je zwykle w rulonach w kieszeniach na przedzie farmerek.

Gdy odchodził, upychając pieniądze do kieszeni spodni jedną ręką (wyraźnie zdenerwowany, kilka banknotów upadło na podłogę), tęgi ochroniarz – emerytowany

policjant – podszedł do niego, mówiąc:

– Synu, tak naprawdę nie chcesz tego zrobić.

Młody mężczyzna wystrzelił z trzydziestkidwójki w powietrze. Kilka osób krzyknęło.

– Nie chcę pana zastrzelić – powiedział młody człowiek przez chustkę na ustach. – Ale to zrobię, jeśli będę musiał. Niech się pan położy przy tamtej kolumnie i zostanie tam, jeśli wie pan, co jest dla pana dobre. Mój przyjaciel pilnuje drzwi.

Młody człowiek wybiegł, ściągając chustkę z twarzy. Ochroniarz odczekał minutę lub coś koło tego, a potem wyszedł z podniesionymi rękami (nie miał broni), na wypadek gdyby rzeczywiście drzwi pilnował przyjaciel rabusia. Ale, rzecz jasna, nikogo takiego nie było. Hank James nie miał przyjaciół w Omaha, z wyjątkiem jednej osoby, noszącej w łonie jego dziecko.

* * *

Wziąłem w gotówce dwieście dolarów z kredytu hipotecznego, resztę zostawiłem w banku pana Stoppenhausera. Poszedłem na zakupy do sklepu żelaznego, składu drzewnego i do spożywczego, gdzie Henry mógł odebrać list od matki... gdyby nadal żyła i do niego napisała. Kiedy wyjeżdżałem z miasta, mżyło, ale zanim dotarłem na miejsce, lało już jak z cebra. Rozładowałem kupione drewno i gont, nakarmiłem inwentarz, wydoiłem krowy, a potem ułożyłem w spiżarni zakupy spożywcze – w większości suszone, ale też podstawowe artykuły, które zaczęły się kończyć, odkąd Arlette przestała rządzić w kuchni. Kiedy to zrobiłem, postawiłem na ogniu wodę do kąpieli i zdjąłem mokre ubranie. Wyciągnąłem zwitek pieniędzy z kieszeni na przedzie pogniecionych farmerek, przeliczyłem i przekonałem się, że nadal mam prawie sto sześćdziesiąt dolarów. Po co brałem tyle gotówki? Bo myślałem gdzie indziej. Przepraszam, gdzie indziej? Przy Arlette i Henrym, oczywiście. Nie wspominając o Henrym i Arlette. W tamte deszczowe dni właściwie tylko o nich myślałem.

Wiedziałem, że trzymanie przy sobie takiej ilości pieniędzy nie jest dobrym pomysłem. Powinny znaleźć się z powrotem w banku, gdzie ich wartość powiększałyby się o niewielkie oprocentowanie (choć nie na tyle duże, żeby zrównoważyć oprocentowanie pożyczki), ja zaś mógłbym się wtedy spokojnie zastanowić, jak najlepiej je spożytkować. Tymczasem jednak musiałem schować je w bezpieczne miejsce.

Przypomniałem sobie o pudle z czerwonym kurewskim kapeluszem. W nim właśnie Arlette utknęła swoje pieniądze, które były tam bezpieczne przez jeden Pan Bóg wie jak długo. Rulon jednak nie zmieściłby się za wewnętrzną taśmą, więc postanowiłem włożyć go do samego kapelusza. Zostanie tam przecież tylko do czasu, aż będę miał pretekst, by pojechać do miasta.

Poszedłem do sypialni zupełnie goły. Otworzyłem drzwi szafy. Odsunąłem na bok pudło z białym kapeluszem, który zakładała do kościoła, i sięgnąłem po drugie. Zepchnąłem je

niechcący na sam koniec półki, więc musiałem stanąć na palcach, żeby je przysunąć. Było opasane gumką. Wsunąłem pod nią palec i pociągnąłem, ale od razu się zorientowałem, że pudło jest stanowczo za ciężkie – jakby ktoś włożył do środka cegłę zamiast kapelusza – a zaraz potem poczułem przejmujący chłód – jakbym włożył rękę do wiadra z lodowatą wodą. Chwilę później chłód zmienił się w ogień. Ból był tak intensywny, że zeszywniały mi wszystkie mięśnie ramienia. Potykając się, zrobiłem krok do tyłu. Zaskoczony, wrzasnąłem z bólu, rozsypując dookoła pieniądze. Palec nadal trzymałem zatknięty za gumkę. Pudło z kapeluszem przesunęło się na przód półki. Na wieku siedział olbrzymi szczur wędrowny, który wydał mi się aż nadto znajomy.

Moglibyście powiedzieć: „Wilf, wszystkie szczury są do siebie podobne” – i w zwykłych okolicznościach pewnie mielibyście rację, ale tego znałem. Czy nie widziałem go, jak uciekał przede mną z krowim sutkiem sterczącym z pyska niczym cygaro?

Cofnąłem krwawiącą rękę, pudło spadło, a szczur wylądował na podłodze. Gdybym miał czas do namysłu, zapewne ponownie by mi uciekł, ale świadome myślenie zostało zablokowane przez ból, zdziwienie i strach, jakie moim zdaniem odczuwa każdy człowiek na widok krwi buchającej z jego ciała, które jeszcze przed sekundą było nienaruszone. Nie pamiętałem nawet o tym, że jestem golutki jak w chwili narodzin; wałęsałem po prostu w szura prawą stopą. Usłyszałem, jak pękają mu kości, i poczułem, że miażdżę mu bebechy. Krew i zgniecione jelita wypłynęły mu spod ogona i zabryzgały mi kostkę lewej nogi. Próbował się przekręcić i ugryźć mnie ponownie. Widziałem jego zgrzytające, wielkie przednie zębiska, ale nie mógł mnie dosięgnąć. Nie mógł, dopóki trzymałem na nim stopę. Więc jej nie zdejmowałem. Nacisnąłem mocniej, trzymając zranioną rękę przy piersi i czując, jak ciepła krew krzepnie na skórze, która spuchła w tym miejscu. Szczur wiercił się i wyrывał. Jego ogon uderzał mnie po kostce nogi, a potem oplótł ją niczym wąż. Krew płynęła mu z pyska. Oczy wyszły na wierzch, przypominając marmurowe kulki.

Bardzo długo stałem ze stopą na zdychającym szczurze. W środku był rozgnieciony na miazgę, jego wnętrzności zmieniły się w breję, mimo to nadal się rzucał i próbował gryźć. W końcu znieruchomiał. Odczekałem kolejną minutę, bo chciałem się upewnić, że nie udaje Greka (szczur udający Greka – ha!), i kiedy nie miałem już co do tego wątpliwości, pokuśtykałem do kuchni, zostawiając krwawe odciski prawej stopy i myśląc chaotycznie o Peliasie i wyroczni ostrzegającej go przed mężczyzną w jednym sandale. Ale ja nie byłem Jazonem, tylko farmerem na wpół oszalałym z bólu i zdumienia, farmerem, na którym najwyraźniej ciążyła klątwa brudzenia krwią własnej sypialni.

Gdy trzymałem dłoń pod pompą i chłodziłem ją zimną wodą, usłyszałem, że ktoś powtarza: „Nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy więcej”. To byłem ja, wiedziałem, że to ja, ale głos brzmiał jak u starca, któremu odebrano resztki dumy, którego doprowadzono do skrajnej nędzy.

* * *

Pamiętam dalszy ciąg tamtej nocy, ale przypomina to oglądanie starej fotografii w zapleśniałym albumie. Szczur pokąsał mi całą skórę między kciukiem a palcem wskazującym – okropne ugryzienie, ale pod pewnym względem dopisało mi szczęście. Gdyby zaatakował palec tkwiący pod gumką, mógłby mi go odgryźć. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy wróciłem do sypialni i wziąłem swojego wroga za ogon (wykorzystując prawą rękę, lewa była nadal zbyt zeszywniała i zbyt mnie bolała). Miał czterdzieści centymetrów długości i ważył co najmniej trzy kilogramy.

„W takim razie to wcale nie był szczur, który uciekł do odpływu – słyszę, jak mówicie. – Nie mógł być”. Ależ był, zapewniam was, że był. Nie miał żadnego charakterystycznego znaku – żadnej łatki na futerku czy zdeformowanego ucha – ale ja wiedziałem, że to ten sam szczur, który okaleczył Achelois. Tak samo, jak wiedziałem, że nie przysiadł tam przez przypadek.

Zaniósłem go do kuchni za ogon i wyrzuciłem do kubła z popiołem. Ten z kolei wyniosłem na zewnątrz do dołu, gdzie wylewaliśmy pomyje. Byłem nagi, lał deszcz, ale ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Świadomość wypełniał mi ból pulsujący w lewej ręce, tak intensywny, że zdawał się tłumić wszystkie moje myśli.

Zdjąłem płaszcz z haka w sieni (jedynie na tyle potrafiłem się zdobyć), narzuciłem go na siebie i znowu wyszedłem, tym razem do obory. Posmarowałem zranioną rękę balsamem antyseptycznym. Uchronił Achelois przed infekcją, więc może podziała i na moją rękę. Miałem zamiar wyjść, kiedy przypomniałem sobie, jak szczur uciekł przede mną ostatnim razem. Rura! Podszedłem do niej i nachyliłem się, oczekując, że zobaczę przegryziony beton albo że w ogóle już go nie będzie, ale tkwił w otworze nienaruszony. To jasne, że był nietknięty. Nawet trzykilowy szczur z przerośniętymi zębami nie przegryzie się przez cement, który zastygł. Niemniej sam fakt, że coś podobnego przyszło mi do głowy, świadczy o tym, w jakim byłem stanie. Przez chwilę wydawało mi się, że patrzę na siebie z zewnątrz: nagi mężczyzna, okryty jedynie niezapiętym płaszczem, z włosami na ciele aż po łędźwie pozlepianymi krwią, z okaleczoną lewą ręką błyszczącą od grubej warstwy przypominającego smarki balsamu dla krów, z wybałuszonymi oczami. Tak samo jak u szczura, kiedy go rozdeptałem.

To nie był ten sam szczur, powtarzałem w myślach. Ten, który pogryzł Achelois, zdechł w rurze albo na kolanach Arlette.

Ale wiedziałem, że to był on. Wiedziałem wtedy i wiem teraz.

Bo był.

Już z powrotem w domu, w sypialni, klęknąłem na oba kolana i zacząłem zbierać poplamione krwią banknoty. Kiedy ma się tylko jedną sprawną rękę, trwa to długo. Przypadkiem uderzyłem zranioną dłońią w bok łóżka i zawyłem z bólu. Widziałem, jak

świeża krew zabarwia balsam na różowo. Położyłem pieniądze na toaletce, nie zwracając sobie głowy przykrywaniem ich książką lub jednym z pieprzonych ozdobnych talerzy Arlette. Bo poza wszystkim nie umiałem sobie nawet przypomnieć, dlaczego schowanie pieniędzy wydawało mi się takie ważne. Pudło z czerwonym kapeluszem posłałem kopniakiem do szafy i zatrzęsnałem drzwiami. Jeśli o mnie chodziło, mogło tam zostać do końca świata.

* * *

Każdy, kto ma farmę albo kiedyś na niej pracował, powie wam, że wypadki są tam na porządku dziennym i trzeba zachowywać ostrożność. W szafce za pompą w kuchni trzymałem wielki zwój bandaży – Arlette nazywała tę szafkę „aptecznikiem”. Zacząłem wyciągać zwój, kiedy mój wzrok przykuł wielki garnek parujący na kuchni. Parowała woda, którą nastawiłem na kąpiel, kiedy jeszcze nic się nie stało i potworny ból, który zdawał się teraz mnie pożerać, należał do kategorii czysto teoretycznych. Pomyślałem, że gorąca woda z mydłem może być idealnym lekiem dla ręki. Przekonywałem sam siebie, że rana i tak nie może mnie już bardziej rozboleć, a zanurzenie w garnku ją oczyści. Myliłem się w obu przypadkach, ale skąd miałem to wtedy wiedzieć? Po wszystkich tych latach nadal wydaje mi się to całkiem rozsądnym pomysłem. Przypuszczam, że by się sprawdził, gdyby pogryzł mnie zwykły szczur.

Zdrową ręką nalałem chochlą wody do miski (podniesienie garnka i nalanie wody bezpośrednio z niego nie wchodziło w grę) i wrzuciłem do niej kostkę szarego mydła, którego Arlette używała do prania. Ostatni kawałek, jak się okazało – tak wielu rzeczy zaczyna brakować, kiedy człowiek ich nie uzupełnia, bo nie jest do tego przyzwyczajony. Zamoczyłem w niej szmatę i poszedłem do sypialni, ponownie uklęknąłem i wziąłem się do zmywania krwi i flaków. Przez cały czas rozpamiętywałem (no pewnie) ostatni raz, gdy wycierałem krew z podłogi tego cholernego pokoju. Wtedy jednak przynajmniej Henry był ze mną i miałem z kim dzielić ten horror. Robienie tego samemu, z bolącą ręką, było strasznym zadaniem. Mój cień przemyczał po ścianach, przywołując mi na myśl Quasimoda z *Dzwonnika z Notre Dame* Hugo.

Gdy prawie skończyłem, znieruchomiałem. Nadstawiłem uszu, wstrzymałem oddech i szerzej otworzyłem oczy; serce zdawało się pulsować w pogryzionej ręce. Usłyszałem chrobotanie rozlegające się jakby zewsząd. Odgłos biegnących szczurów. W tamtej chwili byłem o tym święcie przekonany. Szczury ze studni. Jej lojalni dworzanie. Znalazły inne wyjście. Ten, który siedział na pudle z czerwonym kapeluszem, był po prostu pierwszy i najodważniejszy. Znajdowały się w całym domu, były w ścianach. Wkrótce wyleżą i mnie załatwią. Będzie miała swoją zemstę. Usłyszę jej śmiech, gdy będą mnie rozszarpywały na kawałki.

Wiatr natarł z taką siłą, że zatrzęsł domem i zawył krótko przy okiennicach. Odgłos

chrobotania nasilił się, a potem przycichł trochę wraz z zamarciem wiatru. Ulga, jaką poczułem, była tak ogromna, że stłumiła ból (przynajmniej na kilka sekund). To nie szczury, to był śnieg z deszczem. Wraz z zapadaniem mroku temperatura spadła, a deszcz na wół zlodowaciał. Wróciłem do szorowania podłogi.

Kiedy skończyłem, wylałem czerwonawą wodę ponad balustradą werandy i poszedłem do obory, żeby ponownie posmarować rękę balsamem. Mając ranę zupełnie oczyszczoną, zobaczyłem, że skóra pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym jest rozerwana w trzech miejscach. Kciuk sterczał przekrzywiony, jakby zęby szczura przecięły ważne łącze zespalające go z resztą lewej dłoni. Nałożyłem nową warstwę antyseptyku i powlokłem się do domu, myśląc: Boli, ale przynajmniej rana jest czysta. Achelois nic nie było, więc i ja wydobrzeję. Wszystko ułoży się pomyślnie. Usiłowałem wyobrazić sobie mobilizujące się w moim organizmie przeciwciała, które docierają do miejsca ukąszeń niczym mikroskopijni strażacy w czerwonych kaskach i długich brezentowych płaszczach.

Na dnie „aptecznika” znalazłem buteleczkę pigułek z apteki w Hemingford Home, zawiniętą w kawałek jedwabiu, który mógł być oderwany od damskiej halki. Wiecznym piórem napisano na etykiecie: „ARLETTE JAMES Na bóle menstruacyjne przyjmować 1 lub 2 przed snem”. Wziąłem trzy i popiłem je szczodrym łykiem whisky. Nie wiem, co było w tych tabletkach – przypuszczam, że morfina – ale zrobiły swoje. Ból nadal mnie nękał, lecz wydawał się należeć do Wilfreda Jamesa istniejącego w tamtej chwili na jakimś innym poziomie bytu. Kołowaciałem. Sufit zaczął obracać się łagodnie nad moją głową. Obraz maleńkich strażaków przybywających, by zgasić ogień infekcji, zanim ten rozejdzie się dalej, stał się ostrzejszy. Wiatr się nasilał, w moich uszach zaś ciągle dudnienie śniegu z deszczem o dom bardziej niż kiedykolwiek przypominało hałas robiony przez szczury, ale ja wiedziałem swoje. Myślę, że nawet powiedziałem głośno: „Swoje wiem, Arlette, nie nabierzesz mnie”.

Kiedy świadomość malała i zaczynałem odpływać, dotarło do mnie, że mogę odejść na dobre: kombinacja szoku, wody i morfiny mogła mnie wykończyć. Znalaziono by mnie potem w zimnym domu na farmie, ze skórą niebieskoszarą, z pogryzioną ręką ułożoną na brzuchu. Ta perspektywa nie przerażała mnie jednak, wręcz przeciwnie, koła. Gdy spałem, deszcz ze śniegiem zmienił się w śnieg.

* * *

Obudziłem się o świcie następnego ranka. W domu było zimno jak w grobie, dłoń mi spuchła i stała się dwukrotnie większa niż normalnie. Ciało wokół ran zmieniło kolor na ciemnoszary, pierwsze trzy palce stały się nieprzyjemnie różowe, a do końca dnia kompletnie czerwone. Dotknięcie w którymkolwiek miejscu poza zaróżowionym wywoływało przejmujący ból. Niemniej obandażowałem rękę, jak mogłem najciaśniej, dzięki czemu złagodniało pulsowanie. Napaliłem pod kuchnią – dla jednorękiego człowieka to długotrwałe

zajęcie, ale dałem radę – potem usiadłem tuż obok, żeby się ogrzać. Ogrzać całe ciało oprócz pogryzionej ręki, bo ta i tak była gorąca. Ciepła i pulsująca niczym rękawiczka ze schowanym w środku szczurem.

Po południu dostałem gorączki, dłoń tak mi spuchła pod bandażem, że musiałem go poluzować. Krzychałem z bólu, gdy to robiłem. Potrzebny był mi lekarz, ale śnieg padał intensywniej niż kiedykolwiek, nie zdołałbym dotrzeć nawet do farmy Cotteriech, a co dopiero do Hemingford Home! Nawet jeśli dzień byłby pogodny, jasny i suchy, jak miałbym uruchomić ciężarówkę albo T za pomocą korby jedną ręką? Siedziałem w kuchni, dorzucałem do ognia, aż buchał niczym z paszczy smoka, pociłem się i trząsałem z zimna, trzymając zabandażowaną dłoń przyciśniętą do piersi. Przypomniałem sobie, jak miła pani McReady lustrowała moje zagracone, niezbyt dobrze utrzymane podwórze. „Ma pan podłączony telefon, panie James? Widzę, że nie”.

Nie, nie miałem telefonu. Byłem sam na farmie, dla której posunąłem się do morderstwa, bez żadnych możliwości otrzymania pomocy lub nawet jej zawezwania. Widziałem, że skóra czerwienieje nad bandażem: na nadgarstku, pełnym żył, które rozniosą truciznę po całym organizmie. Strażacy nie dali rady. Pomyślałem o opasce uciskowej – byłem gotów poświęcić lewą rękę, żeby ratować resztę ciała – a nawet o amputowaniu jej siekierą, której używaliśmy do rąbania drewna na podpałkę i czasami do zabijania kurczaków. Oba pomysły wydawały mi się idealne, ale wymagałyby zbyt dużego wysiłku. Ostatecznie nic nie zrobiłem, jedynie sięgnąłem do szafki po więcej tabletek Arlette. Wziąłem kolejne trzy, tym razem popiłem je wodą – w gardle mnie paliło – i znów usiadłem przy ogniu. Myślałem, że umrę. Byłem tego pewny i poddałem się. Śmierć od ran i zakażenia była równie częsta jak deszcz jesienią. Postanowiłem, że jeśli ból stanie się nie do wytrzymania, połknę wszystkie pigułki, jakie jeszcze zostały. Jedyne, co powstrzymało mnie przed zrobieniem tego od razu – poza strachem przed śmiercią, który, jak przypuszczam, w mniejszym lub większym stopniu dotyczy nas wszystkich – to nadzieja, że może jednak ktoś przyjedzie: Harlan, szeryf Jones albo miła pani McReady. Istniało również prawdopodobieństwo, że zjawi się adwokat Lester, by znowu dręczyć mnie sprawą tych stu akrów.

Najbardziej jednak liczyłem na to, że wróci Henry. Ale nie wrócił.

To Arlette do mnie przyszła.

* * *

Pewnie zastanowiło was, skąd wiem o pistolecie kupionym przez Henry'ego w lombardzie na Dodge Street i napadzie na bank przy Jefferson Square. Jeśli rzeczywiście tak było, to prawdopodobnie powiedzieliście do siebie: „Cóż, od 1922 do 1930 roku upłynęło sporo czasu, wystarczająco dużo, żeby dotrzeć w bibliotece do mnóstwa detali zamieszczonych w starych numerach wychodzącego w Omaha »World-Heralda«”.

Oczywiście szukałem w gazetach. Pisałem też do ludzi, którzy spotkali mojego syna i jego ciężarną dziewczynę podczas ich krótkiej, fatalnej podróży z Nebraski do Nevady. Większość tych osób mi odpisała, chętnie podając szczegóły. Taki rodzaj śledztwa na pewno wydaje się rozsądny i bez wątplenia was satysfakcjonuje. Ale moje dochodzenie zaczęło się później, kiedy opuściłem farmę, i potwierdziło jedynie to, co i tak wiedziałem.

„Już wtedy?” – zapytacie, a ja odpowiem po prostu: „Tak. Już wtedy. I wiedziałem o wszystkim nie tylko, gdy się dokonało, ale też po części zanim do czegoś doszło. Znałem najświeższe wiadomości”.

Skąd? Odpowiedź jest prosta. Moja martwa żona mi powiedziała.

Nie wierzycie, to jasne. Ale rozumiem to. Podobnie zareagowałyby każda racjonalnie myśląca osoba. Mogę jedynie po raz kolejny powtórzyć, że to moja spowiedź, moje ostatnie słowa na tym ziemskim padole, i nie piszę nic, czego prawdziwości nie byłbym pewny.

* * *

Następnej nocy (a może jeszcze kolejnej, bo gdy owładnęła mną gorączka, straciłem rachubę czasu) obudziłem się z drzemki przed kuchnią i ponownie usłyszałem szeleszczące, chroboczące odgłosy. W pierwszej chwili pomyślałem, że znowu pada śnieg z deszczem, ale kiedy wstałem, żeby oderwać kęs chleba od leżącego na blacie bochenka, spostrzegłem na horyzoncie cienką pomarańczową linię światła zachodzącego słońca i Wenus błyszczącą na niebie. Burza się skończyła, ale szeleszczące dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Dochodziły jednak nie ze ścian, ale z werandy na tyłach domu.

Zasuwa przy drzwiach zaczęła się otwierać. Najpierw jedynie drgnęła, jakby ręka, która chciała ją odemknąć, była zbyt słaba, żeby wysunąć cały rygiel z otworu. Ruch ustał, a ja uznałem, że niczego nie widziałem – że to złudzenie zrodzone w gorączce. Chwilę potem jednak przesunęła się do końca z cichym stuknięciem i drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka zimny podmuch wiatru. Na werandzie stała moja żona. Nadal miała na głowie jutowy worek, teraz pokryty płatkami śniegu. Musiała to być dla niej powolna i bolesna droga z miejsca ostatecznego spoczynku. Skóra na twarzy zwisała jej z powodu rozkładu, dolna szczęka była przesunięta na jedną stronę, uśmiech wyglądał na szerszy niż kiedykolwiek. Był to właściwie grymas zrozumienia, bo dlaczego nie? Zmarli wszystko rozumieją.

Otaczali ją lojalni dworzanie. To oni w jakiś sposób sprawili, że wydostała się ze studni, i teraz ją podtrzymywali. Bez nich byłaby jedynie duchem, wrogim, ale bezradnym. Ożywiali ją. Była ich królową, ale także ich marionetką. Weszła do kuchni, poruszając się chybotliwie, krokiem jakiejś straszliwej bezkostnej masy, którego w żaden sposób nie można było nazwać chodzeniem. Szczury krzątały się wokół niej, niektóre patrzyły na nią z miłością, inne zerkwały na mnie z nienawiścią. Zataczała się po całej kuchni, obchodząc swą dawną domenę, grudy ziemi odrywały się od jej sukienki (nie było śladu po kołdrze ani po narzucie), głowa kiwała

się jej na wszystkie strony ponad podciętym gardłem. Za którymś razem opadła jej aż na łopatki, zanim ponownie znalazła się z przodu, czemu towarzyszył niski, mlaszczący dźwięk.

Kiedy wreszcie skierowała na mnie mętne oczy, cofnąłem się w kąt, gdzie stała niemal pusta drewniana skrzynia.

– Zostaw mnie w spokoju – wyszeptałem. – Przecież nawet cię tu nie ma. Jesteś w studni i nie mogłabyś się stamtąd wydostać, nawet gdybyś nie była martwa.

Wydała z siebie bulgoczący dźwięk – brzmiało to, jakby ktoś zadławił się gęstym sosem – i nie przestawała się zbliżać, na tyle prawdziwa, żeby rzucać cień. Czułem odór gnijącego ciała kobiety, która kiedyś w spazmie namiętności czasami wsuwała mi język w usta. Była tu. Prawdziwa. Podobnie jak jej królewska świta. Czułem, jak szczury biegają tam i z powrotem po moich stopach, łaskoczą mnie w kostki wąsami, obwąchując nogawki moich kalesonów.

Wyrznąłem piętami o skrzynkę, a kiedy spróbowałem się uchylić przed nadchodzącym trupem, straciłem równowagę i usiadłem. Uderzyłem się w spuchniętą, zainfekowaną rękę, ale prawie nie poczułem bólu. Arlette nachylała się nade mną, a jej twarz... dyndała. Ciało odłączyło się od kości i twarz zwisała niczym oblicze namalowane na dziecięcym baloniku. Jeden ze szczurów wspiał się na skrzynkę, wskoczył mi na brzuch, przebiegł po piersi i zaczął obwąchiwać podbródek. Czułem, jak inne przemykają pod moimi kolanami. Ale nie gryzły mnie. To zadanie zostało wykonane już wcześniej.

Pochyliła się jeszcze niżej. Jej smród stawał się nie do wytrzymania, a uśmiech rozciągał od ucha do ucha... pisząc teraz, widzę go wyraźnie. Chciałem umrzeć, ale serce nie przestawało mi bić. Jej zwisająca twarz otarła się o moją. Czułem, jak mój zarost wyrывa małe kawałki jej skóry. Słyszałem, jak jej złamana szczeka zgrzyta niczym oblodzona gałąź. A potem jej usta przywarły do mojego rozpalonego gorączką ucha i zaczęła szeptać mi tajemnice, jakie może znać jedynie martwa kobieta. Wrzasnąłem. Obiecałem, że jeśli nie przestanie, odbiorę sobie życie i zajmę jej miejsce w piekle. Ale nie przestała. Nie mogła. Zmarli nie przerywają niczego.

Teraz o tym wiem.

* * *

Po ucieczce z Pierwszego Banku Rolnego z dwustu dolarami upchniętymi w kieszeni (prawdopodobnie było to jednak około stu pięćdziesięciu dolarów, bo część spadła na podłogę, jak pamiętacie) Henry zniknął na jakiś czas. „Przyczaił się”, jak mawiają przestępcy. Piszę o tym z pewną dumą. Założyłem, że zostanie złapany niemal od razu po dotarciu do miasta, ale on udowodnił, że się myliłem. Był zakochany, zdesperowany, nadal gnębiły go wyrzuty sumienia i przerażenie z powodu zbrodni, którą razem popełniliśmy... lecz mimo tych rozterek (tych skażeń) mój syn wykazał się odwagą i brawurą, a nawet pewną smutną szlachetnością. Myśl o tym ostatnim jest najgorsza. Refleksja nad jego zmarnowanym życiem

(trzeba zmarnowanymi zyciami, bo nie wolno mi zapominać o ciężarnej Shannon Cotterie) nadal wywołuje we mnie melancholię i napawa wstydem, jako że sam go do tego doprowadziłem, niczym cielę na postronku.

Arlette pokazała mi chatę, w której się przyczał, i ukryty na tyłach rower – pierwszą rzecz, jaką kupił za ukradzione pieniądze. Nie potrafiłbym wtedy wam powiedzieć, gdzie znajdowała się jego kryjówka, ale po latach ją zlokalizowałem i nawet odwiedziłem – była tuż przy drodze i miała wyblakłą reklamę Royal Crown Coll namalowaną na ścianie. Znajdowała się kilka kilometrów na zachód od przedmieść Omaha, skąd widać było Miasto Chłopców, które zaczęło działać rok wcześniej. Jeden pokój, pojedyncze okno pozbawione szyb i żadnego pieca. Rower zakrył sianem i chwastami. Zaczął snuć plany. Potem, jakiś tydzień po obrabowaniu banku – do tego czasu zainteresowanie policji pomniejszym rabunkiem zupełnie wygasło – zaczął jeździć rowerem do Omaha.

Głupi chłopak skierowałby się od razu do Katolickiego Domu dla Dziewcząt pod wezwaniem Świętej Euzebie i wpadł w zasadzkę przygotowaną przez gliniarzy (czego bez wątplenia spodziewał się szeryf Jones), ale Henry Freeman James był na to za sprytny. Ustalił, gdzie znajduje się ten przybytek, ale się do niego nie zbliżał. Zamiast tego odszukał najbliższą cukiernię. Słusznie przyjął, że dziewczęta będą tam zachodziły przy każdej okazji (co się zdarzało, gdy nagradzano je za dobre sprawowanie wolnym popołudniem i gdy miały trochę pieniędzy), i choć nie wymagano od nich, by nosiły mundurki, łatwo było je rozpoznać po niemodnych sukienkach, spuszczonego wzroku i po zachowaniu – zalotnym lub płochliwym. Te z dużymi brzuchami i bez obrączek na palcach szczególnie rzucały się w oczy.

Głupi chłopak próbowałby nawiązać rozmowę z którąś z tych nieszczęsnych córek Ewy od razu w cukierni, zwracając tym na siebie uwagę. Henry zajął pozycję na zewnątrz, u wylotu alejki biegnącej między cukiernią a sąsiednią pasmanterią. Siadał na skrzynce i czytał gazetę, oparłszy rower o ścianę. Czekał na dziewczynę trochę odważniejszą od tych, które zadowalały się sączeniem lodów z wodą sodową i sokiem owocowym, by potem wrócić grzecznie do sióstr. To oznaczało dziewczynę, która pali. Trzeciego popołudnia, gdy siedział w alejce, taka dziewczyna się pojawiła.

Odszukałem ją potem i wypytałem. Nie trzeba było do tego specjalnych umiejętności detektywistycznych. Jestem pewny, że w oczach Henry'ego i Shannon Omaha było metropolią, ale w 1922 roku miasto nie przekraczało wielkością przeciętnej wsi na Środkowym Zachodzie, pretendującej do tego miana. Victoria Hallett jest teraz ogólnie szanowaną, zamężną kobietą z trojgiem dzieci, ale jesienią 1922 roku nazywała się Victoria Stevenson: była młoda, ciekawa świata, zbuntowana, w szóstym miesiącu ciąży i bardzo lubiła papierosy Sweet Caporals. Ucieszyła się niezmiernie, gdy Henry poczęstował ją jednym, podsuwając paczkę.

– Weź kilka na potem – zachęcił.

Roześmiała się.

– Musiałabym mieć źle w głowie, żeby to zrobić! Kiedy wracamy, siostry przeszukują nam torebki i wywracają kieszenie na drugą stronę. Nie wiedziałeś? Żeby się pozbyć zapachu papierosa, będę musiała przeżuć trzy dębowe gałązki. – Z przekorą i rozbawieniem poklepała się po wydatnym brzuchu. – Jak chyba widzisz, mam kłopoty. Niegrzeczna dziewczynka! A mój kochaś uciekł. Niedobry chłopiec, ale świat ma to w nosie! Potem sztywniak zamknął mnie w tym więzieniu z pingwinami zamiast strażników...

– Nie bardzo cię rozumiem.

– Jezu! Sztywniak to mój ojciec! Pingwinami nazywam siostry! – Roześmiała się. – Jesteś jakimś wsiowym ciamajdą, a niech mnie! W każdym razie więzienie, w którym siedzę, nazywa się...

– Święta Euzebia.

– Szybko się uczysz, kmiotku. – Zaciągnęła się papierosem, zwęziła oczy. – O rany, wiem, kim jesteś... Ty jesteś chłopakiem Shan Cotterie.

– Podarowałem jej dzieciaczka – powiedział Hank.

– Radziłabym ci nie zbliżać się do naszego miejsca. Gliniarze mają twój rysopis. – Zaśmiała się wesoło. – Twój i pół tuzina innych samotnych teraz majsterkowiczów, ale żaden z tych gamoni nie jest podobny do ciebie ani żadna z dziewczyn nie jest tak śliczna jak Shannon. To prawdziwa królowa Saby! Jak rany!

– A jak myślisz, dlaczego jestem tutaj, a nie tam?

– Poddaję się... Dlaczego jesteś tutaj?

– Chcę się z nią skontaktować, ale nie chcę, żeby mnie przy tym złapali. Dam ci dwa dolce, jeśli przekażesz jej wiadomość.

Oczy Victorii stały się wielkie jak spodki.

– Dwa? Koleś, za dwa zielone poszłabym do piekła przekazać wiadomość samemu diabłu, taka jestem spłukana! Dawaj!

– I kolejne dwa, żebyś trzymała buzię na kłódkę. Teraz i później.

– Za to nie musisz mi płacić dodatkowo – odpowiedziała. – Uwielbiam wyprowadzać w pole te nadęte suki. Biją nas po rękach, jeśli człowiek spróbuje wziąć dodatkową bułkę! Jak w *Oliverze Twiście!*

Dał jej list, a Victoria przekazała go Shannon. Był w jej niewielkim bagażu, kiedy w końcu policja dogoniła Henry'ego i Shannon w Elko w stanie Nevada, a ja widziałem jego policyjną fotokopię. Niemniej Arlette powiedziała mi, co w nim było, na długo przedtem, zanim go zobaczyłem, i stwierdzam, że treść zgadzała się co do słowa.

Będę czekał od północy do świtu za Twoim miejscem każdej nocy przez dwa tygodnie – napisał w liście. Jeśli nie przyjdiesz, będę wiedział, że między nami wszystko skończone, i wrócę do Hemingford, i nigdy już nie będę Ci się naprzykrzał, choć będę Cię kochał na zawsze. Jesteśmy młodzi, ale moglibyśmy nie mówić prawdy o naszym wieku i zacząć nowe,

dobrze życie w innym miejscu (Kalifornia). Mam trochę pieniędzy i wiem, jak zdobyć ich więcej. Victoria wie, jak mnie znaleźć, na wypadek gdybyś chciała przesłać mi wiadomość, ale tylko raz. Więcej nie byłoby bezpiecznie.

Przypuszczam, że Harlan i Sallie Cotterie, jeśli byli w stanie znieść widok tego listu, mogą mieć jego oryginał. A skoro tak, to przekonali się, że mój syn pisał go sercem. Zastanawiam się, czy to właśnie przekonało również Shannon. Zastanawiam się, czy w ogóle trzeba ją było przekonywać. Nie wykluczam bowiem, że wszystko, czego pragnęła, ograniczało się do zatrzymania dziecka, które już pokochała (i nadania mu nazwiska). Na to pytanie jednak Arlette nigdy nie dała mi odpowiedzi swoim straszliwym szeptem. Prawdopodobnie w ogóle jej to nie obchodziło.

* * *

Po tamtym spotkaniu Henry wracał codziennie do wylotu alejki. Na pewno wiedział, że zamiast Victorii mogą przyjść gliniarze, ale uznał, że nie ma wyboru. Trzeciego dnia wyczekiwania przyszła.

– Shan odpisała od razu, ale wcześniej nie mogłam się wyrwać – powiedziała. – Jakiś idiota pojawił się w norze, którą mają czelność nazywać salą muzyczną, i od tamtej pory pingwiny wstąpiły na ścieżkę wojenną.

Henry wyciągnął rękę po list, który Victoria mu podała w zamian za papierosa. Było w nim tylko pięć słów: *Jutro o drugiej nad ranem.*

Henry oplótł Victorię ramionami i ucałował. Ona zaś roześmiała się z podekscytowania.

– Rany! Niektóre dziewczyny zgarniają całą pulę!

Bez wątpienia niektóre tak. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że Victoria skończyła jako mężatka z trojgiem dzieci i ładnym domem przy Mapie Street w najelegantszej dzielnicy Omaha, a Shannon nie przeżyła od tamtej chwili nawet roku... o której z nich można powiedzieć, że szczęście zdecydowanie jej dopisało?

* * *

Mam trochę pieniędzy i wiem, jak zdobyć ich więcej – napisał Henry i nie rzucał słów na wiatr. Już kilka godzin po ucałowaniu niepokornej Victorii (która przekazała Shannon jego słowa: „Powiedział, że stawi się z największą przyjemnością”) młody mężczyzna w wełnianej czapce z daszkiem, nasuniętej nisko na czoło, i z chustką zakrywającą usta i nos obrabował Pierwszy Bank Narodowy w Omaha. Ukradł osiemset dolarów, co było pomyślnym rezultatem. Tyle że tym razem strażnik okazał się młodszy i bardziej entuzjastycznie nastawiony do wykonywanych obowiązków, co nie było już tak pomyślne. Złodziej musiał strzelić mu w udo, żeby uciec, i choć Charles Griner przeżył, wdała się infekcja (współczuję

mu) i stracił nogę. Kiedy spotkałem się z nim w domu jego rodziców wiosną 1925 roku, miał do tego bardzo filozoficzne podejście.

– To cud, że w ogóle żyję – powiedział. – Zanim nałożyli mi opaskę uciskową, leżałem w kałuży krwi głębokiej na ponad dwa centymetry. Założę się, że potrzeba było całego pudełka detergentu, żeby posprzątać ten bałagan.

Gdy spróbowałem przeprosić go za syna, machnął jedynie ręką.

– Nie powinienem się do niego zbliżać. Czapkę miał nisko nasuniętą, a chustka zakrywała pół twarzy, ale widziałem jego oczy, o tak. Powinienem był się domyślić, że nic go nie powstrzyma, chyba że ktoś by go zastrzelił, a ja nie miałem nawet sposobności wyciągnąć broni. Widziałem to w jego oczach. Ale sam byłem wtedy młody. Teraz jestem starszy. A na to pański syn nie miał szansy. Przykro mi z powodu tej straty.

* * *

Po tej robocie Henry miał dość pieniędzy na kupno samochodu – dobrego, kempingowego – ale wiedział swoje. (Pisząc to, ponownie czuję rodzaj dumy: niezbyt dużej, ale niezaprzeczalnej). Dzieciak jak on, który zaczął się golić tydzień lub dwa wcześniej, obnoszący się z ogromną kwotą, wystarczającą na zakup prawie nowego oldsmobile'a? To na pewno zwróciłoby na niego uwagę stróżów prawa.

Zamiast więc kupować samochód, ukradł go. Nie kempingowy co prawda, zdecydował się na ładnego, ale nijakiego forda coupe. Właśnie to auto zaparkował za Świętą Euzebią i do niego wsiadła Shannon, kiedy już z torbą w ręku wymknęła się z pokoju, przekradła po schodach i przecisnęła przez okno w pralni przylegającej do kuchni. Mieli chwilę, by się pocałować – Arlette mi tego nie powiedziała, ale od czego nadal mam wyobraźnię? – a potem Henry skierował forda na zachód. O świcie byli już na szosie Omaha-Lincoln. Musieli mijać w niewielkiej odległości jego stary dom – i jej – około trzeciej po południu. Niewykluczone, że spojrzeli w tamtą stronę, ale wątpię, by Henry zwolnił. Na pewno nie chciał zatrzymywać się na noc w okolicy, gdzie ktoś mógłby ich rozpoznać.

Zaczęli życie uciekinierów.

Arlette szeptała mi o tym życiu więcej, niż chciałem wiedzieć, i nie mam serca opisywać tu nic ponad suche fakty. Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej, napiszcie do biblioteki publicznej w Omaha. Za drobną opłatą prześlą wam odbitki hektograficzne artykułów dotyczących „Zakochanych Bandytów”, jak zaczęto ich nazywać (i jak sami siebie określali). Może nawet, jeśli nie mieszkacie w Omaha, odnajdziecie jakieś artykuły w swoich lokalnych gazetach. Koniec tej opowieści został bowiem uznany za tak bardzo rozdzierający serce, że na pewno nie pominęłyby go wydania dzienników w całym kraju.

„World-Herald” nazywał ich „Przystojny Hank” i „Urocza Shannon”. Na zdjęciach wyglądają nieprawdopodobnie młodo. Nie chciałem oglądać tych fotografii, ale, rzecz jasna,

je widziałem. Szczury mogą gryźć na wiele sposobów, prawda?

Skradziony samochód złapał gumę gdzieś na prowincji w Nebrasce. Kiedy Henry montował zapasowe koło, zjawili się dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyjął śrutówkę spod poły płaszcza – coś takiego w czasach Dzikiego Zachodu nazywano bandyckim rozbojem – i wycelował w uciekających kochanków. Henry nie miał szans na wyciągnięcie własnej broni, bo trzymał ją w kieszeni palta i gdyby spróbował jej dobyć, na pewno zostałby zabity. I tak rabuś został obrabowany. Pod zimnym jesiennym niebem kochankowie poszli, trzymając się za ręce, do najbliższej farmy, a kiedy gospodarz zbliżył się do drzwi, żeby spytać, jak może im pomóc, Henry wycelował mu w pierś i powiedział, że chce wziąć jego samochód i całą gotówkę.

Dziewczyna, która z nim była, jak opowiedział później farmer dziennikarzom, stała na werandzie odwrócona plecami. Powiedział, że jego zdaniem płakała. Dodał, że jej współczuł, bo była mała jak Calineczka, w ciąży i podróżowała z młodym desperatem, skazana na wspólny z nim koniec.

Czy próbowała go powstrzymać? – zapytał dziennikarz. Próbowała go od tego odwieść?

Nie – odpowiedział farmer. Stała po prostu odwrócona tyłem, jakby myślała, że skoro tego nie widzi, nic się nie dzieje. Stary gruchot farmera, reo, został znaleziony niedaleko stacji kolejowej w McCook, z listem na siedzeniu: *Zwracamy samochód, pieniądze, które ukradliśmy, odeślemy, jak tylko będzie to możliwe. Zabraliśmy je, bo zostaliśmy bez centa. Z wyrazami szacunku, „Zakochani Bandyści”*. Kto wymyślił taki pseudonim? Prawdopodobnie Shannon, list był napisany jej ręką. Posłużyli się nim, bo nie chcieli zdradzać własnych nazwisk, ale właśnie takie rzeczy tworzą legendę.

Dzień lub dwa później doszło do napadu w małym Banku Granicznym w Arapahoe w Kolorado. Złodziej – ubrany w wełnianą czapkę z daszkiem i z zawiązaną wysoko na twarzy chustką – był w pojedynkę. Zabrał niecałe sto dolarów i odjechał hupmobile'em, który zgłoszono jako skradziony w McCook. Nazajutrz w Pierwszym Banku w Cheyenne Wells (jedynym zresztą w tym mieście) młody mężczyzna działał razem z kobietą, która zasłoniła twarz własną chustką, ale nie dało się ustalić, czy była w ciąży. Uciekli z czterystu dolarami i szybko wyjechali z miasta, kierując się na zachód. Na trasie do Denver ustawiono blokadę, ale Henry sprytnie ją ominął i szczęście nadal mu dopisywało. Wkrótce po opuszczeniu Cheyenne Wells skręcili na południe i poruszali się polnymi drogami.

Po tygodniu para młodych ludzi przedstawiających się jako Harry i Susan Freemanowie wsiadła w Colorado Springs do pociągu jadącego do San Francisco. Nie wiem, dlaczego wysiedli niespodziewanie w Grand Junction, a Arlette mi tego nie powiedziała – musieli zobaczyć coś, co, jak myślę, napędziło im strachu. Wiem jedynie, że obrabowali tam bank, a potem kolejny, w Ogden w Utah. Poza tym w Ogden jakiś mężczyzna próbował zatrzymać Henry'ego przed bankiem, ale chłopak strzelił mu w pierś. Mimo to facet go nie puścił, dopiero Shannon zepchnęła rannego z granitowych schodów. Uciekli. Mężczyzna zmarł dwa

dni później w szpitalu. „Zakochani Bandyci” stali się mordercami. W Utah karze się za to stryczkiem.

Działo się to już w okolicy Święta Dziękczynienia, ale nie wiem, czy przed, czy po nim. Policja na zachód od Gór Skalistych miała ich rysopisy i prowadziła poszukiwania. Mnie pogryzł szczur chowający się w szafie – tak myślę – albo może dopiero miał pogryźć. Arlette powiedziała mi, że oni już nie żyją ale to nie była prawda. Nie wtedy, gdy ona i jej lojalna świta przyszli do mnie w odwiedzin. Albo skłamała, albo wieściła. To dla mnie wszystko jedno.

* * *

Ich przedostatnim przystankiem było Deeth w Nevadzie. Dzień zapowiadał się przejmująco zimny, kończył się listopad albo zaczynał grudzień, białe niebo zaczęło sypać śniegiem. Chcieli jedynie jajek i kawy w jedynej knajpie w mieście, ale wtedy szczęście całkiem ich opuściło. Barman pochodził z Elkhorn w stanie Nebraska i choć od lat nie odwiedzał rodzinnych stron, matka systematycznie przysyłała mu w wielkich paczkach numery „World-Heralda”. Kilka dni wcześniej dostał właśnie taką przesyłkę i w parze siedzącej w jednym z boksów restauracji rozpoznał „Zakochanych Bandytów” z Omaha.

Zamiast zadzwonić na policję (albo do pobliskiej kopalni miedzi, by zawiadomić tamtejszą ochronę, która zadziałałaby szybciej i operatywniej), postanowił dokonać obywatelskiego zatrzymania. Spod kontuaru wyciągnął zardzewiały kowbojski pistolet, wycelował w nich i kazał im – zgodnie z najlepszą tradycją Dzikiego Zachodu – podnieść ręce. Henry nie robił takich rzeczy. Zsunął się z ławki i ruszył w kierunku barmana, mówiąc:

– Nie rób tego, przyjacielu. Nie chcemy nikogo skrzywdzić, zapłacimy i wyjdziemy.

Barman pociągnął za spust, ale stary pistolet nie wypalił. Henry wyjął mu go z dłoni, spojrzął na bębenek i roześmiał się.

– Dobre wieści! – zawołał do Shannon. – Kule tkwiły w środku tak długo, że zrobiły się zielone.

Położył na kontuarze dwa dolary – za jedzenie – i popełnił straszliwy błąd. Do dziś co prawda wierzę, że niezależnie od wszystkiego sprawy i tak skończyłyby się dla nich fatalnie, niemniej chciałbym cofnąć się w czasie i krzyknąć do niego: „Nie odkładaj tej broni, bo nadal jest naładowana! Nie rób tego, synu! Zielone czy nie, wsadź naboje do kieszeni!”. Ale tylko zmarli mogą się porozumiewać ponad czasem. Teraz to wiem, i to z własnego doświadczenia.

Kiedy wychodzili („trzymając się za ręce”, wyszeptła Arlette), barman chwycił z kontuaru zabytkowy pistolet i trzymając go oburącz, ponownie pociągnął za spust. Tym razem broń wypaliła, ale choć prawdopodobnie celował w Henry’ego, kula trafiła Shannon Cotterie w dół pleców. Dziewczyna krzyknęła i potykając się, wyszła na zewnątrz w śnieżną zawieję. Henry złapał ją, zanim upadła, i pomógł jej wsiąść do forda, ostatniego samochodu,

jaki ukradł. Barman znowu próbował strzelić do niego przez okno, ale wtedy stary pistolet eksplodował mu w rękach. Kawałek metalu pozbawił go lewego oka. Nigdy go nie żałowałem. Nie jestem tak wspaniałomyślny jak Charles Griner.

Poważnie ranna – a może już umierająca – Shannon zaczęła rodzić, podczas gdy Henry prowadził przez gęstniejący śnieg, kierując się do Elko, pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód, gdzie, jak przypuszczam, chciał poszukać lekarza. Nie mam pojęcia, czy był tam jakiś lekarz, czy nie, ale na pewno był posterunek policji, do którego zadzwonił barman, mimo że gałka oczna obsychała mu na policzku. Dwóch miejscowych gliniarzy i czterech funkcjonariuszy ze stanowej drogówki w Nevadzie czekało na Henry'ego i Shannon na obrzeżu miasta, ale Henry i Shannon nigdy ich nie zobaczyli. Deeth od Elko dzieli pięćdziesiąt kilometrów, z których Henry pokonał czterdzieści pięć.

Już w granicach miasta (ale nadal poza jego obrzeżami) wyczerpał się ostatni zapas szczęścia Henry'ego. Ponieważ Shannon krzyczała bez przerwy i trzymała się za brzuch, brudząc krwią całe siedzenie, musiał jechać bardzo szybko – za szybko. A może trafił na dziurę w nawierzchni szosy. Jakkolwiek było, ford wpadł do rowu, silnik zgasł. I oto znaleźli się na górskim pustkowiu, podczas gdy nasilający się wiatr nawiewał na nich coraz więcej śniegu. O czym Henry wtedy myślał? Pewnie uznał, że to, co zrobił razem ze mną w Nebrasce, przywiodło go i dziewczynę, którą kochał, do tej głuszy w Nevadzie. Arlette nie powiedziała mi tego, ale nie musiała. I tak wiedziałem.

W gęstniejącym śniegu wypatrzył zarys budynku. Wyciągnął Shannon z samochodu. Przeszła kilka kroków przy wtórze wyjącego wiatru i nie była w stanie iść dalej. Dziewczyna, która znała się na „trynogometrii” i mogła zostać pierwszą absolwentką studium nauczycielskiego w Omaha, oparła głowę na ramieniu młodziutkiego kochanka i powiedziała:

– Nie dam rady, kochanie, połóż mnie na ziemi.

– A co z dzieckiem? – zapytał ją.

– Dziecko nie żyje i ja też chcę umrzeć – odpowiedziała. – Nie wytrzymam tego bólu. Jest straszny. Kocham cię, skarbie, ale połóż mnie na ziemi.

Zamiast tego jednak zaniósł ją do budynku, który okazał się szopą pasterzy pędzących bydło, niewiele różniącą się od chałupiny w okolicach Miasta Chłopców, z wyblakłą butelką Royal Crown Coli namalowaną na ścianie. Był tam piec, ale ani śladu drewna. Henry wyszedł na zewnątrz i znalazł kilka gałęzi, których śnieg nie zdążył jeszcze zasypać, a kiedy wrócił do środka, Shannon była nieprzytomna. Napalił w piecu i położył jej głowę na swoich udach. Shannon Cotterie umarła, zanim niewielki ogień, jaki rozpałił, zmienił się w dogasający żar, a potem Henry został sam na nędznym wyrku w chacie, gdzie przed nim kładły się dziesiątki brudnych kowbojów, częściej pijanych niż trzeźwych. Siedział tak i głaskał Shannon po złotych włosach, podczas gdy na zewnątrz zawodził wiatr, wprawiając w drżenie lichy dach chałupy.

Tego wszystkiego dowiedziałem się od Arlette, kiedy tych dwoje skazanych przez los

dzieciaków jeszcze żyło. Opowiedziała mi o tym, gdy szczury pełzały wokół mnie, kawałki jej twarzy odrywały się przy ocieraniu o mój zarost, jej smród wypełniał mi nozdrza, a zainfekowana ręka puchła i paliła mnie żywym ogniem.

Błagałem Arlette, żeby mnie zabiła, żeby poderżnęła mi gardło, tak jak ja poderżnąłem jej, ale nie chciała. Nie chciała.

To była jej zemsta.

* * *

Mogło to być dwa dni później, kiedy na farmie zjawił się gość. Może nawet trzy dni, ale chyba jednak nie. Myślę, że minął tylko jeden dzień. Nie wierzę, żebym przetrwał dwie czy trzy doby bez pomocy. Przestałem jeść i niemal nie piłem. Mimo to, kiedy rozległo się pukanie, zdołałem wstać z łóżka i na chwiejnych nogach dotrzeć do drzwi. Część mnie myślała, że to może być Henry, bo nadal do pewnego stopnia się łudziłem, że odwiedziny Arlette były urojeniem wywołanym gorączką... a nawet gdyby były prawdziwe, to wierzyłem, że skłamała.

Za drzwiami stał szeryf Jones. Na jego widok nogi się pode mną ugięły, przechyliłem się do przodu. Byłbym upadł z hukiem na werandę, gdyby mnie nie złapał. Usiłowałem powiedzieć mu o Henrym i Shannon – że Shannon zostanie postrzelona, że skończą w chacie pastuchów na przedmieściach Elko, że on, szeryf Jones, musi do kogoś zadzwonić i nie dopuścić, by do tego doszło. Ale wszystko mi się mieszało. Mimo to wyłapał z mojego bełkotu imiona.

– Uciekł z nią, to prawda – powiedział. – Tylko jeśli Harl przyszedł i ci o tym powiedział, dlaczego zostawił cię w takim stanie? Coś cię pogryzło?

– Szczur – wydusiłem z siebie.

Objął mnie ramieniem i na wpół niosąc, sprowadził po schodach werandy do samochodu. George, kogut, leżał zamarznęty na ziemi obok sterty drewna, krowy porykiwały. Kiedy ostami raz je karmiłem? Nie umiałem sobie przypomnieć.

– Szeryfie, musisz...

Nie dał mi dokończyć. Pomyślał, że majaczę – właściwie dlaczego nie? Czuł, że pali mnie gorączka, od której twarz mi poczerwieniała. Na pewno miał wrażenie, że niesie piec.

– Oszczędzaj siły. I powinienes być wdzięczny Arlette, bo nigdy bym tu nie przyjechał, gdyby nie ona.

– Nie żyje – wykrztusiłem.

– Tak, ona nie żyje, zgadza się.

Wtedy mu się przyznałem, że ją zabiłem, och, co za ulga! Rurka wetknięta do mojej głowy odblokowała się w magiczny sposób i zakażające mnie widmo, które w niej siedziało, nareszcie znikło.

Wrzucił mnie do auta jak worek mąki.

– Porozmawiamy jeszcze o Arlette, ale teraz zabieram cię do Aniołów Miłosierdzia i będę wdzięczny, jeśli nie porzucasz się w samochodzie.

Kiedy wyjechał z podwórza, zostawiając martwego koguta i porykujące krowy (i szczury, nie zapominajcie o nich! ha!), ponownie usiłowałem mu powiedzieć, że może jeszcze nie jest za późno dla Henry’ego i Shannon, że pewnie nadal jest szansa na ich ocalenie. Słyszałem własny głos, mówiący: „Rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły, ale wydarzą się”^{*}, jakbym był Duchem Nadchodzącego Bożego Narodzenia z powieści Dickensa. Potem straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, był drugi grudnia, a gazety na zachodzie donosiły: „»Zakochani Bandyci« wyprowadzają w pole policję z Elko i znowu uciekają”. Nie uciekli, ale nikt jeszcze o tym nie wiedział. Poza Arlette, rzecz jasna. I mną.

* * *

Lekarz stwierdził, że gangrena nie zaatakowała jeszcze przedramienia, i zaryzykował moje życie, amputując mi jedynie lewą dłoń. I nie pomylił się. Pięć dni po tym, jak szeryf Jones przywiózł mnie do Szpitala Aniołów Miłosierdzia w Hemingford City, leżałem strasznie wymizierowany na łóżku, lżejszy o ponad dwanaście kilogramów i lewą dłoń, ale żyłem.

Jones przyszedł mnie odwiedzić. Był śmiertelnie poważny. Spodziewałem się, że będzie chciał mnie aresztować za zamordowanie żony, a potem przykuje kajdankami do szpitalnego łóżka to, co zostało z mojej ręki. On jednak powiedział, że bardzo mi współczuje z powodu poniesionej straty. Mojej straty! Co ten idiota mógł o tym wiedzieć!

* * *

Co sprawiło, że siedzę w tym nędznym pokoju hotelowym (ale nie sam!), zamiast leżeć w grobie jako morderca? Odpowiem wam w dwóch słowach: moja matka.

Podobnie jak szeryf Jones miała nawyk przerywania rozmowy retorycznymi pytaniami. W jego przypadku był to środek wyrazu, jakiego nabył, pracując całe życie w policji – zadawał te swoje głupawe pytania i obserwował osobę, z którą rozmawiał, wypatrując wszelkich oznak winy: grymasu, zmarszczenia czoła, lekkiego ruchu oczu. Jeśli chodzi o moją matkę, była to maniera, którą przejęła od własnej matki, Angielki, i przekazała mnie. Straciłem jakiegokolwiek pozostałości brytyjskiego akcentu, który może i kiedyś miałem (choć tak naprawdę w ogóle tego nie pamiętam), ale nigdy nie pozbyłem się sposobu mówienia charakterystycznego dla matki, zmieniającej twierdzenie w pytanie, i czasem bezwiednie się nim posługiwałem. „Lepiej będzie, jeśli tu przyjdiesz, nie uważasz?” – powiedziałaaby. Albo

* Przeł. Jolanta Kubiak, www.OpowiescWigilijna.pl.

„Ojciec znowu zapomniał lunchu, będziesz musiał mu go zanieść, prawda?” Nawet uwagi o pogodzie przemieniały się w jej ustach w pytania: „Kolejny deszczowy dzień, nieprawdaż?”.

Chociaż tamtego listopadowego dnia, kiedy szeryf Jones zapukał do moich drzwi, miałem gorączkę i ciężko chorowałem, nie byłem w delirium. Dokładnie pamiętam naszą rozmowę, tak jak ludzie zapamiętują wyjątkowo wyraźnie obrazy z koszmarów sennych.

„I powinieneś być wdzięczny Arlette, bo nigdy bym tu nie przyjechał, gdyby nie ona” – powiedział.

„Nie żyje” – wykrztusiłem.

„Tak, ona nie żyje, zgadza się”.

A potem, tak jak wysłałem to z mlekiem matki, odezwałem się: „Zabiłem ją nieprawdaż?”.

Szeryf Jones potraktował retoryczny zabieg w stylu mojej matki (i jego własnym, nie zapominajcie) jak prawdziwe pytanie. Wiele lat później – w fabryce, gdzie znalazłem pracę po utracie farmy – usłyszałem kierownika grzmiącego na urzędniczynę, który wysłał zamówienia do Des Moines zamiast do Davenport, zanim dostał specyfikację wysyłki z głównego biura. „Ale w środę zawsze wysyłamy zamówienia do Des Moines – protestował urzędnik, który niedługo potem stracił posadę. – Wyszedłem po prostu z założenia...”.

„Wyszedłeś na głupka i ze mnie zrobiłeś głupka” – odparł kierownik. To chyba znane powiedzonko, ale wtedy usłyszałem je po raz pierwszy. Więc czy jest coś dziwnego w tym, że przypomniałem sobie wówczas o szeryfie Franku Jonesie i moim pytaniu? Nawyk matki zmienił twierdzenie w pytanie i uratował mnie przed krzesłem elektrycznym. Nigdy nie stanąłem przed sądem za zamordowanie żony.

To znaczy aż do teraz.

* * *

Są tu ze mną, znacznie więcej niż tuzin, siedzą wzdłuż listwy przypodłogowej wokół pokoju i patrzą na mnie wilgotnymi ślepiami. Gdyby weszła pokojówka ze zmianą pościeli, uciekłyby z wrzaskiem na widok tych futerkowych sędziów, ale pokojówka nie wejdzie. Dwa dni temu powiesiłem na drzwiach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać” – i od tamtej pory jej nie ruszałem. Nie wychodzę. Pewnie mógłbym zamówić jedzenie z restauracji przy tej samej ulicy, ale podejrzewam, że jedzenie pchnęłoby je do działania. Zresztą i tak nie jestem głodny, więc i ofiara nie jest duża. Do tej pory moi sędziowie byli cierpliwi, ale boję się, że to już nie potrwa długo. Jak wszyscy sędziowie czekają z niecierpliwością na zakończenie zeznań, żeby mogli wydać wyrok i otrzymać stosowne wynagrodzenie (w tym przypadku płatne ciałem), a potem wrócić do domu, do rodzin. Dlatego muszę skończyć. To nie zajmie wiele czasu. Ciężką pracę już odfajkowałem.

* * *

– Pewnie widzisz to w moich oczach. Mam rację? – powiedział szeryf Jones, siadając przy moim łóżku w szpitalu.

Nadal byłem ciężko chory, ale wydobrałem już na tyle, że stałem się czujny.

– Co niby widzę, szeryfie? – zapytałem.

– Z czym do ciebie przyszedłem. Nie pamiętasz, prawda? I wcale mnie to nie dziwi. Byłeś strasznie chory, Wilf. Prawie miałem pewność, że nie przeżyjesz, i pomyślałem, że umrzesz, zanim dowiozę cię do miasta. Ale Bóg chyba jeszcze z tobą nie skończył, prawda?

Coś już ze mną skończyło, ale wątpię, żeby to był Bóg.

– Chodzi o Henry'ego? Przyszedłeś powiedzieć mi coś o Henrym?

– Nie – odpowiedział. – Przyszedłem w sprawie Arlette. To zła wiadomość, najgorsza, ale nie możesz się winić. W końcu nie przegoniłeś jej kijem z domu. – Pochylił się ku mnie. – Mogłeś odnieść wrażenie, że cię nie lubię, Wilf, ale to nieprawda. Są ludzie, którzy nie darzą cię sympatią... wiemy kto, prawda?... ale nie wkładaj mnie z nimi do jednego worka tylko dlatego, że musiałem liczyć się z ich interesami. Zdenerwowałeś mnie raz czy dwa i wierzę, że nadal bylibyście przyjaciółmi z Harlanem Cotteriem, gdybyś krócej trzymał syna, niemniej zawsze cię szanowałem.

Bardzo w to wątpiłem, ale nie odezwałem się słowem.

– Co zaś dotyczy Arlette, powtórzę to, bo trzeba to powtórzyć: nie możesz siebie winić.

Nie mogę? Pomyślałem, że to dziwny wniosek, nawet jak na stróża prawa, którego nikt by nie pomylił z Sherlockiem Holmesem.

– Henry ma kłopoty, jeśli wierzyć meldunkom, które dostaję – powiedział z ciężkim sercem. – I pociągnął za sobą w przepaść Shan Cotterie. Prawdopodobnie oboje w niej przepadną. Z tym musisz sobie jakoś poradzić, więc nie obarczaj się dodatkowo odpowiedzialnością za śmierć żony. Nie musisz...

– Powiedz mi wreszcie – poprosiłem.

Dwa dni przed jego wizytą – może w dniu, kiedy ugryzł mnie szczur, może nie, ale mniej więcej w tym czasie – jakiś farmer, który jechał do Lyme Biska z ostatnimi zbiorami, wypatrzył trzy kundły, krzyżówki z kojotami, walczące o coś ze dwadzieścia metrów na północ od drogi. I pewnie pojechałby dalej, gdyby nie spostrzegł damskiego skórzanego buta i pary różowych majtek leżących w rowie. Zatrzymał się, strzelił, żeby odstraszyć psy, i poszedł w pole sprawdzić, o co się gryzły. Znalazł tam szkielet kobiety w strzępach sukienki i z resztkami ciała na kościach. To, co zostało z jej włosów, było matowobrazowe, a więc w odcieniu, jakiego mogły nabrać rude włosy Arlette po miesiącach, jakie upłynęły od jej śmierci.

– Brakowało też dwóch zębów z tyłu – powiedział Jones. – Czy Arlette nie miała dwóch tylnych zębów?

– Tak – skłamałem. – Straciła je po jakimś zapaleniu dziąseł.

– Kiedy przyszedłem do was w dniu jej ucieczki, twój chłopak powiedział, że zabrała ze sobą biżuterię.

– Tak. – Ta biżuteria była teraz w zasypanej studni.

– A gdy spytałem, czy wzięła też jakieś pieniądze, wspomniałaś, zdaje się, o dwustu dolarach?

Ach, tak. Zmyślone dwieście dolarów, które Arlette miała zabrać z pudełka w komodzie.

– Właśnie tak.

Pokiwał głową.

– A więc to tak, a więc to tak. Trochę biżuterii i trochę pieniędzy. To wszystko by wyjaśniało, zgodzisz się chyba, prawda?

– Nie rozumiem...

– Bo nie patrzysz na to z punktu widzenia policjanta. Została obrabowana na drodze, i tyle. Jakiś łachudra zobaczył kobietę, która zatrzymywała samochody na trasie między Hemingford i Lyme Biska, zabrał ją, zabił, obrabował z pieniędzy i biżuterii, a potem zaciągnął ciało daleko na pole, żeby nie było go widać z szosy.

Sądząc po smutnym wyrazie twarzy szeryfa, mogłem się domyślić, że jego zdaniem została też prawdopodobnie zgwałcona i że w sumie cieszył się, iż odnaleziono jedynie szczątki, bo na ich podstawie nie dało się tego stwierdzić na sto procent.

– W takim razie pewnie tak było – powiedziałem i aż do jego wyjścia udało mi się jakoś zachować powagę na twarzy.

Potem obróciłem się i choć uderzałem ręką w kikut, zacząłem się śmiać. Ukryłem twarz w poduszce, ale nawet to nie wygłuszyło dźwięków, jakie z siebie wydawałem. Kiedy weszła pielęgniarka – szpetna, stara hetera – i zobaczyła łzy ciekące mi po twarzy, przyjęła (jednym słowem, potwierdziła porzekadło, że „pozory mylą”), że płakałem. Złagodniała, a to było coś, co w jej przypadku uważałem za niemożliwe, i podała mi dodatkową pigułkę morfiny. Byłem w końcu rozpaczającym mężem i ojcem opuszczonym przez syna. Należała mi się pociecha.

A wiecie, dlaczego się śmiałem? Czy chodziło o dobroduszną głupotę Jonesa? Czy o przypadkowe pojawienie się zwłok jakiejś kobiety, którą mógł zabić jej kompan włóczęga, gdy byli pijani? I jedno, i drugie, ale najbardziej rozbawił mnie but. Farmer zatrzymał się, żeby sprawdzić, o co walczyły psy, bo spostrzegł w rowie skórzany damski but. Ale kiedy szeryf Jones pytał zeszłego lata o buty, powiedziałem mu, że zniknęło płócienne obuwie Arlette. A ten idiota o tym zapomniał.

I nigdy sobie nie przypomniał.

* * *

Kiedy wróciłem na farmę, niemal cały żywy inwentarz był martwy. Ocalała jedynie

Achelois, która patrzyła na mnie pełnymi wyrzutu, wygłodniałymi oczami i ryczała żałośnie. Nakarmiłem ją z czułością, jak karmi się ukochane domowe zwierzę, i naprawdę tym dla mnie była. Bo jak inaczej nazwać krowę, która w żaden sposób nie przyczynia się do utrzymania właściciela?

Niegdyś Harlan, z pomocą żony, zaopiekowałby się naszym gospodarstwem, gdybym ja trafił do szpitala – tak postępowali wobec siebie sąsiedzi na Środkowym Zachodzie. Ale choć zapewne, siedząc przy kolacji, słyszał żalosne muczenie moich zdychających krów, które niosło się polami, trzymał się z daleka. Na jego miejscu pewnie postąpiłbym tak samo. W oczach Harlana Cotteriego (i świata) mój syn nie zadowolił się zrujnowaniem życia jego córki, ale ruszył za nią do miejsca, które miało być jej schronieniem, i zmusił ją do dzielenia z nim życia przestępcy. Jakże sprawa „Zakochanych Bandytów” musiała trawić jej ojca! Niczym kwas! Ha!

W następnym tygodniu – mniej więcej wtedy, gdy na farmach i na Main Street w Hemingford Home pojawiają się świąteczne dekoracje – szeryf Jones ponownie przybył na farmę. Jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało mi, jakie ma dla mnie wiadomości. Zacząłem kręcić głową.

– Nie, nic więcej. Nie chcę wiedzieć. Nie mogę. Odejdź.

Wróciłem do domu i usiłowałem zabarykadować przed nim drzwi, ale byłem osłabiony i miałem tylko jedną rękę, więc dość łatwo wepchnął się do środka.

– Spokojnie, Wilf – powiedział. – Jakoś to zniesiesz. – Jakby wiedział, o czym mówi.

Otworzył serwantkę, w której stał ozdobny ceramiczny kufel do piwa, znalazł butelkę ze smętnymi resztkami whisky, wlał wszystko do kufla i podał mi.

– Lekarz by tego nie pochwalił – powiedział. – Ale go tu nie ma, a tobie się to przyda.

„Zakochani Bandyści” zostali odnalezieni w ostatniej kryjówce. Shannon zmarła od kuli barmana, Henry od własnej, którą wpakował sobie w mózg. Ciała zabrano do kostnicy w Elko, zgodnie z przepisami. Harlan Cotterie zajął się ciałem córki, ale nie miał nic wspólnego z moim synem. Jasne, że nie miał. Ja o niego zadbałem. Henry przyjechał do Hemingford pociągiem osiemnastego grudnia, a ja czekałem na stacji razem z karawanem od Braci Castings. Co rusz robiono mi zdjęcia. Zadawano mi pytania, na które nawet nie próbowałem odpowiadać. Nagłówki w „World-Heraldzie” i znacznie mniej poczytnym „Hemingford Weekly” powtarzały frazę „zrozpaczony ojciec”.

Niemniej gdyby dziennikarze zobaczyli mnie w domu pogrzebowym, kiedy otworzono tanią sosnową skrzynię, ujrzeliby prawdziwą rozpacz i mogliby nawet użyć słów „krzyczący ojciec”. Kula, którą wystrzelił mój syn, gdy siedział z głową Shannon na kolanach, trafiła go w skroń, przebiła się przez mózg i wyleciała z drugiej strony, wyrwijąc kawałek czaszki. Ale nie to było najgorsze. Nie miał oczu. Dolną wargę miał odgryzioną, przez co w tym ponurym grymasie ust widać było jego zęby. Po nosie został mu czerwony kikut. Zanim któryś z gliniarzy czy też zastępca szeryfa odnalazł ciała, szczury ucztowały na moim synu i

jego ukochanej.

– Poskładaj go jakoś – powiedziałem do Herberta Castingsa, gdy znowu mogłem rozsądnie myśleć.

– Panie James... uszkodzenia są...

– Widzę, jakie są uszkodzenia. Poskładaj go. I wyjmijcie go z tej gównianej skrzyni. Włóżcie go do najlepszej trumny, jaką macie. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało. Mam pieniądze. – Pochyliłem się i pocałowałem Henry'ego w poszarpany policzek. Żaden ojciec nie powinien całować syna po raz ostatni, ale jeśli jakiś ojciec na to zasłużył, to ja.

Shannon i Henry zostali pochowani przy kościele Metodystów pod wezwaniem Chwały Bożej w Hemingford. Shannon dwudziestego drugiego grudnia, Henry w Wigilię. Podczas nabożeństwa żałobnego za jej duszę kościół był pełen, a płacz tak głośny, że zdawał się unosić dach. Wiem, bo tam byłem, przynajmniej przez chwilę. Stałem z tyłu, niezauważony, a potem wymknąłem się chyłkiem w czasie mowy pogrzebowej wielebnego Thursby'ego. Thursby poprowadził także pogrzeb Henry'ego, ale chyba nie potrzebuję wam mówić, że żałobników było znacznie mniej. Thursby widział tylko jednego, ale był ktoś jeszcze. Arlette siedziała obok mnie, niewidzialna i uśmiechnięta. Szeptala mi do ucha:

„Podoba ci się obrót spraw, Wilf? Warto było?”.

Zsumowane wydatki za mszę, pochówek, rachunek z kostnicy i koszt przewozu ciała do domu, czyli rozporządzenie ziemskim truchłem mojego syna, wyniosły trochę ponad trzysta dolarów. Zapłaciłem pieniędzmi z kredytu hipotecznego. Co jeszcze mi zostało? Kiedy pogrzeb się skończył, wróciłem do pustego domu. Ale najpierw kupiłem następną butelkę whisky.

* * *

Rok 1922 miał jeszcze jedną sztuczkę w zanadru. Na dzień przed Bożym Narodzeniem od strony Gór Skalistych przytoczyła się do nas z rykiem śnieżycą, zasypując wszystko na trzydzieści centymetrów i chłozząc wyjąłym wiatrem. Kiedy zapadł zmierzch, śnieg zmienił się w deszcz ze śniegiem, a potem w zacinający deszcz. Około północy, gdy siedziałem w mroku w salonie, leżąc rwący kikut łykami whisky, z tyłu domu rozległ się odgłos jakby tarcia, rozrywania. To dach się walił – ta część, którą zamierzałem przynajmniej częściowo wyremontować za pieniądze z kredytu. Wznosząc szklankę, ucziłem to toastem, a potem kolejnym łykiem. Kiedy zimny wiatr zaczął owiewać mi ramiona, wstałem, zdjąłem palto z wieszaka w sieni i włożyłem je na siebie. Ponownie usiadłem i wypilem trochę więcej whisky. W którymś momencie przysnąłem. Następnym odgłos pęknięcia i trzask obudził mnie około trzeciej nad ranem. Tym razem zawaliła się frontowa część obory. Mimo to Achelois ponownie uszła z życiem, a nazajutrz zabrałem ją na noc do domu. Dlaczego? – moglibyście zapytać, a moja odpowiedź brzmiałaby: A dlaczego nie? Dlaczego nie, do ciężkiej cholery?

Ocaleliśmy oboje. Przeżyliśmy oboje.

* * *

Rankiem w pierwszy dzień świąt (który spędziłem, sącząc whisky w zimnym salonie, z ocalałą krową do kompanii), policzyłem, ile pieniędzy zostało mi z kredytu hipotecznego, i zdałem sobie sprawę, że nie wystarczy ich nawet na pokrycie szkód wyrządzonych przez śnieżycę. Mało mnie to obeszło, bo straciłem zainteresowanie uprawą ziemi, ale myśl o przedsiębiorstwie Farringtona stawiającym rzeźnię i zanieczyszczającym strumień nadal wywoływała u mnie zgrzyt zębów. Zwłaszcza teraz, gdy zapłaciłem tak wysoką cenę, nie dopuszczając, by jego firma położyła łapę na tych po trzykroć przeklętych stu akrach.

Nagle olśniło mnie, że skoro Arlette została oficjalnie uznana za zmarłą, a nie zaginioną, te akry są moje. Dlatego dwa dni później schowałem dumę do kieszeni i poszedłem do Harlana Cotteriego.

Mężczyzna, który mi otworzył, był w znacznie lepszym stanie ode mnie, ale za przeżycia tego roku zapłacił wysoką cenę, podobnie jak ja. Schudł, wyłysiał i miał zmiętą koszulę – choć nie tak jak twarz, no i koszulę można uprasować. Wyglądał na sześćdziesiąt pięć lat, a nie skończył jeszcze czterdziestu pięciu.

– Nie bij mnie – powiedziałem, gdy spostrzegłem, że zaciska pięści. – Najpierw mnie wysłuchaj.

– Nie uderzyłbym człowieka z jedną ręką – odpowiedział. – Proszę jednak, żebyś się streszczał. I będziemy rozmawiać tutaj, na werandzie, bo twoja noga nigdy już nie postanie w moim domu.

– W porządku – powiedziałem. Sam straciłem na wadze, całkiem sporo, i cały drżałem, ale zimne powietrze dobrze robiło kikutowi i niewidzialnej dłoni, która, jaki mi się wydawało, nadal istniała poniżej. – Chcę ci sprzedać sto akrów dobrej ziemi, Harl. Te sto akrów, które Arlette chciała sprzedać firmie Farringtona.

Uśmiechnął się na te słowa, oczy mu zalśniły w głębokich teraz oczodołach.

– Przyszły na ciebie ciężkie czasy, co? Zawaliła ci się połowa domu i połowa obory. Hermie Gordon mówi, że mieszkasz z krową. – Hermie Gordon był wiejskim listonoszem i notorycznym plotkarzem.

Podąłem cenę tak niską, że Harlanowi opadła szczęka, a brwi podeszły do góry. To właśnie wtedy doszedł mnie dziwny zapach rozchodzący się ze schludnego i dobrze utrzymanego domu Cotteriech, zupełnie niepasujący do tego miejsca: śmierdziało przypalonym jedzeniem. Najwyraźniej Sallie Cotterie przestała gotować. Kiedyś może by mnie to zainteresowało, ale te czasy minęły. W tamtej chwili chciałem jedynie pozbyć się tych stu akrów. Sprzedanie ich tanio wydawało mi się czymś właściwym, bo tak wiele mnie kosztowały.

– To za psie pieniądze – powiedział. A potem dodał z wyraźną satysfakcją: – Arlette przewróci się w grobie.

Żeby tylko to robiła! – pomyślałem.

– Z jakiego powodu się uśmiechasz, Wilf?

– Tak bez powodu. Poza tym przestało mi zależeć na tej ziemi. Ale naprawdę zależy mi na tym, żeby trzymać od niej z daleka Farringtona i jego cholerną rzeźnię.

– Nawet gdybyś miał stracić własne gospodarstwo? – Pokiwał głową, jakbym to ja zadał mu to pytanie. – Wiem o kredycie, który wzięłeś pod hipotekę. W małych miastach nie ma sekretów.

– Nawet jeśli – potwierdziłem. – Przyjmij moją ofertę, Harl. Byłbyś wariatem, gdybyś ją odrzucił. Strumień, który napełnią szczecina, flakami świń i krwią, to również twój strumień.

– Nie – odpowiedział.

Wpatrywałem się w niego, zbyt zaskoczony, żeby dobyć z siebie głos. Ale on ponownie skinął głową, jakbym go o coś zapytał.

– Myślisz, że wiesz, co mi zrobiłeś, ale nie wiesz wszystkiego. Sallie ode mnie odeszła. Pojechała do rodziny w McCook. Powiedziała, że może wróci, powiedziała, że się zastanowi, ale moim zdaniem nie wróci. A to stawia nas w tej samej, kiepskiej pod każdym względem sytuacji, prawda? Jesteśmy dwoma facetami, którzy zaczęli ten rok, mając żony, a kończymy go bez nich. Jesteśmy dwoma facetami, którzy zaczęli ten rok, mając żyjące dzieci, a kończymy go z dwoma trupami. Różni nas chyba tylko to, że nie straciłem w śnieżycy połowy domu i połowy obory. – Zastanawiał się przez chwilę. – No i ja nadal mam dwie ręce. To jest to, jak myślę. Bo jeśli mam ochotę się odlać, zawsze mogę zdecydować, którą ręką wyciągnę fiuta.

– Co... dlaczego ona...

– Och, rusz głową. Za śmierć Shannon wini tak samo mnie jak i ciebie. Mówi, że gdybym się nie upierał i jej nie odsyłał, nadal by żyła i mieszkała z Henrym na twojej farmie, po sąsiedzku, zamiast leżeć sztywna w skrzyni pod ziemią. Mówi, że mielibyśmy wnuka. Nazwała mnie głupkiem przekonanym o własnej nieomyślności i miała rację.

Wyciągnąłem do niego zdrową rękę. Ale odepchnął ją uderzeniem.

– Nie dotykaj mnie, Wilf. Ostrzegam i nie będę tego powtarzał.

Cofnąłem dłoń.

– Jedno wiem na pewno – dodał. – Gdybym przyjął twoją ofertę, a jest bardzo kusząca, tobym tego pożałował. Bo ta ziemia jest przeklęta. Nie musimy się we wszystkim zgadzać, ale dam głowę, że w tym przyznasz mi rację. Jeśli chcesz ją sprzedać, sprzedaj bankowi. Oczyszczisz hipotekę i jeszcze dostaniesz trochę gotówki.

– A bank od razu odsprzeda ją Farringtonowi!

– Idź się powieś – brzmiały jego ostatnie słowa, zanim zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

* * *

W ostatni dzień roku pojechałem do Hemingford Home, żeby się zobaczyć z panem Stoppenhauserem. Powiedziałem mu, że nie jestem w stanie dłużej mieszkać na farmie. Powiedziałem mu, że chciałbym sprzedać bankowi ziemię Arlette i z tych pieniędzy spłacić hipotekę. Podobnie jak Harlan Cotterie, odpowiedział – nie. Przez chwilę czy dwie siedziałem na krześle przed jego biurkiem i nie wierzyłem własnym uszom.

– Dlaczego nie? To dobra ziemia!

Odpowiedział mi, że pracuje dla banku, a bank nie jest agencją nieruchomości. Zwracał się do mnie per panie James. Dni, kiedy byłem w tym gabinecie Wilfem, należały do przeszłości.

– To po prostu... – chciałem powiedzieć „żałosne”, ale wolałem go nie obrażać, dopóki istniała szansa na to, że może jednak zmieni zdanie. Raz podjęta decyzja o sprzedaniu tej ziemi (i krowy, będę musiał znaleźć również kupca na Achelois, najchętniej jakiegoś obcego człowieka z woreczkiem magicznej fasoli na wymianę) trzymała się mnie z siłą obsesji. Dlatego nie podnosiłem głosu i mówiłem spokojnie.

– To nie do końca prawda, panie Stoppenhauser. Latem zeszłego roku bank kupił farmę Przetrawanie, kiedy wystawiono ją na aukcję. I Potrójne M również.

– Sytuacja była zupełnie inna. Ma pan u nas kredyt zaciągnięty pod hipotekę osiemdziesięciu akrów i jesteśmy z tego zadowoleni. To, co pan robi z tymi stu akrami pastwisk, zupełnie nas nie interesuje.

– Kto z panem rozmawiał? – zapytałem, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie musiałem tego robić. – To był Lester, prawda? Chłopak na posyłki Cole’a Farringtona.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odpowiedział Stoppenhauser, ale spostrzegłem, że drgnęła mu powieka. – Myślę, że pańska żaloba... zraniona ręka... czasowo ograniczyły panu możliwość jasnego myślenia.

– Och nie. – Zacząłem się śmiać. Był to niebezpiecznie historyczny śmiech, nawet dla moich uszu. – W życiu nie myślałem jaśniej, proszę pana. Przyszedł się z panem zobaczyć, on lub ktoś inny. Jestem przekonany, że Cole’a Farringtona stać na wynajęcie każdego krętacza, jakiego zechce. I zawarłście układ. Jest pan z nim w z-z-zmowie. – Śmiałem się jak nigdy w życiu.

– Panie James, muszę pana wyprosić.

– Może nawet zaplanowaliście to już znacznie wcześniej – powiedziałem. – Może dlatego, albo przede wszystkim dlatego, tak gorliwie namawiał mnie pan na ten cholerny kredyt hipoteczny. A może kiedy Lester dowiedział się o moim synu, wypatrzył idealną sposobność wykorzystania cudzego nieszczęścia i przyleciał do pana. Może siedział tu, na tym krześle, i mówił: „Obaj się obłowimy, Stoppie, ty weźmiesz farmę, mój klient weźmie ziemię nad strumieniem, a Wilf James może iść do wszystkich diabłów”. Czy nie tak to się

odbyło?

Nacisnął guzik na biurku i drzwi się otworzyły. To był małeńki bank, zbyt mały, żeby zatrudniać ochroniarza, ale kasjer, który wsadził głowę, należał do rodzaju roślących byczków. Sądząc po jego wyglądzie, pochodził z rodziny Rohrbacherów. Chodziłem do szkoły z jego ojcem, a Henry był w jednej klasie z jego młodszą siostrą Mandy.

– Jakiś problem, panie Stoppenhauser? – zapytał.

– Nie, jeśli pan James zaraz wyjdzie – odpowiedział. – Odprowadzisz go, Kevin?

Kevin wszedł do środka, a kiedy zacząłem się podnosić z ociąganiem, chwycił mnie za ramię tuż pod lewym łokciem. Był ubrany jak bankier, od góry do dołu, z szelkami i muszką włącznie, ale miał ręce chłopca, stwardniałe i silne. W zdrowiejącym kikucie poczułem ciepło i pulsowanie.

– Proszę ze mną, panie James – powiedział.

– Nie ciągnij mnie – odparowałem. – Boli mnie w miejscu, gdzie kiedyś miałem rękę.

– To proszę ze mną pójść.

– Chodziłem do szkoły z twoim ojcem. Siedział ze mną w ławce i zrzywał ode mnie na klasówkach.

Ściągnął mnie z krzesła, na którym kiedyś byłem nazywany Wilfem. Stary, poczciwy Wilf, przecież nie jesteś taki głupi, żeby nie wziąć kredytu na hipotekę. Krzesło niemal się przewróciło.

– Szczęśliwego nowego roku, panie James – powiedział Stoppenhauser.

– I wzajemnie, pieprzony kanciarzu – odparłem.

Widok jego zszokowanej twarzy był prawdopodobnie ostatnią przyjemnością, jaka trafiła mi się w życiu. Siedzę tu od pięciu minut, gryzę końcówkę pióra i usiłuję przypomnieć sobie coś miłego, co spotkało mnie od tamtej pory – jakąś dobrą książkę, smaczny posiłek, błogie popołudnie w parku – i nic nie przychodzi mi do głowy.

* * *

Kevin Rohrbacher towarzyszył mi przez cały hol. Myślę, że to właściwy czasownik, bo nie do końca mnie ciągnął. Nasze kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki. Ściany pokrywała ciemna boazeria. Przy wysokich okienkach kas dwie kobiety obsługiwały ostatnich w tym roku klientów. Jedna z kasjerek była młoda, druga stara, ale obie zrobiły wielkie oczy. Jednak to nie ich przerażenie i chorobliwa ciekawość zwróciły moją uwagę, tylko coś zupełnie innego. Nad okienkami kas znajdowała się listwa wykończeniowa z dębowego drewna, szeroka na prawie dziesięć centymetrów, a po niej biegł...

– Uwaga na szczura! – krzyknąłem, wskazując belkę ręką.

Młoda kasjerka wydała z siebie cichy krzyk, spojrzała do góry i wymieniła spojrzenie ze starszą współpracownicą. Nie było tam żadnego szczura, jedynie przemykający cień wiatraka

zawieszzonego pod sufitem. I teraz już wszyscy patrzyli na mnie.

– Gapcie się do woli! – powiedziałem głośno. – Napawajcie się tym widokiem! Patrzcie, aż wam powyłażą te pieprzone oczka!

Potem znalazłem się na ulicy, wydychając w mroźnym zimowym powietrzu kłęby pary niczym dym z papierosa.

– Proszę nie wracać, chyba że będzie pan miał jakiś interes do załatwienia – odezwał się Kevin. – I dopóki nie nauczy się pan uprzejmości.

– Twój ojciec był największym oszustem, z jakim chodziłem do szkoły – odpowiedziałem. Chciałem, żeby mnie uderzył, ale on wrócił po prostu do środka, zostawiając mnie samego na chodniku przed moją rozklekotaną ciężarówką.

W taki właśnie sposób Wilfred Leland James spędził w mieście ostatni dzień 1922 roku.

* * *

Kiedy wróciłem do domu, Achelois w nim nie było. Leżała na boku pośrodku podwórza i wydychała z pyska własne kłęby pary. Widziałem ślady na śniegu w miejscach, gdzie biegła przez werandę, i większe, gdzie wylądowała na ziemi, łamiąc obie przednie nogi. Wyglądało na to, że nawet Bogu ducha winna krowa nie mogła przetrwać w mojej bliskości.

Poszedłem po broń do sieni, potem do domu, bo chciałem zobaczyć – jeśli byłoby to możliwe – co tak bardzo ją wystraszyło, że wybiegła galopem z nowego schronienia. To były szczury, no jasne. Trzy z nich siedziały na ulubionym kredensie Arlette i patrzyły na mnie czarnymi, poważnymi ślepiami.

– Wracajcie i powiedzcie jej, żeby zostawiła mnie w spokoju! – zawołałem do nich. – Powiedzcie, że wystarczająco dużo szkód narobiła. Na rany Boga, powiedzcie jej, żeby pozwoliła mi żyć.

Ale one siedziały i nie przestawały na mnie patrzeć. Oplatały własne czarnoszare ciała ogonami. Uniosłem starą strzelbę i zabiłem środkowego. Pocisk rozerwał go na dwoje. Jego wnętrzności rozbryznęły się po tapecie, wybranej z ogromnym namysłem przez Arlette dziewięć lub dziesięć lat wcześniej. Kiedy Henry był jeszcze małym szkrabem, a sprawy między naszą trójką układały się jak najlepiej.

Pozostałe dwa uciekły. Nie wątpiłem, że z powrotem do tajnego przejścia pod ziemią. Z powrotem do swej gnijącej królowej. Na kredensie mojej zmarłej żony zostawiły za sobą bobki szcurzego gówna i parę kawałeczków jutowego worka poplamionego krwią. To były strzępy worka, który Henry przyniósł z obory tamtej nocy wczesnym latem 1922 roku. Szczury przyszły zabić moją ostatnią krowę i przynieść mi kawałki opaski na włosy Arlette.

Wyszedłem na zewnątrz i poklepałem Achelois po łbie. Wyciągała do góry szyję i ryczała żałośnie. „Przerwij to. Ty jesteś gospodarzem, jesteś bogiem mojego świata, dlatego przerwij to”.

Tak zrobiłem.

Szczęśliwego nowego roku.

* * *

Tak skończył się rok 1922 i to jest też koniec mojej historii. Cała reszta to epilog. Emisariusze stłoczyli się wokół pokoju, w którym to piszę – jakże wrzeszczałyby kierownik tego wspaniałego hotelu na ich widok! – i nie będą musieli długo czekać na wydanie wyroku. Ona jest sędzią, oni ławą przysięgłych, ale ja będę własnym katem.

Oczywiście straciłem farmę. Nikt nie chciał kupić tamtych stu akrów, dopóki nie sprzedano mojego gospodarstwa, a kiedy w końcu rzeźnicy wkroczyli do akcji, zostałem zmuszony do odstąpienia tej działki za śmiesznie niską cenę. Plan Lestera powiódł się doskonale. Jestem pewny, że to jego dzieło, i jestem pewny, że dostał premię.

No cóż. Straciłbym swoje maleńkie miejsce na ziemi w hrabstwie Hemingford, nawet gdybym dysponował jakimiś zasobami finansowymi – i jest w tym rodzaj perwersyjnego zadowolenia. Mówią, że kryzys, w którym tkwimy, zaczął się od „czarnego piątku” w zeszłym roku, ale ludzie ze Środkowego Zachodu, ze stanów takich jak Kansas, Iowa, Nebraska, wiedzą, że początkiem sięgał 1923 roku, kiedy zasiewy wprawdzie przetrwały straszliwe wiosenne burze, lecz zbiory zniszczyła susza, która potem nastąpiła i trwała przez dwa lata. Za smętne resztki, jakie udało się zebrać z pól, dostarczone na rynki wielkich miast i na giełdy rolnicze w małych wiejskich ośrodkach, płacono marne grosze. Harlan Cotterie utrzymał się do 1925 roku, ale potem bank przejął jego farmę. Natrafiłem na wzmiankę o tym, gdy przeglądałem ogłoszenia bankowe o sprzedażach. W 1925 roku takie ogłoszenia zajmowały w gazetach już całe strony. Niewielkie gospodarstwa zaczęły niknąć i uważam, że za sto lat – a może tylko siedemdziesiąt pięć – w ogóle przestaną istnieć. W 2030 roku (jeśli w ogóle taki nastąpi) cała Nebraska na zachód od Omaha będzie jedną wielką farmą. Prawdopodobnie jej właścicielem stanie się firma Farringtona, a nieszczęśnicy, którym przyjdzie mieszkać na tej ziemi, przepędzą życie, nosząc maski przeciwgazowe, żeby nie udusić się fetorem martwych świń. I każdy strumień będzie czerwony od krwi płynącej z rzeźni.

Kiedy nadejdzie rok 2030, tylko szczury będą szczęśliwe.

„To za psie pieniądze” – powiedział Harlan w dniu, kiedy zaproponowałem mu kupno działki Arlette, a ostatecznie musiałem ją sprzedać Cole’owi Farringtonowi za jeszcze mniej. Andrew Lester, adwokat, przywiózł papiery do Hemingford City, do pensjonatu, w którym wynajmowałem wtedy pokój, i uśmiechał się, kiedy je podpisywałem. Jasne, że się uśmiechał. Grube ryby zawsze wygrywają. Byłem głupcem, myśląc, że może być inaczej. Byłem głupcem i wszyscy, których kochałem, za to zapłacili. Zastanawiam się czasem, czy Sallie Cotterie wróciła kiedykolwiek do Harlana, czy może po utracie farmy to on pojechał do niej,

do McCook. Nie wiem, ale myślę, że śmierć Shannon zakończyła to tak szczęśliwe wcześniej małżeństwo. Trucizna rozprzestrzenia się jak atrament w wodzie.

Tymczasem szczury zaczęły wylazić spod listew przypodłogowych mojego pokoju. To, co było kwadratem, zacieśniało się stopniowo do coraz mniejszego kręgu. Wiedzą, że jest już po wszystkim i nic, co się wydarzy po nieodwracalnym akcie, nie ma znaczenia. Mimo to skończę. I nie dostaną mnie, dopóki jestem żywy. To małe zwycięstwo będzie moje. Starą brązową marynarkę powiesiłem na oparciu krzesła, na którym siedzę. Pistolet jest w jej kieszeni. Kiedy napiszę te kilka ostatnich stron, zrobię z niego użytek. Powiadają, że samobójcy i mordercy idą do piekła. Jeśli tak jest, to nie będę się czuł zagubiony, bo byłem tam przez ostatnie osiem lat.

* * *

Pojechałem do Omaha i jeśli to naprawdę Miasto Głupców, to jestem jego modelowym mieszkańcem. Zacząłem przepijać sto akrów Arlette i te „psie pieniądze” wystarczyły mi na dwa lata. Kiedy nie piłem, odwiedzałem miejsca, w których Henry spędził ostatnie miesiące życia: sklep spożywczy przy stacji benzynowej w Lyme Biska z Dziewczyną w Niebieskiej Czapeczce na dachu (zamknięty do tego czasu, z wywieszką na drzwiach głoszącą: „Na sprzedaż przez bank”), lombard przy Dodge Street (gdzie naśladowując syna, kupiłem pistolet tkwiący teraz w kieszeni marynarki), oddział Pierwszego Banku Rolnego w Omaha. Śliczna młoda kasjerka nadal tam pracowała, choć nie nazywała się już Penmark.

– Kiedy oddałam mu pieniądze, podziękował mi – powiedziała. – Może zbłądził, ale ktoś dobrze go wychował. Znał go pan?

– Nie – odrzekłem. – Ale znam jego rodzinę.

Poszedłem, rzecz jasna, do Świętej Euzebiei, ale nie próbowałem tam wchodzić i wypytywać dyrektorki, przełożonej, czy jakkolwiek tytuł ma ta osoba, o Shannon Cotterie. To zimne i ponure miejsce. Obserwując kilka ciężarnych dziewcząt, które wymykały się chyłkiem ze spuszczonego wzrokiem i zgarbionymi ramionami, zorientowałem się, jakiego to rodzaju dom i dlaczego Shan tak chętnie go opuściła. A to wszystko, co chciałem o nim wiedzieć

Co dziwne, najbliżej syna czułem się w alejce. Tej, przy której znajdowała się cukiernia („Cukierki Schraffta i najlepsze krówki domowego wyrobu to nasza specjalność”), dwie przecznice od Świętej Euzebiei. Stała tam skrzynka, prawdopodobnie zbyt nowa, by Henry mógł na niej przesiadywać, kiedy czekał na dziewczynę wystarczająco śmiałą, by przehandlować informację za papierosy, ale mogłem udawać, że to ta sama skrzynka, i tak właśnie robiłem. Łatwiej przychodziło mi stwarzać takie pozory, gdy sobie pociągnąłem, więc przez większość dni, kiedy zjawiałem się na Gallatin Street, byłem kompletnie pijany. Czasami udawałem, że znowu jest rok 1922 i że to ja czekam na Victorię Stevenson. Gdyby

przyszła, planowałem, dałbym jej cały karton papierosów za jedną przysługę: „Kiedy zjawi się tu młody mężczyzna o imieniu Hank i zapyta o Shan Cotterie, powiedz mu, żeby sływał. Żeby gdzie indziej szukał wrażeń. Powiedz mu, że ojciec potrzebuje go na farmie, że jeśli będą pracowali we dwóch, może uda im się ją ocalić”.

Ale ta dziewczyna była dla mnie nieosiągalna. Jedyna Victoria, jaką spotkałem, okazała się jej późniejszą wersją tą z trójką śliczniutkich dzieci, szanowaną panią Hallett. Do tamtego czasu przestałem już pić, znalazłem pracę w fabryce odzieżowej Bilt-Rite, przeprosiłem się z brzytwą i mydłem do golenia. Gdy odzyskałem w ten sposób pozory ustabilizowania, przyjęła mnie nawet chętnie. Powiedziałem jej, kim jestem, z jednego powodu: skoro miałem być szczerzy do końca, kłamstwo nie wchodziło w grę. Zorientowałem się, że zauważyła moje podobieństwo do syna, bo w pierwszej chwili trochę szerzej otworzyła oczy.

– Jezu, ależ on był słodki! – powiedziała. – I tak szaleńczo zakochany. Shan też mi szkoda. Była wspaniałą dziewczyną. To jak tragiczne postacie u Szekspira, prawda?

„Tragiczne postacie” wymówiła prawie jak „tragiczne po stracie”. Nigdy więcej nie wróciłem potem do alejki przy Gallatin Street, bo zamordowanie Arlette ochlapało błotem nawet tę młodą, niewinną matronę z Omaha. Myślała, że śmierć Henry’ego i Shannon przypominała tragedię Szekspira. Jej zdaniem była romantyczna. Zastanawiałem się, czy nadal by tak uważała, gdyby słyszała ostatnie krzyki mojej żony spod przesiąkniętego krwią jutowego worka. Albo zerknęła na pozbawioną oczu i ust twarz mojego syna.

* * *

Miałem dwie posady w latach spędzonych w tym Mieście Ucieczki, znanym też jako Miasto Głupców. Powiecie, to jasne, że pracowałem, w przeciwnym razie musiałbym żyć na ulicy. Ale ludzie uczciwsi ode mnie nie przestawali pić, nawet gdy chcieli, a ludzie przyzwoitsi ode mnie kończyli, śpiąc w bramach. Chyba mogę powiedzieć, że po straconych latach zmusiłem się, by rzeczywiście żyć. Zdarzało się, że momentami naprawdę w to wierzyłem, ale leżąc nocą w łóżku (i wsłuchując się w chrobotanie szczurów w ścianach – są moimi nieustającymi kompanami), zawsze znałem prawdę: nadal próbowałem wygrać. Nawet po śmierci Henry’ego i Shannon, nawet po utracie farmy usiłowałem pokonać martwą kobietę zakopaną w studni. I jej świtę.

John Hanrahan był brygadzystą w magazynie fabryki Bilt-Rite. Nie chciał zatrudnić człowieka z jedną ręką, ale wyblagałem, by dał mi szansę, a kiedy udowodniłem mu, że potrafię ciągnąć paletę z pełnym ładunkiem koszul lub kombinezonów równie dobrze jak każdy pracownik na jego liście płac, przyjął mnie. Targałem te palety przez czternaście miesięcy i często wracałem półżywy do pensjonatu, gdzie mieszałem; kikut i plecy paliły mnie żywym ogniem. Ale nigdy nie narzekałem, znalazłem nawet czas, żeby nauczyć się szyć. Zajmowałem się tym w porze przerwy na lunch (która trwała jedynie piętnaście minut) i

w czasie przerwy popołudniowej. Kiedy inni pracownicy wychodzili na zewnątrz, na platformę załadunkową, palili i opowiadali świńskie dowcipy, ja uczyłem się szwów, najpierw z jutowych worków, których używaliśmy do transportu, a potem z farmerek, będących głównym produktem fabryki. Okazało się, że mam do tego smykałkę. Potrafiłem wszyć suwak, co nie jest częstą umiejętnością nawet w szwalni. Przyciskałem worek lub farmerki kikutem, żeby równo leżały, i nogą naciskałem pedał elektrycznej maszyny

Za szycie płacili więcej niż za ciągnięcie palet i plecy mniej mi dokuczały, ale w ogromnej szwalni panował półmrok i po mniej więcej czterech miesiącach zacząłem widzieć szczury na stosach świeżo farbowanego dżinsu albo przykucnięte w cieniu pod wózkami, na których przywożono nam robotę, a potem ją zabierano.

Przy kilku okazjach zwróciłem uwagę współpracowników na te szkodniki. Twierdzili jednak, że niczego nie widzą. Może naprawdę nie widzieli. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się jednak, że bali się po prostu czasowego zamknięcia szwalni, by szczurołapy mogły uporać się z tym problemem. Szwacze straciliby wtedy trzy dniówki, a może nawet tygodniówkę. Dla mężczyzn i kobiet mających rodziny byłaby to katastrofa. Łatwiej było powiedzieć panu Hanrahanowi, że mam przywidzenia. Rozumiem to. A kiedy zaczęli przezywać mnie Szurniętym Wilfem? To też rozumiałem. Nie dlatego jednak odszedłem.

Odszedłem, bo szczurów zaczynało być coraz więcej.

* * *

Odłożyłem trochę pieniędzy i byłem przygotowany na poszukiwanie następnej pracy, ale wcale nie musiałem ich ruszać. Już po trzech dniach od rzucenia pracy w fabryce zobaczyłem w gazecie ogłoszenie. Szukano bibliotekarza do biblioteki publicznej w Omaha – musiał mieć referencje lub wyższe wykształcenie. Nie miałem wykształcenia, ale całe życie czytałem i jeśli wydarzenia z 1922 roku czegoś mnie nauczyły, to tego, jak kombinować. Sfałszowałem referencje z bibliotek publicznych w Kansas City i Springfield w Missouri i dostałem tę posadę. Byłem przekonany, że pan Quarles sprawdzi je i odkryje, że są podrobione, dlatego starałem się zostać najlepszym bibliotekarzem w całej Ameryce i pracowałem wydajnie. Kiedy nowy szef zarzuciłby mi oszustwo, zdałbym się na jego łaskę. Miałem nadzieję, że wszystko by się dobrze skończyło. Ale nie doszło do żadnej konfrontacji. W bibliotece publicznej w Omaha przepracowałem cztery lata. Technicznie rzecz ujmując, nadal jestem zatrudniony, choć nie pokazałem się tam od tygodnia i nawet nie zadzwoniłem, by powiedzieć, że jestem chory.

Szczury, rozumiecie. Tam też mnie znalazły. Zacząłem widzieć je na stertach starych książek w intrologatorni lub przebiegające po najwyższych półkach, patrzące na mnie z góry porozumiewawczo. W ostatnim tygodniu wyciągnąłem tom Encyklopedii Britanniki dla starszej wiekiem czytelniczki (Ra-St, w którym na pewno znajdowało się hasło *Rattus*

norvegicus, nie wspominając o „rzeźni”) i zobaczyłem wygłodniały szaroczarny pysk, wpatrujący się we mnie z powstałej wówczas luki. To był szczur, który odgryzł sutek biednej Achelois. Nie wiedziałem, jak to możliwe – byłem przekonany, że go zabiłem – ale nie miałem wątpliwości. Rozpoznałem go. Jakżeby inaczej? Do wąsów miał przyklejony kawałek worka, poplamionego krwią jutowego worka.

Opaska na włosy!

Zaniósłem tom Britanniki starszej pani, która o niego poprosiła (miała na sobie etolę z gronostajów, a czarne oczka tej rzeczy patrzyły na mnie ponuro). A potem po prostu wyszedłem. Włóczyłem się po ulicach całymi godzinami i w końcu dotarłem tutaj, do hotelu Magnolia. I jestem tu od tamtej pory, wydaję pieniądze, które odłożyłem jako bibliotekarz – co już nie ma dla mnie znaczenia – i spisuję tę spowiedź, która jest ważna. Ja...

Jeden z nich ukąsił mnie właśnie w kostkę. Jakby chciał powiedzieć: „Kończ to wreszcie, mija twój termin”. Trochę krwi zaplamiło mi skarpetkę. Wcale mnie to nie poruszyło, ani trochę. W swoim czasie widziałem więcej krwi. W 1922 roku cały pokój był jej pełen.

Teraz wydaje mi się, że słyszę... czy to tylko moja wyobraźnia?

Nie.

Ktoś przyszedł mnie odwiedzić.

Zaczopowałem rurę, ale szczury mimo to z niej uciekają. Zasypałem studnię, ale ona też znalazła jakoś drogę wyjścia. Myślę, że tym razem nie jest sama. Wydaje mi się, że słyszę szuranie dwóch par nóg, nie jednej. Albo...

Trzech? Czy to trzy pary? Czy dziewczyna, która miała być moją synową, jest teraz z nimi w lepszym świecie?

Pewnie tak. Trzy trupy sunące korytarzem, ich twarze (to, co z nich pozostało) okaleczone przez szczury, szczeka Arlette przesunięta na jedną stronę... kopniakiem zdychającej krowy.

Kolejne ugryzienie w kostkę.

I następne!

Jak kierownictwo może...

Aj! Ale mnie nie dostaną. I moi goście również, choć widzę, jak gałka przy drzwiach się obraca, i czuję ich zapach, resztki ciała na kościach wydzielają smród ofiar morderstwa

mordu

Pistolet

Boże, gdzie jest

zatrzymaj

OCH SPRAW ŻEBY PRZESTAŁY GRYŻĆ M

Z „World-Herald”, Omaha, numer z 14 kwietnia 1930 roku

BIBLIOTEKARZ POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO W MIEJSCOWYM HOTELU

Oczom hotelowego ochroniarza ukazuje się przedziwny widok

Ciało Wilfreda Jamesa, bibliotekarza z biblioteki publicznej w Omaha, zostało znalezione w sobotę w miejscowym hotelu, gdy służba hotelowa bezskutecznie usiłowała się z nim skontaktować. Gość zajmujący sąsiedni pokój skarżył się w piątek późnym popołudniem na „zapach jakby zepsutego mięsa”, a pokojówka zgłosiła, że słyszała „stłumione krzyki albo płacz, jakby cierpiącego człowieka”.

Po kilkakrotnym pukaniu, na które w żaden sposób nie zareagowano, szef hotelowej ochrony otworzył drzwi kluczem uniwersalnym i znalazł ciało pana Jamesa leżące na biurku. „Zobaczyłem pistolet i uznałem, że się zastrzelił – powiedział ochroniarz – ale nikt nie zgłosił wcześniej odgłosu strzału i nie czuć było prochu. Kiedy sprawdziłem broń, stwierdziłem, że był to źle utrzymany pistolet kalibru 25, nienaładowany. Wtedy dopiero zauważyłem krew. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego i nie chciałbym już nigdy oglądać. Pan James pogryzł sobie ramiona, nogi, kostki, a nawet palce u nóg. Ale to nie wszystko. Było dla mnie jasne, że coś pisał, ale pogryzł również kartki. Leżały porozrzucane na podłodze. Wyglądały jak papier pocięty przez szczury budujące gniazdo. Na koniec pogryzł własną dłoń. Uważam, że to go właśnie zabiło. Musiał się wykrwawić”.

Kiedy to piszemy, niewiele wiadomo o panu Jamesie. Ronald Quarles, kierownik miejscowej biblioteki publicznej, zatrudnił go pod koniec 1926 roku. „Bez wątplenia nie dopisywało mu szczęście, stał się kaleką po utracie jednej dłoni, ale znał się na książkach i miał dobre referencje – powiedział pan Quarles. – Był koleżeński, choć zachowywał dystans. Wydaje mi się, że zanim zaczął starać się o posadę w bibliotece, pracował w jakiejś fabryce, opowiadał też, że przed utratą ręki miał niewielką farmę w hrabstwie Hemingford”.

Redakcja „World-Heralda” zainteresowała się nieszczęsnym panem Jamesem i prosi wszystkich czytelników, którzy go znali, o przekazanie o nim informacji. Do czasu pojawienia się jego najbliższych krewnych i podjęcia przez nich dalszych decyzji ciało będzie przechowywane w kostnicy hrabstwa Omaha. „Jeśli nie zgłoszą się żadni krewni – powiedział doktor Tattersall, kierownik medyczny kostnicy – przypuszczam, że koszt pochówku zostanie pokryty z funduszy publicznych”.

Wielki Kierowca

1

Tess godziła się na dwanaście płatnych spotkań z czytelnikami rocznie, jeśli dało się je załatwić. Tysiąc dwieście dolarów za każde dawało w sumie ponad czternaście tysięcy. To był jej fundusz emerytalny. Po dziesięciu książkach nadal była zadowolona z Kółka Robótek Ręcznych „Wierzbina”, ale nie łudziła się, że będzie w stanie pisać o nim dalej po siedemdziesiątce. Gdyby jednak to się jej udało, do czego musiałaby się uciekać? *Kółko Robótek Ręcznych „Wierzbina” jedzie do Terre Haute? Kółko Robótek Ręcznych „Wierzbina” odwiedza międzynarodową stację kosmiczną?* Nie. Nawet gdyby je czytały (a prawdopodobnie by czytały) panie z klubów czytelniczek, stanowiące podstawową grupę jej odbiorców. Nie.

Była więc zaradną wiewióreczką żyjącą wygodnie z pieniędzy, jakie przynosiły jej książki... ale też odkładającą orzeszki na zimę. Przez ostatnie dziesięć lat przeznaczala rocznie od dwunastu do szesnastu tysięcy dolarów na fundusz inwestycyjny. Zyski z tego nie były aż tak wysokie, jak by chciała, z powodu zawirowań na giełdzie, ale powtarzała sobie, że jeśli nie przestanie odkładać, prawdopodobnie wyjdzie na swoje, i nie brakowało jej energii, by dalej się starać. Dla spokoju sumienia zaś odbywała trzy spotkania autorskie w roku za darmo. To często denerwujące nastawienie psychiczne nie powinno sprawiać jej kłopotu, gdyż brała uczciwe pieniądze za uczciwą pracę, czasami jednak dawało o sobie znać. Prawdopodobnie dlatego, że mielenie jęzorem i rozdawanie autografów nie pasowało do koncepcji solidnego zajęcia, jaką wpajano jej od dziecka.

Oprócz honorarium w wysokości co najmniej tysiąca dwustu dolarów gwarantowała sobie jeszcze jedno: dojazd własnym samochodem na miejsce spotkania z nie więcej niż jednym noclegiem po drodze tam i z powrotem. Oznaczało to, że rzadko jechała dalej na południe niż do Richmond i dalej na zachód niż do Cleveland. Jedna noc w motelu była uciążliwa, ale do przyjęcia, dwie – marnowały cały tydzień. Poza tym Fritzy, jej kot, nie lubił zostawać sam w domu. Dawał to wyraźnie do zrozumienia, gdy wracała. Na schodach plątał się jej między nogami i często nieprzyzwoicie używał pazurów, gdy znalazł się na kolanach. I chociaż Patsy McClain, sąsiadka mieszkająca obok, podsuwała mu smaczne kąski, prawie nic nie jadł, dopóki Tess znowu przy nim nie było.

Nie chodziło o to, że bała się latać albo że wahała się prosić organizatora spotkania o zwrot kosztów, bo nigdy nie miała problemów z przedkładaniem rachunków za pokój w motelu (zawsze ładny, nigdy elegancki). Po prostu nienawidziła tego: tłumu, upokorzenia związanego ze zdejmowaniem butów i wykładaniem całej zawartości kieszeni, sposobu, w jaki linie lotnicze żądały pieniędzy za to, co kiedyś było za darmo, opóźnień... i nieuniknionej

świadomości, że nic nie jest pod twoją kontrolą. To było najgorsze. Kiedy minęło się już wszystkie stanowiska kontroli bezpieczeństwa i zostało się wpuszczonym na pokład, trzeba było złożyć to, co najcenniejsze – własne życie – w ręce obcych ludzi.

Oczywiście prawdą było i to, że na jednej z płatnych lub międzystanowych autostrad, którymi prawie zawsze jeździła, jakiś pijak mógł stracić panowanie nad autem, zjechać z pasa i w zderzeniu czołowym pozbawić ją życia (bo on by przeżył, pijakom najwyraźniej zawsze się udawało), ale kiedy prowadziła samochód, miała przynajmniej złudzenie, że panuje nad sytuacją. I lubiła siedzieć za kierownicą. To było kojące. Najlepsze pomysły przychodziły jej do głowy, gdy uruchamiała ogranicznik prędkości i wyłączała radio.

– Założę się, że w ostatnim wcieleniu byłaś kierowcą ciężarówki jeżdżącym w dalekie trasy – powiedziała Patsy McClain przy jakiejś okazji.

Tess nie wierzyła w poprzednie wcielenia ani w przyszłe, jeśli już o tym mowa – w sensie metafizycznym uważała, że to, co się widzi, jest dokładnie tym, co się ma – niemniej podobałoby jej się życie, w którym nie byłaby drobną kobietą o filuternej twarzy i nieśmiałym uśmiechu, piszącą niewinne kryminały, tylko ogromnym facetem, który za kółkiem maszyny z wymalowanym na masce buldogiem przemierza miliony dróg przecinających kraj, w wielkim kapeluszu ocieniającym spalone słońcem na brąz czoło i siwy zarost na policzkach. Żadnej potrzeby starannego wybierania ubrań przed publiczną prezentacją, jak w tym życiu – wystarczyłyby wytarte dzinsy oraz buty z cholewkami i sprzączkami po bokach. Lubiła pisać, nie peszyły jej wystąpienia przed większym audytorium, ale tak naprawdę przyjemność sprawiało jej prowadzenie samochodu. Po spotkaniu autorskim w Chicopee ten fakt uderzył ją jako zabawny... ale nie w sposób, który wywołuje śmiech. Nie, to w ogóle nie miało nic wspólnego z takim rodzajem wesołości.

2

Zaproszenie od Books & Brown Baggers idealnie spełniało jej warunki. Chicopee leżało niecałe sto kilometrów od Stoke Village, spotkanie zaplanowano w ciągu dnia, a BBB oferowało jej honorarium w wysokości nie tysiąca dwustu, lecz tysiąca pięciuset dolarów. Plus zwrot kosztów oczywiście, ale te będą minimalne – bo nie zatrzyma się w Courtyard Suites ani w Hampton Inn. List z propozycją przyszedł od niejakiej Ramony Norville, która wyjaśniała, że choć kieruje biblioteką publiczną w Chicopee, pisze jako prezes Books & Brown Baggers, które co miesiąc organizuje Spotkanie z Pisarzem w Południe. Zachęcano ludzi, by przynosili ze sobą lunch, więc impreza stała się popularna. Na dwunasty października była zaplanowana Janet Evanovich, ale musiała odwołać przyjazd z powodów rodzinnych – ślubu czy pogrzebu, tego Ramona Norville nie była pewna.

Zdaję sobie sprawę, że termin jest bardzo bliski – pisała pani Norville w ostatnim

akapicie lekko kulistym pismem – *ale w Wikipedii przeczytałam, że mieszka Pani w sąsiednim Connecticut, a nasi czytelnicy z Chicopee ogromnie lubią panie z Kółka Robótek Ręcznych. Zyska Pani naszą dozgonną wdzięczność i wspomniane wyżej honorarium.*

Tess wąpiła w tę dozgonną wdzięczność i na październik miała już umówione spotkanie (Tydzień Kawalkady Literackiej w Hamptons), ale jadąc I-84, dotarłaby do I-90, a od tej ostatniej Chicopee leżało o rzut beretem. Łatwy dojazd, łatwy powrót. Fritzy prawie nie zauważy jej nieobecności.

Ramona Norville podała, rzecz jasna, swój adres e-mailowy, więc Tess od razu jej odpisała, godząc się na termin i wysokość honorarium. Dodała też – jak miała w zwyczaju – że będzie podpisywała książki nie dłużej niż przez godzinę. *Mam kota, który mnie terroryzuje i nie znosi, jeśli wieczorem nie ma mnie w domu i nie mogę osobiście dać mu jeść* – napisała. Poprosiła o więcej szczegółów, choć wiedziała niemal na pewno, czego się od niej oczekuje. Uczestniczyła w podobnych imprezach, odkąd skończyła trzydziestkę. Mimo to jednak organizatorzy typu Ramony Norville spodziewali się takich pytań i jeśli się ich nie zadało, stawali się nerwowi i zaczęli podejrzewać, że zaproszona autorka pojawi się bez stanika i podpita.

Tess przyszło do głowy, żeby zasugerować, iż dwa tysiące dolarów byłoby odpowiedniejszym wynagrodzeniem za w sumie nagłe zastępstwo, ale odrzuciła ten pomysł. To byłoby wykorzystywanie okazji. Poza tym wąpiła, czy wszystkie książki o Kółku Robótek Ręcznych razem wzięte (a było ich dokładnie dwanaście) sprzedały się w takim nakładzie jak jedna z przygód Stephanie Plum. Czy jej się to podobało, czy nie – prawdę mówiąc, Tess wcale o to nie dbała – stała się planem B Ramony Norville. Żądanie dopłaty byłoby bliskie szantażu. Półtora tysiąca to bardzo godziwa oferta. Oczywiście kiedy Tess leżała w rowie melioracyjnym, krztusząc się krwią z opuchniętych ust i złamanego nosa, ta suma wcale nie wyglądała na godziwą. Ale czy dwa tysiące stanowiłoby różnicę? Albo dwa miliony?

Czy można wycenić ból i przerażenie? Takiego pytania nigdy nie postawiły panie z Kółka Robótek Ręcznych. Przystępstwa, których tajemnice rozwiązywały, naprawdę nie różniły się specjalnie od wyobrażeń o przestępstwie. Ale kiedy Tess została zmuszona, by się nad tym pytaniem zastanowić, pomyślała, że odpowiedź brzmi – nie. Kiedy naprawdę musiała to przemyśleć, doszła do wniosku, że tylko jedno mogłoby zrównoważyć taką zbrodnię. A jej przyjaciele, Tom i Fritzy, się z tym zgodzili.

3

Ramona Norville okazała się jowialną kobietą około sześćdziesiątki, o szerokich ramionach, ciężkich piersiach i rumianych policzkach, krótko ostrzyżonych włosach i uścisku

dłoni najemnika. Czekala na Tess przed biblioteką, na środku parkingu, w miejscu zarezerwowanym dla Wybitnego Pisarza. Zamiast powitać ją miłym „dzień dobry” (do jedenastej brakowało piętnastu minut) albo skomplementować jej kolczyki (brylantowe łezki, na które pozwalała sobie tylko z okazji obiadów lub takich imprez jak ta), zadała jej męskie pytanie: czy Tess przyjechała osiemdziesiątkaczwórką?

Kiedy Tess odpowiedziała, że tak, pani Norville otworzyła szeroko oczy i wydeła policzki.

– Szczęście, że dojechała pani bezpiecznie. Moim skromnym zdaniem osiemdziesiątkaczwórka to najgorsza autostrada w Ameryce. I nadrabia się mnóstwo kilometrów. Możemy temu zaradzić w drodze powrotnej, jeśli Internet działa, a pani mieszka w Stoke Village.

Tess potwierdziła, ale niezbyt jej się podobało, że obcy ludzie – nawet tak mili jak ta bibliotekarka – wiedzą, gdzie przykładła do poduszki zmęczoną głowę. Narzekanie jednak niczego by nie zmieniło – w dzisiejszych czasach wszystko można znaleźć w Internecie.

– Mogę zaoszczędzić pani z piętnaście kilometrów – odezwała się pani Norville, gdy szły po schodach biblioteki. – Czy ma pani GPS? To urządzenie jest znacznie lepsze od wskazówek zapisanych z tyłu koperty. Cudowny gadżet.

Tess, która rzeczywiście dodała GPS do wyposażenia swego expedition (nazywał się TomTom i podłączało się go do gniazdka zapalniczki), odrzekła, że piętnaście kilometrów mniej w drodze powrotnej byłoby miłym ułatwieniem.

– Lepiej jechać prosto przez stodołę Robin Hooda niż ją objeżdżać – powiedziała pani Norville i lekko poklepała Tess po plecach. – Mam rację?

– Absolutnie – zgodziła się Tess i jej los został przesądzony. Po prostu. Bo zawsze była łasa na skrót.

4

Les affaires du livre miały zwykle cztery ściśle zdefiniowane etapy, a spotkanie Tess z czytelnikami na tej comiesięcznej imprezie Books & Brown Baggers mogłoby służyć za wzór wszystkim pozostałym. Jedynym odstępstwem od normy było słowo wstępne Ramony Norville, będące szczytem zwięzłości. Nie przyniosła na podium zniechęcających stosów kartek, nie czuła potrzeby przypominania o dzieciństwie Tess na farmie w Nebrasce, nie zawracała sobie głowy przytaczaniem pochwał, jakie pod adresem książek o Kółku Robótek Ręcznych „Wierzbina” napisali krytycy. (To było dobre, bo rzadko je recenzowano, a jeśli już, zazwyczaj przywoływano postać panny Marple, nie zawsze w pochlebnym kontekście). Pani Norville powiedziała po prostu, że książki są ogromnie popularne (przesada, którą można jej wybaczyć) i że autorka, zaproszona niemal w ostatniej chwili, okazała wyjątkową

wielkoduszność, zgadzając się poświęcić swój czas na udział w tym spotkaniu (choć za tysiąc pięćset dolarów trudno to nazwać poświęceniem). A potem prelegentka zeszła z podium przy entuzjastycznym aplauzie około czterystu osób, wypełniających niewielkie, ale wystarczająco duże audytorium. Większość stanowiły kobiety z rodzaju tych, które nigdy nie wychodzą z domu bez kapelusza.

Niemniej ten wstęp bardziej przypominał antrakt. Aktem pierwszym było skromne przyjęcie o jedenastej, na które przyszły co ważniejsze panie, żeby osobiście poznać Tess przy serze, krakersach i kubku lurowatej kawy (na wieczornych spotkaniach podawano liche wino w plastikowych kieliszkach). Niektóre poprosiły o autograf, znacznie więcej chciało zrobić zdjęcie, do czego najczęściej służył im telefon komórkowy. Pytały ją o to, skąd czerpie pomysły, i na jej odpowiedzi reagowały typowym, uprzejmym i dowcipnym gwarem. Sześć osób chciało wiedzieć, jak zdobyć agenta, a błysk w ich oczach wskazywał, że zapłaciły dodatkowe dwadzieścia dolarów, żeby zadać to właśnie pytanie. Tess odpowiedziała, że trzeba pisać listy, aż jeden z bardziej wygłodzonych zgodzi się rzucić okiem na to, co się ma do zaoferowania. Nie była to cała prawda – jeśli chodzi o agentów, coś takiego jak cała prawda nie istnieje – ale nie mijała się z rzeczywistością.

Jej wystąpienie to akt drugi, trwający około trzech kwadransów. Składały się na nie przede wszystkim anegdota (żadna zbyt osobista) i opowieść o tym, jak wymyśla fabuły (od końca). Ważne było co najmniej trzykrotne wplecenie tytułu ostatniej książki, którą tej jesieni była akurat *Kółko Robótek Ręcznych „Wierzbina” wyrusza do jaskiń* (wyjaśniła, że to informacja dla tych, którzy jeszcze o niej nie słyszeli).

Pytania z sali to akt trzeci, w czasie którego chciano wiedzieć, skąd czerpie pomysły (dowcipne, niejasne odpowiedzi), czy wzoruje postaci na ludziach naprawdę istniejących („moje ciotki”) i jak zmusić agenta, żeby zainteresował się czyjąś pracą. Tego dnia zapytano ją również, gdzie kupiła frotkę do włosów (w JC Penney, ta odpowiedź wywołała niewytłumaczalny aplauz).

Ostami akt to pora autografów, kiedy posłusznie spełniała prośby, wpisując życzenia urodzinowe, gratulacje z okazji rocznicy ślubu, „Dla Janet, fanki moich wszystkich książek” i „Dla Leah – z nadzieją, że tego lata znowu się zobaczymy nad jeziorem Toxaway!” (trochę dziwna prośba, jako że Tess nigdy tam nie była, najwyraźniej w przeciwieństwie do łowczyni autografów).

Kiedy wszystkie książki zostały podpisane, a kilka maruderek zrobiło jeszcze ostatnie zdjęcia komórką, Ramona Norville zaprowadziła Tess do swojego gabinetu na filiżankę prawdziwej kawy. Pani Norville piła czarną, co wcale nie zdziwiło Tess. Jej gospodyni należała do typu pijącego tylko czarną (a w dni wolne chodzącego prawdopodobnie w martensach), jeśli taki typ w ogóle istnieje. Jedyłą zaskakującą rzeczą w jej pokoju była oprawiona i podpisana fotografia na ścianie. Twarz wydawała się znajoma i po krótkim namyśle Tess udało się ją skojarzyć z nazwiskiem ze śmietnika pamięci, który jest

największym atutem każdego pisarza.

– Richard Widmark?

Pani Norville roześmiała się, trochę skrępowana, ale też w pewien sposób zadowolona.

– Mój ulubiony aktor. Jako podłotek trochę się w nim podkochiwałam, jeśli mam wyznać prawdę. Zdobyłam ten autograf na dziesięć lat przed jego śmiercią. Był już wtedy bardzo stary, ale to prawdziwy podpis, nie pieczętka. To dla pani. – Przez jedną wariacką chwilę Tess pomyślała, że dostaje to podpisane zdjęcie. I dopiero wtedy w tępo zakończonych palcach Norville spostrzegła kopertę z okienkiem z przodu, przez które można było rzucić okiem na czek w środku.

– Dziękuję – powiedziała Tess, biorąc kopertę.

– Niech pani nie dziękuje. Zapracowała pani na każdego centa.

Tess nie zaprzeczyła.

– A teraz... o skrócie.

Tess pochyliła się, natężając uwagę. W jednej z książek o Kółku Robótek Ręcznych Doreen Marquis powiedziała: „Dwie najlepsze rzeczy w życiu to ciepły croissant i szybki powrót do domu”. Był to przypadek, kiedy pisarka wykorzystywała własne przekonania do ożywienia swojej fikcji literackiej.

– Może pani zaprogramować skrzyżowania w swoim GPS?

– Tak, Tom jest bardzo sprytny.

Pani Norville uśmiechnęła się.

– Proszę w takim razie wprowadzić Stagg Road i US czterdzieści siedem. W dzisiejszych czasach mało kto korzysta ze Stagg Road... prawie zupełnie o niej zapomniano przez tę cholerną osiemdziesiątkę... ale jest bardzo malownicza. Możemy sobie mówić po imieniu? Będziesz się po niej tłukła jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Łaty z asfaltu, ale nie za dużo wybojów, przynajmniej tak było, kiedy ostatni raz tamtędy jechałam, czyli wiosną, a wtedy wylażą największe wyboje. Przynajmniej tak wynika z moich doświadczeń.

– Z moich również – odezwała się Tess.

– Kiedy dojedziesz do czterdziestkisiódemki, zobaczysz drogowskaz kierujący na I osiemdziesiąt cztery. Będziesz musiała jechać płatną autostradą ale tylko przez niecałe dziesięć kilometrów, to naprawdę piękne. I zaoszczędzisz mnóstwo czasu i nerwów.

– To ostatnie też brzmi nieźle – odpowiedziała Tess i obie roześmiały się nad kawą, dwie kobiety o podobnej umysłowości, nad którymi uśmiechał się Richard Widmark.

Opuszczony sklep z tykającym szyldem tkwił nadal w miejscu, oddalony od nich o półtorej godziny drogi, wpasowany idealnie w przyszłość niczym wąż w jamie. I rów melioracyjny, rzecz jasna.

Tess nie tylko miała GPS – zapłaciła dodatkowo za dostosowanie go do jej potrzeb. Lubiła zabawki. Kiedy już wprowadziła dane skrzyżowania (Ramona Norville tymczasem pochyliła się nad wyświetlaczem i obserwowała go z typowo męskim zainteresowaniem), gadżet myślał przez chwilę, a potem się odezwał:

– Tess, obliczam nową trasę.

– Niech mnie, ale cwany! – powiedziała Norville i roześmiała się w sposób, w jaki ludzie śmieją się na widok miłego dziwactwa.

Tess uśmiechnęła się, choć w duchu uważała, że zaprogramowanie GPS, by mówił do ciebie po imieniu, nie jest większą ekstrawagancją od powieszenia na ścianie biura zdjęcia nieżyjącego aktora.

– Dziękuję za wszystko, Ramono. Bardzo profesjonalnie to zorganizowałaś.

– W BBB dokładamy wszelkich starań. Teraz możesz jechać. Wielkie dzięki.

– No to jadę – zdecydowała Tess. – I nie ma za co. Bardzo mi się podobało. – To była prawda, zwykle świetnie się bawiła na imprezach przygotowanych według zasady „no dobrze, trzeba się tym poważnie zająć”. A jej fundusz emerytalny na pewno zyska dopływ świeżej gotówki.

– Bezpiecznej drogi do domu – powiedziała Norville, a Tess pokazała jej uniesiony kciuk.

Kiedy ruszyła, GPS powiedział:

– Witaj, Tess. Widzę, że wybierasz się w podróż.

– Rzeczywiście – odrzekła. – Dzień idealnie się do tego nadaje, nie uważasz?

W odróżnieniu od komputerów z filmów science fiction Tom miał oprogramowanie niezbyt nadające się do pogawędek towarzyskich, niemniej Tess czasami mu pomagała. Kazał jej skrócić w prawo za czterysta metrów, a potem w pierwszą w lewo. Mapa na wyświetlaczu Toma pokazywała zieloną strzałkę i nazwy ulic, pobierając te dane z jakiejś okablowanej metalowej kuli – szczytu rozwoju techniki – wiszącej gdzieś tam w górze.

Tess znalazła się wkrótce na przedmieściach Chicopee. Tom pozwolił jej bez komentarza minąć zjazd na I-84 i wjechać w wiejski krajobraz płonący kolorami października, trochę zamglony i pachnący palonymi liśćmi. Po mniej więcej piętnastu kilometrach na czymś o nazwie Old Country Road, dokładnie w chwili, gdy zastanawiała się, czy GPS nie zrobił błędu (jeśli już), Tom odezwał się ponownie.

– Po dwóch kilometrach skreć w prawo.

Uspokojona, zobaczyła wkrótce zielony drogowskaz Stagg Road, tak podziurawiony kulami z broni palnej, że prawie nieczytelny. Ale Tom, rzecz jasna, nie potrzebował drogowskazu, bo, mówiąc słowami socjologów (Tess była jednym z nich, zanim odkryła w sobie talent do pisania powieści o starszych paniach detektywach), był konformistą.

„Będziesz się po niej tłukła jakieś dwadzieścia pięć kilometrów” – powiedziała Ramona Norville, ale Tess podskakiwała na wybojach jedynie przez dwadzieścia kilometrów. Weszła w zakręt i zobaczyła przed sobą po lewej stronie stary, zrujnowany budynek (wyblakła tablica

nad stacją bez dystrybutorów nadal głośno ESSO), a potem spostrzegła – zbyt późno – kilka wielkich połamanych desek rozrzuconych na drodze, które prawdopodobnie spadły z niezabezpieczonego ładunku na wozie jakiegoś kmiota. Z wielu sterczały zardzewiałe gwoździe. Najechała na przeszkodę, skręciła na miękkie pobocze, żeby ominąć te śmieci, ale wiedziała, że to najpewniej się nie uda, bo z jakiego innego powodu usłyszałaby własny głos: „Och-och!”?

Pod nią coś stuknęło, trzasnęło, gruchnęło i kilka desek odbiło się od podwozia, a potem jej wierny expedition zatańczył, podskakując i zjeżdżając na lewo niczym koń, który okulał. Z niemałym wysiłkiem zdołała wprowadzić samochód na porośnięty chwastami dziedziniec przez opuszczony sklepem. Wołała nie zostawać na drodze, bo gdyby ktoś teraz nadjechał i wypadł zza zakrętu, mógłby staranować tył jej wozu. Nie widziała, co prawda, na Stagg Road wielu samochodów, niemniej coś nią jechało, w tym dwie ogromne ciężarówki.

– Niech cię szlag trafi, Ramono – rzuciła. Wiedziała jednak, że tak naprawdę nie była to wina bibliotekarki. Przewodnicząca (i prawdopodobnie jedyna członkini) Klubu Wielbicieli Richarda Widmarka, filia w Chicopee, chciała tylko być pomocna, a Tess nie знаła imienia kretyna, który zgubił na drodze to nabijane gwoździami draństwo i pojechał dalej wesolutki, więc Ramona musiała jej wystarczyć.

– Mam zmienić trasę, Tess? – zapytał Tom na tyle niespodziewanie, że podskoczyła.

Wyłączyła GPS i zgasła silnik. Tymczasem nigdzie się nie wybierała. Było tu bardzo cicho. Słyszała śpiew ptaków, metaliczne tykanie przypominające zegar sprężynowy i nic więcej. Pocieszające było to, że expedition pochylał się w lewo z przodu, a nie całą karoserią. Może chodziło o jedną tylko oponę. Nie potrzebowałyby wtedy holowania, wystarczyłoby niewielka pomoc z Amerykańskiego Związku Motorowego.

Kiedy wysiadła i spojrzała na lewą przednią oponę, przekonała się, że spory kawałek deski jest do niej przybity wielkim zardzewiałym gwoździem. Rzuciła jednosylabowe przekleństwo, które nigdy nie przeszłoby przez usta żadnej z członkiń Kółka Robótek Ręcznych, i z niewielkiego schowka pomiędzy siedzeniami wyjęła komórkę. W tej sytuacji powinna być zadowolona, jeśli uda jej się dojechać do domu przed zmrokiem, a Fritzy będzie musiał się zadowolić miską suchej karmy ze spiżarni. To tyle, jeśli chodzi o skrót Ramony Norville... choć żeby oddać jej sprawiedliwość, Tess uznała, że to samo mogło ją spotkać na autostradzie międzystanowej, bo nie raz i nie dwa uniknęła potencjalnie niebezpiecznych przeszkód na wielu trasach, nie tylko na I-84.

Konwencje horrorów i kryminałów – nawet takich kryminałów, gdzie były tylko jedne zwłoki i ani kropli krwi, tak lubianych przez jej fanki – okazały się zaskakująco podobne do tych okoliczności, więc gdy otwierała klapkę telefonu, pomyślała: W fikcji literackiej by nie działał. Był to przypadek, kiedy życie naśladuje sztukę, bo gdy włączyła nokię, na wyświetlaczu pojawił się napis: „Brak zasięgu”. Oczywiście. Możliwość skorzystania z telefonu byłaby za dużym ułatwieniem.

Usłyszała monotony, narastający odgłos silnika, obróciła się i spostrzegła starą białą furgonetkę, wylaniającą się zza feralnego zakrętu. Na jednym z jej boków widać było rysunek kościotrupa grającego na perkusji, zrobionej najwyraźniej z babeczek. Ociekającymi literami rodem z filmów grozy napisano nad nim (znacznie dziwniejsze od zdjęcia dla fanów Richarda Widmarka na ścianie pokoju bibliotekarki) słowa PIEKARZE ZOMBIE. Przez chwilę Tess była zbyt oszołomiona, żeby pomachać ręką, a kiedy to zrobiła, całą uwagę kierowcy furgonetki zajmowało wymijanie przeszkód na drodze, więc nie mógł jej zauważyć.

Szybciej znalazł się na poboczu, niż udało się to Tess, ale furgonetka miała wyżej usytuowany środek ciężkości niż expedition. Przez chwilę było niemal pewne, że się przewróci i wyląduje w rowie. Jednak samochód – z trudnością – utrzymał równowagę i wrócił na jezdnię już za rozsypanymi deskami. Furgonetka zniknęła za następnym zakrętem, zostawiając za sobą chmurę niebieskich spalin i smród rozgrzanego oleju.

– Niech was cholera, Piekarze Zombie! – krzyknęła Tess i zaczęła się śmiać. Czasami nic więcej nie można zrobić.

Przypięła telefon do paska wełnianych spodni, wyszła na drogę i zaczęła sama sprzątać panujący na niej bałagan. Robiła to powoli i ostrożnie, bo z bliska okazało się, że wszystkie deski (pomalowane na białą i wyglądające na oderwane przez kogoś przy odnawianiu domu) miały powbijane gwoździe. Wielkie i obrzydliwe. Pracowała nieśpiesznie, bo nie chciała się skaleczyć, ale liczyła też na to, że gdy nadjedzie następny samochód, będzie w tym miejscu dobrze widoczna jako pocziwa chrześcijanka przy pożytecznym zajęciu. Niemniej do czasu, gdy się z tym uporała i wrzuciła deski do rowu przy drodze, z wyjątkiem kilku niegroźnych kawałków, nie pojawił się żaden samochód. Pomyślała, że może Piekarze Zombie zjedli wszystkich w najbliższej okolicy i teraz pędzą z powrotem do kuchni, żeby przyrządzić z resztek ciesząc się niesłabnącym powodzeniem zapiekanki z ludzi.

Wróciła na zarośnięty chwastami parking przed nieczynnym sklepem i popatrzyła w zadumie na pochylony samochód. Warte trzydzieści tysięcy dolarów żelastwo, z napędem na cztery koła, niezależnymi hamulcami tarczowymi, Tomem z mówiącego TomToma... i wystarczył jedynie kawałek deski z gwoździem, żeby utknęła bezradna na pustkowiu.

No jasne, że były we wszystkich, pomyślała. W kryminale – albo horrorze – to nie byłby wynik lekkomyślności, to byłaby realizacja planu. Prawdę mówiąc, pułapka.

– Zbyt wybujała wyobraźnia, Tesso Jean – powiedziała, cytując matkę... co zakrawało, rzecz jasna, na ironię, bo to właśnie wyobraźnia zapewniła jej chleb. Nie wspominając o pieniądzech na dom spokojnej starości, gdzie matka spędziła ostatnie sześć lat życia.

W głuchej ciszy ponownie dosłyszała delikatne tykanie. Opuszczony sklep był z rodzaju tych, których nie spotyka się często w XXI wieku: miał werandę. Jej lewy koniec zapadł się i balustrada była połamana w kilku miejscach, ale tak... to naprawdę była weranda, urocza, mimo że zdewastowana. A może właśnie dlatego. Zdaniem Tess werandy zniknęły sprzed sklepów, bo zachęcały, by przysiąść i pogadać o baseballu lub pogodzie, zamiast po prostu

zapłacić, wepchnąć kartę kredytową do kieszeni i pojechać do następnego miejsca, by znowu się nią posłużyć. Z zadania werandy zwisał krzywo blaszany szyld. Był bardziej wyblakły od znaku Esso. Podeszła kilka kroków bliżej, przystawiła dłoń do czoła, żeby osłonić oczy. „Lubisz to, a to do ciebie pasuje”. Co niby miało to reklamować?

Już prawie znalazła na to odpowiedź na śmietniku, który panuje w mózgu każdego pisarza czy pisarki, kiedy jej myśli przerwał warkot silnika. Pewna, że to Piekarze Zombie mimo wszystko jadą z powrotem, obróciła się, a wtedy do dźwięku motoru dołączył pisk starych jak świat hamulców. Okazało się, że nie była to biała furgonetka, ale stary ford F-150 pick-up, fatalnie pomalowany na niebiesko i z widocznym szpachlowaniem wokół reflektorów. Za kierownicą siedział mężczyzna w farmerkach i reklamowej czapce z daszkiem. Patrzył na stos połamanych desek w rowie.

– Halo?! – zawołała Tess. – Przepraszam pana!

Obrócił głowę, spostrzegł ją na zachwaszczonym parkingu, zsalutował ręką, podjechał do jej samochodu i wyłączył silnik. Towarzyszący temu odgłos przywodził na myśl akt eutanazji.

– Cześć – powiedział. – Czy to pani usunęła z drogi to paskudztwo?

– Tak, poza kawałkiem, który wbił się w moją lewą przednią oponę. I... – „Mój telefon nie ma tu zasięgu”, niemal dodała, ale ugryzła się w język. Była kobietą pod czterdziestkę, która sparzyła się już setki razy, a to był zupełnie obcy mężczyzna. Wielki mężczyzna. – I znalazłam się tutaj – dokończyła trochę niepewnie.

– Zmienię koło, jeśli ma pani zapasowe – powiedział, wysiadając z samochodu. – Ma pani?

Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. Facet nie był wielki, pomyliła się co do tego. Ten facet był gigantyczny. Musiał mieć prawie dwa metry, ale okazało się, że wzrost to tylko jeden z wymiarów. Miał potężny brzuch, grube uda i był szeroki niczym szafa. Wiedziała, że gapienie się na kogoś jest niegrzeczne (kolejna z zasad tego świata, którą wyssała z mlekiem matki), lecz nie potrafiła się przed tym powstrzymać. Ramona Norville była potężnie zbudowaną kobietą, ale przy tym gościu wyglądałaby jak wiotka primabalerina.

– Wiem, wiem – odezwał się z rozbawieniem w głosie. – Nie spodziewała się pani spotkać Kolosa na wiejskiej drodze, prawda? – Tyle że nie był z brązu, choć opaleniznę miał ciemnobrązową. Oczy również miał brązowe. Nawet czapkę miał brązową, choć w kilku miejscach tak spłowieła, że była niemal biała, jakby w którymś momencie jej długiego istnienia ktoś ochlapał ją wybielaczem.

– Przepraszam – powiedziała. – Pomyślałam po prostu, że pan nie jechał tym pick-upem, ale tak jakby miał go na sobie.

Położył dłonie na biodrach i ryknął śmiechem.

– Nikt wcześniej tak tego nie ujął, ale do pewnego stopnia ma pani rację. Kiedy wygram na loterii, kupię sobie hummera.

– Cóż, nie stać mnie na to, żeby go panu kupić, ale jeśli zmieni mi pan koło, z przyjemnością dam panu piętnaście dolarów.

– Żartuje pani? Zrobię to za darmo. Oszczędziła mi pani kłopotów, zbierając te śmieci z drogi.

– Ktoś przejeżdżał tędy śmieszoną ciężarówką ze szkieletem namalowanym na boku, ale jakoś udało mu się je wyminąć.

Olbrzym szedł do uszkodzonego koła samochodu Tess, ale przystanął i obrócił się do niej, marszcząc czoło.

– Ktoś przejeżdżał i nie pomógł pani?

– Chyba mnie nie widział.

– I nie zatrzymał się, żeby sprzątnąć ten bałagan dla następnego kierowcy, dobrze mówię?

– Nie, nie zatrzymał się.

– Pojechał po prostu swoją drogą?

– Tak. – W tym pytaniu zabrzmiało coś, co się jej nie spodobało. Ale wtedy wielkołud uśmiechnął się, a Tess nazwała się w duchu idiotką.

– Zapasowe jest pod bagażnikiem, jak myślę?

– Tak. Dokładnie tam, dziękuję. Musi pan jedynie...

– Pociągnąć za rączkę, tak, tak. Już to robiłem.

Kiedy powoli szedł na tył jej forda, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach farmerek, Tess zauważyła, że nie domknął drzwiczek pick-upu i że świeci się tam słabe światło. Uznając, że akumulator grata może być równie wysłużony jak karoseria, otworzyła drzwiczki (zawiasy zgrzytnęły niemal tak głośno jak hamulec) i szybko je zatrzasnęła. Robiąc to, zerknęła do szoferki przez tylną szybę i na skrzynię. Na podrapanym, porzdewiałym metalu leżało kilka desek. Były pomalowane na biało i sterczały z nich gwoździe.

Przez chwilę Tess miała wrażenie, jakby opuszczała własne ciało. Miarowe stukanie szyldu „Lubisz to, a to do Ciebie pasuje” nagle wydało się jej nie odgłosem staroświeckiego zegara, ale tykaniem bomby.

Usiłowała sobie wmawiać, że te kilka desek nic nie znaczy, bo coś takiego byłoby ważne w książkach z rodzaju tych, których nie pisała, i filmów, jakie rzadko oglądała: okropnych i krwawych. Nie pomogło. Zostały jej dwa wyjścia. Albo próbować nadal sobie to wmawiać, bo w przeciwnym razie przeraziłaby się śmiertelnie, albo uciec w kierunku lasu po drugiej stronie drogi.

Zanim podjęła decyzję, poczuła jakby wyolbrzymiony zapach męskiego potu. Odwróciła się. Mężczyzna stał blisko, górował nad nią, z rękami w kieszeniach farmerek.

– Zamiast zmieniać ci koło – powiedział łagodnie – wolałbym cię wyruchać. Co ty na to?

Wtedy Tess rzuciła się do ucieczki, ale tylko w wyobraźni. W rzeczywistym świecie stała przyciśnięta do pick-upu i patrzyła w górę na mężczyznę tak wysokiego, że zasłaniał jej

słońce i rzucał na nią cień. Pomyślała, że jeszcze przed dwiema godzinami czterysta osób – w większości pań w kapeluszach – było jej brawo w niewielkiej, ale wystarczająco dużej sali. I gdzieś tam, w kierunku południowym, czekał na nią Fritzy. Uświadomiła sobie – choć z trudem, jakby uniosła jakiś ciężar – że może już nigdy go nie zobaczyć.

– Nie zabijaj mnie, proszę – odezwała się bardzo cicho.

– Ty szmato. – Mówił tonem człowieka opowiadającego o pogodzie. Szyld ciągle objął się o okap nad werandą. – Marudna, kurewska szmato. Powiedziała, co wiedziała.

Wyciągnął prawą rękę z kieszeni. Była bardzo duża. Na palcu serdecznym miał sygnet z czerwonym kamieniem, który przypominał rubin, ale był na to zbyt wielki. Tess pomyślała, że to prawdopodobnie szkło. Szyld tykał. „Lubisz to, a to do ciebie pasuje”. I wtedy dłoń zmieniła się w pięść i zaczęła się szybko zbliżać, rosła aż do chwili, gdy świat się rozmazał.

Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony metaliczny brzęk. Tess miała wrażenie, że to jej głowa zderzyła się z kabiną pick-upu. Pomyślała: Piekarze Zombie. A potem na chwilę zapadła ciemność.

6

Odzyskała przytomność w wielkim zacienionym pokoju, który pachniał wilgotnym drewnem, zwierzałą dawno kawą i piklami sprzed wieków. Tuż nad nią wisiał krzywo pod sufitem stary wiatrak. Wyglądał niczym zepsuta karuzela z filmu Hitchcocka *Nieznajomi z pociągu*. Tess leżała na podłodze, goła od pasa w dół, a on ją gwałcił. Gwałt wydawał się mniej ważny od ciężaru mężczyzny: gwałcił ją, ale przede wszystkim miażdżył. Ledwie mogła oddychać. To musiał być sen. Niemniej nos miała spuchnięty, u podstawy czaszki wyrósł jej guz wielkości góry, drzazgi wbijały się w pośladki. Takich szczegółów nie zauważa się we śnie. I w snach nie czuje się bólu; człowiek zawsze się budzi, zanim zacznie się prawdziwe cierpienie. A tutaj ono właśnie trwało. On ją gwałcił. Wniósł ją do opuszczonego sklepu i gwałcił, podczas gdy złotawe drobinki kurzu wirowały w skośnych promieniach popołudniowego słońca. Gdzieś tam ludzie słuchali muzyki i kupowali rzeczy przez Internet, drzemali, rozmawiali przez telefon, ale tu gwałcono kobietę i to ona była tą kobietą. Zdjął jej majtki, spostrzegła je wystające z przedniej kieszeni jego farmerek. Skojarzyło jej się to z *Uwolnieniem*, które widziała na filmowej retrospektywie w college’u, w czasach gdy była odrobinę odważniejsza w wyborze kinowego repertuaru. „Ściągaj gacie” – mówi jeden z drani, zanim zacznie gwałcić tłuściocha z miasta. To śmieszne, co może przyjść do głowy, kiedy leży się pod stu pięćdziesięcioma kilogramami wieśniackiego mięcha, a kutas gwałciela porusza się w tobie tam i z powrotem niczym nienaoliwiony tłok.

– Przestań – powiedziała. – Przestań, błagam.

– Suka – rzucił i ponownie spadła na nią jego pięść, wypełniając jej pole widzenia. Jedna

strona twarzy stała się gorąca, pośrodku głowy rozległ się kolejny trzask i Tess straciła przytomność.

7

Kiedy ocknęła się następnym razem, tańczył wokół niej w farmerkach, wyrzucał na boki ręce i śpiewał *Brown Sugar* piskliwym, fałszującym głosem. Słońce zachodziło, a dwa okna opuszczonego sklepu wychodzące na zachód – z szybami pokrytymi kurzem, ale jakimś cudem niewybitymi przez wandalów – wydawały się płonąć. Jego cień tańczył za nim, hasając po deskach podłogi i ścianie, na której widać było jaśniejszy kwadrat w miejscu, gdzie kiedyś wisiał jakiś plakat reklamowy. Głuche tupanie robociarskich butów brzmiało apokaliptycznie.

Widziała własne spodnie wciśnięte pod kontuar, na którym dawno temu z pewnością stała kasa (prawdopodobnie obok słoika z jajkami na twardo i drugiego, z marynowanymi nóżkami wieprzowymi). W powietrzu unosił się zapach pleśni. I... Boże, ależ bolało. Twarz, pierś i prawie wszystko poniżej, gdzie czuła otwartą ranę.

Udawaj, że nie żyjesz. To twoja jedyna szansa.

Zamknęła oczy. Śpiew ustał i poczuła zbliżający się odór męskiego potu. Teraz ostrzejszy.

Chyba się zmęczył, pomyślała. Zapomniała o udawaniu martwej i usiłowała krzyknąć. Zanim jednak wydobyła z siebie jakiś dźwięk, chwycił ją wielką łapą za gardło i zaczął dusić. Pomyślała: To koniec. Już po mnie. To były spokojne myśli, pełne ulgi. Wreszcie skończy się ból, nie będzie się budziła, żeby patrzeć na tańczącego gwałciciela w rozżarzonego słońca.

Straciła przytomność.

8

Kiedy po raz trzeci wróciła jej świadomość, świat przybrał barwę czerni i srebra. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Więc tak to jest po śmierci.

I wtedy zorientowała się, że ma pod sobą ręce – wielkie ręce, jego ręce – a szyja bolała tak, jakby ktoś owinął ją drutem kolczastym. Nie udusił jej do końca, ale odcisk jego dłoni miała na szyi niczym kolię, wewnętrzne strony dłoni z przodu, palce z boku i na karku.

Była noc. Księżyc wzeszedł. W pełni. Olbrzym niósł ją przez parking opuszczonego sklepu. Nie widziała swojego forda. Expedition zniknął.

Gdzieżeś ty, Tomie?

Przystanął na skraju drogi. Czują zapach jego potu, unoszenie się i opadanie piersi. Czują nocne powietrze, chłodne na jej gołych nogach. Słyszała tykanie szyldu za sobą. „Lubisz to, a to do ciebie pasuje”.

Czy on myśli, że nie żyję? Nie może myśleć, że nie żyję. Nadal krwawię.

Rzeczywiście? Trudno było to stwierdzić z całą pewnością. Leżała bezwładnie w jego ramionach jak dziewczyna w filmowym horrorze, ta, którą zabierał ze sobą Jason albo Michael, albo Freddy – czy jakkolwiek było mu na imię – kiedy już zaszlachtował wszystkich pozostałych. Niósł ją do rudery głęboko w lesie, która była jego kryjówką, gdzie powiesi ją na łańcuchu zaczepionym o hak wbity w sufit. Na takich filmach zawsze są łańcuchy i haki w suficie.

Ponownie ruszył. Słyszała jego buciory na połatanej asfaltowej Stag Road: tup-tuu-tup. A potem, daleko z boku, odgłosy klekotania i skrobania. Kopniakami rozrzucał deski, które tak starannie zebrała i wrzuciła do rowu. Nie słyszała już tykania, za to doszedł ją dźwięk płynącej wody. Niegłośny, nie strumień, coś jak ciurkanie. Uklęknął. Miękka ziemia osunęła się pod nim.

Teraz na pewno mnie zabije. I wreszcie nie będę musiała słuchać jego paskudnego śpiewu. To naprawdę piękne, jak powiedziałaaby Ramona Norville.

– Hej, dziewczyno – odezwał się uprzejmym głosem.

Nie odpowiedziała, choć patrzyła, jak się nad nią pochyla, wbijając wzrok w jej na wpół przymknięte oczy. Bardzo się starała, by nimi nie poruszyć. Gdyby spostrzegł ich ruch, nawet maleńki... albo błysk łzy...

– Hej. – Lekko uderzył ją w policzek otwartą dłonią.

Pozwoliła, by głowa bezwładnie przekręciła się jej na bok.

– Hej! – Tym razem uderzył ją w drugi policzek.

Głowa przetoczyła się na drugą stronę.

Uszczypnął ją w sutek, ponieważ jednak nie zadał sobie trudu, by ściągnąć jej bluzkę i stanik, nie bardzo zabolalo. Leżała bez ruchu.

– Przepraszam, że nazwałem cię suką – powiedział nadal uprzejmym głosem. – Świetnie się pieprzysz. I lubię trochę starsze.

Tess zdała sobie sprawę, że rzeczywiście mógł uznać ją za martwą. Choć to zadziwiające, wydawało się prawdziwe. I nagle bardzo chciała żyć.

Ponownie ją uniósł. Niespodziewanie zapach jego potu stał się wszechogarniający. Szczecina zarostu drapała ją w policzek. Powstrzymała się, by nie odsunąć głowy. Pocałował ją w kącik ust.

– Przepraszam, że byłem trochę brutalny.

Znowu gdzieś ją niósł. Odgłos wody stał się wyraźniejszy. Światło księżycy zniknęło. Poczują zapach – nie, nie stęchlizny – gnijących liści. Włożył ją do wody głębokiej na dziesięć, dwanaście centymetrów. Była bardzo zimna i Tess niemal krzyknęła. Popchnął jej

stopy, a ona nie stawiała oporu, gdy uniosły się jej kolana. Jakbym nie miała kości, pomyślała. Muszę reagować, jakbym nie miała kości. Kolana nie przesunęły się daleko, zanim uderzyły o powierzchnię blachy falistej.

– Kurwa – powiedział refleksyjnym tonem. I wtedy mocno ją popchnął.

Tess pozostawała nieruchoma, nawet gdy coś – gałąź – drapało ją boleśnie pośrodku pleców. Kolana uderzały o wybrzuszenia nad nimi. Pośladkami przesuwiała gąbczastą breję, a smród gnijącej roślinności się nasilił. Stał się gęsty jak maź. Miała nieprzepartą chęć zakasłać i rozwiać ten odór. Czuła, jak zbitki mokrych liści zbierają się w okolicach jej krzyża niczym poduszka nasiąknięta wodą.

Jeśli teraz się zorientuje, będę z nim walczyła. Kopnę go, kopnę go, kopnę...

Ale nic się nie wydarzyło. Przez bardzo długi czas bała się otworzyć szerzej oczy lub choćby lekko nimi poruszyć. Wyobrażała sobie, że przykucnął z głową przekrzywioną na jedną stronę i wpatruje się w dren melioracyjny, w który ją wepchnął, w oczekiwaniu na taki właśnie ruch. Jak miałby nie wiedzieć, że nadal żyła? Na pewno wyczuł bicie jej serca. I na co zdałoby się kopanie wobec olbrzyma z pick-upu? Chwyciłby ją za nagą stopę jedną ręką, wyciągnął i znowu zacząłby dusić. Tylko tym razem by nie przestał.

Leżała wśród gnijących liści, w wodzie, zapatrzona w pustkę na wpół przymkniętymi oczami, i koncentrowała się na udawaniu martwej. Zapadła w posępną amnezję, nie do końca będącą utratą przytomności, i trwała tak przez czas, który wydał jej się bardzo długi, ale pewnie taki nie był. Kiedy usłyszała silnik – jego samochodu, na pewno jego samochodu – pomyślała: Wyobraźnia mnie zwodzi. Albo śnię. On tu nadal jest.

Ale nieregularny warkot silnika najpierw się wzmógł, a potem cichł coraz bardziej na Stagg Road.

To podstęp.

Niemal na pewno wpadła w histerię. A nawet jeśli nie, nie mogła przeleżeć tu całej nocy. Kiedy uniosła głowę (krzywiąc się z bólu przeszywającego zmaltretowaną szyję) i spojrzała w stronę wylotu drenu, zobaczyła jedynie wyraźne koło księżycowego światła. Zaczęła przesuwać się ku niemu, ale zaraz znieruchomiła.

To podstęp. Nieważne, co słyszałam, on ciągle tu jest.

Tym razem ta myśl okazała się silniejsza. Fakt, że nie widziała niczego w wylocie drenu, spotęgował jej siłę. W książce sensacyjnej – albo w horrorze – to byłby moment fałszywego odprężenia przed dramatycznym punktem kulminacyjnym. Biała ręka wynurzająca się z jeziora w *Uwolnieniu*. Alan Arkin rzucający się na Audrey Hepburn w *Doczekać zmroku*. Nie lubiła strasznych filmów ani książek, ale gwałt i niemal utrata życia uwolniły w niej wszystkie wspomnienia takich obrazów. Jakby wyświetlano je obok niej, gdzieś w powietrzu.

Mógł się zacząć. Jeśli, na przykład, miał współnika, który odjechał jego ciężarówką. Przykucnął przy wylocie drenu i czekał z cierpliwością typową dla wieśniaków.

– Ściągaj gacie – wyszeptała, a potem zakryła usta dłonią. Co będzie, jeśli doszły go te

słowa?

Minęło pięć minut. To mogło być pięć minut. Zimna woda sprawiła, że zaczęła drżeć. Niedługo potem szczękała już zębami. Gdyby tam był, toby ją usłyszał.

Odjechał. Przecież słyszałaś.

Może tak, może nie.

Niewykluczone też, że wcale nie musiała wychodzić z kanału melioracyjnego wylotem, którym się do niego dostała. Bo to był przepust, ciągnął się pod całą drogą, a ponieważ czuła pod sobą płynącą wodę, musiał być otwarty. Mogłaby przeczołgać się przez całą jego długość i potem przyjrzeć się parkingowi przed opuszczonym sklepem. Upewnić się, że jego stary pick-up zniknął. Nadal jednak groziłoby jej niebezpieczeństwo, gdyby istniał współnik, ale Tess w głębi duszy miała pewność, że nikogo takiego nie było. Poza tym olbrzymy działają w pojedynkę.

A jeśli go nie ma? Co wtedy?

Nie wiedziała. Nie potrafiła wyobrazić sobie dalszego życia po tym popołudniu w opuszczonym sklepie i wieczorze w przepuście z gnijącymi liśćmi zbitymi w grudę na jej krzyżu, ale może nie musiała tego robić. Wystarczyłoby, że skoncentruje się na powrocie do domu, do Fritzy'ego, i nakarmieniu go karmą z puszki Fancy Feast. Widziała tę puszkę bardzo wyraźnie. Stojącą na półce w schludnej spiżarni.

Obróciła się na brzuch i z zamiarem pokonania całego kanału zaczęła się czołgać na łokciach. I wtedy zobaczyła, z kim dzieli przepust. Z jednego z trupów pozostał właściwie tylko szkielet (z wyciągniętą kościaną ręką w błagalnym geście), na jego głowie było jeszcze dość włosów – jej głowie, bo Tess nabrała pewności, że to szczątki kobiety. Następny mógłby uchodzić za sklepowy manekin z fatalnie pokiereszowaną twarzą, gdyby nie wytrzeszczone oczy i wystający język. To ciało było świeższe, ale dobrały się do niego zwierzęta i mimo ciemności Tess spostrzegła wyszczerzone zęby martwej kobiety.

Żuk wygramolił się z włosów manekina i wędrował teraz po jego nosie.

Wrzeszcząc zachrypłym głosem, Tess cofnęła się i wyskoczyła z przepustu. Była mokra od pasa w górę i naga od pasa w dół. I choć nie zemdląła (przynajmniej tak sądziła), przez krótki czas jej świadomość stała się dziwnie zaburzona. Godziny, które nastąpiły potem, z perspektywy czasu wydawały się jej pociemniałymi scenami, oświetlanymi jedynie sporadycznie. Za każdym razem pobita kobieta ze złamanym nosem i okrwawionymi udami wchodziła w snop takiego światła. A potem znowu nikała w mroku.

9

Stała w sklepie, w przestronnym głównym pomieszczeniu, które kiedyś było podzielone na sektory, z lodówkami na mrożonki (być może) z tyłu i chłodziarkami na piwo (na pewno)

stojącymi rzędem pod ścianą. Otaczał ją zapach zwietrzałej kawy i pikli. Wyciągnęła spodnie spod kontuaru. Pod nimi leżały jej buty i telefon – rozbity. Frotka przepadła. Przypomniała sobie (niejasno, tak jak wspomina się rzeczy z najwcześniejszego dzieciństwa), że jakaś kobieta pytała ją wcześniej, gdzie ją kupiła, i niewytłumaczalny aplauz, gdy odpowiedziała, że w JC Penney. Pomyślała o olbrzymie śpiewającym *Brown Sugar* – piskliwym, monotonnym, jakby dziecięcym głosem – i ponownie straciła przytomność.

10

Szła za sklepem w świetle księżyca. Na drżących ramionach miała resztki jakiejś wykładziny, ale nie pamiętała, skąd ją wzięła. Była brudna, lecz grzała. Otuliła się ciaśniej. Uświadomiła sobie, że właściwie chodzi wokół sklepu, a to mogło być drugie, trzecie lub nawet czwarte okrążenie. Uświadomiła sobie, że szuka swojego forda expedition, ale za każdym razem, gdy nie znajdowała go za sklepem, zapomniała, że już to sprawdzała, i ponownie tam szła. Zapomniała, bo bito ją po głowie i gwałcono, i duszono, i była w szoku. Uświadomiła sobie, że może mieć krwawienie w mózgu – bo skąd można to wiedzieć, chyba że człowiek się budzi i aniołowie mu o tym mówią? Lekka bryza się nasiliła, a tykanie szyldu stało się głośniejsze. „Lubisz to, a to do ciebie pasuje”.

– Seven-up – powiedziała. Głos miała zachrypnięty, ale słyszalny. – No przecież. Lubisz to, a to do ciebie pasuje. – Usłyszała własny głos, śpiewający coraz donośniej. Miała dobry głos, a duszenie dodało mu zaskakująco przyjemną chropawą barwę. Można było pomyśleć, że to Bonnie Tyler śpiewa nocą pod księżycem. – Seven-up dobrze smakuje... tak powinny smakować papierosy! – Uświadomiła sobie, że słowa były niewłaściwe, ale w ogóle się tym nie przejęła, bo śpiewała coś lepszego od spapranych spotów reklamowych i chciała się nacieszyć przyjemną chrypką. Skoro przeżyła gwałt i została wciśnięta do przepustu, by tam umrzeć obok dwóch innych gnijących ofiar gwałtu, równie dobrze mogła mieć jakąś przyjemność.

Zaśpiewam przebój Bonnie Tyler. Zaśpiewam *It's a Heartache*. Jestem pewna, że znam słowa, powinny być w typowym dla pisarza śmietniku w głowie...

Ale wtedy znowu straciła przytomność.

11

Siedziała na kamieniu i wyplakiwała sobie oczy. Brudny kawałek wykładziny nadal otulał jej ramiona. Krocze bolało ją i piekło. Kwaśny smak w ustach wskazywał, że wymiotowała w którymś momencie między chodzeniem na tył sklepu a siedzeniem na tym

kamieniu, ale nie mogła sobie tego przypomnieć. Pamiętała jedynie: Zostałam zgwałcona, zostałam zgwałcona, zostałam zgwałcona!

– Nie byłaś pierwsza i nie będziesz ostatnia – powiedziała, ale ta rzeczowa uwaga, dobywająca się z niej w serii zachłyśnięć płaczem, niewiele pomogła.

Usiłował mnie zabić, prawie mnie zabił!

Tak, tak. W tamtej chwili jego nieudolność nie wydała się jej pociechą. Spojrzała w lewo i zobaczyła sklep przy drodze, oddalony o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów.

Zabił inne! Są w kanale! Łażą po nich robaki, ale im już wszystko jedno!

– Tak, tak – powiedziała zachrypniętym głosem Bonnie Tyler i zemdlała po raz kolejny.

12

Kiedy usłyszała zbliżający się z tyłu warkot silnika, szła środkiem Stagg Road i śpiewała *It's a Heartache*. Obróciła się – niewiele brakowało, żeby się przy tym przewróciła. Zobaczyła światła jaśniejące na szczycie wzgórza, z którego najwyraźniej właśnie zesła. To był on. Olbrzym. Wrócił, zajrzał do przepustu i zorientował się, że jej już tam nie ma, więc zaczął szukać.

Wskoczyła do rowu, przewróciła się na jedno kolano, zgubiła szal z wykładziny i wpadła między krzaki. Gałąź rozkrwawiła jej policzek. Na pewno usłyszał kobietę popłakującą ze strachu. Padła na ziemię, opierając się na kolanach i dłoniach; zwisające włosy zakrywały jej oczy. Szosa pojaśniała, gdy samochód zjechał ze wzgórza. Zobaczyła bardzo wyraźnie kawałek wykładziny i wiedziała, że olbrzym również go spostrzeże. Zatrzyma się i wysiądzie. Próbowaliby uciekać, ale on by ją złapał. Krzyczałaby, ale nikt by jej nie usłyszał. W podobnych historiach nikt nie słyszy krzyku. Zabiłby ją, ale najpierw jeszcze raz by zgwałcił.

Samochód – to był zwykły samochód, nie pick-up – przejechał obok, nie zwalniając. Z wnętrza dochodziły dźwięki przeboju Bachman-Turner Overdrive, nastawionego bardzo głośno: *B-B-B-Baby, you ain't seen n-n-nothing yet**. Patrzyła za niknącymi tylnymi światłami. Szykowała się do następnego etapu ucieczki. Uderzyła się dłońmi w oba policzki.

– Nie – jęknęła głosem Bonnie Tyler. – Nie!

Powoli wracała do siebie. Czuła wewnętrzny przymus, by dalej kulić się w krzakach, ale to nie był dobry pomysł. Do świtu nie zostało dużo czasu, prawdopodobnie dużo czasu brakowało do północy. Księżyc nadal wisiał nisko na niebie. Nie mogła tu tkwić i nie mogła... jedynie zamykać oczu. Musiała się zastanowić.

Podniosła z rowu kawałek wykładziny, ponownie owinęła nim ramiona i dotknęła uszu, wiedząc, co tam znajdzie. Brylantowe kolczyki, jedna z jej naprawdę niewielu ekstrawagancji, przepadły. Po raz kolejny wybuchnęła płaczem, ale to łkanie nie trwało

* Dziecino, jeszcze nic nie widziałaś.

długo, a kiedy się skończyło, poczuła się bardziej sobą. Bardziej w sobie, mieszkanką własnego ciała i umysłu, a nie unoszącym się wokół nich widmem.

Myśl, Tesso Jean!

No dobrze, spróbuje. Ale w tym czasie będzie szła. I koniec ze śpiewaniem. Dźwięk własnego zmienionego głosu przyprawiał ją o gęsią skórkę. Było tak, jakby olbrzym za sprawą gwałtu stworzył nową kobietę. A ona nie chciała być inną kobietą. Lubiła tę dawną siebie.

Szła. Szła w świetle księżyca, z cieniem przesuwającym się brzegiem drogi. Jakiej drogi? Stagg Road. Zgodnie z tym, co pokazywał Tom, kiedy wpadła w pułapkę olbrzyma, znajdowała się trochę ponad sześć kilometrów od skrzyżowania Stagg Road z US 47. A więc nie było tak źle. Żeby zachować formę, pokonywała codziennie prawie pięć kilometrów, nie zważając na deszcz czy śnieg. Oczywiście to był jej pierwszy marsz jako Nowej Tess, obolałej, krwawiącej, o zachrypniętym głosie. Ale istniały też pozytywne strony tej sytuacji: rozgrzewała się, górna połowa ciała schła i miała na nogach buty na płaskim obcasie. Zdarła niemal do końca dwucentymetrowe obcasy, przez które ten nocny marsz byłby z pewnością bardzo nieprzyjemny. Nie żeby w ogóle miał coś wspólnego z przyjemnością w jakichkolwiek okolicznościach, nie nie n...

Myśl!

Zanim jednak zaczęła myśleć, szosa przed nią pojaśniała. Tess ponownie rzuciła się w krzaki, tym razem nie gubiąc kawałka wykładziny. Nadjeżdżał kolejny samochód, dzięki Bogu nie był to jego pick-up, i nawet nie zwolnił.

Mimo wszystko to mógł być on. Może przesiadł się do samochodu osobowego. Mógł pojechać do domu, swojej kryjówki, i zmienić wóz. „Ona zobaczy, że to samochód osobowy, i przestanie się chować. Zatrzyma mnie machaniem ręki, a wtedy ją dopadnę”.

Tak, tak. Tak właśnie odbyłoby się to w filmie grozy, prawda? W *Krzyku ofiar 4* albo w *Horrorze na Stagg Road 2*, albo...

Była bliska zemdenia, ale po raz kolejny uderzyła się w policzki. Kiedy już znajdzie się w domu, Fritzy będzie nakarmiony, a ona położy się we własnym łóżku (przy zamkniętych wszystkich drzwiach i zapalonych wszystkich światłach), wtedy dopiero będzie mogła mdleć do woli. Ale nie teraz. Nie nie nie. Teraz musi iść i chować się, gdy tylko zobaczy samochód. Dzięki temu dotrze w końcu do US 47, a tam może będzie sklep. Z automatem telefonicznym, jeśli dopisze jej szczęście... a zasłużyła na łut szczęścia. Nie miała portmonetki, która nadal tkwiła w jej fordzie expedition (gdziekolwiek był), ale pamiętała numer karty AT&T. Był taki jak numer jej domowego telefonu plus 9712. Nic prostszego.

Przy drodze stała tablica informacyjna. Tess z łatwością przeczytała ją w świetle księżyca.

WJEŹDŹASZ DO COLEWICH

WITAMY, PRZYJACIELU!

– Lubisz Colewich, a ono do ciebie pasuje – wyszeptła.

Znała to miasto, którego nazwę miejscowi wymawiali jak „Kollicz”. Właściwie było to małe miasteczko, jedno z wielu w Nowej Anglii, które świetnie prosperowało w dawnych czasach fabryk tekstylnych, a teraz walczyło o przetrwanie w epoce wolnego handlu, kiedy amerykańskie spodnie i kurtki były szyte w Azji lub Ameryce Środkowej, prawdopodobnie przez dzieci nieumiejące czytać ani pisać. Znajdowała się na przedmieściu i na pewno da radę dojść do telefonu.

Ale co potem?

Potem powinna... powinna...

– Zamówić limuzynę – powiedziała. Pomysł olśnił ją niczym wschód słońca. Tak, dokładnie tak robi. Jeśli to było Colewich, to od jej miasta w Connecticut dzieliło ją pięćdziesiąt kilometrów, może mniej. Firma wynajmująca limuzyny, z której usług korzystała, gdy chciała pojechać na lotnisko Bradley International lub do Hartford czy Nowego Jorku (Tess nie jeździła po mieście, jeśli mogła sobie tego oszczędzić), miała biuro w sąsiednim miasteczku Woodfield. Royal Limousine chępiło się całodobową działalnością. Co więcej, musieli tam mieć w kartotece numer jej karty kredytowej.

Poczuła się lepiej i przyśpieszyła. W tej samej chwili reflektory kolejnego samochodu rozjaśniły drogę, a ona znowu pobiegła w krzaki i przykucnęła, jak każde tropione stworzenie: łania lis zając. Pojazdem okazał się pick-up. Tess zaczęła drżeć. Trzęsła się nadal, gdy zobaczyła niewielką białą toyotę, która nie miała nic wspólnego ze starym fordem olbrzyma. Kiedy auto ją minęło, próbowała zmusić się do powrotu na drogę, ale w pierwszej chwili nie mogła. Ponownie się rozpląkała, łzy były ciepłe na jej wyziębionej twarzy. Czowała, że za chwilę straci przytomność, po raz kolejny chciała odciąć się od świadomości. Nie mogła do tego dopuścić. Gdyby pozwoliła sobie na zbyt częstą utratę przytomności, mogłaby w końcu zabłądzić.

Zmusiła się do myślenia o tym, jak by podziękowała szoferowi limuzyny i że dopisałaby do rachunku napiwek dla niego, zanim odeszłaby powoli obsadzonym kwiatami chodnikiem ku drzwiom własnego domu. Potem odsunęłaby skrzynkę na listy, za którą trzymała zapasowy klucz. I słuchałaby zaniepokojonego miauczenia Fritzy'ego.

Myśl o Fritzym zrobiła swoje. Tess wygramoliła się z krzaków i podjęła marsz, gotowa natychmiast się ukryć na widok świateł następnego samochodu. W jednej chwili. Bo on gdzieś tam był. Zdała sobie sprawę, że od tego momentu on zawsze gdzieś tam będzie. Dopóki policja go nie złapie i nie wsadzi do więzienia. Zanim jednak to się stanie, będzie musiała zgłosić, co ją spotkało, ale gdy tylko ta myśl przysła jej do głowy, zobaczyła bijący po oczach nagłówek w stylu „New York Posta”:

AUTORKA *WIERZBINY ZGWAŁCONA*
PO SPOTKANIU Z CZYTELNIKAMI

Brukowce w rodzaju „Posta” na pewno zamieściłyby jej zdjęcie sprzed dziesięciu lat, z czasów gdy opublikowała pierwszą książkę o Kółku Robótek Ręcznych. Wtedy była tuż przed trzydziestką, miała długie ciemnoblonde włosy opadające na plecy i nosiła krótkie spódniczki, bo lubiła pokazywać ładne nogi. Plus – na wieczór – buty bez pięt na wysokim obcasie, które część mężczyzn (a olbrzym niemal na pewno) brała za zachętę do seksu. Nie wspomnieliby, że teraz jest o dziesięć lat starsza, cięższa o dziewięć kilogramów i że w momencie napadu miała na sobie skromne – prawie nudne – wełniane spodnie, niczym urzędniczka banku. Ale takie szczegóły nie pasowały do historii lubianych przez tabloidy. Tekst okaże się wystarczająco wyważony (nawet jeśli między wierszami odrobinę sprośny), ale jej dawne zdjęcie powie całą prawdę z rodzaju tych, które prawdopodobnie poprzedzały wynalazek koła: „Sama się prosiła i... dostała, co chciała”.

Czy to rzeczowość, czy jedynie wstyd i sponiewierane poczucie własnej wartości podsuwały jej wyobraźni scenariusz najgorszy z możliwych? Ta jej częśćka, która być może będzie chciała chować się po krzakach, nawet kiedy uda się jej wydostać z tej okropnej drogi i z tego okropnego Massachusetts i wrócić do bezpiecznego domu w Stoke Village? Nie wiedziała, domyślała się jednak, że odpowiedź leży gdzieś pośrodku. Pewna była tylko tego, że pisaliby o niej w całym kraju, o czym marzyłyby każda autorka po opublikowaniu nowej książki i czego żadna by nie chciała, gdyby została zgwałcona, okradziona i niemal zabita. Oczyma duszy widziała, jak podczas spotkania z czytelnikami ktoś podnosi dłoń i zwraca się do niej: „Czy w jakikolwiek sposób zachęcała go pani?”.

To było żalosne i nawet w obecnym stanie Tess zdawała sobie z tego sprawę... ale miała też świadomość, że gdy sprawa wyjdzie na jaw, ktoś podniesie rękę i zapyta: „Czy napisze pani o tym książkę?”.

Jak brzmiałaby jej odpowiedź? Co mogłaby powiedzieć?

Nic, pomyślała Tess. Uciekłabym z podium, zakrywając rękami uszy.

Ale nie.

Nie nie nie.

Przede wszystkim nigdy by jej tam nie było. Jak mogłaby uczestniczyć w kolejnym spotkaniu autorskim czy pogadance, wiedząc, że on może się tam pojawić i uśmiechać do niej z tylnego rzędu? Uśmiechać spod dziwnej brązowej czapki z plamami odbarwień? Może miałby w kieszeni jej kolczyki. I bawił się nimi.

Na samą myśl o opowiadaniu wszystkiego policji zrobiło się jej gorąco, dosłownie czuła, jak twarz wykrzywia się jej ze wstydu, nawet tu, mimo że była sama w ciemności. Może i nie dorównywała Sue Grafion albo Janet Evanovich, ale nie była też, prawdę mówiąc, zupełnie nieznaną. Niewykluczone, że przez dzień lub dwa mówiliby o niej nawet w CNN. Świat

dowiedziałby się, że obłąkany, szczerzący się w uśmiechu olbrzym zostawił nasienie w autorce *Wierzbiny*. Mogłoby wyjść na jaw również i to, że zabrał jej majtki na pamiątkę. CNN nie wspominałoby o tym, to pewne, ale „The National Enquirer” lub „Inside View” nie miałyby żadnych oporów.

Źródła zbliżone do śledztwa podają, że w szufladzie oskarżonego gwałciciela znaleziono majtki pisarki: niebieskie biodrówki marki Victoria's Secret obszyte koronką.

– Nie mogłabym tego wyznać – powiedziała. – I nie wyznam.

Ale przed tobą były inne, a po tobie mogą być na...

Wyparła tę myśl. Była zbyt zmęczona, żeby się zastanawiać, jaka odpowiedzialność moralna na niej ciąży. Rozpracuje to potem, jeśli Bóg dopuści, by miała jakieś potem... ale wyglądało na to, że ma szansę. Jednak nie na tej opustoszałej drodze, gdzie za każdą parą zbliżających się reflektorów mógł się kryć jej gwałciciel.

Jej. Teraz był jej.

13

Po mniej więcej dwóch kilometrach od tablicy z powitaniem w Colewich usłyszała niskie, rytmiczne dudnienie, które zdawało się dochodzić z szosy pod stopami. W pierwszej chwili pomyślała o mutantach Morlokach z powieści H.G. Wellsa, obsługujących maszynię głęboko w trzewiach ziemi, ale następne pięć minut wyjaśniło zagadkę. Dźwięk rozchodził się w powietrzu i był jej znany: to pulsowanie gitary basowej. Reszta zespołu zmaterializowała się wokół niego, w miarę jak Tess szła. Zaczynała widzieć światła na horyzoncie, ale nie reflektory samochodu, tylko biały łuk lampy sodowej i czerwoną poświatę neonu. Zespół grał *Mustang Sally*, słyszała też śmiech. Pijany i piękny, przerywany okrzykami typowymi dla imprezy. Dźwięki sprawiły, że znowu się rozplakała.

Przydrożny zajazd, stara wielka spelunowata stodoła z ogromnym parkingiem z ubitej ziemi, wydawał się pełny, a nazywał się Stagger Inn. Tess przystanąła na granicy światła rzucanego przez parkingowe latarnie i zmarszczyła czoło. Dlaczego aż tyle samochodów? Wtedy przypomniała sobie, że jest piątkowa noc. Najwyraźniej Stagger Inn był miejscem, gdzie w piątkowe wieczory schodzili się mieszkańcy Colewich i innych okolicznych miasteczek. Na pewno mieli tam telefon, ale w środku bawiło się zbyt wielu ludzi. Spostreżliby jej posiniaczoną twarz i zdeformowany nos. Chcieliby wiedzieć, co się stało, a ona nie potrafiłaby niczego zmyślić. Przynajmniej nie teraz. Nawet budka telefoniczna na zewnątrz na nic jej się nie zdała, bo tam też widziała ludzi. Całe mnóstwo. Oczywiście. W dzisiejszych czasach jeśli chcesz zapalić papierosa, musisz wyjść na zewnątrz. Poza tym...

On mógł tam być. Czy w którymś momencie nie kręcił się wokół niej, śpiewając piosenkę Rolling Stonesów obrzydliwym, fałszującym głosem? Tess podejrzewała, że to

mogło się jej przyśnić – albo miała halucynacje – ale raczej w to wątpiła. Przecież było możliwe, że po ukryciu jej samochodu przyszedł prosto do Stagger Inn, jakby nic się nie stało, gotów przebalować całą noc, prawda?

Zespół zaczął grać idealnie odpowiednią starą piosenkę The Cramps *Can Your Pussy Do the Dog?* – „Czy twoja pusia zabawiłaby się z psem?”. Nie, pomyślała Tess, ale dzisiaj prawdziwy pies zabawiał się z moją pusią. Dawna Tess nie pochwaliłaby takiego żartu, ale nowa Tess uznała go za cholernie fajny. Wybuchnęła chrapliwym śmiechem i poszła dalej, przechodząc na drugą stronę drogi, gdzie światło latarni z parkingu prawie nie sięgało.

Gdy minęła daleką ścianę budynku, spostrzegła białą furgonetkę ustawioną przy rampie. Z tej strony zjazdu nie było lamp sodowych, ale światło księżyca wystarczyło, by zobaczyła szkielet grający na perkusji. Nic dziwnego, że furgonetka się nie zatrzymała i nikt z niej nie zawracał sobie głowy zbieraniem z szosy desek nabijanych gwoździami. Piekarze Zombie byli spóźnieni na występ, a to nie wróżyło nic dobrego, bo w piątkowe wieczory zajazd drżał w posadach, takie tam były tańce, hulanki, swawola.

– Czy twoja pusia zabawiłaby się z psem? – zapytała i ciasniej opatulila się kawałkiem brudnej wykładziny. Nie była to etola z norek, ale w zimną październikową noc Tess nie wybrzydzała.

14

Kiedy Tess dotarła do skrzyżowania Stagg Road i US 47, spostrzegła coś pięknego: stację benzynową Gas & Dash z dwoma automatami telefonicznymi na ścianie z żuzłobetonu między drzwiami do toalet.

Skorzystała najpierw z WC dla kobiet i musiała zakryć usta dłonią, żeby stłumić krzyk, gdy mocz zaczął płynąć. Miała wrażenie, że ktoś zapalił jej tam pudełko zapalek. Kiedy wstała z sedesu, nowe łzy płynęły jej po policzkach. Muszla klozetowa stała się jasnoróżowa. Podtarła się – bardzo delikatnie – kawałkiem papieru toaletowego, a potem spuściła wodę. Wzięłaby jeszcze kawałek, żeby umieścić go w kroczu majtek, ale tego, rzecz jasna, nie mogła zrobić. Olbrzym zabrał jej figi na pamiątkę.

– Ty bydlaku – powiedziała.

Zatrzymała się z ręką na klamce i patrzyła na posiniaczoną kobietę o szeroko otwartych oczach w pochłapanym wodą metalowym lustrze nad umywalką. A potem wyszła.

15

Przekonała się, że korzystanie z automatu telefonicznego w naszych czasach stało się

dziwnie skomplikowane, nawet jeśli pamiętało się numer karty telefonicznej. Pierwszy aparat, który wypróbowała, działał tylko w jedną stronę: ona słyszała telefonistkę, ale telefonistka nie słyszała jej i przerwała połączenie. Drugi automat wisiał krzywo na ścianie – co niezbyt zachęcało – ale był sprawny. W tle słychać było bez przerwy irytujące buczenie, ale porozumiała się z telefonistką. Tyle że Tess nie miała ani długopisu, ani ołówka. W torebce miała kilka przyborów do pisania, ale, rzecz jasna, torebka przepadła.

– Czy nie może mnie pani po prostu połączyć? – zapytała telefonistkę.

– Nie, proszę pani, musi pani sama wybrać numer, żeby aktywować kartę. – Telefonistka mówiła głosem osoby wyjaśniającej rzeczy oczywiste głupiemu dziecku. Ale to nie denerwowało Tess, czuła się bowiem jak głupie dziecko. Wtedy zorientowała się, jak brudna była ściana z żużlobetonu. Poprosiła telefonistkę, by podała jej numer, a kiedy tamta mówiła, zapisała go palcem na zakurzonej ścianie.

Nim jednak zdążyła zadzwonić, na parking wjechała ciężarówka. Serce podeszło Tess do gardła z przedziwną akrobatyczną łatwością, a kiedy dwóch roześmianych chłopaków w szkolnych mundurkach wysiadło i pobiegło do sklepu, ucieszyła się, że tak zareagowała. Serce zdusiło jej krzyk, który w przeciwnym razie na pewno by z siebie wydała.

Czuła, że świat znowu zaczyna jej umykać, oparła na chwilę głowę o ścianę i usiłowała odzyskać oddech. Zamknęła oczy. Zobaczyła górującego nad nią olbrzyma z rękami w kieszeniach farmerek. Uniosła powieki. Wybrała numer zapisany na zakurzonej ścianie.

Przygotowała się na połączenie z automatyczną sekretarką lub ze znudzonym dyspozytorem, który jej powie, że nie ma wolnych samochodów, to oczywiste, przecież jest piątkowa noc, urodziła się pani głupia czy po prostu zgłupiała z wiekiem? Niemniej po drugim dzwonku w słuchawce rozległ się rzeczowy głos kobiety, która przedstawiła się jako Andrea. Wysłuchała Tess i powiedziała, że od razu wyślą samochód, a szofer będzie miał na imię Manuel. Tak, wiedziała dokładnie, skąd Tess dzwoni, bo bardzo często podstawiali samochody pod Stagger Inn.

– W porządku, ale mnie tam nie ma – odpowiedziała Tess. – Jestem na skrzyżowaniu około kilometra od...

– Tak, proszę pani, zrozumiałam – wtrąciła Andrea. – Gas and Dash. Czasami jeździmy i tam. Ludzie często dochodzą na stację i potem dzwonią, kiedy trochę za dużo wypiją. Zajmie to jakieś czterdzieści pięć minut, może nawet godzinę.

– Nie ma sprawy – odparła Tess. Łzy znowu popłynęły jej z oczu. Tym razem były to jednak łzy wdzięczności, choć powtarzała sobie, że nadal musi zachować czujność, bo w podobnych historiach nadzieje bohaterów często okazują się płonne. – Spokojnie poczekam. Będę na rogu przy automatach telefonicznych. I będę wypatrywała samochodu.

A teraz zapyta mnie, czy i ja nie wypięłam za dużo. Bo prawdopodobnie tak brzmiał mój głos.

Ale Andrea chciała jedynie wiedzieć, czy będzie płaciła kartą, czy gotówką.

– Karta American Express, numer powinien być w państwa komputerze.

– Tak, proszę pani, mam ją. Dziękuję za skorzystanie z Royal Limousine, gdzie każdego klienta traktujemy po królewsku. – Andrea rozłączyła się, zanim Tess zdążyła jej podziękować.

Odwieszała właśnie słuchawkę, gdy jakiś mężczyzna – on, to on! – wybiegł prosto na nią zza rogu sklepu. Tym razem nie miała szans na krzyk – sparaliżowało ją przerażenie.

Okazało się, że to jeden z nastolatków. Minał ją, nawet na nią nie spojrzął i wpadł do męskiej toalety. Drzwi trzasnęły. Chwilę potem usłyszała rażny, przypominający wodospad odgłos opróżniania zdrowego pęcherza.

Tess przeszła wzdłuż ściany budynku na jego tyły. Stała tam obok cuchnącego wysypiska (nie, pomyślała, ja nie stoję, ja się czaję), czekając, aż młodzieniec dokończy i zniknie. Kiedy to się stało, wróciła do automatów telefonicznych, by patrzeć na drogę. Mimo wielu obolałych miejsc na ciele, kiszki grały jej marsza z głodu. Nie zjadła obiadu, potem czas wypełnił jej gwałciiciel, który próbował ją zabić, więc o jedzeniu nie mogło być mowy. Z przyjemnością zjadłaby jedną z kanapek, jakie sprzedawano w miejscach takich jak to – skusiłaby się na obrzydliwe krakersy z masłem orzechowym, podejrzanie żółte, uznając je za przysmak – ale nie miała pieniędzy. Zresztą gdyby je miała, i tak nie weszłaby do środka. Wiedziała, jaki rodzaj oświetlenia stosują w przydrożnych sklepach typu Gas & Dash. Jasne i bezlitosne jarzeniówki, które nawet zdrowym ludziom nadają wygląd chorych na raka trzustki. Sprzedawca za ladą spojrzalby na jej posiniaczone policzki i czoło, złamany nos i spuchnięte wargi, i może nawet nic by nie powiedział, ale Tess spostrzegłaby jego oczy wielkie jak spodki. I może stłumione błyskawicznie drgnięcie ust. Bo, trzeba to przyznać, ludzie często myślą że pobita kobieta jest zabawna. Zwłaszcza w piątkową noc. „Kto podniósł na panią rękę i co pani zrobiła, żeby na to zasłużyć? Nie złościła się pani na jakiegoś faceta, który miło spędzał z panią czas?”.

To przypomniało jej dowcip, który gdzieś słyszała: „Dlaczego w Ameryce trzysta tysięcy kobiet jest bitych każdego roku? Bo, do kurwy nędzy, nie słuchają, co się do nich mówi”.

– Nie ma problemu – wyszeptała. – Zjem coś po powrocie do domu. Może sałatkę z tuńczyka.

Brzmiało nieźle, ale jakaś jej część nabrała przekonania, że dni jedzenia sałatki z tuńczyka – albo obrzydliwych żółtych krakersów z masłem orzechowym – należą do przeszłości. Wizja limuzyny, która podjeżdża i zabiera ją z tego koszmaru do domu, wydawała się obłąkańczą złudą.

Z lewej strony dochodził ją cichy warkot samochodów pędzących I-84 – trasą, którą by pojechała, gdyby tak chętnie nie skorzystała ze wskazanej krótszej drogi do domu. Tam po płatnej autostradzie jechali ludzie, których nikt nigdy nie zgwałcił ani nie wepchnął do przepustu. Tess pomyślała, że odgłos ich beztróskiego podróżowania to najsmutniejszy dźwięk na świecie.

Nadjechała limuzyna. Okazało się, że to lincoln town car. Mężczyzna za kierownicą wysiadł i rozejrzał się wokół. Tess bacznie mu się przyjrzała zza węgła sklepu. Miał na sobie ciemny garnitur. Niewysoki, w okularach, nie wyglądał na gwałciciela... ale przecież nie wszyscy giganci byli gwałcicielami i nie wszyscy gwałciciele byli olbrzymami. Niemniej musiała mu zaufać. Jeśli chciała wrócić do domu i nakarmić Fritzy'ego, nie miała innego wyboru. Wyrzuciła prowizoryczne okrycie za działającym automatem telefonicznym i ruszyła powoli, miarowym krokiem w stronę samochodu. Po czasie spędzonym w cieniu z boku budynku światło wylewające się przez szybę sklepu wydawało się oślepiająco jasne; poza tym wiedziała, jak wygląda jej twarz.

Zapyta, co mi się stało, a potem zaproponuje, że zawiezie mnie do szpitala.

Ale Manuel (który mógł widzieć znacznie gorsze rzeczy, co zresztą nie było niemożliwe) przytrzymał jedynie drzwiczki i powiedział:

– Witam panią w Royal Limousine. – Miał miękki hiszpański akcent, pasujący do jego oliwkowej skóry i ciemnych oczu.

– Gdzie jestem traktowana po królewsku – odezwała się Tess nowym, zachrypniętym głosem. Spróbowała się uśmiechnąć. Spuchnięte usta zabolaly.

– Tak, proszę pani. – I nic więcej. Niech Bóg błogosławi Manuela, który mógł widzieć straszniejsze rzeczy, może tam, skąd pochodził, może na tylnym siedzeniu tego właśnie samochodu. Kto wie, jakie tajemnice zna kierowca limuzyny? To było pytanie, które mogłoby posłużyć za podstawę dobrej książki. Nie jednej z tych, jakie ona pisała, to jasne... ale kto mógł wiedzieć, jakie książki mogłaby pisać po tym. Albo czy w ogóle jeszcze będzie pisała. Przeżycia z tego dnia mogły na jakiś czas wyprzeć z niej radość, jaką czerpała z pisania. Może nawet na zawsze. Trudno było powiedzieć.

Poruszając się jak staruszka z zaawansowaną osteoporozą, zajęła miejsce z tyłu. Kiedy już siedziała, a on zatrzasnął drzwi, oplotła palcami klamkę i nie spuszczała oka z szofera, by mieć pewność, że to on usiądzie za kierownicą, a nie olbrzym w farmerkach. W *Horrorze na Stagg Road 2* to byłby olbrzym: jeszcze jedno rżnięcie przed napisami końcowymi. Docień odrobinę ironii, to dobrze robi na krew.

Ale to Manuel wszedł do limuzyny. Oczywiście. Tess się odprężyła.

– Podano mi adres Primrose Lane dziewiętnaście w Stoke Village. Jest poprawy?

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć. Mimo że wycisnęła bezbłędnie numer karty telefonicznej, własny adres wyleciał jej z głowy.

Spokojnie, powiedziała do siebie w duchu. Już po wszystkim. To nie jest film grozy, tylko twoje życie. Przeżyłaś coś strasznego, ale masz to za sobą. Dlatego odpręż się.

– Tak, Manuelu, jest właściwy.

– Czy będzie pani chciała zatrzymywać się gdzieś po drodze, czy jedziemy prosto do pani? – To była uwaga najbliższej nawiązująca do tego, co musiał zobaczyć w świetle stacji benzynowej, kiedy Tess szła do limuzyny.

Jedynym szczęściem okazało się to, że nadal brała pigułki antykoncepcyjne – szczęściem i może świadectwem optymizmu, bo nie trafiało jej się zbyt wiele okazji, ot jedna na trzy lata, jeśli nie liczyć tego dnia – lecz dzisiaj akurat się jej skończyły, dlatego ucieszyła się, że sobie o tym przypomniała. Była pewna, że Manuel znajdzie gdzieś na trasie całodobową aptekę, kierowcy limuzyn na pewno wiedzą takie rzeczy, ale wątpiła, czy będzie w stanie wejść do apteki i poprosić o pigułkę wczesnoporonną. Jej twarz aż nazbyt wyraźnie świadczyłaby o tym, dlaczego jej potrzebuje. Istniał też, rzecz jasna, problem pieniędzy.

– Żadnych przystanków, proszę mnie zawieźć prosto do domu.

Wkrótce znaleźli się na I-84, zatłoczonej samochodami w piątkową noc. Tess zostawiła za sobą Stagg Road i opuszczony sklep. Zmierzała do własnego domu z systemem alarmowym i zamkami w drzwiach. A to było przyjemne.

17

Wszystko odbyło się tak, jak to sobie wyobrażała: przyjechali, dodała napiwek do rachunku, przeszła chodnikiem obsadzonym kwiatami (poprosiła Manuela, by zaczekał i oświetlał jej drogę reflektorami, dopóki nie wejdzie do środka), kiedy przesuwiała skrzynkę na listy, usłyszała miauczenie Fritzy’ego i zdjęła z haczyka zapasowy klucz. Potem znalazła się w domu, zaniepokojony Fritzy ocierał się o jej nogi, bo chciał, żeby go podniosła i pogłaskała, chciał, żeby go nakarmiła. Tess to zrobiła, ale najpierw zamknęła drzwi frontowe na klucz i po raz pierwszy od miesiący włączyła alarm antywłamaniowy. Kiedy na niewielkim zielonym wyświetlaczu nad klawiaturą zobaczyła napis: „Aktywny”, powoli zaczęła wracać do siebie. Spojrzała na zegar w kuchni i zdumiało ją, że jest dopiero dwudziesta trzecia piętnaście.

Kiedy Fritzy zjadał swój przysmak, sprawdziła drzwi na tylne podwórze i boczne patio, upewniając się, że są zamknięte. Potem okna. Gdyby coś było otwarte, na skrzynce rozdzielczej alarmu powinna znajdować się informacja, ale Tess nie ufała temu urządzeniu. Kiedy nabrała pewności, że wszystko jest zabezpieczone, poszła do szafy w holu i wyjęła stamtąd pudełko, które stało na górnej półce od tak dawna, że pokrywała je warstwa kurzu.

Pięć lat wcześniej zrobiło się głośno o włamaniach do domów w północnej części Connecticut i południowym Massachusetts. Niegrecznymi chłopcami okazywali się najczęściej narkomani, tkwiący w realiach lat osiemdziesiątych, przez co wielu fanów Nowej Anglii zaczęło nazywać ją Krainą OxyContinu. Mieszkańców ostrzegano, żeby byli

wyjątkowo ostrożni i przedsięwzięli „rozsądne środki zapobiegawcze”. Tess nie miała jasno sprecyzowanego stosunku do posiadania broni, nie była ani za, ani przeciw, niespecjalnie też się bała, że jakiś mężczyzna włamie się do jej domu (wtedy jeszcze nie), ale pistolet wydawał się idealnie pasować do definicji „rozsądnych środków zapobiegawczych”, a poza tym i tak chciała się nauczyć posługiwania bronią, bo było jej to potrzebne do kolejnej książki o „Wierzbinnie”. Zagrożenie włamaniem uznała za doskonałą okazję.

Poszła do sklepu Hartford, najlepiej ocenianego w Internecie, a tam sprzedawca namówił ją na smitha & wessona 38, model, który nazywał „wyciskaczem do cytryn”. Kupiła go przede wszystkim dlatego, że spodobała się jej ta nazwa. Polecił jej też dobrą strzelnicę na przedmieściach Stoke Village. Tess posłusznie się tam udała, kiedy dobiegł końca czterdziestoosmiodziesiętny okres czekania na pozwolenie i dostała broń do ręki. Podczas tygodniowego kursu wystrzeliła mniej więcej czterysta kul i na początku nawet ją to ekscytowało, ale szybko się znudziła. Od tamtej pory pistolet leżał w szafie razem z pięćdziesięcioma nabojami i pozwoleniem.

Załadowała broń, czując się lepiej – bezpieczniej – z każdą zapełnianą komorą. Położyła pistolet na blacie w kuchni i sprawdziła automatyczną sekretarkę. Była jedna wiadomość. Nagrała ją sąsiadka z mieszkania obok, Patsy McClain. „Nie widziałam dzisiaj światła u ciebie wieczorem, domyślałam się więc, że postanowiłaś zostać na noc w Chicopee. A może pojechałaś do Bostonu? W każdym razie posłużyłam się kluczem z za skrzynki na listy i nakarmiłam Fritzy’ego. Och, i położyłam pocztę na stole w holu. Przykro mi, ale to tylko reklamy. Zadzwoń do mnie, zanim wyjdę do pracy, jeśli wrócisz. Chcę jedynie wiedzieć, że dotarłaś bezpiecznie”.

– Hej, Fritzy – powiedziała Tess, pochylając się, żeby go pogłaskać. – Chyba załapałeś się dzisiaj na podwójną porcję. Bardzo sprytnie z two...

Zrobiło jej się ciemno przed oczami i gdyby nie złapała się kuchennego stołu, upadłaby jak długa na linoleum. Krzyknęła z zaskoczenia, ale zabrzmiało to słabo i jakby z daleka. Fritzy postawił uszy i posłał jej taksujące spojrzenie spod przymkniętych powiek. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że Tess nie upadnie (przynajmniej nie na niego), i wrócił do przerwanej drugiej kolacji.

Tess powoli stanęła, nadal trzymając się dla pewności stołu, i otworzyła lodówkę. Nie było tam sałatki z tuńczyka, ale znalazła twarożek z dżemem truskawkowym. Zjadła go z apetytem, wyskrobując z pudełka ostatnie drobiny. Ser był chłodny i delikatny dla jej obolałego gardła. Zresztą i tak nie przełknęłaby chyba mięsa. Nawet tuńczyka z puszki.

Napiła się soku jabłkowego prosto z butelki, beknęła, a potem powlokła się do łazienki na dole. Wzięła ze sobą broń, zakrzywiając palec na spuście, tak jak ją tego uczono.

Na półce nad umywalką stało owalne powiększające lustro, prezent gwiazdkowy od brata z Nowego Meksyku. Złotymi literami napisano nad nim słowa: „Jestem ładna”. Dawna Tess korzystała z niego, gdy wrywała brwi albo musiała szybko się umalować. Nowa Tess chciała

przyjrzeć się w nim swoim oczom. Nabiegły krwią, oczywiście, ale źrenice były normalnej wielkości. Zgasiła światło w łazience, policzyła do dwudziestu, włączyła je ponownie i przyjrzała się reakcji źrenic. Ta próba również wypadła dobrze. Prawdopodobnie nie było uszkodzeń czaszki. Może wstrząśnienie mózgu, lekkie wstrząśnienie mózgu, ale...

Skąd miałabym to wiedzieć? Mam licencjat z nauk humanistycznych Uniwersytetu Connecticut i zaawansowaną wiedzę, jak pisać kryminały, których bohaterkami są starsze panie, zajmujące się przez co najmniej jedną czwartą powieści wymianą przepisów kulinarnych, które ściągam z Internetu i zmieniam na tyle, by nie posądzono mnie o plagiat. Mogłabym w nocy zapaść w śpiączkę albo umrzeć z powodu krwotoku w mózgu. Znalazłaby mnie Patsy, kiedy następnym razem przyszłaby nakarmić kota. Potrzebna ci wizyta u lekarza, Tesso Jean. I wiesz o tym.

Ale wiedziała też, że jeśli poszłaby do swojego lekarza, jej nieszczęście stałoby się publiczną własnością. Lekarzy obowiązywała tajemnica, będąca częścią ich przysięgi, ale na takie wiadomości czekało sporo ludzi, choćby jakaś prawniczka, sprzątaczką czy pośredniczką handlu nieruchomościami. Istniała też możliwość, że Tess sama się z tym zdradzi. To nawet prawdopodobne. Ale wystarczy sobie przypomnieć, co spotkało Farrah Fawcett: ile pożywki miały brukowce, gdy jeden z pracowników szpitala zaczął paplać. Przecież i Tess słyszała plotki o chorobie psychicznej pisarza, który przez lata figurował na listach bestsellerów ze swoimi opowieściami o bohaterskich wyczynach. Co pikantniejszymi szczegółami podzielił się z Tess jej agent nie dawniej niż dwa miesiące wcześniej... a ona słuchała.

Nie skończyłam na słuchaniu, pomyślała, patrząc na swoje powiększone, zmaltretowane odbicie. Przy pierwszej okazji podzieliłam się tą plotką.

Nawet gdyby lekarz i jego personel nie wspomnieli słowem o autorce kryminałów, która została zgwałcona, pobita i okradziona w drodze powrotnej ze spotkania z czytelnikami, co z innymi pacjentami, którzy mogli ją zobaczyć w poczekalni? Dla niektórych nie byłaby po prostu kolejną kobietą o posiniaczonej twarzy, świadczącej o dotkliwym pobiciu; rozpoznałiby pisarkę, mieszkankę Stoke Village, wiesz którą, zrobili film o jej staruszkach tropiących przestępców, jakiś rok czy dwa lata temu puszczała go na kanale Lifetime, o mój Boże, powinnaś była ją zobaczyć.

Ostatecznie okazało się, że nos nie jest złamany. Aż nie mogła uwierzyć, że coś może tak boleć mimo braku złamania, kość jednak pozostała nienaruszona. Napuchnięty (oczywiście, biedulek) bolał, ale mogła nim oddychać. Na górze przechowywała vicodin, który powinien tymczasem wystarczyć do złagodzenia bólu. Ale miała też podbite oczy, opuchnięty policzek, a także siną obręcz wokół szyi. To było najgorsze, rodzaj naszyjnika, jaki człowiek może zyskać tylko w jeden sposób. Sińce, obtłuczenia i zadrapania widziała też na swoich plecach, nogach i pupie. Jednak rajstopy i ubranie skryją najgorsze zadrapanie.

Świetnie. Jestem poetką i nawet o tym nie wiem.

– Szyja... mogłabym nosić golf...

Absolutnie. Pogoda w październiku jest odpowiednia na noszenie golfa. Co do Patsy, powie, że spadła w nocy ze schodów i uderzyła się w twarz. Powie, że...

– Że usłyszałam jakiś hałas, a Fritzy zaplątał mi się między nogami, kiedy schodziłam po schodach, żeby to sprawdzić.

Fritzy usłyszał swoje imię i zamiauczał w drzwiach łazienki.

– I wyobraź sobie, walnęłam twarzą jak idiotka w słupek poręczy schodów na dole. Mogłabym nawet...

Nawet zrobić jakiś niewielki znak na słupku, pewnie, że mogłaby. Niewykluczone, że tłuczkiem do mięsa, który trzymała w szufladzie w kuchni. Nic przesadnego, jedno, dwa uderzenia, żeby odprysnęło trochę farby. Taka historyjka nie zwiodłaby lekarza (ani bystrej starszej pani w rodzaju Doreen Marquis, nestorki Kółka Robótek Ręcznych), ale naiwna Patsy McC da się nabrać, bo jej mąż przez dwadzieścia lat ich wspólnego życia nigdy nie podniósł na nią ręki.

– Nie chodzi o to, że jest coś, czego musiałabym się wstydzić – powiedziała do kobiety w lustrze. Do nowej Tess ze złamanym nosem i obrzmiałymi ustami. – Nie o to chodzi. – To prawda, ale gdyby wszyscy się o tym dowiedzieli, toby się wstydziła. Czułaby się goła. Naga ofiara.

Ale co z tamtymi kobietami, Tesso Jean? Z kobietami w przepuście?

Będzie musiała o nich porozmawiać, ale nie tej nocy. Teraz była zmęczona, obolała, sponiewierana na duszy.

Gdzieś głęboko w środku (w zakamarkach sponiewieranej duszy) czuła, jak narasta w niej zarzewie wściekłości na mężczyznę, który za to odpowiada. Na mężczyznę, przez którego znalazła się w takiej sytuacji. Spojrzała na leżącą obok umywalki broń, pewna, że gdyby tu był, użyłaby jej przeciw niemu bez wahania. Ta myśl sprawiła, że źle się poczuła. Ale równocześnie dodała jej trochę sił.

18

Wyszczzerbiła słupek przy schodach tłuczkiem do mięsa, ale była już tak zmęczona, że wydawało jej się, jakby robiła to jakaś inna kobieta w jej śnie. Obejrzała uszkodzenie, stwierdziła, że jest zbyt akuratne, dlatego stuknęła jeszcze lekko kilka razy wokół brzegów wgłębienia. Kiedy uznała, że wygląda już na coś, co mogła zrobić, uderzając bokiem twarzy – gdzie miała najgorsze sińce – weszła powoli na górę i ruszyła korytarzem. Cały czas trzymała broń w ręku.

Zawahała się przez chwilę przed drzwiami sypialni, które stały otworem. A jeśli on tam był? Skoro miał jej torebkę, miał też adres. Alarm antywłamaniowy nie był włączony do jej

powrotu (co za lekkomyślność!). Mógł zaparkować starego forda za rogiem. I sforsować zamek w drzwiach kuchennych. Prawdopodobnie wystarczyłby mu do tego łom.

Gdyby tu był, poczułabym jego zapach. Męski pot. I zastrzeliłabym go. Nie: „Kładź się na podłogę”, nie: „Trzymaj ręce w górze, a ja zadzwonię po policję”, nie, żadnych pierdół z filmu grozy. Zastrzeliłabym go po prostu. Ale wiecie, co najpierw bym powiedziała?

– Lubisz to, a to do ciebie pasuje – wychrypiała. Tak, właśnie to. Nie zrozumiałby, ale ona aż za dobrze wiedziałaby, co mówi.

Przekonała się, że chciałaby, aby czekał w jej pokoju. Oznaczało to, że nowa Tess jest bardziej niż tylko trochę szalona, ale co z tego? Pewnie wtedy wszystko wyszłoby na jaw, ale i tak byłoby warto. Gdyby go zastrzeliła, publiczne upokorzenie dałoby się znieść. No i nie zapominajmy o dobrej stronie! Sprzedaż prawdopodobnie by wzrosła!

Chciałabym zobaczyć przerażenie w jego oczach, kiedy zdałby sobie sprawę, że jestem zdeterminowana. To przynajmniej w jakimś stopniu wyrównałoby nasze rachunki.

Miała wrażenie, jakby całe wieki macała ręką w poszukiwaniu kontaktu na ścianie, i oczywiście nieustannie się spodziewała, że ktoś chwyci ją za palce. Ostrożnie zdjęła z siebie ubranie, raz tylko zanosząc się krótkim płaczem z bólu, gdy rozpięła spodnie i zobaczyła krew na włosach łonowych.

Pod prysznicem umyła miejsca, których mogła dotknąć bez bólu, i pozwoliła, by strumienie wody, tak gorącej, jak była w stanie znieść, opłukały resztę. Chciała pozbyć się jego zapachu ze swego ciała i stęchłej woni kawałka wykładziny. Potem usiadła na sedesie. Tym razem sikanie piekło mniej, ale ukłucie bólu, które ją przeszło, gdy usiłowała – bardzo delikatnie – wyprostować zdeformowany nos, sprawiło, że krzyknęła. No i co z tego? Nell Gwynne, słynna aktorka z epoki elżbietańskiej, miała skrzywiony nos. Tess była pewna, że gdzieś o tym czytała.

Włożyła flanelową piżamę i powlokła się do łóżka. Leżała przy zapalonych wszystkich światłach, z „wyciskaczem do cytryn” kalibru 38 na szafce nocnej, myśląc, że już nigdy nie zaśnie, że jej rozpalona wyobraźnia zmieni każdy dźwięk z ulicy w sygnał zbliżania się olbrzyma. Ale wtedy Fritzy wskoczył na łóżko, zwinął się obok niej w kłębek i zaczął mruzczyć. Poczula się lepiej.

Jestem w domu, pomyślała. Jestem w domu, jestem w domu, jestem w domu.

19

Kiedy się obudziła, światło wpadające przez okno dowodziło niezbicie, że jest szósta rano. Parę rzeczy trzeba było zrobić, podjąć kilka decyzji, ale przez chwilę wystarczyło jej, że żyje i leży we własnym łóżku, a nie tkwi wepchnięta do przepustu.

Tym razem siusiała prawie normalnie i nie krwawiła. Weszła pod prysznic, puściła

gorącą wodę, zamknęła oczy i wystawiła na jej działanie zboląłą twarz. Gdy uznała, że już wystarczy, nalała na włosy szamponu, a potem wolno i metodycznie wymasowała głowę palcami, omijając bolące miejsca, w które musiał ją uderzyć. W pierwszej chwili głębokie zadrapanie na plecach zapiekło, ale to szybko minęło, a ona poczuła rodzaj błogości. W ogóle zapomniała o scenie pod prysznicem z *Psychozy*.

Pod prysznicem, w otoczeniu przypominającym łono matki, zawsze najlepiej się jej myślało i jeśli kiedykolwiek musiała dobrze się zastanowić, to był właśnie ten moment.

Nie chcę iść do doktora Hedstroma i wcale tego nie potrzebuję. To przesądzone. Choć później – może po paru tygodniach, kiedy moja twarz będzie wyglądała mniej więcej normalnie – będę musiała zrobić sobie badania na obecność chorób wenerycznych...

– Nie zapomnij o teście na AIDS – powiedziała i uświadomienie sobie tego wywołało na jej twarzy taki grymas, że zaboląły ją usta. To była przerażająca myśl. Niemniej test trzeba będzie zrobić. Dla własnego spokoju. Ale to wszystko nijak się miało do tego, co uznała tego ranka za sprawę najważniejszą. To, czy robi, czy nie, jakiś użytek z faktu, że padła ofiarą przemocy, było jej prywatną sprawą, ale nie dotyczyło to kobiet w przepustnicy. One straciły znacznie więcej niż ona. I co z kolejną kobietą, którą olbrzym zaatakuje? Bo to, że będzie następna, nie budziło jej wątpliwości. Może nie za miesiąc, może nawet nie za rok, ale będzie na pewno. Kiedy wyłączyła wodę, uświadomiła sobie (znowu), że mogłaby to być nawet ona, gdyby poszedł do przepustu i przekonał się, że stamtąd zniknęła. Podobnie jak jej ubranie zniknęło ze sklepu. Jeśli przeszukał torebkę, a najprawdopodobniej to zrobił, miał teraz jej adres.

– I moje brylantowe kolczyki – powiedziała, odkręcając wodę i nachylając głowę, by lepiej splukać szampon. – Pierdolony zboczeniec ukraść mi kolczyki.

Nawet jeśli przez jakiś czas będzie się trzymał z dala od przepustu, ją z tymi kobietami łączyła pewna więź. Czuła się za nie odpowiedzialna i nie powinna ich tak zostawić tylko dlatego, że jej zdjęcie mogłoby się ukazać na okładce „Inside View”.

W łagodnym świetle ranka w Connecticut rozwiązanie wydawało się śmiesznie proste: anonimowy telefon na policję. To, że jako zawodowa pisarka z dziesięcioletnim doświadczeniem nie pomyślała o tym od razu, kwalifikowało ją do żółtej kartki. Poda im lokalizację – opuszczony sklep „Lubisz to, a to do ciebie pasuje” przy Stagg Road – i opisz olbrzyma. Jak trudno byłoby odnaleźć tego człowieka? Albo niebieski pick-up ze szpachlówką wokół reflektorów?

Bułka z masłem.

Ale kiedy suszyła włosy, jej wzrok padł na „wyciskacz do cytryn” 38 i pomyślała: Za łatwo. Bo...

– Co ja będę z tego miała? – spytała Fritzy’ego, który siedział w drzwiach i wpatrywał się w nią wielkimi zielonymi oczami. – No właśnie, co ja będę z tego miała?

Półtorej godziny później stała w kuchni. Miseczka po płatkach zbożowych moczyła się w zlewie. Druga filiżanka kawy stygła na blacie. Tess rozmawiała przez telefon.

– Och, mój Boże! – zawołała Patsy. – Zaraz przyjdę!

– Nie, nie, nic mi nie jest, Pats. I spóźnisz się do pracy.

– W sobotę mogę przyjść, kiedy zechcę, a ty powinnaś pójść do lekarza! Możesz przecież mieć na przykład wstrząśnienie mózgu!

– Nie mam żadnego wstrząśnienia mózgu, tylko inny kolor. I wstydziłabym się iść do lekarza, bo wypiałam trzy drinki ponad normę. Co najmniej trzy. Jediną sensowną rzeczą, jaką wczoraj zrobiłam, było zamówienie limuzyny, która odwiozła mnie do domu.

– Jesteś pewna, że nie złamałaś nosa?

– Absolutnie. – Cóż... prawie absolutnie.

– Z Fritzem wszystko w porządku?

Tess wybuchnęła idealnie szczerym śmiechem.

– Schodzę po schodach, ciągle pijana w środku nocy, bo detektor dymu zaczął brzęczeć, następuję na kota i niemal się zabijam, a ty niepokoisz się o niego. Nieźle.

– Kochanie, ja...

– Drażnię się z tobą – powiedziała Tess. – Idź do pracy i przestań się zamartwiać. Nie chcę po prostu, żebyś narobiła wrzasku na mój widok. Mam cudownie podbite oczy. Gdybym miała jakiegoś byłego męża, pewnie byś pomyślała, że mnie odwiedził.

– Nikt nie śmiałby podnieść na ciebie ręki – oznajmiła Patsy. – Jesteś zadziorna, dziewczyno.

– Masz rację – odparła Tess. – Nie dam sobie w kaszę dmuchać.

– Jesteś zachrypnięta.

– No bo jakby tego było mało, chyba się przeziębiam.

– Cóż... gdybyś dzisiaj wieczorem czegoś potrzebowała... mam rosół... kilka starych tabletek oksykodonu... DVD z Johnnym Deppem...

– Zadzwoń, jeśli będę w potrzebie. A teraz już idź. Kobiety śledzące modę, szukające nieosiągalnego rozmiaru sześć Ann Tylor, oczekują twojej pomocy.

– Odpieprz się, babo – odpowiedziała Patsy i śmiejąc się, odłożyła słuchawkę.

Tess przeniosła kawę na stół w kuchni. Obok cukiernicy leżał na nim pistolet. Spojrzała i zobaczyła go podwójnie, bo znowu płakała. Łzy wywołało wspomnienie jej własnego beztróskiego głosu. Dźwięk kłamstwa, którym odtąd będzie żyła, aż zacznie uważać je za prawdę.

– Ty bydlaku! – krzyknęła. – Ty pierdolony bydlaku! Nienawidzę cię!

W niecałe siedem godzin brała prysznic dwa razy i mimo to nadal czuła się brudna. Zrobiła sobie irygację, ale nadal wydawało się jej, że go w sobie czuje, jego...

Jego śluz z kutasa.

Zauważywszy kątem oka, jak zaniepokojony kot przebiega przez frontowy hol, zerwała się z krzesła na równe nogi i znalazła przy zlewie, zanim narobiła bałaganu na podłodze. Zwróciła kawę i płatki śniadaniowe w jednym bolesnym skurczu. Kiedy nabrała pewności, że nie będzie więcej wymiotować, zabrała pistolet i poszła na górę wziąć kolejny prysznic.

21

Kiedy skończyła mycie, owinęła się miękkim frotowym ręcznikiem, a potem położyła na łóżku. Zastanawiała się, skąd mogłaby wykonać anonimowy telefon. Najlepsze byłoby jakieś duże i ruchliwe miejsce z parkingiem, gdzie mogłaby się rozłączyć i zniknąć. Pasaż handlowy w Stoke Village wydawał się odpowiedni. Pozostawało jeszcze pytanie, dokąd zadzwonić. Na posterunek w Colewich – czy jednak nie będzie to zbyt grubymi nićmi szyte? Może lepiej do policji stanowej. I powinna sobie zapisać, co powie... połączenie będzie krócej trwało... i zmniejszy się prawdopodobieństwo, że o czymś zapom...

Tess odpłynęła, leżąc na łóżku w snopie słonecznego światła.

22

Telefon dzwonił gdzieś w dali, w jakimś przyległym wszechświecie. Potem sygnał zamilkł, a Tess usłyszała własny głos, uprzejme, beznamienne nagranie, zaczynające się od: „Tu numer...”. Po czym następowała prośba o zostawienie wiadomości. Kobieta. Dzwoniąca odłożyła słuchawkę, zanim Tess całkiem się rozbudziła.

Spojrzała na budzik stojący na szafce nocnej i przekonała się, że jest za piętnaście dziesiąta. Zatem przespała kolejne dwie godziny. Zaniepokoiła się tym: może naprawdę doznała wstrząśnienia mózgu albo urazu czaszki. Za chwilę jednak się odprężyła. Poprzednia noc była bardzo wyczerpująca fizycznie. Choć wiele z tego wysiłku zapadło jej w pamięć jako coś wyjątkowo nieprzyjemnego, to jednak zużyła sporo energii. Ponowne zaśnięcie było czymś naturalnym. Może powinna zdrzemnąć się również po południu (po kolejnym prysznicu, który stał się obowiązkowy), ale najpierw musiała coś załatwić. Spełnić swój obowiązek.

Włożyła długą tweedową spódnicą i golf, który właściwie był na nią za duży, bo zakrywał jej dół podbródka. Ale Tess to nie przeszkadzało. Siniaki na policzku zatuszowała korektorem. Nie do końca jej się to udało, podobnie jak największe okulary przeciwsłoneczne nie zdołały skutecznie ukryć podbitych oczu (opuchnięte usta były od początku przegraną sprawą), ale makijaż pomógł jak zawsze. Nakładając go, poczuła się bardziej zakotwiczona we własnym życiu. Odzyskiwała nad nim kontrolę.

Już na dole nacisnęła klawisz automatycznej sekretarki, myśląc, że najpewniej to Ramona Norville dzwoniła, żeby zwyczajowi stało się zadość: świetnie się bawiliśmy, mam nadzieję, że ty też, reakcja sali była fantastyczna, proszę nas znowu odwiedzić (chyba w drugim życiu), bla, bla, bla. Ale to nie była Ramona. Wiadomość nagrała kobieta, która przedstawiła się jako Betsy Neal. Oznajmiła, że dzwoni ze Stagger Inn.

– Staramy się zniechęcać klientów do prowadzenia po pijanemu i dlatego zawsze dzwoniemy do ludzi, którzy zostawili samochód na naszym parkingu już po zamknięciu – powiedziała Betsy Neal. – Pani ford expedition, z tablicą rejestracyjną z Connecticut siedem siedem pięć en es de, jest do odebrania dzisiaj do siedemnastej. Po siedemnastej będzie odholowany do warsztatu Excellent Auto Repair przy John Higgins Road tysiąc pięćset w północnym Colewich, na pani koszt. Proszę też pamiętać, że nie mamy pani kluczyków. – Przerwała na chwilę. – Mamy też coś, co należy do pani, dlatego proszę zgłosić się do biura. Z tego powodu powinna mieć pani ze sobą jakiś dowód tożsamości. Dziękuję i życzę miłego dnia.

Tess usiadła na sofie i roześmiała się. Zanim wysłuchała nagranych na taśmie głosu Betsy Neal, planowała, że pojedzie swoim fordem do pasażu handlowego. Nie miała torebki, nie miała kluczyków, nie miała tego cholernego samochodu, mimo to nadal myślała, że po prostu wyjdzie z domu na podjazd, wsiądzie i...

Oparła się plecami o poduszkę, waląc się pięścią po udzie. Fritzy siedział pod fotelem po drugiej stronie pokoju i patrzył na nią jakby straciła rozum.

Wszyscy jesteśmy tu wariatami, więc zrób sobie kolejną herbatę, pomyślała i roześmiała się głośniejsz niż kiedykolwiek.

Kiedy wreszcie przestała się śmiać (co bardziej przypominało spadanie w przepaść), ponownie odtworzyła wiadomość. Tym razem skoncentrowała się na tym, co Neal mówiła o innych rzeczach, które do niej należały. Torebka? Może nawet brylantowe kolczyki? To byłoby jednak zbyt piękne, żeby okazało się prawdziwe. Czyżby?

Zjawienie się w Stagger Inn czarną limuzyną prawdopodobnie zbyt rzuciłoby się w oczy, dlatego zadzwoniła do firmy taksówkowej w Stoke Village. Dyspozytor powiedział, że chętnie zawiozą ją do Staggera, jak się wyraził, za równe pięćdziesiąt dolarów.

– Przepraszam, że muszę dać pani taką wysoką cenę – dodał – ale kierowca będzie wracał na pusto.

– Skąd ta pewność? – zapytała speszona.

– Zostawiła tam pani samochód, prawda? To się zdarza przez cały czas, a zwłaszcza w weekendy. Chociaż mamy też zamówienia po czwartkowych wieczorach, kiedy jest tam karaoke. Taksówka będzie u pani najpóźniej za piętnaście minut.

Tess zjadła herbatnika (z trudem przelękając, ale straciła pierwszy posiłek i zrobiła się głodna), a potem stała przy oknie w salonie, wypatrując taksówki i podrzucając w rękę zapasową parę kluczyków do expedition. Zdecydowała się na zmianę planów. Co tam pasaż

handlowy w Stoke Village! Jak tylko odbierze samochód (i cokolwiek jeszcze miała dla niej Betsy Neal), pojedzie na stację benzynową Gas & Dash, oddaloną o mniej więcej kilometr, i stamtąd zadzwoni na policję.

23

Kiedy taksówka zjechała na Stagg Road, puls Tess przyśpieszył. Dotarłszy do Stagger Inn, miała wrażenie, że bije on z częstotliwością stu trzydziestu uderzeń na minutę. Taksówkarz musiał coś zauważyć we wstecznym lusterku... a może zaniepokoiły go widoczne ślady pobicia, bo spytał:

– Dobrze się pani czuje?

– Świetnie – odpowiedziała. – Po prostu nie miałam w planach na dzisiejszy ranek powrotu do tego miejsca.

– Mało kto to planuje – skomentował. Ssał wykałaczkę, którą przesuwiał wolno, w niemal filozoficznej zadumie, z jednego kącika usta do drugiego. – Domyślam się, że mają pani kluczyki? Zostawiła je pani u barmana?

– Och, nie zawracałabym im głowy – odrzekła wesoło. – Ale mają coś, co do mnie należy. Kobieta, która dzwoniła, nie powiedziała, co to jest, a ja za żadne skarby świata nie potrafię odgadnąć, o co chodzi.

Dobry Boże, mówię jak jedna z moich starszerek tropicielek zbrodni!

Taksówkarz przesunął wykałaczkę w drugi kącik ust. To była jego jedyna reakcja.

– Zapłacę panu dodatkowo dziesięć dolarów, jeśli zaczeka pan na mnie, aż stamtąd wyjdę – powiedziała, wskazując głową przydrożny zajazd. – Chcę się upewnić, że mój samochód ruszy.

– Nie ma problemu – odparł taksiarz.

A gdybym zaczęła krzyczeć, bo on tam będzie na mnie czekał, to przybiegniesz, okay?

Nie powiedziałyby tego jednak, nawet gdyby udało się jej wyartykułować te słowa bez robienia z siebie kompletnej wariatki. Taksówkarz był gruby, po pięćdziesiątce i chrapliwie oddychał. I jeśli okazałoby się, że to pułapka, nie dałby rady olbrzymowi... tak właśnie byłoby w filmie grozy.

Zwabiona z powrotem, pomyślała Tess ponuro. Zwabiona telefonem od dziewczyny olbrzyma, tak samo obłąkanej jak on.

Głupi, paranoiczny pomysł. Droga do Stagger Inn wydawała jej się bardzo długa, obcasy stukały głośno na ubitej ziemi: stuk-stuk-stuk. Na parkingu, gdzie poprzedniego dnia wszystkie miejsca wydawały się zajęte, teraz stały jedynie cztery samochody, wśród nich jej ford expedition. Ustawiono go na samym końcu – no jasne, nie chciał, żeby ktoś widział, jak go tam zostawia – ale spostrzegła lewą przednią oponę. Była to zwykła, stara czarna opona,

niepasująca do pozostałych trzech, poza tym wszystko wyglądało normalnie. Zmienił oponę. Oczywiście, że tak. Jak inaczej mógłby odjechać ze swego... swego...

Miejsca rozrywki. Swojej strefy zabijania. Podjechał tu, zaparkował, wrócił do opuszczonego sklepu i potem odjechał starym pick-upem. Dobrze, że nie pojawiłam się tutaj wcześniej. Gdybym kręciła się w pobliżu, oszołomiona, znalazłby mnie i teraz moja noga by tu nie powstała.

Spojrzała za siebie przez ramię. W jednym z filmów, o którym nie potrafiła przestać myśleć, powinna zobaczyć pośpiesznie odjeżdżającą taksówkę (zostawiającą mnie mojemu losowi), ale samochód z taksówkarzem stał na miejscu. Uniosła rękę w jego stronę, odpowiedział jej tym samym. Dobrze się czuła. Był tu jej samochód, a nie było olbrzyma. Olbrzym siedział we własnym domu (swojej kryjówce) i całkiem prawdopodobne, że ciągle jeszcze odsypiał wysiłek z poprzedniej nocy.

Tabliczka przy wejściu głosiła: „Zamknięte”. Tess zapukała, ale nie było żadnej reakcji. Spróbowała obrócić gałkę przy drzwiach, a kiedy to się udało, złowieszcze fabuły filmów pobudziły jej wyobraźnię. W naprawdę głupich filmach, w których taka gałka u drzwi zawsze daje się przekręcić, bohaterka woła wtedy (drżącym głosem): „Czy ktoś tu jest?”. Wszyscy wiedzą, że chyba straciła rozum, by tam wchodzić, ale ona i tak wchodzi.

Tess ponownie spojrzała na taksówkę, przekonała się, że nadal na nią czeka, powtórzyła w myślach, że ma przy sobie w torebce naładowany pistolet, i po prostu weszła.

24

Znalazła się w foyer ciągnącym się na całą długość budynku, od strony parkingu. Ściany zdobiły zdjęcia: zespoły muzyczne w skórach, zespoły muzyczne w dżinsach, dziewczęce zespoły w minispódniczkach. Dodatkowy bar ustawiono za wieszakami na ubrania. Żadnych stołków, po prostu poręcz, przy której się stało, czekając na kogoś albo dlatego, że bar w środku był zbyt zatłoczony. Ponad rzędem butelek świecił się pojedynczy czerwony neon: „Budweiser”.

Lubisz buda, a bud do ciebie pasuje, pomyślała Tess.

Zdjęła ciemne okulary, żeby o nic się nie potknąć, i przeszła przez foyer, by zajrzeć do głównej sali. Była przestronna i pachniało w niej piwem. Wisiała tam lustrzana kula dyskotekowa, teraz ciemna i nieruchoma. Drewniana podłoga skojarzyła jej się z areną do jazdy na wrotkach, gdzie szalała z przyjaciółkami przez całe lato pomiędzy dziewiątą klasą a liceum. Na estradzie nadal stały instrumenty muzyczne, sugerujące, że Piekarze Zombie wrócą tu dziś wieczorem na kolejny szalony rockandrollowy występ.

– Halo? – Jej głos odbił się echem.

– Jestem tutaj. – Rozległ się cichy głos za jej plecami.

Gdyby to był mężczyzna, Tess na pewno by krzyknęła. Zdołała stłumić w sobie ten odruch, ale odwróciła się na tyle szybko, że ledwie zachowała równowagę. Kobieta stojąca we wgłębieniu szatni – maleńka, nie wyższa niż metr sześćdziesiąt – zamrugała rzęsami, zaskoczona, i cofnęła się o krok.

– Spokojnie – powiedziała.

– Przestraszyła mnie pani – opowiedziała Tess.

– Na to wygląda. – Małą idealnie owalną twarz kobiety otaczała chmura natapirowanych czarnych włosów. Wystawał z nich ołówek. Miała zmysłowe niebieskie oczy, które nie do końca pasowały do reszty. Dziewczyna Picassa, pomyślała Tess.

– Byłam w biurze. Pani jest właścicielką expedition czy hondy?

– Expedition.

– Ma pani jakiś dowód tożsamości?

– Tak, dwa, ale tylko jeden ze zdjęciem. Paszport. Reszta była w mojej torebce. Drugiej torebce. Pomyślałam, że może właśnie ją pani ma.

– Przykro mi, ale nie. Może wepchnęła ją pani pod siedzenie albo coś w tym rodzaju? Sprawdzamy jedynie schowek na rękawiczki, ale, rzecz jasna, gdy samochód jest zamknięty, nie możemy zrobić nawet tego. Pani nie był, poza tym numer pani telefonu jest napisany na nalepce z ubezpieczeniem. Ale to pewnie pani wie. Może zostawiła pani torebkę w domu. – Głos Neal sugerował, że to jej zdaniem raczej nie wchodzi w rachubę. – Jeden dowód tożsamości ze zdjęciem wystarczy, jeśli wygląda pani na nim podobnie.

Zaprowadziła Tess do drzwi na tyłach szatni, a potem poszły wąskim, zakrzywiającym się korytarzem otaczającym główną salę. Na ścianach wisiało tu więcej zdjęć zespołów. W którymś momencie przeszły przez silne opary chloru, które podrażniły oczy i gardło Tess.

– Jeśli wydaje się pani, że teraz ubikacja cuchnie, powinna pani tu zajrzeć, kiedy kibel się przelewa – powiedziała Neal i dodała: – Och, zapomniałam... pani tu była.

Tess nie skomentowała.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi z tabliczką: „Tylko dla personelu”. Pokój za nimi był duży, ładny i wypełniony porannym słońcem. Na ścianie, nad naklejką na zderzak z napisem: „Tak, możemy”, wisiało oprawione zdjęcie Baracka Obamy. Tess nie widziała stąd taksówki – zasłaniał ją budynek – ale dostrzegła jej cień.

To dobrze. Zostań, gdzie jesteś, to dostaniesz te swoje dziesięć dolców. A jeśli stąd nie wyjdę, nie wchodź tutaj. Zadzwoń po prostu na policję.

Neal zbliżyła się do stojącego w rogu biurka i usiadła.

– Zobaczmy pani dowód.

Tess otworzyła torebkę, pogrzebała w niej obok trzydziestkiósemki, a potem wyjęła paszport i legitymację związku pisarzy. Neal zerknęła jedynie na fotografię w paszporcie, ale kiedy zobaczyła legitymację, jej źrenice się rozszerzyły.

– Pani jest autorką *Wierzbiny*!

Tess zmusiła się do uśmiechu. Usta ją zabolowały.

– Winna zarzucanego czynu. – Jej głos brzmiał niewyraźnie, jakby miała silne przeziębienie.

– Moja babcia uwielbia te książki!

– Wiele babć je lubi – odpowiedziała Tess. – Jednak dopiero wtedy, kiedy ten entuzjazm podzieli wreszcie następne pokolenie... to, które jeszcze nie ma stałych dochodów... kupię sobie posiadłość we Francji.

Czasami wywoływało to uśmiech u ludzi. Ale nie u pani Neal.

– Mam nadzieję, że to nie stało się tutaj. – Nie wchodziła w szczegóły i nie musiała. Tess wiedziała, czego to dotyczyło, a Betsy Neal wiedziała, że ona się domyśla.

Tess zastanowiła się, czy nie poczęstować jej historyjką, którą sprzedała Patsy – brzęczenie detektora dymu, kot płaczący się między nogami, zderzenie ze słupkiem balustrady – ale postanowiła nie zawracać sobie tym głowy. Ta kobieta wyglądała na zatrudnianą w ciągu dnia i prawdopodobnie w miarę możliwości unikała wizyt w Stagger Inn, gdy byli tam goście, na pewno też nie miała złudzeń, co czasami się tu działo, gdy pora stawała się coraz późniejsza, a towarzystwo coraz bardziej pijane. Przecież to ona przychodziła w sobotnie ranki, żeby dzwonić do klientów. I wysłuchiwała nazajutrz po zabawie opowieści o potknięciu się w ciemności, poślizgnięciu pod prysznicem i tak dalej, i tak dalej.

– Nie tutaj – odpowiedziała Tess. – Proszę nie zwracać na to uwagi.

– Nawet nie na parkingu? Jeśli to tam spotkały panią kłopoty, będę musiała poprosić pana Rumbie'a, żeby porozmawiał z ochroną. Pan Rumbie jest szefem, a w te noce, kiedy jest tłum gości, ochroniarze powinni regularnie sprawdzać monitory.

– To się stało, kiedy już stąd wyszłam.

Naprawdę muszę zgłosić to anonimowo, jeśli w ogóle mam dzwonić na policję. Bo teraz kłamię, a ona to zapamięta. A w ogóle chciała to zgłosić? Oczywiście, że tak. Prawda?

– Bardzo mi przykro. – Neal przerwała i najwyraźniej rozważała coś w myślach. A potem powiedziała: – Nie chciałabym pani urazić, ale chyba trzeba zacząć od tego, że takie miejsca jak to nie są dla pani. Skończyło się nie najlepiej i gdyby gazety się o tym dowiedziały... cóż, moja babcia byłaby bardzo rozczarowana.

Tess się z nią zgadzała. A ponieważ koloryzowanie nie sprawiało jej żadnego problemu (doskonaliła tę umiejętność od dziesięciu lat), wykorzystwała ten talent.

– Zły facet jest gorszy od węża. Tak chyba napisano w Biblii. A może to z *Doktora Phila*. Zerwałam z nim w każdym razie.

– Mnóstwo kobiet tak mówi, a potem mięknie. A facet, który raz to zrobił...

– Zrobi to znowu. Tak, wiem, byłam strasznie głupia. A skoro nie ma pani mojej torebki, to co pani ma?

Pani Neal okręciła się na obrotowym krześle (słońce przez chwilę oświetliło jej twarz, potęgując niezwykłość niebieskich oczu), otworzyła jedną z szafek i wyjęła Toma TomToma. Tess ucieszyła się na widok starego przyjaciela podróży. Nie rozwiązywał wprawdzie wszystkich jej problemów, stanowił jednak krok we właściwym kierunku.

– W zasadzie nie powinniśmy niczego wyjmować z samochodów klientów, mamy jedynie spisać numer telefonu i adres, jeśli to możliwe, a potem zamknąć wóz, ale nie chciałam tego zostawiać. Złodziej nie zawaha się przed wybiciem szyby, żeby zwinąć kuszący przedmiot, a to leżało na desce rozdzielczej.

– Dziękuję. – Tess stłumiła łzy napływające jej do oczu za ciemnymi okularami. – To było bardzo rozsądne.

Betsy Neal uśmiechnęła się, a jej twarz o rzeczowym wyrazie pojaśniała w jednej chwili.

– Proszę bardzo. A kiedy ten pani facet wróci na kolanach i będzie błagał o drugą szansę, proszę pomyśleć o mojej babci i wszystkich wiernych czytelniczkach i powiedzieć mu: zapomnij o mnie, Jose. – Zamyśliła się na moment. – Ale niech to pani mówi przez drzwi zamknięte na łańcuch. Bo zły facet jest naprawdę gorszy od węża.

– To dobra rada. Proszę posłuchać, muszę iść. Poprosiłam taksówkarza, żeby poczekał, aż się upewnię, że naprawdę odbiorę swój samochód.

I na tym w zasadzie sprawa mogłaby się zakończyć – naprawdę mogłaby – ale Neal zapytała, nagle bardzo nieśmiało, czy Tess nie dałaby jej autografu dla babci. Tess, rzecz jasna, od razu się zgodziła i wbrew wszystkiemu, co się stało, patrzyła z rozbawieniem, jak Neal szuka papieru firmowego, za pomocą linijki oddziera skrawek z logo Stagger Inn i podaje jej przez biurko.

– Proszę napisać: „Dla Mary, prawdziwej fanki?”. Może pani?

Tess mogła. A kiedy dopisywała datę, wpadła na zupełnie nowy pomysł.

– Kiedy mój facet i ja... wie pani... szarpaliśmy się, pomógł mi jakiś mężczyzna. Gdyby nie on, mogłabym oberwać znacznie gorzej.

Tak, może nawet by mnie zgwałcił!

– Chciałabym mu podziękować, ale nie znam jego nazwiska.

– Chyba nie na wiele się pani przydam w tej sprawie. Pomagam jedynie w biurze.

– Ale pochodzi pani stąd, prawda?

– Tak...

– Spotkałam go w opuszczonym sklepie przy drodze.

– Gas and Dash?

– Chyba to ta nazwa. To właśnie tam pokłóciłam się ze swoim chłopakiem. Poszło o samochód. Nie chciałam prowadzić ani jemu na to pozwolić. Sprzeczałyśmy się o to całą

drogę do... wręcz się zataczaliśmy... zataczaliśmy się na szosie... na Stagg Road...

Neal uśmiechnęła się jak ktoś, kto po raz kolejny słucha tego samego dowcipu.

– W każdym razie tamten facet nadjechał niebieskim pick-upem z jakimś plastikiem przeciwko rdzy wokół reflektorów...

– Szpachlówką?

– Wydaje mi się, że tak to się nazywa. – Dobrze wiedziała, jak się to nazywa. Jej ojciec niemal sam utrzymywał firmę produkującą taki towar. – Nieważne, pamiętam, jak wysiadł, pomyślałam, że on nie jeździ tym samochodem, ale raczej nosi go na sobie.

Kiedy oddawała nad biurkiem podpisaną kartkę papieru, spostrzegła, że Betsy Neal się uśmiecha.

– Och, Boże, chyba wiem, kto to był.

– Naprawdę?

– Był wielki czy naprawdę wielki?

– Naprawdę wielki – odpowiedziała Tess. Odczuła szczególny rodzaj zadowolenia, które zdawało się ulokowane nie w głowie, ale pośrodku klatki piersiowej. Podobnego wrażenia doświadczała, gdy wątki skomplikowanej fabuły zaczynały splatać się w jedno i zaciskać niczym brzegi zamykanej torby. Kiedy tak się działo, zawsze była jednocześnie zaskoczona i niezaskoczona. Żadnej satysfakcji nie da się z tym porównać.

– Zauważyła pani może, czy miał sygnet na małym palcu? Z czerwonym kamieniem?

– Tak! Wyglądał jak rubin! Stanowczo za duży, żeby mógł być prawdziwy. I nosił brązową czapkę...

Neal kiwała głową.

– Z białymi plamami. Nosi tę cholerną czapkę od dziesięciu lat. Mówi pani o Wielkim Kierowcy. Nie wiem, gdzie mieszka, ale jest tutejszy. Może w Colewich albo w Nestor Falls. Widuję go w supermarkecie, w sklepie z narzędziami, Wal-Marcie i podobnych miejscach. Wystarczy, że raz się go zobaczy, i już się go nie zapomni. Naprawdę nazywa się Al Coś-tam-polskie. Wie pani, jedno z tych nazwisk, które trudno wymówić. Strelkowicz, Stancowicz, coś w tym rodzaju. Na pewno da się go znaleźć w książce telefonicznej, bo prowadzi z bratem firmę przewozową. Chyba nazywa się Sokół. A może Orzeł. Chce pani, żebym to sprawdziła?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Tess uprzejmie. – Wystarczająco mi pani pomogła, a mój taksówkarz czeka.

– W porządku. Proszę jednak zrobić samej sobie przysługę i trzymać się z dala od tego swojego faceta. I z dala od Stagger Inn. Oczywiście jeśli to pani komuś powtórzyła, musiałabym panią odszukać i zabić.

– Zgoda – odpowiedziała Tess z uśmiechem. – Zasługiwałabym na to. – Już w drzwiach się obróciła. – Przysługa?

– To znaczy?

– Gdyby przypadkiem natknęła się pani w mieście na Ala Coś-tam-polskie, proszę mu nie

wspominać o naszej rozmowie. – Uśmiechnęła się szerzej. Zdobyła się na to, choć bolały ją usta. – Chciałabym mu zrobić niespodziankę. Podarować coś, czy ja wiem...

– Nie ma problemu.

Tess zwlekała z odejściem.

– Ogromnie mi się podobają pani oczy.

Neal wzruszyła ramionami.

– Dziękuję. Niezbyt dobrze do mnie pasują prawda? Kiedyś wprawiały mnie w zakłopotanie, ale teraz...

– Teraz działają na pani korzyść – powiedziała Tess. – Są pani znakiem firmowym.

– Chyba tak. Mając dwadzieścia lat, pracowałam nawet jako modelka. Ale czasami... wie pani co? Nie każdy nasz znak firmowy działa na naszą korzyść. Na przykład upodobanie do mężczyzn o wybuchowym charakterze.

Na to Tess nie miała żadnej odpowiedzi.

26

Upewniwszy się, że expedition da się uruchomić, dała taksówkarzowi nie dziesięć, ale dwadzieścia dolarów napiwku. Podziękował jej i odjechał w kierunku I-84. Tess ruszyła jego śladem, lecz najpierw podłączyła Toma do gniazda zapalniczeki.

– Witaj, Tess – powiedział Tom. – Widzę, że wybierasz się w podróż.

– Do domu, Tomciu – odparła i wyjechała z parkingu, w pełni świadoma, że jedna z opon została zamontowana przez człowieka, który niemal ją zabił. Al Coś-tam-polskie. Kierowca pick-upu jego mać. – Jeden postój po drodze.

– Nie wiem, co zamyślasz, Tess, ale powinnaś zachować ostrożność.

Gdyby była teraz w domu, a nie w samochodzie, i gdyby to Fritzy powiedział te słowa, tak samo nie byłaby zaskoczona. Od dzieciństwa udawała głosy i prowadziła wymaginowane rozmowy, choć już w wieku jakichś ośmiu, dziewięciu lat uważała, by nie robić tego w obecności innych, chyba że chciała uzyskać efekt komiczny.

– Sama nie wiem, co zamyślam – odpowiedziała, co nie do końca było zgodne z prawdą.

Przed nią znajdowało się skrzyżowanie z US 47 i Gas & Dash. Włączyła kierunkowskaz, skręciła i zaparkowała, ustawiając samochód przodem do dwóch automatów telefonicznych z boku budynku. Między nimi, na zakurzonej ścianie z żużlobetonu, zobaczyła numer do Royal Limousine. Cyfry były krzywe, rozlażyły się, bo palec, który je zapisał, nie potrafił narysować linii prostej. Dreszcz przeszedł jej po plecach i zanim wysiadła z wozu, mocno zacisnęła ramiona wokół tułowia. Jakiś czas potem podeszła do automatu, który nie był zepsuty.

Instrukcję obsługi ktoś zdrapał, może jakiś pijany zrobił to kluczykami samochodowymi, ale nadal mogła przeczytać najistotniejszą informację: bezpłatne połączenie z 911, wystarczy

podnieść słuchawkę i wcisnąć numer. Bułka z masłem.

Wcisnęła 9, zawahała się, potem 1 i znowu się zawahała. Wyobraziła sobie piniatę i kobietę ustawiającą się, by uderzyć ją kijem. Wkrótce cała zawartość rozsypie się na wszystkie strony. Rodzice dowiedzą się, że ich jedynaczka została zgwałcona. Patsy McClain się przekona, że historia o potknięciu się o kota w ciemności to kłamstwo wymyślone ze wstydu... i że Tess nie ufała jej na tyle, żeby wyznać prawdę. Ale tak naprawdę nie to było najważniejsze. Zakładała, że jest w stanie wytrzymać krótkie publiczne prześwietlenie, zwłaszcza jeśli powstrzymałoby to mężczyznę, którego Betsy Neal nazwała Wielkim Kierowcą, od zgwałcenia i zabicia następnej kobiety. Tess pomyślała, że niektórzy mogliby ją uznać za bohaterkę, co byłoby niemożliwe jeszcze poprzedniej nocy, kiedy oddawanie moczu przyprawiało ją o krzyk bólu, a jej myśli powracały bez przerwy do ukradzionych majtek, tkwiących w przedniej kieszeni farmerek olbrzyma.

Tylko...

– Jak to się dla mnie skończy? – spytała bardzo cicho, wpatrując się w numer telefonu, który zapisała na ścianie. – Jak to się dla mnie skończy?

I pomyślała: Mam broń. Mam broń i wiem, jak się nią posługiwać.

Odwiesiła słuchawkę i wróciła do samochodu. Spojrzała na wyświetlacz Toma, pokazujący skrzyżowanie Stagg Road z US 47.

– Muszę to jeszcze dokładniej rozważyć – powiedziała.

– A co tu rozważać? – zapytał Tom. – Jeśli go zabijesz i cię złapią, pójdiesz do więzienia. Zgwałcona czy nie.

– Właśnie nad tym muszę się zastanowić – odparła i skręciła w US 47, którą chciała dojechać do I-84.

Ruch na autostradzie był niewielki, jak to w sobotni rano, a siedzenie za kierownicą expedition sprawiło jej przyjemność. Koło. Wracała do normy. Tom milczał do chwili, gdy minęła tablicę z napisem: „Zjazd 9 Stoke Village 3 km”. A potem odezwał się:

– Jesteś pewna, że to był przypadek?

– Co? – Tess aż podskoczyła, przestraszona. Słyszała słowa Toma dobywające się z jej własnych ust, wypowiedane niższym głosem, jak zawsze przy wymyślonych rozmowach (zresztą ten głos miał niewiele wspólnego z prawdziwym brzmieniem Toma z TomToma, które przypominało robota), ale odniosła wrażenie, jakby to nie była jej myśl. – Chcesz przez to powiedzieć, że ten bydlak nie zgwałcił mnie przypadkowo?

– Tak – przyznał Tom. – Mówię, że gdybyś to ty decydowała, wróciłabyś do domu trasą którą przyjechałaś. Tą drogą. I osiemdziesiąt cztery. Ale ktoś miał lepszy pomysł, prawda? Ktoś, kto znał skrót.

– Tak – zgodziła się. – To Ramona Norville. – Zastanowiła się nad tym, a potem pokręciła głową. – To byłoby szyte zbyt grubymi nićmi, przyjacielu.

Na to Tom nie miał żadnej odpowiedzi.

Kiedy odjeżdżała z Gas & Dash, planowała, że wejdzie do Internetu i spróbuje zlokalizować firmę transportową – pewnie niewielkiego, niezależnego przewoźnika – która działa w Colewich lub w jednym z okolicznych miasteczek. Firmę z ptakiem w nazwie, prawdopodobnie sokołem lub orłem. Tak właśnie postąpiłyby panie z „Wierzbiny”. Uwielbiały swoje komputery i bez przerwy pisały do siebie niczym nastolatki. Zresztą pomijając wszystko inne, interesujące byłoby sprawdzić, czy jej wersja amatorskiego śledztwa sprawdza się w realnym życiu.

Już na zjeździe z I-84, dwa kilometry od domu, Tess postanowiła, że najpierw spróbuje znaleźć coś o Ramonie Norville. Kto wie, mogłaby odkryć, że oprócz prezesowania Books & Brown Baggers Ramona przewodniczy Stowarzyszeniu Zapobiegania Gwałtom w Chicopee. To było całkiem prawdopodobne. Gospodyni spotkania autorskiego Tess sprawiała oczywiste wrażenie, że jest lesbijką, na dodatek bardzo męską lesbijką, a kobiety o takich cechach często lubią mężczyzn, którzy są gwałcicielami.

– Wielu podpalaczy należy w swoich miejscowościach do ochotniczej straży pożarnej – zauważył Tom, gdy skręcała w swoją ulicę.

– A co to niby miało znaczyć? – zapytała Tess.

– To, że nie powinnaś wykluczać kogokolwiek tylko na podstawie jego publicznej aktywności. Panie z Kółka Robótek Ręcznych nigdy by tak nie postąpiły. Za wszelką cenę sprawdź ją dokładnie w Internecie. – Tom mówił głosem z rodzaju „nie krępuj się”, czego zupełnie się nie spodziewała. Było to odrobinę irytujące.

– Jak to miło, że udzieliłeś mi swojego pozwolenia, Thomasie – odrzekła.

Kiedy jednak siedziała już w pokoju, a komputer był zalogowany, wpatrywała się przez pięć minut w ekran powitalny Apple’a i zastanawiała, czy naprawdę chce odnaleźć olbrzyma i użyć broni, czy też to rodzaj fantazjowania, któremu często ulegają tacy kłamcy za pieniądze jak ona. W tym przypadku byłaby to wyobrażona zemsta. Takich filmów też unikała, ale wiedziała, że są realizowane. Nie da się odizolować od kultury masowej, chyba że ktoś jest zupełnym odludkiem, a Tess taka nie była. W filmach o zemście godni podziwu mięśniacy, jak Charles Bronson czy Sylvester Stallone, nie zawracali sobie głowy policją i sami dopadali złoczyńców. Na granicy sprawiedliwości. Słyszała, że nawet Jodie Foster wystąpiła w takim filmie. Tess nie pamiętała jednak dobrze tytułu. Może *Odważna kobieta*? Coś w tym rodzaju.

Na jej komputerze włączył się wygaszacz ekranu ze słowem na ten dzień. Tego dnia był to akurat „kormoran”, przez przypadek nazwa ptaka.

– Jeśli skorzystasz z Usług Przewozowych „Kormoran”, pomyślisz, że twój towar frunie w powietrzu – powiedziała Tess niskim głosem, naśladując Toma. Potem uderzyła w klawisz, wygaszacz znikł. Połączyła się z Internetem, ale początkowo nie wybrała żadnej wyszukiwarki. Weszła najpierw do YouTube i wpisała „Richard Widmark”, nie mając pojęcia, dlaczego to zrobiła. W każdym razie nie było to świadome.

Może chcę się przekonać, czy ten facet naprawdę wart jest fanklubu, pomyślała. Ramona nie miała co do tego wątpliwości.

Pojawiło się mnóstwo klipów. Najwyżej ocenianym okazał się sześciominutowy montaż zatytułowany *On jest zły, naprawdę zły*. Obejrzało go kilkaset tysięcy ludzi. Znalazły się tam sceny z trzech filmów, ale to przy pierwszym zamarła. Czarno-biały, wyglądał na tanią produkcję... ale definitywnie był z tego rodzaju filmów. Nawet tytuł o tym świadczył: *Pocałunek śmierci*.

Tess obejrzała całe wideo, a potem jeszcze dwukrotnie wracała do fragmentu z *Pocałunku śmierci*. Widmark grał gangstera grożącego staruszce na wózku inwalidzkim. Chciał informacji: „Gdzie jest ten kapuś, twój synalek?”. A kiedy starsza pani odmawiała odpowiedzi: „Wiesz, co robię kapusiom? Pakuję im to w brzuch, żeby wili się bardzo długo, jeszcze raz o tym myśląc”.

Ale nie strzelił w brzuch staruszce. Przywiązał ją do wózka inwalidzkiego sznurem od lampy i zepchnął ze schodów.

Tess wyszła z YouTube, wpisała „Richard Widmark” w wyszukiwarce i znalazła to, czego się spodziewała, biorąc pod uwagę siłę wyrazu krótkiego klipu. Choć aktor grał potem w bardzo wielu filmach, coraz częściej bohaterów pozytywnych, najlepiej znano go z *Pocałunku śmierci* jako rozchichotanego psychopatę Tommy’ego Udo.

– Wielka mi rzecz – powiedziała Tess. – Czasami pozory mylą.

– To znaczy? – zapytał Fritzy z parapetu, gdzie wygrzewał się na słońcu.

– To znaczy, że Ramona prawdopodobnie zakochała się w nim po obejrzeniu filmów, w których grał bohaterskiego szeryfa albo odważnego dowódcę okrętu, albo kogoś podobnego.

– Na pewno – odpowiedział Fritzy – bo jeśli się nie mylisz co do jej orientacji seksualnej, nie idealizowałaby mężczyzny mordującego staruszki na wózkach inwalidzkich.

Oczywiście to była prawda. Nieźle główkujesz, Fritzy.

Kot popatrzył na Tess sceptycznie i powiedział:

– Ale równie dobrze możesz zupełnie nie mieć racji.

– Nawet jeśli się mylę – odpowiedziała Tess – nikt nie rozkochuje się w psychopatycznych, złych facetach.

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, uznała je za kompletną głupotę. Gdyby ludzie nie fascynowali się psychopatami, nie kręcono by filmów o szaleńcach w hokejowych maskach i

naiwnych ofiarach z nożyczkami zamiast palców. Niemniej Fritzy zrobił jej uprzejmość i nie roześmiał się.

– I bardzo dobrze – skomentowała Tess. – Jeśli będzie cię kusiło, to przypomnij sobie, kto napełnia twoją miseczkę jedzeniem.

Zgooglowana Ramona Norville miała czterdzieści cztery tysiące linków, a po dodaniu „Chicopee” następne, bardziej interesujące tysiąc dwieście (choć, jak Tess wiedziała, większość to przypadkowe adresy). Pierwszy sensowny odsyłał do „Weekly Remindera” z Chicopee i dotyczył bezpośrednio Tess: *Bibliotekarka Ramona Norville ogłasza piątek dniem „Wierzbiny”*.

– Oto jestem, gwiazda przyciągająca uwagę – wymamrotała Tess. – Hura na cześć Tessy Jean! Zobaczmy teraz, kto wystąpił jako aktorka drugoplanowa.

Kiedy jednak kliknęła na załącznik, jedyne zdjęcie przedstawiało tylko ją. Była to fotografia reklamowa z odsłoniętymi ramionami, którą jej sekretarka, zatrudniona na część etatu, rozsyłała rutynowo. Tess zmarszczyła nos i wróciła do wyszukiwarki, niepewna, dlaczego chce jeszcze raz zobaczyć Ramonę, wiedziała jedynie, że do czegoś jej to potrzebne. Kiedy w końcu znalazła zdjęcie bibliotekarki, zobaczyła to, co podświadomie podejrzewała, choćby z powodu ostatniego komentarza Toma, dotyczącego powrotu do domu.

Był to artykuł z trzeciego sierpniowego numeru „Weekly Remindera”. *Brown Baggers ogłasza harmonogram spotkań autorskich na jesień* – pisano w nagłówku. Poniżej Ramona Norville stała na stopniach biblioteki i uśmiechała się, mrużąc oczy w słońcu. Kiepskie zdjęcie, zrobione przez jakiegoś dorywczego pracownika bez talentu, i zły (choć prawdopodobnie typowy) wybór ubrania à la Norville. Męski blezer nadawał jej wygląd szerokiego w ramionach stopera z drużyny futbolowej. Miała na sobie paskudne brązowe buty na płaskim obcasie. I parę zbyt obcisłych szarych spodni, uwydatniających „grzmiące udziska”, jak Tess i jej koleżanki z liceum nazywały podobne nogi.

– O w mordę, Fritzy – powiedziała. Głos miała słaby z przerażenia. – Spójrz na to.

Fritzy nie podszedł i nie odpowiedział – bo niby jak? Była przecież zbyt zdenerwowana, żeby odezwać się za niego.

– Upewnij się, że widzisz to, co widzisz – powiedziała do siebie. – Przeżyłaś straszny szok, Tesso Jean, kto wie, czy nie największy, jakiego może doznać kobieta, i niewiele brakowało, żeby wystawili ci akt zgonu. Dlatego nabierz pewności.

Zamknęła oczy i przywołała obraz mężczyzny w starym fordzie pick-upie ze szpachlówką wokół reflektorów. W pierwszej chwili wydawał się taki życzliwy. „Nie spodziewała się pani spotkać Kolosa na wiejskiej drodze, prawda?”

Ale nie był z brązu. Był jedynie opalonym wielkim facetem, który nie jeździł pick-upem, lecz nosił go na sobie.

Ramona Norville, która nie była Wielkim Kierowcą, choć z pewnością Wielką Bibliotekarką, wydawała się za stara na jego siostrę. I nawet jeśli teraz robiła wrażenie

aktywnej lesbijki, nie zawsze tak musiało być, bo podobieństwo okazało się uderzające.

Jeśli nie popełniani poważnego błędu, to patrzę na zdjęcie matki mojego gwałciciela.

29

Poszła do kuchni i napiła się wody, ale woda niewiele jej pomogła. Opróżniona do połowy butelka tequili zalegała od wieków w kącie lodówki. Wyjęła ją, zastanowiła się, czy potrzebny jej kieliszek, a potem pociągnęła prosto z butelki. W ustach i w gardle poczuła pieczenie, ale pod każdym innym względem skutek był pozytywny. Upiła jeszcze trochę – raczej haust niż łyk – i odstawiła butelkę na miejsce. Nie miała zamiaru się upić. Bo jeśli kiedykolwiek potrzebny był jej sprawny umysł, to właśnie tego dnia.

Furia – największa i najprawdziwsza w jej dorosłym życiu – opadła ją niczym gorączka, i to taka wysoka, jakiej wcześniej nie знаła. Krążyła niczym dziwna surowica, zimna z prawej strony ciała, a potem paląca z lewej, gdzie było serce. Wydawało się, że nie dochodzi do mózgu, bo myśli Tess miała jasne. Nawet bardziej klarowne od momentu, gdy napiła się tequili.

Kilkakrotnie okrążyła kuchnię energicznym krokiem, z opuszczoną głową, jedną ręką masując siniaki na szyi. Nie zdawała sobie sprawy, że chodzi wokół kuchni, podobnie jak po wyjściu z przepustu, który w zamyśle Wielkiego Kierowcy miał być jej grobem, kręciła się po opuszczonym sklepie. Czy naprawdę myślała, że Ramona Norville celowo ją posłała synowi psychopacie niczym jakiś rodzaj ofiary? Czy to prawdopodobne? Nie. Czy na podstawie zdjęcia i własnych wspomnień Tess mogła mieć pewność, że ta dwójka to matka i syn?

Ale mam dobrą pamięć. Zwłaszcza pamięć do twarzy.

Cóż, tak przynajmniej się jej wydawało, ale prawie każdy tak myśli. Prawda?

Tak, cały ten pomysł jest szalony. Sama musisz to przyznać.

Przyznała, ale w programach o prawdziwych przestępstwach (rzeczywiście je oglądała) widziała rzeczy znacznie bardziej obłąkane. Właścicielki pensjonatu przez całe lata mordowały starszych wiekiem lokatorów – których grzebały potem na podwórzu z tyłu domu – żeby kraść ich zasiłki z opieki społecznej. Pilot pasażerskich linii lotniczych zamordował żonę, a następnie zamroził zwłoki, by je przepuścić przez rozdrabniarkę do drewna. Pewien mężczyzna napoił własne dzieci benzyną i upiekł je niczym kornwalijskie paszteciki, byle tylko sąd nie mógł przyznać opieki nad nimi jego żonie. Kobieta, która posyła ofiary własnemu synowi, to coś szokującego i nieprawdopodobnego... ale nie niemożliwego. Gdy chodzi o ludzkie popapranie i zło, zdaje się, że jakiegokolwiek granice przestają istnieć.

– O rany – usłyszała własny głos, wyrażający zarówno złość, jak i strach. – O rany, o rany, o rany.

Dowiedz się. Zyskaj pewność. Jeśli potrafisz.

Wróciła do komputera. Ręce strasznie się jej trzęsły i aż trzykrotnie próbowała poprawnie wpisać „firmy przewozowe Colewich” w pasku szukania Google. W końcu jej się to udało, wcisnęła „Enter” i na samej górze listy zobaczyła: „Myszolów Usługi Transportowe”. Link przekierował ją na intro strony, gdzie widać było fatalnie animowaną wielką ciężarówkę z czymś, co przypominało namalowanego myszołowa, z boku i cudacznego, uśmiechniętego mężczyznę za kierownicą. Ciężarówka przejechała przez ekran z prawej na lewą, obróciła się i przemknęła z lewa na prawo, a potem znowu zawróciła. Niekończąca się podróż tam i z powrotem. Motto firmy w kolorach czerwonym, niebieskim i białym, umieszczone nad ciężarówką, głosiło: „Uśmiech wchodzi w zakres usługi!”.

Ci, którzy chcieli zobaczyć coś więcej niż tylko stronę powitalną, mieli do wyboru cztery lub pięć możliwości, w tym numery telefonów, cennik, referencje zadowolonych klientów. Tess pominęła to i kliknęła na ostatnią ikonę z napisem: „Zobacz najnowszy nabytek do naszej floty!”.

A kiedy pokazało się zdjęcie, ostatni element układanki wpasował się na swoje miejsce.

Zdjęcie było znacznie lepsze od tego z Ramoną Norville stojącą na schodach biblioteki. Gwałciciel Tess siedział za kierownicą w lśniącej kabinie ciężarówki, na której drzwiach napisano fikuśnymi literami: „Myszolów Usługi Transportowe Colewich Massachusetts”. Bez poplamionej brązowej czapki na głowie, z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami, wydawał się jeszcze bardziej podobny do matki, niemal upiornie. Jego wesoły uśmiech – „możesz mi zaufać” – Tess widziała poprzedniego popołudnia. Ten sam, który nie opuszczał jego twarzy, gdy powiedział: „Zamiast zmieniać ci koło, wolałbym cię wyruchać. Co ty na to?”.

Kiedy patrzyła na jego zdjęcie, dziwne serum zaczęło szybciej krążyć w jej organizmie. W skroniach pulsowało, ale to nie był ból głowy – właściwie sprawiało jej to przyjemność.

Miał na palcu sygnet z czerwonym szkiełkiem.

Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Al Strehlke, prezes firmy Myszolów Usługi Transportowe, za kierownicą najnowszego nabytku, peterbilita 389 z 2008 roku. Ten prawdziwy koń pociągowy jest już dostępny dla naszych klientów, którzy są najlepsi w kraju. Sami powiedzcie – czy Al nie wygląda jak dumny tatuś?”.

Usłyszała znowu, jak nazywa ją szmatą, marudną, kurewską szmatą, i zacisnęła dłoń w pięści. Czuła, jak paznokcie zagłębiają się w ciało, ale zacisnęła ręce jeszcze mocniej, rozkoszując się bólem.

„Dumny tatuś”. Do tych słów ciągle powracał jej wzrok. „Dumny tatuś”. Narastała w niej złość, krążyła w krwiobiegu, tak jak ona krążyła wcześniej po kuchni. Tak samo jak poprzedniej nocy krążyła po opuszczonym sklepie, odzyskując i tracąc świadomość, niczym aktorka przechodząca przez scenę z rozstawionymi w pewnej odległości reflektorami punktowymi.

Zapłacisz za to, Al. I nie ma co zawracać sobie głowy glinami, to ja przyjdę po zapłatę.

Zostawała jeszcze Ramona Norville. Dumna mamcia „dumnego tatusia”. Choć Tess nie

do końca była pewna roli tej baby. Trudno jej było uwierzyć, że jakaś kobieta mogłaby spowodować, by coś takiego spotkało drugą kobietę, ale przychodziło jej do głowy także niewinne wytłumaczenie. Chicopee leżało niedaleko od Colewich i Ramona mogła stale używać Stagg Road jako skrót.

– Żeby odwiedzać syna – powiedziała Tess, kiwając głową. – Żeby odwiedzać „dumnego tatusia”, który ma nową ciężarówkę. Z tego, co wiem, to ona mogła zrobić mu zdjęcie za kierownicą. – I dlaczego nie miałyby rekomendować swojego ulubionego skrót autorce zaproszonej na spotkanie z czytelnikami?

Dlaczego jednak nie powiedziała: „Ciągle tamtędy jeżdżę, żeby odwiedzić syna”? Czy nie byłoby to naturalne?

– Może nie mówi obcym o etapie swojego życia związanym ze Strehlkem – powiedziała Tess. – O etapie, który poprzedził odkrycie krótkich włosów i wygodnych butów. – To było możliwe, ale musiała się też zastanowić nad rozrzuconymi na drodze deskami nabijanymi gwoźdźmi. Pułapka. Norville posłała ją tamtą trasą w przygotowaną wcześniej zasadzkę. Ponieważ do niego zadzwoniła? Zadzwoniła i powiedziała: „Posyłam ci smaczny kęs, nie przegap okazji”?

To nadal nie oznacza, że była w tę sprawę zamieszana... albo świadomie zamieszana. „Dumny tatuś” mógł śledzić gości jej biblioteki, co chyba nie byłoby trudne?

– Bardzo łatwe – powiedział Fritzy, wskoczywszy na szafkę z dokumentami, i zaczął liżać łapkę.

– Kiedy widział kobietę, która mu się podobała... w miarę atrakcyjną... I, jak przypuszczam, wiedział, że matka wskaże jej drogę powrotną... – Urwała. – Nie, to się nie trzyma kupy. Bez dodatkowych informacji od matki skąd by wiedział, że będzie wracała do Bostonu? Albo leciała samolotem do domu w Nowym Jorku?

– Zgooglowałaś go – wtrącił Fritzy. – Może on zgooglował ciebie. Podobnie jak ona to zrobiła. W dzisiejszych czasach wszystko jest w Internecie. Sama tak powiedziałaś.

To by pasowało, co prawda „o tyle o ile”, ale jednak.

Pomyślała, że jedynym sposobem zdobycia pewności jest złożenie pani Norville niezapowiedzianej wizyty i uważne śledzenie reakcji w jej oczach. Gdyby na widok autorki *Wierzbiny* – w domu, a nie w bibliotece – Ramona okazała wyłącznie zaskoczenie i ciekawość, to byłoby jedno. Ale gdyby jej oczy zdradziły strach z rodzaju, jaki mogłaby wywołać myśl: Dlaczego jesteś tutaj, a nie w rdzewiejącym przepuście na Stagg Road...? Cóż...

– To zmieniałoby postać rzeczy, prawda, Fritzy?

Fritzy popatrzył na nią zmyślnymi zielonymi ślepiami, nadal liżąc łapkę. Łapka wyglądała na zupełnie niegroźną, ale miała ukryte pazury. Tess je widziała i czasem też odczuła ich obecność.

Dowiedziała się, gdzie mieszkam – sprawdźmy, czy mogę odwzajemnić tę uprzejmość.

Tess wróciła do komputera, tym razem szukała strony Books & Brown Baggers. Była pewna, że ją znajdzie – w dzisiejszych czasach wszyscy mieli strony internetowe, nawet więźniowie skazani na dożywocie za morderstwo – i nie omyliła się. Na stronie Brown Baggers były odsyłacze do informacji o członkach stowarzyszenia, recenzji książek i nieformalnych podsumowań – całkiem sporych – odbytych spotkań. Tess wybrała ostatni link i zaczęła przewijać. Odkrycie, że taka impreza odbyła się dziesiątego czerwca w domu Ramony Norville w Brewster, nie zajęło jej dużo czasu. Tess nigdy nie była w tym miasteczku, ale wiedziała, gdzie jest, bo jadąc do biblioteki poprzedniego dnia, mijając zieloną tablicę informacyjną na skrzyżowaniu, wskazującą do niego drogę. To zaledwie drugi lub trzeci zjazd z autostrady na południe od Chicopee.

Odnalazła potem rejestr podatników z Brewster i przewijając go w dół, natrafiła na nazwisko Norville. Ramona zapłaciła w ubiegłym roku dziewięćset trzynaście dolarów i sześć centów podatku gruntowego, a zajmowała posesję przy Lacemaker Lane 75.

– Znalazłam cię, złotko – wymamrotała Tess.

– Musisz się zastanowić, jak to przeprowadzić – powiedział Fritzy. – I zdecydować, jak daleko możesz się posunąć.

– Jeśli się nie mylę – odparła – to nie wykluczam, że nawet bardzo daleko.

Zamierzała już wyłączyć komputer, ale pomyślała, że warto byłoby sprawdzić jeszcze jedną rzecz, choć wiedziała, że mogło to nic nie dać. Weszła na stronę główną „Weekly Remindera” i kliknęła na nekrologi. Było tam okienko, w które należało wpisać szukane nazwisko, więc Tess wstukała „Strehlke”. Uzyskała tylko jeden wynik: Roscoe Strehlke. Zgodnie z nekrologiem z 1999 roku mężczyzna ten zmarł nagle w domu w wieku czterdziestu ośmiu lat. Zostawił żonę Ramonę i dwóch synów, Alvina (23) i Lestera (17). Na autorkę kryminałów, nawet tak bezkrwawych jak jej grzeczne opowieści, określenie „zmarł nagle” działało jak czerwone światło. Przeszukała ogólną bazę danych gazety, lecz na nic więcej nie natrafiła.

Siedziała przez chwilę nieruchomo, bębniąc nerwowo palcami w poręcz fotela, co zawsze robiła przy pracy, gdy utknęła na jakimś słowie, frazie albo opisie. Spojrzała potem na wykaz gazet w zachodnim i południowym Massachusetts i znalazła wydawaną w Springfield „Republican”. Kiedy wpisała nazwisko męża Ramony Norville, ukazał się nagłówek, jednoznaczny i na temat: *Biznesmen z Chicopee popełnił samobójstwo*.

Strehlke został znaleziony w garażu, wisiał na belce. Nie było żadnego listu, Ramony nie cytowano, ale sąsiedzi mówili, że pan Strehlke był wytrącony z równowagi „kłopotami, które miał starszy syn”.

– Jaki rodzaj kłopotów miał Al, że tak się tym przejąłeś? – Tess skierowała to pytanie do monitora. – Czy miało to coś wspólnego z jakąś dziewczyną? Może napad? Pobicie na tle seksualnym? Czyżby już wtedy dopuszczał się czegoś poważniejszego? Jeśli dlatego się powiesił, to był z ciebie strachliwy ojciec.

– Może ktoś mu pomógł – odezwał się Fritzy. – Na przykład Ramona. Wielka, silna kobieta, wiesz sama. Powinnaś wiedzieć, widziałaś ją przecież.

Ponownie nie zabrzmiało to jak głos, którego używała, gdy zasadniczo mówiła do siebie. Przestraszona, popatrzyła na kota. Fritzy odwzajemnił jej spojrzenie: spokojne, zielone oczy zdawały się pytać: „Kto? Ja?”.

Tess chciała po prostu jechać od razu na Lacemaker Lane, z bronią w torebce. A powinna przestać bawić się w detektywa i zawiadomić policję. Niechby gliniarze się tym zajęli. Tak postąpiłaby dawna Tess, ale ona nie miała z nią już nic wspólnego. Tamta kobieta wydawała się daleką krewną, której wysyła się kartkę na Boże Narodzenie i o której zapomina się na resztę roku.

Ponieważ nie potrafiła się zdecydować – i dlatego, że cała była obolała – poszła na górę i położyła się do łóżka. Przespała cztery godziny i wstała tak sztywna, że niemal nie mogła chodzić. Wzięła dwa proszki tylenolu forte, odczekała, aż poczuje się lepiej, i pojechała do wypożyczalni wideo Blockbuster. W torebce miała „wyciskacz do cytryn”. Postanowiła, że od tej chwili, kiedy przyjdzie jej jechać samej, będzie trzymała go przy sobie.

Dotarła do Blockbustera tuż przed zamknięciem i poprosiła o film z Jodie Foster *Odważna kobieta*. Ekspedient (który miał niebieskie włosy, agrafkę w jednym uchu i wyglądał najwyżej na osiemnaście lat) uśmiechnął się pobłaźliwie i powiedział, że film tak naprawdę ma tytuł *Odważna*. Pan Retro Punk dodał też, że za dodatkowe pięćdziesiąt centów mogłaby dostać paczkę popcornu do zrobienia w mikrofalówce. Tess chciała odmówić, ale potem się zastanowiła.

– Właściwie dlaczego, kurwa, nie? – zapytała pana Retro Punka. – Żyje się tylko raz, prawda?

Popatrzył na nią zaskoczony, pomyślał chwilę i zgodził się z uśmiechem, że każdy klient rzeczywiście ma tylko jedno życie.

Już w domu przygotowała popcorn, włożyła płytę do odtwarzacza i padła na kanapę, podkładając sobie poduszkę pod krzyż, w miejscu gdzie miała zadrapania. Fritzy dołączył do niej i patrzyli razem na Jodie Foster ścigającą facetów (śmieci, jak w „Myślisz, że masz szczęście, śmieciu?”), którzy zabili jej chłopaka. Foster zajęła się przy okazji innymi łobuzami, a robiła to za pomocą pistoletu. *Odważna* była filmem, o jaki jej chodziło, ale i w innej sytuacji by się jej podobał. Pomyślała, że ma głęboki sens. Pomyślała też, że przez wszystkie lata czegoś jej brakowało: nieskomplikowanych filmów w rodzaju *Odważnej*, które dostarczały autentycznego katharsis. Kiedy film się skończył, obróciła się do Fritzy’ego i powiedziała:

– Szkoda, że Richard Widmark nie natknął się na Jodie Foster zamiast na staruszkę na wózku inwalidzkim, zgodzisz się chyba?

Fritzy zgodził się w stu procentach.

Leżąc w łóżku tamtej nocy, gdy październikowy wiatr hulał wokół domu, a kot zwinął się przy niej w kłębek, Tess doszła ze sobą do porozumienia: jeśli nazajutrz rano obudzi się i będzie czuła to, co teraz, pojedzie na spotkanie z Ramoną Norville, a potem – w zależności od tego, jak potoczą się sprawy na Lacemaker Lane – odwiedzi Alvina „Wielkiego Kierowcę” Strehlkego. Bardziej prawdopodobne było jednak, że rano odzyska zdrowy rozsądek i zadzwoni na policję. Ale żadnych anonimowych telefonów, stawi czoło sytuacji, jak powinna. Udowodnienie gwałtu po ponad czterdziestu godzinach będzie trudne, ale ślady napastowania seksualnego miała na całym ciele.

No i należało pamiętać o kobietach w przepuście. Czy jej się to podobało, czy nie, była ich adwokatem.

Jutro te wszystkie myśli o zemście wydadzą mi się cczą głupotą. Jak majaki typowe dla ludzi z wysoką gorączką.

Kiedy jednak obudziła się w niedzielę, ciągle była w nastroju nowej Tess. Spojrzała na pistolet leżący na szafce nocnej i pomyślała: Chcę z niego skorzystać. Po tym, przez co przesłam, zasłużyłam na to, by samej zająć się tą sprawą.

– Ale muszę mieć pewność i nie chcę, żeby mnie złapano – powiedziała do Fritzy’ego, który już wstał i właśnie się przeciągał, szykując do kolejnego wyczerpującego dnia, kiedy będzie musiał się wylegiwać i pojadać z miseczki.

Tess wzięła prysznic, a potem wyszła z notatnikiem na werandę. Przez prawie kwadrans siedziała i wpatrywała się w trawnik, pijąc stygnącą herbatę. W końcu na górze pierwszej kartki napisała: „Nie daj się złapać”. Zastanowiła się nad tym rzeczowo i zaczęła robić notatki. Jak zawsze, kiedy pracowała nad książką, i tym razem początkowo pisała wolno, ale z czasem zaczęła się rozkręcać.

O dziesiątej poczuła się głodna jak wilk. Przygotowała sobie ogromne późne śniadanie i zjadła je do okruszynki. Potem oddała film do wypożyczalni i spytała, czy mają *Pocahunek śmierci*. Nie mieli, ale po dziesięciu minutach wybierania zdecydowała się na substytut zatytułowany *Ostatni dom po lewej*. Przyniosła go do domu i uważnie obejrzała. Na filmie mężczyźni gwałcą dziewczynę i zostawiają, żeby umarła. Tak bardzo przypominało to jej własne przeżycia, że Tess zalała się łzami i płakała na tyle głośno, że Fritzy uciekł z pokoju. Nie przerwała jednak oglądania i została nagrodzona szczęśliwym zakończeniem: rodzice dziewczyny zamordowali gwałcicieli.

Włożyła płytę z powrotem do opakowania i zostawiła je na stoliku w holu. Film postanowiła oddać następnego dnia, jeśli nadal będzie żyła. A to właśnie planowała, mimo że

skakała teraz na jednej nodze po pełnej dziwnych zakrętów, meandrycznej ścieżce zwanej życiem. I to z własnej woli.

Mając sporo czasu do zabicia – godziny wydawały się wlec bardzo powoli – wróciła do Internetu i zaczęła szukać informacji o kłopotach, w jakie wpakował się Al Strehlke przed samobójstwem ojca. Niczego nie znalazła. Niewykluczone, że sąsiedzi wygadywali głupoty (a sąsiedzi często tak robią), ale Tess pomyślała o innym scenariuszu: problemy mogły się pojawić, kiedy Strehlke był jeszcze nieletni. W takich przypadkach nie przekazywano do prasy nazwisk, a akta sądowe utajniano.

– Ale może z czasem stał się gorszy – powiedziała do Fritzy’ego.

– Tacy faceci często stają się gorsi – zgodził się Fritzy. (To była rzadkość, bo zwykle Tom był tym, który się zgadzał, Fritzy zaś miał skłonność od odgrywania roli adwokata diabła).

– Potem, kilka lat później, coś się wydarzyło. Coś gorszego. Powiedzmy, że mamusia pomogła mu to zatuszować...

– Nie zapominaj o młodszym bracie – wtrącił Fritzy. – Lesterze. On też mógł być w to zamieszany.

– Nie mając mi w głowie zbyt wieloma osobami. Wiem jedynie, że ten Al, pierdolony Wielki Kierowca, mnie zgwałcił, a jego matka mogła mieć z tym coś wspólnego. Dla mnie to dość.

– Może Ramona to jego ciotka – spekulował Fritzy.

– Och, przymknij się – powiedziała Tess, a kot posłuchał.

32

Położyła się o czwartej, myśląc, że nie zaśnie choćby na chwilę, ale jej zdrowiejące ciało rządziło się własnymi prawami. Usnęła prawie do razu, a kiedy obudziło ją uporczywe bip-bip-bip budzika, była zadowolona, że go nastawiła. Na zewnątrz podmuchy październikowej bryzy odzierały liście z drzew, zaścielając kolorowym kobiercem podwórze na tyłach domu. Światło nabrało tej dziwnej i głębokiej złotej barwy, która, jak się wydawało, istniała jedynie późnymi popołudniami jesienią w Nowej Anglii.

Nos był w lepszym stanie – ból ograniczał się do tępego pulsowania – ale gardło nadal miała obolałe i raczej pokuśtykała, niż poszła, do łazienki. Weszła pod prysznic, odkręciła wodę, gorącą na granicy wytrzymałości, i stała pod strumieniem, aż jej skóra poczerwieniała, a łazienka wypełniła się parą niczym angielska ulica w powieści o Sherlocku Holmesie. Prysznic dobrze jej zrobił. Kilka tabletek tylenolu z apteczki pomogło jeszcze bardziej.

Wysuszyła włosy, a potem przetarła lustro. Widoczna w nim kobieta patrzyła na nią oczami naznaczonymi furją i zimnym rozsądkiem. Lustro szybko zaparowało ponownie, ale

jego powierzchnia pozostawała czysta wystarczająco długo, by Tess zdała sobie sprawę, że naprawdę chce to zrobić, nie licząc się z konsekwencjami.

Ubrała się w czarny golf i czarne spodnie wory z dużymi naszywanymi kieszeniami. Związała włosy w kok i założyła czarną czapkę z daszkiem. Kok wybrzuszał się z tyłu, ale przynajmniej żaden ewentualny świadek nie będzie w stanie powiedzieć: „Nie widziałem jej twarzy, ale miała długie jasne włosy. Były związane z tyłu czymś w rodzaju frotki. No, czymś takim, co można kupić w JC Penney”.

Zeszła do piwnicy, gdzie od Święta Pracy trzymała kajak, i z półki nad nim zdjęła szpulę z żółtą liną. Odcięła sekatorem prawie dwa metry, zwinęła na przedramieniu i wsunęła zwój do jednej z wielkich kieszeni spodni. Ponownie na górze, w kuchni, do tej samej – lewej – kieszeni włożyła szwajcarski scyzoryk. Prawa była przeznaczona na „wyciskacz do cytryn” kalibru 38... i inną rzecz, którą wyjęła z szuflady obok piekarnika. Nałożyła podwójną porcję karmy do miski Fritzy’ego, przytuliła go i pocałowała w łepkę. Stare kocisko położyło po sobie uszy (prawdopodobnie bardziej z zaskoczenia niż niezadowolenia, bo Tess nie należała do rozcałowanych właścicielek) i pobiegło do jedzenia w chwili, gdy postawiła je na ziemi.

– Nie zjedz wszystkiego od razu – powiedziała do niego. – Jeśli nie wrócę, Patsy w końcu do ciebie zajrzy, ale to może potrwać ze dwa dni. – Uśmiechnęła się słabo i dodała: – Kocham się, stary sierściuchu.

– Dobra, dobra – odpowiedział Fritzy i zajął się jedzeniem.

Tess spojrzała jeszcze raz na stronę „Nie daj się złapać”, a jednocześnie w myślach dokonała inwentaryzacji rzeczy, które ze sobą zabierała, i powtórzyła scenariusz, jaki zamierzała wcielić w życie, w chwili gdy znajdzie się na Lacemaker Lane. Za najważniejsze uznała pamiętać o tym, że sprawy nie potoczą się tak, jak by sobie tego życzyła. Kiedy dochodzi do sytuacji jak ta, zawsze wyskakuje coś nieoczekiwanego niczym diabeł z pudełka. Ramony może nie być w domu. Albo będzie w domu, ale razem z synalkiem gwałcicielem i mordercą, i we dwójkę będą w zaciszu salonu oglądać jakiś podnoszący na duchu film z wypożyczalni. *Piłę* na przykład. Młodszy brat – na pewno znany w Colewich jako Mały Kierowca – też może tam być. Z tego, co Tess wiedziała, Ramona mogła równie dobrze urządzać akurat prezentację akcesoriów kuchennych Tupperware lub spotkanie klubu czytelniczek. Ważne było, żeby nie stracić głowy na skutek niespodziewanych wydarzeń. Jeśli nie będzie mogła improwizować, to najprawdopodobniej rzeczywiście zostawi na dobre dom w Stoke Village.

Spaliła kartkę „Nie daj się złapać” w kominku, rozrzuciła popiół pogrzebaczem, a potem włożyła skórzaną kurtkę i parę cienkich skórzanych rękawiczek. Kurtka miała w podszewce głęboką kieszeń. Tess wsunęła do niej jeden z rzeźnickich noży, tak na wszelki wypadek, i powiedziała sobie, że musi o nim pamiętać. Ostatnie, czego potrzebowała w ten weekend, to niezamierzona amputacja piersi.

Tuż przed wyjściem włączyła jeszcze alarm antywłamaniowy.

Wiatr otoczył ją od razu, szarpiąc kołnierzem kurtki i nogawkami szerokich spodni. Liście wirowały w miniaturowych cyklonach. Na niezupełnie ciemnym niebie nad eleganckim przedmieściem Connecticut chmury przepływały przez oblicze księżyca w ostatniej kwadrze. Tess pomyślała, że ta noc jest idealnym tłem dla filmu grozy.

Wsiadła do expedition i zatrzasnęła drzwiczki. Liść spadł na przednią szybę i poleciał dalej.

– Straciłam rozum – powiedziała rzeczowym tonem. – Wypadł mi i obumarł w tamtym przepuście albo kiedy chodziłam wokół sklepu. To jedyne wyjaśnienie mojego zachowania.

Zapuściła silnik. TomTom się rozświetlił i dał się słyszeć głos Toma:

– Witaj, Tess. Widzę, że wybierasz się w podróż.

– Masz rację, przyjacielu. – Tess pochyliła się i wprowadziła adres „Lacemaker Lane 75” do maleńkiej mechanicznej główki Toma.

33

Sąsiedztwo Ramony obejrzała na zdjęciach satelitarnych z Google Earth i kiedy tam dojechała, wszystko wyglądało tak samo. Jak dotąd szło jej dobrze. Brewster okazało się niewielkim miastem w Nowej Anglii, Lacemaker Lane znajdowała się na jego obrzeżach, domy stały tam daleko od siebie. Tess przejechała obok numeru 75 ze stałą, zgodną z przepisami prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i ustaliła, że pali się tam światło, a na podjeździe stoi jeden samochód – stary model subaru, niemal krzyczący, że należy do bibliotekarki. Nie było tu peterbilta ani innej ciężarówki. Ani też starego niebieskiego pick-upu.

Ślepa ulica kończyła się rondem. Tess objechała je i wprowadziła samochód na podjazd Norville, nie dając sobie chwili na wahanie. Wyłączyła światła, a potem zrobiła głęboki wdech.

– Wracaj cała i zdrowa – powiedział Tom ze swojego miejsca na desce rozdzielczej. – Wracaj cała i zdrowa, a ja zabiorę cię w kolejne miejsce.

– Postaram się.

Złapała notatnik (teraz nic nie było w nim zapisane) i wysiadła z samochodu. Podchodząc do drzwi Ramony Norville, przyciskała go do piersi. Jej cień – być może wszystko, co zostało z dawnej Tess – przesuwiał się obok.

34

Frontowe drzwi domu Norville miały fasetowe szybki po obu stronach. Szkło było grube

i zniekształcało widok, ale Tess dojrzała ładną tapetę i lakierowany parkiet w przedpokoju. Stał tam niski stolik z kilkoma magazynami na blacie. A może to były katalogi. Na końcu znajdował się przestronny pokój. Dochodził stamtąd odgłos włączonego telewizora. Usłyszała śpiew, więc Ramona prawdopodobnie nie oglądała *Piły*. W rzeczywistości – jeśli Tess dobrze rozpoznała i piosenką była *Climb Every Mountain* – Ramona oglądała *Dźwięki muzyki*.

Tess nacisnęła dzwonek. Usłyszała ze środka sekwencję trzech dźwięków przypominającą pierwsze trzy nuty *Dixie* – dziwny wybór jak na Nową Anglię, ale w takim razie Tess nie myliła się, uznając Ramonę za nieco ekscentryczną kobietę.

Rozległo się głośne stąpanie dużych stóp. Tess lekko się obróciła, by światło wylewające się przez szybki objęło tylko część jej twarzy. Opuściła notes na wysokość brzucha i jedną ręką udawała, że coś pisze. Zgarbiła lekko ramiona. Stała się typową ankietką pracującą na zlecenie. Był niedzielny wieczór, czuła się już zmęczona i chciała jedynie poznać ulubioną markę pasty do zębów tej kobiety (albo raczej spytać, czy żuje tytoń Prince Albert z puszki), a potem wrócić do domu.

Nie denerwuj się, Ramono, możesz otworzyć drzwi, gołym okiem widać, że jestem niegroźną kobietą, która nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Kątem oka spostrzegła zniekształcony rybi obraz twarzy za szybą. Nastąpiła chwila ciszy, która wydawała się trwać bardzo długo, a potem Ramona Norville otworzyła drzwi.

– Tak? Słucham pa...?

Tess odwróciła się. Światło z otwartych drzwi padło na jej twarz. Szok malujący się na obliczu Norville, której dosłownie opadła szczeka, powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć.

– Ty? Co ty tu robi...

– Odsuń się od drzwi. Zastrzelę cię, jeśli spróbujesz je zamknąć.

– Nie zastrzelisz – odpowiedziała Norville. Nie cofnęła się, ale nie zamknęła też drzwi. – Oszalałaś?

– Wejdź do środka.

Norville miała na sobie obszerną niebieską podomkę, a kiedy Tess spostrzegła, że jej przód unióś się wysoko, wycelowała broń.

– Strzelę, jeżeli zaczniesz krzyczeć. Lepiej mi uwierz, suko, bo daleko mi do żartów.

Ogromne piersi Norville oklapły. W otwartych ustach widać było zęby, oczy miała rozbiegane. Teraz nie wyglądała już na bibliotekarkę, jowialność i serdeczność gdzieś się ulotniły. Przypominała raczej szczura złapanego z dala od nory.

– Jeśli strzelisz, wszyscy sąsiedzi usłyszą.

Tess w to wątpiła, ale nie sprzeczała się.

– Dla ciebie to nie będzie miało znaczenia, bo umrzesz. Jeśli będziesz grzeczna i odpowiesz na moje pytania, może dożyjesz jutrzejszego ranka.

Norville cofnęła się, Tess weszła do środka, sztywno trzymając przed sobą pistolet. W

chwili gdy zamknęła drzwi – zrobiła to nogą – Norville zatrzymała się. Stała obok niewielkiego stołu z katalogami.

– Niczego nie łap, niczym nie rzucaj – powiedziała Tess i po drgnięciu ust Ramony zorientowała się, że ta rzeczywiście wpadła na taki pomysł. – Czytam w tobie jak w książce. Bo po co bym tu przychodziła? Idź tyłem. Aż do salonu. Uwielbiam rodzinę Trappów, kiedy razem śpiewają.

– Jesteś wariatką – powiedziała Ramona, ale ponownie zaczęła się cofać. Na nogach miała buty. Nawet do podomki nosiła wielkie, paskudne buciory. Męskie sznurowane buty. – Nie mam pojęcia, co tu robisz, ale...

– Przestań wciskać mi ciemnotę, mamuśko. Ani się waż. Wszystko było na twojej gębie, kiedy otworzyłaś mi drzwi. Na każdym jej centymetrze. Myślałaś, że nie żyję, prawda?

– Nie wiem, o czym...

– To między nami dziewczynami, więc chyba możesz się przyznać, co?

Znalazły się w salonie. Na ścianach wisiały sentymentalne obrazki – klaunów i sierotek o wielkich oczach; na niezliczonych półkach i stolikach stały w nieładzie bibeloty: śnieżne kule, dzidzisie trolle, figurki Hummela, Troskliwe Misie i porcelanowy domek z pierników à la Jaś i Małgosia. Chociaż Norville była bibliotekarką, nigdzie nie widać było książek. Przed telewizorem znajdował się komplet wypoczynkowy z pufem. Przy fotelu stał podręczny stolik z paczką chipsów serowych i wielką butelką dietycznej coli, pilotem oraz gazetą z programem telewizyjnym. Na telewizorze widać było w ramce fotografię Ramony z jakąś kobietą, obejmowały się ramionami i przytulały policzkami. Wyglądało na to, że zrobiono ją w jakimś parku rozrywki albo na festynie. Przed zdjęciem stała kryształowa miseczka na słodycze, której ścianki pobłyskiwały w świetle i jarzyły się jakby iskierkami.

– Od jak dawna to robisz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Od jak dawna podsyłasz kobiety swojemu synalkowi gwałcicielowi?

Norville zamrugła powiekami, ale ponownie zaprzeczyła... co stało się dla Tess problemem. Kiedy tu przyjechała, wydawało jej się, że zabicie Ramony Norville jest nie tyle jednym z rozwiązań, ile najbardziej prawdopodobnym następstwem. Miała niemal pewność, że będzie w stanie to zrobić, a lina z kajaka w lewej kieszeni spodni do niczego jej się nie przyda. Niemniej teraz się przekonała, że nie potrafi posunąć się dalej, jeśli ta kobieta nie przyzna się do współudziału. Bo to, co było wypisane na jej twarzy, kiedy zobaczyła Tess stojącą w drzwiach, posiniaczoną, ale poza tym jak najbardziej żywą, nie wystarczało.

Absolutnie nie wystarczało.

– Kiedy to się zaczęło? Ile miał lat? Piętnaście? Twierdził, że po prostu „zaszalał”? Bardzo wielu z nich tak mówi, kiedy zaczynają.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Przyjeżdżasz do biblioteki, wygłaszasz pogadankę, która jest bez zarzutu... przeciętna, owszem, bo przecież zgodziłaś się na nią tylko dla

pieniędzy, to jasne, ale przynajmniej nie miałam dziury w harmonogramie spotkań... a następnie widzę cię na moim progu, wymachującą pistoletem i zadającą jakieś zwariowane...

– Zła metoda, Ramono. Widziałam jego zdjęcie na stronie „Myszołowa”. Pierścionek i resztę. Zgwałcił mnie i usiłował zabić. Wydaje mu się, że naprawdę to zrobił. A ty mnie do niego wysłałaś.

Norville rozdziawiła usta w makabrycznej mieszance szoku, konsternacji i poczucia winy.

– To nieprawda! Ty głupia pizdo, nie masz pojęcia, co mówisz! – Ruszyła do przodu.

– No, no! Nie rób tego. Nie.

Norville zatrzymała się, ale Tess nie oczekiwała, że pozostanie długo na miejscu. Baba wyraźnie się nakręcała, albo do walki, albo do ucieczki. A ponieważ na pewno zdawała sobie sprawę, że jeśli spróbuje uciekać w głąb domu, Tess pobiegnie za nią, prawdopodobnie nie obejdzie się bez walki.

Rodzina Trappów ponownie śpiewała. Biorąc pod uwagę położenie, w jakim Tess się znalazła – w jakie sama się wpakowała – ten zadowolony z siebie radosny chórek mógł przyprowadzić o obłąd. Trzymając w prawym ręku „wyciskacz do cytryn” wycelowany w Norville, lewą dłonią złapała pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze. Ale kiedy zaczęła odkładać pilota, zamarła. Na odbiorniku stały dwie rzeczy, lecz w pierwszej chwili zauważyła tylko zdjęcie w ramce, a miseczkę na słodycze omiotła jedynie wzrokiem.

Teraz zobaczyła, że jarzące się iskierki, które wzięła za efekt załamania światła na rżniętym szkle, wcale nie pochodziły ze ścianek. W środku leżały jej kolczyki. Jej brylantowe kolczyki.

Norville chwyciła z półki domek Jasia i Małgosi. To był silny rzut. Tess zrobiła unik. Domek przeleciał dwa centymetry nad jej głową i rozbił się na kawałki o ścianę. Cofnęła się, potknęła o puf i przewróciła. Broń wypadła jej z ręki.

Obie się po nią rzuciły. Norville upadła na kolana i zablokowała Tess ramieniem niczym futbolowy stoper chcący zatrzymać rozgrywającego. Chwyciła pistolet, początkowo nieudolnie nim manipulowała, ale szybko zacisnęła palce na kolbie. Tess sięgnęła do kieszeni kurtki i objęła rękojeść rzeźnickiego noża, który był jej zabezpieczeniem, choć wiedziała, że nie zdąży go użyć. Norville była zbyt potężna... i zbyt macierzyńska. Tak, właśnie to. Chroniła swego syna łobuza przez lata i miała zamiar chronić go teraz. Tess powinna była zastrzelić ją w przedpokoju, w chwili gdy drzwi się za nią zamknęły.

Ale nie mogłam, pomyślała i nawet w tej chwili, zdając sobie sprawę, że to prawda, poczuła niewielką ulgę. Podniosła się na kolana i trzymając cały czas rękę w kieszeni kurtki, ustawiła się przodem do Ramony Norville.

– Jesteś głównianą pisarką i byłaś głównianym gościem spotkania autorskiego – powiedziała Norville. Uśmiechała się, mówiąc coraz szybciej. Jej głos nabral zaśpiewu licytatora. – Nadęłaś się w tej swojej gadce tak samo, jak się nadymasz w swoich debilnych książkach. Idealnie się dla niego nadawałaś, a on niedługo i tak by to zrobił, znam objawy.

Posłałam cię tamtą drogą i cieszę się, że cię wypierdolił. Nie wiem, co tam sobie planowałaś w tej swojej głowce, przyjeżdżając tutaj, ale dostaniesz właśnie to.

Pociągnęła za spust, tyle że rozległ się jedynie suchy trzask. Gdy Tess kupowała broń, słuchała, co się do niej mówi, a najważniejsze było zostawienie pierwszej komory bez naboju, na wypadek gdyby ktoś niechcący pociągnął za spust.

Niemal komiczny wyraz pojawił się na twarzy Norville. Znowu wyglądała na młodą dziewczynę. Spojrzała w dół na pistolet, a kiedy to zrobiła, Tess wyciągnęła nóż z kieszeni kurtki, rzuciła się naprzód i wbiła go po trzonek w brzuch Ramony.

Kobieta wydała z siebie płaski dźwięk „ooo-o o o”, który miał być krzykiem, ale zawiódł na całej linii. Pistolet wypadł jej z ręki, a ona sama zatoczyła się i oparła o ścianę, wpatrzona w rękojeść noża. Wyrzuciła przy tym ramię w bok, strącając figurki Hummela. Pospadały z półki i rozsypały się po podłodze. Ponownie wydała z siebie ciche „ooo-o o o”. Przód podomki nadal był czysty, ale krew zaczęła zabarwiać jej dół i ściekać na męskie buty. Norville objęła dłońmi trzonek noża i spróbowała go wyciągnąć, po raz trzeci jęcząc „ooo-o o o”.

Popatrzyła na Tess z niedowierzaniem. Tess odpowiedziała spojrzeniem. Przypomniała sobie, co się wydarzyło w jej dziesiąte urodziny. Ojciec dał jej procę, a ona wybiegła, żeby poszukać jakiegoś celu, do którego mogłaby postrzelać. W którymś momencie, pięć, może sześć przecznic od domu, spostrzegła bezpańskiego psa o postrzępionych uszach, grzebiącego w śmietniku. Włożyła do procy niewielki kamyk i strzeliła, zamierzając jedynie wystraszyć przybłędę (przynajmniej tak sobie mówiła), ale zamiast tego trafiła go w zadek. Pies zaskowyczał rozpaczliwie i uciekł, ale zanim to zrobił, popatrzył na nią z takim wyrzutem, że nigdy tego nie zapomniała. Dałaby wszystko, żeby cofnąć czas i nigdy go nie skrzywdzić. Nigdy potem nie strzeliła już z procy do żywego stworzenia. Wiedziała, że zabijanie jest częścią życia – nie miała żadnych skrupułów, tłukąc komary, rozstawiała pułapki na myszy, gdy spostrzegła ich bobki w piwnicy, i jadła z apetytem hamburgery – tamtego dnia jednak wydawało jej się, że nigdy już nie zrobi czegoś takiego bez poczucia winy lub wyrzutów sumienia. Ale w salonie przy Lacemaker Lane nie czuła niczego podobnego. Może dlatego, że w końcu była to samoobrona. A może dlatego, że nie miało to nic wspólnego z samoobroną.

– Ramono – powiedziała – czuję w tej chwili pewne powinowactwo z Richardem Widmarkiem. To właśnie robimy kapusiom, złotko.

Norville stała w kałuży własnej krwi, a podomka nareszcie zabarwiała się czerwonymi plamami. Kobieta pobladła na twarzy. Jej ciemne oczy stały się wielkie i połyskliwe od szoku. Wysunęła język i powoli oblizwała dolną wargę.

– Teraz możesz się wić bardzo długo i jeszcze raz o tym pomyśleć. Jak sądzisz?

Norville zaczęła się osuwać. Podeszwy skórzanych butów zapiszczały na krwi. Chwyciła się jednej z półek, ale tylko zerwała ją ze ściany. Cały zastęp Troskliwych Misiów runął na

podłogę, popełniając samobójstwo.

Choć Tess nadal nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia ani niczego nie żałowała, mimo bufońskiej gadki miała niewiele wspólnego z Tommym Udo. Nie chciała obserwować ani przedłużać cierpienia Ramony. Pochyliła się i podniosła trzydziestkęósemkę. Z prawej kieszeni spodni wyciągnęła przedmiot, który wzięła z szuflady obok piekarnika. Była to rękawica kuchenna. Świetnie się nadawała na tłumik, o ile kaliber broni nie był zbyt duży. Dowiedziała się o tym, pisząc *Kółko Robótek Ręcznych „Wierzbina” wyrusza w tajemniczy rejs*.

– Nie rozumiesz. – Głos Norville stał się zachrypniętym szeptem. – Nie możesz tego zrobić. Popełniasz błąd. Zabierz mnie... do szpitala.

– To ty popełniłaś błąd. – Tess nasunęła rękawicę na pistolet, który trzymała w prawym ręku. – Bo nie kazałaś wykastrować syna, kiedy się dowiedziałaś, jaki jest. – Przystawiła zakrytą rękawicą lufę do skroni Norville, przechyliła jej głowę lekko na bok i pociągnęła za spust. Rozległ się niski, głuchy huk, jakby odchrząkał wielki mężczyzna.

I to było wszystko.

35

Nie wyszukała w Google domowego adresu Ala Strehlkego, spodziewała się bowiem, że Ramona go jej poda. Ale, co po raz kolejny sobie uświadomiła, podobne sprawy nigdy nie idą zgodnie z planem. Teraz nie wolno jej było tracić głowy i musiała zająć się wszystkim do końca.

Pokój do pracy znajdował się na piętrze i służył też prawdopodobnie jako dodatkowa sypialnia. Stało tam więcej Troskliwych Misiów i figurek Hummela. Żadna z oprawionych w ramki fotografii nie przedstawiała jej ukochanych synków ani nieodżałowanego Roscoe Strehlkego. Były to zdjęcia z autografami pisarzy, którzy przyjęli zaproszenie Brown Baggers. Pokój przypominał Tess foyer w zajezdzie Stagger Inn, obwieszone zdjęciami zespołów.

Nie poprosiła mnie o autograf na fotografii, pomyślała. No jasne, po co miałyby pamiętać o takiej gównianej pisarce jak ja? Byłam jedynie gadającą głową, zapychającą dziurę w jej harmonogramie spotkań. Nie wspominając o roli mięsa dla jej syna rzeźnika. Mieli szczęście, że pojawiłam się w odpowiednim czasie.

Na biurku Norville, pod korkową tablicą, między biblioteczną korespondencją stał desktop Mac, bardzo podobny do jej własnego. Ekran był ciemny, ale świecąca się dioda w komputerze wskazywała, że to tylko stan uśpienia. Tess palcem w rękawiczce nacisnęła jeden z klawiszy. Ekran się rozświetlił i ujrzała elektroniczny pulpit Norville. Bez nieznośnej potrzeby wstukiwania hasła, jak miło.

Kliknęła na ikonę książki adresowej, dotarła kursorem do „M” i znalazła firmę przewozową „Myszołów”. Adres brzmiał: Transport Plaza 7, Township Road, Colewich. Zjechała niżej do „S” i natrafiła zarówno na przerośniętego znajomego z piątkowej nocy, jak i jego brata Lestera. Wielki Kierowca i Mały Kierowca. Obaj mieszkali przy Township Road, niedaleko firmy, którą najpewniej odziedziczyli po ojcu: Alvin pod numerem 23, Lester pod 101.

Gdyby istniał trzeci brat, pomyślała, staliby się Trzema Małymi Kierowcami Ciężarówek. Jeden mieszkałby w domu ze słomy, jeden w domu z desek i jeden w domu z kamienia. Ale, niestety, jest ich tylko dwóch.

Kiedy znalazła się z powrotem na dole, wyjęła kolczyki z kryształowej miski i włożyła je do kieszeni kurtki. Popatrzyła na martwą kobietę siedzącą przy ścianie – bo tak to wyglądało. W spojrzeniu Tess nie było litości, raczej oceniała sytuację, jak każdy przed ciężką pracą, którą trzeba było dokończyć. Nie musiała się martwić o zacieranie śladów. Była przekonana, że żadnych nie zostawiła, co najwyżej włos czy dwa. Rękawica kuchenna – teraz przedziurawiona – znalazła się ponownie w jej kieszeni. Nóż nie był wyjątkowy, taki sam można było kupić w każdym sklepie w całej Ameryce. O ile zdążyła się zorientować (zresztą i tak się tym nie przejęła), Ramona miała komplet podobnych noży. Jak do tej pory wszystko ułożyło się po myśli Tess, ale najtrudniejsze było chyba dopiero przed nią. Wyszła z domu, wsiadła do samochodu i ruszyła. Piętnaście minut później zjechała na wąski pas rozdzielający drogę, by wprowadzić adres „Township Road 23, Colewich” do GPS.

36

Mając Toma za przewodnika, Tess znalazła się u celu tuż po dziewiątej wieczorem. Księżyc w ostatniej kwadrze nadal wisiał nisko na niebie. Wiatr się nasilił.

Township Road odchodziła od US 47, ale znajdowała się ponad dziesięć kilometrów od Stagger Inn i jeszcze dalej od centrum Colewich. Transport Plaza była przy skrzyżowaniu dwóch dróg. Zgodnie z oznakowaniem działały tam trzy firmy przewozowe i jedna przeprowadzkowa. Budynki, w których się mieściły, wyglądały na paskudztwa z prefabrykatów. Najmniejszy należał do firmy Myszołów Usługi Transportowe. W niedzielną noc w żadnym nie paliło się światło. Za nimi rozciągało się wiele akrów parkingów, ogrodzonego drucianą siatką i oświetlonego mocnymi jarzeniówkami. Wydzieloną część zajmowały ciężarówki i przyczepy. Co najmniej jedna z kabin miała na boku napis „Myszołów Usługi Transportowe”, ale zdaniem Tess to nie ten samochód pokazano na zdjęciu ze strony internetowej, na którym za kierownicą zasiadał „dumny tatuś”. Tuż obok był zajazd dla kierowców ciężarówek. Równie silne latarnie oświetlały dystrybutory paliwa – ponad tuzin. Jasne fluorescencyjne światło wylewało się z prawej strony głównego budynku,

którego lewa strona była pogrążona w mroku. Z tyłu stał jeszcze jeden budynek w kształcie litery „U”. Parkowały przed nim ustawione w nieładzie samochody osobowe i ciężarówki. Tablica informacyjna stojąca przy drodze była dobrą elektroniczną robotą. Jaskrawoczerwonymi znakami napisano na niej:

ZAJAZD DLA KIEROWCÓW CIĘŻARÓWEK U RICHIEGO
„TY JE PROWADZISZ, MY JE ZATANKUJEMY”
ZWYKŁA 2,99 DOL. ZA GALON
DIESEL 2,69 DOL. ZA GALON
ZAWSZE DOSTĘPNE LOSY NA NAJNOWSZE LOTERIE
W NIEDZIELNE NOCE RESTAURACJA NIECZYNNA
PRZEPRASZAMY W NIEDZIELNE NOCE PRYSZNICE NIECZYNNE
SKLEP I MOTEL ZAWSZE CZYNNY
BIBLIA W POKOJACH
SERDECZNIE ZAPRASZAMY

I na dole:

WZMOCNIJ NASZE ODDZIAŁY!
ZWYCIĘŻ W AFGANISTANIE!

W sytuacji, gdy kierowcy ciężarówek przyjeżdżali i odjeżdżali, tankowali pojazdy i sami tankowali (nawet mimo zgaszonych świateł Tess domyślała się, że kiedy restauracja była czynna, należała do rodzaju tych, gdzie w karcie zawsze jest smażony kurczak, klops i domowy pudding z chleba), to miejsce w tygodniu prawdopodobnie przypominało ul, ale w niedzielną noc zamierało, bo nie było tu niczego, nawet knajpy w rodzaju Stagger Inn.

Przy dystrybutorach stał zaparkowany tylko jeden samochód, skierowany przodem do drogi, z pistoletem dystrybucyjnym wetkniętym do wlewu paliwa. Był to stary ford F-150 pick-up ze szpachlówką przy reflektorach. W ostrym świetle nie dawało się dojrzeć koloru, ale Tess nie było to potrzebne. Widziała ten samochód z bardzo bliska i wiedziała, jaki ma kolor. Szoferka była pusta.

– Nie wydajesz się zaskoczona, Tess – odezwał się Tom, kiedy zwolniła i zatrzymała samochód na poboczu, skąd miała widok na sklep. Mimo oślepiającego blasku latarni dostrzegła w nim kilka osób i zorientowała się nawet, że jedna z nich jest bardzo duża. „Był wielki czy naprawdę wielki?” – zapytała ją wcześniej Betsy Neal.

– W ogóle nie jestem zaskoczona – odpowiedziała. – On tu mieszka. Gdzie indziej miałby brać paliwo?

– Może planuje jakiś wyjazd?

– Tak późno w niedzielę? Nie wydaje mi się. Myślę, że był w domu i oglądał *Dźwięki muzyki*. Myślę, że wypił cały zapas piwa i przyjechał, żeby dokupić. Przy okazji postanowił zatankować, skoro już tu był.

– A jednak możesz się mylić. Nie lepiej by było, gdybyś wjechała za sklep, a potem ruszyła za nim, kiedy odjedzie?

Ale Tess nie chciała tego robić. Cały front sklepu przy stacji benzynowej był przeszkłony. Al Strehlke mógłby spojrzeć i zobaczyć ją, jak wjeżdża. Nawet gdyby w oślepiającym świetle latarni nie dojrzał jej twarzy, pewnie rozpoznałby samochód. Po drogach jeździło mnóstwo fordów SUV-ów, ale po piątkowej nocy musiał stać się szczególnie wyczulony na fordy expedition. I była też tablica rejestracyjna – ani chybi zwrócił uwagę na jej numery z Connecticut, gdy podjeżdżał do niej na zachwaszczonym parkingu przy opuszczonym sklepie.

Ale chodziło też o coś jeszcze. Coś może nawet ważniejszego. Zaczęła jechać. Widok zajazdu U Richiego miała teraz w lusterku wstecznym.

– Nie chcę jechać za nim – powiedziała. – Chcę być przed nim. Chcę na niego zaczekać.

– A jeśli on jest żonaty, Tess? – zapytał Tom. – Jeśli żona czeka teraz na niego?

Myśl o tym przeraziła ją w pierwszej chwili. Potem jednak Tess uśmiechnęła się, i to nie tylko dlatego, że nie miał na palcach nic poza sygnetem z czerwonym niby-rubinem.

– Faceci tacy jak on się nie żenią – powiedziała. – W każdym razie nie tacy, którzy trzymają się maminej sukienki. W życiu Ala była tylko jedna kobieta, a teraz ona nie żyje.

37

Township Road, w odróżnieniu od Lacemaker Lane, nie miała w sobie nic z cech przedmieścia. Była równie wiejska jak zespół folklorystyczny. Domy tworzyły wyspę pobłyskującego światła pod lśniącem księżycem.

– Zbliżasz się do celu podróży – powiedział Tom swoim prawdziwym, nie zmyślonym głosem.

Pokonała niewielkie wzniesienie, za którym po lewej stronie zobaczyła skrzynkę na listy z napisem „Strehlke” i numerem 23. Podjazd okazał się długi, zakręcał lekko pod górę, był wyasfaltowany i gładki jak czarny lód. Tess skręciła bez wahania, ale lęk pojawił się w chwili, gdy Township Road znalazła się za nią. Musiała walczyć ze sobą, by nie nacisnąć na hamulec i nie cofnąć wozu. Bo zdawała sobie sprawę, że dalsza jazda pozbawia ją jakiegokolwiek wyboru. Przypominała robaka w butelce. Nawet jeśli Strehlke nie był żonaty, co robi, jeśli będzie u niego ktoś inny? Brat Les na przykład? A jeśli Wielki Kierowca kupował piwo i przekąski nie dla jednej, ale dla dwóch osób?

Tess wyłączyła światła i jechała w świetle księżyca.

W zdenerwowaniu wydawało jej się, że podjazd nie ma końca, ale nie mogła przejechać

więcej niż trochę ponad kilometr, kiedy zobaczyła światła domu. Stał na szczycie wzgórza. Schludny, większy od dachy i mniejszy od typowego domu na wsi. Nie był ani z kamienia, ani też ze słomy. Tess uznała, że w bajce o trzech świnkach i złym wilku byłby to domek z desek.

Po lewej stronie domu stała naczepa z napisem na boku: „Myszołów Usługi Transportowe”. Na końcu podjazdu przed garażem parkowała ciężarówka ze zdjęcia na stronie internetowej. W blasku księżycy prezentowała się upiornie. Tess zwolniła, w miarę jak się zbliżała, a potem wszystko zalało białe światło, które ją oślepiło, rozpraszające mrok na trawniku i podjeździe. To włączyła się latarnia z detektorem ruchu. Gdyby Strehlke wrócił, kiedy nadal by świeciła, zobaczyłby jej poświatę już na początku drogi do domu. Może nawet jeszcze w czasie jazdy po Township Road.

Nacisnęła na hamulec, czując się tak jak kiedyś, gdy jako nastolatka miała sen, w którym była w szkole zupełnie bez ubrania. Usłyszała jęk kobiety. Pomyślała, że sama jęknęła, ale nie rozpoznała własnego głosu i nic też nie poczuła.

– Nie jest dobrze – odezwał się Tom.

– Zamknij się, Tom.

– On może lada chwila wrócić, a nie wiesz, na jak długo nastawiony jest timer w tym urządzeniu. Miałaś już problemy z jego matką. On jest od niej znacznie większy.

– Powiedziałam, żebyś się zamknął!

Próbowała zebrać myśli, ale oślepiające światło bardzo to utrudniało. Cienie ciężarówki i długiej naczepy wydawały się do niej sięgać ostrymi czarnymi mackami – paluchami upióra. Szlag by trafił tę latarnię! Oczywiście facet taki jak on musi mieć mocne światło. Powinna natychmiast stąd odjechać, po prostu zawrócić na trawniku i ruszyć podjazdem najszybciej, jak będzie mogła, ale gdyby to zrobiła, natknęłaby się na niego. Wiedziała o tym. A bez elementu zaskoczenia umrze na pewno.

Myśl, Tesso Jean, myśl!

I, Boże drogi, jakby tego było jeszcze mało, jakiś pies zaczął szczekać. W domu zamknięto psa. Wyobraziła sobie pitbulla z garniturem wyszczerzonych zębów.

– Jeśli masz zamiar zostać, powinnaś zniknąć z widoku – powiedział Tom... i, nie, to nie brzmiało jak jej głos. Właściwie niedokładnie jak jej głos. Może należał do jej najgłębszych pokładów duszy, do osoby, której udało się przeżyć. I do morderczynie, do niej również. Ile niespodziewanych jaźni, ukrywających się w zakamarkach psychiki, może mieć w sobie człowiek? Zaczynała nabierać przekonania, że ta liczba jest nieskończona.

Zerknęła w lusterko wsteczne, zagryzając ciągle opuchniętą dolną wargę. Żadne światła samochodowe jeszcze się nie zbliżyły. Ale czy mogła mieć pewność, biorąc pod uwagę blask księżycy i tę przeklętą latarnię?

– Ma zamontowany timer – powiedział Tom. – Na twoim miejscu, Tess, zrobiłbym jednak coś, zanim się wyłączy. Jeśli ruszysz samochodem, kiedy lampa zgaśnie, znowu ją

włączysz.

Uruchomiła napęd na cztery koła, zaczęła objeżdżać ciężarówkę i stanęła. Po tej stronie rosła wysoka trawa. W bezlitosnym blasku latarni na pewno zauważyłby ślady opon, jakie by zostawiła. Nawet jeśli ta cholerna latarnia w końcu zgaśnie, rozbłyśnie ponownie, kiedy on nadjedzie. A wtedy na pewno je zobaczy.

Pies w domu nie przestawał ujadać:

– Hau! Hau! Hau! Hauhauhau!

– Przejeźdź przez trawnik i ustaw się za naczepą – poradził Tom.

– Ale ślady! Zostaną ślady!

– Musisz gdzieś schować samochód. – Tom powrócił. Mówił tonem przepraszającym, choć stanowczym. – Po tej stronie trawa jest przynajmniej skoszona. Większość ludzi nie zwraca uwagi na takie rzeczy, rozumiesz? Doreen Marquis bez przerwy to powtarza.

– Strehlke nie jest paniusią z Kółka Robótek Ręcznych, to pierdzielony szaleniec.

Ale ponieważ rzeczywiście nie miała wyboru – teraz, kiedy już się tu znalazła – pojechała przez trawnik w kierunku długiej srebrnej naczepy, zalana blaskiem równie jasnym jak w południe w środku lata. Pośladki lekko uniosła nad fotelem, jakby dzięki temu w jakiś magiczny sposób ślady kół expedition mogły stać się mniej widoczne.

– Nawet jeśli latarnia nadal będzie się świecić, kiedy on przyjedzie, może nie nabrać podejrzeń – powiedział Tom. – Dam głowę, że zwierzęta bez przerwy ją włączają. Może specjalnie zainstalował takie światło, żeby odstraszać jelenie od ogrodu warzywnego.

To miało sens (i ton głosu ponownie zaczął przypominać Toma w jej wydaniu), ale niezbyt ją pocieszało.

– Hau! Hau! Hau! – Cokolwiek to było, odgłos świadczył, że Al trzyma w domu cholernego potwora.

Ziemia za naczepą była wyboista i naga – inne naczepy bez wątpienia parkowały tam od czasu do czasu – ale wystarczająco twarda. Tess ustawiła samochód jak najdalej w cieniu naczepy, a potem zgasła silnik. Pociła się jak mysz, roztaczając zapach, z jakim nie poradziłby sobie żaden dezodorant.

Wysiadła i w chwili gdy zatrzasnęła drzwiczki, latarnia zgasła. Przez moment poddała się zabobonemu myśleniu i wydało jej się, że to ona zrobiła, ale szybko zrozumiała, że to cholerne, przerażające urządzenie samo się wyłączyło. Pochyliła się nad rozgrzaną maską samochodu i zaczęła głęboko oddychać, niczym biegacz na ostatnich czterystu metrach maratonu. Dobrze byłoby wiedzieć, na jak długo światło jest zaprogramowane, ale na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. Była zbyt wystraszona. Miała wrażenie, że paliło się całe godziny.

Kiedy znowu wzięła się w karby, przystąpiła do sprawdzenia sprzętu, zmuszając się, by zrobić to wolno i metodycznie. Pistolet, kuchenna rękawica. Wszystko na swoim miejscu, gotowe do użycia. Wątpiła, by przedziurawiona rękawica wytlumiła kolejny strzał, ale liczyła

na odosobnienie domu na wzgórzu. Dobrze zrobiła, zostawiając nóż w brzuchu Ramony. Gdyby doszło do tego, że musiałyby próbować załatwić Wielkiego Kierowcę rzeźnickim nożem, oznaczałoby, że znalazła się poważnych tarapatach.

– A w pistolecie zostały tylko cztery naboje. Lepiej o tym nie zapominaj i strzelaj prosto w niego. Dlaczego nie wzięłaś więcej pocisków, Tesso Jean? Wydawało ci się, że wszystko zaplanowałaś, ale moim zdaniem nie bardzo ci to wyszło.

– Zamknij się – wyszeptała. – Tomie, Fritzy czy kimkolwiek jesteś, zamknij się po prostu.

Ofuknięty głos zamilkł, a Tess zdała sobie sprawę, że w rzeczywistym świecie także zapanowała cisza. Pies przestał szaleńczo szczeleć, gdy zgasła latarnia. Teraz słychać było jedynie wiatr, a światło zapewniał wyłącznie księżyc.

38

Gdy zabrakło oślepiającego blasku latarni, naczepa okazała się doskonałą kryjówką, ale Tess nie mogła tam zostać, jeśli chciała dokonać tego, po co przyjechała. Pobiegła na tył domu, bojąc się, że znowu włączy jakieś światło, ale uznała, że nie ma wyboru. Nie było tam jednak żadnej lampy. Tymczasem księżyc schował się za chmurą, a Tess potknęła się o wylot wentylacyjny piwnicy i upadając na kolana, o włos uniknęła uderzenia głową o tacek. Przez chwilę trwała w bezruchu i zastanawiała się, co robi i kim się stała. Była członkinią związku literatów, która niedawno zabiła kobietę strzałem w głowę. Wcześniej jednak wbiła jej nóż w brzuch. Przestałam mieć jakiegokolwiek skrupuły, pomyślała. Potem przypomniała sobie, jak nazwał ją szmatą, marudną, kurewską szmatą, i przestało ją obchodzić, czy ma jakieś skrupuły, czy nie. Zresztą to i tak było głupie podejście. Skrupułami niech zwracają sobie głowę rasiści.

Strehlke rzeczywiście miał ogród na tyłach domu, ale raczej niewielki i niewart ochrony przed jeleniami. Nic w nim już zresztą nie rosło oprócz kilku dyń, których większość gniła na zagonku. Tess przeszła nad grządkami i dotarła do dalekiego rogu domu, gdzie stała ciężarówka. Księżyc wyłonił się znowu, zmieniając jej chromowane części w płynne srebro mieczy z powieści fantasy.

Tess podeszła do pojazdu, ruszyła wzdłuż jego lewego boku i klękła przy sięgającym brody (jej brody w każdym razie) przednim kole. Wyjęła z kieszeni „wyciskacz do cytryn”. Al nie mógł wjechać do garażu, bo drogę zastawiała ciężarówka. A nawet gdyby tak nie było, garaż był prawdopodobnie wypełniony rupieciami typowymi dla starego kawalera: narzędziami, sprzętem wędkarskim i biwakowym, częściami zamiennymi do ciężarówek, skrzynkami napojów kupowanych na przecenie.

To tylko domysł. A domysły są niebezpieczne. Doreen natarłaby ci za to uszu.

Oczywiście, że tak by zrobiła, przecież nikt nie znał lepiej niż Tess pań z Kółka Robótek Ręcznych, ale te naiwniutkie amatorki słodczy rzadko ryzykowały. Kiedy jednak człowiek naprawdę grał w ciemno, musiał podejmować pewne decyzje na podstawie domysłów.

Tess spojrzała na zegarek i bardzo się zdziwiła, że jest dopiero za dwadzieścia pięć dziesiąta. Miała bowiem wrażenie, że nakarmiła Fritzy'ego i wyszła z domu przed czterema, może nawet pięcioma laty. Wydało jej się, że słyszy warkot silnika, ale uznała to za złudzenie. Wolałaby, żeby wiatr nie był taki silny. Ale każdy kto wdepnął w gównno, wolałby, żeby to była czekolada. Takim porównaniem nie posłużyłaby się żadna z pań z Kółka Robótek Ręcznych – Doreen Marquis i jej przyjaciółki wybrałyby raczej coś w rodzaju „im wcześniej się zaczniesz, tym wcześniej się skończysz” – co nie zmieniało faktu, że oba powiedzenia były równie prawdziwe.

Może on rzeczywiście gdzieś się wybierał, mimo że była niedzielna noc. Może Tess nadal będzie tu tkwiła, gdy nastanie świt, wyziębiona do szpiku i tak już bolących kości przez wiatr omiatający to wzgórze, gdzie przywiodło ją własne szaleństwo.

Nie, to on jest szalony. Pamiętasz, jak tańczył? Jak jego cień tańczył za nim na ścianie? Pamiętasz, jak śpiewał? Jego piskliwy głos? Zaczekaj na niego, Tesso Jean. Czekać, aż piekło zamrznie. Za daleko zaszłaś, żeby teraz się wycofać.

Tego się chyba obawiała.

To nie będzie morderstwo w eleganckim salonie. Rozumiesz, prawda?

Rozumiała. To zabójstwo – jeśli się na nie odważy – będzie bardziej przypominało *Życzenie śmierci* niż *Kółko Robótek Ręcznych* „*Wierzbina*” *wchodzi za kulisy*. Miała nadzieję, że on zaparkuje tuż obok ciężarówki, za którą się schowała. Zgasi światła pick-upu i zanim jego oczy dostosują się...

Tym razem to nie był wiatr. Rozpoznała nierówny stukot silnika, zanim jeszcze zza zakrętu podjazdu wyłoniły się światła. Przyklękła na jedno kolano i niżej opuściła daszek czapki, żeby wiatr jej nie zerwał. Będzie musiała się zbliżyć, a to oznaczało, że zgranie wszystkiego w czasie musi być idealne. Gdyby próbowała zastrzelić go z zasadzki, najprawdopodobniej by chybiła, nawet z bliska. Instruktor strzelecki powiedział jej, że na „wyciskaczu do cytryn” można polegać z odległości najwyżej trzech metrów. Doradzał, by kupiła bardziej niezawodną broń, ale ona tego nie zrobiła. Niemniej podejście na tyle blisko, by na pewno go zabić, to jeden problem. Wcześniej musiała się przekonać, że w pick-upie siedzi Strehlke, a nie jego brat lub jakiś kumpel.

Nie mam żadnego planu.

Było jednak za późno na planowanie, bo samochód nadjechał, latarnia się włączyła, a Tess spostrzegła brązową czapkę z białymi plamami. Widziała też, jak się wykrzywił z powodu oślepiającego blasku, podobnie jak ona, i była pewna, że na chwilę przestał widzieć. Więc albo teraz, albo nigdy.

Jestem Odważną Kobieta.

Nie mając planu, nawet się nie zastanowiwszy, obesza ciężarówkę długim, spokojnym krokiem. Wiatr huczał wokół niej, szarpał jej szerokie spodnie. Otworzyła drzwiczki po stronie pasażera i zobaczyła sygnet z czerwonym oczkiem na ręku kierowcy. Brał właśnie papierową torbę z czymś w kształcie sześcianu w środku. Piwo, prawdopodobnie dwanaście puszek. Obrócił się w jej stronę i wtedy stało się coś strasznego: doznała rozdwojenia. Odważna Kobieta patrzyła na bydlaka, który ją zgwałcił, dusił i wepchnął do przepustu, gdzie tkwiły gnijące ciała. Tess zaś zobaczyła trochę szerszą twarz i zmarszczki wokół ust, i oczy, których nie widziała w piątkową noc. W chwili jednak gdy rejestrowała te różnice, „wyciskacz do cytryn” szczęknął dwukrotnie. Pierwsza kula trafiła Strehlkego w gardło tuż pod brodą. Druga zrobiła mu czarną dziurę nad krzaczastą brwią i rozbiła okno po stronie kierowcy. Opadł do tyłu na drzwi, ręka sięgająca po torbę odsunęła się. Całym jego ciałem wstrząsnął monsturalny spazm, a dłoń z sygnetem uderzyła w środek kierownicy, uruchamiając klakson. W domu pies zaczął ponownie ujadać.

– Nie, to on! – Stała przy otwartych drzwiczkach z pistoletem w ręku i wpatrywała się w niego. – To musi być on!

Okrzyknęła maskę pick-upu, straciła równowagę, upadła na jedno kolano, podniosła się i szarpnęła za drzwi kierowcy. Strehlke wyleciał na zewnątrz, uderzając martwą głową o gładki asfalt podjazdu. Spadła mu czapka. Jego prawe oko, wypchnięte z oczodołu kulą która wbiła się w głowę powyżej, wpatrywało się w księżyc. Lewe patrzyło na Tess. Ale to nie twarz przekonała ją ostatecznie – twarz ze zmarszczkami, które widziała po raz pierwszy, twarz poznaczona dziobami po ospie, jakich nie było na tamtej twarzy z piątkowej nocy.

„Był wielki czy naprawdę wielki?” – zapytała Betsy Neal.

„Naprawdę wielki” – odpowiedziała Tess, bo taki był... ale nie tak duży jak ten. Jej gwałciciel miał prawie dwa metry wzrostu, jak oceniła, gdy wysiadł z pick-upu (tego pick-upu, tu nie miała żadnych wątpliwości). Z wielkim brzuchem, o grubych udach i szeroki jak szafa. Ten zaś facet musiał mieć dobrze ponad dwa metry. Chciała zapołować na olbrzyma, a zabiła molocho.

– O mój Boże – jęknęła, a wiatr poniósł jej słowa. – O mój dobry Boże, co ja zrobiłam?

– Zabiłaś mnie, Tess – odezwał się leżący na ziemi mężczyzna... co było całkiem logiczne, biorąc pod uwagę, że miał dziurę w głowie i drugą w gardle. – Przyszłaś i zabiłaś Wielkiego Kierowcę, tak jak chciałaś.

Zwiotczały jej mięśnie. Opadła na kolana obok niego. Nad nią księżyc świecił z huczącego od wiatru nieba.

– Sygnet – wyszeptała. – Czapka. Pick-up.

– Sygnet i czapkę zakłada, kiedy idzie na łowy – powiedział Wielki Kierowca. – I jedzie pick-upem. Kiedy poluje, ja jestem w trasie jedną z ciężarówek Myszołowa, i jeśli ktoś go wtedy zobaczy... zwłaszcza siedzącego... bierze go za mnie.

– Dlaczego miałby to robić? – zapytała Tess martwego mężczyznę. – Jesteś jego bratem.

– Bo jest obłąkany – wyjaśnił spokojnie Wielki Kierowca.

– No i przedtem to się sprawdzało – dodała Doreen Marquis. – Kiedy byli młodszy i Lester zaczął mieć kłopoty z policją. Pytanie jednak brzmi: czy Roscoe Strehlke popełnił samobójstwo z powodu jego pierwszych problemów z władzami, czy dlatego, że Ramona zmusiła starszego syna, Ala, by wziął winę na siebie? A może Roscoe chciał to powiedzieć i Ramona go zabiła. I upozorowała samobójstwo. Jak to było, Al?

Jednak w tej sprawie Al zachował milczenie. Grobowe milczenie, mówiąc ściśle.

– Powiem ci, jak to było moim zdaniem – odezwała się Doreen w świetle księżycy. – Ramona wiedziała, że jeśli twój młodszy braciszek znajdzie się w sali przesłuchań z nawet niezbyt bystrym policjantem, może się przyznać do czegoś znacznie gorszego niż podmacywanie dziewczyny w szkolnym autobusie czy zagładanie do samochodów w miejscowej alejce zakochanych, czy o co tam go oskarżono. Uważam, że namówiła cię, żebyś wziął winę na siebie, a męża przekonała, żeby nabrał wody w usta. Lub po prostu go zastraszyła, to bardziej prawdopodobne. I albo policja nigdy nie kazała dziewczynie dokonać identyfikacji, albo ona sama nie upierała się przy wnoszeniu oskarżenia... dość, że uszło im to na sucho.

Al nic nie powiedział.

Tess pomyślała: Klęczę tu i mówię zmyślonymi głosami. Straciłam rozum.

Mimo to jakaś jej część wiedziała, że właśnie próbuje zachować rozum. Jedynym sposobem na to było rozwikłanie zagadki i jej zdaniem historia, którą opowiedziała głosem Doreen, była prawdziwa lub bardzo bliska prawdy. Bazowała na domysłach i wątlutkiej dedukcji, ale trzymała się kupy. Pasowała do tego, co Ramona powiedziała w ostatnich chwilach życia.

„Ty głupia pizdo, nie masz pojęcia, co mówisz!”

I: „Nie rozumiesz. Popelniasz błąd”.

To prawda, popełniła błąd. Wszystko, co zrobiła tej nocy, było błędem.

Nie, nie wszystko. Ramona była w to zamieszana. Wiedziała.

– A ty też wiedziałeś? – Tess zapytała mężczyznę, którego zabiła. Chciała złapać go za ramię, ale cofnęła rękę. Ciało pod rękawem na pewno było jeszcze ciepłe. Mogłaby pomyśleć, że nadal żyje. – Wiedziałeś?

Nie odpowiedział.

– Pozwól, że ja spróbuję – odezwała się Doreen. Najśladźszym głosem starszej pani, takim, który zawsze sprawdzał się w książkach, z rodzaju „mnie możesz powiedzieć wszystko”, zwróciła się do niego: – Jak dużo wiedziałeś, panie Kierowco?

– Miałem swoje podejrzenia – odrzekł. – Ale generalnie nie zastanawiałem się nad tym. Musiałem zajmować się firmą.

– Czy kiedykolwiek zapytałeś matkę?

– Możliwe – powiedział, a Tess uznała jego dziwnie wybaluszone prawe oko za oznakę

wykręcania się od odpowiedzi. Ale w osobliwym świetle księżyca niełatwo było to ocenić. Kto zresztą potrafiłby wziąć to za pewnik?

– Kiedy dziewczyny znikają? To wtedy pytałeś?

Na to Wielki Kierowca nie odpowiedział, może dlatego, że głos Doreen zaczął brzmieć podobnie jak głos Fritzego. I Toma TomToma, oczywiście.

– Ale nigdy nie było żadnego dowodu, prawda? – Tym razem to Tess sama zapytała. Nie była pewna, czy zareaguje na jej głos.

– Nie, żadnego dowodu.

– I ty nie chciałeś dowodu, prawda?

Na to jednak nie uzyskała odpowiedzi, toteż podniosła się i niepewnym krokiem podeszła do poplamionej brązowej czapki, która leżała na trawniku. W chwili gdy ją podnosiła, światło latarni znowu zgasło. Pies w domu przestał czekać. To przywiodło jej na myśl Sherlocka Holmesa. Stojąc tak na wietrze w świetle księżyca, Tess usłyszała stłumiony śmiech kobiety, ale tak smutny, że chyba wcześniej ludzkie gardło nie wydało z siebie czegoś podobnego. Zdjęła własną czapkę, wepchnęła ją do kieszeni kurtki i założyła jego czapkę. Okazała się na nią za duża, dlatego ściągnęła ją i ścięła pasek z tyłu. Wróciła do mężczyzny, którego zastrzeliła i osądziła jako prawdopodobnie nie do końca niewinnego... na pewno jednak niezasługującego na karę, jaką wymierzyła mu Odważna Kobieta.

Popukała się w daszek brązowej czapki i zapytała:

– Czy w niej właśnie jeździłeś w trasy?

I wiedziała, że nie.

Strehlke nie odpowiedział, zrobiła to za niego Doreen Marquis, nestorka Kółka Robótek Ręcznych.

– Oczywiście, że nie. Kiedy jedziesz w trasę ciężarówką Myszołowa, masz na głowie firmową czapkę, prawda, złociutki?

– Tak – powiedział Strehlke.

– I nienosisz wtedy sygnetu, prawda?

– Nie. Klienci uważają, że jest zbyt jarmarczny. Nie pasuje do poważnego człowieka interesów. Zresztą gdyby w którymś z tych zapchlonych zajazdów dla kierowców ciężarówek zobaczył go ktoś zbyt pijany albo naćpany, żeby myśleć rozsądnie, i uznał za prawdziwy...? Nikt nie zaryzykowałby napadu na mnie, na to jestem za duży i za silny... przynajmniej tak było do dzisiejszej nocy... ale mógłby próbować mnie zastrzelić. A ja nie zasługuję na kulkę. Nie za tandetny sygnet ani za straszne rzeczy, które mógł robić mój brat.

– I nigdy nie jeździłeś ze zleceniami z firmy w tym samym czasie co brat, prawda, złociutki?

– Nie. Kiedy on jest w drodze, ja pilnuję biura. Kiedy ja jestem w drodze, on... cóż. Chyba wiecie, co robi, kiedy mnie nie ma.

– Powinieneś to ujawnić! – wrzasnęła na niego Tess. – Nawet jeśli to były tylko

podejrzenia, powinienes to powiedziec!

– Bał się. – Doreen spokojnie weszła jej w słowo. – Bałeś się, prawda, złociutki?

– Tak – przyznał Al. – Bałem się.

– Brata? – zapytała Tess, nie dowierzając albo nie chcąc w to uwierzyć. – Bałeś się młodszego brata?

– Nie jego – odpowiedział Al Strehlke. – Jej.

39

Kiedy wróciła do samochodu i zapuściła silnik, odezwał się Tom:

– Nie mogłaś tego wiedzieć, Tess. I to wszystko wydarzyło się zbyt szybko.

To była prawda, ale pomijała jeden znaczący fakt: ścigając swego gwałciciela niczym mścicielka z filmu, skazywała się na piekło.

Przystawiła lufę do skroni, a potem ją odsunęła. Nie mogła, nie teraz. Nadal musiała pamiętać o kobietach w przepuście. I miała też zobowiązania wobec każdej następnej, która może do nich dołączyć, jeśli Lester Strehlke się jej wymknie. Zresztą po tym, co zaszło do tej pory, dopadnięcie go stało się ważniejsze niż kiedykolwiek.

Musiała pojechać w jeszcze jedno miejsce. Ale nie własnym fordem expedition.

40

Podjazd do Township Road 101 nie znajdował się daleko i nie był wybrukowany. Okazał się zwykłą polną drogą z koleinami. Krzaki rosły po jej bokach na tyle blisko, że gdy Tess jechała pod górę do niewielkiego domu, ocierały się o karoserię F-150. Tu nic nie było schludne. Wszędzie błoto i pełno jakichś starych rupieci, sceneria jakby żywcem przeniesiona z *Teksańskiej masakry pilą mechaniczną*. Życie naprawdę naśladuje sztukę, czasami. A im prymitywniej szta sztuka, tym lepsza imitacja.

Tess nawet nie próbowała się skradać – po co wyłączać światła, skoro Lester pozna odgłos silnika pick-upu brata, tak samo jak poznałby jego głos?

Nadal miała na głowie poplamioną brązową czapkę noszoną przez Wielkiego Kierowcę, gdy nie był w trasie – czapkę przynoszącą szczęście, lecz ostatecznie, jak się okazało, pechową. Sygnet z fałszywym rubinem był stanowczo za duży na którykolwiek z jej palców, dlatego włożyła go do lewej przedniej kieszeni spodni. Kiedy Mały Kierowca wyruszał na polowanie, przebierał się za brata i jeździł jego wozem, więc choć pewnie nie będzie miał czasu (albo dość rozumu), by docenić ironię faktu, że jego ostatnia ofiara zjawi się u niego z tymi rekwizytami, Tess była w stanie ją docenić.

Zaparkowała na tyłach domu, zgasiła silnik i wysiadła. W rękę trzymała pistolet. Drzwi nie były zamknięte. Weszła do szopy, gdzie pachniało piwem i zepsutym jedzeniem. Pojedyncza sześćdziesięciowatowa żarówka zwisała z sufitu na brudnym drucie. Na wprost stały cztery wypełnione po brzegi plastikowe pojemniki na śmiecie, każdy o pojemności stu dwudziestu litrów, takie, jakie można kupić w Wal-Marcie. Za nimi, przy ścianie szopy, piętrzyło się coś, co wyglądało na co najmniej pięć roczników tygodnika „Uncle Henry’s” z darmowymi ogłoszeniami „kupię-sprzedam-zamienię”. Po lewej stronie, nad pojedynczym stopniem, widać było drugie drzwi. Pewnie prowadziły do kuchni. Zamykały się na staroświecką zasuwkę, a nie na zamek zatraskowy. Kiedy odsunęła zasuwkę i pchnęła drzwi, nieoliwione zawiasy głośno zaskrzypiały. Godzinę wcześniej podobny odgłos przeraziłby ją i sparaliżował. Teraz w ogóle się nim nie przejęła. Miała sprawę do załatwienia. Do tego wszystko się sprowadzało. Czowała się uwolniona od bagażu emocji, co poprawiało jej nastrój. Weszła do pomieszczenia wypełnionego zapachem jakby tłustego mięsa czy cokolwiek to było, co Mały Kierowca przygotował sobie na kolację. Usłyszała śmiech, jaki wmontowuje się w programy telewizyjne. Oglądał sitcom. *Kroniki Seinfelda*, pomyślała.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – zawołał Lester Strehlke, przekrzykując śmiech z telewizora. – Jeśli przyszedłeś na piwo, to mam tylko jedną puszkę, bo druga jest już w połowie pusta. Dopiję i kładę się spać. – Ruszyła za jego głosem. – Gdybyś zadzwonił, oszczędziłbyś sobie kłó...

Weszła do pokoju. Zobaczył ją. Tess nie zastanawiała się, jak on zareaguje na widok swojej ostatniej ofiary, na dodatek uzbrojonej i w czapce, którą sam nosił, kiedy ulegał własnym chuciom. Jednak nawet gdyby o tym myślała, nigdy nie przewidziałaby tak skrajnej reakcji. Strehlke rozdziawił szeroko usta, a potem cała twarz mu zastygła. Puszka piwa, którą trzymał w rękę, upadła na jego uda, rozchlapując pianę na poźółkle obcisłe szorty.

Widzi ducha, pomyślała i ruszyła w jego stronę, unosząc broń. Dobrze.

Miała czas, by się wszystkiemu przyjrzeć. Choć w salonie panował starokawalerski bałagan i brakowało kul śnieżnych i figurynek, umeblowanie było identyczne z tym w domu jego matki przy Lacemaker Lane: zestaw wypoczynkowy, podręczny stolik (z ostatnią nieotwartą puszką piwa i paczką chipsów o smaku tortilli zamiast dietetycznej coli i chipsów serowych), taką samą gazetę z programem telewizyjnym, z Simonem Cowellem na okładce.

– Ty nie żyjesz – wyszeptał.

– Nie – odpowiedziała Tess. Przystawiła lufę „wyciskacza do cytryn” do boku jego głowy. Spróbował bez przekonania chwycić ją za nadgarstek, ale było to stanowczo za mało i za późno. – To ty nie żyjesz.

Pociągnęła za spust. Krew wypłynęła mu z ucha, głowę odrzuciło na bok. Wyglądał jak człowiek, który usiłuje patrzeć za siebie. W telewizorze George Costanza powiedział: „Byłem w basenie, byłem w basenie”. Publiczność zaczęła się śmiać.

Dochodziła północ, wiatr był silniejszy niż kiedykolwiek. Jego podmuchy wstrząsały całym domem Lestera Strehlkego i za każdym razem, gdy się to działo, Tess myślała o śwince, która miała domek zbudowany z desek.

Świnka mieszkająca tutaj już nie musiała się bać, że jej zasrany domek zostanie zdmuchnięty, bo leżała martwa w fotelu.

Zresztą i tak nie był świnką, pomyślała Tess. Był wielkim, złym wilkiem.

Siedziała w kuchni i pisała w brudnym notatniku, który znalazła w sypialni Strehlkego na górze. Na piętrze znajdowały się cztery pokoje. Trzy z nich były pełne rupieci, począwszy od żelaznej ramy łóżka, aż po silnik do łodzi, który wyglądał, jakby spadł z piątego piętra. Ponieważ przejrzenie tych śmieci zajęłoby jej tygodnie, jeśli nie miesiące, i w gruncie rzeczy nie miałyby sensu, Tess przetrząsnęła dokładnie jedynie sypialnię Lestera. Notatnik okazał się premią. To, czego szukała, znalazła w starej dużej torbie podróżnej, wciśniętej na sam tył szafy, gdzie dodatkowo zakamuflował ją – niezbyt skutecznie – starymi numerami „National Geographic”. Była w niej splątana damska bielizna. Jej własne majtki leżały na samym wierzchu. Tess schowała je do kieszeni i na ich miejsce położyła zwój żółtej liny z łodzi. Nikt nie będzie zaskoczony, kiedy znajdzie linę w torbie z trofeami gwałciciela i mordercy. Poza tym już nie była jej potrzebna.

„Tutaj nie mamy już nic do roboty, Tonto” – powiedział Samotny Strażnik.

To, co pisała, gdy *Kroniki Seinfelda* ustąpiły miejsca *Frasierowi*, a *Frasier* lokalnym wiadomościom (jeden z mieszkańców Chicopee wygrał na loterii, inny złamał kręgosłup, spadając z rusztowania, więc bilans wychodził na zero), było spowiedzią w formie listu. Kiedy dotarła do piątej strony, lokalne wiadomości ustąpiły miejsca zdającej się nie mieć końca reklamie preparatu Almighty Cleanse. Danny Vierra mówił: „Niektórzy Amerykanie wypróżniają się co drugi albo co trzeci dzień, a ponieważ to trwa od lat, uwierzyli, że to normalne! Każdy lekarz godny tego miana powie wiem, że tak nie jest!”

List był zatytułowany *Do odpowiednich władz*, a na pierwszych czterech stronach znajdował się tylko jeden akapit. W jej głowie to brzmiało jak krzyk. Ręka się jej zmęczyła, a długopis, który znalazła w szufladzie w kuchni (z wytartym napisem z boku: „Myszołów Usługi Transportowe”), zaczynał się wypisywać, ale dzięki Bogu niemal skończyła. I podczas gdy Mały Kierowca dalej nie oglądał telewizji z miejsca, gdzie siedział, ona rozpoczęła wreszcie piątą kartkę od nowego akapitu.

Nie będę szukała wytłumaczenia dla tego, co zrobiłam. Nie powiem też, że zrobiłam to, gdy nie odpowiadałam za siebie. Byłam wściekła i pomyliłam się. To wszystko. W innych okolicznościach – to znaczny mniej przerażających – mogłabym powiedzieć: „To była całkiem zrozumiała pomyłka, obaj są do siebie tak podobni, że mogli uchodzić za bliźniaków”. Ale tu nie ma mowy o innych

okolicznościach.

Siedząc tu, zapisując te strony, słuchając telewizji i wiatru, zastanawiałam się nad pokutą – nie dlatego, że liczę na przebaczenie, ale dlatego, że wydaje mi się niewłaściwe czynienie zła bez choćby próby zrównoważenia go z czymś dobrym. (W tym miejscu Tess myślała o swoistym bilansie tworzonym przez mężczyznę, który wygrał na loterii, i drugiego, który spadł z rusztowania, ale była zbyt zmęczona, by wyjaśniać tę teorię, a zresztą nie do końca uważała ją za istotną). Brałam pod uwagę wyjazd do Afryki i pracę z chorymi na AIDS. Pomyślałam o wyjeździe do Nowego Orleanu i wolontariacie wśród bezdomnych lub pracy w stołówce dla biednych. Zastanawiałam się nad wyjazdem do Zatoki i oczyszczaniem ptaków z ropy. Rozważałam przekazanie około miliona dolarów z mojego funduszu emerytalnego jakiejś grupie zajmującej się przeciwdziałaniem przemocy wobec kobiet. Musi być takie stowarzyszenie w Connecticut, a może nawet jest ich kilka.

Ale wtedy przypomniałam sobie o Doreen Marquis z Kółka Robótek Ręcznych i o tym, co zawsze mówi w każdej książce...

To, co Doreen powtarzała przynajmniej raz w każdej książce, brzmiało tak: „Mordercy zawsze przeoczą rzeczy oczywiste. Możecie być tego pewne, złociutki”. Pisząc, Tess zdała sobie sprawę, że odbycie pokuty będzie niemożliwe. Bo Doreen ani trochę się nie myliła.

Tess miała na głowie czapkę, żeby nie zostawić po sobie włosów, które można by poddać badaniu DNA. Założyła rękawiczki, których ani na chwilę nie zdjęła, nawet prowadząc pick-up Alvina Strehlkego. Jeszcze nie było za późno, mogła spalić tę spowiedź w piecu kuchennym Lestera, pojechać do znacznie przyjemniejszego domu Alvina (domu z kamieni, a nie z desek), wsiąść do własnego forda i wrócić do Connecticut. Pojechałaby do domu, gdzie czekał Fritzy. Na pierwszy rzut oka nic jej nie obciążało i minęłoby kilka dni, zanim policja wpadłaby na jej trop. Bo wcześniej czy później by wpadła. Ponieważ skupiając się na szczegółach, Tess przeoczyła coś o największym znaczeniu, dokładnie tak jak mordercy z książek o Kółku Robótek Ręcznych.

To coś o największym znaczeniu nazywało się Betsy Neal. Ładna kobieta o owalnej twarzy, niepasujących do niej oczach i z chmurą ciemnych włosów. Rozpoznała Tess, miała nawet jej autograf, ale nie to było rozstrzygającym argumentem. Zasadniczą rolę odgrywały siniaki na twarzy („Mam nadzieję, że to nie stało się tutaj” – powiedziała Betsy Neal) i fakt, że Tess pytała ją o Alvina Strehlkego, opisała jego ciężarówkę i potwierdziła opis sygnetu, kiedy Neal o nim wspomniała. „Wyglądał jak rubin” – powiedziała wtedy.

Neal dowie się o sprawie z telewizji albo przeczyta o niej w gazecie – zabite trzy osoby z tej samej rodziny, jak mogłaby to przegapić? – i zgłosi się na policję. Policja przyjedzie do Tess. Rutynowo sprawdzą, rzecz jasna, rejestry broni w Connecticut i odkryją, że Tess ma

rewolwer Smith & Wesson kalibru 38, znany jako „wyciskacz do cytryn”. Poproszą, żeby im go wypożyczyła, bo chciałyby przeprowadzić test, i porównają z pociskami wyjętymi z ciał trzech ofiar. I co wtedy miałyby powiedzieć? Popatrzyłyby na nich podbitymi oczami i oznajmiła (głosem nadal zachrypniętym po duszeniu, jakie zafundował jej Lester Strehlke), że go zgubiła? Czy trzymałaby się tej historii nawet wtedy, gdy znaleziono by trupy kobiet w przepuście?

Tess ujęła pożyczony długopis i ponownie zaczęła pisać.

...co powtarza w każdej książce: mordercy zawsze przeoczą rzeczy oczywiste. Raz Doreen zapożyczyła pomysł z książki Dorothy Sayers i zostawiła mordercę z naładowaną bronią, radząc mu, by wybrał honorowe rozwiązanie. Mam pistolet. Moim jedynym żyjącym krewnym jest brat Mike. Mieszka w Taos w Nowym Meksyku. Wydaje mi się, że może odziedziczyć moją posiadłość. To zależy od sądowej kwalifikacji moich zbrodni. Jeśli tak się stanie, mam nadzieję, że władze, które znajdą ten list, dadzą mu go do przeczytania i przekażą moje życzenie, by zrobił hojną donację na rzecz jakiejś organizacji charytatywnej zajmującej się kobietami wykorzystywanymi seksualnie.

Przykro mi z powodu Wielkiego Kierowcy – Alvina Strehlkego. To nie on mnie zgwałcił i jestem pewna, że nie zgwałcił ani nie zabił żadnej z pozostałych kobiet.

Doreen? Nie, ona. Doreen nie istnieje. Ale Tess była zbyt zmęczona, żeby to zmieniać. A tam, do licha – przecież i tak zbliżał się jej koniec.

Jeśli chodzi o Ramonę i to ścierwo w drugim pokoju, nie będę przepraszała. Lepiej dla nich, że nie żyją. I, rzecz jasna, dla mnie.

Przerwała na czas wystarczająco długi, by przejrzeć wszystkie strony i sprawdzić, czy o czymś nie zapomniała. Ponieważ nie miała nic więcej do powiedzenia, podpisała się – złożyła ostatni autograf. Tusz skończył się na ostatniej literze. Odłożyła długopis.

– Masz jeszcze coś do dodania, Lester? – zapytała.

Tylko wiatr jej odpowiedział, uderzając wystarczająco silnie, by niechlujny dom jęknął w spoinach, i wpychając do środka powiew zimnego powietrza.

Wróciła do salonu. Założyła martwemu mężczyźnie czapkę na głowę i sygnet na palec. Chciała, żeby tak właśnie go znaleźli. Na telewizorze stało oprawione zdjęcie. Widać na nim było Lestera obejmującego się z matką. Uśmiechali się. Jak chłopczyk ze swoją mamusią. Popatrzyła na nie przez chwilę i wyszła.

Czuła, że powinna pojechać do opuszczonego sklepu, gdzie wszystko się stało, i tam zakończyć sprawę. Mogłaby posiedzieć chwilę na parkingu porośniętym chwastami, posłuchać wiatru poruszającego starym szyldem („Lubisz to, a to do ciebie pasuje”) i pomyśleć o tym, o czym ludzie myślą w ostatnich chwilach życia. W jej przypadku byłby to prawdopodobnie Fritzy. Zakładała, że Patsy się nim zaopiekuje, co byłoby w porządku. Koty to mistrzowie przeżycia. Nie zwracają uwagi na to, kto je karmi; ważne, żeby miska była pełna.

O tej porze jazda do sklepu nie powinna trwać zbyt długo, a jednak Tess miała wrażenie, że to za daleko. Była bardzo zmęczona. Postanowiła, że wsiądzie do starego pick-upu Ala i tam to zrobi. Jednocześnie nie chciała poplamić krwią spowiedzi napisanej z takim trudem. Jej zdaniem byłoby to niewłaściwe ze względu na zawarte w niej szczegóły morderstw. I tak...

Wyrwała kartki z notesu, poszła do salonu, w którym nadal grał telewizor (młody człowiek o wyglądzie kryminalisty zachwalał automat do mycia podłogi), i rzuciła je na kolana Strehlkego.

– Potrzyмай to, Les – powiedziała.

– Nie ma problemu – odparł.

Zauważyła, że kawałki jego mózgu zaczęły już obsychać na ramieniu wyblakłej koszuli. To było w porządku.

Tess wyszła w wietrzną noc i powoli usiadła za kierownicą pick-upu. Zgrzyt zawiasów przy zatraskiwaniu drzwi od strony kierowcy wydał jej się dziwnie znajomy. Ale nie, nie aż tak dziwnie. Czy nie słyszała go pod sklepem? Tak. Usiłowała zrobić mu przysługę, bo on chciał jej pomóc – miał zamiar zmienić jej koło, dzięki czemu mogłaby wrócić do domu i nakarmić kota.

– Nie chciałam, żeby wyczerpał mu się akumulator – powiedziała i zaczęła się śmiać.

Przyłożyła krótką lufę trzydziestkiósemki do skroni i ponownie się zastanowiła. Taki strzał nie zawsze okazywał się skuteczny. Chciała, żeby jej pieniądze pomogły innym kobietom, które skrzywdzono, a nie zostały zmarnowane na opiekę, gdy będzie latami leżała w jakimś przybytku dla ludzi warzyw.

Usta, tak byłoby lepiej. Pewniej.

Lufa dotknięta językiem miała oleisty smak. Tess czuła niewielką wypukłość muszki na podniebieniu.

Miałam dobre życie – całkiem dobre w każdym razie – i choć na końcu popełniłam straszliwy błąd, może nie będzie to wykorzystane przeciwko mnie, jeśli istnieje coś po śmierci.

Ach, ale nocny wiatr był taki wzruszający! Podobnie jak nikłe zapachy, które niósł ze sobą, wpadające przez na wpół otwarte okno od strony kierowcy. Szkoda było to zostawiać,

ale czy miała wybór? Czas było się zabierać.

Tess zamknęła oczy, docisnęła palec na spuście. I wtedy odezwał się Tom. Dziwne, że mógł to zrobić, bo był w expedition, który stał zaparkowany przy domu drugiego brata, prawie dwa kilometry stąd. Poza tym głos zupełnie nie przypominał tego, którym zwykle się posługiwała, mówiąc w jego imieniu. I nie brzmiał jak jej głos. Był lodowaty. A ona – ona miała w ustach lufę. Nie była w stanie powiedzieć słowa.

– Nigdy nie była dobrym detektywem, prawda?

Wyjęła pistolet z ust.

– Kto? Doreen?

– A któż by inny, Tesso Jean? I dlaczego miałyby być dobra? Przecież to ty ją stworzyłaś, dawna ty. Mam rację?

Tess przyjęła, że to prawda.

– Doreen wierzy, że Wielki Kierowca nie zgwałcił ani nie zabił tamtych kobiet. Czy nie to napisałaś?

– Napisałam – odpowiedziała Tess. – Jestem tego pewna. Byłam po prostu zmęczona. I chyba w szoku.

– To cię nie usprawiedliwia.

– Tak, nie usprawiedliwia.

– Czy twoim zdaniem ludzie z poczuciem winy potrafią dobrze dedukować?

Nie, pewnie nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że rozwiązałaś tylko część zagadki. Zanim zdążyłaś wszystko rozwikłać, ty, a nie jakaś stereotypowa starsza pani tropiąca przestępców, wydarzyło się coś najwyraźniej niefortunnego.

– Niefortunnego? Tak właśnie to określasz? – Tess usłyszała własny śmiech dochodzący ze znacznej odległości. Wiatr uderzał gdzieś poluzowaną rynną o okap. Dźwięk przypominał tykanie szyldu 7-up w opuszczonym sklepie.

– Zanim się zastrzelisz – powiedział nowy, obcy Tom (jego głos przez cały czas brzmiał kobieco) – dlaczego sama się nad tym nie zastanowisz? Ale nie tutaj.

– No to gdzie?

Tom nie odpowiedział na to pytanie i nie musiał.

– I zabierz ze sobą tę pierdoloną spowiedź – dodał zamiast tego.

Tess wysiadła z samochodu i wróciła do domu Lestera Strehlkego. Stała w kuchni zabitego mężczyzny i myślała. Na głos. Głosem Toma (który coraz bardziej przypominał jej własny). Doreen najwyraźniej się zmyła.

– Klucz do domu Ala powinien być na kółku razem z kluczami od samochodu – powiedział Tom. – Ale tam jest pies. Nie możesz zapomnieć o psie.

Nie, to byłoby fatalne. Tess podeszła do lodówki. Po krótkim szukaniu znalazła na tyłach

dolnej półki pudełko z hamburgerem. Owinęła go podwójną warstwą gazety z ogłoszeniami i wróciła do salonu. Zabrała spowiedź z kolan Strehlkego, a zrobiła to ostrożnie, bo pamiętała, że te partie jego ciała zadały jej ból – to przez nie zabiła tej nocy trzy osoby – znajdowały się zaś tuż pod jej kartkami.

– Zabieram ci mielonego, Lester, ale nie miej mi tego za złe. Wyświadczam ci przysługę. I tak zaczyna już podśmiardywać.

– Nie dość, że morderczyni, to jeszcze złodziejka – odezwał się Mały Kierowca zręczliwym głosem trupa. – Ładnie to tak?

– Zamknij się, Les – odpowiedziała i wyszła.

43

„Zanim się zastrzelisz, dlaczego sama się nad tym nie zastanowisz?”

Wracając krętą drogą do domu Alvina Strehlkego, usiłowała to robić. Zaczynała dochodzić do wniosku, że Tom, mimo iż nie było go z nią w samochodzie, okazał się lepszym detektywem niż Doreen Marquis w swoim najlepszym okresie.

– Powiem krótko – odezwał się Tom. – Jeśli uważasz, że Al Strehlke nie brał w tym udziału... i mam tu na myśli poważny udział... to jesteś wariatką.

– Pewnie, że jestem wariatką – odpowiedziała. – Z jakiego innego powodu próbowałabym sobie wmawiać, że nie zastrzeliłam niewłaściwego faceta, kiedy wiem, że to właśnie zrobiłam?

– Przemawia przez ciebie poczucie winy, nie logika – powiedział Tom. Jego głos zdradzał wkurzające samozadowolenie. – Nie był niewinnym jagniątkiem, a nawet nie czarną owcą. Obudź się, Tesso Jean. Oni nie byli tylko braćmi, to partnerzy.

– Partnerzy w interesach.

– Bracia nigdy nie są tylko partnerami w interesach. Zawsze jest to trochę bardziej skomplikowane. Zwłaszcza kiedy kobieta taka jak Ramona jest ich matką.

Tess skręciła gładko starym pick-upem na wybrukowany podjazd Ala Strehlkego. Przypuszczała, że Tom może mieć rację. Wiedziała jedno: Doreen i panie z jej Kółka Robótek Ręcznych nigdy nie zetknęły się z kimś takim jak Ramona Norville.

Zapaliła się latarnia. Pies zaczął ujadać. Tess poczekała, aż żarówka zgaśnie, a pies się uciszy.

– Nie ma sposobu, żebym zyskała w tej sprawie pewność – powiedziała do Toma.

– Nie możesz tak twierdzić, dopóki się temu nie przyjrzysz.

– Nawet jeśli wiedział, to nie on mnie zgwałcił.

Tom milczał przez chwilę. Pomyślała, że się wycofał. W końcu jednak usłyszała jego głos.

– Kiedy jakaś osoba robi złe rzeczy, a druga osoba o tym wie, ale jej nie powstrzymuje, obie są tak samo winne.

– W oczach prawa?

– Również w moich oczach. Załóżmy, że to Lester polował, gwałcił i zabijał. Bardzo w to wątpię, ale tak przyjmijmy. Jeśli starszy brat o tym wiedział i nic nie mówił, to śmierć mu się należała. Szczerze mówiąc, powiedziałbym, że kule były dla niego za dobre. Nadzianie go na rozgrzany pogrzebacz wydaje się bliższe sprawiedliwości.

Tess pokręciła głową ze znużeniem i dotknęła pistoletu leżącego na siedzeniu obok. Został jeden pocisk. Jeśli wykorzysta go na psa (i w rzeczy samej byłoby to kolejne morderstwo w gronie przyjaciół), będzie musiała poszukać nowej broni, chyba że zdecyduje się powiesić lub coś w tym rodzaju. Niemniej faceci tacy jak Strehlke zwykle mają jakąś broń palną. To naprawdę piękne, jak powiedziałyby Ramona.

– Jeśli wiedział, to tak. Ale nie, jeśli wielkolud nie zasłużył na kulkę w łeb. Matka... tak. W tym przypadku kolczyki okazały się dowodem, jakiego potrzebowałam. Tu jednak nie mam nic.

– Naprawdę? – Tom powiedział tak cicho, że ledwie go słyszała. – Idź i sprawdź.

44

Kiedy, tupiąc, wchodziła po schodach, pies nie szczekał, ale bez trudu sobie wyobraziła, że stoi tuż za drzwiami, z pochylonym łbem i wyszczerzonymi kłami.

– Goober? – A co tam, dla wiejskiego kundla było to imię równie dobre jak każde inne. – Nazywam się Tess. Mam dla ciebie hamburgera. Mam też pistolet z jedną kulą w magazynku. Zaraz otworzę drzwi. Na twoim miejscu wybrałabym mięso. Okay? Umowa stoi?

Nadal żadnego szczekania. Może szalał tylko z powodu latarni. Albo czekał na soczystą włamywaczkę. Tess wypróbowała jeden klucz, potem następny. Niedobrze. Oba były prawdopodobnie od biura firmy przewozowej. Trzeci obrócił się w zamku, a ona otworzyła drzwi, zanim opuściła ją odwaga. Spodziewała się buldoga, rottweilera lub pitbulla o przekrwionych ślepiach i oślinionych szczękach. Zobaczyła jednak teriera Jack Russell, który wpatrywał się w nią z nadzieją i merdał ogonem.

Tess schowała broń do kieszeni kurtki i pogłaskała psa po łepku.

– Dobry Boże – powiedziała. – I pomyśleć, że strasznie się ciebie bałam.

– Nie było powodu – odparł Goober. – Gdzie jest Al, co?

– Nie pytaj. Chcesz hamburgera? Ale ostrzegam, może być przeterminowany.

– Dawaj go, mała – powiedział Goober.

Tess nakarmiła go oderwanym kawałkiem, potem weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło. Dlaczego nie? W końcu byli tu tylko we dwoje z Gooberem.

Alvin Strehlke utrzymywał dom w większym porządku niż jego młodszy brat. Podłogi i ściany były czyste, nigdzie nie wałały się sterty gazet z ogłoszeniami i dostrzegła nawet kilka książek na półce. Stało tu także parę figurek Hummela, a na ścianie wisiała wielka, oprawiona w ramkę fotografia Momzilli. Tess uznała to za nieco znaczące, ale trudno byłoby dopatrzeć się w tym dowodu. Czy czegokolwiek.

Gdyby tu wisiało zdjęcie Richarda Widmarka w słynnej roli Tommy'ego Udo, to zmieniałoby postać rzeczy.

– Z jakiego powodu się uśmiechasz? – zapytał Goober. – Zdradzisz mi?

– Właściwie... nie – odpowiedziała Tess. – Gdzie powinniśmy zacząć?

– Nie wiem – odparł Goober. – Jestem tylko psem. Co powiesz na jeszcze odrobinę tej smakowitej krowy?

Dała mu trochę mięsa. Goober stanął na tylnych łapach i obrócił się dwa razy. Tess zaczęła się zastanawiać, czy nie zwariował.

– Tom? Chcesz mi coś powiedzieć?

– W domu drugiego brata znalazłaś swoje majtki, prawda?

– Tak, i zabrałam je. Są podarte... a nawet gdyby nie były, i tak nigdy więcej bym ich na siebie nie włożyła... ale są moje.

– A co jeszcze znalazłaś poza stertą majtek?

– Jak to „co jeszcze”?

Ale Tom nie musiał jej tego mówić. To nie było pytanie o to, co znalazła. Raczej o to, czego tam nie było: żadnych torebek, żadnych kluczy. Lester Strehlke prawdopodobnie wyrzucił klucze w lesie. Tak właśnie postąpiłaby Tess na jego miejscu. Torebka to już inna sprawa. Chodziło o Kate Spade, bardzo drogą, w której był wszyty jedwabny pasek z imieniem i nazwiskiem Tess. Skoro torebki – i jej zawartości – nie znalazła w domu Lestera i jeśli on nie wyrzucił jej w lesie razem z kluczami, to gdzie była?

– Opowiadałbym się za tym miejscem – powiedział Tom. – Rozejrzyjmy się.

– Mięso! – zawołał Goober i zrobił kolejny piruet.

45

Gdzie powinna zacząć?

– No dalej – powiedział Tom. – Mężczyźni zawsze mają skrytki w jednym lub najwyżej dwóch miejscach: w pokoju do pracy i w sypialni. A tu nie ma pokoju do pracy.

Poszła do sypialni Ala Strehlkego (a za nią Goober), gdzie stało długie podwójne łóżko, posłane starannie w wojskowym stylu. Tess pod nie zajrzała. Nic. Ruszyła w stronę szafy, zatrzymała się, a potem wróciła do łóżka. Podniosła materac. Po pięciu sekundach – może dziesięciu – płaskim, zachrypłym głosem wykrztusiła jedno słowo:

– Bingo.

Na ramie ze sprężynami leżały trzy damskie torebki. Ta pośrodku była koloru kremowego, a Tess rozpoznałaby ją wszędzie. Otworzyła. Wewnątrz nie było niczego oprócz chusteczek higienicznych i ołówka do brwi ze sprytnie ukrytym grzebykiem do rzęs w górnej połowie. Poszukała jedwabnego paska ze swoim nazwiskiem, ale go nie było. Został starannie usunięty i tylko w miejscu, skąd go wycięto, widać było leciutkie nacięcie na cienkiej włoskiej skórze.

– Twoja? – zapytał Tom.

– Wiesz, że tak.

– A ołówek do brwi?

– Sprzedają takie tysiącami w całej Amery...

– Czy jest twój?

– Tak, jest mój – odpowiedziała Tess.

– Przekonałaś się?

– Ja... – Tess przełknęła ślinę. Coś czuła, ale nie była pewna, co to było. Ulga? Przerazenie? – Chyba tak. Ale dlaczego? Dlaczego obaj?

Tom nic nie powiedział. Nie musiał. Doreen mogła nie wiedzieć (albo by się nie przyznała, gdyby było inaczej, bo starsze panie, które śledzą jej przygody, nie lubią makabry), ale zdaniem Tess wiedziała.

Mamuśka namieszała obu w głowach, tak powiedziałby psychiatra. Lester był gwałcicielem, Al z kolei fetyszystą, który pośrednio uczestniczył w wyczynach brata. Może nawet mu pomagał przy jednej albo obu kobietach z przepustu. Tego Tess nigdy się już nie dowie.

– Przeszukanie całego domu zajęłoby ci prawdopodobnie czas do świtu – powiedział Tom. – Ale mogłabyś przejrzeć resztę tego pokoju, Tesso Jean. Pewnie zniszczył wszystko, co było w torebce... jak się domyślam, pociął karty kredytowe i wyrzucił do rzeki Colewich... musisz jednak się upewnić, bo jakikolwiek przedmiot z twoim nazwiskiem zaprowadzi policję prosto do ciebie. Zaczynaj od szafy.

Tess nie znalazła tam swoich kart kredytowych ani czegokolwiek, co by do niej należało, ale jednak na coś natrafiła. Stało na górnej półce. Zeszła z krzesła, na którym stała, i zaczęła się temu przyglądać z rosnącym przerażeniem: pluszowa kaczka, która mogła być przytulanką jakiegoś dziecka. Brakowało jej jednego oka, a syntetyczne futerko było skudłacone. W niektórych miejscach właściwie już go nie było, jako że kaczkę zagłaskano prawie na śmierć.

Wyblakły żółty dziób miała ochlapany czymś rdzawym.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał Tom.

– Och, Tom, tak mi się wydaje.

– Ciała, które widziałaś w przepuście... czy jedno z nich mogło należeć do dziecka?

Nie, żadne z nich nie było małe. Ale to nie oznaczało, że przepust pod Stagg Road był

jedynym miejscem, gdzie bracia Strehlke ukrywali zwłoki.

– Odłóż ją na miejsce. Niech ją znajdzie policja. Musisz się upewnić, że nie miał komputera, w którym mogłoby być coś o tobie. A potem musisz stąd spadać.

Coś wilgotnego i zimnego otarło się o rękę Tess. Niewiele brakowało, żeby krzyknęła. To był Goober, wpatrujący się w nią błyszczącymi ślepiami.

– Jeszcze mięsa! – powiedział Goober i Tess mu je dała.

– Gdyby Al Strehlke miał komputer – odezwała się Tess – na pewno zabezpieczyłby go hasłem. I w jego komputerze na pewno nie mogłabym węszyć.

– No to zabierz sprzęt i wrzuć go do rzeki, kiedy będziesz wracała do domu. Będzie dotrzymywał towarzystwa rybom.

Ale komputera nie było.

Przy drzwiach Tess nakarmiła Goobera resztką hamburgera. Prawdopodobnie zwymiotuje całe mięso na dywan, ale tym Wielki Kierowca na pewno się nie przejmie.

– Zadowolona, Tesso Jean? – zapytał Tom. – Jesteś zadowolona, że nie zabiłaś niewinnego człowieka?

Pomyślała, że pewnie jest zadowolona, bo samobójstwo nie wydawało jej się już rozwiązaniem do przyjęcia.

– Ale co z Betsy Neal, Tom? Co z nią?

Tom nie odpowiedział... bo ponownie nie było takiej potrzeby. Przecież w końcu on był nią.

Na pewno?

Tess nie była do końca przekonana. Ale czy miało to znaczenie, skoro wiedziała, co robić dalej? Jutro też będzie dzień. Scarlett O'Hara miała co do tego rację.

Ale najważniejsze zdaniem Tess było to, żeby policja dowiedziała się o ciałach w przepuście. Choćby tylko dlatego, że gdzieś tam czekali krewni i przyjaciele, którzy nadal się zastanawiali. A także...

– Bo wypchana kaczka świadczy o tym, że może ich być więcej.

To był jej własny głos.

I bardzo dobrze.

46

O wpół do ósmej następnego ranka, po niecałych trzech godzinach niespokojnego snu pełnego koszmarów, Tess włączyła komputer w pokoju do pracy. Ale nie miała zamiaru pisać. Pisanie było ostatnią rzeczą, którą planowała.

Czy Betsy Neal była samotna? Tess pomyślała, że odpowiedź brzmi – tak. Nie widziała u niej na placu obrączki, ale to mogła przeoczyć, niemniej w jej biurze nie dostrzegła żadnych

rodzinych fotografii. Jedynym zdjęciem, jakie tam widziała, była oprawiona w ramki fotografia Baracka Obamy... a on miał żonę. Zatem – Betsy Neal była prawdopodobnie rozwódką albo kobietą samotną. I tak pewnie jej nazwisko nie widniało w żadnym spisie. W takim przypadku poszukiwania w Internecie na nic się nie zdadzą. Tess przyszło do głowy, że mogłaby pojechać do Stagger Inn i tam ją znaleźć... ale nie chciała wracać do Stagger Inn. Nigdy więcej.

– Po co sama sobie komplikujesz życie? – zapytał Fritzy z parapeku. – Sprawdź przynajmniej książkę telefoniczną Colewich. I co to za zapach czuję od ciebie? Czy to pies?

– Tak. To Goober.

– Zdrajczyńni – powiedział Fritzy z pogardą.

Poszukiwania zakończyły się numerami telefonów do równego tuzina osób o nazwisku Neal. Wśród nich była E. Neal. „E” jak Elizabeth? Tylko w jeden sposób mogła to sprawdzić.

Bez chwili wahania – które na pewno pozbawiłoby ją odwagi – Tess wybrała numer. Pociła się, serce waliło jej jak młotem.

Telefon zadzwonił raz. Potem drugi.

To chyba jednak nie ona. Może jakaś Edith Neal. Edwina Neal. A nawet Elvira Neal.

Trzeci dzwonek.

Jeżeli to telefon Betsy Neal, to zdaje się, że nie ma jej w domu. Mogła pojechać na wakacje do Catskills...

Czwarty.

...albo zaczęła żyć na kocią łapę z którymś facetem z Piekarzy Zombie, co powiesz na to? Z gitarzystą. I pewnie śpiewają razem pod prysznicem *Can Your Pussy Do the Dog?*, kiedy są już po...

Połączyła się i od razu rozpoznała głos w słuchawce.

– Cześć, dzwonisz do Betsy, ale teraz nie mogę odebrać telefonu. Zaraz rozlegnie się sygnał i pewnie wiesz, co masz wtedy zrobić. Miłego dnia.

Miałam paskudny dzień, dzięki, a noc wcale nie okazała się le...

Rozległ się sygnał, a Tess usłyszała własny głos, zanim podjęła decyzję, czy ma się odezwać.

– Halo, pani Neal. Dzwoni Tessa Jean, ta od *Wierzbiny*. Poznałyśmy się w Stagger Inn. Oddała mi pani TomToma, a ja podpisałam książkę dla pani babci. Widziała pani, jak byłam sponiewierana, a ja naopowiadałam kłamstw. To nie był mój facet, pani Neal. – Tess zaczęła mówić szybciej, bojąc się, że skończy się czas nagrania, zanim wszystko powie, a czuła, że bardzo chce dokończyć. – Zostałam zgwałcona i to było złe, ale potem usiłowałam wyrównać rachunki i... muszę z panią o tym porozmawiać, bo...

Coś kliknęło na linii i Tess usłyszała głos Betsy Neal.

– Proszę zacząć od początku – powiedziała. – Ale powoli. Właśnie się obudziłam i jeszcze na wpół śpię.

Spotkały się w parku w Colewich. Zajęły ławkę blisko podium dla orkiestry. Tess nie czuła się głodna, ale została zmuszona przez Betsy Neal do przyjęcia kanapki, którą ku własnemu zaskoczeniu jadła teraz z apetytem, odgryzając duże kęsy, co przypomniało jej Goobera pochłaniającego mięso od Lestera Strehlkego.

– Zaczynj od początku – powiedziała Betsy. Była spokojna, zdaniem Tess niemalże nadludzko. – Zaczynj od początku i wszystko mi opowiedz.

Tess zaczęła od zaproszenia od Books & Brown Baggers. Betsy Neal prawie się nie odzywała, wtrącając jedynie od czasu do czasu „aha” i „w porządku”, by Tess wiedziała, że słucha jej historii. Mówienie wysuszało gardło, szczęściem Betsy przyniosła ze sobą również dwie puszki napoju gazowanego Dr. Brown's. Tess wzięła jedną i napiła się łączywie.

Kiedy wreszcie skończyła, minęła pierwsza po południu. Nieliczne osoby, które odwiedziły park, żeby zjeść w nim lunch, już odeszły. Dwie kobiety pchały wózki z dziećmi, ale były dość daleko.

– Powtórzę dla porządku – odezwała się Betsy. – Miałś zamiar się zastrzelić, ale wtedy jakiś urojony głos ci poradził, że lepiej postąpisz, jadąc z powrotem do domu Alvina Strehlkego.

– Tak – odpowiedziała Tess. – I tam znalazłam swoją torebkę. I kaczkę z krwią na dziobie.

– Majtki znalazłaś w domu młodszego brata.

– Małego Kierowcy, tak. Mam je w samochodzie. I torebkę. Chcesz je zobaczyć?

– Nie. A co z pistoletem?

– Też jest w samochodzie. Z jednym nabojem. – Popatrzyła z zaciekawieniem na Neal, myśląc: Dziewczyna Picassa. – Nie boisz się mnie? Jesteś jedynym świadkiem. W każdym razie jedynym, o jakim wiem.

– Jesteśmy w publicznym parku, Tess. Poza tym mam w domu nagrane na sekretarce całkiem interesujące wyznanie.

Tess zamruwała powiekami. Kolejna rzecz, o której nie pomyślała.

– Nawet jeśli udałoby ci się mnie zabić tak, że nie zauważyłyby tego tamte dwie młode matki...

– Nie mam zamiaru nikogo zabijać. Tu ani nigdzie indziej.

– Dobrze wiedzieć. Bo nawet gdybyś zajęła się mną i moją automatyczną sekretarką, wcześniej czy później ktoś dotarłby do taksówkarza, który przywiózł cię do Stagger Inn w sobotę rano. A kiedy policja trafiłaby do ciebie, okazałoby się, że masz sporo podejrzanych sińców.

– Tak – powiedziała Tess, dotykając najgorszego z nich. – To prawda. Więc co teraz?

– Jedno na pewno. Uważam, że w miarę możliwości nie powinnaś pokazywać się publicznie, dopóki twoja śliczna buzia znowu nie będzie śliczna.

– Mam na to alibi – odpowiedziała Tess i zrelacjonowała jej bajeczkę, jaką wymyśliła dla Patsy McClain.

– Brzmi całkiem dobrze.

– Betsy... wierzysz mi?

– Och tak – odparła jakby odruchowo. – A teraz posłuchaj. Słuchasz?

Tess skinęła głową.

– Jesteśmy parą kobiet, które urządziły sobie piknik w parku, i to bardzo fajnie. Ale od jutra nie zobaczymy się nigdy więcej, dobrze?

– Jeśli tak chcesz – powiedziała Tess. Miała wrażenie, że jej mózg znalazł się w stanie podobnym do tego, w jakim była jej szczeka podczas wizyty u dentysty, gdy zaaplikowano jej hojną dawkę nowokainy.

– Chcę. Potrzebna ci też będzie inna historyjka, na wypadek gdyby policja dotarła do kierowcy limuzyny, który odwiózł cię do domu...

– Manuel. Nazywa się Manuel.

– ...albo do taksówkarza, który przywiózł cię w sobotę rano do Stagger Inn. Wątpię, by ktokolwiek połączył cię ze Strehlkemi, dopóki policja nie natrafi na twoje dokumenty, a gdyby do tego doszło, to sprawa zostanie rozdmuchana i nie możemy wykluczyć, że śledztwo obejmie również ciebie. – Pochyliła się do przodu i klepnęła Tess ponad lewą pierś. – Liczę jednak, że nigdy nie będę w to wplątana. Bo nie zasłużyłam na to.

Nie, na pewno nie zasłużyła.

– Co w takim razie powiesz gliniarzom? Coś dobrego, ale z pominięciem mojej osoby. No dalej, jesteś pisarką.

Tess zastanawiała się przez pełną minutę.

– Powiem, że Ramona pokazała mi skrót przez Stag Road po spotkaniu z czytelnikami, co jest prawdą, i że przejeżdżając, zobaczyłam Stagger Inn. Powiem, że zatrzymałam się na obiad gdzieś dalej, ale potem zdecydowałam się wrócić i wypić kilka drinków. I posłuchać muzyki na żywo.

– To dobre. Kapela nazywa się...

– Wiem, jak się nazywa – odpowiedziała Tess. Może nowokaina przestawała działać. – Powiem, że poznałam kilku facetów, za dużo wypiałam i uznałam, że jestem zbyt pijana, by prowadzić. Ciebie nie ma w tej historii, bo nie pracujesz w nocy. Mogłabym też dodać...

– Nieważne. Jesteś w tym bardzo dobra, kiedy już się do tego zabierzesz. Pamiętaj, żeby za bardzo niczego nie komplikować.

– Nie będę – powiedziała Tess. – Może nigdy nie będę musiała opowiadać tej historyjki. Kiedy znajdą ciała Strehlkech i ich ofiar, będą szukali mordercy zupełnie innego niż

niepozorna pisarka jak ja.

Betsy Neal uśmiechnęła się.

– Niepozorna pisarka, a niech mnie! Jesteś jedną wielką złą babą! – I wtedy spostrzegła strach i niepokój na twarzy Tess. – Co? Co tym razem?

– Uda im się jakoś powiązać kobiety z przepustu ze Strehlkemi, prawda? Przynajmniej z Lesterem?

– Założył gumę, kiedy cię gwałcił?

– Nie. Boże, nie. Miałam to jego świństwo na udach, kiedy dotarłam do domu. I w środku. – Wstrząsnęła się.

– To pewnie innym też robił to bez zabezpieczenia. Mnóstwo dowodów. Złożą to wszystko razem. Jeśli dranie pozbyli się twoich dokumentów, nic nie powinno ci grozić. A zamartwianie się tym, nad czym nie mamy kontroli, jest bez sensu, prawda?

– Prawda – zgodziła się Tess.

– Jeśli chodzi o ciebie... chyba nie planujesz teraz, że po powrocie do domu podetniesz sobie żyły w wannie, co? Albo użyjesz ostatniego naboju?

– Nie. – Tess przypomniała sobie, jak słodko pachniało nocne powietrze, gdy siedziała w pick-upie, z lufą „wyciskacza do cytryn” w ustach. – Nie, doszłam do siebie.

– No to zmykaj stąd. Ja posiedzę sobie jeszcze przez chwilę.

Tess zaczęła się podnosić, ale usiadła z powrotem.

– Jest coś, co muszę wiedzieć. Stawiasz się teraz w pozycji współwinnej. Dlaczego robisz to dla kobiety, której właściwie nie znasz? Którą widziałaś tylko raz?

– Uwierzysz, jeśli ci powiem, że robię to z myślą o babci, która uwielbia twoje książki i byłaby bardzo niezadowolona, gdybyś trafiła do więzienia za potrójne morderstwo?

– Nie, w ani jedno słowo – odpowiedziała Tess.

Betsy milczała przez chwilę. Podniosła puszkę z napojem, a potem ją odstawiła.

– Bardzo wiele kobiet jest gwałconych, zgodzisz się chyba? To znaczy... nie jesteś pod tym względem wyjątkiem, prawda?

Nie, Tess nie była wyjątkiem, ale ta wiedza nie łagodziła w żaden sposób bólu i wstydu. Nie ukoi też jej nerwów, gdy będzie czekała na wyniki testu na AIDS, który wkrótce zrobi.

Betsy uśmiechnęła się, ale nie było w tym nic przyjemnego. Ani ładnego.

– Gdy teraz rozmawiamy, na całym świecie gwałcone są kobiety. Dziewczeta też. Niektóre z nich mają bez wątpienia ulubione przytulanki. Niektóre są potem zabijane, inne uchodzą z życiem. Ile twoim zdaniem tych ocalałych zgłasza to, co im się stało?

Tess pokręciła głową.

– Ja też nie wiem – odpowiedziała Betsy. – Ale znam wyniki badań przestępczości w kraju. Zgooglowałam je. Z tych danych wynika, że sześćdziesiąt procent gwałtów nie jest zgłaszanych. Trzy na każde pięć przypadków. Moim zdaniem to zaniżona wartość, ale kto może mieć pewność? Poza lekcjami matematyki trudno jest udowodnić wielkość ujemną. To

naprawdę niemożliwe.

– Kto cię zgwałcił? – zapytała Tess.

– Ojczym – odpowiedziała Betsy. – Miałam dwanaście lat. Trzymał mi nóż przy twarzy, kiedy to robił. Stałam nieruchomo, bałam się, ale gdy kończył, dźgnął mnie tym nożem. Prawdopodobnie nie celowo, ale kto to może wiedzieć?

Betsy odciągnęła dolną powiekę lewego oka lewą ręką. Podstawiła pod nie prawą, a szklane oko wypadło na dłoń. Pusty oczodół był czerwony i zasklepiony, wydawał się patrzeć na świat z zaskoczeniem.

– Ból był... cóż, nie da się opisać takiego bólu dość dokładnie. Wtedy miałam wrażenie, że to dla mnie koniec świata. Była i krew. Całe mnóstwo. Matka zaprowadziła mnie do lekarza. Kazała mi mówić, że biegałam w samych skarpetkach po linoleum w kuchni, które właśnie zapastowała. Że poślizgnęłam się i wpadłam okiem na kant kuchennego blatu. Powiedziała, że lekarz będzie chciał rozmawiać ze mną sam na sam i że ona bardzo na mnie polega. „Wiem, że wyrządził ci straszną rzecz, mówiła, ale jeśli ludzie się dowiedzą, to mnie będą winili. Proszę, moje dziecko, ten raz zrób to dla mnie, a ja przypilnuję, żeby już nigdy nic złego ci się nie przytrafiło”. Tak też zrobiłam.

– Czy potem jeszcze się to stało?

– Trzy czy cztery razy. Zawsze stałam nieruchomo, bo zostało mi już tylko jedno oko, które mogłam przez to stracić. Posłuchaj, skończyłyśmy czy nie?

Tess zrobiła gest, jakby chciała ją objąć, ale Betsy się cofnęła – niczym wampir na widok krzyżka, pomyślała Tess.

– Nie rób tego – powiedziała Betsy.

– Ale...

– Wiem, wiem. Dziękuję bardzo, solidarność, jak siostry już na zawsze, bla, bla, bla. Po prostu nie lubię być dotykana. Nie tak. Skończyłyśmy czy nie?

– Skończyłyśmy.

– To idź. Na twoim miejscu w drodze do domu wyrzuciłabym pistolet do rzeki. Spaliłaś tę swoją spowiedź?

– No pewnie.

Betsy pokiwała głową.

– Skasuję twoje nagranie z automatycznej sekretarki.

Tess odeszła. Obejrzała się tylko raz. Betsy Neal nadal siedziała na ławce. Włożyła z powrotem sztuczne oko.

tras byłoby bardzo dobrym pomysłem. Włączyła urządzenie, wyświetlacz się rozjaśnił.

– Witaj, Tess. Widzę, że wybierasz się w podróż – powiedział Tom.

Tess skończyła kasowanie, a potem wyłączyła GPS. W końcu tak naprawdę nie wybierała się w żadną podróż, wracała po prostu do domu. A tę drogę sama potrafiła odnaleźć.

Dobry interes

Streeter zauważył jedynie tablicę, bo musiał zjechać i zwymiotować. Często teraz rzygał, ale symptomy, które to zapowiadały, miał bardzo nikłe – czasem lekkie nudności, czasem metaliczny posmak w ustach, a czasem zupełnie nic. Wystarczyło, że beknął, i lało się z niego, ot tak. Prowadzenie samochodu stało się ryzykownym przedsięwzięciem, mimo to dużo teraz jeździł, częściowo dlatego, że późną jesienią nie będzie mógł już tego robić, a częściowo dlatego, że musiał przemyśleć wiele spraw. Najlepiej zaś myślało mu się za kółkiem.

Był na przedłużeniu Harris Avenue, na szerokiej drodze ciągnącej się przez ponad trzy kilometry za lotniskiem hrabstwa Derry i firmami, które były z nim jakoś powiązane, w większości motelami i magazynami. W dzień na przedłużeniu panował duży ruch, bo łączyło ono wschodnią i zachodnią stronę Derry oraz służyło lotnisku, ale wieczorami pustoszało niemal zupełnie. Streeter zjechał na pas dla rowerów, z siedzenia dla pasażera chwycił jedną z plastikowych torebek na wymioty, przytknął ją do twarzy i przestał się powstrzymywać. Obiad wyglądał imponująco. Albo wyglądałby, gdyby Streeter otworzył oczy. Tego jednak nie zrobił. Gdy widziało się jedną zwróconą zawartość żołądka, widziało się je wszystkie.

Kiedy zaczęła się faza wymiotów, nie czuł bólu. Doktor Henderson ostrzegł go, że to się zmieni. I w ostatnim tygodniu tak się stało. Jeszcze nie męczarnie, jedynie krótkie, gwałtowne ukłucia idące z brzucha do gardła, jak przy nadkwasocie. Pojawiały się i zanikały. O tym doktor Henderson również mu powiedział.

Unióśł głowę znad torebki, otworzył schowek na rękawiczki, wyjął papierową torbę na chleb i zapakował w nią swój obiad, zanim zapach wypełnił samochód. Spojrzał w prawo i dostrzegł opatrnościowy kosz na śmieci, z namalowanym z boku psem o przyciętych uszach i wykonanym z szablonu napisem: „Pies z Derry powiada: »Śmieci do kosza, to dobra rada!«”.

Streeter wysiadł, podszedł do kosza i wyrzucił ostatni wypływ ze swojego rozpadającego się organizmu. Letnie słońce zachodziło na czerwono nad płaską (i w tej chwili pustą) płytą lotniska, a cień uczepony jego pięt stał się długi i groteskowo cienki. Można było pomyśleć, że wyprzedził ciało o cztery miesiące i w pełni poddał się rakowi, który niedługo zacznie żreć go żywcem.

Obrócił się w stronę samochodu i zobaczył ustawioną na drodze tablicę. W pierwszej chwili – prawdopodobnie dlatego, że miał załzawione oczy – pomyślał, że napisano tam „Przedłużam włosy”. Ale zamrugał powiekami i zobaczył, że naprawdę napis głosi „Przedłużam losy”. A pod spodem, mniejszymi literami: „Zrobisz dobry interes”.

Przedłużam losy. Zrobisz dobry interes. Brzmiało niezłe i był w tym sens, choć nie do końca.

Spory kawałek dalej przy przedłużeniu Harris Avenue, za ogrodzeniem z metalowej siatki otaczającym lotnisko hrabstwa, było zwirowisko. W czasie dużego ruchu za dnia wiele osób

ustawiało tam stragany, bo potencjalni klienci mogli spokojnie zjeżdżać z drogi, nie narażając się na to, że ktoś ich stuknie z tyłu (jeśli, rzecz jasna, robili to szybko i nie zapominali o włączeniu kierunkowskazu). Streeter spędził całe życie w niewielkim miasteczku Maine w hrabstwie Derry i przez lata widział ludzi sprzedających tam świeże paprocie wiosną, jagody i kolby kukurydzy latem oraz homary niemal przez cały rok. W porze, gdy zalegiwało tam błoto, przejmował to miejsce szalony starzec znany jako Bałwan i sprzedawał rupiecie, które ludzie gubili zimą, a które odsłaniał topniejący śnieg. Wiele lat wcześniej Streeter kupił od niego ładną szmacianą lalkę. Chciał ją podarować córce May, mającej wtedy dwa czy trzy latka, ale popełnił błąd, bo powiedział Janet, że lalkę ma od Bałwana, a ona kazała mu ją wyrzucić.

– Wydaje ci się, że można wygotować szmacianą lalkę i pozbyć się wszystkich bakterii, które w niej siedzą? – zapytała. – Czasami się zastanawiam, jak taki bystry facet może być taki głupi.

Cóż, jeśli chodzi o walory mózgu, rakowi jest wszystko jedno. Mądry czy głupi, szykował się już do odejścia z gry i zdjęcia kostiumu.

W miejscu, gdzie Bałwan wystawiał swoje towary, stał teraz stolik do gry w karty. Siedział przy nim pękaty mężczyzna, osłonięty przed czerwonymi promieniami zachodzącego słońca wielkim żółtym parasolem, ustawionym pod ostrym kątem.

Streeter powstał minutę przed samochodem. Już prawie wsiadł do środka (tłuscioch go nie zauważył, wydawał się zapatrzony w mały przenośny telewizor), ale ciekawość wzięła w nim górę. Sprawdził, czy nic nie nadjeżdża. Niczego nie zobaczył – o tej porze przedłużenie było niemal wymarłe, wszyscy użytkownicy tej trasy dawno byli już w domach i jedli obiad, a fakt, że nie mają raka, brali za coś naturalnego – więc przeszedł przez cztery pasy jezdni. Wychudzony cień, Przyszły Duch Streetera, ciągnął się za nim.

Pękaty mężczyzna podniósł wzrok.

– Witam, witam – powiedział. Zanim wyłączył telewizor, Streeter zauważył, że facet oglądał *Inside Edition*. – Jak się pan dziś miewa?

– Cóż, nie wiem jak pan, ale ja miewałem się lepiej – odparł Streeter. – Trochę późno jak na handlowanie, prawda? Po godzinach szczytu prawie nie ma tu ruchu. To tyły lotniska, wie pan. Nic poza dostawami do samolotów transportowych. Pasażerowie wchodzą od Witcham Street.

– Wiem, wiem – odpowiedział tłuscioch. – Ale tak się fatalnie składa, że przepisy o strefowaniu nie sprzyjają przydrożnym interesom jak mój i zakazują mi działalności po ruchliwszej stronie lotniska. – Pokręcił głową nad niesprawiedliwością świata. – Miałem zamiar zamknąć o siódmej i wracać do domu, ale przeczuwałem, że może jednak trafi mi się jeszcze jakaś okazja.

Streeter spojrział na stolik, nie zauważył niczego na sprzedaż (chyba że chodziło o telewizor) i uśmiechnął się.

– Trudno nazwać mnie potencjalnym klientem, panie...?

– George Beldia – odpowiedział tłuścioch, wstając i wyciągając przed siebie równie pulchną dłoń.

Streeter ją uściskał.

– Dave Streeter. I naprawdę nie mogę być ewentualnym klientem, bo nie mam pojęcia, co pan sprzedaje. W pierwszej chwili pomyślałem, że na tablicy napisano „Przedłużam włosy”.

– Chce pan przedłużenia włosów? – Beldia obrzucił go krytycznym spojrzeniem. – Pytam, bo pańskie chyba rzadną, więc na razie...

– I niedługo ich nie będzie – powiedział Streeter. – Biorę chemię.

– Och, przykro słyszeć.

– Dziękuję. Choć jaki może być pożytek z chemii... – Wzruszył ramionami. Jakaś jego część była zachwycona faktem, że z taką łatwością mówi te rzeczy obcemu. Bo przecież nie powiedział o tym nawet własnym dzieciom. Tylko Janet wiedziała.

– Niewielkie szanse? – zapytał Beldia.

W jego głosie słychać było zwykle współczucie – ni mniej, ni więcej – przez co Streeterowi napłynęły łzy do oczu. Płacz w obecności Janet niesłychanie go krępował i przydarzył mu się tylko dwa razy. Tutaj, przy obcym człowieku, wydawał się jednak czymś naturalnym.

Z tylnej kieszeni wyciągnął chustkę do nosa i wytarł oczy. Niewielki samolot podchodził do lądowania. Jego sylwetka na tle czerwonego słońca przywodziła na myśl poruszający się krucyfik.

– Żadnych szans, tak mi mówią – odpowiedział Streeter. – Więc domyślam się, że chemia jest jedynie... sam nie wiem...

– Rutynową kuracją?

Streeter roześmiał się.

– Właśnie.

– Może rozważyłby pan zamianę chemii na silne środki przeciwbólowe. Albo ubił ze mną interesik.

– Jak już mówiłem, nie bardzo mogę być pańskim klientem, bo nadal nie wiem, czym pan handluje.

– Och, cóż, większość ludzi nazwałaby to cudownym lekiem – powiedział Beldia, uśmiechając się i podrywając na równe nogi.

Streeter zauważył nie bez pewnej fascynacji, że choć George Beldia jest tęgi, jego cień prezentuje się równie chudo i chorobliwie jak jego własny. Przyjął, że cienie wszystkich ludzi zaczynają tak wyglądać o zachodzie słońca, zwłaszcza w sierpniu, kiedy końcówka dnia trwa długo, przeciąga się i jest w jakiś sposób nieprzyjemna.

– Nie widzę buteleczek – powiedział Streeter.

Beldia oparł się palcami dłoni o stół i pochylił, nagle przybierając wygląd człowieka

interesów.

– Sprzedaję przedłużenia – odpowiedział.

– Co szczęśliwym przypadkiem pasuje do nazwy tej drogi.

– Nigdy o tym nie pomyślałem, ale zapewne ma pan rację. Choć czasami cygaro jest tylko cygarem^{*}, a przypadek jest po prostu przypadkiem. Każdy chce jakiegoś przedłużenia, panie Streeter. Gdyby był pan młodą kobietą uwielbiającą zakupy, zaproponowałbym panu przedłużenie kredytu. Gdyby był pan mężczyzną z małym penisem... genetyka potrafi być okrutna... zaproponowałbym panu przedłużenie siurka.

Streeter był zdumiony i rozbawiony śmiałością tych słów. Po raz pierwszy od miesiąca – od momentu diagnozy – zapomniał, że ma bardzo agresywną i wyjątkowo szybko postępującą formę raka.

– Pan żartuje.

– Och, kocham dowcipkować, ale nigdy nie żartuję z interesów. Swego czasu sprzedałem dziesiątki przedłużeń penisa i przez chwilę byłem nawet znany w Arizonie jako „El Pene Grande”. To prawda, ale szczęściem dla mnie to, czy pan mi uwierzy, ani mnie ziębi, ani grzeje. Niscy mężczyźni często chcą być wyżsi. Gdyby naprawdę chciał pan mieć bujną czuprynę, panie Streeter, z przyjemnością sprzedałbym panu przedłużenie włosów.

– A czy facet z wielkim nosem... wie pan, jak Jimmy Durante... mógłby dostać mniejszy nos?

Beldia z uśmiechem pokręcił głową.

– Teraz to chyba pan żartuje. Odpowiedź brzmi: nie. Jeśli potrzebne panu skrócenie, musi pan iść gdzie indziej. Ja specjalizuję się jedynie w przedłużaniu, to bardzo amerykański produkt. Usychającym z miłości sprzedaję jej przedłużenie, czasami nazywane eliksirem; dla splukanych, jest ich całe mnóstwo w gospodarce, mam przedłużenie spłaty długu; przedłużenie czasu proponuję tym, nad którymi wisi jakiś ostateczny termin. Robiłem nawet coś w rodzaju przedłużenia oka facetowi, który chciał zostać pilotem wojskowym, a wiedział, że nie przejdzie badania wzroku.

Streeter szczerzył zęby w uśmiechu, bo świetnie się bawił. Wcześniej powiedziałby, że zabawa już dla niego nie istnieje, ale życie jest pełne niespodzianek.

Beldia również był uśmiechnięty, jakby obaj usłyszeli właśnie wspaniały dowcip.

– A raz – powiedział – zaserwowałem przedłużenie rzeczywistości malarzowi... bardzo zresztą utalentowanemu... który pogrążył się w schizofrenii paranoidalnej. To było drogie.

– Ile kosztowało, jeśli wolno spytać?

– Jeden z jego obrazów, który teraz zdobi mój dom. Zna pan jego nazwisko, słynny malarz włoskiego renesansu. Jeśli miał pan w college'u zajęcia z historii sztuki, na pewno studiował pan jego dzieła.

Streeter nie przestawał się uśmiechać, ale cofnął się o krok, tak na wszelki wypadek.

* Nawiązanie do aforyzmu Zygmunta Freuda.

Pogodził się już z faktem, że niedługo umrze, ale to nie oznaczało, że chciał, by nastąpiło to już dzisiaj za sprawą zbiega z domu wariatów Juniper Hill dla obłąkanych przestępców w Auguście.

– Więc o czym to mówiliśmy? Że jest pan tak jakby... sam nie wiem... nieśmiertelny?

– Rzeczywiście żyję bardzo długo – odpowiedział Beldia. – Co, jak mi się wydaje, doprowadza nas do tego, co mogę dla pana zrobić. Podobałoby się panu zapewne przedłużenie życia.

– Tego się nie da załatwić, jak przypuszczam. – W myślach oceniał odległość do samochodu i czas, jaki będzie mu potrzebny na jej pokonanie.

– Oczywiście, że się da... za pewną cenę.

Streeter, który w swoim czasie często grywał w scrabble, zobaczył oczami wyobraźni płytki z literami nazwiska „Beldia” i szybko je przestawił.

– Pieniądze? Czy może mówimy o mojej duszy?

Beldia machnął ręką, czemu towarzyszyło przesadne przewrócenie oczami.

– Nie rozpoznałbym duszy, jak mówi przysłowie, nawet gdyby mnie ugryzła w tyłek. Nie, odpowiedź brzmi: pieniądze; zresztą jak zawsze. Piętnaście procent od pańskich dochodów w ciągu następnych piętnastu lat powinno załatwić sprawę. Może pan to nazwać opłatą manipulacyjną.

– O tyle żyłbym dłużej?

Streeter ze smętnym pożądaniem zastanawiał się nad możliwością przeżycia piętnastu lat. Wydawało mu się to bardzo długim czasem, zwłaszcza jeśli zestawilo się go z perspektywą, która go czekała: pół roku wymiotowania, narastający ból, utrata przytomności, śmierć. Oraz nekrolog, w którym na pewno znajdzie się sformułowanie „po długiej i zaciętej walce z rakiem”. Trele-morele, jak mawiają w *Kronikach Seinfelda*.

Beldia uniósł obie ręce w geście „kto to wie”.

– Może dwadzieścia. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością. To nie jest nauka ścisła. Ale jeśli oczekujesz pan nieśmiertelności, to daj se pan siana. Sprzedaję jedynie przedłużenia. Najlepiej, jak potrafię.

– Dla mnie to wystarczy – powiedział Streeter. Facet go rozbawił i nawet jeśli chciał się tylko z niego ponabijać, Streeter z chęcią się na to zgadzał. No to do dzieła. Nadal uśmiechnięty, wyciągnął rękę nad stolikiem. – Piętnaście procent, piętnaście lat. Chociaż muszę panu powiedzieć, że piętnaście procent od pensji zastępcy kierownika w banku nie zapewni panu rolls-royce’a. Może geo...

– To niezupełnie wszystko – odezwał się Beldia.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Streeter. Westchnął i cofnął rękę. – Panie Beldia, bardzo miło się z panem rozmawiało. Wprowadził pan trochę radości w ten wieczór, co wydawało mi się już niemożliwe, i mam tylko nadzieję, że jakoś panu pomogą na tę chorobę umysł...

– Ciiii, głupi człowieku – powiedział Beldia i choć nadal się uśmiechał, nie było w tym nic miłego. Nagle wydał się wyższy o co najmniej dziesięć centymetrów i nie taki pękaty.

To światło, pomyślał Streeter. Światło zachodzącego słońca robi takie sztuczki. A nieprzyjemny zapach, który niespodziewanie poczuł, to prawdopodobnie spaliny samolotowe, przywiane na żwirowisko przez druciany płot lotniska przypadkowym podmuchem wiatru. To wszystko było logiczne... ale zamilkł, jak mu kazano.

– Po co mężczyźnie lub kobiecie jakieś przedłużenie? Czy zadał pan sobie kiedykolwiek takie pytanie?

– No pewnie – odpowiedział Streeter trochę szorstko. – Pracuję w banku, panie Beldia, Kasa Oszczędności Derry. Ludzie cały czas proszą mnie o przedłużenie terminu spłaty.

– W takim razie wie pan, że ludziom potrzebne są przedłużenia, bo wszystko dla nich jest za krótkie: krótki termin spłaty, krótki penis, krótki wzrok i tak dalej.

– Tak, życie to taka trochę za krótka kołdra – zgodził się Streeter.

– No właśnie. Ale nawet rzeczy, których nie ma, mają swoją wagę. Negatywną wagę, a ta jest najgorszego rodzaju. Ciężar zdjęty z pana musi znaleźć się gdzie indziej. To prosta fizyka. Fizyczna fizyka, jak moglibyśmy powiedzieć.

Streeter wpatrywał się zafascynowany w Beldię. Chwilowe wrażenie, że mężczyzna urósł (i że jego uśmiech odsłania zbyt wiele zębów), jakoś się rozwiało. Stał przed nim zwykły, niski, tęgi gość, który prawdopodobnie nosił w portfelu żółtą kartę pacjenta leczonego ambulatoryjnie w Juniper Hill albo w szpitalu psychiatrycznym Acadia. Jeśli w ogół miał jakiś portfel. Miał za to na pewno wyjątkowo dobrze rozbudowaną sieć urojeń w mózgu, a obserwowanie jej objawów było pasjonujące.

– Mogę przejść do sedna, panie Streeter?

– Proszę.

– To pan musi przenieść ten ciężar. Mówiąc najprościej, musi pan zrobić świństwo komuś innemu, jeśli świństwo ma być zdjęte z pana.

– Rozumiem. – I rzeczywiście tak było. Beldia ponawiał ofertę, a ta była wręcz klasyczna.

– Ale nie może to być ktokolwiek. Próbowano już ofiary z anonimowego starca, ale to się nie sprawdza. Potrzebny jest ktoś, kogo pan nienawidzi. Czy pan kogoś nienawidzi, panie Streeter?

– Nie szaleję na punkcie Kim Dzong Ila – odpowiedział Streeter. – I uważam, że więzienie to za mało dla bydlaka, który wysadził USS „Cole”, ale wątpię, żeby kiedykolwiek...

– Albo rozmawiamy poważnie, albo nie ma o czym mówić – powiedział Beldia i znowu wydał się wyższy. Streeter zastanawiał się, czy to nie złudzenie będące jakimś szczególnym efektem ubocznym leków, które zażywa.

– Jeśli chodzi panu o moje życie osobiste, to nie nienawidzę nikogo. Są ludzie, których

nie lubię, jak pani Denbrough, sąsiadka mieszkająca obok, wystawiająca niezakryte kubły ze śmieciami, które fruwią po moim trawniku, gdy tylko wiatr zawieje.

– Jeśli wolno mi sparafrazować świętej pamięci Deana Martina, panie Streeter, każdy czasem kogoś nienawidzi.

– Will Rogers mówił...

– On był oszustem wymachującym lassem i nosił kapelusz nasunięty na oczy jak dzieciak udający kowboja. Poza tym jeśli rzeczywiście nie ma takiej osoby, której by pan nienawidził, nie ubijemy interesu.

Streeter się zamyślił. Spojrzał w dół na swoje buty i cichym głosem, którego prawie nie rozpoznawał, powiedział:

– Przypuszczam, że nienawidzę Toma Goodhugh.

– Kim on jest w pańskim życiu?

Streeter westchnął.

– Moim najlepszym przyjacielem od podstawówki.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Beldia wybuchnął gromkim śmiechem. Obszedł stół energicznym krokiem, klepnął Streetera w plecy (ręką, która wydawała się zimna, i palcami, które w dotyku robiły wrażenie długich i cienkich, a nie krótkich i pulchnych), a potem wrócił na składane krzesło. Opadł na nie, nadal zanosząc się śmiechem. Twarz mu poczerwieniała. Płynęły po niej łzy, które w świetle zachodzącego słońca także wyglądały na czerwone, właściwie krwawe.

– Twój najlepszy... od podstawówki... och, to jest...

Beldia ledwie dyszał. Zaczął pokrzykiwać, wył ze śmiechu, jego brzuchem wstrząsały spazmy, a broda (dziwnie wąska jak na tak nalaną twarz) unosiła się i wskazywała na dziewicze (ale ciemniejsze) niebo. W końcu jakoś się opanował. Streeter zastanawiał się, czy nie zaproponować mu chustki do nosa, ale rozmyślił się, bo nie chciał, by dotykała skóry handlarza przedłużeń.

– To przewyborne, panie Streeter – powiedział. – Możemy robić interesy.

– Kurde, to świetnie – odrzekł Streeter, cofając się o kolejny krok. – Już się cieszę na te dodatkowe piętnaście lat. Ale zaparkowałem na pasie dla rowerów, a to łamanie przepisów drogowych. Mogą mi wlepić mandat.

– Tym bym się nie przejmował – powiedział Beldia. – Zapewne pan zauważył, że odkąd się targujemy, nie przejechał tędy ani jeden prywatny samochód, nie wspominając o sługusach z policji Derry. Kiedy przystępuję do poważnych interesów z poważnym człowiekiem, ruch uliczny nigdy mi nie przeszkadza. Sam tego dopilnowuję.

Streeter rozejrzał się nerwowo. To była prawda. Słyszał ruch na Witcham Street w kierunku Upmle Hill, ale ten rejon Derry był zupełnie wyludniony. Oczywiście, upomniał sam siebie, mało kto tędy jeździ, kiedy skończy się dzień pracy.

Ale pustka? Zupełna pustka? Tego można się spodziewać około północy, ale nie o wpół

do ósmej wieczorem.

– Niech mi pan powie, dlaczego nienawidzi pan najlepszego przyjaciela – poprosił Beldia.

Streeter powtórzył w myślach, że ten człowiek jest wariatem. Więc nawet gdyby się przed kimś wygadał, i tak nikt mu nie uwierzy. To była kusząca perspektywa.

– Tom był ładniejszy, kiedy byliśmy dziećmi, a teraz wygląda znacznie lepiej. Wyróżniał się w trzech dyscyplinach sportu, a ja jestem ledwie w połowie tak dobry tylko w jednej, w minigolfie.

– O ile wiem, to w tej dyscyplinie nie ma cheerleaderek – powiedział Beldia.

Streeter uśmiechnął się ponuro i podjął przerwany wątek.

– Tom jest o wiele bystrzejszy, ale był leniem przez całe liceum. Jego ambicje w nauce równały się zeru. Kiedy jednak zaczął dostawać tak złe oceny, że groziło mu to wykluczeniem z drużyn sportowych, wpadł w panikę. Do kogo się wtedy zwrócił?

– Do pana! – zawołał Beldia. Współczucie w jego głosie było podszyte rozbawieniem. – Poczciwy Pan Odpowiedzialny. Dawał mu pan korepetycje, prawda? Może napisał pan też za niego kilka wypracowań? Pamiętając przy tym, żeby zrobić parę typowych dla Toma błędów ortograficznych?

– Przyznaję się do winy. Prawdę mówiąc, w ostatniej klasie, kiedy Tom zdobył tytuł sportowca roku stanu Maine, robiłem za dwóch uczniów: Dave’a Streetera i Toma Goodhugh.

– Trudna sprawa.

– Wie pan jednak, co było najtrudniejsze? Miałem dziewczynę. Piękną dziewczynę, Normę Witten. Ciemnobrązowe włosy i oczy, nieskazitelna cera, śliczne kości policzkowe...

– Cycuszki jak malowane...

– Tak, to prawda, ale odłóżmy na bok seksapil...

– Chyba sam pan nigdy o nim nie zapomniał...

– ...kochałem tę dziewczynę. I wie pan, co Tom zrobił?

– Ukradł ją panu! – odpowiedział Beldia z oburzeniem.

– Właśnie. Nawet do mnie przyszli, wie pan. I wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Jak szlachetnie!

– Mówili, że nie mogą na to nic poradzić.

– Mówili, że są zakochani, że to wielka miłość.

– Tak. Siły natury. To jest silniejsze od nas. I tak dalej.

– Niech zgadnę. Potem zmajstrował jej bachora.

– Właśnie tak. – Streeter ponownie wpatrywał się we własne buty i przypominał sobie pewną spódniczkę, którą Norma nosiła w ósmej albo dziewiątej klasie. Miała w niej rozcięcie, które odsłaniało kusząco to, co było pod spodem. Minęło niemal trzydzieści lat, a on ciągle przywoływał w pamięci ten obraz, gdy kochał się z Janet. Z Normą nigdy nie uprawiał seksu, w każdym razie nigdy nie poszli na całość, nie chciała mu na to pozwolić. Choć bez oporów

ściągnęła majtki przed Tomem Goodhugh. Pewnie już za pierwszym razem, kiedy ją o to poprosił, pomyślał.

– I zostawił ją z dzieciakiem w brzuchu.

– Nie. – Streeter westchnął. – Ożenił się z nią.

– A potem się rozwiódł! Może najpierw pobił ją do nieprzytomności?

– Jeszcze gorzej. Nadal są małżeństwem. Z trójką dzieci. Kiedy spacerują po parku Bassey, zwykle trzymają się za ręce.

– To największa szmira, jaką w życiu słyszałem. Nic chyba nie może pogorszyć tej sytuacji. Chyba że... – Beldia spod krzaczastych brwi popatrzył przenikliwie na Streetera. – Chyba że pan utknął zamrożony w górze lodowej małżeństwa bez miłości.

– Ależ skąd! – odpowiedział Streeter zaskoczony taką myślą. – Bardzo Kocham Janet i ona mnie kocha. Stała przy mnie murem, gdy wyszło na jaw, że mam raka. To było wyjątkowe. Jeśli istnieje harmonia we wszechświecie, to ja i Tom znaleźliśmy idealne partnerki. Absolutnie. Ale...

– Ale...? – Beldia spojrzał na niego z wesołym zaciekawieniem.

Streeter zorientował się, że wbija paznokcie w dłonie. Zamiast jednak rozluźnić ręce, zacisnął je mocniej. I nie przestawał, aż poczuł strużki krwi.

– Ale, do kurwy nędzy, on mi ukradł Normę! – To żarło go od lat, więc dobrze się poczuł, mogąc nareszcie wyrzucić z siebie te słowa.

– W rzeczy samej tak zrobił, a my nigdy nie przestajemy chcieć, czego chcemy, i nieważne, czy to jest dobre dla nas, czy nie. Zgodzi się pan chyba ze mną, panie Streeter?

Streeter nie odpowiedział. Oddychał ciężko jak człowiek, który przebiegł właśnie pięćdziesiąt metrów albo wdał się w bójkę uliczną. Ciemne czerwone plamy pojawiły się na jego wcześniej bladych policzkach.

– I to wszystko? – zapytał Beldia tonem uprzejmego księdza.

– Nie.

– Niech pan to z siebie wywali. Rozetnie ten wrzód.

– Jest milionerem. Nie powinien być, a jest. Pod koniec lat osiemdziesiątych, niedługo po powodzi, która prawie zmyła to miasto, założył firmę śmieciarską... ale nazwał ją Usuwanie Odpadków i Utylizacja. Lepiej brzmi, rozumie pan.

– Mniej obrzydliwie.

– Przyszedł do mnie po pożyczkę, ale choć jego pomysł wszyscy w banku uznali za niepewny, ja go przepchnąłem. A wie pan, dlaczego to zrobiłem, panie Beldia?

– Oczywiście! Bo jest pańskim przyjacielem!

– Niech pan spróbuje jeszcze raz.

– Bo uznał pan, że się na tym wyłoży.

– Racja. Utopił wszystkie oszczędności w śmieciarkach i obciążył hipotekę domu, żeby kupić tuż za granicą miasta Newport kawałek ziemi przeznaczony do składowania odpadów.

Podobny do tego, który mają gangsterzy z New Jersey do prania pieniędzy i zakopywania trupów. Pomyślałem, że to szaleństwo, i nie mogłem się doczekać, żeby spisać z nim umowę kredytową. Do dziś kocha mnie za to jak brata. Przy każdej okazji opowiada ludziom, jak postawiłem się w banku i zaryzykowałem własną posadę. „David mnie pociągnął, tak jak kiedyś w liceum”, mówi. Wie pan, jak dzieciaki nazywają teraz jego składowisko śmieci?

– Proszę powiedzieć!

– Kiliśmieciaro! Góruje na okolicę. Nie zdziwiłbym się, gdyby było radioaktywne. Jest pokryte darnią, ale wokół ma ustawione tablice z napisem: „Zakaz wstępu”, a pod tą zieloną trawką istnieje pewnie szcurzy Manhattan! One być może też są radioaktywne!

Przerwał, świadomy tego, że jego głos brzmi żałośnie. Utracił nad nim kontrolę. Beldia był wariatem, ale – niespodzianka! Streeter również okazał się wariatem! Przynajmniej jeśli chodziło o starego przyjaciela. Plus...

In cancer veritas, pomyślał.

– No to podsumujmy – Beldia zaczął odliczać na palcach, które wcale nie były długie, ale krótkie, pulchne i zupełnie niegroźne, jak on cały. – Tom Goodhugh był od pana przystojniejszy, nawet kiedy byliście dziećmi. Miał talenty sportowe, o jakich pan nie mógł nawet marzyć. Dziewczyna, która na tylnym siedzeniu pańskiego samochodu mocno zaciskała gładkie białe uda, rozchyliła je dla niego. Ożenił się z nią. Nadal się kochają. Dzieci udane, jak przypuszczam?

– Zdrowe i śliczne! – rzucił Streeter. – Córka właśnie wychodzi za mąż, jeden syn studiuje, a drugi jest w liceum. Kapitan drużyny futbolowej! Nieodrodny syn pieprzonego tatusia!

– Racja. I teraz jeszcze ostatnia kropla goryczy... on jest bogaty, a pan borykasz się z życiem, zarabiając, jak przypuszczam, sześćdziesiąt tysięcy rocznie.

– Dostałem premię za zawarcie z nim umowy – wymamrotał Streeter. – Za wykazanie się wyobraźnią.

– Ale tak naprawdę chciał pan awansu.

– Skąd pan to wie?

– Teraz jestem człowiekiem interesu, ale kiedyś byłem skromnym etatowym pracownikiem. Wyrzucili mnie, zanim stanąłem na własnych nogach. To najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Wiem, jak to działa. Coś jeszcze? Bo inny ciężar również mógłbym zdjąć z pana piersi.

– On pije piwo marki Spotted Hen z mikrobrowaru! – krzyknął Streeter. – Nikt w Derry nie pije tego pretensjonalnego gówna! Tylko on! Tylko Tom Goodhugh, Król Śmieci!

– Ma sportowy samochód? – Beldia odezwał się spokojnym głosem, słowa ociekały miodem.

– Nie. Gdyby miał, mógłbym przynajmniej dowcipkować z Janet o klimakterium i sportowych samochodach. Jeździ przeklętym range roverem.

– Wydaje mi się, że chodzi o coś jeszcze – powiedział Beldia. – Jeśli tak jest, niech pan i to z siebie wyrzuci.

– On nie ma raka – wyszeptał Streeter. – Ma pięćdziesiąt jeden lat jak ja i jest zdrowy... jak pierdolony koń.

– Zupełnie jak pan – odezwał się Beldia.

– Co takiego?

– Załatwione, panie Streeter. Albo... ponieważ wyleczyłem pana z raka, przynajmniej tymczasowo, czy mogę zwracać się do pana po imieniu, Dave?

– Naprawdę jesteś kompletnym wariatem – zauważył Streeter nie bez podziwu.

– Nie, drogi kolego. Jestem przy zdrowych zmysłach. Zwróć jednak uwagę, że użyłem słowa „tymczasowo”. Powiedzmy, że nasza znajomość weszła w fazę „wypróbuj, a potem kup”. To potrwa coś około tygodnia, może dziesięciu dni. Namawiam cię, żebyś poszedł do swojego lekarza. Myślę, że stwierdzi niezwykłą poprawę twojego stanu zdrowia. Ale to nie będzie trwało. Chyba że...

– Chyba że?

Beldia z poufałym uśmiechem pochylił się do przodu. Ponownie można było pomyśleć, że ma za dużo zębów (zbyt zresztą wielkich) jak na nieszkodliwe usta.

– Będę się tu pojawiać od czasu do czasu – powiedział. – Zwykle o tej porze.

– Tuż przed zachodem słońca.

– Właśnie. Dla większości ludzi jestem niezauważalny, patrzą przeze mnie, jakbym był przezroczysty, ale ty mnie zauważysz, prawda?

– Jeśli lepiej się czuję, to na pewno – odpowiedział Streeter.

– I coś mi przyniesiesz.

Uśmiech Beldii poszerzył się, a Streeter zobaczył coś cudownego i przerażającego: zęby tego mężczyzny były nie tylko zbyt liczne i zbyt duże. One były ostre.

* * *

Kiedy wrócił do domu, Janet składała ubrania w pralni.

– Nareszcie jesteś – powiedziała. – Zaczynałam się już niepokoić. Dobrze ci się jechało?

– Tak – odparł. Rzucił okiem na kuchnię. Wyglądała inaczej. Jak kuchnia we śnie. Potem zapalił światło i tak było lepiej. Beldia był snem. Beldia i jego obietnice. Zwykły wariat na jednodniowej przepustce z psychiatrika.

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Była zarumieniona od ciepła bijącego z suszarni i bardzo ładna. Miała pięćdziesiąt lat, ale wyglądała o wiele młodziej. Streeter pomyślał, że po jego śmierci będzie pewnie wiodła całkiem udane życie. Przypuszczał, że w przyszłości May i Justin będą mieli ojczyma.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała. – Dostałeś nawet kolorów.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Posłała mu pełen otuchy uśmiech, za którym jednak kryła się troska. – Chodź i porozmawiaj ze mną, kiedy będę składała resztę rzeczy. To takie nudne zajęcie.

Poszedł za nią i stanął w drzwiach pralni. Nie wrywał się z pomocą, bo wiedział, co usłyszy. Powiedziała mu już, że źle składa ściereczki do naczyń.

– Dzwonił Justin – odezwała się. – Są z Carlem w Wenecji. W hostelu. Powiedział, że taksówkarz mówił bardzo dobrze po angielsku. I świetnie się bawi.

– To doskonale.

– Miałeś rację, mówiąc, żeby nic mu nie wspominać o diagnozie – dodała. – Ty miałeś rację, a ja się myliłam.

– Po raz pierwszy w naszym małżeństwie.

Zmarszczyła nos, patrząc na niego.

– Jus tak bardzo cieszył się na tę podróż. Ale będziesz musiał się przyznać, kiedy wróci. May przyjeżdża z Searsport na ślub Gracie, to będzie odpowiednia pora. – Gracie to Gracie Goodhugh, najstarsze dziecko Toma i Normy. Carl Goodhugh, kompan wyprawy Justina, przyszedł na świat jako drugi.

– Zobaczymy – powiedział Streeter. W tylnej kieszeni trzymał torebkę na wymioty, ale w tej chwili jej nie potrzebował. Tak naprawdę miał ochotę na jedzenie. Po raz pierwszy od wielu dni.

Nic się tam nie wydarzyło – wiesz o tym, prawda? To tylko poprawa psychosomatyczna. Szybko się cofnie.

– Podobnie jak linia włosów – powiedział.

– Co mówisz, kochanie?

– Nic.

– Och, a skoro wspomniałam o Gracie... Dzwoniła Norma. Przypomniała mi, że teraz wypada ich kolej i zapraszają nas do siebie na obiad w czwartek. Obiecałam, że cię zapytam, bo powiedziałam jej, że jesteś strasznie zajęty w banku, że pracujesz po godzinach, że to przez niespłacone kredyty hipoteczne. Pomyślałam, że nie będziesz chciał się z nimi widzieć.

Jej głos był normalny i spokojny jak zawsze, ale nagle wybuchnęła płaczem, wielkie łzy, które nabrzmiwały w jej oczach, ciekły po policzkach. Ostatnie lata ich małżeństwa wypełniała monotonia emocjonalna, ale teraz miłość powróciła świeża, prawie jak na początku, gdy wynajmowali we dwójkę obskurne mieszkanie przy Kossuth Street i czasami kochali się na dywanie w salonie. Wszedł do pralni, wyjął jej z rąk koszulę, którą składała, i objęli się, mocno.

– To po prostu takie trudne i niesprawiedliwe – powiedziała. – Ale jakoś przez to przejdziemy. Nie wiem jak, ale damy radę.

– Masz rację. A zaczniemy od obiadu w czwartek wieczorem u Toma i Normy, bo zawsze tam chodzimy.

Odsunęła się i spojrzała na niego oczami mokrymi od łez.

– Powiesz im?

– Żeby zepsuć obiad? Nie.

– A czy w ogóle będziesz w stanie jeść? Bez... – Zakryła usta dwoma palcami, wydeła policzki i przewróciła oczami: ta komiczna pantomima symbolizująca wymiotowanie sprawiła, że Streeter się uśmiechnął.

– Nie wiem, jak będzie w czwartek, ale teraz chętnie coś bym zjadł – powiedział. – Masz coś przeciwko temu, żebym usmażył sobie hamburgera? Mogę też pójść do McDonalda... przyniosłbym ci czekoladowego shake'a...

– Dobry Boże. – Otarła oczy. – To cud.

* * *

– Właściwie nie nazwałbym tego cudem – powiedział doktor Henderson w środę po południu. – Ale...

Od rozmowy Streetera o życiu i śmierci z niejakim Bełdą pod żółtym parasolem minęły dwa dni, nazajutrz zaś czekał go cotygodniowy obiad z Tomem i Normą Goodhugh, tym razem w ich okazałym domu, który nazywał czasami w myślach Rezydencją Śmieciarza. Rozmowa odbywała się nie w gabinecie lekarza, ale w niewielkim ambulatorium szpitala miejskiego Derry. Henderson starał się go odwieść od rezonansu magnetycznego, mówiąc, że ubezpieczenie nie pokrywa jego kosztów, a wyniki na pewno będą niezadowolające. Streeter upierał się jednak przy swoim.

– O co chodzi, Roddy?

– Guz najwyraźniej się zmniejszył, a płuca wyglądają na czyste. Nigdy nie widziałem takich efektów. Dwaj inni lekarze, których poprosiłem, żeby rzucili okiem na twoje wyniki, również nigdy się z czymś takim nie spotkali. Co ważniejsze, technik od rezonansu też nigdy nie miał takiego przypadku. A tym facetom można wierzyć. Myślę jednak, że to prawdopodobnie jakaś usterka w komputerze, może w samym urządzeniu.

– Ale ja dobrze się czuję – powiedział Streeter. – Właśnie dlatego prosiłem o badanie. Czy to też jakaś usterka?

– Wymiotujesz?

– Zdarzyło się parę razy – przyznał Streeter. – Myślę jednak, że to przez chemię. A tak przy okazji... chcę ją przerwać.

Roddy Henderson zmarszczył czoło.

– To bardzo nierozsądne.

– Zaczynanie jej było nierozsądne, drogi przyjacielu. Powiedziałeś: „Przykro mi, Dave, szanse na to, że nie dożyjesz walentynek, wynoszą dziewięćdziesiąt procent, dlatego musimy spieprzyć czas, jaki ci pozostał, pchając do twoich żył tyle chemii, ile się da. Mógłbyś poczuć

się gorzej tylko wtedy, gdybym wstrzyknął ci szlam z wysypiska Toma Goodhugh, ale i to byłoby mało prawdopodobne”. A ja jak kretyn się zgodziłem.

Henderson wyglądał na urażonego.

– Chemia jest ostatnią deską ratunku dla...

– Bujać to my, ale nie nas – powiedział Streeter z dobrodusznym uśmiechem. Wciągnął głęboko powietrze, do samego dna płuc. Cudowne wrażenie. – Kiedy rak jest złośliwy, chemia nie jest dla pacjenta. To dodatkowa danina z cierpienia płacona przez chorego, żeby lekarze i krewni mogli obejmować się nad jego trumną i mówić: „Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy”.

– To bardzo surowy osąd – odpowiedział Henderson. – Wiesz, że znowu może ci się pogorszyć, prawda?

– Powiedz to guzom – odrzekł Streeter. – Tym, których tam już nie ma.

Henderson popatrzył na obrazki Ponurej Głębi Streetera, które nadal mrugały w dwudziestosekundowych interwałach na monitorze sali konferencyjnej, i westchnął. To były dobre wyniki i nawet pacjent to wiedział, ale zdawały się unieszczęśliwiać lekarza.

– Odpręż się, Roddy – odezwał się Streeter łagodnie, jak powiedziałaby do May albo Justina, gdyby któreś z nich zgubiło lub zepsuło zabawkę. – Nieszczęścia chodzą po ludziach, czasem zdarzają się jednak cuda. Przeczytałem to w „Reader’s Digest”.

– Z mojego doświadczenia wynika, że jeszcze żaden cud nie zdarzył się w tubie rezonansu. – Henderson wziął długopis i zaczął nim stukać w kartotekę Streetera, która bardzo spęczniała przez ostatnie trzy miesiące.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – powiedział Streeter.

* * *

Czwartkowy wieczór w Derry. Zmierzch zapowiadający letnią noc. Zachodzące słońce rzucało czerwone, baśniowe promienie na idealnie ostrzyżone, podlane i zaaranżowane przez fachowca akry murawy Toma Goodhugh, który miał czelność nazywać je „starym podwórzem z tyłu domu”. Streeter siedział w fotelu na patio, wsłuchując się w pobrząkiwanie talerzy i śmiech Normy i Janet, wypełniających zmywarkę.

Podwórze? To nie jest podwórze, tak zdaniem fanów kanałów zakupowych wygląda niebo.

Stała tam nawet fontanna z marmurowym chłopczykiem. To właśnie ten cherubinek z gołym tyłkiem (oczywiście sikający) najbardziej wkurzał Streetera, który był pewny, że pomysł wyszedł od Normy – wróciła na studia, żeby skończyć wydział sztuk wyzwolonych, i miała pretensje do znajomości zasranego klasycyzmu – mimo to oglądanie tej figurki w poświęceniu idealnego wieczoru w Maine i świadomość, że jej obecność jest efektem sukcesu śmieciowego monopolu Toma...

O wilku mowa (czy raczej o wilczych zębach, pomyślał Streeter, przypominając sobie uśmiech Beldii). Oto zjawił się Król Śmieci we własnej osobie, trzymając między palcami lewej ręki szyjki dwóch spotniałych butelek piwa Spotted Hen. Szczupły i wyprostowany, w koszuli rozpiętej pod szyją i dżinsach, o pociągłej twarzy perfekcyjnie oświetlonej przez zachodzące słońce, Tom Goodhugh wyglądał na modela z reklamy piwa w jakimś magazynie. Streeter widział nawet oczami wyobraźni towarzyszący mu slogan: „Żyj przyjemnie, sięgnij po piwo marki Spotted Hen”.

– Pomyślałem, że jeszcze się napijesz, skoro twoja piękna żona obiecała prowadzić.

– Dzięki. – Streeter wziął jedną butelkę, przytknął ją do ust i pociągnął łyk.

Kiedy Goodhugh usiadł, przyszedł Jacob, futbolista, z talerzem sera i krakersów. Miał równie szerokie bary i był przystojny jak Tom w jego wieku. Cheerleaderki jak nic łąszą się do niego, pomyślał Streeter. Pewnie musi opędzać się od nich kijem.

– Mama uznała, że może będziecie mieli na to ochotę – powiedział Jacob.

– Dzięki, Jake. Wychodzisz?

– Nie na długo. Porzucac frisbee z chłopakami w Barrens, dopóki się nie ściemni. Potem będę się uczył.

– Zostańcie po tej stronie. Sumak już tam odrósł.

– Tak, wiem. Denny poparzył się jeszcze w liceum i wyglądało to tak paskudnie, że jego matka wzięła to za objawy raka.

– O rany! – odezwał się Streeter.

– Wracaj szczęśliwie do domu, synu. Żadnego hotdogowania.

– Jasne.

Chłopak objął ojca ramieniem i pocałował w policzek, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, co bardzo przygnębiło Streetera. Nie dość, że Tom cieszył się doskonałym zdrowiem, miał ciągle śliczną żonę i absurdalny trawnik z sikającym cherubinem, to jeszcze jego przystojny osiemnastoletni syn nadal nie widział niczego złego w całowaniu ojca na do widzenia przed wyjściem z domu i spotkaniem z najlepszymi kumplami.

– To dobry dzieciak – powiedział z dumą Goodhugh, patrząc na Jacoba wchodzącego po schodach i znikającego w domu. – Dużo się uczy i ma dobre stopnie, nie tak jak jego staruszek. Szczęście, że miałem ciebie.

– Obaj mieliśmy szczęście – odparł Streeter, uśmiechając się i nakładając kawałek brie na krakersa, który wsunął do ust.

– Cieszę się, widząc, że jesz, chłopie – odezwał się Goodhugh. – Zaczynaliśmy się martwić z Normą, że może coś ci dolega.

– Nigdy nie czułem się lepiej – oznajmił Streeter i napił się jeszcze dobrego (i bez wątpienia nonsensownie drogiego) piwa. – Choć zacząłem trochę łysieć z przodu. Janet twierdzi, że przez to wyglądam na chudszeo.

– To jedna z rzeczy, o które kobiety nie muszą się martwić – powiedział Goodhugh i

przeczesał dłonią własne loki, które nie różniły się zupełnie od tych, jakie miał w wieku osiemnastu lat. Nie widać w nich było ani śladu siwizny. Janet Streeter nadal mogła uchodzić za czterdziestolatkę, gdy miała dobry dzień, ale w świetle gasnącego dnia Król Śmieci wyglądał na trzydziestopięciolatka. Nie palił, nie pił zbyt dużo i ćwiczył na siłowni, która robiła interesy z bankiem Streetera, ale na którą jego nie było stać. Carl, średni syn Toma, i Justin Streeter podróżowali teraz po Europie za forszę Carla. Co w praktyce oznaczało, rzecz jasna, forszę Króla Śmieci.

O człeczce, który posiadasz wszystko, imię twe to Goodhugh, pomyślał Streeter i uśmiechnął się do przyjaciela.

Jego stary przyjaciel odpowiedział uśmiechem i stuknął szyjką butelki w butelkę Streetera.

– Życie jest piękne, zgadzasz się?

– Bardzo piękne – zgodził się Streeter. – Długie dni i przyjemne noce.

Goodhugh uniósł brwi.

– Skąd to wzięłeś?

– Chyba wymyśliłem – odrzekł Streeter. – Ale to prawda, co nie?

– Jeśli tak, to tobie zawdzięczam wiele z tych przyjemnych nocy – powiedział Goodhugh.

– Przyszło mi do głowy, stary draniu, że zawdzięczam ci życie. – Wskazał butelką absurdalny trawnik, jakby wznosił za niego toast. – W każdym razie tę jego najprzyjemniejszą część.

– Daj spokój, sam sobie wszystko zawdzięczasz.

Goodhugh zniżył głos i powiedział w zaufaniu:

– Chcesz znać prawdę? To kobieta stworzyła tego mężczyznę. Biblia mówi: „Dobrą niewiastę kto znajdzie? Jej wartość przewyższa rubiny”, czy coś w tym rodzaju. A dzięki tobie się poznaliśmy. Nie wiem, czy jeszcze o tym pamiętasz.

Streeter poczuł nagle nieodpartą ochotę rozbić butelkę o cegły patio i wbić utłuczoną, pełną piany szyjkę w oko przyjaciela. Zamiast tego jednak uśmiechnął się tylko, upił łyk piwa, a potem wstał.

– Chyba muszę odwiedzić pewne miejsce.

– Piwa się nie kupuje, tylko wypożycza – skomentował Goodhugh... i wybuchnął śmiechem, jakby sam wymyślił to zdanie w tej właśnie chwili.

– Nic bardziej prawdziwego i tak dalej – odpowiedział Streeter. – Przepraszam.

– Naprawdę lepiej wyglądasz! – usłyszał wołanie Toma, gdy wchodził po schodach.

– Dzięki – odkrzyknął – stary kumplu!

* * *

Zamknął drzwi łazienki, wcisnął guzik blokady zamka, zapalił światło i – po raz pierwszy w życiu – otworzył na oścież drzwiczki apteczki w cudzym domu. Pierwsza rzecz, którą

sposzregł, niesłuchanie go ucieszyła: tuba szamponu z napisem „tylko dla mężczyzn”. Stało tam też kilka buteleczek z lekami wydawanymi na receptę.

Streeter pomyślał: Ludzie ustawiający swoje lekarstwa w łazience dla gości sami proszą się o kłopoty. Nie żeby zobaczył tam coś sensacyjnego: Norma brała leki na astmę, Tom na nadciśnienie – atenolol – i używał jakiegoś kremu do skóry.

Buteleczka atenololu była w połowie pusta. Streeter wziął jedną tabletkę, włożył ją do małej kieszonki džinsów i spuścił wodę. Potem wyszedł z łazienki, czując się jak człowiek, który właśnie przekroczył granicę obcego kraju.

* * *

Następnego dnia wieczorem, choć niebo było zachmurzone, George Beldia nadal siedział pod żółtym parasolem i znowu oglądał *Inside Edition* na przenośnym telewizorze. Tym razem mówiono o Whitney Houston, która po podpisaniu lukratywnego kontraktu na nową płytę podejrzanie dużo straciła na wadze w krótkim czasie. Beldia skwitował tę informację pstryknięciem pulchnych palców i powitał Streetera uśmiechem.

– Jak się czujesz, Dave?

– Lepiej.

– Tak?

– Tak.

– Wymiotujesz?

– Nie dzisiaj.

– Jesz?

– Aż mi się uszy trzęsą.

– Założę się, że miałeś jakieś badania.

– Skąd wiesz?

– Tego można się spodziewać po odnoszącym sukcesy urzędniku bankowym. Przyniosłeś mi coś?

Streeter zastanawiał się przez chwilę, czy nie odejść. Naprawdę. A potem sięgnął do kieszeni cienkiej kurtki, którą miał na sobie (wieczór był chłodny jak na sierpień, a on sam nadal nie do końca był zdrowy), i wyciągnął niewielki zwitek chusteczki higienicznej. Zawahał się, a potem wręczył nad stolikiem Beldii, który go rozwinął.

– Ach, atenolol – powiedział Beldia. Wrzucił pastylkę na język i połknął.

Streeter aż otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Nie bądź taki zdziwiony – odezwał się Beldia. – Jeśli ma się pracę tak bardzo stresującą jak moja, to nadciśnienie jest nieuniknione. Cierpię też na zarzucanie treści żołądkowej, oj. Nie chcesz o tym wiedzieć.

– I co się teraz stanie? – zapytał Streeter. Nawet w kurtce było mu zimno.

– Teraz? – Beldia wyglądał na zaskoczonego. – Teraz zaczniesz się cieszyć piętnastoma latami dobrego zdrowia. A może dwudziestoma, dwudziestoma pięcioma. Kto wie?

– I będę szczęśliwy?

Beldia obrzucił go surowym spojrzeniem. Byłoby może nawet zabawne, gdyby nie chłód, który Streeter za nim dojrzał. I wiek. W tej chwili nabrał pewności, że George Beldia, z zarzucaniem treści żołądkowej czy nie, prowadził swoje interesy od bardzo dawna.

– Szczęście zależy od ciebie, Dave. I twojej rodziny, rzecz jasna. Janet, May i Justina.

Czy zdradził Beldii ich imiona? Nie potrafił sobie przypomnieć.

– Może przede wszystkim od dzieci. Jest takie stare przysłowie, które mówi, że dzieci są zakładnikami wobec fortuny, ale w rzeczywistości to one biorą rodziców jako zakładników. Przynajmniej ja tak uważam. Jedno z nich mogłoby mieć śmiertelny albo okaleczający na całe życie wypadek na opuszczonej polnej drodze... zapaść na chorobę, pozbawiającą sił...

– Czy chcesz przez to powiedzieć...

– Nie, nie, nie! To nie jest jakaś tam upierdliwa umoralniająca gadka. Jestem człowiekiem interesów, a nie postacią z opowiadania *Diabeł i Daniel Webster*. Wszystko, co chciałem powiedzieć, sprowadza się do tego, że szczęście jest w rękach twoich i twoich najbliższych krewnych. I jeśli się spodziewasz, że zjawię się za dwa dziesięciolecia, by zabrać twoją duszę do zapleśniałego worka, to się mylisz. Poza tym ludzkie dusze stały się ubożuchne i przezroczyście.

Streeter pomyślał, że mówi jak lis, który nabiegał się w kółko i przekonał jedynie, że kurczęta są poza jego zasięgiem. Ale nie miał zamiaru powiedzieć tego głośno. Teraz, gdy dobili interesu, chciał jedynie stąd zniknąć. Mimo to zwlekał, bo bronił się przed zadaniem pytania, które nie dawało mu spokoju, a które musiał postawić. W końcu nikt tu nikomu nie robił prezentów. Przez większość swego życia Streeter załatwiał interesy w banku i potrafił rozpoznać transakcję handlową, gdy miał z nią do czynienia. Albo kiedy ją wyczuwał: nikły, nieprzyjemny smrodek jak spaliny z samolotu.

„Mówiąc najprościej, musi pan zrobić świństwo komuś innemu, jeśli świństwo ma być zdjęte z pana”.

Lecz kradzież jednej pastylki na nadciśnienie nie była czymś, co można nazwać zrobieniem świństwa. Prawda?

Tymczasem Beldia składał parasol. A kiedy już go złożył, Streeter zauważył ze zdumieniem i obawą, że wcale nie jest żółty. Był szary jak niebo. Lato dobiegało przecież końca.

– Większość moich klientów jest bardzo zadowolona i bardzo szczęśliwa. To właśnie chciałeś usłyszeć?

I tak... i nie.

– Wyczuwam, że chciałbyś jeszcze o coś zapytać – powiedział Beldia. – Jeśli więc chcesz poznać odpowiedź, przestań owijać w bawełnę i zapytaj. Znosi się na deszcz, a ja chciałbym

znaleźć się pod dachem, zanim zaczną padać. W swoim wieku najmniej potrzebuję bronchitu.

– Gdzie zaparkowałeś?

– Och, o to chciałeś spytać? – Bełdia otwarcie prychnął. Twarz miał pociągłą, nie było w niej nic z pucołowatości, kąciki jego oczu uniosły się, a białka w tym miejscu przybrały nieprzyjemny i... tak, to prawda... rakowaty kolor czerni. Wyglądał jak najbardziej odrażający klaun na ziemi, ze zmytą połową charakteryzacji.

– Twoje zęby – powiedział Streeter głupio. – Są szpiczaste.

– Pytanie, panie Streeter!

– Czy on zachoruje na raka?

Bełdia otworzył szeroko usta, a potem zaczął chichotać. Dźwięk był świszczący, atonalny i niemiły – przypominał dogorywające organy parowe.

– Nie, Dave – odpowiedział. – Tom Goodhugh nie zachoruje na raka. Nie on.

– Co się w takim razie stanie? Co?

Pogarda, z jaką Bełdia omiół go spojrzeniem, sprawiła, że pod Streeterem ugięły się nogi – miał wrażenie, jakby kości rozpuścił mu niesłychanie żrący, ale niewyczuwalny kwas.

– A co cię to obchodzi? Sam mówiłeś, że go nienawidzisz.

– Ale...

– Posłuchaj. Poczekaj. Ciesz się. I weź to. – Podał Streeterowi wizytówkę. Było na niej napisane „Fundacja Ekumeniczna na rzecz Dzieci” i adres banku na Kajmanach.

– Raj podatkowy – dodał Bełdia. – Będziesz tam wysyłał moje piętnaście procent. Dowiem się, jeśli spróbujesz oszukiwać. I biada ci wtedy, mały.

– A jeżeli moja żona to odkryje i zapyta?

– Twoja żona ma własne konto. Poza tym nigdy niczego nie sprawdza. Ufa ci. Mam rację?

– Cóż... – Streeter zauważył bez zdziwienia, że krople deszczu upadające na dłonie i ramiona Bełdii skwierczą i zmieniają się w parę. – Tak.

– Oczywiście, że mam rację. Ubiliśmy interes. Odejdź stąd i wracaj do żony. Bóg to wie, że na nią nie zasługujesz, ale jestem pewny, że powita cię z otwartymi ramionami. Weź ją do łóżka. Wetknij w nią własnego śmiertelnego penisa i wyobrażaj sobie, że jesteś z żoną najlepszego przyjaciela. Nie zasługujesz na swoją, ale masz szczęście.

– Chcę to odwołać – wyszeptał Streeter.

Bełdia obdarzył go ponurym uśmiechem, pokazując rząd sterczących zębów kanibala.

– Nie możesz – odpowiedział.

To było w sierpniu 2001 roku, niecały miesiąc przed zburzeniem nowojorskich wież.

* * *

W grudniu (dokładnie tego samego dnia, kiedy Winonę Ryder zatrzymano za kradzież w sklepie) doktor Roderick Henderson oznajmił, że Dave Streeter nie ma raka – uznając to jednocześnie za prawdziwy współczesny cud.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – powiedział.

Streeter potrafił, ale zachował milczenie.

Badanie odbyło się w gabinecie Hendersona. W szpitalu miejskim Derry, w sali konferencyjnej, gdzie Streeter zobaczył pierwsze obrazy swego cudownie uleczonego ciała, Norma Goodhugh siedziała na tym samym krześle, które on wcześniej zajmował, i oglądała mniej optymistyczne wyniki rezonansu magnetycznego. Słuchała w odrętwieniu, jak lekarz mówił – najłagodniej, jak potrafił – że guz w jej lewej piersi jest istotnie rakiem i ma przerzuty w węzłach chłonnych.

– Sytuacja jest zła, ale nie beznadziejna – dodał lekarz, sięgając przez stół i ujmując Normę za rękę. Uśmiechnął się. – Chcielibyśmy, żebyś od razu zaczęła chemioterapię.

* * *

W czerwcu następnego roku Streeter wreszcie awansował, a May została przyjęta na słynny wydział dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia. Żeby to uczcić, Streeter i jego żona pojechali na odkładane od dawna wakacje na Hawaje. Kochali się tam wiele razy. Ostatniego dnia na Maui mieli telefon od Toma Goodhugh. Połączenie było kiepskie, a on sam mówił z trudem, ale Dave zrozumiał: Norma umarła.

– Będziemy z tobą – obiecał Streeter.

Kiedy Janet usłyszała tę wiadomość, upadła na hotelowe łóżko i płakała, zakrywając twarz rękami. Streeter położył się obok niej, mocno ją przytulił i pomyślał: Cóż, i tak mieliśmy wracać do domu. I chociaż czuł się fatalnie z powodu Normy (i chyba nie najlepiej z powodu Toma), wyjazd miał też dobrą stronę: ominęła ich pora wysypu owadów, która w Derry potrafi być bardzo dokuczliwa.

W grudniu Streeter wysłał czek na nieco ponad piętnaście tysięcy dolarów, wystawiony dla Fundacji Ekumenicznej na rzecz Dzieci. Odpisał to sobie od podatku.

* * *

W 2003 roku Justin Streeter dostał się na listę najlepszych studentów Browna i – dla kawału – stworzył grę wideo *Odprowadź Fido do domu*. W grze chodziło o przeprowadzenie psa na smyczy z pasażu handlowego do domu, co nie było łatwe, bo po drodze trzeba było unikać złych kierowców, przedmiotów spadających z balkonów wieżowców i bandy szalonych staruszek, które same siebie nazywały Babciami Psobójkczyniami. Dla Streeterów to brzmiało jak dowcip (i Justin zapewniał ich, że to była satyra), ale szefowie Games Inc.

spojrzeli tylko raz i zapłacili ich przystojnemu, wesołemu synowi siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów za prawa. Plus procent od każdego sprzedanego egzemplarza. Jus kupił rodzicom po toyocie pathfinder SUV, różową dla mamy, niebieską dla taty. Janet się rozpląkała, wyściskała go i nazwała głupim, splukanym, wspaniałomyślnym i w sumie cudownym chłopcem. Streeter zabrał go do tawerny Roxie's i postawił piwo marki Spotted Hen.

W październiku współlokator Carla Goodhugh z akademika w college'u Emersona wrócił z zajęć i znalazł Carla leżącego na podłodze w kuchni twarzą do ziemi, podczas gdy jego kanapka z serem nadal smażyła się na patelni. Chociaż Carl miał tylko dwadzieścia dwa lata, dostał zawału serca. Lekarze przeprowadzili później badania i stwierdzili u niego wadę wrodzoną – coś w rodzaju cienkich ścianek przedsionka – której wcześniej nie wykryto. Carl nie umarł. Jego współlokator wrócił na czas i zrobił mu reanimację. Ale mózg Carla został narażony na niedotlenienie i bystry, przystojny, bardzo sprawny fizycznie młody człowiek, który jeszcze niedawno zwiedzał Europę z Justinem Streeterem, stał się kalekim cieniem dawnego siebie. Nie zawsze udawało mu się utrzymać mocz i kał, gubił się, gdy odszedł od domu dalej niż o jedną, dwie przecznice (wprowadził się z powrotem do ojca, cały czas pogrążonego w żałobie), a jego mowa stała się niewyraźnym bełkotem, zrozumiałym jedynie dla Toma. Ojciec wynajął opiekuna, który robił Carlowi fizykoterapię i zmieniał ubranie, a także raz na dwa tygodnie wychodził z nim „na miasto”. Najczęściej celem tych wyjść była lodziarnia Wishful Dishful, gdzie Carl zawsze brał pistacjowy rożek i rozsmarowywał go sobie po całej twarzy. Opiekun wycierał go potem cierpliwie do czysta wilgotną chusteczką higieniczną.

Janet przestała bywać z mężem na obiadach u Toma.

– Nie mogę tego znieść – wyznała. – Nie chodzi o upośledzenie Carla ani o to, że czasami moczy spodnie; chodzi o wyraz jego oczu, jakby pamiętał siebie z dawniejszych czasów, a nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się w stanie, w którym jest teraz. I... sama nie wiem... ma w twarzy jakąś nadzieję, przez co wydaje mi się, że wszystko w życiu to jeden wielki żart.

Streeter wiedział, o co jej chodzi, i często się nad tym zastanawiał w czasie obiadów ze starym przyjacielem (bez Normy, która gotowała, najczęściej jedli coś zamówionego na wynos). Patrzenie na Toma karniącego kalekiego syna sprawiało mu przyjemność, podobnie jak nadzieja malująca się na twarzy chłopaka. Jakby Carl chciał powiedzieć: „To tylko sen i wkrótce się obudzę”. Janet miała rację, to był żart, ale z rodzaju tych dobrych.

Jeśli naprawdę się nad tym zastanowić.

* * *

W 2004 roku May Streeter dostała pracę w bostońskim „Globe” i uważała się za najszcześliwszą dziewczynę w Stanach Zjednoczonych. Justin Streeter stworzył grę

Wstrząśnij domem, która na wiele lat stała się bestsellerem, zanim zepchnął ją w zapomnienie *Guitar Hero*, a wtedy Jus przerzucił się na program do komponowania muzyki o nazwie *Zsyntezatorowałaś mnie, mała*. Dave Streeter został kierownikiem oddziału banku i słyszało się pogłoski o jego przyszłym awansie na stanowisko w okręgu. Zabrał Janet do Cancun, gdzie świetnie się bawili. Janet zaczęła go nazywać „króliczkiem pieszczochem”.

Księgowy z Usuwania Odpadków i Utylizacji zdefraudował dwa miliony dolarów i zniknął bez śladu. W konsekwencji kontrola w dziale finansowym ujawniła, że firma stoi na bardzo niepewnym gruncie. Wyglądało na to, że szczur buchalter podgryzał ser od wielu lat.

Podgryzał? – pomyślał Streeter, czytając o tym w „Derry News”. Raczej obżerał się, głośno mlaszcząc.

Tom nie wyglądał już na trzydzieści pięć lat. Można go było wziąć za sześćdziesięciolatka. I musiał o tym wiedzieć, bo przestał farbować włosy. Streeter ucieszył się, widząc, że pod farbą nie ma białych włosów. Ich odcień stał się matowoszary, podobny do koloru złożonego parasola Beldii. To był odcień, jaki widuje się u starców przesiadujących na ławkach w parku i karmiących gołębie. Po prostu „tylko dla przegranych”.

* * *

W 2005 roku Jacob, futbolista, zamiast iść na studia (gdzie dostałby pełne stypendium dla sportowców), zaczął pracować w dogorywającej firmie ojca. Wkrótce ożenił się z energiczną niewysoką brunetką Cammy Dorrington. Streeter i jego żona zgadzali się, że ceremonia była wspaniała, choć Carl pohukiwał i bełkotał przez cały czas, a jego starsza siostra Gracie, wychodząc z kościoła, potknęła się na schodach o brzeg sukienki, przewróciła i złamała nogę w dwóch miejscach. Dopóki to się nie stało, Tom Goodhugh wyglądał niemal jak dawniej. Był szczęśliwy, innymi słowy. Streeter nie miał do niego pretensji o tę odrobinę szczęścia. Przypuszczał, że nawet w piekle ludzie dostają czasami łyk wody, nawet jeśli tylko po to, żeby głębiej przeżywać pełny horror niezaspokojonego pragnienia, kiedy znowu ich ono ogarnie.

Na miesiąc miodowy młoda para pojechała do Belize. Założę się, że przez cały czas będzie tam padało, pomyślał Streeter. Pogoda była jednak ładna, za to Jacob spędził prawie cały tydzień w obskurnym szpitalu, cierpiąc na silny nieżyt żołądka i jelit, gdzie załatwiał się w jednorazowe pieluchy. Pił co prawda tylko butelkowaną wodę, ale przez zapomnienie wypłukał zęby po myciu wodą z kranu.

– Sam sobie to zafundowałem – powiedział.

Ponad ośmiuset amerykańskich żołnierzy zginęło w Iraku. Pechowo dla tych chłopców i dziewcząt.

Tom Goodhugh zaczął cierpieć na podagrę, okulał i musiał chodzić z laską.

Tamtego roku czek dla Fundacji Ekumenicznej na rzecz Dzieci opiewał na wyjątkowo

szczodłą sumę, ale Streeter nie żałował tych pieniędzy. Większą przyjemność sprawia dawanie niż branie. Wszyscy najlepsi ludzie to powtarzali.

* * *

W roku 2006 córka Toma, Gracie, dostała ropotoku i usunięto jej wszystkie zęby. Straciła też powonienie. Pewnego wieczoru wkrótce potem, w czasie cotygodniowej kolacji Goodhugh i Streetera (byli sami, opiekun Carla zabrał go „na miasto”), Tom wybuchnął płaczem. Przestał pić piwo z mikrobrowaru i przerzucił się na gin Bombay. Był bardzo pijany.

– Nie rozumiem, co się ze mną dzieje! – łkał. – Czuję się jak... sam nie wiem... pierdolony Hiob!

Streeter objął go i pocieszał. Powiedział starymu przyjacielowi, że od czasu do czasu niebo bywa zachmurzone, ale zawsze później wychodzi słońce.

– Ale te chmury są tu kurewsko długo! – krzyknął Goodhugh i uderzył Streetera pięścią w plecy.

Streeter nie zareagował. Przyjaciel nie był już tak silny jak kiedyś.

Charlie Sheen, Tori Spelling i David Hasselhoff rozwiedli się, ale w Derry David i Janet Streeterowie świętowali trzydziestą rocznicę ślubu. Urządzili przyjęcie. Pod jego koniec Streeter wyprowadził żonę na tylne podwórze. Zamówił pokaz fajerwerków. Wszyscy bili brawo poza Carlem Goodhugh. Próbował, ale nie mógł trafić dłonią w dłoń. W końcu były prymus Emersona dał sobie spokój z klaskaniem i wskazywał jedynie niebo, pohukując.

* * *

W roku 2007 Kiefer Sutherland trafił za kratki (nie pierwszy raz) za prowadzenie po alkoholu, a mąż Gracie Goodhugh-Dickerson zginął w wypadku samochodowym. Pijany kierowca zjechał na jego pas, kiedy Andy wracał z pracy do domu. Dobre było w tym to, że tego wypadku nie spowodował Kiefer Sutherland. Złe zaś, że Gracie Dickerson była w czwartym miesiącu ciąży i bez grosza. Jej mąż, tnać wydatki, zrezygnował z ubezpieczenia na życie. Gracie wróciła do ojca i brata Carla.

– Z ich szczęściem dziecko pewnie urodzi się zdeformowane – powiedział Streeter którejś nocy, gdy leżał w łóżku i kochał się z żoną.

– Cicho! – zawołała Janet zaszokowana.

– Takie rzeczy trzeba mówić głośno, bo wtedy się nie spełniają – wyjaśnił Streeter i niedługo oba króliczki pieszczoszki smacznie spały, tuląc się do siebie.

Tamtego roku czek dla Fundacji Ekumenicznej na rzecz Dzieci opiewał na trzydzieści tysięcy dolarów. Streeter wypisał go bez skrępowań.

* * *

Dziecko Gracie urodziło się w czasie burzy śnieżnej w lutym 2008 roku. Dobre było to, że nie miało żadnych deformacji. Złe zaś było to, że urodziło się martwe. Przeklęta dziedziczna wada serca. Gracie – bezzębna, owdowiała i nieczująca żadnego zapachu – popadła w głęboką depresję. Streeter pomyślał, że tak objawia się jej zdrowy rozsądek. Gdyby biegła w koło, gwizdząc *Don't Worry, Be Happy*, radziłby Tomowi, żeby pochował w domu wszystkie ostre przedmioty.

Rozbił się samolot z dwoma członkami rockowej kapeli Blink-182. Złe było to, że zginęły cztery osoby. Dobre zaś, że tym razem dla odmiany muzycy przeżyli... choć jeden z nich umarł niedługo potem.

– Musiałem obrazić Boga – powiedział Tom w czasie jednego z obiadów ze Streeterem, które zaczęli nazywać „kawalerskimi wieczorami”. Streeter przyniósł spaghetti z Cara Mama i zmiotł wszystko z talerza. Tom Goodhugh prawie nie jadł. W drugim pokoju Gracie i Carl oglądali *Idola*, ona w milczeniu, a były prymus Emersona, bełkocząc i pohukując. – Nie wiem jak, ale obraziłem.

– Nie mów tak, bo to nieprawda.

– Tego nie wiesz.

– Wiem – opowiedział Streeter z mocą. – To głupia rozmowa.

– Jeśli tak uważasz, stary. – Łzy wypełniły oczy Toma. Płynęły mu po policzkach. Jedna zawisła na chwilę na jego nieogolonej szczęce, a potem spadła do niezjedzonego spaghetti. – Dzięki Bogu za Jacoba. U niego wszystko dobrze. Pracuje dla stacji telewizyjnej w Bostonie, a jego żona jest księgową w szpitalu Brigham and Women. Od czasu do czasu widują się z May.

– Wspaniała wiadomość – powiedział serdecznie Streeter, mając nadzieję, że Jake nie zainfekuje w jakiś sposób jego córki, gdy będzie z nią przebywał.

– A ty nadal mnie odwiedzasz. Rozumiem, dlaczego Janet już tego nie robi, i nie mam jej tego za złe... Wyczekuję na te wieczory. Są jakby pomostem do dawnych czasów.

Tak, pomyślał Streeter, do dawnych czasów, kiedy ty miałeś wszystko, a ja raka.

– Zawsze będę przy tobie – powiedział i poklepał Goodhugh po lekko trzęsącej się ręce, którą trzymał w obu dłoniach. – Przyjaciele do końca.

* * *

2008, co za rok! Ja pierdołę! Igrzyska olimpijskie w Chinach! Chris Brown i Rihanna zaczęli się migdalić! Banki upadały! Giełda sięgnęła dna! A w listopadzie Agencja Ochrony Środowiska zamknęła Kiliśmieciario, likwidując ostatnie źródło dochodów Toma Goodhugh. Rząd ogłosił, że zamierza stawiać przed sądem sprawców zanieczyszczenia wód gruntowych i

nielegalnego składowania odpadów medycznych. W „Derry News” dano do zrozumienia, że w grę mogą wchodzić nawet oskarżenia o przestępstwo.

Streeter często jeździł wieczorami przedłużeniem Harris Avenue, rozglądając się za pewnym żółtym parasolem. Nie chciał się targować, myślał jedynie o skończeniu tego gówna. Ale nigdy nie zauważył parasola ani jego właściciela. Był rozczarowany, lecz nie zdziwiony. Ludzie zawierający układy są jak rekiny, muszą płynąć albo tracą życie.

Wypisał czek i wysłał go do banku na Kajmanach.

* * *

W roku 2009, po rozdaniu nagród Grammy, Chris Brown urządził swojej lubej piekło na ziemi, a kilka tygodni później Jacob Goodhugh, były futbolista, urządził piekło na ziemi swojej energicznej żonie Cammy, kiedy ta znalazła pewne części damskiej bielizny i pół grama kokainy w kieszeni jego marynarki. Leżąc na podłodze i płacząc, nazwała go skurwysynem. W odpowiedzi Jacob wbił jej w brzuch widelec do pieczeni. Od razu tego pożałował i wezwał pogotowie, ale zło się dokonało. Przedziurawił jej brzuch w dwóch miejscach. Powiedział policji, że nie pamięta, jak to się stało. Miał zaćmienie umysłu, twierdził.

Prawnik, którego dostał z urzędu, był zbyt głupi, żeby uzyskać obniżenie kaucji. Jacob Goodhugh poprosił o pomoc ojca, ale Tomowi ledwie wystarczało pieniędzy na płacenie rachunków za ogrzewanie, a co dopiero mówić o drogim, utalentowanym prawniku z Bostonu, który broniłby jego syna oskarżonego o znęcanie się nad żoną! Goodhugh zwrócił się do Streetera, który nie pozwolił staremu przyjacielowi wypowiedzieć więcej niż tuzin słów bolesnej, wyuczonej przemowy, bo bez wahania oznajmił: „Załatwione”. Nadal pamiętał, jak Jacob spontanicznie pocałował ojca w policzek. Ale opłacenie prawnika umożliwiło mu także wypytanie go o stan umysłowy byłego futbolisty, a ten nie przedstawiał się najlepiej. Jacob miał wyrzuty sumienia i głęboką depresję. Adwokat powiedział Streeterowi, że jego klient dostanie prawdopodobnie pięć lat, z czego – jeśli dobrze pójdzie – trzy w zawieszeniu.

Kiedy opuści więzienie, pomyślał Streeter, będzie mógł wrócić do domu i oglądać *Idola* z Gracie i Carlem, jeśli ten program jeszcze będzie leciał. A pewnie będzie.

– Mam polisę ubezpieczeniową – powiedział Tom któregoś wieczoru. Stracił dużo na wadze, ubranie wisiało na nim jak na wieszaku. Oczywiście miał załatwione. Nabawił się łuszczycy i drapał bez przerwy po ramieniu, zostawiając długie czerwone znaki na białej skórze. – Zabiłbym się, gdybym miał pewność, że wyglądałoby to na wypadek.

– Nie chcę słuchać takich rzeczy – powiedział Streeter. – Jeszcze będzie dobrze.

W czerwcu Michael Jackson kopnął w kalendarz. W sierpniu Carl Goodhugh poszedł w jego ślady, dławiąc się na śmierć kawałkiem jabłka. Opiekun mógłby wykonać chwyt

Heimlicha i go ocalić, ale z powodu braku pieniędzy został odprawiony pół roku wcześniej. Gracie słyszała, jak się krztusił, ale powiedziała później, że wzięła to „za jego normalny bełkot”. Dobrze było to, że Carl miał polisę na życie. Niewielką, ale starczyło na pochówek.

Po pogrzebie (Tom Goodhugh cały czas płakał, podtrzymywany przez starego przyjaciela) Streeter uległ impulsowi wspaniałomyślności. Odszukał adres Kiefera Sutherlanda i wysłał mu Wielką Księgę Anonimowych Alkoholików. Liczył się z tym, że prawdopodobnie powędruje ona od razu do kosza na śmieci (dołączając do niezliczonych egzemplarzy od lat przysyłanych aktorowi przez fanów), ale kto wie. Czasem cuda się zdarzają.

* * *

Na początku września 2009 roku, w pewien gorący wieczór, Streeter i Janet jechali ulicą za lotniskiem w Derry. Nikt nie handlował na zwirowisku przy płocie z drucianej siatki, dlatego Dave zaparkował tam eleganckiego niebieskiego pathfindera i otoczył ramieniem żonę, którą kochał głębiej i pełniej niż kiedykolwiek. Słońce zmienione w czerwoną kulę chyliło się ku zachodowi.

Obrócił się do Janet i zobaczył, że płacze. Uniósł jej podbródek i z powagą scałował łzy. To wywołało uśmiech na jej twarzy.

– O co chodzi, kochanie?

– Myślałam o Goodhugh. Nie znam żadnej innej rodziny, którą spotkałoby takie nieszczęście. Nieszczęście? – Roześmiała się. – To raczej garbate szczęście.

– Ja też nie znam – odpowiedział – ale to się zdarza cały czas. Jedna z kobiet zabitych podczas ataku w Bombaju była w ciąży, wiedziałaś o tym? Jej dwuletnie dziecko przeżyło, ale zostało pobite do nieprzytomności. A...

Położyła mu dwa palce na usta.

– Cicho. Życie nie jest fair. Oboje to wiemy.

– Ależ jest! – zawołał Streeter z przejęciem. W świetle zachodzącego słońca jego twarz wyglądała na zdrową i rumianą. – Popatrz na mnie. Był czas, kiedy myślałaś, że nie dożyję dwa tysiące dziewiątego, prawda?

– Tak, ale...

– A nasze małżeństwo nadal jest trwałe jak skała. Czy może jednak się mylę?

Pokręciła głową. Nie mylił się.

– Zaczęłaś sprzedawać artykuły do „Derry News” jako wolny strzelec, May świetnie sobie radzi w „Globe”, a nasz przyglupi synek w wieku dwudziestu pięciu lat jest magnatem mediów.

Ponownie się uśmiechnęła. Streeter był zadowolony. Nienawidził, kiedy się smuciła.

– Życie jest fair. Wszyscy trzęsiemy się w brzuchu przez dziewięć miesięcy, a potem

kości zostają rzucone. Niektórym wypadają dwie szóstki, innym, niestety, dwie jedynki. Tak właśnie dzieje się na świecie.

Objęła go ramieniem.

– Kocham cię, skarbie. Zawsze widzisz jasną stronę.

Streeter wzruszył skromnie ramionami.

– Rachunek prawdopodobieństwa faworyzuje optymistów, każdy bankier ci to powie.

Wszystko w końcu i tak w jakiś sposób się bilansuje.

Nad lotniskiem pojawiła się Wenus, lśniąca na ciemniejącym niebie.

– Życzenie! – nakazał Streeter.

Janet roześmiała się i pokręciła głową.

– Czego miałabym sobie życzyć? Mam wszystko, czego chcę.

– Ja też – powiedział Streeter i nie odrywając wzroku od Wenus, zażyczył sobie więcej.

Dobrane małżeństwo

1

Wiele dni po tym, jak znalazła w garażu to, co znalazła, Darcy pomyślała, że nikt nie zadaje w towarzyskiej pogawędce pytania: „Jak ci się układa w małżeństwie?”. Ludzie pytają: „Jak minął ci weekend?” i „Jak udała się podróż na Florydę?”, „Jak tam twoje zdrowie?” i „Jak dzieciaki?”, a nawet „Jak ci się wiedzie w życiu?”. Ale nikt nie zapyta: „Jak ci się układa w małżeństwie?”.

„Dobrze – odpowiedziałyby przed tamtym wieczorem. – Wszystko w porządku”.

Darcellen Madsen (Darcellen – to imię, jakie mogło się podobać jedynie rodzicom zauroczonym nowo kupioną książką z imionami dla dzieci) urodziła się w tym samym roku, w którym John F. Kennedy został prezydentem. Wychowała się we Freeport w stanie Maine, gdy było to jeszcze miasto, a nie dodatek do L.L. Beana, pierwszego amerykańskiego hipermarketu, i kilku innych przerośniętych sklepów z rodzaju nazywanego outletem (choć przecież po angielsku *outlet* bardziej kojarzy się z odpływem ściekowym niż ze sklepem). Skończyła lokalne liceum ogólnokształcące, a potem studium handlowe w Addison, gdzie nauczyła się zawodu sekretarki. Pracowała u handlującego chevroletami Joego Ransome’a, który w 1984 roku, kiedy Darcy odeszła z jego firmy, był największym dealerem samochodowym w Portlandzie. Nie grzeszyła urodą, ale z pomocą dwóch przyjaciółek, trochę bardziej od niej wyrafinowanych, nauczyła się robienia makijażu i nawet ładnie wyglądała w pracy, a w piątkowe i sobotnie wieczory wręcz przyciągała wzrok, gdy ze swoją babską paczką szła na margaritę do Lighthouse lub Mexican Mike’s (gdzie grała muzyka na żywo).

W 1982 roku Joe Ransome wynajął biuro rachunkowe, żeby pomogło mu w uporządkowaniu podatków, które stały się skomplikowane („To problem, jaki każdy chciałby mieć”, usłyszała, jak mówił do jednego z handlowców). Zjawili się dwóch facetów z teczkami, stary i młody. Obaj nosili okulary i klasyczne garnitury, obaj też starannie zaczesywali włosy na czoło, co kojarzyło się Darcy ze zdjęciami ze szkolnego albumu matki z ostatniej klasy z 1954 roku, a zwłaszcza z fotografią cheerleadera z megafonem przytkniętym do ust, nalepioną na okładce z dermy.

Młodszy księgowy nazywał się Bob Anderson. Zaczęła z nim rozmawiać drugiego dnia jego pobytu w firmie i zapytała wtedy, czy ma jakieś hobby. Tak, odpowiedział, był numizmatykiem.

Chciał jej wyjaśnić, co to takiego, ale weszła mu w słowo.

– Wiem. Ojciec zbiera dziesięciocentówki z wizerunkiem Wolności i pięciocentówki z głową bizona. Mówi, że to jego numizmatyczny konik. A pan ma takiego hobbystycznego konika, panie Anderson?

Miał: centy z kłosami pszenicy. Karmił się nadzieją, że któregoś dnia natknie się na monetę z podwójną datą z 1955 roku, która...

O tym też słyszała. Podwójna data w 1955 roku powstała na skutek błędu. Cennego błędu.

Jej odpowiedź bardzo ucieszyła młodego pana Andersona o gęstych, brązowych i gładko zaczesanych włosach. Poprosił, by mówiła mu po imieniu – Bob. Później, podczas lunchu – jedli na ławce w słońcu za warsztatem blacharskim, on kanapkę z żytniego chleba z tuńczykiem, ona sałatkę grecką w plastikowym pojemniku – zapytał, czy nie poszłaby z nim w sobotę na wyprzedaż uliczną w Castle Rock. Wynajął właśnie nowe mieszkanie, mówił, i szukał fotela. A także telewizora, gdyby ktoś miał do sprzedania dobry za godziwą cenę. „Dobry za godziwą cenę” było wyrażeniem, do którego miała się przyzwyczaić w nadchodzących latach.

Był równie nieefektywny jak ona, ot facet, jakiego mija się na ulicy, nawet go nie zauważając, i nie robił nic, żeby poprawić swój wygląd. Jedynie w tym dniu, gdy siedzieli razem na ławce i zaproponował jej spotkanie, wydawał się przystojny. Policzki zaróżowiły mu się wystarczająco, by trochę go rozjaśnić i dodać mu blasku.

– A nie kolekcję monet? – drażniła się z nim.

Uśmiechnął się, odsłaniając nawet zęby. Niewielkie, bardzo zadbane i białe. Nigdy by nie pomyślała, że na samą myśl o nich będzie przejmował ją dreszcz – bo niby dlaczego?

– Jeżeli natknę się na ładny zbiór monet, na pewno mu się przyjrzę.

– Zwłaszcza jeśli to będą centówki z kłosami pszenicy? – prowokowała, ale tylko trochę.

– Zwłaszcza te. Pójdiesz ze mną Darcy?

Poszła. Poszła też w dniu ślubu. Potem już niezbyt często z nim chodziła, jedynie od czasu do czasu. Ale też nie tak rzadko, by nie mogła się uważać za spełnioną i normalną.

W 1986 roku Bob awansował. Uruchomił też (zachęcany przez Darcy i z jej pomocą) niewielką firmę sprzedającą wysyłkowo amerykańskie monety. Od początku interes szedł dobrze, a w 1990 roku Bob poszerzył ofertę o kolekcjonerskie karty z baseballistami i stare filmowe pamiątki. Nie handlował afiszami, plakatami ani tekturowymi planszami, ale jeśli ludzie o nie prosili, niemal zawsze je dla nich znajdował. Właściwie to odnajdywała je Darcy, a ponieważ działo się to w czasach przed komputerami, używała przeładowanego obrotowego wizytownika i dzwoniła do kolekcjonerów z całego kraju. Firma nigdy nie rozrosła się na tyle, żeby mogła zatrudnić pełnoetatowego pracownika, a to było w porządku. Żadne z nich tego nie chciało. Zgadzała się co do tego, podobnie jak w sprawie domu, który w końcu kupili w Pownal, i dzieci, gdy nadeszła na nie pora. Zgadzała się. Kiedy się nie zgadzali, szli na kompromis. Ale najczęściej jednak się zgadzali. Podobnie myśleli.

„Jak ci się układa w małżeństwie?”

To było udane małżeństwo. Dobre. Donnie urodził się w 1986 roku – rzuciła pracę, żeby się nim opiekować, i jeśli nie liczyć pomocy w firmie Anderson Monety i Przedmioty

Kolekcjonerskie, nigdy już nie miała etatu – Petra zaś w 1988. W tym czasie gęsta brązowa czupryna Boba Andersona przerzedziła się na czubku głowy, a w 2002 roku, kiedy obrotowy wizytownik Darcy został zastąpiony macintoshem, w tym miejscu widniała już duża lśniąca łysina. Eksperymentując na wiele sposobów, Bob usiłował czesać to, co zostało, ale jej zdaniem uwydatniało to tylko braki. Poza tym irytował ją, próbując dwóch magicznych preparatów na porost włosów, jakie bezczelni faceci o wyglądzie krętaczy wciskają ludziom późną nocą w kablówce (Bob Anderson z upływem lat zmienił się w nocnego marka). Nie powiedział jej o tym, ale dzielili sypialnię i choć Darcy nie sięgała do górnej półki w szafie, czasami korzystała ze stołka, by odłożyć tam jego „sobotnie koszule”, których używał w ogrodzie do zabawy w golfa. I tam właśnie jesienią 2004 roku stała butelka z płynem, a rok później butelka wypełniona kapsułkami z zielonkawym żelem. Sprawdziła w Internecie – nie były tanie. Jasne, cuda nigdy nie są tanie, pomyślała wtedy.

Jednak poirytowana czy nie, nic nie powiedziała o magicznych eliksirach ani też o używanym chevrolecie suburban, który z jakichś powodów uparł się kupić akurat w roku, gdy ceny paliwa zaczęły rosnać. Podobnie on zachował spokój, jak jej się wydawało (właściwie wiedziała to na pewno), gdy uparła się na droższe obozy letnie dla dzieci, gitarę elektryczną dla Donniego (grał przez dwa lata, wystarczająco długo, by osiągnąć zaskakującą biegłość, a potem po prostu to rzucił) i jazdę konną dla Petry. Udane małżeństwo to stan równowagi – o tym wiedzą wszyscy. Udane małżeństwo zależy również od wysokiej tolerancji na irytację – o tym wiedziała Darcy. Jak w piosence Steviego Winwooda, trzeba to jakoś znosić, maleńka.

Więc znosiła. On również.

W 2004 roku Donnie wyjechał na studia do Pensylwanii. W 2006 Petra zaczęła naukę w Colby, niedaleko od domu w Waterville. Darcy Madsen-Anderson miała wtedy czterdzieści sześć lat. Bob miał czterdzieści dziewięć i razem ze Stanem Morinem, przedsiębiorcą budowlanym mieszkającym w odległości kilometra, prowadził drużynę zuchów. Jej zdaniem łysiejący mąż wyglądał raczej śmiesznie w krótkich spodenkach khaki i brązowych podkolanówkach, które wkładał na comiesięczną wyprawę do lasu, ale nigdy nie powiedziała tego głośno. Łysina zyskała zresztą odpowiednią oprawę – nosił teraz okulary dwuogniskowe i przybrał na wadze – z osiemdziesięciu kilogramów do prawie stu. Został współwłaścicielem biura rachunkowego, które nie nazywało się już Benson & Bacon, ale Benson, Bacon & Anderson. Sprzedali pierwszy dom w Pownal i kupili droższy w Yarmouth. Jej piersi, kiedyś niewielkie, twarde i sterczące (najładniejsze, co miała, jej zdaniem, bo nigdy nie chciała wyglądać jak kelnerka z Hooters), stały się większe, już nie tak twarde i opadały, gdy wieczorem zdejmowała stanik – bo i czego innego można się spodziewać, gdy dobiega się półwiecza? – ale Bob nadal często zachodził ją od tyłu i ujmował je w dłonie. Równie często mieli też przyjemne chwile w sypialni na piętrze, z oknami wychodzącymi na dwuakrową działkę, i nawet jeśli on trochę za szybko kończył i nieraz zostawiał ją niezaspokojoną, nieraz, owszem, ale nie zawsze, to przytulając go po wszystkim i czując dotyk jego męskiego

ciepłego ciała, gdy przy niej zasypiał... czerpała nieustanną satysfakcję. Była to, jak przypuszczała, satysfakcja zrodzona ze świadomości, że nadal są razem, podczas gdy tak wiele innych par się rozstawało, i z przekonania, że choć zbliżają się ich srebrne gody, oni nadal idą stałym kursem.

W 2009 roku, po dwudziestu pięciu latach od chwili, gdy w niewielkim kościółku baptystów, który już nie istnieje (w miejscu, gdzie kiedyś stał, teraz jest parking), powiedzieli sobie „tak”, Donnie i Petra urządzili im przyjęcie niespodziankę w Birches w Castle View. Zjawilo się ponad pięćdziesięcioro gości, podano szampana (dobry gatunek), polędwicę wołową, czteropoziomowy tort. Jubilaci zatańczyli w rytm piosenki Kenny’ego Logginsa *Footloose*, tak samo jak na weselu. Goście nagrodzili brawami breakdance’a w wykonaniu Boba. Darcy nie pamiętała, że umiał się tak ruszać, dopóki znowu tego nie zobaczyła, a wtedy serce ścisnęło jej się ze wzruszenia. I powinno, bo mimo że urósł mu brzuch i miał krępującą łysinę (krępującą przynajmniej dla niego), jego kroki były wyjątkowo lekkie jak na księgowego.

Ale to wszystko wydawało się jedynie historią, tekstem do nekrologu, bo nadal byli zbyt młodzi, by się nad tym zastanawiać. Brakowało tu bowiem drobiazgów, z których składało się ich małżeństwo, i codziennych sekretów, które – w co wierzyła (święcie wierzyła) – potwierdzały ich partnerski związek. Czasu, gdy najadła się zepsutych krewetek i wymiotowała całą noc, siedząc na brzegu łóżka z włosami mokrymi od potu, klejącymi się do karku, i łzami spływającymi po policzkach, podczas gdy Bob siedział obok, cierpliwie trzymał miskę i wynosił ją do łazienki, gdzie ją opróżniał i płukał po każdym ataku nudności – by, jak twierdził, zapach wymiocin nie pogarszał stanu Darcy. Włączył ogrzewanie w samochodzie, by zawieźć ją na ostry dyżur o szóstej rano następnego dnia, kiedy wymioty zaczęły wreszcie słabnąć. Wziął dzień wolny w firmie, odwołał też wyjazd do White River, żeby zostać z nią, na wypadek gdyby choroba powróciła.

Takie rzeczy przydarzały się im obojgu. Jednego roku padało na nią, kiedy indziej na niego. Siedziała z nim w poczekalni szpitala St. Stephen – a było to w 1994 albo 1995 roku – i razem czekali na wyniki biopsji, kiedy Bob (pod prysznicem) odkrył u siebie podejrzany guz pod lewą pachą. Biopsja niczego nie wykazała, zdiagnozowano jedynie zapalenie węzłów chłonnych. Guz utrzymywał się jeszcze przez mniej więcej miesiąc, a potem zaniknął sam z siebie.

Widok Boba, gdy siedział w łazience na tronie, z krzyżówką, przy na wpół uchylonych drzwiach. Zapach wody kolońskiej na jego policzkach, oznaczający, że suburban zniknie z podjazdu na dzień lub dwa, a miejsce obok niej w łóżku będzie puste przez noc czy dwie, bo mąż musiał uporządkować czyjaś księgowość w New Hampshire lub Vermoncie (B., B. & A. mieli teraz klientów we wszystkich północnych stanach Nowej Anglii). Czasami ten zapach oznaczał podróż w celu obejrzenia czyjejś kolekcji monet wystawionej na sprzedaż, ponieważ, co oboje rozumieli, nie zawsze kupowanie i sprzedawanie numizmatów mogło się

odbywać za pośrednictwem komputera. Widok stojącej w holu starej czarnej walizki, której nie chciał się pozbyć, choćby Darcy nie wiedzieć jak go o to prosiła. Jego kapcie przy łożku, zawsze wetknięte jeden w drugi. Szklanka wody na stoliku i witaminy obok, ustawione na bieżącym numerze miesięcznika „Numizmatyka”. I to, jak zawsze mawiał: „Więcej miejsca jest na zewnątrz niż w środku”, gdy beknął, i „Uwaga, gazy bojowe!”, kiedy pierdnął. Jego płaszcz na pierwszym kołku wieszaka w holu. Odbicie jego szczoteczki do zębów w lustrze (Darcy uważała, że gdyby mu jej nie zmieniała, używałby dotąd tej samej, którą miał w chwili, gdy się pobrali). Sposób, w jaki ocierał usta serwetką zawsze po drugim lub trzecim kęsie jedzenia. Staranne przygotowanie sprzętu kempingowego (nieodmiennie z zapasowym kompasem), zanim razem ze Stanem zabierali kolejną bandę dziewięciolatków na wyprawę Ścieżką Nieboszczyka – niebezpiecznym i przerażającym szlakiem, prowadzącym przez las za pasażem handlowym Golden Grove i kończącym się w miasteczku używanych samochodów Weinberga. Wygląd jego paznokci, zawsze krótkich i czystych. Smak płynu do płukania ust, gdy się całowali. Te rzeczy i tysiące innych tworzyły tajemną historię ich małżeństwa.

Wiedziała, że on pewnie ma własne wspomnienia z nią związane, począwszy od cynamonowego smaku szminki ochronnej do ust, której używała zimą, przez zapach szamponu, gdy wachał jej kark (ostatnio nie robił tego już tak często, ale jednak robił), po klikanie komputera o drugiej nad ranem w dwie, trzy noce w miesiącu, kiedy z niewiadomych powodów nie mogła spać.

Teraz mijало dwadzieścia siedem lat lub – jak zabawiała się któregoś dnia, używając komputerowego kalkulatora – dziewięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt pięć dni. Niemal ćwierć miliona godzin i ponad czternaście milionów minut. Rzecz jasna, nieraz Boba nie było, wyjeżdżał w delegacje służbowe, ona sama też wybrała się parę razy w podróż (z których najsmutniejsza była do rodziców w Minneapolis, kiedy jej siostra Brandolyn zginęła w kretyńskim wypadku), jednak przez większość czasu byli razem.

Czy wiedziała o nim wszystko? Oczywiście, że nie. Tak samo, jak on nie wiedział wszystkiego o niej – o tym, że czasami (przeważnie w deszczowe dni albo bezsenne noce) opychała się na przykład batonami i jadła czekoladki, nawet gdy już przestała mieć na nie ochotę i czuła, że robi się jej od tego niedobrze. Albo o tym, że uważała nowego listonosza za całkiem przystojnego. Wszystkiego nie sposób wiedzieć, ale po dwudziestu siedmiu latach miała przekonanie, że wiedzą o sobie to, co jest ważne. To było udane małżeństwo, jedno z około pięćdziesięciu procent, które przetrwało tak długą drogę. Wierzyła w to tak samo niepodważalnie, jak wierzyła, że grawitacja trzyma ją na ziemi, kiedy szła chodnikiem.

Aż do tamtego wieczora w garażu.

Pilot od telewizora przestał działać, a w szafce w kuchni z lewej strony zlewu nie było baterii AA. Leżały tam różne ich rodzaje, nawet nieotwarte opakowanie z AAA, tylko nie pieprzone AA. Dlatego poszła do garażu, bo wiedziała, że Bob trzyma tam zapas baterii Duracell, i to wystarczyło, by zmienić jej życie. Było tak jak na wysokogórskiej ścieżce, naprawdę wysoko w górach. Jeden fałszywy krok w złym kierunku – i człowiek spadał.

Kuchnię łączyło z garażem zadaszone przejście. Darcy pobiegła nim, opatulając się szczelniej podomką – dwa dni wcześniej wyjątkowo ciepła, niemal letnia pogoda załamała się i teraz można było pomyśleć, że jest raczej listopad, a nie październik. Wiatr szarpał ją za kostki. Powinna włożyć skarpetki i spodnie, ale *Dwóch i pół* miało się zacząć za mniej niż pięć minut, a cholerny telewizor był nastawiony na CNN. Gdyby Bob był w domu, poprosiłaby go, żeby zmienił kanał – istniały jakieś guziki, którymi dawało się to zrobić, prawdopodobnie gdzieś z tyłu odbiornika, ale tylko mężczyzna wiedział, jak je znaleźć – a potem wysłałaby go po baterie. W końcu garaż był w zasadzie jego domeną. Ona sama wchodziła tam jedynie, by wyprowadzić samochód, i to tylko podczas złej pogody, bo zwykle parkowała na podjeździe. Ale Bob był w Montpelier i oszacowywał kolekcję stalowych centówek z czasów drugiej wojny światowej, dlatego musiała, przynajmniej tymczasowo, sama radzić sobie w domu.

Po omacku wyszukała trzy hebelkowe włączniki obok drzwi i przesunęła je dłonią. Jarzeniówki zaczęły buczeć. Garaż był przestronny i schludny, narzędzia wisiały na kołkach na tablicy, na warsztacie Boba panował porządek. Betonową podłogę pomalowano na szaro. Nie było na niej żadnych plam z oleju. Zdaniem Boba plamy z oleju na posadzce oznaczają, że właściciele garażu to flejtuchy albo ludzie na tyle nieroztropni, iż nie zwracają uwagi na bezpieczeństwo. Stała tam roczna prius, którą jeździł na co dzień do Portlandu. Do Vermontu pojechał starym, wysłużonym SUV-em. Jej volvo zaś było zaparkowane na zewnątrz.

– Przecież tak łatwo je wprowadzić – mówił przy wielu okazjach (po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa oryginalne powiedzenia zaczynają należeć do rzadkości). – Po prostu otwórz bramę pilotem.

– Lubię widzieć, gdzie jądę – odpowiadała nieodmiennie, choć tak naprawdę powodem była obawa przed uderzeniem we framugę z jednej lub drugiej strony podczas jazdy do tyłu. Nienawidziła cofania. I jak przypuszczała, on o tym wiedział... tak jak ona wiedziała o jego szczególnym nawyku trzymania banknotów w portfelu portretami na zewnątrz i o tym, że przerywając czytanie, nigdy nie odłożyłby otwartej książki kartkami w dół – bo jego zdaniem niszczył się wtedy grzbiet.

W garażu przynajmniej było ciepło, na suficie krzyżowały się srebrzyste rury o przekroju kwadratu (prawdopodobnie przewody albo kanały, ale tego Darcy nie była pewna). Podeszła do warsztatu, na którym stało w rzędzie kilka sześciennych puszek, każda z nalepką: „Nity”, „Śruby”, „Zawiasy i uchwyty”, „Uszczelki” i – co uznała za urocze – „Drobiazgi”. Na ścianie wisiał kalendarz ze zdjęciem dziewczyny w kostiumie kąpielowym, która wyglądała

deprymująco młodo i sexy, a po lewej stronie kalendarza były przyklepione dwie fotografie. Jedna ukazywała Donniego i Petrę na boisku małej ligi baseballowej w Yarmouth, ubranych w kostiumy Boston Red Sox. Poniżej Bob napisał markerem: „Drużyna gospodarzy 1999”. Na drugiej, znacznie nowszej, Petra, już dorosła i prawie piękna, stała, obejmując się z Michaeliem, swoim narzeczonym, przed knajpą z owocami morza na plaży Old Orchard. Markerem napisano pod spodem: „Szczęśliwa para!”.

Na szafce z bateriami, wiszącej na lewo od zdjęć, była nalepiona taśma z wytłoczonym napisem „Elektryka”. Darcy ruszyła w jej kierunku, nie patrząc pod nogi – pewna niemal obsesyjnego porządku utrzymywanego przez Boba – i potknęła się o kartonowe pudło, nie do końca wsunięte pod warsztat. Zachwiała się i dosłownie w ostatniej chwili chwyciła blatu. Złamała paznokiec – irytująco boleśnie – ale uchroniła się przed być może paskudnym upadkiem, a to było dobrze. Bardzo dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że w domu nie było nikogo, kto mógłby zadzwonić po pogotowie, gdyby rozbiła głowę o posadzkę – czystą i bez plam z oleju, niemniej wyjątkowo twardą.

Mogła po prostu dosunąć pudło do końca bokiem stopy – później zdała sobie z tego sprawę i roztrząsała to w myślach niczym matematyk rozwiązujący abstrakcyjne i skomplikowane równanie. Spieszyła się, i tyle. Spozstrzegła jednak katalog z wzorami robótek na drutach i przykleknęła, bo chciała go wziąć razem z bateriami. Kiedy go uniosła, zobaczyła katalog sieci Brookstone, który wcześniej gdzieś jej się zawieruszył. Pod nim zaś katalog firmy perukarskiej... Talbots... Forzieri... Bloomingdale's...

– Bob! – krzyknęła, ale w sumie były to dwie sylaby manifestujące poirytowanie (reagowała tak samo, gdy naniósł błota albo zostawił mokry ręcznik na podłodze w łazience, jakby mieszkali w jakimś drogim hotelu z pokojówkami), nie „Bob”, lecz „Bo-ob!”. Ponieważ naprawdę mogła czytać w nim jak w książce. Uznał pewnie, że zamówiła za dużo katalogów sprzedaży wysyłkowej, bo już raz posunął się nawet do powiedzenia, iż jest od nich uzależniona (co było żałosne, bo uzależniona to jest od batonów). Tą niewinną diagnozą psychologiczną zyskał jedynie dwa dni chłodu z jej strony. Ale wiedział, na jakiej zasadzie działa jej umysł, i był przekonany, że, pomijając rzeczy absolutnie niezbędne do życia, jest przykładem kobiety, dla której „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Dlatego przechwycił jej katalogi, drań jeden, i schował je tutaj. Prawdopodobnie skończyłyby potem w pojemniku na makulaturę.

Danskin... Pants Express... Computer Outlet... Macworld... Monkey Ward... Layla Grace...

Im głębiej zaglądała, tym większa ogarniała ją irytacja. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że znaleźli się na granicy bankructwa z powodu jej rozrzutności, co bez wątpienia byłoby kompletną bzdurą. Zupełnie zapomniała o *Dwóch i pół*. W myślach dobierała już słowa, jakie zamierzała powiedzieć Bobowi, kiedy zadzwoni z Montpelier (zawsze dzwonił po obiedzie i powrocie do motelu). Najpierw jednak postanowiła zabrać wszystkie katalogi do cholernego

domu, ale przedtem musiała je podzielić na trzy, może nawet cztery partie, bo sterta okazała się wysoka na ponad pół metra, a ilustrowane magazyny tego rodzaju są ciężkie. Nic dziwnego, że potknęła się o to pudło.

Zginęła przez katalogi, pomyślała. To rzeczywiście byłby ironiczny sposób odej...

Myśl urwała się jak nitka. Darcy przekopywała się przez stertę i doszła już mniej więcej do jednej czwartej zawartości pudła, gdy pod katalogiem z artykułami do dekoracji domu natrafiła na coś, co nie było katalogiem. Nie, w ogóle nawet nie przypominało katalogu. Magazyn nosił tytuł „Związane Dziwki”. Właściwie niewiele brakowało, żeby go nie wyjęła, bo gdyby natknęła się na coś podobnego w jednej z jego szuflad czy na górnej półce w szafie, gdzie trzymał magiczne eliksiry, nie wzięłaby tego do ręki. Ale natrafiając na coś takiego w tym miejscu, wepchnięte w stos liczący około dwustu katalogów... jej katalogów... uznała, że jest w tym coś więcej niż tylko wstyd mężczyzny z powodu seksualnych odchyień.

Kobieta na okładce była przywiązana do krzesła i naga, jeśli nie liczyć czarnego kaptura, który zakrywał jej jedynie pół twarzy. Widać było, że krzyczy. Skrępowano ją grubymi linami, wrzynającymi się w piersi i brzuch. Na brodzie, szyi i ramionach miała sztuczną krew. Nieprzyjemny jaskrawożółty podpis u dołu głosił: „Wredna dziwka Brenda sama się o to prosiła i dostała, co chciała, na stronie 49!”.

Darcy nie miała zamiaru zaglądać na stronę czterdziestą dziewiątą ani na żadną inną. Już bowiem wyjaśniła sobie, co to było: męska dociekliwość. O męskiej dociekliwości dowiedziała się z artykułu w „Cosmo”, który przeczytała w poczekalni u dentysty. Jakaś kobieta poskarżyła się jednemu z wielu konsultantów magazynu (była nim akurat etatowa lekarz psychiatra, która specjalizowała się w tajemnicach męskiej seksualności), że znalazła w teczce męża kilka gejowskich pisemek. Sprawa przedstawia się jednoznacznie, pisała w liście, i teraz ona się martwi, że mąż jest ukrytym homoseksualistą. Choć trzeba przyznać, kontynuowała, że bardzo skutecznie to maskował w sypialni.

Nie ma powodów do obaw, odpisała pani ekspert. Mężczyźni ze swej natury są poszukiwaczami przygód i wielu z nich ma skłonność do poznawania zachowań seksualnych, które są albo alternatywne – pod tym względem homoseksualizm zajmował pierwsze miejsce, a zaraz po nim był seks grupowy – albo fetyszystyczne: sporty wodne, przebieranie się, seks w miejscach publicznych, lateks. I, rzecz jasna, krępowanie partnerki. Dodawała, że niektóre kobiety również fascynują się wiązaniem, co zdumiało Darcy, ale byłaby chyba pierwszą osobą, która by się przyznała, że nie wie wszystkiego.

Męska dociekliwość – i tylko o to w tym chodziło. Prawdopodobnie zobaczył ten magazyn w jakimś kiosku z gazetami (choć kiedy Darcy usiłowała wyobrazić sobie tę właśnie okładkę w kiosku, umysł odmówił jej współpracy) i dał się ponieść ciekawości. A może wyjął go z kosza na śmieci w jakimś markecie. Przyniósł pisemko do domu, przejrzał w garażu, a że zniesmaczyło go ono nie mniej niż ją (krew na modelce z okładki wyglądała na sztuczną, ale krzyk wydawał się aż nazbyt prawdziwy), wepchnął je w gigantyczny stos katalogów

przeznaczonych na makulaturę, żeby ona go nie znalazła i nie zrobiła mu sceny. I to wszystko, nic więcej. Gdyby przejrzała resztę katalogów, nie znalazłaby już niczego w tym rodzaju. No, może kilka numerów „Penthouse’a” i magazynów z damską bielizną – wiedziała, że większość mężczyzn lubi jedwab i koronki, a Bob nie był pod tym względem wyjątkiem – ale żadnych więcej pism typu „Związane Dziwki”.

Ponownie spojrzała na okładkę i zauważyła coś dziwnego: nie było na niej ceny. Ani kodu kreskowego. Sprawdziła tylną okładkę, ciekawa, ile taki magazyn może kosztować, i skrzywiła się na widok zdjęcia, które tam zamieszczono: naga blondynka przywiązana do czegoś, co wyglądało na stalowy stół operacyjny. Wyraz przerażenia na jej twarzy był równie rzeczywisty jak trzydolarowy banknot, ale to przynajmniej było pocieszające. Podobnie jak tęgi mężczyzna stojący przy niej z rzeźnickim nożem, wyglądający żałośnie w skórzanych majtkach i ze skórzanymi opaskami na bicepsach, bardziej przypominał księgowego niż kogoś, kto ma zamiar pokroić „związaną dziwkę *du jour*”.

Bob jest księgowym, uświadomiła sobie po chwili.

Kretyńska myśl, zrodzona w zbyt dużym obszarze głupoty jej umysłu. Odsunęła ją od siebie równie szybko, jak wepchnęła wyjątkowo nieprzyjemny magazyn w stertę katalogów, przekonawszy się jednak, że z tyłu również nie ma ceny ani kodu kreskowego. Kiedy wsuwała pudło pod warsztat – zmieniła zdanie i nie chciała już zanosić katalogów do domu – przyszło jej do głowy wytłumaczenie, dlaczego nie zamieszczono tam ani ceny, ani kodu. Był to na pewno jeden z tych magazynów, które są sprzedawane w plastikowych kopertach, zakrywających obsceniczne obrazki. Cenę i kod kreskowy umieszczano na opakowaniu, jasne, że tak, bo jak mogłoby być inaczej? Musiał gdzieś kupić to świństwo, o ile nie wyciągnął go ze śmietnika.

Może kupił przez Internet. Na pewno są strony specjalizujące się w tego rodzaju artykułach. Nie wspominając o młodych kobietach ubranych tak, żeby wyglądały na dwunastolatki.

– Nieważne – powiedziała i energicznie skinęła głową. Ta sprawa została zamknięta, pogrzebana i zapomniana. Gdyby wspomniała o niej przez telefon, kiedy Bob zadzwoni wieczorem albo kiedy wróci do domu, zawstydziłaby go jedynie i zacząłby się bronić. Prawdopodobnie nazwałby ją osobą naiwną, jeśli chodzi o seks, bo, jak się domyślała, taka właśnie była, i oskarżył o histeryzowanie, dlatego postanowiła tego nie robić. Małżeństwo jest jak dom w ciągłej budowie, każdego roku spostrzega się nowe pokoje. Pierwszy rok po ślubie to chatka, a po dwudziestu siedmiu latach powstaje wielka, pełna zakamarków rezydencja. Muszą w niej istnieć ciemne kąty i przestrzeń do magazynowania rzeczy, większość z nich jest zakurzona i opuszczona, w niektórych spoczywają nieprzyjemne relikty, o jakich wolałoby się nie wiedzieć, dopóki się ich nie znajdzie. Ale to żadna wielka sprawa. Takie relikty się wyrzuca albo zanoszą do pomocy społecznej.

Ta myśl (mająca w sobie coś z konkluzji) spodobała się jej na tyle, że wypowiedziała ją

na głos: „Też mi wielka sprawa!”. I żeby to udowodnić, pchnęła kartonowe pudło mocno obiema rękami, przesuwając je aż pod ścianę.

Skąd doszło ją jakieś stuknięcie. Ale co to było?

Nie chcę wiedzieć, powiedziała do siebie w duchu, pewna, że ta myśl pochodzi nie ze strefy głupoty w jej umyśle, lecz ze strefy mądrości. Pod warsztatem panował półmrok, mogły tam być myszy. Nawet w dobrze utrzymanym garażu jak ten mogły zagnieździć się myszy, zwłaszcza gdy na dworze zrobiło się zimno. A przestraszona mysz potrafi ugryźć.

Darcy wstała, otrzepała kolana i wyszła z garażu. W połowie zadaszenia łączącego garaż z domem usłyszała dzwonek telefonu.

3

Znalazła się w kuchni, zanim automatyczna sekretarka zdążyła się włączyć, mimo to nie podniosła słuchawki. Gdyby okazało się, że to Bob, wolałaby, żeby się nagrał. W tym momencie nie miała ochoty z nim rozmawiać. Mógłby usłyszeć coś w jej głosie. A tak pomyśli, że poszła do sklepu za rogiem albo do wypożyczalni wideo, i zadzwoni za godzinę. Po godzinie zaś, kiedy emocje związane z niemiłym odkryciem trochę opadną, ona znowu będzie sobą i rozmowa sprawi jej przyjemność.

Ale to nie był Bob, to Donnie dzwonił.

– Cholerka, naprawdę chciałem z wami pogadać.

Podniosła słuchawkę, pochyliła się nad blatem kuchennym i powiedziała:

– Więc mów. W tej chwili wróciłam z garażu.

Donnie zżywieniem opowiadał nowiny. Mieszkał teraz w Cleveland w stanie Ohio i po dwóch latach harówki, której nikt nie docenił, i cały czas jakby na startowej pozycji w największej agencji reklamowej w mieście postanowił założyć z przyjacielem własny interes. Bob stanowczo mu to odradzał, dowodząc, że Donnie i jego partner nigdy nie dostaną kredytu na rozkręcenie firmy, a pieniądze będą im przecież potrzebne, żeby utrzymać się w pierwszym roku.

– Obudź się – powiedział synowi Bob. Działo się to na początku wiosny, kiedy pod drzewami i krzewami na podwórzu leżały jeszcze resztki śniegu. – Masz dwadzieścia cztery lata, Donnie, tak jak twój kumpel Ken. Nie możecie nawet załatwić sobie polisy ubezpieczeniowej od wypadku, dwa barany, nie wspominając o wypłacalności. Żaden bank nie da wam siedemdziesięciu tysięcy dolarów na start, zwłaszcza teraz, kiedy gospodarka jest w takim stanie.

Niemniej udało się im załatwić pożyczkę i mieli już nawet dwóch poważnych klientów, pozyskanych tego samego dnia. Jednym był sprzedawca samochodów, który szukał kogoś z nowym spojrzeniem i chciał przyciągnąć kupujących po trzydziestce. Drugim – ten sam bank,

który udzielił im kredytu na utworzenie firmy pod nazwą Anderson & Hayward. Darcy piała z zachwytem, a Donnie robił dokładnie to samo. Rozmawiali około dwudziestu minut. W którymś momencie aparat telefoniczny zaszygnował, że ktoś próbuje się dodzwonić.

– Chcesz odebrać? – zapytał Donnie.

– Nie, to tylko ojciec. Jest w Montpelier i ogląda zbiór stalowych centówek. Zadzwoń jeszcze raz.

– A jak on się miewa?

Świetnie, pomyślała. Rozwija nowe zainteresowania.

– Porusza się w pozycji wyprostowanej i oddycha – odparła. Było to jedno z ulubionych powiedzonek Boba, które rozśmieszało Donniego. Uwielbiała słyszeć jego śmiech.

– A Pets?

– Sam do niej zadzwoń i zapytaj, Donaldzie.

– Zadzwoń, zadzwoń. Cały czas się do tego przymierzam. Tymczasem powiedz w skrócie, co u niej.

– Świetnie sobie radzi. Jest zajęta planowaniem ślubu.

– Można by pomyśleć, że chce go przelożyć na następny tydzień i nie czekać do czerwca przyszłego roku.

– Donnie, jeśli nie będziesz próbował zrozumieć kobiet, nigdy się nie ożenisz.

– Nie śpieszy mi się, bo za dobrze się bawię.

– Dopóki będziesz się bawił, zachowując rozsądek.

– Jestem rozsądny i miły. Muszę kończyć, mam. Za pół godziny idę z Kenem czegoś się napić. Zamierzamy zrobić burzę mózgow w sprawie reklamy samochodów.

Niemal mu powiedziała, żeby nie wypił za dużo, ale w porę się powstrzymała. Mógł nadal wyglądać jak studencik, a w jej pamięci być ciągle pięciolatkiem w czerwonej sztruksowej kurteczce, niezmordowanie jeżdżącym w górę i w dół na hulajnodze po betonowej alejce parku Joshui Chamberlaina w Pownal, lecz nie był już żadnym z tych chłopców. Stał się młodym mężczyzną, a także, choć wydawało się to nieprawdopodobne, młodym przedsiębiorcą, budującym własną drogę przez życie.

– W porządku – powiedziała. – Dzięki za telefon, Donnie. Zrobiłeś mi frajdę.

– I nawzajem. Pozdrów staruszkę, kiedy wróci, i ucałuj go ode mnie.

– Załatwione.

– Porusza się w pozycji wyprostowanej i oddycha – powiedział jeszcze Donnie i zarżał. – Ilu zuchów z jego drużyn usłyszało te słowa?

– Wszyscy. – Darcy otworzyła lodówkę, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej przypadkiem jakiegoś batona, chłodzącego się i czekającego na jej względy. Żadnego. – To niesamowite.

– Kocham cię, mam.

– Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę, wrócił jej dobry nastrój. Uśmiechnęła się. Niemniej, w miarę jak

stała oparta o blat, jej uśmiech gasł.

Stuk.

Rozległo się stuknięcie, kiedy wsunęła pudło z katalogami pod warsztat Boba. Nie łoskot, jakby pudło uderzyło o jakieś upuszczone narzędzie, ale stuknięcie. Mające głuchy pogłos.

Nic mnie to nie obchodzi.

Niestety, to nie była prawda. Stuknięcie wywołało w niej wrażenie niedokończonej sprawy. Podobnie jak kartonowe pudło. Czy były w nim poutykane jakieś inne magazyny podobne do „Związanych Dziwek”?

Nie chcę wiedzieć.

Jasne, jasne, ale przecież mogłaby sprawdzić, co jej szkodziło? Bo gdyby był tylko jeden, miałaby rację, tłumacząc jego obecność ciekawością seksualną, która została w pełni zaspokojona jednym zerknięciem do budzącego niesmak (i niezrównoważonego, dodała w myślach) świata. Jeśli było ich więcej, to nadal mogła być prawda – w końcu je wyrzucił – ale może powinna się o tym przekonać.

Najbardziej jednak... ten stuk. Zaprzętał jej myśli uporczywiej niż pytanie o magazyny.

Poszła do spiżarni, złapała latarkę i wróciła do garażu. Ściągnęła razem kłapy podomki, żałując, że nie wzięła kurtki. Robiło się naprawdę zimno.

4

Darcy uklękła, odsunęła na bok pudło z katalogami i poświeciła latarką pod warsztat. Przez chwilę nie bardzo wiedziała, na co patrzy: dwie ciemne linie, jedna trochę grubsza od drugiej, oddziaływały gładką deseczkę w listwie przypodłogowej. A potem ziarno niepokoju zostało posiane, czuła, jak zaciska się jej żołądek. To była skrytka.

Zostaw to, Darcy. To jego sprawa i dla własnego świętego spokoju trzymaj się od tego z dala.

Dobra rada, ale zaszła za daleko, żeby jej posłuchać. Wczołgała się pod stół z latarką w dłoni, zbrojąc się w odwagę, na wypadek gdyby natknęła się na pajęczyny, lecz niczego takiego tam nie było. Jeśli ona rzeczywiście należała do rodzaju kobiet, które „czego nie widzą, tego sercu nie żal”, to jej łysiejący mąż, numizmatyk i wieczny skaut, był prawdziwym panem porządnikiem.

Poza tym przecież sam się tu wczołguje, więc nie ma szans, żeby powstały pajęczyny.

Czy była to prawda? Tego jeszcze nie wiedziała. Czyżby?

Myślała jednak, że wie.

Szpary znajdowały się na obu końcach dwudziestocentymetrowej deseczki z zamocowanym pośrodku kołkiem. Musiała uderzyć w niego pudłem wystarczająco mocno, żeby wepchnąć kłapkę, ale to nie wyjaśniało źródła stuknięcia. Nacisnęła jeden koniec deski,

która cała uniosła się do środka, odsłaniając skrytkę szeroką na dwadzieścia centymetrów, wysoką na trzydzieści i głęboką na mniej więcej czterdzieści pięć. Darcy myślała, że znajdzie w niej więcej magazynów, prawdopodobnie zrolowanych, ale niczego takiego nie zobaczyła. Stała tam niewielka drewniana szkatułka, którą rozpoznała, i to właśnie ona, bez cienia wątpliwości, musiała stuknąć. Znajdowała się na końcu skrytki, więc na pewno klapka ją tam zepchnęła.

Sięgnęła, złapała szkatułkę i – pełna złych przeczuc, tak silnych, że niemal wydających się rzeczywistością – wyciągnęła. To była szkatułka z dębowego drewna, którą dała mu na Gwiazdkę pięć lat wcześniej, a może dawniej. Albo z okazji urodzin. Nie pamiętała, wiedziała jednak, że kupiła ją okazyjnie za dobrą cenę w sklepie z rękodziełem w Castle Rock. Na wieczku miała ręcznie rzeźbiony motyw łańcucha. Pod łańcuchem wycięto również napis informujący o jej przeznaczeniu: „Spinki”. Bob miał całkiem sporo spinek do mankietów, choć do pracy wolał koszule zapinane na guziki, a niektóre z jego spinek były bardzo ładne i kosztowne. Przypomniała sobie, że kupując ją, chciała, by trzymał w niej spinki uporządkowane. Przez jakiś czas po tym, jak prezent został odpakowany i przyjęty z radością, widziała ją na nocnej szafce po jego stronie łóżka, ale ostatnio chyba jednak już tam nie stała. Oczywiście, że nie. Była przecież tutaj, w skrytce pod warsztatem. Darcy założyłaby się o dom i działkę (kolejne z jego powiedzonek), że kiedy ją otworzy, nie znajdzie w środku spinek do mankietów.

No to nie zaglądam tam.

Kolejna dobra rada, ale sprawa zaszła już za daleko, by się cofnąć. Czując się jak kobieta, która weszła do kasyna i z jakiegoś szalonego powodu postawiła oszczędności całego życia na jedną kartę, otworzyła szkatułkę.

Niech będzie pusta. Boże, proszę, jeśli mnie kochasz, niech będzie pusta.

Ale nie była. W środku leżały trzy plastikowe prostokąty ściągnięte gumką. Wyjęła je końcami palców – jak kobieta, która bierze do ręki wyrzucony kawałek szmaty, bojąc się w równym stopniu bakterii, jak i brudu – po czym zdjęła z nich gumkę.

W pierwszej chwili pomyślała, że to karty kredytowe, ale myliła się. Wierzchnia okazała się kartą dawcy krwi dla Czerwonego Krzyża, którą wystawiono na nazwisko jakiejś Marjorie Duvall. Miała grupę krwi A Rh+, mieszkała w Nowej Anglii. Darcy obróciła kartę i przeczytała, że Marjorie – kimkolwiek była – ostatni raz oddała krew szesnastego sierpnia 2010 roku. Trzy miesiące temu.

Kim, do cholery, była Marjorie Duvall? Jak Bob ją poznał? I dlaczego jej nazwisko wydawało jej się w niejasny sposób, ale na pewno znajome?

Następną kartę wystawiła biblioteka North Conway i podany był na niej adres: Honey Lane 17, South Gansett, New Hampshire.

Ostatni kawałek plastiku okazał się prawem jazdy Marjorie Duvall, wydanym w New Hampshire. Wyglądała jak zupełnie przeciętna Amerykanka po trzydziestce, niezbyt ładna

(ale przecież nikt nie wygląda najlepiej na zdjęciu w prawie jazdy), lecz do przyjęcia. Ciemnoblonde włosy miała związane w kok albo koński ogon, na fotografii nie było tego widać. Data urodzenia: szósty stycznia 1974 roku. Adres taki sam jak na karcie z biblioteki.

Darcy zdała sobie sprawę, że smutno pojąkuje. Słyszeć podobny dźwięk, dobywający się z własnego gardła, było czymś okropnym, lecz nie potrafiła się powstrzymać. Żołądek zmienił się jej w grudę ołowiu. Obniżał się, ciągnąc za sobą wszystkie wnętrzności i wywołując w niej nieprzyjemne wrażenie. Widziała twarz Marjorie Duvall w gazecie. I w wiadomościach o szóstej.

Dłońmi pozbawionymi czucia obwiązała karty gumką. Włożyła je z powrotem do szkatułki, którą następnie wsunęła do skrytki. Była gotowa ją zamknąć, gdy usłyszała własny głos:

– Nie, nie, nie, coś jest nie w porządku. To niemożliwe.

Czy był to głos mądrej Darcy czy głupiej Darcy? Trudno rozstrzygnąć. Wiedziała jedynie, że to głupia Darcy otworzyła szkatułkę. I właśnie przez głupią Darcy jej świat się walił.

Ponownie wyjęła szkatułkę, myśląc: To pomyłka, to musi być pomyłka, jesteśmy małżeństwem przez więcej niż połowę życia każdego z nas, wiedziałabym, na pewno bym wiedziała.

Otworzyła pudełko.

Czy ktoś naprawdę zna drugiego człowieka?

Przed tym wieczorem byłaby przekonana, że tak.

Prawo jazdy Marjorie Duvall znajdowało się teraz na wierzchu. Przedtem było ostatnie. To Darcy je tak umieściła. Ale co leżało wcześniej na górze, karta krwiodawcy czy z biblioteki? To proste, musiało być proste, skoro wybór dotyczył tylko dwóch możliwości, tyle że Darcy była zbyt wytrącona z równowagi, by sobie przypomnieć. Przełożyła na wierzch kartę biblioteczną i od razu się zorientowała, że zdecydowała źle, bo pierwsze, co wcześniej rzuciło jej się w oczy po otwarciu pudełka, to czerwień, kolor krwi. Jasne, że karta krwiodawcy była czerwona; to ona znajdowała się na wierzchu.

Umieściła ją tam i ponownie naciągała gumkę na mały zbiór kart, gdy w domu zadzwonił telefon. To był on. To Bob dzwonił z Vermontu i gdyby była w kuchni i mogła odebrać telefon, usłyszałyby jego wesoły głos (głos, który znała równie dobrze jak własny), pytający: „Cześć, kochanie, jak się miewasz?”

Szarpnęła palcami, gumka pękła i odleciała, a Darcy krzyknęła, sama nie wiedząc, czy ze strachu, czy z frustracji. Ale przecież czego miałyby się obawiać? Dwadzieścia siedem lat małżeństwa i nigdy nie tknął jej ręką... no, chyba że przy pieszczotach. Tylko kilka razy podniósł na nią głos.

Telefon zadzwonił znowu... i znowu... a potem umilkł w pół dzwonka. Teraz nastąpi nagranie wiadomości. „Znowu cię nie zastałem! Cholera! Zadzwoni do mnie, bo będę się

niepokoił, dobrze? Numer to...”.

Podał też numer swojego pokoju. Niczego nie zostawiał przypadkowi, niczego nie przyjmował za oczywiste.

To, o czym pomyślała, absolutnie nie mogło być prawdą. Przypominało jeden z potwornych tworów wyobraźni, wypełzających czasami z bagna dna umysłu i porażających okropną wiarygodnością: że zgaga to początek zawału serca, ból głowy to symptom guza mózgu, że Petra nie zadzwoniła w niedzielę, bo miała wypadek samochodowy i leży teraz nieprzytomna w jakimś szpitalu. Ale takie rojenia zdarzały się najczęściej o czwartej nad ranem przy bezsenności. A nie o ósmej wieczorem... i gdzie się podziała ta przeklęta gumka?

Znalazła ją w końcu za kartonem z katalogami, do którego nie chciała już zaglądać. Wsunęła ją do kieszeni, zaczęła się podnosić, by poszukać nowej, zupełnie nie pamiętając, gdzie jest, i uderzyła głową o kant warsztatu. Rozpląkała się.

W żadnej z szuflad warsztatu nie było gumek, przez co rozpląkała się jeszcze bardziej. Wróciła do domu przez zadaszone przejście, z niepokojącymi, niewytłumaczalnymi plastikowymi kartami w kieszeni podomki, i wyjęła nową gumkę z szuflady w kuchni, gdzie trzymała wszelkie rupiecie mogące się kiedyś do czegoś przydać: spinacze do papieru, kawałki sznurka, prawie rozmagnesowane przyciski na lodówkę. Na jednym z tych ostatnich widniał napis: „Darcy rządzi”, a dostała go od Boba na gwiazdkę.

W stojącym na blacie aparacie telefonicznym dioda błyskała miarowo, informując: „Wiadomość, wiadomość, wiadomość”.

Pobiegła do garażu, tym razem nawet nie otulając się szczelniej podomką. Nie czuła już zupełnie chłodu panującego na dworze, bo w środku była jak zmrożona. I jej żołądek nadal przypominał ołowianą grudę, obniżającą się i rozciągającą jej wnętrzności. Niejasno zdała sobie sprawę, że musi skorzystać z łazienki, i to szybko.

Nieważne. Wstrzymaj to. Udawaj, że jesteś na autostradzie, a najbliższy parking jest dopiero za czterdzieści kilometrów. Najpierw to załatw. Odłóż wszystko na miejsce. Potem możesz...

A potem co? Miałaby zapomnieć?

Na to szanse były niewielkie.

Związała karty gumką uświadomiła sobie, że prawo jazdy znowu jakimś cudem znalazło się na wierzchu, nazwała się głupią dziwką... obrzuciła obelgą za jaką dałaby Bobowi w twarz, gdyby kiedykolwiek tak się do niej odezwał. Nie żeby kiedykolwiek próbował...

– Głupia dziwka, ale nie związana dziwka – wymamrotała i wtedy skurcz ścisnął jej brzuch. Upadła na kolana i zastygła w tej pozycji, czekając, aż jej przejdzie. Gdyby była tu łazienka, pobiegłaby do niej, ale łazienki tu nie było. Kiedy skurcz z wolna minął, ułożyła karty w kolejności, jaką już na pewniaka uznała za właściwą (Czerwony Krzyż, biblioteka, prawo jazdy), i włożyła je z powrotem do szkatułki z napisem „Spinki”. Szkatułkę wsunęła do skrytki. Zniknęła ją dokładnie. Pudło z katalogami ustawiła tak, jak stało wtedy, gdy się o

nie potknęła: trochę wystające. Bob nie zauważył różnicy.

Czy jednak na sto procent? Jeśli był tym, kim myślała, że jest – to potworne, że taka rzecz w ogóle przyszła jej do głowy, choć jeszcze pół godziny wcześniej chciała wziąć stąd jedynie nowe baterie do pilota – więc jeśli był, w takim razie postępował od dawna bardzo ostrożnie. Bo rzeczywiście był ostrożny, był sumienny, był prawdziwym panem porządnym. Jeśli jednak był też tym, na co wskazywały te cholerne (nie, pieprzone) plastikowe karty, musiał postępować wyjątkowo ostrożnie. Wyjątkowo czujnie. Przebiegle.

To ostatnie określenie nigdy nie skojarzyłyby się jej z mężem. Aż do tego wieczora.

– Nie – powiedziała głośno. Spociała się. Włosy kleiły się jej do twarzy mało efektownymi kosmykami, była napięta jak struna, ręce jej się trzęsły niczym u chorej na parkinsona, ale głos brzmiał niesamowicie spokojnie, dziwnie trzeźwo. – Nie, to nie on. Pomyliłam się. Mój mąż nie jest Beką.

Wróciła do domu.

5

Postanowiła zrobić herbatę. Herbata uspokaja. Napelniała czajnik, kiedy zadzwonił telefon. Czajnik wypadł jej z rąk do zlewu – brzdęk tak ją wystraszył, że cicho krzyknęła. Poszła do telefonu, wycierając w podomkę mokre dłonie.

Uspokój się, uspokój, powtarzała w duchu. Jeśli on umie zachować sekret, to ja również. Pamiętaj, że na pewno istnieje rozsądne wyjaśnienie tego wszystkiego...

Naprawdę?

...a ja po prostu go nie znam. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć, i tyle. Zatem: uspokój się.

Podniosła słuchawkę i powiedziała wesoło:

– Jeśli to ty, przystojniaku, to przyjdź od razu. Mąż wyjechał z miasta.

Bob roześmiał się.

– Cześć, kochanie, jak się miewasz?

– Poruszam się w pozycji wyprostowanej i oddycham. A ty?

Nastąpiła długa cisza. W każdym razie wydawała się długa, choć nie mogła trwać więcej niż kilka sekund. W tym czasie Darcy usłyszała strasznie jakoś brzmiący jęk lodówki, wodę kapiącą z kranu na czajnik, który upuściła do zlewu, i bicie własnego serca – miała wrażenie, że to ostatnie dochodzi z jej gardła i uszu, a nie z klatki piersiowej. Od tak dawna byli małżeństwem, że zdążyli niemal idealnie dostroić się do siebie wzajemnie. Czy dzieje się tak w każdym małżeństwie? Nie wiedziała. Znała jedynie swoje. Tyle że teraz zastanawiała się, czy rzeczywiście je znała.

– Mówisz jakoś tak śmiesznie – powiedział. – Trochę język ci się płacze. Wszystko w

porządku, kochanie?

Powinna się tym wzruszyć. Zamiast tego jednak była przerażona. Marjorie Duvall: to nazwisko nie tyle widniało jej przed oczami, ile zdawało się zapalać i gasnąć niczym neon przy wejściu do baru. Na chwilę odjęło jej mowę i ku jej przerażeniu kuchnia, którą znała tak dobrze, zaczęła rozmywać się coraz bardziej, w miarę jak coraz więcej łez napływało jej do oczu. Ołowiany ciężar pojawił się ponownie w brzuchu. Marjorie Duvall. A Rh+. Honey Lane 17. A powiedział tak zwyczajnie: „Cześć, kochanie, jak się miewasz?”

– Myślałam o Brandolyn – usłyszała własny głos.

– Och, skarbie – powiedział ze współczuciem, tak dla niego typowym. Znała je dobrze. Czy nie polegała na nim przez cały czas od 1984 roku? Nawet wcześniej, kiedy jeszcze ze sobą chodzili i zrozumiała, że to on jest tym jedynym? Jasne, że tak. Tak jak on polegał na niej. Pomysł, że takie współczucie jest niczym więcej niż lukrem na zatrutym cieście, był szalony. Fakt, że mu teraz kłamała, był jeszcze większym szaleństwem. Jeśli oczywiście istnieją stopnie szaleństwa. A może szaleństwo jest monolityczne i nie ma porównywalnych czy stopniowalnych form? I o czym myślała? Na rany Boga, o czym?

On tymczasem mówił, ona zaś nie miała pojęcia, co przed chwilą powiedział.

– Powtórz ostatnie zdanie. Sięgałam po herbatę. – Kolejne kłamstwo. Ręce zbyt jej się trzęsły, by mogła sięgnąć po cokolwiek, ale wymówka była dobra. I przynajmniej głos jej nie drżał. Tak jej się w każdym razie wydawało.

– Spytałem, z jakiego powodu.

– Donnie zadzwonił i pytał o siostrę. Wtedy pomyślałam o własnej siostrze. Wysłam na krótki spacer. Zaczęłam pociągać nosem, ale po części z zimna. Pewnie słyszysz to w moim głosie.

– Tak, wyraźnie – powiedział. – Posłuchaj, daruję sobie jutro Burlington i wrócę do domu.

Prawie krzyknęła „Nie!”, ale to byłoby ze wszech miar złe posunięcie. Z troski o nią siedziałaby w samochodzie już o brzasku.

– Tylko spróbuj, a podbiję ci oko – odpowiedziała i poczuła ulgę, kiedy się roześmiała. – Charlie Frady mówił ci, że warto się przyjrzeć sprzedaży masy upadłościowej w Burlington, a on ma dobre kontakty. Podobnie jak intuicję. Zawsze to powtarzasz.

– Tak, ale nie lubię, kiedy masz taki smutny głos.

Domyślił się (i to od razu! od razu!), że coś z nią jest nie w porządku, i to było niedobre. To zaś, że musiała kłamać na temat przyczyny swoich zmartwień – och, było jeszcze gorsze. Zamknęła oczy, zobaczyła „wredną dziwkę Brendę” krzyczącą spod czarnego kaptura i otworzyła je ponownie.

– Byłam smutna, ale teraz już nie jestem – oznajmiła. – Taka chwilowa słabość. Była moją siostrą, widziałam, jak ojciec przyniósł ją do domu. Czasem o tym myślę, to wszystko.

– Wiem – powiedział. I tak było w istocie. Śmierć siostry nie sprawiła, że Darcy

zakochała się w Bobie Andersonie, ale jego zrozumienie jej żałoby wzmocniło łączące ich więzy.

Brandolyn Madsen zginęła w wypadku, kiedy była na nartach. Potracona przez pijanego faceta na skuterze śnieżnym. Sprawca uciekł, zostawiając jej ciało w lesie o kilometr od domu Madsenów. Ponieważ Brandi nie wróciła do ósmej wieczorem, dwóch policjantów z Freeport i ludzie z samopomocy sąsiedzkiej zorganizowali oddział poszukiwawczy. To ojciec ją znalazł i przyniósł do domu przez sosnowy las. Darcy – na posterunku w salonie, gdzie pilnowała telefonu i uspokajała matkę – zobaczyła go pierwsza. Szedł przez trawnik w bladym świetle zimowego księżyca w pełni i wydychał kłęby pary. W pierwszej chwili (nadal uważała to za straszne) ta scena skojarzyła jej się z cklowymi czarno-białymi filmami o miłości, pokazywanymi w TCM, w których facet wnosi świeżo poślubioną żonę przez próg chatki, gdzie spędzą miesiąc miodowy, a tymczasem pięćdziesięciu skrzypków dosładza ścieżkę dźwiękową.

Darcy odkryła już dawno, że Bob Anderson potrafi wczuwać się w emocje innych, co wielu ludziom jest obce. Nie umarł mu brat ani siostra, ale kiedyś stracił najlepszego przyjaciela. Chłopak wybiegł na jezdnię w trakcie gry w baseball za niechący źle rzuconą piłką (ale przynajmniej to nie Bob ją rzucił, bo sam nie grał, tego dnia pływał), wpadł pod ciężarówkę i umarł wkrótce potem w drodze do szpitala. W oczach Darcy zbieżność dawnych smutnych przeżyć nadawała ich związkowi walor wyjątkowości, lecz było w tym też coś mistycznego – jakby nie chodziło o przypadek, ale o rzecz zaplanowaną.

– Zostań w Vermoncie, Bobby. Zajmij się tą masą upadłościową. Kocham cię za to, że jesteś taki troskliwy, jeśli jednak przypędzisz teraz do domu, będę się czuła jak dziecko. A potem się wścieknę.

– W porządku. Ale zadzwonię jutro o wpół do ósmej. Uprzedzam.

Roześmiała się i poczuła ulgę, słysząc, że śmiech był szczery... albo niemal szczery, co nie robiło różnicy. Bo właściwie dlaczego nie miała się szczerze śmiać? Dlaczego, do licha, nie? Kochała go i nie musiał być dla niej doskonały. Pod każdym względem. W końcu nie miała wyboru. Nie da się wyłączyć miłości – nawet takiej prawie nieobecnej, branej czasami za oczywistość po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa – tak jak zakręca się kran. Miłość płynie z serca, a serce rządzi się własnymi prawami.

– Zawsze dzwonicz o wpół do ósmej, Bobby.

– Przyznaję się bez bicia. Zadzwonij jeszcze dzisiaj, gdybyś...

– ...czegoś potrzebowała, nieważne o której godzinie – dokończyła za niego. Teraz niemal czuła się jak dawniej. To naprawdę zdumiewające, że umysł potrafi odzyskać równowagę, choćby nie wiedzieć po ilu kryzysach. – Obiecuję.

– Kocham cię, skarbie. – Zakończenie tak wielu rozmów ze wszystkich wspólnych lat.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała, uśmiechając się. Potem odłożyła słuchawkę, przytknęła czoło do ściany, zamknęła oczy i zanim uśmiech zniknął z jej ust, zaczęła płakać.

6

Jej komputer, iMac, na tyle już stary, że miał modny wygląd retro, stał w pokoju, gdzie szyła. Rzadko używała go do czegoś oprócz poczty i eBay, ale teraz weszła na Google i wpisała nazwisko Marjorie Duvall. Zawahała się przed dodaniem słowa „Beka” do wyszukiwania, ale nie trwało to długo. Po co przeciągać agonię? Wcześniej czy później to i tak wyjdzie na jaw. Uderzyła w „Enter”, a kiedy patrzyła na kręcące się kółko kursora na górze ekranu, skurcz dopadł ją ponownie. Pobiegła do łazienki, usiadła na sedesie i ukryła twarz w dłoniach. Na drzwiach było lustro, ale ona nie chciała na siebie patrzeć. Zresztą po co je tam zamontowano? Dlaczego na to pozwoliła? Kto chciałby oglądać się na tronie? Nawet w najlepszych czasach, które dla niej z pewnością już minęły?

Powoli wróciła do komputera, wlokąc się noga za nogą, jak dziecko spodziewające się zaraz kary za przewinienie, które matka Darcy określiłaby słowami „bardzo nieładnie”. Zobaczyła, że tymczasem na monitorze ukazało się ponad pięć milionów wyników do jej poszukiwań: wszechmocne Google, tak wspaniałomyślne i tak przerażające. Niemniej pierwszy wywołał jej śmiech. Było to zaproszenie do skontaktowania się z Marjorie Duvall na Twitterze. Darcy pomyślała, że może je spokojnie zignorować. Chyba że się myliła (i jakże byłaby za to wdzięczna losowi), ale Marjorie, której szukała, miała tam ostatni wpis jakiś czas temu.

Drugi wynik był linkiem do „Press Herald” z Portlandu, a kiedy Darcy na niego kliknęła, pojawiło się zdjęcie (dla niej ten widok był jak policzek), które pamiętała z telewizji i prawdopodobnie z tego właśnie artykułu, bo „Press Herald” był ich gazetą. Opublikowano je dziesięć dni wcześniej na pierwszej stronie. *Kobieta z New Hampshire może być jedenastą ofiarą Beki!* – krzyczał nagłówek. Podtytuł głosił: *Źródła policyjne: „Jesteśmy na dziewięćdziesiąt procent pewni”*.

Marjorie Duvall wyglądała znacznie ładniej na zdjęciu w gazecie, zrobionym w zakładzie fotograficznym i pokazującym ją w klasycznej pozycji, ubraną w luźną czarną sukienkę, z odsłoniętymi ramionami. Rozpuszczone włosy wydawały się jaśniejsze niż na fotce z prawa jazdy. Darcy zastanawiała się, czy to zdjęcie dostarczył prasie mąż ofiary. Przypuszczała, że tak. Stało pewnie nad kominkiem w ich domu przy Honey Lane 17 albo wisiało w holu. Ładna gospodyni witała gości nieustającym uśmiechem.

„Mężczyźni wolą blondynki, bo mają już dość obściskiwania brunetek”.

Jedno z powiedzonek Boba. Nigdy specjalnie go nie lubiła i była zła, że przypomniało jej się właśnie teraz.

Marjorie Duvall została znaleziona w wąwozie niecałe dziesięć kilometrów od domu w South Gansett, tuż za miastem North Conway. Szeryf hrabstwa przypuszczał, że przyczyną

śmierci było uduszenie, ale nie był do końca pewny, to miał ustalić lekarz sądowy. Odmówił dzielenia się dalszymi spekulacjami i odpowiedzi na inne pytania, ale informator dziennikarza – anonimowy, rzecz jasna (którego informacje uwiarygodniało do pewnego stopnia to, że reprezentował „kręgi zbliżone do śledztwa”) – powiedział, że Duvall pobito i wykorzystano seksualnie „w sposób podobny do poprzednich morderstw Beki”.

Co w naturalny sposób prowadziło do przypomnienia wcześniejszych zabójstw. Do pierwszego doszło w 1977 roku. Dwóch dokonano w 1978, kolejnego w 1980 i dwóch następnych w 1981. Dwa morderstwa miały miejsce w New Hampshire, dwa w Massachusetts, a piąte i szóste w Vermoncie. Potem nastąpiła szesnastoletnia przerwa. Policja przypuszczała, że w grę wchodziła jedna z trzech możliwości: Beka przeprowadził się do innej części kraju i tam kontynuował swoje hobby; Beka został aresztowany w związku z zupełnie innym przestępstwem i siedział w więzieniu; Beka popełnił samobójstwo. Zdaniem psychiatry, z którym konsultował się dziennikarz, jedno wydawało się nieprawdopodobne, a mianowicie to, że Bece znudziło się zabijanie. „Tacy faceci nie mają dość – powiedział psychiatra. – To ich rozrywka, natręctwo. A jeszcze bardziej chodzi o prowadzenie sekretnego życia”.

„Sekretne życie”. To określenie było jak cukierek maczany w truciznie.

Szóstą ofiarą Beki okazała się kobieta z Barre, odkopana w zaspie przez pług śnieżny na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Jakie musiały być te święta dla jej krewnych, pomyślała Darcy. Ona też miała nieudane święta tamtego roku. Samotna, z dala od domu (do czego nie przyznałaby się matce nawet na torturach), znużona pracą, do której brakowało jej – jak sama uważała – kwalifikacji, choć wykonywała ją od półtora roku i dostała nawet podwyżkę, zupełnie nie czuła ducha świąt. Miała znajomych (dziewczyny od margarity), ale nie prawdziwych przyjaciół. Nawiazywanie przyjaźni zawsze przychodziło jej z trudem. Była nieśmiała, jak można by to ładnie określić, choć słowo „introwertyczka” lepiej opisywałoby jej osobowość.

A potem w jej życie wkroczył Bob Anderson z uśmiechem na twarzy – Bob, który chciał się z nią umówić na randkę i który nie pogodziłby się z odmową. Musiało to być niecałe trzy miesiące po odnalezieniu w śniegu ostatniej ofiary Beki z „wczesnego cyklu”. Zakochali się w sobie. Beka przyczał się na szesnaście lat.

Z jej powodu? Bo się w niej zakochał? Bo chciał przestać robić „bardzo nieładne” rzeczy?

Albo to zupełny przypadek. Mogłoby tak być.

Dobrze by było, ale dokumenty, które znalazła ukryte w garażu, czyniły taki zbieg okoliczności bardzo mało prawdopodobnym.

Siódma ofiara Beki, a pierwsza z serii, którą w prasie określono jako „nowy cykl”, była kobietą z Waterville w Maine. Nazywała się Stacey Moore. Mąż znalazł ją w piwnicy po powrocie z Bostonu, gdzie pojechał z przyjaciółmi na kilka meczów Red Soksów. Wydarzyło

się to w sierpniu 1997 roku. Głowę miała wetkniętą w kubek kukurydzy, którą Moore'owie sprzedawali ze straganu przy drodze 106 biegnącej obok ich farmy. Była naga, ręce miała związane na plecach, pośladki i uda posiniaczone w dziesiątkach miejsc.

Dwa dni później prawo jazdy i legitymację ubezpieczeniową Stacey Moore, związane gumką, przesłano do Augusty. Adres był napisany drukowanymi literami: GŁÓPEK PROKURATOR GERENALNY, WYDZ. ŚLEDCZY. Dołączona wiadomość brzmiała: CZEŚĆ! WRÓCIŁEM! BEKA!

Detektywi prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Moore rozpoznali tę przesyłkę natychmiast. Podobne wybrane dokumenty – i podobne wesołkowate wiadomości – przychodziły pocztą po każdym z poprzednich zabójstw. Wiedział, kiedy jego ofiary zostawały same. Torturował je, przede wszystkim zębami; gwałcił lub molestował seksualnie; zabijał; kilka tygodni lub miesięcy później wysyłał ich dowody tożsamości do któregoś z wydziałów policji. Drwiąc sobie z niej w ten sposób.

Chciał mieć pewność, że mu je przypiszą, pomyślała Darcy ponuro.

Kolejnego morderstwa Beka dokonał w 2004 roku, dziewiątego i dziesiątego w 2007. Te dwa ostatnie były najgorsze, bo ofiarą jednego z nich okazało się dziecko. Dziesięcioletni syn kobiety zwolnił się ze szkoły, bo bolał go brzuch, i najwyraźniej wrócił do domu, gdy Beka był zajęty jego matką. Ciało chłopca znaleziono razem z ciałem matki w pobliskim strumieniu. Kiedy dokumenty tej kobiety – dwie karty kredytowe i prawo jazdy – dotarły do koszar numer 7 policji stanowej Massachusetts, na dołączonej kartce można było przeczytać: CZEŚĆ! Z CHŁOPCEM TO BYŁ WYPADEK! PRZEPRASZAM! ALE ZROBIŁEM TO SZYBKO, NIE CIERPIAŁ! BEKA!

Było jeszcze wiele artykułów dostępnych w Internecie (we wszechmocnej przeglądarce Google), ale dokąd by ją zaprowadziły? Błahe marzenie o zwykłym wieczorze w zwykłym życiu zostało pochłonięte przez koszmar. Czy jeśli będzie czytała więcej o Bece, rozwieje tę makabrę? Odpowiedź była zbyt oczywista.

Skurcz ścisnął jej brzuch. Pobiegła do łazienki – gdzie mimo wywietrznika nadal nieładnie pachniało, a ona tym razem nie mogła zignorować faktu, że życie to śmierdzący interes – upadła na kolana przed sedesem i z otwartymi ustami wpatrzyła się w niebieską wodę. Przez chwilę wydawało jej się, że torsje minęły, ale wtedy pomyślała o Stacey Moore z poczerniałą twarzą wepchniętą w wiadro kukurydzy i z pośladkami pokrytymi zakrzepłą krwią w kolorze czekoladowego mleka. To przeważało i zwymiotowała dwukrotnie, na tyle silnie, że woda i kilka zwróconych drobin ochlapały jej twarz.

Zanosząc się płaczem, spuściła wodę. Miskę należało umyć, ale tymczasem położyła jedynie deskę i przytuliła zarumieniony policzek do jej chłodnego różowego plastiku.

Co robić?

Oczywiste wydawało się zawiadomienie policji, ale gdyby to zrobiła i okazałoby się, że nie miała racji? Bob zawsze był najbardziej wspaniałomyślnym i wyrozumiałym człowiekiem

– kiedy wpadła ich starym vanem na drzewo na końcu parkingu przed pocztą i rozbiła przednią szybę, on martwił się jedynie o to, czy nie pokaleczyła sobie twarzy – czy jednak równie chętnie by jej wybaczył, gdyby wskazała go jako sprawcę jedenastu morderstw, których nie popełnił? I świat by się o tym dowiedział. Winny czy niewinny, jego zdjęcie znalazłoby się w gazetach. Na pierwszych stronach. Jej również.

Darcy podniosła się z trudem, z szafki w łazience wyjęła szczotkę do mycia ubikacji i zaczęła sprzątać po sobie. Robiła to powoli. Plecy ją bolały. Przypuszczała, że wymiotując tak silnie, naderwała jakiś mięsień.

W połowie tego zajęcia uświadomiła sobie nagle jeszcze jedno. Nie tylko ich dwoje będzie wciągniętych w spekulacje gazet i ohydne pranie brudów na całodobowych kanałach informacyjnych – musiała pomyśleć również o dzieciach. Donnie i Ken znaleźli właśnie pierwszych dwóch klientów, ale i bank, i dealer samochodowy szukający nowego podejścia do reklamy wycofają się w parę godzin od chwili, gdy ta bomba wybuchnie. Firma Anderson & Hayward, która dzisiaj złapała wiatr w żagle, jutro zatonie. Darcy nie wiedziała, ile Ken Hayward zainwestował, ale to Donnie nadstawiał karku. I nie chodziło tylko o pieniądze, lecz również o wszystkie inne rzeczy, które się inwestuje, wypływając samodzielnie na szerokie wody – serce, umysł, poczucie własnej wartości.

No i Petra i Michael. Prawdopodobnie w tej właśnie chwili, pochyleni ku sobie, snuli plany wesela, nie mając pojęcia, że nad ich głowami zawisł na cienkiej linie dwutonowy sejf. Pets zawsze idealizowała ojca. Jakie to będzie miało dla niej skutki, kiedy się dowie, że te same ręce, które niegdyś bujały ją na huśtawce, odebrały życie jedenastu kobietom? Że usta, które całowały ją na dobranoc, zasłaniały zęby, które gryzły jedenaście kobiet, czasami aż do kości?

Gdy Darcy usiadła ponownie przy komputerze, oczami wyobraźni zobaczyła straszliwy nagłówek w gazecie. Obok zamieszczono zdjęcie Boba w chuście na szyi, absurdalnych krótkich spodenkach khaki i podkolanówkach. Widziała to tak wyraźnie, jakby te litery rzeczywiście wydrukowano:

SERYJNY MORDERCA BEKA
PRZEZ SIEDEMNAŚCIE LAT PROWADZIŁ
DRUŻYNĘ ZUCHÓW

Zakryła usta dłonią. Czowała, jak pulsują jej oczy. Pomyślała o samobójstwie i przez kilka chwil (raczej długich) ten pomysł wydawał się jej zupełnie racjonalny, był jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Mogłaby zostawić list, w którym by napisała, że zrobiła to ze strachu, bo boi się, że ma raka. Albo początki alzheimera, to nawet lepsze. Tyle że samobójstwo kładzie się również długim cieniem na rodzinie. A jeśli się myliła? A jeśli Bob po prostu znalazł te karty przy drodze lub coś w tym rodzaju?

Czy wiesz, jak bardzo jest to nieprawdopodobne? – rzuciła szyderczo mądra Darcy.

W porządku, zgoda, ale nieprawdopodobne to nie znaczy niemożliwe, czyż nie? Niemniej chodziło o coś jeszcze, o coś, co zamykało jej drogę ucieczki z klatki, w której się znalazła. No bo jeśli miała rację? Czy jej śmierć nie ośmieli Boba do popełniania następnych zabójstw, skoro nie będzie już musiał wieść tak głęboko zakonspirowanego drugiego życia? Darcy nie do końca wierzyła w istnienie świadomości po śmierci, ale jeśli tak było rzeczywiście? I co będzie, gdy w rajskich ogrodach przyjdzie jej stawić czoło upiornemu szeregowi zaduszonych, pokaleczonych zębami jej męża kobiet, które wszystkie zaczną ją winić o swoją śmierć, bo wybrała dla siebie najprostsze wyjście z tej sytuacji? A skoro zignoruje to, co znalazła (jeśli taka postawa byłaby w ogóle możliwa, czego nawet nie brała pod uwagę), czy te oskarżenia nie będą uzasadnione? Czy naprawdę myślała, że może skazać więcej kobiet na straszną śmierć tylko dlatego, iż chciała, by jej córka miała ładny ślub w czerwcu?

Pomyślała: Lepiej byłoby nie żyć.

Ale żyła.

Po raz pierwszy od lat Darcy Madsen-Anderson opadła z krzesła na klęczki i zaczęła się modlić. Niewiele to pomogło. Poza nią w domu nie było nikogo.

7

Nigdy nie pisała pamiętnika, ale nadal trzymała prowadzone przez dziesięć lat kalendarze z terminami spotkań, leżące na dnie pudła z przyborami do szycia. I był też rejestr podróży Boba, tkwiący w jednym z segregatorów w jego gabinecie. Jako księgowy specjalizujący się w podatkach (i to taki, który na dodatek prowadzi własny interes) Bob był bardzo skrupulatny, jeśli chodziło o archiwizację dokumentów, zachowywał ślady po każdym odpisie, uldze podatkowej, wydanym na dojazdy cencie, który mógł zaoszczędzić.

Wzięła jego dokumentację i położyła obok komputera razem z własnymi kalendarzami spotkań. Otworzyła Google i zmusiła się do poszukiwań, które były jej potrzebne. Notowała nazwiska i daty śmierci (niektóre okazały się siłą rzeczy przybliżone) ofiar Beki. Potem, gdy zegar na pasku zadań komputera pokazał bezgłośnie, że minęła dziesiąta wieczorem, przystąpiła do mozolnego porównywania.

Oddałaby dziesięć lat życia, byle tylko znaleźć coś, co dałoby jej niepodważalną pewność, że choćby jedno z tych morderstw nie mogło być jego dziełem, ale zapisy z kalendarzy tylko pogarszały sprawę. Kellie Gervais z Keene w New Hampshire została znaleziona w lesie za miejscowym wysypiskiem śmieci piętnastego marca 2004 roku. Zgodnie z opinią biegłego nie żyła od trzech do pięciu dni. W rubrykach od dziesiątego do dwunastego marca w kalendarzu Darcy na 2004 rok było nabazgrane: „Bob u Fitzwilliamia, Brat.”. George Fitzwilliam był ważnym klientem biura Benson, Bacon & Anderson. „Brat.” to

skrót od Brattleboro, gdzie mieszkał. Łatwo stamtąd dojechać do Keene w New Hampshire.

Zwłoki Helen Shaverstone i jej syna Roberta odkryto w strumieniu Newrie, w mieście Amesbury jedenastego listopada 2007 roku. Mieszkali w Tassel Village, niecałe dwadzieścia kilometrów od tego miejsca. Na stronach odpowiadających dniom od ósmego do dziesiątego listopada w kalendarzu na 2007 rok napisała: „Bob w Saugus, dwie sprzedaże masy upadłościowej plus aukcja monet w Bostonie”. Czyżby przypomniała sobie, że w jeden z tych wieczorów dzwoniła do niego do motelu w Saugus i go nie zastała? Załóżmy, że przebywał do późna w mieście z jednym z handlarzy monet, podążając za jakimś tropem, albo po prostu brał prysznic. Najwyraźniej pamiętała, że go nie było w motelu. Jeśli tak, to czy gdzieś wtedy pojechał? Może wracał po załatwianiu jakiejś sprawy (mały wypad) w Amesbury? Albo jeżeli był pod prysznicem, to co, na rany boskie, musiał z siebie zmywać?

Otworzyła jego dokumentację dotyczącą delegacji służbowych, kiedy zegar na pasku zadań pokazywał, że minęła jedenasta, i odliczał czas, jaki pozostał do północy, godziny duchów, kiedy podobno zaludniają się cmentarze. Pracowała bardzo sumiennie i często zatrzymywała się, by sprawdzić coś po raz drugi. Dane z końca lat siedemdziesiątych okazały się zdawkowe i niewiele wnosily – w tamtych dniach był jedynie biurowym wyrobnikiem – ale od lat osiemdziesiątych wszystko znajdowało się na miejscu i wynikało z tego jasno i niezaprzeczalnie, że mógł istnieć związek między wyjazdami Boba a morderstwami popełnionymi przez Bekę w 1980 i 1981 roku. Bob podróżował do odpowiednich miejsc w odpowiednim czasie. I, jak upierała się mądra Darcy, jeśli w czyimś domu znajdzie się wystarczająco dużo kociej sierści, można ze sporym prawdopodobieństwem przyjąć, że gdzieś tam musi być i kot.

I co mam teraz zrobić?

Jedyne, co przyszło jej do skołowanej i przestraszonej głowy, to iść na górę. Wątpiła, czy uda jej się zasnąć, ale wzięłaby przynajmniej gorący prysznic i położyła się do łóżka. Była wykończona, plecy bolały ją po torsjach i cuchnęła potem.

Wyłączyła komputer i poszła na piętro, wlokąc się noga za nogą. Trzymała się mocno poręczy, dziwnie pewna, że gdyby ją puściła, zemdlaby i spadła ze schodów. Prysznic złagodził ból pleców, a dwa tylenole prawdopodobnie w ogóle go zlikwidują jeszcze przed drugą w nocy; nie miała wątpliwości, że sama się o tym przekona, bo do tego czasu nie zaśnie. Kiedy odstawiła tylenol, wyjęła z apteczki buteleczkę z proszkami nasennymi, trzymała ją w ręku ponad minutę, a potem odstawiła na miejsce. Nie pomogłyby jej zasnąć, czułaby się po nich jedynie otępiała i – może – miałaby bardziej paranoiczne myśli niż teraz.

Położyła się i patrzyła na szafkę nocną stojącą przy łóżku. Budzik Boba. Jego zapasowe okulary do czytania. Egzemplarz książki zatytułowanej *Chata*. „Powinnaś ją przeczytać, Darce, taka lektura zmienia życie” – powiedział jej dwie czy trzy noce przed ostatnią delegacją.

Zgasiła lampkę, zobaczyła klęczącą Stacey Moore z rękami związanymi na plecach i

głową wepchniętą do wiadra z kukurydzą i ponownie zapaliła światło. Przez większość nocy ciemność była jej przyjazna – miło zwiastowała sen – ale nie tym razem. Tej nocy mrok wypełniał harem Boba.

Tego nie wiesz. Pamiętaj, że nie wiesz tego z całą pewnością.

Ale jeśli znajdziesz wystarczająco dużo kociej sierści...

Przestań też z tą kocią sierścią.

Leżała, jeszcze bardziej rozbudzona, niż się spodziewała, w głowie miała mętlik, myślała o dzieciach, myślała o sobie, przypomniała sobie nawet opowieść biblijną o Jezusie modlącym się w ogrodzie oliwnym. Spojrzała na budzik Boba, bo wydawało jej się, że co najmniej od godziny kręci się w zamkniętym kole niepokoju, ale minęło zaledwie dwanaście minut. Podniosła się na jednym łokciu i obróciła zegar przodem do okna.

Nie będzie go w domu do jutra do szóstej wieczorem, pomyślała... chociaż biorąc pod uwagę, że minęła już północ, to praktycznie wróci dzisiaj. Mimo wszystko dawało jej to osiemnaście godzin. To na pewno dość czasu na podjęcie jakiejś decyzji. Byłoby jej łatwiej, gdyby choć trochę się przespała – we śnie umysł porządkuje wiele rzeczy – ale to nie wchodziło w grę. Gdy tylko zaczynała odpływać, od razu myślała o Marjorie Duvall albo Stacey Moore, albo (to było najgorsze) o Robercie Shaverstonie, dziesięciolatku, który „nie cierpiał”. A wtedy przepadała jakakolwiek szansa na sen. Przyszło jej do głowy, że może już nigdy nie zaśnie. To było niemożliwe, oczywiście, ale kiedy tak leżała, nadal czując smak wymiocin, mimo że wyplukała usta specjalnym płynem, wydawało się całkiem prawdopodobne.

W którymś momencie zaczęła przypominać sobie rok z wczesnego dzieciństwa, kiedy chodziła po domu i zaglądała do luster. Stawała przed nimi, z dłońmi przyłożonymi do policzków i nosem przytkniętym do tafli, ale wstrzymywała oddech, żeby nie zaparować szkła.

Gdy matka ją na tym przyłapywała, dawała jej po łapach. „Zostawiasz smugi, a ja potem muszę je czyścić. Zresztą czemu raptem tak się sobą zainteresowałaś? Nigdy nie powieszają cię z powodu urody. I dlaczego stajesz tak blisko? W ten sposób nie możesz zobaczyć nic wartego uwagi”.

Ile lat miała wtedy? Cztery? Pięć? Za młoda, by wytłumaczyć, że to nie własne odbicie ją interesowało, w każdym razie nie przede wszystkim. Była przekonana, że lustra to bramy do innego świata, a odbicia, które widziała w szkłe, nie są ich salonem czy łazienką, ale salonem i łazienką jakiejś innej rodziny. Matsonów, a nie Madsenów, na przykład. Bo po drugiej stronie lustra wszystko wyglądało podobnie, lecz nie identycznie, i jeśli patrzyło się wystarczająco długo, można było zauważyć różnice: dywan, który wydawał się owalny, a nie okrągły jak tutaj, drzwi miały gałkę zamiast zasuw, włącznik światła znajdował się po innej stronie drzwi. Mała dziewczynka też nie była taka sama. Darcy wierzyła, że są spokrewnione – lustrzane siostry? – ale nie, nie bliźniacze. Zamiast nazywać się Darcellen Madsen, tamta

mała dziewczynka mogła być Jane albo Sandrą, może nawet Eleanor Rigby, która z jakiegoś powodu (jakiegoś strasznego powodu) zbierała ryż przed kościołami, kiedy odbywały się śluby.

Kiedy Darcy tak leżała w kręgu światła lampy, przysypiała, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i myślała, że gdyby była w stanie powiedzieć matce, czego szukała, gdyby opowiedziała jej o Mroczniejszej Dziewczynie, która nie była nią, ostatecznie spędziłaby pewnie trochę czasu z dziecięcym psychiatrą. Ale to nie tamta dziewczynka ją ciekawiła, nie o nią chodziło. Interesował ją pomysł, że za lustrami istnieje cały inny świat i gdyby udało się przejść do tego drugiego domu (Mroczniejszego Domu), a potem przez drzwi, czekałaby tam reszta tego świata.

Oczywiście ta fascynacja minęła, przytłumiona przez nową lalkę (którą nazwała Panią Butterworth, od marki uwielbianego syropu do naleśników) i nowy domek dla lalek, a jej wyobraźnię wypełniło fantazjowanie na tematy bardziej odpowiednie dla małych dziewczynek, jak gotowanie, sprząatanie, zakupy, upominanie dziecka, przebieranie się do obiadu. Teraz, po upływie tylu lat, znalazła w końcu sposób na przejście przez lustro. Tylko że w Mroczniejszym Domu nie czekała na nią Mroczniejsza Dziewczynka, zamiast niej był Mroczniejszy Mąż, ten, który mieszkał za lustrem przez cały czas i dokonywał tam strasznych rzeczy.

„Dobre za godziwą cenę” – lubił powtarzać Bob; kredo księgowego, jeśli coś takiego w ogóle istniało.

„Poruszam się w pozycji wyprostowanej i oddycham” – odpowiedź na „Jak się miewasz?”, znana każdemu zuchowi zabranemu kiedykolwiek na wycieczkę straszną Ścieżką Nieboszczyka. Odpowiedź, którą ci chłopcy pewnie nadal powtarzają, już jako dorośli ludzie.

Nie zapominaj i o tym: „Mężczyźni wołają blondynki, bo mają już dość obściskiwania...”.

Darcy zasnęła i choć to ukojenie nie mogło być zbyt głębokie, zmarszczki na jej czole i w kącikach zaczerwienionych, opuchniętych oczu trochę złagodniały. Była na tyle blisko granicy świadomości, że poruszyła się na łóżku, kiedy jej mąż wjechał na podjazd, ale nie na tyle, żeby się obudzić. Zbudziłaby się, gdyby światła suburbańska omiotły sufit sypialni, ale Bob wyłączył je znacznie wcześniej właśnie z tego powodu.

8

Kot głaskał ją po policzku miękką łapką. Bardzo delikatnie, ale uporczywie.

Darcy chciała go odsunąć, ale miała wrażenie, że jej ręka waży tonę. Zresztą to był sen – musiał być bez wątpienia. Nie mieli przecież kota. Choć „jeśli znajdzie się gdzieś wystarczająco dużo kociej sierści, tam musi być i kot” – całkiem rozsądnie podpowiedział jej umysł, starając się obudzić.

Teraz łapka uderzała ją po równo obciętej grzywce i czole, ale nie mógł to być kot, bo koty nie mówią.

– Obudź się, Darce. Obudź się, skarbie. Musimy porozmawiać.

Głos był równie łagodny i delikatny jak dotyk. Głos Boba. I nie kocia łapka, tylko jego ręka. Ale to nie mógł być on, bo nie wrócił jeszcze z Mont...

Otworzyła oczy w jednej chwili i zobaczyła go siedzącego obok na łóżku, głaszczącego ją po włosach i twarzy, jak robił to czasami, kiedy dopadała ją meteopatia. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur od Josepha A. Banka (kupował tam wszystkie swoje garnitury, nazywając je – kolejne na wespół śmieszne powiedzonko – „Joss-Bankami”), ale kamizelka była rozpięta i kołnierzyk koszuli również. Spostrzegła, że koniec krawata wystaje mu z kieszeni płaszcza niczym czerwony język. Brzuch wylewał się ponad paskiem i pierwsza składna myśl, jaka przyszła jej do głowy, brzmiała: Naprawdę musisz coś zrobić z nadwagą, Bobby, to nie służy dobrze twojemu sercu.

– Co... – Zabrzmiało to prawie jak niezrozumiałe krakanie kruka.

Uśmiechnął się i nadal gładził jej włosy, policzki, kark. Odchrząknęła i spróbowała ponownie.

– Co ty tu robisz, Bobby? Musi być... – Obróciła głowę w stronę budzika, ale nic to nie dało. Postawiła go przecież przodem do okna.

Bob spojrział na swój zegarek. Uśmiechał się, gdy ją budził, i wciąż nie przestawał się uśmiechać.

– Jest za piętnaście trzecia. Po naszej rozmowie przesiedziałem w tym głupim motelu jeszcze dwie godziny i starałem się sobie wmówić, że to, co myślę, nie może być prawdą. Tyle że nie osiągnąłbym tego, co mam, gdybym unikał prawdy. Dlatego wskoczyłem do wozu i ruszyłem w drogę. Nie było prawie ruchu... Zastanawiam się, czemu częściej nie jeżdżę późną nocą. Może zacznę. Jeśli nie trafię do Shawshank, rzecz jasna. Albo do więzienia stanowego New Hampshire w Concord. Ale to już zależy od ciebie, prawda?

Pogłaskał ją po twarzy. Wrażenie było znajome, znajomy był nawet zapach, który zawsze kochała. Ale już nie w tej chwili i trudno byłoby to nazwać odkryciem z tej koszmarnej nocy. Jak mogła wcześniej nie zauważyć, ile jest w tym dotyku władczości i samozadowolenia? „Jesteś starą zdzirą, ale moją starą zdzirą – zdawał się mówić. – Tylko że teraz, kiedy mnie nie było, nasikałaś na podłogę, a to źle. Prawdę mówiąc, to »bardzo nieładnie«”.

Odsunęła jego rękę i usiadła.

– O czym, na rany Boga, mówisz? Zakradasz się, budzisz mnie...

– No tak, ale spałaś przy zapalonym świetle. Zobaczyłem to, jak tylko znalazłem się na podjeździe. – W jego uśmiechu nie było cienia poczucia winy. Niczego złowieszczonego również. Był to ten sam co zawsze dobroduszny uśmiech Boba Andersona, który pokochała niemal od pierwszej chwili. Na krótko wróciła pamięcią do tego, jaki był łagodny w ich noc poślubną, ani trochę jej nie ponaglał. Dał jej czas, by przywykła do nowych doświadczeń.

To samo zrobi teraz, pomyślała. I miała pewność, że się nie myli.

– Nigdy nie śpisz przy zapalonym świetle, Darce. I chociaż masz na sobie koszulę nocną, pod spodem widać stanik, a przecież zawsze zdejmujesz go do łóżka. Zapomniałaś o tym, prawda? Biedne maleństwo. Biedna zmęczona dziewczynka.

Przez moment dotykał jej piersi, a potem – na szczęście – zabrał rękę.

– Obróciłaś też mój budzik, żeby nie patrzeć na godzinę. Bardzo się zdenerwowałaś, i to przeze mnie. Przepraszam, Darce. Z całego serca.

– Zjadłam coś, co mi zaszkodziło. – Tylko taka odpowiedź przyszła jej do głowy.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– Znalazłaś moją skrytkę w garażu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Świetnie ci poszło z odłożeniem wszystkiego na miejsce, ale w tych sprawach jestem bardzo ostrożny. Taśma, którą przylepiłem kłapkę w listwie podłogowej, była zerwana. Nie zauważyłaś jej, prawda? Takiej taśmy prawie nie widać po przyklepieniu. Poza tym szkatułka była przesunięta o dwa, trzy centymetry w lewo od miejsca, gdzie ją postawiłem, bo zawsze tam ją stawiam.

Wyciągnął rękę, żeby jeszcze raz pogłaskać ją po policzku, ale cofnął dłoń (z widoczną urazą), gdy odwróciła od niego twarz.

– Rozumiem, Bobby, że masz bzika na jakimś punkcie, ale, szczerze mówiąc, nie wiem, co to. Może za ciężko pracujesz.

Wykrzywił usta w wyrazie smutnej dezaprobaty, oczy zwilgotniały mu od łez. Siłą woli powstrzymała się od współczucia. Emocje to tylko kolejny ludzki nawyk, najwyraźniej tak samo warunkowany jak wszystko inne.

– Chyba przez cały czas wiedziałem, że taki dzień nadejdzie.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Westchnął.

– Miałem dużo czasu na myślenie, bo to była długa podróż, kochanie. A im dłużej myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że tylko jedno pytanie wymaga odpowiedzi: CDZ.

– Nie rozu...

– Ciii – wszedł jej w słowo i delikatnie położył palec na ustach. Poczula zapach mydła. Musiał wziąć prysznic przed wyjazdem z motelu, co było bardzo do niego podobne. – Powiem ci wszystko. Zrzucę to z siebie. Myślę, że w głębi serca zawsze chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Zawsze chciał, żeby wiedziała? Dobry Boże! Może w przyszłości czekały ją gorsze rzeczy, ale dotychczas to było najstraszniejsze.

– Nie chcę wiedzieć. Cokolwiek masz w głowie, ja nie chcę o tym wiedzieć.

– Widzę coś innego w twoich oczach, skarbie, a nauczyłem się bardzo dobrze czytać w

oczach kobiet. Stałem się, można powiedzieć, ekspertem. CDZ oznacza „Co Darcy zrobi?”. W tym przypadku: co Darcy zrobi, kiedy znajdzie moją skrytkę i dowie się, co jest w szkatułce. Nawiasem mówiąc, bardzo lubię tę szkatułkę, bo dostałem ją od ciebie.

Pochylił się i pocałował ją szybko w miejsce między brwiami. Usta miał wilgotne. Po raz pierwszy w życiu, czując ich dotyk na skórze, wzdrygnęła się i przyszło jej do głowy, że może nie dożyć wschodu słońca. Bo martwa kobieta niczego nie opowiada. Choć, pomyślała, zadba na pewno, żebym „nie cierpiała”.

– W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy nazwisko Marjorie Duvall coś ci powie. Wolałbym odpowiedzieć na to pytanie krótkim „no pewnie, że nie”, ale człowiek musi być czasami realistą. Nie należysz do osób chorobliwie śledzących wiadomości, ale znam cię wystarczająco długo, by wiedzieć, że jesteś zorientowana w najważniejszych wydarzeniach, o których głośno w telewizji i w gazetach. Pomyślałem, że nazwisko nie będzie ci obce, a nawet gdyby było inaczej, rozpoznasz zdjęcie z prawa jazdy. Poza tym zapytałem sam siebie, czy nie zaciekawi cię, dlaczego mam te dokumenty? Kobiety są ciekawe z natury. Wystarczy wspomnieć Pandorę.

Albo żonę Sinobrodego, pomyślała, która zajrzała do zamkniętego pokoju i znalazła ścięte głowy swoich poprzedniczek.

– Bob, przysięgam ci, że nie mam pojęcia, o czym mówisz...

– Dlatego zaraz po przyjściu włączyłem twój komputer, otworzyłem Firefoxa... to przeglądarka, której zawsze używałeś... i sprawdziłem historię.

– Co?

Zachichotał, jakby powiedziała coś wyjątkowo dowcipnego.

– Nawet o tym nie wiesz. Tak też myślałem, bo za każdym razem, kiedy ją sprawdzałem, wszystko tam było. Nigdy jej nie kasowałeś! – Ponownie zachichotał, jak mężczyzna, kiedy żona odsłoni się z czymś, co on uważa za rozczulające.

Darcy poczuła pierwsze ukłucie złości. Prawdopodobnie absurdalne, biorąc pod uwagę sytuację, niemniej zaczynała być zła.

– Grzebałeś w moim komputerze? Ty draniu! Ty wstrętny draniu!

– Oczywiście, że grzebałem. Mam bardzo złego przyjaciela, który robi bardzo złe rzeczy. Ktoś taki jak on musi być na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w jego najbliższym otoczeniu. A ponieważ dzieci odeszły już z domu, zostaliśmy tylko ty i ja.

Zły przyjaciel? Zły przyjaciel, który robi złe rzeczy? W głowie miała zamęt, ale jedno wydawało się aż nadto wyraziste: dalsze zaprzeczanie nie miało sensu. Wiedziała o tym i on to wiedział.

– Nie sprawdzałeś jedynie Marjorie Duvall. – W jego głosie nie słyszała ani wstydu, ani próby obrony, jedynie okropny żal, że do tego doszło. – Szukałaś informacji o nich wszystkich. – Roześmiał się i dodał: – Aj!

Usiadła, opierając się o wezglowie łóżka, dzięki czemu znalazła się trochę dalej od niego.

To dobrze. Dystans był czymś dobrym. Przez wszystkie te lata leżała przy nim, biodro przy biodrze, udo przy udzie, a teraz pewna odległość wydawała się jej czymś właściwym.

– Co za zły przyjaciel? O kim mówisz?

Bob przekrzywił głowę na jedną stronę, co w języku jego ciała oznaczało: „Jesteś głupiutka, ale to takie zabawne”.

– O Brianie.

W pierwszej chwili nie miała zielonego pojęcia, o kim mówi, i pomyślała, że to pewnie ktoś z pracy. Może wspólnik? Nie wydało jej się to zbyt prawdopodobne, bo wiedziała, że Bob, podobnie jak ona, nie umiał nawiązywać przyjaźni, ale mężczyźni, którzy robią takie rzeczy, czasem rzeczywiście mają wspólników. W końcu wilki polują watahą.

– Brian Kelahanty – dodał. – Tylko mi nie mów, że zapomniałaś o Brianie. Opowiedziałem ci o nim wszystko, kiedy ty mi powiedziałaś, co się stało z Brandolyn.

Rozdziawiła usta.

– Twój przyjaciel ze szkoły? Bob, on nie żyje! Wpadł pod ciężarówkę, kiedy pobiegł za piłką. On nie żyje!

– Cóż... – Uśmiech Boba stał się skruszony. – Tak... i nie. Niemal zawsze nazywałem go Brianem, kiedy rozmawiałem o nim z tobą, ale nie tak nazywałem go w szkole, bo nienawidził tego imienia. Zwracałem się do niego, używając jego inicjałów. Nazywałem go BK.

Darcy wpatrywała się w Boba, jakby chciała zapytać, co ma piernik do wiatraka, ale wtedy zrozumiała. Oczywiście, to jasne. BK.

Beka.

9

Mówił bardzo długo, a im dłużej mówił, tym bardziej była przerażona. Przez tyle lat żyła z szaleńcem, ale skąd mogła to wiedzieć? Jego obłąd był niczym podziemne morze. Nad nim zalegała warstwa skał, na niej warstwa ziemi, rosły kwiaty. Można było iść między nimi i nigdy nawet nie pomyśleć, że pod spodem jest kipiela szaleństwa... a była. Zawsze była. Winił za wszystko BK (który zaczął się podpisywać jako Beka wiele lat później w listach do policji), ale Darcy podejrzewała, że i tak swoje wiedział. Zrzucanie winy na Briana Kelahanty'ego ułatwiało mu jedynie prowadzenie drugiego życia.

To BK na przykład wpadł na pomysł, żeby przynieść broń do szkoły i urządzić strzelaninę. Zgodnie ze słowami Boba miało do tego dojść latem pomiędzy zakończeniem szkoły średniej a studiami w Castle Rock.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym – powiedział, dobrodusznie kręcąc głową, jak człowiek wspominający jakieś niewinne grzeszki z dzieciństwa. – Na długo

przedtem, zanim te prostytutki z Columbine przyszły na świat. Były tam dziewczyny, które się z nas nabijały. Diane Ramadge, Laurie Swenson, Gloria Haggerty... i kilka innych, ale zapomniałem, jak się nazywały. Nasz plan zakładał skombinowanie kilku sztuk broni... ojciec Briana miał około dwudziestu strzelb i pistoletów, w tym nawet dwa niemieckie lugery z drugiej wojny światowej, które nas fascynowały... i zanieśenie ich do szkoły. W tamtych czasach nikt nikogo nie przeszukiwał, nie było wykrywaczy metalu, wiesz sama. Chcieliśmy zabarykadować się w skrzydle z pracownikami naukowymi. Mieliśmy zablokować drzwi łańcuchem, zabić kilka osób, w większości nauczycieli, ale też kilku chłopaków, których nie lubiliśmy, a potem patrzeć, jak reszta dzieciaków wybiega w popłochu na zewnątrz wyjściem pożarowym na dalekim końcu korytarza. To znaczy... większość uczniów. Chcieliśmy wziąć jako zakładniczki te dziewczyny, które z nas kpiły. Zaplanowaliśmy... BK zaplanował... że dokonamy tego, zanim zjawi się policja, rozumiesz? Narysował plany miejsc i w zeszycie do geometrii zapisał wszystkie działania punkt po punkcie. Wydaje mi się, że było dwanaście etapów, poczynając od „Włączyć alarm przeciwpożarowy, żeby wywołać zamieszanie”. – Zachichotał. – Później mieliśmy zamknąć szkołę...

Posłał jej lekko zawstydzony uśmiech, ale ona pomyślała, że ten wstyd wywoływała przede wszystkim głupota przytaczanego planu.

– Domyślasz się pewnie, o co chodziło. Dwóch nastolatków, którym hormony tak buzują że wystarczy powiew wiatru, a już im staje. Mieliśmy zamiar powiedzieć tym dziewczynom, że jeśli, wiesz, naprawdę ostro się z nami wypieprzą, to je puścimy. A jeśli nie, to będziemy musieli je zabić. A one miały się, rzecz jasna, zgodzić.

Pokiwał powoli głową.

– Pieprzyłyby się, żeby przeżyć. W tej sprawie BK miał rację.

Zatracił się w swoim opowiadaniu. Oczy miał zamglone (groteskowo, ale naprawdę) nostalgią. Za czym? Szalonymi marzeniami małolata? Bała się, że to mogła być prawda.

– Nie braliśmy w ogóle pod uwagę, że potem się zabijemy, jak ci heavymetalowi debile z Kolorado. Gdzie tam. Pod skrzydłem z pracownikami była piwnica, a Brian powiedział, że jest tam podziemne przejście, które prowadzi z magazynu materiałów biurowych do starej remizy strażackiej po drugiej stronie drogi sto dziewiętnaście. Mówił, że w latach pięćdziesiątych, kiedy jeszcze nie było gimnazjum, tylko ośmioklasowa podstawówka, był tam park, a dzieciaki bawiły się w nim na przerwach. Przejście zbudowano właśnie po to, żeby nie musiały przebiegać przez drogę.

Bob roześmiał się, sprawiając, że aż podskoczyła.

– Uwierzyłem mu na słowo, ale potem się okazało, że zmyślał jak najęty. Poszedłem tam następnej jesieni, żeby samemu wszystko sprawdzić. Magazyn istniał naprawdę, pełen papieru, śmierdział płynem do powielacza, którego wtedy używano, ale nie było tam żadnego podziemnego przejścia, przynajmniej ja go nie znalazłem, a już wtedy byłem bardzo skrupulatny. Nie wiem, czy okłamywał nas obu, czy tylko samego siebie, wiem jedynie, że

nie było tam żadnego tunelu. Wpadlibyśmy na górze w pułapkę... i kto wie, może mimo wszystko popełnilibyśmy samobójstwo. Nigdy nie wiadomo, co może przyjść do głowy czternastolatkom. Przecież to tykające bomby na dwóch nogach.

Ty nie jesteś już tykającą bombą, pomyślała. Prawda, Bob?

– Zresztą i tak pewnie byśmy stchórzeli. A może jednak nie. Może spróbowalibyśmy wcielić ten plan w życie. BK bardzo mnie nakręcił opowiadaniem, jak najpierw je przestraszymy, a potem każemy im się rozbierać... – Spojrzał na nią poważnie. – Tak, wiem, jak to brzmi, takie tam fantazjowanie chłopaków przy waleniu konia, ale te dziewczyny były naprawdę wyniosłe. Próbowaliśmy z nimi gadać, a one tylko się śmiały i odchodziły. A potem stały w rogu kafeterii całą grupą, patrzyły na nas i jeszcze bardziej się śmiały. Nie można nas do końca winić, prawda?

Poparzył na własne palce, bębniące nieprzerwanie po udzie, i znowu przeniósł wzrok na Darcy.

– Jedno, co musisz zrozumieć... i naprawdę dostrzec... to fakt, że Brian był bardzo przekonujący. A przy tym znacznie gorszy ode mnie, rzeczywiście obłąkany. Nie zapominaj, że w całym kraju wtedy wrzało, a to było tylko częścią całej reszty.

Bardzo wątpię, pomyślała.

Zadziwiła ją to, że nadawał temu wymiar niemal normalności, jakby fantazje seksualne każdego dorastającego chłopaka pełne były gwałtów i morderstw. Prawdopodobnie w to wierzył, tak jak wierzył w mityczne podziemne przejście Briana Kelahanty'ego. Na pewno? Skąd miała wiedzieć? W końcu wysłuchiwała jedynie wspomnień szaleńca. Trudno było jej dać wiarę własnym uszom – ciągle! – bo tym szaleńcem był Bob. Jej Bob.

– W każdym razie – mówił dalej, wzruszając ramionami – nigdy do tego nie doszło. W tamto lato Brian wybiegł na ulicę i zginął. Po pogrzebie odbyła się w domu stypa, a jego matka powiedziała, że jeśli chcę, mogę iść do pokoju Briana i coś sobie wziąć. Na pamiątkę, rozumiesz. A ja bardzo chciałem! O, jak bardzo! Zabrałem jego zeszyt do geometrii, żeby nikt, kto przypadkowo by go kartkował, nie natrafił na plany „Wspaniałej strzelaniny w Castle Rock” i „Ruchania do woli”. Bo tak to nazwał, rozumiesz.

Roześmiał się smutno.

– Gdybym był religijny, powiedziałbym, że Bóg ocalił mnie przede mną samym. I kto wie, czy nie ma tam Czegoś... jakiegoś Losu... który ma wobec nas własne plany.

– A ten plan Losu dla ciebie to torturowanie i zabijanie kobiet? – zapytała Darcy. Nie potrafiła się powstrzymać.

Popatrzył na nią z urazą.

– One były zdzirami – odpowiedział i niczym nauczyciel uniósł palec. – Poza tym to nie ja. Beka to robił. Dodam jedynie, że miał powody, Darcy. Powiedziałem „miał” zamiast „ma”, bo to wszystko jest już za mną.

– Bob, twój przyjaciel BK umarł. Nie żyje od prawie czterdziestu lat. Musisz o tym

wiedzieć. To znaczy musisz do pewnego stopnia.

Machnął dłońmi w geście dobrowolnej kapitulacji.

– Chcesz to nazwać unikaniem poczucia winy? Przypuszczam, że takiego określenia użyłby psychiatra, i nie przeszkadza mi to w twoich ustach. Ale posłuchaj, Darcy! – Pochylił się do przodu i przez krótki, straszny moment myślała, że zamierza ją pocałować albo choćby spróbować to zrobić. Zamiast tego przytknął jedynie palec do jej czoła. – Posłuchaj i postaraj się zrozumieć. To był Brian. Zaraził mnie... cóż, powiedzmy, że pewnymi ideami. Takimi myślami, które gdy raz wbiją ci się do głowy, zostają tam na zawsze. Nie można...

– Wcisnąć z powrotem pasty do tubki?

Klasnął w dłonie i prawie krzyknął.

– Właśnie tak! Nie można wcisnąć z powrotem pasty do tubki. Brian nie żyje, ale jego pomysły nie umarły. To przekonanie, że można mieć kobiety i robić z nimi cokolwiek, spełniać wszelkie szalone zachcianki, stało się jego duchem.

Kiedy to mówił, spoglądał do góry i w lewo. Darcy przeczytała gdzieś, że takie zachowanie świadczy o tym, iż mówiący dopuszcza się świadomego kłamstwa. Ale nawet gdyby tak było, czy miało to znaczenie? I które z nich dwojga okłamywał? Pomyślała, że to nieważne.

– Nie będę wchodził w szczegóły – ciągnął. – Nie są przeznaczone dla kogoś kochanego, jak ty, i czy ci się to podoba, czy nie... a wiem, że w tej chwili to ci się nie podoba... nadal jesteś moją miłością. Musisz jednak wiedzieć, że z tym walczyłem. Przez siedem lat zmagalem się ze sobą, ale te myśli... myśli Briana... kłębiły mi się w głowie. Aż w końcu powiedziałem sobie: „Spróbuję raz, żeby się ich pozbyć. Żeby wyrzucić go z mojego umysłu. Jeśli mnie złapią, to złapią, przynajmniej przestanę o tym myśleć. Zastanawiać się, jakie by to było uczucie”.

– Mówisz mi, że chodziło o męską dociekliwość – powiedziała posępnie.

– Cóż, no tak. Chyba można tak to nazwać.

– Albo że to jak próbowanie skręta, żeby się przekonać, o co cały ten szum.

Wzruszył lekko ramionami.

– Coś w tym rodzaju.

– To nie była dociekliwość, Bobby. To nie było próbowanie skręta. To było odbieranie życia kobiecie.

Nie spostrzegła ani śladu wstydu czy poczucia winy – najwyraźniej pod tym względem był bezkompromisowy, jakby ktoś mu je wyłączył niczym dopływ prądu, może jeszcze zanim się urodził – i patrzył teraz na nią nadąsany, z miną człowieka, którego niesłusznie się osądza. Miał spojrzenie chłopca, mówiące „bo ty mnie nie rozumiesz”.

– Darcy, to były zdziury.

Marzyła o szklance wody, ale bała się wstać i pójść do łazienki. Obawiała się, że ją zatrzyma – i co mogłoby nastąpić potem? Co potem?

– Poza tym – podjął wątek – wydawało mi się, że mnie nie złapią. Jeśli tylko będę ostrożny i będę miał plan. Nie taki niedowarzony plan napalonego nastolatka, ale prawdziwy. Realistyczny plan. Zdałem też sobie sprawę z czegoś jeszcze. Mianowicie, że nie mogę tego robić sam. Nawet gdybym nie spieprzył sprawy ze zdenerwowania, mógłbym wpaść przez poczucie winy. Bo zawsze byłem tym dobrym. Tak właśnie postrzegałem sam siebie i możesz mi wierzyć lub nie, ale tak jest do dzisiaj. I mam na to dowód, prawda? Dom na poziomie, dobrą żonę i dwójkę cudownych dzieci, które już dorosły i zaczynają własne życie. I robię coś na rzecz lokalnej społeczności. To dlatego zgodziłem się być skarbnikiem rady miasta przez dwa lata bez żadnego wynagrodzenia. To dlatego pracuję każdego roku z Vinniem Eschlerem przy ustawianiu „krwawej drogi” na Halloween.

Powinieneś poprosić o krew Marjorie Duvall, pomyślała Darcy. Miała A Rh+.

A potem, wypinając lekko pierś do przodu – jak mężczyzna wieńczący swój wywód ostatnim, niepodważalnym argumentem – powiedział:

– O to też chodzi ze skautami. Myślałaś pewnie, że to zostawię, kiedy Donnie odszedł z zuchów, wiem, że tak myślałaś. Ale tak się nie stało. Bo nie chodziło tylko o niego, właściwie nigdy nie chodziło o niego. To dawanie czegoś od siebie. Lokalnej społeczności.

– To oddaj życie Marjorie Duvall. Albo Stacey Moore. Albo Robertowi Shaverstone’owi.

Ostatnie nazwisko było celnym strzałem. Bob skrzywił się, jakby miał ją uderzyć.

– Ten chłopak to przypadek. Miało go tam nie być.

– Ale twoja obecność tam nie była przypadkowa?

– To nie byłem ja – powiedział i dodał rzecz zupełnie absurdalną: – Nie jestem mordercą. To był Beka. To zawsze jest Beka. Przede wszystkim to właśnie on ponosi winę za nabicie mi głowy podobnymi pomysłami. Sam nigdy bym nawet o tym nie pomyślał. Podpisywałem listy do policji jego imieniem, żeby była jasność w tej sprawie. Oczywiście zmieniłem sposób zapisu, bo czasem nazywałem go inicjałami, jak na przykład kiedy pierwszy raz ci o nim opowiadałem. Ty możesz tego nie pamiętać, ale ja pamiętam.

Była pod wrażeniem jego obsesyjnej dbałości o szczegóły. Nic dziwnego, że go nie złapano. Gdyby nie potknęła się o ten cholerny karton...

– Żadna z nich nie jest w jakikolwiek sposób powiązana ze mną albo moją firmą. Obiema firmami. To byłoby bardzo niedobre. Bardzo niebezpieczne. Ale dużo podróżuję i mam oczy otwarte. BK... BK we mnie... również. Wypatrujemy zdzir. Łatwo je rozpoznać. Noszą za krótkie spódnice i celowo odsłaniają ramiączka od staników. Kuszą mężczyzn. Ta Stacey Moore na przykład. Jestem pewny, że o niej czytałaś. Mężatka, ale to jej nie powstrzymało od ocierania się o mnie sutkami. Pracowała jako kelnerka w kawiarni Sunnyside w Waterville. Jeździłem tam do Micklesona, do jego firmy Numizmaty, pamiętasz? Parę razy pojechałaś tam nawet ze mną, kiedy Pets uczyła się w Colby. To było, zanim jeszcze George Mickleson zmarł, a jego syn sprzedał firmę i całą kolekcję, by wyjechać do Nowej Zelandii czy gdzieś tam. Ta kobieta na mnie włożyła, Darce! Bez przerwy pytała, czy chcę, żeby podgrzała mi

kawę, i zagadywała o Red Soksów, pochylając się i ocierając sutki o moje ramię, tak bardzo się starała, żeby mi stanął. I przyznaję, udało się jej, jestem mężczyzną i mam męskie potrzeby, choć nigdy mi nie odmówiłaś... cóż, rzadko... jestem mężczyzną i mam potrzeby mężczyzny, zawsze byłem pobudliwy seksualnie. Niektóre kobiety to wyczuwają, a ja chętnie to wykorzystuję. To je kręci.

Popatrzył w zadumie na własne uda. Ale wtedy pomyślał o czymś innym i raptownie podniósł głowę. Jego przerzedzone włosy zafalowały i opadły z powrotem.

– Wieczny uśmiech! Czerwona szminka i wieczny uśmiech! Cóż, rozpoznaję takie uśmiechy. Większość mężczyzn je rozpoznaje. Ha, ha, wiem, że tego chcesz, pachniesz tym cała, ale te niewinne ocierania to wszystko, czego możesz oczekiwać, więc się z tym pogódź. Ja sobie z tym radzę. Ja sobie radzę. Ale nie BK, nie on.

Powoli pokręcił głową.

– Jest mnóstwo takich kobiet. Łatwo zdobyć ich nazwiska. Potem można namierzyć je przez Internet. Jest tam bardzo dużo informacji, jeśli się wie, jak szukać, a księgowi to wiedzą. Robiłem to... och, dziesiątki razy. Może nawet sto razy. Chyba można to uznać za hobby. Ktoś by powiedział, że zbieram informacje tak samo jak monety. Zwykle nic z tego nie wynikało. Ale czasem BK mówił: „Jej śladem chcesz wyruszyć, Bobby. Właśnie jej. Razem opracujemy plan, a kiedy przyjdzie czas, pozwolisz mi przejąć ster”. I dokładnie to robiłem.

Wziął ją za rękę i otulił jej bezwładne zimne palce własnymi.

– Myślisz pewnie, że jestem obłąkany. Widzę to w twoich oczach. Ale tak nie jest, kochanie. To BK jest wariatem... albo Beka, jeśli wolisz jego publiczne imię. A przy okazji, jeśli czytałaś te historie w gazetach, to wiesz, że celowo robiłem błędy w listach do policji. Nawet adresowałem je z błędami. Trzymam w portfelu listę tych błędów, żeby były takie same. To mylenie tropu. Chcę, żeby myśleli, że Beka jest kretynem, w każdym razie półalfabetą, i tak jest w rzeczy samej. Ale to oni są kretynami. Tylko raz mnie przesłuchiwali, zresztą jako świadka, mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak BK zabił tę Moore. Stary, kulawy dziad, pewnie tuż przed emeryturą. Prosił, żebym do niego zadzwonił, jeśli sobie coś przypomnę. Obiecałem, że zadzwonię. To było śmieszne.

Zachichotał bezgłośnie, jak robił czasami, gdy oglądali *Dwóch i pół* albo *Współczesną rodzinę*. Był to śmiech, który aż do tego wieczora nieodmiennie rozśmieszał ją jeszcze bardziej.

– Chcesz się o czymś dowiedzieć, Darce? Gdyby złapali mnie na gorącym uczynku, przyznałbym się... tak przynajmniej mi się wydaje, bo chyba nikt nie wie na sto procent, jak zachowałby się w takiej sytuacji... ale niewiele by się ode mnie dowiedzieli. Bo, prawdę mówiąc, bardzo mało pamiętam z... jakby... samych czynów. Beka to robił, a ja tak jakby... nie wiem... traciłem świadomość. Dostawałem amnezji. Czy podobnego cholerstwa.

Och, ty kłamco. Wszystko pamiętasz. Widać to w twoich oczach, a nawet w ruchach

kącików ust.

– I teraz... wszystko jest w rękach Darcellen. – Uniósł jedną z jej dłoni i pocałował po wewnętrznej stronie, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. – Pamiętasz starą puentę, która brzmi: „Mógłbym ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym cię zabić?”. Tu nie ma zastosowania. Nie mógłbym cię zabić. Wszystko, co zrobiłem... wszystko, co zbudowałem... choć chyba skromnie to wygląda dla niektórych ludzi... zrobiłem i zbudowałem dla ciebie. Dla dzieci też, oczywiście, ale przede wszystkim dla ciebie. Wszedłeś w moje życie i wiesz, co się stało?

– Przestałeś – odpowiedziała.

Wykrzywił usta w promiennym uśmiechu.

– Na ponad dwadzieścia lat!

Szesnaście, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

– Przez większość tych lat, kiedy wychowywaliśmy dzieci i szarpaliśmy się, żeby jakoś ruszyć interes z monetami. Choć tym głównie ty się zajmowałaś, a ja jeździłem po całej Nowej Anglii i rozliczałem podatki, zakładałem fundacje...

– Tylko dzięki tobie to się udawało – weszła mu w słowo, trochę zaszokowana tonem własnego głosu, spokojnym i ciepłym. – To ty znałeś odpowiedzi na wszystkie pytania.

Wydawał się tak wzruszony, że niewiele brakowało, by znowu się rozplakał, a kiedy się odezwał, głos miał zachrypnięty.

– Dziękuję, kochanie. Za te słowa od ciebie oddałbym skarby tego świata. Ocaliłaś mnie, wiesz. Na więcej niż jeden sposób.

Odchrząknął.

– Przez kilkanaście lat BK nigdy o sobie nie przypominał. Myślałem nawet, że przepadł na dobre. Naprawdę tak uważałem. Ale potem wrócił. Niczym duch. – Wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał, a potem wolno pokiwał głową. – Bo to właśnie on. Duch, zły duch. Gdy jeździłem, zaczął pokazywać mi kobiety. „Popatrz na tę, bardzo się stara, żebyś zauważył jej sutki, ale gdybyś któregoś z nich dotknął, wezwałaby policję i śmiała się z przyjaciółkami, kiedy by cię zabierali. Spójrz na tamtą, oblizuje wargi językiem, wie, że chciałbyś, by wsunęła ci go w usta, i wie, że ty wiesz, iż nigdy tego nie zrobi. Popatrz na tę, popisuje się majtkami, wysiadając z samochodu, i jeśli myślisz, że to przypadek, to jesteś idiotą. To po prostu kolejna zdzira, której się wydaje, że nie dostanie tego, na co zasługuje”.

Przerwał, znowu patrzył ponuro w dół. Miał oczy Bobby’ego, który przez dwadzieścia siedem lat skutecznie unikał jej wzroku. Tego, który próbował uchodzić za ducha.

– Kiedy zacząłem mieć takie myśli, zwalczałem je. Istnieją magazyny... pewne magazyny, kupowałem je, zanim się pobraliśmy, i myślałem, że gdybym znowu chciał to zrobić... albo określone strony w Internecie... pomyślałem, że mógłbym... sam nie wiem... zastąpić rzeczywistość fantazjami, chyba tak byś to określiła... ale kiedy raz się posmakuje, jak to jest naprawdę, wyobraźnia staje się guzik warta.

Darcy miała wrażenie, że mówił jak człowiek, który rozsmakował się w jakimś delikatesie. Kawiorze. Truflach. Belgijskich pralinkach.

– Chodzi jednak o to, że przestałem. Przestałem na wszystkie te lata. I znowu mogę przestać, Darcy. Tym razem na dobre. Jeśli będziesz mogła mi wybaczyć i po prostu zamkniesz ten rozdział. – Popatrzył na nią poważnie. Oczy miał zażawione. – Mogłabyś to zrobić?

Przypomniała sobie kobietę zakopaną w zaspie, jej gołe nogi odsłonięte przez obojętny na wszystko lemiesz pługa śnieżnego – córkę jakiejś matki, kiedyś oczko w głowie jakiegoś ojca, gdy w różowej spódnicy baletnicy tańczyła niezdarnie na szkolnym przedstawieniu. Przypomniała sobie matkę i syna znalezionych w lodowato zimnym strumieniu, ich włosy omywane ciemną, niemal zamarzną wodą. Przypomniała sobie kobietę z głową w wiadrze kukurydzy.

– Będę musiała się nad tym zastanowić – powiedziała, ważąc słowa.

Chwyił ją za ramiona i pochylił się ku niej. Zmusiła się, by go nie odepchnąć i patrzeć mu w oczy. To były jego oczy... i nie jego. Mimo wszystko może i jest coś w tej sprawie z duchem, pomyślała.

– To nie jest jeden z filmów, na których mąż psychopata goni po całym domu krzyczącą żonę. Jeśli postanowisz iść na policję i mnie wydać, nie ruszę palcem, żeby cię powstrzymać. Wiem też, że wzięłaś pod uwagę, jakie to będzie miało skutki dla naszych dzieci. Nie byłabyś kobietą, z którą się ożeniłem, gdybyś to pominęła. Pewnie nie pomyślałaś jedynie o następstwach, jakie to może mieć dla ciebie. Nikt nie uwierzy, że byłaś moją żoną przez wszystkie te lata i nic nie wiedziałaś... albo przynajmniej niczego nie podejrzewałaś. Będziesz musiała się przeprowadzić i żyć z oszczędności, jakie mamy, bo to ja zawsze zarabiałem na chleb, a trudno jest zarabiać, kiedy jest się w więzieniu. Może nie dostaniesz nawet tego, co mamy, bo będą pewnie sprawy o odszkodowania. I, rzecz jasna, dzieci...

– Przestań, nie mów o nich, kiedy mówisz o tym, nie waż się nigdy więcej.

Pokornie skinął głową, nadal trzymając ją delikatnie za przedramiona.

– Pokonałem kiedyś BK... pokonałem go na dwadzieścia lat...

Szesnaście, pomyślała ponownie. Na szesnaście lat i wiesz o tym.

– ...i znowu mogę go pokonać. Z twoją pomocą, Darcy. Z twoją pomocą mogę wszystko. A nawet gdyby wrócił za następne dwadzieścia lat, to co? Wielkie rzeczy! Będę miał siedemdziesiąt trzy lata. Trochę trudno jest polować na dziry, kiedy chodzi się z balkonikiem! – Roześmiał się wesoło z tego absurdalnego pomysłu, a potem znowu spoważniał. – Ale... posłuchaj mnie uważnie... Jeśli kiedykolwiek znowu ulegnę, nawet raz, zabiję się. Dzieci nigdy się nie dowiedzą, to nigdy ich nie dotknie... nie zostaną napiętnowane... bo upozoruję wypadek... tylko ty będziesz wiedziała. I będziesz wiedziała dlaczego. Co ty na to? Możemy zostawić tę sprawę za sobą?

Wyglądało na to, że Darcy się zastanawia. Bo rzeczywiście tak było, choć procesy

myślowe, do których się zmuszała, nie przebiegały prawdopodobnie w kierunku, który on potrafiłby zrozumieć.

Darcy myślała: Tak mówią narkomani. „Nigdy już nie wezmę tego towaru. Rzucałem już wcześniej, ale teraz rzucę to na zawsze. Naprawdę”. Tyle że wcale tak nie uważają, nawet jeśli im się wydaje, że mówią serio, to nie mówią, i z nim jest tak samo.

Darcy myślała: Co mam zrobić? Nie oszukam go, za długo jesteśmy małżeństwem.

Odpowiedzi udzielił jej chłodny głos, którego istnienia nawet w sobie nie podejrzewała, w jakiś sposób powiązany z głosem BK, szepczącym Bobowi o zdziwach zauważonych w restauracjach, śmiejących się na rogach ulic, jadących drogimi sportowymi samochodami, poszeptujących i uśmiechających się do siebie na balkonach.

A może to był głos Mroczniejszej Dziewczynki.

Dlaczego nie możesz? – pytał. W końcu... wyprowadził cię w pole.

A co potem? Nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że teraz to teraz i że właśnie teraz musi to rozstrzygnąć.

– Będziesz musiał mi przyrzec, że przestaniesz – powiedziała bardzo wolno i jakby z niechęcią. – Najświętszą dla ciebie przysięgą, że już nigdy więcej.

Jego twarz przybrała wyraz ulgi tak ogromnej – i w pewien sposób chłopięcej – że Darcy się wzruszyła. Ostatnio rzadko przypominał chłopaka, którym był kiedyś. Rzecz jasna, był to również chłopiec, który planował zabranie do szkoły broni.

– Przyrzekam, Darcy. Naprawdę. Przyrzekam. Już ci to powiedziałem.

– Chcę też, żebyśmy nigdy więcej o tym nie rozmawiali.

– Załatwione.

– I nie wyślesz policji dokumentów tej Duvall.

Dostrzegła rozczerowanie (także dziwnie chłopięce), które pojawiło się na jego twarzy, gdy to powiedziała, ale nie miała zamiaru ustępować. Bob musiał czuć się ukarany, choćby tylko trochę. Dzięki temu uwierzy, że ją przekonał. A przekonał? Och, Darcellen, przekonał?

– Sama obietnica mi nie wystarczy, Bobby. Czyny znaczą więcej niż słowa. Wykop w lesie dół i zakop w nim te dokumenty.

– Kiedy to zrobię, będziemy...

Wyciągnęła dłoń i zakryła mu usta. Włożyła sporo wysiłku w to, by jej głos zabrzmiał stanowczo.

– Ciii. Ani słowa więcej.

– W porządku. Dziękuję ci, Darcy. Bardzo dziękuję.

– Nie wiem, za co mi dziękujesz. Nic się nie stało poza tym, że wróciłeś dzień wcześniej do domu. – I choć sama myśl o położeniu się obok niego wywoływała w niej nudności i obrzydzenie, zmusiła się do dokończenia. – A teraz rozbieraj się i chodź do łóżka. Obojgu nam potrzebny jest sen.

10

Zasnął niemal w tej samej chwili, gdy dotknął głową poduszki, ale odkąd się rozległo jego miarowe, ciche pochrapywanie, Darcy długo jeszcze leżała i zastanawiała się, czy jeśli pozwoli sobie na sen, nie obudzi się z jego rękami na gardle. W końcu dzieliła łóżko z szaleńcem. Gdyby ją dodał do swoich ofiar, miałby na koncie równy tuzin.

Ale on mówił serio, pomyślała, kiedy niebo zaczęło się przejaśniać na wschodzie. Powiedział, że mnie kocha, i nie kłamał. A kiedy obiecałam, że dochowam jego tajemnicę – bo w sumie do tego się to sprowadza, do dochowania tajemnicy – uwierzył mi. Dlaczego miałby nie uwierzyć? Przekonałam niemal samą siebie.

Czy był w stanie dotrzymać obietnicy? Przecież nie wszyscy narkomani po odwyku wracają do nałogu. I choć nie chciała zatrzymać jego sekretu tylko dla siebie, czy mogłaby to zrobić dla dzieci?

Nie mogę. Nie będę milczała. Jaki mam wybór?

Jaki pieprzony wybór?

To właśnie wtedy, gdy roztrząsała ten problem, jej skołatany, zmęczony umysł poddał się ostatecznie i zasnęła.

Śniło się jej, że weszła do jadalni i zastała tam kobietę przywiązaną łańcuchami do długiego stołu. Kobieta była naga; jedynie czarny skórzany kaptur zakrywał górną połowę twarzy. Nie znam tej kobiety, jest mi zupełnie obca, pomyślała we śnie, a potem usłyszała spod kaptura głos Petry: „Czy to ty, mamoo?”.

Chciała krzyknąć, ale czasami w koszmarze sennym jest to niemożliwe.

11

Kiedy Darcy wreszcie z trudem się obudziła – z bolącą głową, zbiedzona, z wrażeniem, że ma kaca – druga połowa łóżka była pusta. Bob obrócił zegar, dzięki czemu zobaczyła, że dochodzi piętnaście po dziesiątej. Od lat nie spała tak długo, ale, rzecz jasna, nie kładła się też o świcie, poza tym jej sen wypełniały obrazy rodem z horroru.

Skorzystała z ubikacji, zdjęła podomkę z haczyka na drzwiach łazienki, a potem umyła zęby – w ustach miała nieprzyjemny smak. „Niczym dno klatki dla ptaków”, jak mawiał Bob w te rzadkie poranki, gdy poprzedniego dnia wypił dodatkowy kieliszek wina do obiadu albo drugą butelkę piwa w czasie meczu baseballowego. Wypluła pastę, zaczęła wkładać szczoteczkę do szklanki, ale zawahała się, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Tego ranka widziała tam starą kobietę, nie pięćdziesięciolatkę: o bladej skórze, głębokich zmarszczkach wokół ust, sińcach pod oczami, z włosami, które można tak potargać jedynie wtedy, gdy we śnie człowiek rzuca się na łóżku. Ale to skupiło jej uwagę tylko chwilowo, własny wygląd był ostatnią rzeczą, jaką teraz by się przejmowała. Ponad odbitym w lustrze ramieniem zerknęła

przez uchylone drzwi łazienki do ich sypialni. Tylko że teraz to nie była ich sypialnia, stała się Mroczniejszą Sypialnią. Widziała jego kapcie, ale one nie należały już do niego. Były za duże na Boba, niemal gigantyczne. Miał je Mroczniejszy Mąż. A podwójne łóżko z pomiętą pościelą? To było Mroczniejsze Łóżko. Przeniosła ponownie wzrok na kobietę z mierzwą włosów na głowie, o przekrwionych, przestraszonych oczach: Mroczniejsza Żona w całej chwale umęczenia. Miała tak samo na pierwsze imię jak Darcy, ale nie nosiła nazwiska Anderson. Mroczniejsza Żona była małżonką Briana Kelahanty'ego.

Darcy pochyliła się do przodu, aż dotknęła nosem szkła. Wstrzymała oddech i przystawiła dłonie do policzków, tak jak to robiła, gdy była dziewczynką ubraną w poplamione trawą szorty i opadające białe skarpetki. Patrzyła do chwili, gdy nie mogła już wstrzymać oddechu i wypuściła powietrze, pokrywając lustro parą. Wytarła ją ręcznikiem, a potem zeszła na dół, by stawic czoło pierwszemu dniu w roli żony mordercy.

Zostawił jej wiadomość pod cukiernicą.

Darce,

zajmę się tymi dokumentami, jak prosiłaś. Kocham Cię, skarbie.

Bob

Narysował niewielkie walentynkowe serce wokół swego imienia, a nie robił tego od lat. Poczula ogarniającą ją falę miłości do niego, równie silną i przesłodzoną jak zapach wędnących kwiatów. Miała ochotę wyc jak niektóre kobiety ze Starego Testamentu i stłumić ten dźwięk serwetą. Lodówka się włączyła i zaczęła bezlitośnie warczeć. Woda kapiała do zlewu, odliczając sekundy na porcelanie. Jej język przypominał kwaśną gąbkę wepchniętą w usta. Wyczuwała czas – cały czas, który miał nadejść, z nią w roli jego żony w tym domu – zamykający się wokół niej niczym kaftan bezpieczeństwa. Albo trumna. To był świat, w którego istnienie wierzyła w dzieciństwie. Był tam przez cały czas. Czekał na nią.

Lodówka warczała, woda kapiała do zlewu, bolesne sekundy mijały. To było Mroczniejsze Życie, gdzie każda prawda jest napisana na wspak.

12

W latach gdy Donnie grał na pozycji między drugą i trzecią bazą w drużynie Cavendish Hardware, Bob trenował małą ligę (również z Vinniem Eschlerem, mistrzem dowcipów o Polakach i uścisków typu „niedźwiedź”) i Darcy nadal pamiętała, co powiedział małym zawodnikom po przegranym finałowym meczu turnieju Dziewiętnastego Okręgu. To działo się w 1997 roku, prawdopodobnie na miesiąc przedtem, zanim zamordował Stacey Moore i wepchnął jej głowę do kubła z kukurydzą. Przemowa, jaką wygłosił mażącym się,

pociągającym nosami chłopcom, była krótka, mądra i (uważała tak wtedy i uważa teraz, po trzynastu latach) niewiarygodnie życzliwa.

„Wiem, chłopcy, jak fatalnie się czujecie, ale słońce i tak wszędzie jutro normalnie. A kiedy to się stanie, poczujecie się lepiej. Kiedy słońce wszędzie pojutrze, będzie jeszcze trochę lepiej. To była po prostu część waszego życia, ale już minęła. Wolelibyście wygrać, ale tak czy siak to już za nami. Życie toczy się dalej”.

Podobnie jak po jej fatalnej wyprawie do garażu. Kiedy pierwszego dnia Bob wrócił z pracy do domu (nie mogła nawet znieść myśli o wyjściu na zewnątrz, bała się, że to, co wie, jest wypisane na jej czole drukowanymi literami), powiedział:

– Kochanie, jeśli chodzi o wczorajszą noc...

– Nic się nie stało wczorajszej nocy. Wróciłeś wcześniej, i tyle.

Opuścił głowę w typowy dla siebie chłopięcy sposób, a gdy uniósł ją ponownie, jego twarz rozjaśniał szeroki, pełen wdzięczności uśmiech.

– W takim razie to świetnie – powiedział Bob. – Sprawa jest zamknięta?

– Na cztery spusty.

Rozłożył ramiona.

– Daj nam buziaka, ślicznotko.

Tak zrobiła, zastanawiając się, czy pocałowała ich obu.

Wyobrażała sobie, że mówił: „Dobrze się postaraj, użyj tego kulturalnego języka, jakim zwykle się posługujesz, a ja cię nie tknę. Włóż w to trochę swojego wyniosłego serca”.

Trzymał ją na odległość ramion, dłonie położył jej na barkach.

– Nadal przyjaciele?

– Nadal przyjaciele.

– Na pewno?

– Tak. Niczego nie ugotowałam i nie wyszłam nawet z domu. Przebierz się w jakieś łachy i skocz po pizzę.

– Jasne.

– I nie zapomnij wziąć leków.

Spojrzał na nią z promiennym uśmiechem.

– Masz to jak w banku.

Patrzyła, jak zbiegał po schodach, i pomyślała, że mogłaby powiedzieć: „Nie rób tego, Bobby, nie wystawiaj serca na takie próby”.

Ale nie powiedziała.

Nie.

Niech je sprawdza, jak i kiedy chce.

Słońce wzeszło następnego dnia. I kolejnego. Minął tydzień, potem drugi, potem miesiąc. Powoli i po trochu wracali do dawnego życia, drobnych nawyków starego małżeństwa. Ona myła zęby, kiedy on brał prysznic (zwykle śpiewając jakiś przebój z lat osiemdziesiątych, bez fałszowania, ale głosem niezbyt melodyjnym), jednak nie robiła już tego nago, jak wcześniej, gdy zaraz po jego wyjściu spod prysznicza sama tam wchodziła; teraz czekała z myciem, aż on pójdzie do pracy. Jeśli Bob zauważył tę nieznaczną zmianę w jej codziennej rutynie, nie wspominał o tym słowem. Zaczęła znowu chodzić na spotkania klubu czytelników, gdzie powiedziała pozostałym paniom i dwóm dżentelmenom emerytom, którzy do niego należeli, że przeziębila się przy złej pogodzie i nie chciała dzielić się wirusem przy okazji dzielenia się opinią o nowej książce Barbary Kingsolver, na co wszyscy zaśmiali się uprzejmie. Tydzień później ponownie odwiedziła także kółko miłośniczek szydełkowania. Czasami, gdy wróciła z poczty lub sklepu spożywczego, łapała się na tym, że śpiewa razem z radiem. Wieczorami oglądali z Bobem telewizję – zawsze były to komedie, nigdy kryminały. Bob wracał teraz wcześniej do domu. Od wyjazdu do Montpelier nie brał żadnych delegacji. Zainstalował sobie na komputerze Skype'a; twierdził, że może dzięki niemu bez trudu oglądać kolekcje numizmatyczne, oszczędzając na benzynie. Nie dodał – bo nie musiał – że uchroni go to również przed pokusami. Darcy przeglądała gazety, sprawdzając, czy nie zostały przysłane na policję dokumenty tożsamości Marjorie Duvall. Wiedziała, że jeśli okłamałby ją w tej sprawie, okłamałby też we wszystkich innych. Ale tak się nie stało. Raz w tygodniu wychodzili na obiad do jednej z dwóch niedrogich restauracji w Yarmouth. On zamawiał stek, ona rybę. On pił mrożoną herbatę, ona żurawinową bryzę. Starych nawyków trudno się pozbyć. Często, jak uważała, umierają dopiero z nami.

W ciągu dnia, gdy on przesiadywał w pracy, rzadko włączała teraz telewizor. Kiedy był wyłączony, lepiej słyszała lodówkę oraz ciche trzaski i stęknięcia ich ładnego domu w Yarmouth, reagującego na zbliżającą się kolejną zimę w Maine. I łatwiej się jej myślało. Łatwiej stawiała czoło prawdzie: on zrobi to ponownie. Będzie się powstrzymywał, jak długo da radę – chętnie mu to przyznawała, ale wcześniej czy później Beka przejmie kontrolę. Uznając, że może łatwo ją oszukać, Bob nie wysłał dokumentów następnej kobiety na policję, lecz prawdopodobnie niespecjalnie będzie się przejmował, czy ona dostrzeże jakieś zmiany w jego zachowaniu.

Bo – będzie dowodził – teraz jest w to wciągnięta. Musiałaby się przyznać, że wiedziała. Gliniarze to z niej wyciągną, nawet gdyby chciała to przed nimi ukryć.

Donnie zadzwonił z Ohio. Interes świetnie się rozkręcał, trafił im się producent artykułów biurowych, który mógł się zdecydować na kampanię w całym kraju. Darcy zawołała „hura!” (podobnie jak Bob, który z radością przyznał, że się pomylił w ocenie szans powodzenia Donniego w tak młodym wieku). Zadzwoniła Petra i niepewnym głosem powiedziała, że zdecydowała się na niebieskie sukienki dla druzhen, rozkloszowane, do kolan, z pasującymi do nich szyfonowymi szalami. Chciała wiedzieć, czy będą dobre, czy też może zbyt dziecinne?

Darcy odpowiedziała, że jej zdaniem będą wyglądały uroczo, a potem obie dyskutowały o butach – mówiąc ściśle, o niebieskich czółenkach na płaskim obcasie. Matka Darcy, mieszkająca w Boca Grande, rozchorowała się i wyglądało na to, że może być zabrana do szpitala, ale zaczęto podawać jej jakiś nowy lek i wróciła do zdrowia. Słońce wschodziło i zachodziło. Papierowe dynie na wystawach sklepowych zniknęły, zastąpione przez papierowe indyki. W Nowym Jorku odbyła się parada z mnóstwem wielkich balonów, które były karykaturami znanych ludzi – razem z Bobem oglądali jej fragmenty w telewizji. Dekoracje na Święto Dziękczynienia zdjęto z witryn sklepowych i zamieniono na bożonarodzeniowe. Spadł pierwszy śnieg, tak jak się tego spodziewano.

Tymczasem Darcy po wyjściu męża do pracy chodziła z pokoju do pokoju i zatrzymywała się, żeby patrzeć w najróżniejsze lustra. Nierzadko przez długi czas. Pytała kobiety z innego świata o to, co powinna zrobić.

Coraz częściej słyszała w odpowiedzi, że nie powinna robić niczego.

14

W dzień nietypowo ciepły jak na tę porę roku, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, Bob wrócił do domu wczesnym popołudniem i od progu zaczął wołać jej imię. Darcy była na górze, leżała na łóżku i czytała. Rzuciła książkę na szafkę nocną (obok lusterka w oprawce z rączką, które od jakiegoś czasu było tam na stałe), wstała i zbiegła po schodach do holu. W pierwszej chwili pomyślała (z przerażeniem połączonym z ulgą), że to nareszcie koniec. Ustalono sprawcę. Policja wkrótce tu będzie. Zabiorą go, a potem wrócą, żeby zadać jej stare jak świat pytania: ile wiedziała i kiedy się dowiedziała? Na ulicy zaparkują furgonetki kanałów informacyjnych. Młodzi mężczyźni i kobiety o ładnych włosach będą nadawać relacje sprzed jej domu.

Ale w głosie Boba nie było strachu. Wiedziała o tym, zanim nawet doszedł do stóp schodów i podniósł wzrok, żeby na nią spojrzeć. To było podniecenie. Może nawet wielka radość.

– Bob? Co...

– Nigdy w to nie uwierzysz!

Płaszcz miał rozpięty, twarz zarumienioną aż do czoła, a reszta włosów, jaka mu pozostała, była potargana. Można by pomyśleć, że jechał do domu samochodem z pootwieranymi oknami. Biorąc pod uwagę jego zachowanie, Darcy uznała, że to niewykluczone.

Zeszła ostrożnie i stanęła na pierwszym stopniu, wskutek czego znaleźli się oko w oko.

– Powiedz mi.

– Zdumiewające szczęście! Naprawdę! Gdybym kiedykolwiek potrzebował znaku, że idę

w dobrym kierunku... że my idziemy w dobrym kierunku... to byłoby właśnie to! – Uniósł obie dłonie. Były zamknięte w pięści. Oczy miał błyszczące. Niemal promieniały. – Która ręka? Wybieraj.

– Bob, nie chcę się bawić w...

– Wybieraj!

Wskazała jego prawą rękę, żeby mieć to już za sobą. Roześmiał się.

– Czytasz mi w myślach... ale to zawsze potrafiłaś, prawda?

Obrócił i otworzył pięść. Na jego dłoni leżała moneta, rewersem do góry, dzięki czemu Darcy się zorientowała, że to centówka z kłosami pszenicy. Na pewno z normalnego obiegu, niemniej nadal świetnie wyglądała. Zakładając, że na stronie z Lincolnem nie ma zadrapań, pomyślała, że jej stan można określić jako dostateczny lub dobry. Sięgnęła po nią, ale wstrzymała dłoń. Skinieniem głowy zachęcał, żeby kontynuowała. Obróciła monetę, pewna tego, co zobaczy. Nic innego nie mogłoby uzasadniać jego podekscytowania. Było tak, jak się spodziewała: 1955 rok z podwójną datą. Zdwojenie stempla, jak nazywają to numizmatycy.

– Dobry Boże, Bobby! Gdzie...? Jak ją kupiłeś?

Jednocentówka w stanie menniczym z 1955 roku ze zdwojeniem stempla poszła ostatnio na aukcji w Miami za ponad osiem tysięcy dolarów, ustanawiając nowy rekord. Ta nie była tak dobrze zachowana, ale żaden handlarz numizmatyków, jeśli miał odrobinę rozumu, nie puściłby jej za mniej niż cztery.

– Boże, nie! Jeden z kumpli zaprosił mnie na lunch do tajskiej knajpy i niewiele brakowało, żebym tam poszedł, ale męczyłem się nad rozliczeniem cholernego Vision Associates... wiesz, tego prywatnego banku, o którym ci opowiadałem... dlatego dałem Monice dziesięć dolców i poprosiłem, żeby kupiła mi kanapkę i sok w Subwayu. Przyniosła mi to i resztę, którą wrzuciła do torby. Wytrząsałem monety i... oto co znalazłem! – Wyjął centówkę z jej palców i roześmiany trzymał ją nad głową.

Darcy śmiała się razem z nim, a potem pomyślała (jak często się jej zdarzało w tych dniach): Nie cierpiał.

– Czy to nie wspaniałe, kochanie?

– Tak – odpowiedziała. – Cieszę się twoim szczęściem.

I czy to dziwne, czy nie (zboczone czy nie), naprawdę się cieszyła. Przez lata pośredniczył w sprzedaży kilku takich monet i mógł ją sobie kupić, kiedy tylko miałby na to ochotę, ale to nie było to samo, co przypadkowo natknąć się na taki okaz. Zabronił jej nawet kupienia mu takiej centówki na gwiazdkę lub urodziny. Niezamierzone wejście w posiadanie czegoś takiego to dla kolekcjonera najcudowniejsza chwila, co jej powiedział podczas ich pierwszej prawdziwej rozmowy, a teraz miał w ręku to, czego szukał, sprawdzając garście bilonu przez całe życie. Najbardziej pożądany przedmiot wypadł z białej papierowej torby razem z kanapką z tuńczykiem i bekonem.

Uściskał Darcy, a ona oddała mu uścisk. Potem lekko go odepchnęła.

– Co z nią zrobisz, Bobby? Zatopisz w szkle?

Drażniła się z nim i on o tym wiedział. Zrobił z palców pistolet i strzelił jej w głowę. Nie przejęła się tym, bo kiedy ktoś do ciebie strzela z pistoletu zrobionego z palców, „nie cierpisz”.

Nie przestawała się do niego uśmiechać, ale teraz widziała go znowu (po tym krótkim zrywku miłości) w prawdziwej postaci: Gollum ze swoim Jedynym Pierścieniem.

– Wiesz dobrze. Zrobię jej zdjęcie, powieszę je na ścianie, a monetę włożę do sejfów w banku. Twoim zdaniem ma stan dobry czy dostateczny?

Ponownie obejrzała centa, a później spojrzała na męża ze smutnym uśmiechem.

– Chciałabym powiedzieć, że dobry, ale...

– Tak, wiem, wiem, i nie powinienem się tym przejmować. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, ale trudno się oprzeć. Więcej niż dobry, prawda? Szczerze, Darcy.

Szczerze to uważam, że znowu to zrobisz.

– Więcej niż dobry, definitywnie.

Uśmiech zniknął mu z twarzy. Przez chwilę myślała, że Bob zorientował się, co zaprzęta jej głowę, ale powinna być bardziej pewna siebie. Po tej stronie lustra ona również mogła mieć sekrety.

– I tak nie chodzi o jakość. Chodzi o znalezisko. Nie kupienie jej z katalogu albo od handlarza, ale znalezienie, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Gdyby mój ojciec był tu teraz, otworzyłby szampana.

– Zadbam o ten szczegół przy dzisiejszym obiedzie – powiedział. – I nie w Yarmouth. Pojedziemy do Portlandu. Do Pearl of the Shore. Co ty na to?

– Och, kochanie, sama nie wiem...

Ujął ją lekko za ramiona, jak zawsze, gdy chciał, by zrozumiała, że na czymś naprawdę mu zależy.

– Daj spokój... wieczorem będzie wystarczająco ciepło, żebyś mogła się ubrać w najładniejszą letnią sukienkę. Kiedy jechałem do domu, słyszałem w radiu zapowiedź pogody. I zamówię tyle szampana, ile dasz radę wypić. Jak możesz odrzucać taką propozycję?

– Cóż... – Zastanawiała się chwilę, a potem uśmiechnęła. – Chyba nie mogę.

15

Zamówili nie jedną ale dwie butelki drogiego szampana Moet et Chandon, z czego większość wypił Bob. W rezultacie to Darcy odwiozła ich do domu jego cicho warkoczącą niewielką toyotą podczas gdy Bob na siedzeniu pasażera śpiewał *Pennies from Heaven* czystym, choć nieszczególnie melodyjnym głosem. Zdała sobie sprawę, że jest pijany. Nie

zalany, ale po prostu pijany. W takim stanie widziała go po raz pierwszy od dziesięciu lat. Zwykle bardzo się pilnował i czasami, gdy na jakimś przyjęciu ktoś go pytał, dlaczego nie pije, odpowiadał cytatem z *Prawdziwego męstwa*: „Nie wpuszczę złodzieja do ust, żeby mi ukradł rozum”. Tego wieczoru, podekscytowany znalezieniem monety ze zdwojeniem stempla, pozwolił sobie ukraść rozum, a w chwili gdy zamawiał drugą butelkę z bąbelkami, Darcy wiedziała już, co robi. W restauracji nie była przekonana, czy sobie poradzi, ale słuchając go teraz w drodze do domu, nabrała pewności. Oczywiście, że może tego dokonać. Była teraz Mroczniejszą Żoną a Mroczniejsza Żona wiedziała, że to, co on brał za swój uśmiech losu, przeznaczone było dla niej.

16

Wysiadłszy z samochodu, Bob rzucił sportową kurtkę na drzewo przy drzwiach, wziął Darcy w ramiona i długo całował. Jego usta smakowały szampanem i słodkim kremem karmelowym. Nie było to złe połączenie, choć wiedziała, że jeżeli sprawy przybiorą obrót, jakiego nie mogła wykluczyć, nie tknie już nigdy jednego ani drugiego. Jego dłonie powędrowały na jej piersi. Pozwalała mu na to, czując jego bliskość, ale zaraz potem go odepchnęła. Wyglądał na rozczarowanego, ale pojaśniał, kiedy obdarzyła go uśmiechem.

– Idę na górę zdjąć sukienkę – powiedziała. – W lodówce jest perrier. Jeśli przyniesiesz mi szklankę, z kawałeczkiem limonki, może ci się poszczęści, przystojniaku.

Uśmiechnął się szeroko na te słowa – dawnym, kochanym uśmiechem. Tak się bowiem składało, że jeden z ustalonych rytuałów małżeńskich nie był odprawiany od chwili, gdy on wywęszył, co odkryła (tak, wywęszył, jak stary mądry wilk wywęszy zatrutą przynętę), i pośpieszył z Montpellier do domu. Dzień po dniu odgradzali się od tego, kim był Bob – tak, równie pewnie jak Montresor, który zamurował swego starego przyjaciela Fortunata – i seks w małżeńskim łóżu miał być ostatnią cegłą.

Stuknął piętami i zasalutował jej po angielsku, przykładając dłoń do czoła.

– Tak jest, proszę pani.

– I nie guzdraj się – powiedziała miło. – Mama chce, czego chce.

Idąc na górę po schodach, myślała: To nie ma szans. Zyskasz jedynie tyle, że cię zabije. Mówił, że nie mógłby tego zrobić, ale moim zdaniem zrobiłby to.

Może jednak będzie dobrze. Trzeba pamiętać, że nie skrzywdził jej na początku, choć ucierpiało przez niego tyle kobiet. A nuż znajdzie się jakieś rozwiązanie. Nie chciała spędzić reszty życia na patrzeniu w lustro. Nie była już dzieckiem i nie mogła się wymawiać dziecięcym wariactwem.

Weszła do sypialni, ale jedynie po to, żeby rzucić torebkę na szafkę nocą z lusterkiem. Potem zawołała:

– Idziesz, Bobby?! Potrzebne mi te bąbelki!

– Już pędzę, proszę pani, właśnie nalewam je do szklanki z lodem!

Wyłonił się z salonu i ruszył holem, trzymając jedną z ich kryształowych szklanek na wysokości oczu, niczym kelner z komedii, i lekko się kołysząc, gdy podchodził do schodów. Wspinając się po nich, nadal dzierżył szklankę w górze. Plasterek limonki obijał się o jej brzegi. Wolną ręką Bob chwycił się balustrady, twarz jaśniała mu szczęściem i dobrym humorem. Przez chwilę jej wola osłabła, ale potem oczami wyobraźni zobaczyła diabelnie wyraźny obraz Helen i Roberta Shaverstone'ów: syna i jego wykorzystanej seksualnie, okaleczonej matki, unoszących się w strumieniu o zamarzających brzegach, gdzieś w Massachusetts.

– Szklanka wody Perrier dla damy, już biegnę, och...

Zobaczyła, że w ostatniej sekundzie się zorientował, w jego oczach pojawiło się coś pradawnego, żółtego. To było coś więcej niż zaskoczenie, to była furia szoku. W tym momencie zrozumiała go do końca. Niczego nie kochał, przynajmniej w niej. Każda uprzejmość, pieszczota, gest troskliwości – były jedynie kamuflażem. Był jak skorupa. W środku ziało jedynie pustką.

Pchnęła go.

Było to mocne pchnięcie. Zrobił trzy czwarte salta ponad schodami, zanim spadł, najpierw na kolana, potem na jedno ramię i ostatecznie całym ciałem, twarzą w dół. Słyszała, jak łamie mu się ręka. Ciężka kryształowa szklanka rozbiła się na stopniu niepokrytym wykładziną. Obrócił się, coś jeszcze pękło w nim z trzaskiem. Krzycząc z bólu, poturlał się ostatni raz, po czym spadł na parkiet holu niczym worek. Złamana ręka (nie w jednym, ale w kilku miejscach) leżała nad jego głową pod kątem, jakiego w naturze nigdy się nie widuje. Głowę miał wykręconą, z jednym policzkiem na podłodze.

Darcy zbiegła po schodach. W którymś momencie nadepnęła na kostkę lodu, poślizgnęła się i musiała przytrzymać balustrady, żeby nie spaść. Już na dole dostrzegła wielkie wyrzucenie sterczące z jego karku, z pobielającą skórą.

– Nie ruszaj się, Bob – powiedziała. – Myślę, że masz złamany kark.

Przewrócił oczami, żeby na nią spojrzeć. Krew leciała mu z nosa – który również wyglądał na złamany – a jeszcze więcej ciekło jej z ust. Niemal tryskała.

– Popchnęłaś mnie – powiedział. – Och, Darcy, dlaczego mnie popchnęłaś?

– Nie wiem – odparła, myśląc: Oboje wiemy. Zaczęła płakać. Łzy pojawiły się w naturalny sposób, był w końcu jej mężem i był ciężko ranny. – Och, Boże, nie wiem. Coś mnie opętało. Przepraszam. Nie ruszaj się, zadzwonię po pogotowie.

Jego stopy poruszyły się na podłodze.

– Nie jestem sparaliżowany – odezwał się. – Dzięki Bogu i za to. Ależ boli.

– Wiem, kochanie.

– Wezwij pogotowie! Szybko!

Poszła do kuchni, zerknęła na słuchawkę w ładowarce, a potem otworzyła szafkę pod zlewem.

– Halo? Halo? Czy to pogotowie? – Wyjęła pudełko plastikowych toreb, których używała na odpadki, kiedy jedli kurczaka albo pieczeń wołową, i wyciągnęła jedną. – Mówi Darcellen Anderson, dzwonię z Sugar Mill Lane dwadzieścia cztery w Yarmouth! Zrozumiała pani?

Z drugiej szuflady wzięła z wierzchu stosu ściereczkę do talerzy. Nadal płakała. „Łzy jak groch”, mówili, gdy byli jeszcze dziećmi. Ale płacz był dobry. Potrzebowała płaczu, nie tylko dlatego, że później będzie to lepiej wyglądało. Był jej mężem, zranił się, musiała płakać. Przypomniała go sobie, gdy jeszcze nie zaczął łysieć. Przypomniała sobie jego szpanerskie ruchy, gdy tańczył do *Footloose*. Każdego roku kupował jej róże na urodziny. Nigdy o nich nie zapomniał. Pojechali kiedyś na Bermudy, gdzie rankami jeździli na rowerach, a popołudniami się kochali. Zbudowali razem wspólne życie i teraz to życie się skończyło, więc płakała. Owinęła ścierką rękę i wsunęła ją w plastikową torebkę.

– Proszę przysłać karetkę, mąż spadł ze schodów. Wydaje mi się, że ma złamany kark. Tak! Tak! Od razu!

Wróciła do holu, prawą dłoń chowając za plecami. Spozregła, że odczołgał się kawałek od schodów i najprawdopodobniej usiłował przewrócić się na plecy, ale mu się to nie udało. Ukłękła przy nim.

– Nie spadłem – powiedział. – Popchnęłaś mnie. Dlaczego mnie popchnęłaś?

– Chyba z powodu chłopca Shaverstone’ów – odpowiedziała i wyciągnęła rękę zza pleców. Płakała głośno, bardziej niż kiedykolwiek. Bob zauważył plastikową torebkę. Zauważył w niej dłoń owiniętą ścierką. Domyślił się, co zamierzała. Niewykluczone, że sam zrobił coś takiego. Prawdopodobnie tak.

Zaczął krzyczeć... tyle że jego krzyk wcale nie był krzykiem. Usta wypełniała mu krew, coś pękło mu w krtani i dźwięk, który się z niej wydobył, bardziej przypominał gardłowy charkot niż krzyk. Wepchnęła mu plastikową torebkę między wargi, a potem docisnęła ją głębiej. Przy upadku złamał sobie kilka zębów, czuła sterczące kikuty. Jeśli zadrapałaby o nie skórę, czekałoby ją potem trudne wyjaśnienie tego faktu.

Wyrwała rękę, zanim zdążył ją ugryźć, lecz zostawiła mu w ustach torebkę ze ścierką. Chwyciła go za szczękę i brodę. Drugą rękę położyła na jego łysiejącej głowie. Miał tam bardzo gorącą skórę. Czuła pulsowanie jego krwi. Zakneblowała go torebką ze ścierką. Próbował się od niej uwolnić, ale miał tylko jedną wolną rękę i to właśnie ją połamał przy upadku. Druga utknęła wykręcona pod jego ciałem. Uderzał spazmatycznie stopami o podłogę, zrzucając jeden z butów. Gulgotał. Darcy podciągnęła sukienkę do pasa, uwalniając nogi, a potem skoczyła, by usiąść na nim okrakiem. Gdyby się jej to udało, może zdołałaby zatkać mu nozdrza.

Zanim jednak spróbowała, jego pierś zaczęła się pod nią unosić, a gulgot przeszedł w głębokie charczenie, dobywające się z gardła. Odgłos przypominał jej zgrzyt skrzyni biegów,

gdy uczyła się jeździć i czasami nie od razu udawało się jej wrzucić dwójkę, bo nie było to łatwe w starym chevrolecie ojca. Bob szarpnął się pod nią. Jedno jego oko, które widziała, wychodziło z orbity i kojarzyło się jej z okiem krowy. Twarz, która wcześniej była czerwona, teraz siniała. Uspokoił się. Darcy czekała, ciężko dysząc, na twarzy miała łzy i smarki. Jego oko już się nie poruszało, nie widać w nim było błysku paniki. Pomyślała, że um...

Bob zdobył się na ostatni, tytaniczny wysiłek i szarpnął ciałem, zrzucając ją z siebie. Usiadł, a ona przekonała się, że jego tors już nie pasuje dokładnie do dolnej części ciała; wyglądało na to, że złamał nie tylko kark, ale i kręgosłup. Usta zakneblowane torebką rozwarły się. Wbił w nią wzrok. Wiedziała, że tego spojrzenia nigdy nie zapomni... choć da się z nim żyć, jeśli jakoś przez to przebrnie.

– Dar! Arrrrrr!

Upadł do tyłu. Głowa, uderzając o podłogę, wydała odgłos przypominający pęknięcie skorupki jajka. Darcy podczołgała się bliżej do niego, lecz nie na tyle, żeby się pobrudzić. Miała oczywiście na sobie jego krew i to było dobre – próbowała mu pomóc w naturalnym odruchu – ale to nie oznaczało, że chciała się w niej tarzać. Usiadła wsparta na jednej ręce i patrzyła na niego, odzyskując oddech. Patrzyła, żeby się przekonać, czy się poruszy. Leżał nieruchomo. Kiedy minęło pięć minut, co sprawdziła na niewielkim zegarku ozdobionym szlachetnymi kamieniami, który miała na ręce – zawsze go zakładała, gdy wychodzili na obiad poza domem – dotknęła jego szyi, szukając pulsu. Trzymała palce na skórze Boba, aż doliczyła do trzydziestu, niczego nie wyczuwając. Przytknęła ucho do jego piersi, wiedząc, że w tej właśnie chwili Bob może się ocknąć i ją złapać. Nie wrócił jednak do życia, bo nie było już w nim życia: serce nie biło, płuca nie oddychały. Było po wszystkim. Nie czuła żadnej satysfakcji (nie wspominając o triumfie), jedynie determinację, by odpowiednio zakończyć sprawę. Częściowo dla samej siebie, najbardziej jednak dla Donniego i Pets.

Pośpieszyła do kuchni. Muszą wiedzieć, że zadzwoniła najszybciej, jak mogła. Jeśli stwierdzą, że zrobiła to z opóźnieniem (jeżeli na przykład jego krew zdąży zbyt mocno zakrzepnąć), mogą paść niewygodne pytania.

W razie czego powiem, że zemdlałam, pomyślała. Uwierzą w to, a nawet jeśli nie, nie będą mogli tego podważyć. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Wzięła latarkę ze spiżarni, podobnie jak wtedy, gdy dosłownie natknęła się na jego tajemnicę. Wróciła do miejsca, gdzie leżał wpatrzony w sufit szklistymi oczami. Wyciągnęła mu z ust plastikową torebkę i obejrzała ją z niepokojem. Była porwana... to mogło oznaczać problemy... na dodatek w dwóch miejscach. Poświeciła mu latarką w usta i zauważyła na języku niewielki fragment plastiku. Wyjęła go końcami palców i włożyła do torebki.

Wystarczy, już wystarczy, Darcellen.

Ale nie wystarczyło. Docisnęła mu policzki palcami, najpierw prawy, potem lewy. Po lewej stronie znalazła kolejny kawałek plastiku, przylepiony do dziąsła. Wzięła go i wsunęła do torebki, gdzie był już poprzedni. Czy zostały jeszcze jakieś strzępy? Połknął je? Jeśli tak,

to znajdowały się poza jej zasięgiem i mogła tylko się modlić, by ich nie odnalazł ktoś inny – nie wiedziała kto – jeśli pojawiłyby się wątpliwości i zarządzono by sekcję zwłok.

Czas uciekał.

Szybko przeszła zadaszonym przejściem do garażu, ale nie biegła. Wczołgała się pod warsztat, otworzyła skrytkę i wrzuciła tam pokrwawioną plastikową torebkę ze ścierką w środku. Potem skrytkę zamknęła i zastawiła ją pudłem z katalogami. Kiedy wróciła do kuchni, odłożyła latarkę na miejsce. Podniosła słuchawkę telefonu, lecz po chwili się zorientowała, że nie może zadzwonić, bo przestała płakać. Poszła do salonu i popatrzyła na niego. Skupiła się na różach, ale to też nie przyniosło efektu. Każdy drań ucieka się w ostateczności do róż, pomyślała i przeżyła szok, słysząc własny śmiech. A potem przypomniała sobie Donniego i Petrę, którzy tak idealizowali ojca, i to okazało się dobrym pomysłem. Płacząc, wróciła do kuchni i zadzwoniła na pogotowie.

– Halo, nazywam się Darcellen Anderson, potrzebna jest karetka na...

– Trochę wolniej, proszę pani – odpowiedziała dyspozytorka. – Nie mogę pani zrozumieć.

To dobrze, pomyślała Darcy. Odchrząknęła.

– Teraz lepiej? Rozumie mnie pani?

– Tak, proszę pani. Proszę zachować spokój. Mówiła pani, że potrzebna jest karetka?

– Tak, na Sugar Mill Lane dwadzieścia cztery.

– Coś się pani stało?

– Nie mnie, mojemu mężowi. Spadł ze schodów. Może tylko stracił przytomność, ale boję się, że nie żyje.

Dyspozytorka powiedziała, że natychmiast wysyła ambulans. Darcy domyśliła się, że pewnie przyśle też radiowóz policyjny z Yarmouth. I radiowóz policji stanowej, jeśli jakiś akurat znajdował się w pobliżu – miała jednak nadzieję, że nie będzie żadnego. Przeszła do holu i usiadła na ławie, ale długo nie wytrzymała. Jego oczy wpatrywały się w nią. Oskarżycielsko.

Wzięła jego sportową kurtkę, owinęła się nią i wyszła przed dom, by tam poczekać na karetkę.

17

Policjantem, który ją przesłuchiwał, okazał się Harold Shrewsbury z miejscowego posterunku. Darcy widziała go po raz pierwszy, ale tak się składało, że знаła jego żonę – Arlene Shrewsbury należała do kółka miłośniczek szydełkowania. Rozmawiali w kuchni, podczas gdy ekipa medyczna najpierw zbadała, a później wyniosła ciało Boba, nie wiedząc, że jest w nim jeszcze jeden trup. Facet znacznie niebezpieczniejszy od Roberta Andersona,

biegłego księgowego.

– Napije się pan kawy? To żaden kłopot.

Policjant popatrzył na jej drżące ręce i odpowiedział, że chętnie przygotuje ją dla nich obojga.

– Bardzo dobrze radzę sobie w kuchni – dodał.

– Arlene nigdy o tym nie wspominała – powiedziała Darcy, gdy wstawał.

Zostawił otwarty notes na kuchennym stole. Do tej pory niczego w nim nie zapisał oprócz jej imienia i nazwiska, imienia i nazwiska Boba oraz ich adresu i numeru telefonu. Pomyślała, że to dobry znak.

– Jasne, woli ukrywać moje talenty pod korcem – odrzekł. – Pani Anderson... Darcy... bardzo pani współczuję z powodu tej straty i jestem pewny, że Arlene powiedziałaaby pani to samo.

Ponownie zaczęła płakać. Funkcjonariusz Shrewsbury podał jej kilka papierowych ręczników, które oddał z rolki.

– Mocniejsze od chusteczek higienicznych.

– Ma pan w tym doświadczenie – powiedziała.

Zanim włączył ekspres, sprawdził, czy kawa i woda są w środku.

– Większe, niżbym chciał. – Ponownie usiadł przy stole. – Czy może mi pani powiedzieć, co się stało? Da pani radę?

Opowiedziała mu, jak Bob znalazł w bilonie, który dostał jako resztę z Subwayu, centówkę ze zdwojeniem datowania i bardzo był tym podekscytowany. O uroczystym obiedzie w Pearl of the Shore, gdzie za dużo wypił. O tym, jak się wygłupiał (wspomniała o brytyjskim salucie, który wykonał, gdy poprosiła go o szklankę perriera z limonką). Jak szedł po schodach, trzymając szklankę wysoko w górze niczym kelner. I jak znalazł się już u szczytu schodów, kiedy się potknął. Dodała, że gdy biegła mu na pomoc, sama niemal podzieliła jego los, poślizgnąwszy się na kostce lodu, która wypadła ze szklanki.

Shrewsbury naskrobał coś w notesie, a potem zamknął go jednym ruchem i popatrzył na nią spokojnie.

– W porządku. Chcę, żeby pani ze mną poszła. Proszę wziąć płaszcz.

– Co? Gdzie?

Do więzienia, to pewne. Nie mijasz „startu”, nie dostajesz dwustu dolarów, idziesz prosto do więzienia. Bob wykręcił się od niemal tuzina morderstw, a jej nie uda się wywinąć od jednego (rzecz jasna, on swoje planował z typową dla księgowego dbałością o szczegóły). Nie wiedziała, co zrobiła źle, ale pewnie się okaże, że to coś oczywistego. Funkcjonariusz Shrewsbury powie jej o tym w drodze na posterunek. Będzie to przypominało ostatni rozdział jednej z książek Elizabeth George.

– Do mnie do domu – odpowiedział. – Zostanie pani na tę noc ze mną i Arlene.

Wpatrywała się w niego.

– Ja nie... ja nie mogę...

– Może pani – powiedział. – Arlene by mnie zabiła, gdybym zostawił tu panią samą. Chce pani odpowiadać za moją śmierć?

Otarła łzy z twarzy i uśmiechnęła się słabo.

– Nie, chyba nie. Ale... panie Shrewsbury...

– Harry.

– Muszę zadzwonić. Moje dzieci... jeszcze o niczym nie wiedzą. – Myśl o tym wywołała nowe łzy. Osuszyła je ostatnim kawałkiem papierowego ręcznika. Kto by przypuszczał, że człowiek ma w sobie tyle łez? Nie tknęła dotąd swojej kawy, ale teraz wypila połowę kubka trzema dużymi łykami, mimo że była nadal gorąca.

– Myślę, że wytrzymamy jakoś koszt kilku zamiejscowych połączeń – powiedział Harry Shrewsbury. – Niech pani posłucha. Czy ma pani coś, co mogłaby pani wziąć? Cokolwiek, wie pani, na uspokojenie?

– Nic takiego nie mam. Jedynie proszki nasenne.

– W takim razie Arlene da pani tabletkę valium – powiedział. – Powinna pani zażyć co najmniej jedną na pół godziny przed jakimkolwiek stresującym telefonem. Tymczasem dam jej znać, że przyjedziemy.

– To bardzo uprzejmie.

Otworzył najpierw jedną szufladę w kuchni, potem drugą i trzecią. Serce podeszło Darcy do gardła, gdy zajrzał do czwartej. Wyjął z niej ścierkę do talerzy i podał jej.

– To lepsze od papierowych ręczników.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Bardzo dziękuję.

– Jak długo byliście małżeństwem, pani Anderson?

– Dwadzieścia siedem lat – odpowiedziała.

– Dwadzieścia siedem – powtórzył z uznaniem. – Boże. Tak mi przykro.

– Mnie też – powiedziała i ukryła twarz w ścierce.

18

Robert Emory Anderson został pochowany na cmentarzu w Yarmouth dwa dni później. Donnie i Petra stali po obu stronach matki, gdy kapłan mówił o kruchości ludzkiego życia. Zrobiło się zimno i pochmurno, przejmujący wiatr szeleścił liśćmi na gałęziach. Firma B., B. & A. została zamknięta na ten dzień i wszyscy przyszli na pogrzeb. Księgowi w czarnych płaszczach zbili się w grupę niczym stado kruków. Nie było między nimi kobiety. Darcy nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

Oczy miała pełne łez i ocierała je co jakiś czas chusteczką, którą trzymała w dłoni zakrytej czarną rękawiczką. Petra płakała bez przerwy. Donnie miał zaczerwienione, posępne

oczy. Był przystojnym młodym mężczyzną, tyle że zaczynał jużłysieć, podobnie jak jego ojciec w tym wieku.

Ale nie będzie go przypominał, chyba że utyje jak Bob, pomyślała. I, rzecz jasna, nie zabija kobiet. Przecież takich skłonności się nie dziedziczy. Czy rzeczywiście?

Wkrótce obrządek się skończył. Donnie miał zostać na parę dni – w tym momencie nie mógł opuścić swojej firmy na dłużej, jak powiedział. Liczył, że go rozumiała, a ona zapewniła, że oczywiście rozumie. Petra planowała, że zostanie z nią przez tydzień, i była skłonna przedłużyć swój pobyt, jeśli matka tego zechce. Darcy podziękowała jej, powiedziała, że to bardzo miło, ale w duchu miała nadzieję, że córka nie zabawi dłużej niż pięć dni. Potrzebowała samotności. Potrzebowała... nie zastanowienia, raczej ponownego odnalezienia siebie samej. Ugruntowania się po dobrej stronie lustra.

Choć przecież nic nie poszło źle. Wręcz przeciwnie. Nie mogłaby wymyślić lepszego obrotu spraw, nawet gdyby od miesięcy planowała zamordowanie męża. Zresztą w takim wypadku pewnie coś by schrzaniła zbytnim komplikowaniem rzeczy. W odróżnieniu od Boba nie była dobra w planowaniu.

Nie zrobiono sekcji zwłok, nie poddano Darcy szczegółowemu przesłuchaniu. Wersja podana przez nią była prosta, wiarygodna i niemal prawdziwa. Najważniejsza jednak była twarda jak skała podstawa jej zeznań: tworzyła z mężem szczęśliwe małżeństwo przez prawie trzy dziesięciolecia i żadna kłótnia nie rzucała na to cienia. Więc o co mieliby ją wypytywać?

Kapłan poprosił, by rodzina wystąpiła naprzód. Tak zrobili.

– Odpoczywaj w pokoju, tato – powiedział Donnie i rzucił garść ziemi do grobu. Gruda upadła na błyszczące wieko trumny. Darcy pomyślała, że przypomina psią kupę.

– Brakuje mi cię, tato – powiedziała Petra i rzuciła swoją garść.

Darcy podeszła ostatnia. Pochyliła się i ręką w czarnej rękawiczce zaczerpnęła ziemi. Wysypała ją, w ogóle się nie odzywając.

Kapłan poprosił o modlitwę w ciszy. Żałobnicy pochylili głowy. Wiatr szeleścił liśćmi. Na niezbyt odległej trasie I-295 panował zwykły ruch. Darcy pomyślała: Boże, jeśli jesteś, spraw, żeby to był koniec.

19

Nie był to koniec.

Mniej więcej siedem tygodni po pogrzebie – był już nowy rok, mroźna zima z niebieskim niebem – przy drzwiach domu na Sugar Mill Lane rozległ się dzwonek. Kiedy Darcy je otworzyła, w progu stał starszy pan. Miał na sobie czarne palto i czerwony gruby szalik. W rękach przed sobą trzymał staroświecki kapelusz. Twarz przecinały mu głębokie zmarszczki (śląd zarówno bólu, jak i wieku, pomyślała Darcy), a z siwych włosów został jedynie meszek.

– Tak? – spytała.

Zaczął szukać czegoś w kieszeni i upuścił kapelusz. Darcy nachyliła się, żeby go podnieść. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że starszy pan wyciąga ku niej legitymację w skórzanej okładce. Była to złota odznaka i jego zdjęcie (na którym wyglądał trochę młodziej) na plastikowej karcie.

– Holt Ramsey – powiedział tonem, jakby za to przeproszał. – Z biura stanowego prokuratora generalnego. Ogromnie przepraszam, że panią niepokoję, pani Anderson. Czy mogę wejść? Zmarznie pani, stojąc tak w samej sukience.

– Proszę – powiedziała i odsunęła się na bok.

Zauważyła, że jej gość ma problem z chodzeniem, a prawą rękę odruchowo kładzie na biodrze – jakby chciał utrzymać je na miejscu – i natychmiast wyraźnie przypomniała sobie pewną scenę. Bob siedział wtedy obok niej na łóżku, tulił w ciepłych dłoniach jej zimne palce i mówił. Chępił się właściwie. „Chcę, żeby myśleli, że Beka jest kretynem, w każdym razie półanalfabetą, i tak jest w rzeczy samej. Ale to oni są kretynami. Tylko raz mnie przesłuchiwali, zresztą jako świadka, mniej więcej dwa tygodnie po tym, jak BK zabił tę Moore. Stary, kulawy dziad, pewnie tuż przed emeryturą”. I oto ten stary dziad stał teraz przed nią, nie dalej niż dwanaście kroków od miejsca, gdzie umarł Bob. Od miejsca, gdzie go zabiła. Holt wyglądał na chorego i cierpiącego, ale wzrok miał przenikliwy. Zanim ponownie na nią spojrział, omiótł szybko oczami pomieszczenie z prawa na lewo, wszystko rejestrując.

Bądź ostrożna, powiedziała do siebie w duchu. Bądź z nim bardzo, ale to bardzo ostrożna, Darcellen.

– W jaki sposób mogłabym panu pomóc, panie Ramsey?

– Cóż, w jeden na pewno, jeśli to nie zbyt śmiała prośba. Trochę kawy dobrze by mi zrobiło. Straszliwie zmarzłem. Mam służbowy samochód, w którym ogrzewanie nie działa tak, jak powinno. Oczywiście jeśli się nie narzucam...

– Proszę nawet tak nie mówić. Ale zastanawiam się... czy mogłabym jeszcze raz obejrzeć pańską legitymację?

Spokojnym ruchem podał jej okładkę i podczas gdy ona się jej przyglądała, powiesił kapelusz na wieszaku.

– Czy stempel poniżej „w st. spocz.” oznacza, że jest pan na emeryturze?

– I tak, i nie. – Jego uśmiech odsłonił zęby zbyt ładne, by mogły nie być protezą. – Musiałem odejść, przynajmniej formalnie, kiedy skończyłem sześćdziesiąt osiem lat, ale całe życie spędziłem, pracując albo w stanowej policji, albo w biurze stanowego prokuratora generalnego, rozumie pani... i jestem teraz niczym stary koń strażacki, który ma honorowe miejsce w stajni. Coś w rodzaju maskotki.

Moim zdaniem jesteś znacznie ważniejszy.

– Wezmę pańskie palto.

– Nie, nie trzeba, chyba nie będę go zdejmował. Nie zostanę u pani długo. Powiesiłbym

je, gdyby padał śnieg... żeby nie zachlapać podłogi... ale nie pada. Jest po prostu przejmujący ziąb. Zbyt zimno na śnieg, jak powiedziała by mój ojciec, a w moim wieku taką temperaturę gorzej znoszę niż pięćdziesiąt lat temu. Może nawet dwadzieścia pięć lat temu.

Prowadząc go wolno, żeby mógł za nią nadążyć, zapytała Ramseya, ile ma lat.

– W maju skończę siedemdziesiąt osiem – powiedział z nieskrywaną dumą. – Jeśli dożyję. Zawsze uważałem, że mam szczęście. Do tej pory mi sprzyjało. Ma pani ładną kuchnię, pani Anderson. Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu. Mojej żonie by się spodobała. Zmarła cztery lata temu. Na atak serca, bardzo nagle. Bardzo za nią tęsknię. Wyobrażam sobie, że tak samo pani brakuje męża.

Jego roziskrzone oczy – młode i czujne pod pomarszczonymi, naznaczonymi bólem powiekami – wpatrywały się uważnie w jej twarz.

On wie. Nie mam pojęcia skąd, ale wie.

Włączyła ekspres, sprawdziwszy przedtem filtr. Biorąc kubki z szafki, zapytała:

– W czym mogłabym panu pomóc, panie Ramsey? Czy może: detektywie Ramsey?

Roześmiał się, po czym zaczął kasłać.

– Och, minęło kopę lat, odkąd ktoś nazywał mnie detektywem. I niech pani nie zwraca sobie głowy Ramseyem. Dla mnie Holt w zupełności wystarczy. Widzi pani, tak naprawdę to chciałem porozmawiać z pani mężem, ale oczywiście jego już nie ma... moje kondolencje raz jeszcze... więc to nie wchodzi w grę. Tak, to definitywnie nie wchodzi w grę. – Pokręcił głową i usiadł na jednym ze stołków w kuchni. Jego palto zaszeleściło. Gdzieś w wymizerowanym ciele strzeliło w kościach. – Ale coś pani powiem: starzec, który mieszka w wynajętym pokoju, tak jak ja, nawet jeśli to ładne miejsce, czasami ma dość telewizora jako kompana, więc pomyślałem: do licha, pojedę do Yarmouth i mimo wszystko zadam jej kilka pytań. Na wiele nie będzie w stanie odpowiedzieć, mówiłem sobie, może na żadne, ale dlaczego nie pojechać? Trzeba się ruszać, zanim człowiek całkiem zgrzybieje.

– I to w dzień, kiedy temperatura spada poniżej dziesięciu stopni – powiedziała. – Służbowym samochodem bez sprawnego ogrzewania.

– A tak, ale założyłem ciepłą bieliznę – odrzekł skromnie.

– Nie ma pan własnego samochodu, panie Ramsey?

– Mam, mam – zapewnił, jakby nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. – Proszę, niech pani usiądzie, pani Anderson. Niech się pani nie chowa po kątach. Jestem za stary, żeby gryźć.

– Już idę, kawa będzie gotowa za minutę, to dlatego – odpowiedziała miłym głosem. Bała się tego starca. Bob też powinien się go obawiać, ale, rzecz jasna, Bob teraz nie musiał już się bać niczego. Sama o to zadbała. – Tymczasem może mi pan powie, o czym chciał pan rozmawiać z mężem.

– Cóż, nie uwierzy pani...

– Niech mi pan mówi po imieniu. Darcy...

– Darcy! – Wyglądał na bardzo ucieszonego. – Jakież to śliczne, staromodne imię!

– Dziękuję. Śmietanki?

– Piję czarną jak mój kapelusz. Choć właściwie wolę myśleć o sobie jako gościu w białym kapeluszu. Cóż, tak właśnie wolę i tak chyba jest. Ścigam w końcu przestępców i tym podobne. Przez to mam chorą nogę. Pościg za samochodem, który znacznie przekroczył dozwoloną prędkość, dawno temu, w osiemdziesiątym dziewiątym. Facet zabił żonę i dwójkę swoich dzieci. Morderstwo tego rodzaju zwykle popełnia w afekcie człowiek, który albo jest pijany, albo naćpany, albo ma nie po kolei w głowie. – Ramsey popukał się w skroń wykrzywionym przez artretyzm palcem. – Ale nie tamten. Tamten facet zrobił to dla forsy z ubezpieczenia. Chciał, żeby wyglądało to na, jak to się mówi, wtargnięcie na teren prywatny. Nie będę wchodził we wszystkie szczegóły, ale weszylem tam i weszylem. Przez trzy lata weszylem w okolicy. I w końcu uznałem, że zebrałem dość, by go aresztować. Prawdopodobnie za mało, żeby go skazać, ale tego nie musiałem mu mówić, prawda?

– Chyba nie – powiedziała Darcy. Kawa się zaparzyła. Nalała ją do kubków. Sama również zdecydowała się wypić jedną czarną, i to jak najszybciej. Dzięki temu kofeina zadziała od razu i wyostrzy jej myślenie.

– Dziękuję – powiedział, kiedy postawiła jego kubek na stole. – Bardzo dziękuję. Jesteś uosobieniem uprzejmości. Gorąca kawa w mroźny dzień... czy może być coś lepszego? No, może grzany cydr, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Zresztą nieważne, na czym skończyliśmy? Och, już wiem. Dwight Cheminoux. To było w północnej części hrabstwa. Na południe od lasu Hainesville.

Darcy piła kawę. Patrzyła na Ramseya znad brzegu kubka i nagle poczuła się, jakby znowu była mężatką – w długoletnim małżeństwie, udanym pod wieloma względami (choć nie pod wszystkimi), z rodzaju przedstawianego w dowcipie: ona wiedziała, że on wie, a on wiedział, że ona wie, że on wie. Taki rodzaj związku przypominał patrzeć w lustro, gdzie widać kolejne lustro, cały ich ciąg aż do nieskończoności. Naprawdę jednak chodziło teraz o to, co ten stary człowiek ma zamiar zrobić z tym, co wie.

Co może zrobić.

– No cóż – powiedział Ramsey, odstawiając kubek i odruchowo masując się po chorej nodze – najprościej rzecz ujmując, żywiłem nadzieję, że sprowokuję tego faceta. Miał na rękach krew kobiety i dwójki dzieci, dlatego czułem się usprawiedliwiony, pogrywając trochę nie fair. I to się udało. Uciekł, a ja ruszyłem za nim w pościg do lasu Hainesville, gdzie, jak mówi piosenka, grób jest co kilometr. I obaj rozbiliśmy się na zakręcie Wickett, on na drzewie, ja na nim. Tam właśnie uszkodziłem nogę, nie wspominając o zyskaniu stalowego pręta w kręgosłupie.

– Szczerze współczuję. A facet, którego ścigałeś? Co się z nim stało?

Kąciaki ust Ramseya uniosły się w oschłym uśmiechu, pełnym emocjonalnego chłodu.

– Zginął na miejscu, Darcy. Oszczędził stanowi wydatków na wikt i opierunek w Shawshank przez czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

– Jest pan prawdziwym ogarem niebios, prawda, panie Ramsey?

Zamiast wygłądać na zdziwionego, uniósł obie zniekształcone dłonie i trzymając je wewnętrzną stroną ku Darcy, zaczął recytować śpiewnym głosem ucznia: „Umykałem przed Nim dniami i nocami, umykałem przed Nim pod lat arkadami, umykałem przed Nim labiryntu ścieżkami...”^{*} i tak dalej.

– Nauczył się pan tego w szkole?

– Nie, proszę pani, w Bractwie Młodych Metodystów. Wiele, wiele lat temu. Wygrałem Biblię, ale zgubiłem ją rok później na obozie. Właściwie nie tyle zgubiłem, ile mi ją ukradziono. Czy możesz wyobrazić sobie kogoś nikczemniejszego od złodzieja Biblii?

– Tak – odpowiedziała Darcy.

Roześmiał się.

– Darcy, daj spokój i nazywaj mnie po imieniu. Holt. Proszę. Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią.

Jesteś moim przyjacielem? Na pewno? Nie wiedziała, ale jednego była pewna: on nie był przyjacielem Boba.

– Czy tylko ten wiersz znasz na pamięć... Holt?

– Cóż, kiedyś umiałem *Śmierć najmity* – powiedział skromnie – ale teraz pamiętam tylko fragment o tym, że dom jest miejscem, gdzie jeśli musisz wejść, muszą cię tam przyjąć. To szczerza prawda, chyba się zgodzisz?

– Absolutnie.

Jego oczy – okazały się jasnobrązowe – wpatrywały się w nią. Intymność tej wymiany spojrzeń, jakby patrzył na nią nagą, była nieprzyzwoita. I przyjemna, być może z tego samego powodu.

– Więc o co chciałeś zapytać mojego męża, Holt?

– No cóż, raz z nim rozmawiałem, wiesz, choć gdyby żył, pewnie by o tym nie pamiętał. Działo się to dawno temu. Obaj byliśmy znacznie młodszy, a ty wtedy musiałaś być jeszcze dzieckiem, biorąc pod uwagę, jak młodo i ładnie teraz wyglądasz.

Posłała mu chłodny uśmiech, mówiący „obejdzie się bez komplementów”, i wstała, żeby dolać sobie kawy. Pierwszą już wypła.

– Prawdopodobnie słyszałaś o morderstwach Beki – powiedział.

– O mężczyźnie, który zabijał kobiety, a potem wysyłał na policję ich dowody tożsamości? – Wróciła do stołu, w pełni nad sobą panując. – Gazety się o nim rozpisywały.

Wskazał ją palcem – gestem Boba celującego z wymyślanego pistoletu – i mrugnął.

– No właśnie. Tak jest. Trochę pracowałem nad tą sprawą. Wtedy nie byłem jeszcze na emeryturze, ale się na nią wybierałem. Cieszyłem się opinią faceta, który czasem osiąga wyniki, zwyczajnie węsząc... podążającego za... jakże to zwą...?

– Intuicją?

^{*} Francis Thompson, *Ogar Niebios*, przeł. Krzysztof Ołtak.

Kolejny raz pistolet z palców. Kolejne mrugnięcie.

– W każdym razie posłali mnie, żebym sam nad tym popracował. Stary kulawy Holt pokazujący wszędzie zdjęcia, zadający pytania i na swój sposób, rozumiesz... po prostu węszący. Bo zawsze miałem nosa do takich zadań, Darcy, i nigdy go nie straciłem. Działo się to jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego, niedługo po zabójstwie kobiety, Stacey Moore. To nazwisko coś ci mówi?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Darcy.

– Pamiętałaś je, gdybyś obejrzała zdjęcia z miejsca przestępstwa. Okropne morderstwo, jakże ta kobieta musiała cierpieć! Ale, rzecz jasna, facet, który sam siebie określał jako Beka, siedział cicho od bardzo dawna, od ponad piętnastu lat, więc mnóstwo pary musiało mu się zgromadzić w kotle i tylko czekało na wybuch. I trafiło na tę właśnie kobietę. To ją poparzyła ta para. W każdym razie gość, który był wtedy stanowym prokuratorem generalnym, zlecił mi tę sprawę. „Niech stary Holt spróbuje”, powiedział, „i tak nic teraz nie robi, a dzięki temu nie będzie się plątał pod nogami”. Już wtedy nazywali mnie starym Holtem. Pewnie z powodu kalectwa, jak myślę. Porozmawiałem z przyjaciółmi ofiary, sąsiadami mieszkającymi przy trasie sto sześć i z ludźmi, z którymi pracowała w Waterville. Och, przeprowadziłem mnóstwo rozmów. Była kelnerką w restauracji o nazwie Sunnyside. Wpada tam bardzo wielu przejezdnych, bo to miejsce jest blisko wjazdu na płatną autostradę, ale mnie interesowali przede wszystkim jej stali klienci. Jej stali klienci mężczyźni.

– To całkiem zrozumiałe – wyszeptała.

– Jednym z nich był dość przystojny facet, raczej zamożny, trochę po czterdziestce. Zjawiał się co trzy, cztery tygodnie i zawsze siadał w rewirze Stacey. Pewnie nie powinienem tego mówić, bo tym facetem okazał się twój nieżyjący mąż... to będzie mówienie źle o zmarłym, ale ponieważ oboje nie żyją, wydaje mi się, że bilans wychodzi na zero, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... – Ramsey zamilkł, wyglądał na zmieszanego.

– Strasznie to wszystko komplikujesz – powiedziała Darcy, rozbawiona wbrew sobie. – Nie męcz się, tylko mi powiedz wprost, jestem już dużą dziewczynką. Flirtowała z nim? Czy o to właśnie chodzi? Nie byłaby pierwszą kelnerką flirtującą z mężczyzną w delegacji, nawet jeśli miałby obrączkę ślubną na palcu.

– Nie, niezupełnie o to chodzi. Zgodnie z tym, czego dowiedziałem się od reszty personelu... ale musisz potraktować to z dystansem, bo wszyscy ją lubili... to on flirtował z nią. I z tego, co mi powiedzieli, nie była tym zachwycona. Mówiła ponoć, że ten facet przyprawia ją o gęsią skórkę.

– To zupełnie niepodobne do mojego męża. – Albo do tego, co jej powiedział o tej sprawie.

– Nie, ale prawdopodobnie tak było. To znaczy to był twój mąż. A żona nie zawsze wie, co mąż robi w delegacji, choć może się jej wydawać, że jest inaczej. W każdym razie jedna z kelnerek powiedziała mi, że ten facet jeździł toyotą four runnerem. Zwróciła na to uwagę,

bo sama miała taki samochód. I wiesz co? Sporo sąsiadów Moore widziało podobny samochód snujący się w okolicy jej rodzinnej farmy na kilka dni przed morderstwem. Jeden nawet widział go w przeddzień zabójstwa.

– Ale nie w dniu zabójstwa.

– Nie, to oczywiste, że facet tak ostrożny jak Beka nie popełniłby takiego błędu, prawda?

– Chyba tak.

– No cóż, dysponowałem jego opisem, więc kręciłem się wokół tej restauracji. Nie miałem nic lepszego do roboty. Przez tydzień zyskałem jedynie parę nic nieznaczących informacji i parę darmowych kaw... nie tak dobrych jak twoja!... i chciałem już dać sobie z tym spokój. Przypadkiem zatrzymałem się w jednym miejscu w śródmieściu. Numizmaty Micklesona. To nazwisko coś ci mówi?

– Oczywiście. Mój mąż był numizmatykiem, a sklep Micklesona był jednym z trzech, czterech naszych najlepszych kontaktów handlowych w stanie... choć teraz już nie istnieje, jak mi się wydaje. O ile wiem, stary pan Mickleson umarł, a jego syn zamknął interes.

– Ach, tak, tak. Jak mówi piosenka, czas zabiera w końcu wszystko: twoje oczy, sprężystość kroku, a nawet podkręcanie pieprzonej piłki do baseballu, wybac mi słownictwo. Ale wtedy George Mickleson jeszcze żył...

– Poruszał się w pozycji wyprostowanej i oddychał – wymamrotała pod nosem.

Holt Ramsey uśmiechnął się.

– Dokładnie tak, jak mówisz. W każdym razie rozpoznał opis. „No przecież to Bob Anderson”, powiedział. I dodał, że on ma toyotę four runnera.

– Och, sprzedał ten samochód dawno temu – powiedziała Darcy. – Zamienił ją na...

– Chevroleta suburba, prawda? – Ramsey wymawiał nazwę tej marki jak „sziiwwalaj”.

– Tak. – Darcy złożyła dłonie i popatrzyła spokojnie na Ramseya.

Niemal dochodzili do sedna sprawy. Pytanie jednak brzmiało: kim z nieistniejącego już małżeństwa Andersonów bardziej interesował się obecnie ten starzec o przenikliwym spojrzeniu?

– Przypuszczam, że nie masz już tego suburba?

– Nie. Sprzedałam go miesiąc po śmierci męża. Dałam ogłoszenie w gazecie „Uncle Henry’s” i od razu znalazł się kupiec. Zupełnie niepotrzebnie się bałam, że będę miała z tym problem, bo przebieg był duży, a paliwo jest takie drogie. Rzecz jasna, nie dostałam za niego dużo.

Na dwa dni przed przekazaniem go nowemu właścicielowi Darcy dokładnie przeszukała samochód, od zderzaka do zderzaka, zajrzała nawet pod wykładzinę w bagażniku. Niczego nie znalazła, niemniej zapłaciła pięćdziesiąt dolarów za umycie go z zewnątrz (na czym zupełnie jej nie zależało) i wyczyszczenie parą w środku (na czym jej zależało).

– Ach. Stara, pocziwa gazeta „Uncle Henry’s”. W taki sam sposób sprzedałem forda po mojej zmarłej żonie.

– Panie Ramsey...

– Holt.

– Holt, czy byłeś w stanie zidentyfikować mojego męża jako człowieka, który flirtował ze Stacey Moore?

– No cóż, kiedy rozmawiałem z panem Andersonem, przyznał, że bywał czasami w Sunnyside, powiedział to sam z siebie, ale twierdził, że na żadną kelnerkę nie zwrócił szczególnej uwagi. Obstawał przy tym, że zwykle trzymał głowę w papierach. Rzecz jasna, pokazałem personelowi jego zdjęcie... z prawa jazdy, rozumiesz... i wszyscy go rozpoznali.

– Czy mój mąż wiedział, że... się nim interesujesz?

– Nie. Jego zdaniem byłem pewnie kulawym gliniarzem szukającym świadków, którzy mogli coś widzieć. Nikt nie boi się takiego dziadka jak ja, sama rozumiesz.

Ja się boję. I to bardzo się ciebie boję.

– W sumie to niewiele – powiedziała. – Zakładając, że chciałeś założyć mu sprawę.

– Żadną sprawę! – Roześmiał się wesoło, ale jego orzechowe oczy pozostały zimne. – Gdybym mógł założyć mu sprawę, nie gawędziłbym sobie z nim w jego biurze, Darcy. Rozmawialibyśmy wtedy u mnie. Skąd nie można wyjść, dopóki ja na to nie pozwolę. Albo kiedy wyciągnie cię stamtąd adwokat.

– Może powinieneś przestać już harcować, Holt.

– Masz rację – zgodził się z nią. – Dlaczego nie? W końcu teraz wystarczy, że zrobię kilka kroków, a już boli mnie jak wszyscy diabli. Niech szlag trafi tego Dwighta Cheminoux! Nie chcę zajmować ci całego ranka, więc powiem wszystko w skrócie. Byłem w stanie udowodnić, że toyotę four runnera widziano na miejscu, lub w jego pobliżu, dwóch wcześniejszych morderstw, które nazywamy „pierwszym cyklem” Beki. Nie taką samą, w innym kolorze. Niemniej mogłem też potwierdzić, że miał inną toyotę four runnera w latach siedemdziesiątych.

– To prawda. Lubił ją, dlatego wymienił wóz na taki sam.

– No właśnie, mężczyźni tak robią. A four runner to popularny wóz tam, gdzie śnieg pada przez cholerne pół roku. Ale po zamordowaniu Moore... i po rozmowie, którą z nim przeprowadziłem... zmienił samochód na suburbana.

– Nie od razu – powiedziała Darcy z uśmiechem. – Miał go jeszcze całkiem długo po roku dwutysięcznym.

– Wiem. Sprzedał go w dwa tysiące czwartym, niedługo przedtem, zanim została zamordowana Andrea Honeycutt w Nashua. Szaroniebieski suburban. Wyprodukowany w dwa tysiące drugim. Podobny samochód mniej więcej z tego roku, o identycznym kolorze, był widywany dość często w sąsiedztwie pani Honeycutt w ciągu mniej więcej miesiąca poprzedzającego jej zamordowanie. Jedno w tym jest zabawne. – Pochylił się do przodu. – Znalazłem świadka, który twierdził, że numery rejestracyjne były z Vermontu, i drugiego, małą staruszkę z rodzaju tych, które od świtu do nocy przesiadują w oknie salonu i

obserwują poczynania sąsiadów, bo nie mają nic innego do roboty. I ona dla odmiany utrzymywała, że widziała numery nowojorskie.

– Bob miał rejestrację z Maine – odezwała się Darcy. – O czym dobrze wiesz.

– Oczywiście, oczywiście, ale tablice można ukraść.

– A jak było w przypadku zabójstwa Shaverstone? Czy w sąsiedztwie Helen Shaverstone też widywano szaroniebieskiego suburbana?

– Widzę, że śledziłaś sprawę Beki uważniej niż większość ludzi. Uważniej, niż wspomniałaś na początku.

– No więc widziano czy nie?

– Nie – odpowiedział Ramsey. – Prawdę mówiąc, nie. Ale szaroniebieskiego suburbana zauważono niedaleko strumienia w Amesbury, gdzie ciała zostały wrzucone. – Ponownie się uśmiechnął, a jednocześnie wpatrywał się w nią zimnymi oczami. – Właściwie wyrzucone jak śmieci.

Westchnęła.

– Wiem.

– Nikt nie potrafił powiedzieć mi czegokolwiek o tablicach rejestracyjnych suburbana, którego widziano przy strumieniu, ale gdyby ktoś je zauważył, przypuszczam, że byłyby z Massachusetts. Albo Pensylwanii. Skądkolwiek, byle nie z Maine.

Pochylił się jeszcze bardziej.

– Beka przysyłał nam listy z dowodami tożsamości swoich ofiar. Drażnił się z nami, rozumiesz, rzucał nam wyzwanie, żebyśmy go złapali. Może w głębi duszy chciał, żebyśmy go złapali.

– Może – powiedziała Darcy, choć bardzo w to wątpiła.

– Listy były napisane wielkimi literami. Ludzie, którzy tak robią, myślą, że wtedy nie można zidentyfikować charakteru pisma, ale w większości przypadków to nieprawda. Widać podobieństwa. Przypuszczam, że nie masz żadnych dokumentów męża?

– Te, których nie przekazałam jego firmie, zostały zniszczone. Ale wyobrażam sobie, że istnieje mnóstwo próbek. Księgowi nigdy niczego nie wyrzucają.

Westchnął.

– Tak, tak, ale w takiej firmie jak jego, żeby dostać cokolwiek do ręki, potrzebny jest nakaz sądowy, a z kolei zdobycie takiego nakazu wymagałoby przedstawienia dowodów w tej sprawie. A tych nie mam. Kilka przypadkowych informacji, które dla mnie nie są przypadkowe. I mam też kilka... cóż... zbieżności, jeśli można je tak nazwać, ale żadna z nich nie obroni się jako niepodważalny dowód w sprawie. Dlatego przyjechałem do ciebie, Darcy. Myślałem, co prawda, że najpewniej pošlesz mnie do wszystkich diabłów, ale ty okazałaś się bardzo uprzejma.

Nic nie powiedziała.

Pochylił się jeszcze bardziej, niemal kładąc się na stole. Niczym drapieźnik przed

skokiem. Ale za chłodem jego oczu dawało się dostrzec coś jeszcze. Pomyślała, że mogła to być dobroduszość. Modliła się, by tak było.

– Darcy, czy twój mąż to Beka?

Miała świadomość, że mógł nagrywać tę rozmowę, bo nie było to aż takie nieprawdopodobne. Zamiast odpowiedzieć, uniosła dłoń znad stołu, pokazując jej różowawe wnętrze.

– Bardzo długi czas o niczym nie wiedziałaś, prawda?

Darcy milczała. Jedynie patrzyła na niego. Patrzyła w niego, tak jak się patrzy na ludzi, których się dobrze zna. Trzeba jednak wtedy postępować bardzo ostrożnie, bo nie zawsze prawdziwy obraz jest tym, który, jak nam się wydaje, widzimy. Ona to rozumiała.

– A potem się dowiedziałaś? Pewnego dnia się dowiedziałaś?

– Napijesz się jeszcze kawy, Holt?

– Pół kubka – odparł. Wyprostował się i skrzyżował ramiona na cherlawej piersi. – Jeśli wypiję więcej, mam zgagę, a rano zapomniałem połknąć zantac.

– Chyba mam ranigast w apteczce na górze – powiedziała. – Jeszcze Boba. Chcesz, żebym ci go przyniosła?

– Nie połknąłbym niczego, co do niego należało, nawet gdyby mnie w środku paliło żywym ogniem.

– W porządku – odrzekła uprzejmie i dołała mu trochę kawy.

– Przepraszam – odezwał się po chwili. – Czasem nie umiem zapanować nad emocjami. Te kobiety... te wszystkie kobiety... i chłopiec mający całe życie przed sobą. To najgorsze.

– Tak – zgodziła się, podsuwając mu kubek. Zauważyła, że trzęsą mu się ręce, i pomyślała, że to prawdopodobnie jego ostatnie rodeo, niezależnie od tego, jak bardzo był łebski... a był przerażająco łebski.

– Kobieta, która by się dowiedziała, jak paskudnie zabawiał się jej mąż, znalazłaby się w trudnym położeniu – powiedział Ramsey.

– Tak, przypuszczam, że tak – przyznała Darcy.

– Kto by uwierzył, że mogła żyć przez tyle lat z mężczyzną i nie wiedzieć, kim on jest naprawdę? Przecież, że tak powiem, przypominałaby ptaka, który żyje w paszczy krokodyla.

– Podobno – odrzekła Darcy – krokodyl pozwala na to ptakowi, bo on czyści mu zęby. Wyjada spomiędzy nich resztki. – Palcami prawej ręki wykonała gest skubania. – To chyba jednak nieprawda... ale prawdą jest, że wozila Boba do dentysty. Zostawiony sam sobie, celowo zapominał o wyznaczonej wizycie. Był takim dzieciuchem, jeśli chodzi o ból. – Jej oczy niespodziewanie zaszyły łzami. Przeklęła je w duchu i wytarła wierzchem dłoni. Ten człowiek nie miał szacunku dla łez wylanych za Roberta Andersona.

A może się jednak myliła. Uśmiechał się i kiwał głową.

– I wasze dzieci. Przeżyłyby męczarnie, gdyby świat się dowiedział, że ich ojciec był seryjnym mordercą, który torturował kobiety. A potem cierpiałyby ponownie, gdy wyszłoby

na jaw, że ich matka go kryła. Może nawet mu pomagała, jak Myra Hindley pomagała Ianowi Brady'emu. Wiesz, kim byli?

– Nie.

– Zresztą to nieważne. Ale zadaj sobie pytanie: co zrobiłaby kobieta w tak trudnym położeniu?

– A co ty byś zrobił, Holt?

– Nie wiem. Moja sytuacja jest trochę inna. Może i jestem starym dziadem, najstarszym gliniarzem, ale czuję się zobowiązany wobec rodzin tych zamordowanych kobiet. Należy im się wyjaśnienie.

– Bez wątpienia to się im należy... ale czy tego potrzebują?

– Penis Roberta Shaverstone'a został odgryziony. Wiedziałaś o tym?

Nie wiedziała. Oczywiście, że nie. Zamknęła oczy i poczuła, jak gorące lzy płyną jej spod rzęs. „Nie cierpiał”, ty kłamliwy draniu, pomyślała. I gdyby Bob stanął teraz przed nią z wyciągniętymi ramionami i błagał o litość, ponownie by go zabiła.

– Jego ojciec o tym wie – dodał Ramsey. – I musi żyć z tą wiedzą o dziecku, które tak bardzo kochał.

– Tak mi przykro – wyszeptała. – Tak strasznie mi przykro.

Poczuła, że wzięła ją za rękę, którą trzymała nad stołem.

– Nie chciałem cię zdenerwować.

Odepchnęła jego dłoń.

– Pewnie, że chciałeś! Ale myślisz, że nie byłam? Myślisz, że nie byłam zdenerwowana przez cały czas... ty wścibski staruchu?

Zachichotał, odsłaniając olśniewające zęby.

– Nie. W ogóle o tym nie pomyślałem. Zauważyłem to jednak od razu, w chwili gdy otworzyłaś mi drzwi. – Przerwał, a potem dodał powoli: – Ja widzę wszystko.

– A co widzisz teraz?

Wstał, zachwiał się trochę, ale szybko odzyskał równowagę.

– Widzę odważną kobietę, którą powinno się zostawić w spokoju, by mogła się zająć własnymi obowiązkami. Nie wspominając o reszcie życia.

Ona także wstała.

– A rodziny ofiar? Ludzie, którzy zasługują na wyjaśnienie? – Przerwała, nie chcąc dokończyć. Ale musiała. Ten człowiek wytrzymał ból, może nawet straszliwy ból, żeby tu przyjechać, a teraz dawał jej list żelazny. Tak przynajmniej uważała. – Ojciec Roberta Shaverstone'a?

– Chłopak Shaverstone'a nie żyje, a ojciec jakoś sobie radzi. – Ramsey mówił spokojnym, wyważonym tonem, który Darcy rozpoznawała. Takim głosem mówił Bob, gdy wiedział, że klient firmy będzie prześwietlany przez urząd skarbowy, a spotkanie nie najlepiej się zapowiadało. – Nie odstawia butelki z whisky od ust od rana do wieczora. Czy wiedza, że

morderca jego syna... oprawca jego syna... nie żyje, może to zmienić? Czy to wróci życie którejś z ofiar? Nie. Czy morderca smaży się teraz w piekle za popełnione zbrodnie, sam jest okaleczany i będzie krwawił przez wieczność? Biblia mówi, że tak. W każdym razie Stary Testament, a ponieważ stamtąd się wywodzą nasze prawa, mnie to wystarczy. Dziękuję za kawę. Będę musiał się zatrzymywać na każdym parkingu stąd do Augusty, ale warto było. Robisz dobrą kawę.

Odprawdzając go do drzwi, Darcy zdała sobie sprawę, że nareszcie znalazła się po właściwej stronie lustra, po raz pierwszy od chwili, gdy potknęła się o karton w garażu. Dobrze było wiedzieć, że wcześniej czy później by go złapali. Że nie był aż tak sprytny, jak mu się wydawało.

– Dziękuję za tę wizytę – powiedziała, a on nasadził sobie kapelusz na głowę. Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka zimny powiew. Jednak w ogóle się tym nie przejęła. Właściwie odczuła nawet przyjemne wrażenie na skórze. – Spotkamy się jeszcze kiedyś?

– Nie. Kończę w przyszłym tygodniu. Pełna emerytura. Jadę na Florydę. I nie pobędę tam długo, jak mówi mój lekarz.

– Przykro mi słyszeć...

Niespodziewanie objął ją ramionami. Były chude, ale żylaste i silne. Zaskoczył ją tym gestem, ale nie przestraszył. Rondo jego kapelusza ocierało się o jej ucho, gdy szeptał:

– Słusznie postąpiłaś.

I pocałował ją w policzek.

20

Szedł wolno. Ostrożnie stawiał kroki, uważając na lód. Krokiem starca. Powinien chodzić z laską, pomyślała Darcy. Przechodził przed maską samochodu, cały czas wpatrując się w ziemię, kiedy go zawołała. Odwrócił się i uniósł krzaczaste brwi.

– Kiedy mój mąż był chłopcem, miał przyjaciela, który zginął w wypadku.

– Naprawdę? – Jego słowom towarzyszyły kłęby białej pary.

– Tak – mówiła Darcy. – Możesz sprawdzić, co się wtedy stało. To prawdziwa tragedia, chociaż zgodnie z tym, co opowiadał mi mąż, ten chłopak nie był miłym dzieckiem.

– Nie?

– Nie. Tacy chłopcy jak on snują niebezpieczne fantazje. Nazywał się Brian Kelahanty, ale kiedy byli dziećmi, mąż wołał na niego BK.

Ramsey stał przy samochodzie przez kilkanaście sekund, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Potem pokiwał głową.

– To bardzo interesujące. Mógłbym się temu przyjrzeć w komputerze. Albo nie. To było tak dawno temu. Dziękuję za kawę.

– To ja dziękuję za rozmowę.

Patrzyła, jak odjeżdżał ulicą (a prowadził, co zauważyła, z pewnością siebie godną znacznie młodszego mężczyzny – prawdopodobnie dlatego, że wzrok miał nadal bardzo ostry), a później weszła do środka. Czuła się młodsza, weselsza. Podeszła do lustra w holu. Zobaczyła w nim jedynie własne odbicie – i to było bardzo dobre.

Posłowie

Historie zamieszczone w tej książce są szalenie mroczne, jak wskazuje sam tytuł. Czasami pewnie ciężko będzie wam je czytać. Jeśli tak, mogę was zapewnić, że miejscami równie trudno było mi je napisać. Kiedy na publicznych spotkaniach ludzie pytają mnie o moją pracę, teraz już z nawyku wymiguję się od odpowiedzi dowcipami i zabawnymi anegdotami z własnego życia (w które nie do końca trzeba wierzyć, bo nigdy nie można ufać pisarzowi opowiadającemu o swojej przeszłości). To bardziej dyplomatyczna forma uchylecia się i oszczędzenia pytającym odpowiedzi, jaką usłyszeliby od moich jankeskich przodków: „Nie twój interes, stary”. Niemniej pod maską dowcipów kryje się moja rzeczywista postawa. Od napisania w wieku osiemnastu lat pierwszej powieści *Wielki marsz* bardzo poważnie traktuję swoje zajęcie.

Mam mało cierpliwości do pisarzy nietraktujących swojej pracy poważnie, a żadnej dla tych, którzy uważają, że sztuka pisarska się przeżyła. Ona się nie przeżyła i nie jest grą literacką. To jeden z najważniejszych sposobów nadawania sensu naszemu życiu i otaczającemu nas, często straszному, światu. Za jej pomocą właśnie odpowiadamy na pytanie: „Jak takie rzeczy mogą się dziać?”. Opowieści sugerują czasami – nie zawsze, ale czasami – że jest jakiś sens.

Od początku – jeszcze zanim młody człowiek, którego teraz zupełnie nie potrafię zrozumieć, zaczął pisać w akademiku *Wielki marsz* – uważałem, że najlepsza literatura jest zarówno agresywna, jak i pobudzająca. Rzuca się w oczy. Czasem krzyczy ci w twarz gromkim głosem. Nie mam nic przeciwko zwykłym powieściom, które koncentrują się najczęściej na wyjątkowych ludziach w zwykłych sytuacjach, ale mnie – zarówno jako czytelnika, jak i pisarza – bardziej interesują zwykli ludzie w wyjątkowych sytuacjach. Chcę wywoływać emocjonalne, a nawet intuicyjne reakcje w czytelnikach. Zmuszać ich do myślenia w trakcie czytania. Napisałem to rozstrzelonym drukiem, bo jeśli fabuła jest wystarczająco dobra, a bohaterowie wystarczająco prawdziwi, myślenie wspomocze emocje, kiedy opowieść się skończy, a książka zostanie odłożona na bok (czasem z ulgą). Pamiętam, jak z narastającym przerażeniem, złością i oburzeniem czytałem *Rok 1984* Orwella w wieku mniej więcej trzynastu lat, przedzierając się przez strony powieści i pochłaniając tę historię tak szybko, jak umiałem – i co w tym złego? Zwłaszcza że od tamtej pory do dzisiaj o niej

myślę, a szczególnie gdy jakimś politykowi (chodzi mi tu o Sarah Palin i jej wulgarne uwagi dotyczące „paneli śmierci”) uda się przekonać opinię publiczną, że białe to tak naprawdę czarne lub odwrotnie.

Oto coś innego, w co wierzę: jeśli udajesz się do bardzo mrocznego miejsca – jak farma Wilfa Jamesa w 1922 – to powinieneś zabrać ze sobą mocną latarkę i oświetlać nią wszystko. Jeśli zaś nie chcesz widzieć, to, na litość boską, po co w ogóle zapuszczasz się w ciemność? Wspaniały powieściopisarz naturalista Frank Norris zawsze był jednym z moich literackich idoli i pamiętam dobrze od ponad czterdziestu lat, co powiedział na ten temat: „Nigdy się nie poniżałem; nigdy nie zdejmowałem kapelusza przed modą i nie trzymałem go przed sobą, by żebrać o centy. Klnę się na Boga, że powiedziałem im prawdę”.

Ale, Steve, powiecie, zarobiłeś kupę forsy w swojej karierze, a jeśli chodzi o prawdę... różnie z nią bywa, co nie? Tak, na pisaniu opowieści zarobiłem niezłe pieniądze, ale pieniądze zawsze były efektem ubocznym, nie celem. Pisanie powieści dla pieniędzy to robota głupiego. I to też pewne, że prawda jest w oczach obserwatora. Ale jeśli chodzi o fikcję literacką, autor jest odpowiedzialny jedynie za szukanie prawdy we własnym sercu. Nie zawsze będzie to prawda dla czytelnika albo prawda dla krytyka, ale dopóki to prawda pisarza – dopóki on lub ona się nie poniża lub nie wyciąga ręki, kłaniając się modzie – wszystko jest w porządku. Dla pisarzy, którzy świadomie kłamią którzy rzeczywiste zachowania ludzi zastępują ich niewiarygodnymi czynami, nie mam nic poza pogardą. Złe pisarstwo to coś więcej niż sprawa gównianej składni czy błędnej obserwacji; złe pisarstwo powstaje zwykle z upartej odmowy opowiedzenia o tym, co ludzie tak naprawdę robią – dopuszczenia do myśli faktu, że, powiedzmy, czasami mordercy przeprowadzają staruszki przez ulicę.

Bardzo się starałem pokazać w *Czarnej bezgwiezdnej nocy*, co ludzie robią i jak mogą się zachowywać w pewnych okolicznościach. Ludzie w tych opowieściach nie są pozbawieni nadziei, ale zdają sobie sprawę, że nawet najgłębsze nadzieje (i najlepsze życzenia dla rodaków i społeczeństwa, w którym żyjemy) mogą być czasami próżne. Nawet często. Ale myślę też, że ich zdaniem szlachetność tkwi przede wszystkim nie w sukcesie, ale w próbach robienia tego, co należy... a kiedy nam się to nie udaje albo celowo odwracamy się od stojącego przed nami wyzwania, następuje piekło.

Inspiracją do *1922* była książka z gatunku literatury faktu *Wisconsin Death Trip* (1973), napisana przez Michaela Lesy’ego, w której zamieszczono zdjęcia wykonane w niewielkiej wsi Black River Falls w stanie Wisconsin. Duże wrażenie zrobiła na mnie atmosfera odizolowania tej wsi od świata oraz surowość i bieda w twarzach wielu ludzi na tych fotografiach. Chciałem oddać to wrażenie w swojej opowieści.

W 2007 roku, jadąc międzystanową autostradą 84 na spotkanie z czytelnikami w zachodnim Massachusetts, zatrzymałem się na parkingu, by spożyć typowy dla Steve’a Kinga „zdrowy posiłek”: napój gazowany i batona. Kiedy wysiadłem, zobaczyłem kobietę, która

złapała gumę w samochodzie i właśnie prowadziła ożywioną rozmowę z kierowcą wielkiej ciężarówki zaparkowanej obok. Facet uśmiechnął się do niej i wyszedł z kabiny.

– Potrzebna pomoc? – zapytałem.

– Nie, nie, zajmę się tym – odpowiedział kierowca.

Jestem pewny, że koło zostało wymienione. Pomyślałem o trzech muszkieterach i ostatecznie powstała historia Wielkiego Kierowcy.

W Bangor, gdzie mieszkam, na tyłach lotniska jest ulica nazywana przedłużeniem Hammond Street. Codziennie, jeśli jestem w mieście, pokonuję na piechotę pięć, sześć kilometrów i często właśnie tamtędy chodzę. Mniej więcej w połowie tego przedłużenia jest przy ogrodzeniu lotniska żwirowy plac, gdzie od lat wielu przekupniów ustawia stragany i handluje przy drodze. Mój ulubieniec jest nazywany Facetem od Piłek Golfowych i zawsze zjawia się wiosną. Kiedy robi się ciepło, Facet od Piłek Golfowych idzie do miejskiej szkoły golfa w Bangor i wygrzebuje setki używanych piłek, zapomnianych pod śniegiem. Wyrzuca te, które są naprawdę do niczego, a resztę sprzedaje na niewielkim straganie przy przedłużeniu Hammond Street (przed przednią szybą jego samochodu leży cały rząd piłek golfowych – miły sznyt). Pewnego dnia, gdy mu się przyglądałem, przyszedł mi do głowy pomysł na *Dobry interes*. Rzecz jasna, akcję umieściłem w Derry, mieście zmarłego klauna Pennywise'a, po którym nikt nie płakał, bo Derry to zamaskowane Bangor pod inną nazwą.

Ostatnia opowieść w tej książce przyszła mi do głowy po przeczytaniu artykułu o Dennisie Raderze, niesławnym BTK (bije, torturuje, katuje), mordercy, który w niecałe szesnaście lat odebrał życie dziesięciu osobom – w większości kobietom, ale dwie z jego ofiar były dziećmi. W wielu przypadkach wysyłał policji pocztą dowody tożsamości zamordowanych. Paula Rader była żoną tego potwora przez trzydzieści cztery lata i całkiem sporo ludzi z rejonu Wichita, gdzie Rader dokonywał zbrodni, nie chciało uwierzyć, że z nim żyła i o niczym nie wiedziała. Ja uwierzyłem – i wierzę. Napisałem tę historię, żeby sprawdzić, co może się zdarzyć w przypadku, kiedy żona niespodziewanie odkrywa straszliwe hobby męża. Napisałem ją również po to, żeby przeanalizować założenie, że pełne poznanie innych nie jest możliwe, nawet tych, których najbardziej kochamy.

W porządku, chyba już dość nabyliśmy się w czarnej, bezgwiazdnej nocy. Obok jest inny, wielki świat. Weź mnie za rękę, przyjacielu, a ja z radością poprowadzę cię ku słońcu. Ciesz się, że tam pójdziemy, bo uważam, że ludzie w większości są zasadniczo dobrzy. Wiem, że ja jestem.

To ciebie nie jestem do końca pewny.

Bangor w stanie Maine
23 grudnia 2009 roku